

*O trudnych  
ludzkich relacjach  
w jeszcze trudnie-  
jszych czasach*

Magdalena  
**KAWKA**

# Pora westchnień, pora burz

Prószyński i S-ka

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Magdalena  
KAWKA

Pora  
westchnień,  
pora burz

Prószyński i S-ka

Projekt okładki  
Agata Wawryniuk, Robert Sienicki/Firma Belego

Zdjęcia na okładce  
© Patricia Turner/Arcangel Images;  
Anastasiya Domnitch/Shutterstock.com; Biblioteka Narodowa

Redaktor prowadzący  
Anna Derengowska

Redakcja  
Ewa Witan

Korekta  
Mirosława Kostrzyńska  
Grażyna Narocka

ISBN 978-83-8097-559-0

Warszawa 2016

Wydawca  
Prószyński Media Sp. z o.o.  
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28  
[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

Część pierwsza

# PORA WESTCHNIEŃ

*Pilnujcie, pilnujcie ostatnich dni lata,  
Kiedy jeszcze zielone bije zegar chwile,  
w które się już nieżywy karmin gęsto wplata...*

M. Pawlikowska-Jasnorzewska

# I

Do Truskawca tego lata z pewnością nie pojedziemy, pomyślała z goryczą Lilka, ściągając mocniej cugle.

Niemrawa Szmonka wlokła się ospale, z trudem podnosząc nogi, i co kilka kroków zwieszała smętnie łeb. Najwyraźniej nie miała dziś ochoty na przejażdżkę. Z posiwiałych chrap wydobywały się kłęby pary, by za chwilę rozpuścić się w mroźnym powietrzu. Dolna warga klaczy zwisała w sposób charakterystyczny dla wiekowych koni, a przejrzyste niegdyś oczy, ocienione długimi rzęsami, z dnia na dzień coraz bardziej zasnuwały się mleczną mgłą, jakby Szmonkę powoli przestawał interesować świat. Nawet gdyby dziewczyna wbiła jej w bok ostrogi, i tak nie zmusiłaby zapewne klaczy do zwawszego ruchu.

Mama z trudem znosiła fakt, że Lilka jeździ konno, i mowy nie było, żeby dostała prawdziwe buty z ostrogami. Zresztą, co tu mówić o butach, skoro nawet nie wolno jej było dosiadać Huragana, najpiękniejszego ogiera w całym województwie lwowskim, a kto wie, może i na całym Podolu.

Na Szmonce mogła jeździć, bo klacz była stara i mądra. Mama po cichu uważała, że to zwierzę ma więcej rozsądku niż jej córka. Szmonkę przyprowadził kiedyś stary Żyd. Już wtedy lata zębów miała za sobą. Kupiona za grosze od gospodarza, który zamierzał strzelić jej w łeb, gdy po złamaniu nogi niezbyt prędko dochodziła do siebie, narażając go jedynie na koszty, dorastała wraz ze swoją właścicielką i była powierniczką wszystkich jej sekretów. Była spokojną kobyłką o dość niemrawym temperamencie, z której Lilka swego czasu usiłowała bez większych efektów zrobić konia wyścigowego. Gdy ojciec kolejny raz przegrał w kasynie większość pieniędzy i jak zwykle przyszli po meble i inwentarz – jedynie Szmonki nie zabrali. Powiedzieli, że więcej byłoby z nią zachodu niż pieniędzy z jej sprzedaży. Chyba że na mięso...

Lilka, wówczas nie więcej niż ośmioletnia, z płaczem przypadła do kolan ojca. Gustaw Lindner, mimo że utracjusz i lekkoduch, miał miękkie serce. Szczególnie rozczulała go jego mała królowa i chociaż nie przeszkadzało mu to w powierzaniu doli całej rodziny kapryśnym rękom hazardowej wróżki, co wieczór kusząco unoszącej się pod szklaną kopułą kasyna przy Mickiewicza, nie umiał córce niczego odmówić. Jakimś więc cudem Szmonka została.

Na szczęście ojciec oprócz słabości do kart miał również głowę do interesów, odziedziczoną zapewne po pradziadku, pruskim junkrze, zatem chude czasy nigdy nie trwały zbyt długo. Owa kombinacja cech powodowała, że życie rodziny jawiło się jako niekończące pasmo spektakularnych wzlotów i równie efektownych upadków. Jednego dnia jechali do wód i jedli kawior, by następnego spoglądać ze zgrozą w czarno malującą się przyszłość.

Gustaw traktował te chwilowe przestoje w dobrej passie jak przystało na rasowego hazardzistę: uśmiechał się i oświadczał, że za kilka miesięcy znów będzie dobrze, lecz gdy następowały lata chude, tylko dzięki Mariannie, znającej na wylot swojego lekkomyślnego męża, mieli gdzie mieszkać i co jeść. Kiedy na świecie pojawiły się dzieci, posłała po rejenta i stanowczo zażądała, żeby przepisać na nią dom we Lwowie, na Żółkiewskim Przedmieściu. Zadbała również, by zaprzyjaźniony z Lindnerami mecenas Załucki zabezpieczył część majątku, na wypadek gdyby Gustawowi przyszło do głowy kolejny

raz pozbawić rodzinę wikt i opierunku.

Ojciec zgodził się bez szemrania. Kochał żonę i w domowym zaciszu chętnie poddawał się jej dyktatowi. W efekcie dobrze na tym wyszedł. Kiedy rodziły się dzieci, najpierw Jakub, potem Lilka, a na końcu mały Michaś, było pewne, że zawsze będą miały dach nad głową i pieniądze, bo zapobiegliwa mama skrzętnie je gromadziła, gdy ojcu dobrze szły interesy. A gdy było trzeba, bez żalu sprzedawała biżuterię, futra i inne dowody męzowskiej hojności, prosząc, żeby następnym razem obdarowywał ją wyłącznie złotem i diamentami jako najlepszą lokatą kapitału, a jednocześnie najłatwiejszą do ukrycia.

Mimo kryzysu, jaki ogarnął świat na początku lat trzydziestych dwudziestego wieku, w rodzinie Lindnerów trwały lata tłuste. Gustaw wszedł w spółkę z bogatymi przedsiębiorcami z Turcji i zajął się hodowlą koni czystej krwi arabskiej. Interes kręcił się jak złoto, stadniny powstawały jedna po drugiej, konie całymi stadami podążały na Bliski Wschód, a wracało stamtąd czyste złoto. Lilka była zachwycona, że co niedziela może dosiadać innego wierzchowca. Oczywiście z wyjątkiem Huragana. Zarówno ojciec, jak i Jakub, który miał rękę do koni, twierdzili zgodnie, że Huragan to diabeł wcielony w końskim wydaniu.

Jeszcze nigdy rodzinie tak dobrze się nie powodziło. Widmo biedy i niepewność jutra przestały straszyć po nocach, ich miejsce zajęły marzenia o realizowaniu tych wszystkich zamierzeń, na które do tej pory brakowało pieniędzy. Długodystansowo, dalekosiężnie. Mama już wybierała najlepsze uczelnie i rozglądała się za kamienicami wystawionymi na sprzedaż, by dzieci nie zaczynały dorosłego życia z pustymi rękami. Początkowo zamierzano sprzedać dom na Żółkiewskim Przedmieściu, by przenieść się do jakiejś bardziej reprezentacyjnej i eleganckiej dzielnicy Lwowa, ale w końcu pomysł został zarzucony. Zarówno mama, jak i ojciec lubili zieloną ciszę niskich domków położonych w cieniu góry Zamkowej, i mimo bliskości hałaśliwego i ordynarnego Zamarstynowa, postanowili nie pozbywać się kamienicy.

Ojciec, zajęty interesami, ograniczył do minimum wizyty w kasynie, a nawet gdy tam zaglądał, starał się trzymać z dala od wysokich licytacji. Od czasu do czasu widywano go jeszcze w łoży toru wyścigów konnych na Persenkówce, jednak twierdził uparcie, że to z powodów zawodowych i miłości do koni, nie do hazardu. Wychowany na wsi, kupił duży majątek w niewielkich podlwowskich Winniczkach i więcej czasu, szczególnie latem, rodzina spędzała właśnie tam.

Najszczęśliwszy z tego powodu był Jakub. Coraz rzadziej wracał z rodzicami do Lwowa, przedkładając wiejskie uroki nad pęd miejskiego życia. Całe dni spędzał w siodle lub pomagał chłopom w gospodarstwie. Razem z wieśniaczkami wyłapywał kury i kaczki, gdy opodal Winniczek rozbił obóz cygański tabor i wyciągał krowy z bagna, kiedy zabłądziły w drodze na pastwisko. Lubił rozrechetane odgłosy stawu za domem, a mroźnymi, zimowymi porankami wymykał się na tokowiska cietrzewi, żeby posłuchać ich czuhania i gulgotów.

Marzył, by jego przyszły folwark był nowoczesny, na miarę czasów. Z nowymi domami o większych oknach i podłogach zamiast klepiska, i z angielską kuchnią, którą można przykryć stalową płytą, a dym odprowadzać przewodem kominowym. Gospodarze zaczną posyłać dzieci do szkoły i nie będą się obawiać biedy na przednówku. Podczas wakacji w byłym zaborze pruskim widywał czyste, nowoczesne wsie, ozdobione ukwieconymi ogródkami, zamieszkałe przez coraz bardziej wykształconych, aktywnych społecznie chłopów, którzy poprzez liczne organizacje gospodarcze i kulturalne świadomie uczestniczyli w życiu publicznym. Mówili „teraz to nasze”, i robili wszystko, żeby owo „nasze” rozwijało się coraz lepiej i bardziej świadomie.

Pod tym względem Kresy prezentowały się raczej marnie. Ludzie na wsiach niejednokrotnie żyli w skrajnej biedzie, a pola uprawiali metodami swoich przodków. Kultura agrarna stała na bardzo niskim poziomie. Lata spędzone pod zaborem austriackim nie przyczyniły się do rozwoju rolnictwa. Życie

chłopów nadal wypełniała apatia i bezradność. Na maszyny i modernizację nie mieli ani pieniędzy, ani chęci. Brak wiedzy i świadomości powodował, że wiele małych gospodarstw rolnych prowadzono nieefektywnie. Galicja była krainą zabiedzoną, przeludnioną, bez przemysłu, komunikacji i handlu, a uwłaszczonych chłopów pozostawiono własnemu losowi. O ich położenie nie dbał ani rząd austriacki, ani tym bardziej dwór. Kiedy nadeszła wolność, sytuacja niewiele się poprawiła, choć gdzieś widać już było pierwsze jaskółki postępu. Niespełna dwudziestoletni Jakub zamierzał dokonać radykalnych zmian. Mieszkańcy Winniczek, zarówno Polacy, jak i Rusini, lubili go i traktowali jego zapał z wyrozumiałą pobłażliwością.

Mama początkowo protestowała, z czasem jednak pogodziła się z faktem, że jej najstarszy syn jest już dorosły i nic nie wskazuje na to, żeby chciał związać swoją przyszłość z intratnym zawodem bankiera, co po cichu jej się marzyło. Owszem, ukończył gimnazjum, zdał maturę z bardzo dobrym wynikiem, lecz o studiach już nie chciał słyszeć. Gustaw usprawiedliwiał go, choć w głębi ducha marzył, że syn po maturze zdecyduje się na szkołę podchorążych rezerwy we Włodzimierzu Wołyńskim lub w Grudziądzu. Tłumaczył wszakże małżonce, że lepiej, iż Jakub czuje pociąg do natury i pracy na roli, niżby miał całymi dniami przesiadywać u Szałabojdka, kiwając się smętnie nad kieliszkiem wódki.

W zeszłym miesiącu wpadł na któregoś z dawnych kolegów syna, niejakiego Spirydiona, i usłyszał od niego, że tamci co czwartek spotykają się w szynku i urządzają konkurs na najmocniejszą głowę oraz najbardziej wytrzymały pęcherz. Zwycięzcą zostaje ten, kto w ciągu godziny wypije najwięcej butelek Marcowego, nie korzystając z toalety, na ten czas komisyjnie zamykanej. Zawody nosiły dumną nazwę akademickich, jako że głównymi uczestnikami byli studenci, a zwycięzca otrzymywał tytuł Wielkiego Marcowego Akademika.

Mama co prawda wątpiła, żeby jedynym zajęciem studentów były wizyty u Szałabojdka, ale z biegiem czasu i ona zrozumiała, że Jakub po prostu kocha wieś.

Szczególnie wiosną i latem okolica była pełna uroku i tak różna od głośnego i zatłoczonego Lwowa: łagodne pagórki porośnięte gdzieś lasami, ciągnące się bez umiaru łąki poprzecinane migotliwymi wstążkami rzeczek i rwących strumieni. Za wsią rozciągały się żyzne czarnoziemy, tłuste i urodzajne, na których kręcili się chłopci, zapobiegliwym okiem doglądając młodych zbóż i zielonych rzędów ziemniaczanych naci ginących hen, na horyzoncie.

Początkowo Lilka była trochę zła. Nie chciała na dobre wynosić się na wieś, lubiła miasto i jego uroki. Nie wyobrażała sobie życia bez cotygodniowego seansu w „Muzie” albo „Marysieńce”, bez koncertów organizowanych przez Polskie Towarzystwo Muzyczne, bez kolorowych, gwarnych ulic, pełnych roześmianych ludzi albo bez tego przyjemnego podniecenia, gdy na placu przy Pełczyńskiej, naprzeciwko Cytadeli, rozbijał swój kolorowy namiot cyrk braci Staniewskich, a ona wraz z koleżankami od rana zajmowała kolejkę, by zdobyć bilet na jak najlepsze miejsce, oczywiście najbliższej areny.

Lubiła poranne odgłosy budzącego się Lwowa. Początkowo jakby nieśmiałe, pojedyncze, niesione przez echo po pustych zaułkach i placach, z każdą chwilą nabierały intensywności, żeby w końcu zaginąć w południowym brzęczeniu rojnego, ludzkiego ła. Nawoływania przekupek, brzęk butelek mleczarza i śpiewne zaciąganie handełesów odwiedzających podwórza kamienic. Do ostrzenia noży! Tani opa! Garnki drutuję, kości kupuję! Odgłosy z pobliskiej remizy tramwajowej, bicie zegara u bernardynów. W drodze do szkoły gonił ją stukot końskich kopyt, gdy podchmielony fiakier, bujając się sennie na kozle, zjeżdżał z nocnej zmiany, litościwie ciągnięty przez zmęczoną chabetę, na pamięć znającą drogę do domu.

Ogarniało ją wówczas uskrzydlające poczucie radości, że jest nieodłączną częścią tego miasta. Może drobną i jeszcze niewiele znaczącą, ale już to czuła, zrosniętą z nim na zawsze.

Od września miała zacząć ostatni rok nauki, kończący się tym, co już teraz śniło się po nocach jej i jej koleżankom z „Magdusi”, czyli gimnazjum Świętej Marii Magdaleny, mieszczącego się przy ulicy



Sapiehy. Zwłaszcza od czasu, gdy w „Chwili” zaczęto drukować w odcinkach dramatyczną powieść pod tytułem *Kurt Gelber zdał maturę*. Biegały po gazetę do trafiki za rogiem, a następnie z wypiekami na twarzy śledziły losy nieszczęsnego Kurta maturzysty, wyobrażając sobie, bliskie omdlenia, że już niedługo doświadczą tego samego.

Wszystkie uważały się za postępowe, nowoczesne i na dodatek ambitne młode kobiety i nie zamierzały wzorem swoich matek oraz babek oddawać się w mężowską opiekę i dyspozycję.

– Niedoczekanie! – oświadczyła kiedyś ruda i piegowata jak indycze jajo Janka Szymonowiczówna. – Sama będą decydować, na co wydaję pieniądze.

– Najpierw sama musisz je zarobić – zauważyła przytomnie Wanda Daszyńska. – A do tego, moje panienki, potrzebna nam matura, bez dwóch zdań, bo teraz najwyżej możemy stanąć na Korsie i śpiewać piosenki o Mańce Prysycz, licząc, że ktoś nam wrzuci grosik do kapelusza.

– Jeśli już, to co najmniej na Zamarstynowie. Albo jeszcze dalej – roześmiała się Janka. – Tam moja matka nie zagląda, a na Korsie co niedzielę razem z ojcem wydeptują szlaki. Zachwycona by raczej nie była...

Na Zamarstynowie nie bywał nikt, kto zaliczał się do tak zwanej lepszej sfery. Zamarstynów włączono do Lwowa dopiero niedawno i od razu zyskał sobie złą sławę. Dzielnica miała opinię siedliska robotniczej biedy i lumpenproletariatu, a więc miejsca zupełnie nieodpowiedniego dla młodych panienek z dobrych domów.

– Tak czy siak maturę trzeba mieć, nie ma innej możliwości.

Od wielu miesięcy wszystkie rozmowy kończyły się w podobny sposób.

Egzamin dojrzałości był patentem wielkiej wagi, przepustką do wyróżnionej grupy społecznej. Matura stała się modna, „ludzie z maturą” cieszyli się różnymi przywilejami, pozycją towarzyską i szansą na karierę w wybranej przez siebie dziedzinie. Dla Lilki i jej koleżanek z „Magdusi” matura była również swego rodzaju manifestem kobiecej emancypacji i obwieszczeniem świata, że zamierzają wziąć życie we własne ręce.

Jeszcze do niedawna mogłyby jedynie zgłębiać arkana haftów, uczyć się przyrządzania półgęsków oraz sprawnego zarządzania służbą, bo tego świat wymagał od dobrej pani domu.

Mama kiedyś po cichu marzyła, że Lilka skończy tę samą pensję dla dziewcząt – u sióstr sakramentek – na którą ona uczęszczała w latach młodości i wspominała z wielkim sentymentem przy każdej okazji. Wykładano tam głównie przedmioty odpowiednie dla młodych panienek oraz takie, które mogły się przydać przyszłym matkom Polkom. Przesadne wykształcenie uważano nie tylko za niepotrzebne, jako że dziewczęta i tak nie miały nigdy pracować, ale wręcz za szkodliwe. Panna zbyt wykształcona i wymądrzająca się na salonach mogła zyskać opinię emancypantki, co odstraszało kandydatów do małżeństwa.

Uczono więc historii Polski, szczególny nacisk kładąc na postawy patriotyczne, biologii, oczywiście w okrojonym zakresie ze względu na przyzwoitość, podstaw matematyki i, rzecz jasna, języka francuskiego, który każda należąca do wykształconej panny z dobrego domu powinna znać. Posługiwano się nim w wyższych sferach i znalezienie się tam bez biegłej jego znajomości było niemożliwe. Oprócz francuskiego za niezwykle istotny element wykształcenia panny uważano grę na fortepianie.

Biedna mama! Ten element edukacji wspominała niechętnie, jako nieprzerwane pasmo upokorzeń. Niestety, Bóg nie obdarzył jej ani słuchem, ani talentem muzycznym, więc godzinami, z zaciśniętymi zębami i łzami w oczach, bębniła w fortepian, ćwicząc gamy i wprawki, katując tym samym siebie i domowników, a później także gości, gdyż nieuniknionym elementem każdego przyjęcia był popis artystyczny młodej panienki, którym przybyli mieli obowiązek należycie się zachwycić. Na szczęście dla Lilki, również nieposiadającej słuchu muzycznego, za to często prezentującej własne zdanie, siostry

sakramentki zamknęły pensję, zanim dziewczynka doszła do wieku szkolnego.

W „Magdusi” ostał się jeszcze pewien relikw minionej epoki, czyli przedmiot zwany w skrócie elegancją. Uczennice traktowały go raczej jak przeżytek, zabawne kuriozum.

– Czy ja jestem gorsza od mężczyzny, że nie wolno mi w towarzystwie założyć nogi na nogę? – oburzała się Lilka. – I dlaczego jak z kimś rozmawiam, mam skromnie spuszczać oczy? Nawet moja babcia była bardziej postępową niż panna Duszenko! Czy ona nie zauważyła, że czasy się zmieniły i świat wygląda inaczej niż w latach jej młodości? Sufrażystki już dwadzieścia lat temu walczyły o równouprawnienie, a ta mi każe oczy spuszczać!

Mówiło się, że dyrektor z litości, a może z sentymentu, zatrzymał pannę Duszenko na posadzie, choć osiągnęła już wiek pozwalający jej udać się na zasłużony odpoczynek. „Magdusia” była jej całym życiem, tu spędziła swoją młodość i późniejsze lata, najpierw jako uczennica, potem nauczycielka. Chodziły słuchy, że jej narzeczony zginął w wielkiej wojnie zaraz po tym, jak poprosił o jej rękę, i od tamtego czasu nie przestała go opłakiwać.

Chuda, niemal przezroczysta, w niemodnej, czarnej sukni, snuła się korytarzami wpatrzona w dal, owinięta kilometrami tiulowych czarnych szali. Zdawała się wiecznie zamyślona i jakby nieobecna. Zagadnięta, najpierw przystawała, obrzucając rozmówcę niewidzącym spojrzeniem, i dopiero po chwili w jej oczach pojawiały się przytomniejsze błyski. Nieodmiennie sprawiała wrażenie, jakby właśnie powróciła z zaświatów.

Dziewczęta uwielbiały płatać jej figle. Gdy się zorientowały, że starsza dama, delikatnie mówiąc, nie jest entuzjastką nowoczesnej Wesołej Lwowskiej Fali, Marysia Szczurko, zwana powszechnie Szczurkiem, bardziej z powodu wyglądu niż nazwiska, przyniosła gramofon na wystawę zorganizowaną w szkolnej świetlicy i poprosiła pannę Duszenko, żeby po lekcjach pokazała im kroki walca wiedeńskiego. Nauczycielka ożywiła się nieco i nawet nabrała rumieńców. Była szczęśliwa, że dziewczęta przestały wreszcie rozmawiać o jazzie i charlestonie i zapragnęły poznać taniec, który powinna umieć tańczyć każda dama.

Szczurek już czekała. Kiedy panna Duszenko w swoich zwiewnych, czarnych szatach niemal wpłynęła do świetlicy, z gramofonu popłynął lwowski bałak dwóch batiarów: Szczepcia i Tońcia. Panna Duszenko najpierw złapała się za gors, otwierając i zamykając usta jak ryba wyrzucona na brzeg, a następnie zrobiła uczennicom długi wykład o kulturze ulicy, a raczej jej braku.

Skończyło się na tym, że dyrektor ukarał dziewczęta i przez kolejny miesiąc nie urządzano wystaw, a panna Duszenko, chociaż pozwoliła się w końcu przeprosić, przez dłuższy czas patrzyła na swoje podopieczne z bolesnym wyrzutem w oczach.

W ciszy zimowego lasu rzenie Szmonki poniosło się echem nad drzewami. Lilka porzuciła rozmyślenia i uniosła głowę. Sanie z rodzicami zostały nieco w tyle. Widocznie gdy ona błędziła po zakamarkach swego umysłu, Szmonka postanowiła pokazać, co potrafi. Czasem jej się to zdarzało, ale nie robiło na Lilce większego wrażenia. Już dawno pogodziła się z faktem, że konia wyścigowego z niej nie będzie.

– I gdzie gonisz? – mruknęła, ciasniej owijając się chustą. Styczniowy poranek był rzeński, ale mroźny. – Jeszcze kawał drogi, lepiej oszczędzaj siły, potem znów przez tydzień będziesz nie do życia.

Z tyłu dobiegło wołanie mamy. Lilka zawróciła i zrównała się z saniami.

Ojciec niedawno kupił auto i był z niego niezmiernie dumny. Piękny mercedes-benz 320D lśnił niklem i czerwienią, ale zimą, gdy zjeżdżali na wieś, wygodniej było korzystać z sań. Zwłaszcza gdy wybierali się w odwiedziny do wujostwa do Sosnówki. Droga prowadziła przez ośnieżony las i jedynie powóz, przerobiony na sanie przez pomysłowego Jakuba, dawał radę śnieżnym zaspom.

– Kochanie, nie oddalaj się tak. – Mama uśmiechnęła się do Lilki i poprawiła bezkształtny tobołek

owinięty w futra i koce, który na co dzień był jej najmłodszym synkiem Michasiem. – Stary Kuryłło mówił, że w tych lasach zimą pojawiają się watahy wilków, lepiej trzymajmy się razem.

– Ależ moja droga, jesteśmy zaledwie kilka kilometrów od Lwowa – odparł ojciec. – Stary bajdurzy, co mu ślina na język przyniesie, a ty to łykasz jak kura ziarno! – Roześmiał się zadowolony z trafnego porównania.

Żona czasami naprawdę przypominała mu kurę; nieco nerwowa i energiczna, jak kwoka trzęsła się nad swoją rodziną. Najbardziej nad małym Michasiem, choć i dorosłego Jakuba nie omijała nieco uciążliwa matczyzna troska. Mimo nadpobudliwości Marianna Lindnerowa miała również skłonności do melancholii. Bywały dni, gdy zaszywała się w swojej sypialni, w której stał niewielki regał z oprawionymi w skórę dziełami Schillera, Goethego, Balzaka, a przede wszystkim jej ukochanego Stendhala i przez długie godziny czytała francuskich klasyków, tęskniąc za Paryżem i podróżami.

Przy tym wszystkim potrafiła być operatywna i zapobiegliwa. Kiedy wstępował w nią duch działania, z energią zabierała się do plewienia ogrodu, smażenia powideł i wietrzenia pościeli albo dyrygowała służbą, jeśli akurat ją mieli, aż furczało.

Nawet wyglądem nieco przypominała kurę, co na szczęście nie ujmowało jej urody, a wręcz dodawało swoistego uroku. Miała małą zgrabną główkę osadzoną na smukłej szyi i niedużą, trójkątną twarz z nosem trochę zbyt ostro zakończonym i uroczymi dołeczkami w policzkach. Dołeczki odziedziczyła po niej Lilka, która oprócz tego dostała w spadku również piękne brwi, ciemne jak skrzydła jaskółki, kontrastujące z jasnymi, popielatymi włosami, identycznymi w odcieniu jak włosy mamy. Marianna Lindnerowa pomimo trzech ciąż wciąż była szczupłą, a figury mogłaby jej pozazdrościć niejedna młoda panna.

Gustaw nieodmiennie odczuwał dumę, gdy towarzyszyła mu na spotkaniach z kontrahentami czy oficjalnych przyjęciach. Na tle innych żon wypadała nad wyraz korzystnie. Z czasem przyzwyczał się nawet do jej oszczędnego i skromnego sposobu ubierania się i zaczął doceniać klasę, którą prezentowała. W prostej sukni ozdobionej jedynie sznurem pereł i białą różą przy dekolcie wyglądała oszałamiająco, przyciągając zachwycone spojrzenia panów i budząc zazdrość ich żon.

– Ja to bym chciał spotkać wilka – doleciało z tobołka. – Mamo, mogę jechać z Lilusią? Mamo, proszę, jestem już duży!

– Duży jak łąb kurzy! – zażartował ojciec. Widać nie dane mu było odczepić się dziś od kur.

– Nie gadaj tyle! – Mama ofuknęła Michasia, naciągając mu czapkę głębiej na oczy. – Mówiłam, żebyś oddychał przez nos. Jeszcze zapalenie gardła mi potrzebne.

– Oddycham przez nos! – oburzył się malec. – Nie wciskaj mi tak tej czapki, przecież przez oczy nie oddycham.

– Michał! Jak ty się zwracasz do matki! – skarcił go ojciec.

W głębi duszy poczuł jednak dumę z synka: taki malec, a już potrafi walczyć o swoje!

Gustaw Lindner był dumny z całej swojej rodziny. Kochał ich wszystkich ogromnie, choć nie zawsze umiał to okazywać. Miał szczęście, że trafiła mu się taka mądra, wyrozumiała żona, która wiedziała, że w każdym mężczyźnie, niezależnie od wieku, jest coś z małego chłopca, a szczęście małżeńskiego stadła w dużej mierze zależy od tego, czy będzie się owego chłopca tolerować i przymykać oko na jego wybryki, czy też bezdusznie zażąda, by dorósł.

Marianna, wyposażona w geny swoich prababek, tolerowała męzowskie wybryki i Gustaw nieba by jej przychylił, nawet jeśli tu, na ziemi, nie zawsze zachowywał się jak wzorowy małżonek.

Na szczęście już mu przeszła złość. Zamierzał w inny sposób świętować koniec roku, ale Marianna uparła się, żeby jechać całą rodziną do Sosnowki, majątku swojej starszej siostry Elizy i jej męża. Zaproszenie czekało już od połowy listopada, ale wcześniej Gustaw zawsze miał jakąś wymówkę: a to

interesy, a to konie trzeba było odstawić albo podjąć wykwintną kolacją w hotelu „George” nowego wspólnika w interesach, co niechybnie zakończyło się wizytą w pobliskim kasynie.

Tym razem jednak Marianna się uparła, a że czyniła to niezmiernie rzadko, Gustaw wolał nie przeciągać struny, zwłaszcza że obawiał się, iż ktoś w końcu doniesie małżonce, że podczas wizyty w kasynie panom towarzyszyły damy, których nie przyjmowało się w towarzystwie.

Początkowo Lilka również była niechętna wyprawie. Wujostwo Strońscy nie mieli dzieci, mieszkali w leśnej głuszy, ponieważ wuj był leśniczym, bała się więc, że zanudzi się u nich na śmierć. Marianna jednak nie chciała słyszeć, żeby córka została sama w domu. Nie pomogło tłumaczenie, że nie będzie sama, tylko z panią Helenką – kucharką – i starym koniuszym Kuryłłą, a kilka domów dalej, we wsi, mieszka ogrodnik i kowal Antoni, obsługujący stadninę w Winnikach.

– Ani kowal, ani ogrodnik nie są odpowiednim towarzystwem dla młodej panienki – oświadczyła mama krótko, tym samym ucinając dalszą dyskusję.

Do tej pory nie miała nic przeciwko ogrodnikowi ani kowalowi, lecz skoro teraz użyła tego argumentu, Lilka zrozumiała, że nie ma szans. W duchu pożegnała się ze spotkaniem z koleżankami, westchnęła ciężko i poszła spakować podręczniki szkolne. Mimo że trwały ferie świąteczne, postanowiła, że skoro na kilka dni zostanie odcięta od cywilizacji i pozbawiona rozrywek, to chociaż pożytecznie spędzi ten czas.

Ale gdy Jakub szepnął jej do ucha, żeby się nie martwiła, bo razem z wujem zaplanowali moc atrakcji: kulig z pochodniami, ognisko, a nawet pokaz z kinematografu – humor jej się poprawił. Zwłaszcza kiedy się dowiedziała, że wujostwo zaprosili również rodziców Olgi Niementowskiej, a tak się składało, że Olga była jedną z ulubionych koleżanek Lilki ze szkoły. Mama Olgi, Leokadia Niementowska, była rodzoną siostrą wuja Strońskiego, a tym samym przyszywaną ciotką trójki rodzeństwa Lindnerów.

Wbrew wcześniejszym obawom Lilka bawiła się doskonale. Podczas kuligu jechała w jednych saniach z Olgą. Otulone ciepłymi futrami zachłannie chłoniły atmosferę ciemnego, nocnego lasu i rozgwieżdżonego nieba. Było w tym coś dekadentckiego. Coś, co pachniało spirytyzmem i kuszącym życiem cyganerii.

– Mogłabym tak jechać w nieskończoność, bez celu. Noce pod gwiazdami, obozowiska na polanach. Taniec, śpiew i miłość – rozmarzyła się Olga, szeroko rozkładając ręce, jakby w nadziei, że od samego mówienia wyrosną jej skrzydła i wyfrunie z sań.

– Już to widzę, szybko by ci tyłek przemarzł – roześmiała się bardziej pragmatyczna Lilka. Jednak i ona dała się ponieść nastrojowi.

Dwie pary sań wesoło sunęły zaśnieżoną drogą, oświetlone księżycem i ciepłą łuną pochodni umocowanych z boku. Gdzieś z przodu, przed nimi, Jakub z wujem Strońskim nawoływali się ze śmiechem, a mroźne powietrze niesło echa głosów. Spod kopyt rozpryskiwał się na boki śnieg. Zewsząd dobiegały dźwięki dzwonek i parskanie koni. Ojciec, w baranicy i futrzanej czapie z lisich ogonów, jak zawsze elegancki, siedział na koźle i powoził z zapalem.

– Jak tam, panienki?! – Odwrócił się do dziewcząt. – Nie zmarzłyście? Jeszcze jedno okrążenie i wracamy! W domu czeka ciepła kolacja i grzaniec. Ech, ty, życie! Piękne jesteś! – wyrwało mu się na koniec.

Córka uśmiechnęła się do niego z czułością. Mama to mama, wiadomo, ale Lilka najbardziej na świecie kochała ojca. Była dumna, że jest tak różny od ojców jej koleżanek: szarmancki, wysoki, przystojny, a przy tym pełen fantazji i zawsze skory do zabawy. Choć skończył już czterdzieści pięć lat, w niczym nie przypominał szacownych, łysiejących panów z brzuskami, których spotykała, gdy zdarzało jej się odwiedzać koleżanki. Miał nienaganną, wysportowaną sylwetkę, a konno jeździł lepiej niż niejeden ułan.

Gdy czasem zabierał ją na pączki do cukierni Zalewskiego na Akademicką albo do jej ulubionej



„Szkockiej” na bitą śmietaną z czekoladą, była dumna jak paw. Mimo że miała dopiero szesnaście lat, Gustaw traktował ją z atencją, jak damę: podsuwał krzesło, odwieszał palto i adorował jak prawdziwą, dorosłą kobietę. Lilka nieraz chwyciła przelotne spojrzenia pań i jeszcze bardziej puchła z dumy, że ma takiego ojca.

Jadzia Cwinarska i Marysia Szczurko utrzymywały nawet, że jest podobny do Aleksandra Żabczyńskiego, w którym kochała się cała żeńska społeczność „Magdusi”. Lilka i Olga aż trzy razy były w kinie na *Pani minister tańczy*, a w tym roku szykowały się na nowy film z jego udziałem. Plakaty na wszystkich lwowskich słupach krzyczały o tym od tygodni.

– On jest taki cudny! – jęczały dziewczęta, pokrywając soczystymi pocałunkami fotosy z filmów.

Wzdychały do Żabczyńskiego prawie wszystkie koleżanki z klasy Lilki, oprócz Janki Szymonowiczówny, Marysi Baczyńskiej i Niny Dejnisi. One wołały Eugeniusza Bodo. Na pauzach bez przerwy przerzucały się argumentami, przy czym zwykle wygrywała frakcja Bodo, bo mimo że mniej liczna, była bardziej wygadana.

– Do pioruna! – wyrwało się naraz Lilce. Szmonka zastrzygła uszami.

– Lilianno! – skarciła ją natychmiast mama. Mimo znacznej odległości czujne ucho rodzicielki wyłowiło niestosowne słowo.

– Przepraszam. – Lilka podjechała bliżej. – Zapomniałam podręcznika do literatury. Tato, muszę wrócić do Sosnowki. W poniedziałek będzie klasówka z całego romantyzmu i oświecenia, a ja nic nie wiem, wszystko mi się pomieszało. Miałam się uczyć, ale... Sam rozumiesz, Olga i w ogóle... – dukała.

Nie zamierzała się przyznawać, że zamiast zakuwać do sprawdzianu, wołały z Olgą ze szczegółami omawiać walory aktora Żabczyńskiego, a także znajomych chłopców, w szczególności zaś Oresta Bondera.

– Pani Jałowowa już mi nie przepuści... Na ostatnich zajęciach nie miałam kajetu...

– A to dlaczego? – zainteresował się ojciec.

Nie miał jednak szansy usłyszeć odpowiedzi, bo mama zaprotestowała przeciwko samotnej eskapadzie córki.

– Mowy nie ma, ojciec z tobą pojedzie – oświadczyła stanowczo.

– A ty, kochanie, będziesz sama powoziła? Eksplozja bywa wybuchowa, nomen omen. Nie bez kozery nosi to imię.

Eksplozja – jego ulubiona klacz – nie była koniem pociągowym, ale czasem zaprzęgano ją do sań. Ojciec utrzymywał, że bardzo to lubiła.

– To później można pojechać autem. Niech się na coś przyda. – Mama nie dawała za wygraną.

– Auto nie pokona tych zasp. Daj spokój, przecież to zaledwie kilka kilometrów. Jest ranek, drogę zna na pamięć, a z powrotem pojedzie z nią Jakub. Miał wracać po południu, więc najwyżej na niego zaczeka. – Ojciec nieoczekiwanie ujął się za córką. – Lilka nie jest już dzieckiem, w siodle trzyma się lepiej niż ja. A Szmonka nie Huragan.

– Chwała Bogu, do niej mam większe zaufanie niż do własnej córki – mruknęła mama i więcej już się nie odezwała.

Jednak gdy Lilka zniknęła za zakrętem, nie wytrzymała.

– I niech ci nie przyjdzie do głowy drogi skracać! Masz objechać jezioro! – krzyknęła jeszcze.

Ostatnich słów Lilka już nie słyszała. Puściła się galopem, nie czekając, aż rodzice zmienią zdanie.

Zima roku tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego zapisała się w pamięci ludzi jako mroźna i śnieżna. Przyszła niespodziewanie już w początkach listopada. W Dzień Zaduszny spadł śnieg i nie stopniał aż do stycznia. Zasypało całe Podole i Roztocze; otuliło bielą i skuło mrozem na kilka miesięcy,

zamieniając wszystko w bajkowy krajobraz.

Dla wielu nie stanowiło to powodu do radości. Długa zima, zwłaszcza na zagubionej w lasach, ubogiej wsi, była trudna do przeżycia. Przednówek zabierał ze sobą wiele istot. Zdychały z głodu zwierzęta, a zdarzało się, że słabe i chore niemowlęta, powitawszy świat zimową porą, nie doczekały wiosny.

Jasną stronę mrozów dostrzegali jedynie mieszkańcy nizinnego, płaskiego i podmokłego Pobuża. Tylko wtedy wszystkie drogi i trakty, utwardzone mrozem, stawały się przejezdne. W pozostałych miesiącach tonęły w rozmokłym błocie, zamieniając się w grzęzawiska, i utrudniały życie podróżnym zmierzającym do Lwowa na zakupy bądź w interesach.

Lilka z przyjemnością zaciągnęła się mroźnym powietrzem. Z chrap Szmonki szła para. Klacz początkowo wydawała się zdziwiona, że zawracają, ale po chwili pogodziła się z losem i posłusznie poddała woli pani.

Okolica wyglądała jak zaczarowana. Świerki, nabrzmiałe śniegiem, powieszały gałęzie, tworząc tajemne leśne labirynty. Między nimi wiły się tropy zwierząt. Szeroki trakt ciągnął się nieprzerwanie kilkaset metrów, aż po horyzont zalany ostrym światłem poranka.

Powietrze stało przejrzyste, pełne rześkich aromatów i ostrych, nasyconych kolorów. Wyostrzyły się kontury drzew. Świty w tych stronach malowane były zimnymi barwami. Choćby nie wiem jak się starać, wczesnym rankiem próżno by szukać bursztynowych żółci czy ciepłych, miodowych brązów. Dominowała nagle, porażająca biel i skrzący się błękit, od którego bolały oczy. Wyprane z koloru słońce dopiero późnym popołudniem nabierało czerwonych, pogodnych rumieńców, obdarzając świat ciepłem zgaszonych barw.

Lilka musiała mrużyć oczy. Jechała prosto w migotliwy poblask i ogarnęło ją z tego powodu narastające podniecenie.

Cudowne wrażenie wolności, samotna pustka, nieprzebrana przestrzeń lasu i poczucie beztroskiej młodości podziały na nią jak narkotyki. Była dorosła, a przynajmniej tak się czuła. W dawnych czasach kobiety w jej wieku rodziły dzieci, zakładały rodziny i nikt się nie zastanawiał, czy nie są za młode na samotne przejażdżki po lesie. Troskliwość i nadmierna opiekuńczość mamy nieco jej ciążyła. Za rok zda maturę, pójdzie na studia. Może wyjedzie do Warszawy... Będzie żyła całą pełnią, robiła mnóstwo ciekawych rzeczy i cieszyła się wolnością.

Myśli na powrót pobiegły do Truskawca.

Po ostatnich wakacjach nie było szans, by rodzice ponownie dali się namówić na odpoczynek w lubianym dotąd uzdrowisku. Do mamy, zakochanej w tej miejscowości, przestał nawet przemawiać argument, że sam Piłsudski lubił spędzać tam wakacje. Zupełnie nieoczekiwanie Marianna przypomniała sobie, że to właśnie w Truskawcu, całkiem niedawno, zamachowcy z OUN zastrzelili Tadeusza Hołówkę, jednego z głównych architektów linii porozumienia z Ukraińcami. W jednej chwili Bogu ducha winny, spokojny kurort stał się dla niej siedliskiem reakcyjnego podziemia, wywrotowych elementów i wszelkiej innej zarazy.

Lilka jednak dobrze wiedziała, że nie chodzi o żaden zamach, a mama nagle nie zaczęła się bać ukraińskich bojówek. Zagadnięty na lekcji historii profesor Broniewski wyjaśnił, że do zabójstwa doszło siedem lat temu. Tak naprawdę mama bała się o nią i jej wakacyjne fascynacje. Pewnego razu Lilka zupełnie przypadkiem podsłuchiwała, jak mówiła do ojca, że nie pozwoli, aby nieodpowiedzialny młokos o lewackich poglądach znowu zawracał głowę jej córce.

Dziewczyna zmarszczyła brwi. Wiktor Kozicki wcale nie był nieodpowiedzialny. Wiktor, choć od niej starszy jedynie o dwa lata, wydawał się stokroć bardziej dojrzały. Mieszkał z rodzicami w stolicy, studiował na Uniwersytecie Warszawskim, pisał wiersze i opowiadania. Mimo młodego wieku już zdobył uznanie, jego utwory drukowano w „Wiadomościach Literackich”, a także w „Prosto z mostu”.

Najbardziej był jednak dumny z nagrody Polskiego Klubu Literackiego. Z niedbałą nonszalancją pokazał Lilce umowę z warszawskim wydawnictwem na publikację swojego najnowszego zbioru opowiadań. Należał do Wolnego Harcerstwa i głowę miał pełną wyobrażeń o idealnym świecie.

W ciągu tego miesiąca, który spędzili razem, zdążył zarazić ją entuzjazmem do rzeczy i idei, o których istnieniu dotąd nie miała zielonego pojęcia. Wieczory były duszne i parne od natłoku emocji. W powietrzu strzelały iskry, a strumienie energii naładowanej młodzieńczymi zachwytemi przepływały pomiędzy nimi, niemal widoczne i gotowe się zmaterializować, gdyby któreś odważyło się na głos wyjawić, co skryte było w sercu. Zamiast tego siadywali wieczorami na tarasie pensjonatu „Kryształowy Pałac”, w milczeniu podziwiając niknącą w zmierzchu panoramę Gorganów.

Wiktor często z zapałem mówił o konieczności odnowy harcerstwa, przywrócenia mu charakteru ruchu.

– Nie może być tak – tłumaczył jej kiedyś – żeby harcerstwo było zbiurokratyzowaną organizacją, duszną od nadętych działaczy w mundurach, którzy za nic mają problemy biednych. Ich nie obchodzi, że dzieci robotników nie mogą chodzić do szkoły! Że nie potrafią czytać, nie mają na buty. Oni takich brudnych i zawszonych dzieci nie chcą mieć w swojej pięknej organizacji, bo jeszcze, nie daj Bóg, popsują im etos inteligenta. Wolą nie widzieć problemów zaniedbanej wiejskiej młodzieży. Ich harcerstwo to elitarny dogmatyzm! Czas z tym skończyć! Przywłaszczyli sobie wzniosłe idee i zamykają je w mundurach albo klerykalnych sutannach. Skostniałe formy tylko przysyłają treść, krępują indywidualność. Naszym obowiązkiem jest pomóc tym, którzy pomocy wymagają, bo nie mieli tyle szczęścia co my, żeby urodzić się w lepszych warunkach. Trzeba o tym mówić, trzeba pisać! To obowiązek każdego świadomego obywatela!

Lilka słuchała jak urzeczona. W głosie Wiktora było tyle żaru, tyle zapału! Pięknie dobierał słowa, z nieprawdopodobną pasją wtajemniczał ją w swój świat ideowych poszukiwań, literackich wyzwania, młodzieńczego zaangażowania i niczym nieograniczonej wyobraźni.

Ciepły blask lamp z hotelowej restauracji padał na czoło chłopaka; wyraźnie widziała pionową zmarszczkę między gęstymi brwiami, niestety, oczy pozostawały w mroku. Mimo to potrafiła sobie wyobrazić, jak płoną i mieniają się wszystkimi odcieniami zieleni. Mogłaby tak siedzieć całą wieczność. Modliła się w duchu, żeby mama nie zawołała jej na kolację.

– Braterstwo skautowe będzie pierwszym krokiem ku braterstwu ludzkości! – dodał Wiktor, biorąc ją za rękę. Był tak pochłonięty swoim wywodem, że nie miała pewności, czy zrobił to świadomie.

Znad odległych gór nadleciał wiatr, niosąc ze sobą upajające aromaty ziemi i czegoś nowego, nieuchwytnego i trudnego do nazwania, a jednocześnie niepokojąco intrygującego. Zapowiedź następnych dni, przyszytych emocji, niezaznanych jeszcze wzruszeń. Lilka poczuła niespodziewany dreszcz, niczym wyładowanie elektryczne przeszywający jej ciało.

Wiktor był tak różny od jej kolegów, którzy tylko głupstwa mieli w głowie. Nawet Orest Bonder, przystojny student, do którego wzdychała połowa jej koleżanek, wypadał przy nim blade. Odczytany, mądry, patrzący dalej i widzący więcej – to był cały Wiktor. Tak pięknie potrafił opowiadać o prawdzie, braterstwie i równości, że Lilka, słuchając go, zapragnęła dokonać czegoś wzniosłego i wielkiego.

To właśnie w tamtej chwili uświadomiła sobie, jak puste i nic niewarte jest jej wygodne życie. Gdyby przynajmniej ojciec znowu przegrał cały majątek... Mogłaby rzucić szkołę i iść do pracy, żeby pomóc utrzymać rodzinę. Niestety, ostatnio interesy szły mu nadzwyczaj dobrze i w najbliższym czasie nie zanosilo się na bankructwo.

Nawet nie zauważyła, kiedy las się skończył. Szmonka musiała już być mocno zmęczona i coraz mniej pewnie stawiała nogi. Lilka czuła, że powinna ją oszczędzać, ale chciała jak najszybciej znaleźć się z powrotem w Winniczkach. Jeszcze dziś mieli wrócić do Lwowa i liczyła, że uda jej się wyrwać na spotkanie z Marysią Baczyńską, która święta i sylwestra spędziła z rodzicami w Warszawie. Marysia

miała przywieźć list od Wiktora, ten wyśniony, wyczekany. Lilka już się nie mogła doczekać. Na samą myśl drżały jej ręce i dostawała wypieków.

Wiktor nie mógł pisać bezpośrednio do niej. Zarówno mama, jak i ojciec nie życzyli sobie, aby ich córka kontynuowała tę znajomość. Pozostały więc jedynie potajemne wiadomości przysyłane do Marysi Baczyńskiej, dzięki czemu Lilka czuła się jak bohaterka romantycznych powieści, a konspiracja tylko dodawała smaku całej sprawie. Jako nadawcę Wiktor podawał Krzysztofa, stryjecznego brata Marysi. Jej rodzice mogli trochę się dziwić, że córka zapałała nagłą sympatią do introwertycznego kuzyna, za którym do tej pory nie przepadała, lecz oczywiście nie mieli nic przeciwko ożywionej niespodziewanie korespondencji.

Wiatr zupełnie ucichł, mroźne powietrze szczypało w policzki i sklejało dziurki w nosie przy każdym oddechu. Szmonka szła coraz wolniej i coraz bardziej dyszała. Skóra jej parowała. Lilka wsunęła dłoń pod siodło i wyczuła wilgoć. Przy tej temperaturze było wielce prawdopodobne, iż stara klacz nabawi się w końcu jakiejś choroby, co w jej wieku mogło się okazać niebezpieczne.

– Szmoneczko, jeszcze trochę, już niedaleko – szepnęła, nachylając się nad nią i całując ją w ucho. – Zostawię cię w Sosnowce, odpoczniesz sobie, a jutro poproszę Antoniego, żeby cię przyprowadził. Jeszcze trochę, dasz radę.

Klacz w odpowiedzi zarżała i zastrzygła uszami, jakby rozumiała.

– Pojedziemy przez jezioro – zdecydowała Lilka. – Będzie o wiele szybciej. Wuj Andrzej mówił, że jest skute od wielu tygodni... Spokojnie, damy radę, a ty się tak nie zmęczysz.

Na horyzoncie zamajaczyła rozświetlona, bezkresna tafla. Nieskazitelną biel zakłócały jedynie czarne szczątki tataraku i trzciny w ciągu lata bujnie porastających brzegi.

Jezioro miało kształt rynny. Wyrastało w poprzek wprost na drodze biegnącej od lasu, zmuszając ją do rozwidlenia, a wędrowca do nadłożenia dobrych kilku kilometrów. Podróżni zazwyczaj w pokorze godzili się z ową niedogodnością i mało kto próbował zimą przeprawić się na skrót.

Otchłań zaczynała się niespodziewanie, jak nożem uciął, bez łagodnych brzegów stopniowo przechodzących w głębię. Jezioro było jak nagła szczelina ziemi, zdradliwe pęknięcie wypełnione wodą. Mówiono, że na jego dnie przez okrągły rok pulsują gorące źródła, tworząc śmiertelne wiry, i nawet latem kąpiel stanowiła ryzyko. Ponoć błotniste dno pochłonęło już niejedno ludzkie istnienie. Wśród miejscowych krążyły legendy, że gdy brzegi jeziora zbliżą się do siebie i pęknięcie się zrośnie, zalewając wodą wszystkie okoliczne sioła, nadejdzie dzień Sądu Ostatecznego.

Szmonka zawahała się przed wejściem na gładką taflę. Zarżała niespokojnie, zastrzygła uszami i kilka razy okręciła się w miejscu, nerwowo przebierając nogami.

Lilka westchnęła z rezygnacją. Aby uspokoić konia, zeskoczyła z siodła i pewnie stanęła na lodzie.

– Gruby i mocny, widzisz? – oświadczyła z wyrzutem. Podskoczyła wysoko i z przytupem wylądowała na zamrożonej powierzchni. – Chyba nie myślisz, że narażałabym cię na niebezpieczeństwo. Jeśli lepiej się poczujesz, to proszę! – Przytargała spory kamień i wzięła zamach. Kamień poleciał łukiem i z głuchym łoskotem wylądował kilka metrów dalej, nawet nie zadrasnawszy lodu.

Do przejechania miały zaledwie kilkaset metrów. Klacz szła niespokojnie, rozważnie stawiając kopyta, jakby wiedziała, że pod warstwą śniegu czai się zdradliwa śliskość.

Kiedy były już prawie na drugim brzegu, nagle coś się zmieniło. Ze starej, pochyłej wierzby poderwało się stado ptaków i z głośnym krakaniem odleciało na północ.

Odgłos ledwie słyszalnych zgrzytów wypełnił powstałą nagle ciszę. Echo huku i trzasków, jakby z daleka nadciągała burza, po chwili zamieniło się w przeciągłe skrzypienie starych drzwi. Jak gdyby cała energia wszechświata skumulowała się w tym właśnie miejscu i szukała dogodnego momentu, by pokazać, co potrafi.



Szmonka zastrzygła uszami i przystanąła. Zadrżała. Lilka rozejrzała się nerwowo, ale niebo było przejrzyste, bez śladu choćby najmniejszej chmury. Jedynie na horyzoncie świetlistą biel zmąciła mglista szarość. Spięła konia, zmuszając go do pójścia naprzód. Szmonka ruszyła posłusznie i w tym samym momencie pod jej kopytami zapadł się lód. Przeżona klacz straciła oparcie dla tylnych nóg, ale nim runęła do wody, jeszcze próbowała się odbić, rżąc przeraźliwie i bijąc kopytami w rozjeżdżające się tafle.

Podczas tej szamotaniny Lilka wyleciała z siodła. Upadła na plecy z takim impetem, że na chwilę zabrakło jej tchu, a przed oczami zobaczyła ciemność. Jęcząc i przytrzymując się jakiegoś przymarzniałego konara, częściowo wystającego spod lodu, z wysiłkiem zdołała przewrócić się na brzuch.

Otworzyła oczy. Pęknięcia z cichym trzaskiem podpełzały ku niej jak ciemne, wijące się zdradliwie węże. Wystraszona i mokra, leżała na dużej krze, z całej siły ściskając kawałek drewna, i z przerażeniem patrzyła, jak Szmonka walczy o życie w czarnej kipieli.

Klacz rozpaczliwie waliła kopytami, jednak przy każdym uderzeniu lód łamał się albo odsuwał. Kopyta nie znajdowały oparcia, więc raz po raz zanurzała się z głową w lodowatym jeziorze. Rżała i parskła rozdzierająco, rozbryzgując wodę, ale w ten sposób tylko pogarszała sytuację. Za którymś razem się zachłusnęła.

Zdesperowana Lilka usiłowała doczołgać się do niej w bezrozumnej nadziei, że może uda się chwycić klacz za uzdę. W głębi duszy zdawała sobie sprawę, że nawet wówczas nie miałyby dość sił, by ją wyciągnąć, lecz nie mogła tak leżeć i patrzeć, jak jej ukochana Szmonka raz za razem podejmuje desperacką walkę o kolejny haust powietrza.

Podkurczając na przemian nogi, zdołała przesunąć się nieco do przodu. Długi płaszcz utrudniał każdy ruch, a szalik zaplątany gdzieś w okolicy kolan zaciskał się na szyi niczym pętla.

Donośny huk pękającego lodu docierał już z każdej strony, złowieszczo potęgowany przez ścianę lasu. Mając w głowie tylko jedną myśl i starając się nie poddawać rozpacz, Lilka z zaciśniętymi zębami parła naprzód.

Kiedy jej twarz znalazła się zaledwie metr od pyska Szmonki, ujrzała w oczach klaczy potworny, zwierzęcy strach, jakiego doświadczają wszyscy, ludzie i zwierzęta, gdy śmierć znienacka w nie zajrzy, bezlitośnie odbierając nadzieję na jeszcze jeden oddech.

Wyciągnęła rękę, usiłując dosięgnąć uzdy, lecz właśnie w tym momencie Szmonka jakby zrozumiała, że walka o życie została przegrana. Przegrana była właściwie od samego początku; temperatura wody sprawiła, że klacz szybko straciła siły, w dodatku złamała nogę i nawet cud nie mógł już pomóc. Pogodziona z losem, zarżała przejmująco, posłała swojej pani ostatnie, bezradne spojrzenie i zniknęła w czarnej, lodowatej czeluści.

## II

Wiosna we Lwowie wybuchła na dobre dopiero w początkach maja. Miejskie powietrze wypełniło się zapachem młodej trawy, a po deszczu nad ulicami i brukiem unosiły się ciepłe, zaprawione kurzem aromaty ziemi budzącej się do życia. Przyszyżono roślinne rzeźby, odmalowano ławki; pierwsze wiosenne tulipany zażółciły się na klombach.

Zewsząd dobiegał miły dla ucha bałak. W parkach i ogrodach pełno było „tajoków” wyśpiewujących rumiane piosenki, na podwórzach i w maleńkich szynkach do taktu przygrywali grajkowie uliczni. Na każdym z lwowskich przedmieść, od Snopkowa poprzez Stryjską Rogatkę, Wulkę, Gródek i Kleparów po Zamarstynów i Zniesienie, wszędzie śpiewano. Stukały o bruk obcasy, dzwoniły tramwaje. Pod „Wiedeńską” Ślepa Mińcia, w słomkowym kapeluszu, sprzedawała gazety, wykrzykując głośno ich tytuły: „Wiek Wieczorny”, „Dziennik”, „Słowo”!

W Parku Stryjskim\* nabrzmiałe pąki jaśminów przygotowywały się dopiero, by pod koniec miesiąca eksplodować oszałamiającą wonią i pomieszać zmysły kochankom. Alejkami przechadzały się pary, wypatrując pierwszych kiści bzów, snując letnie marzenia i zajadając miód turecki, który wózkowy sprzedawca odłupywał z dużej bryły maleńką siekierką i wręczał na skrawku papieru. Dozorca, w zawadiacko przekrzywionej czapce, pogwizdując pod nosem, zmiatał z chodników poczerńiałe resztki jesieni. Nawet katulający się z góry tramwaj otrzepał się już z zimowego błota i dzwonił jakoś radośniej, wiosennie.

Nad wzgórzami kołowały gołębie. Ożywione, rozgruchane, lądowały wreszcie na rynku i nic sobie nie robiąc z powagi króla Jana III Sobieskiego, wiecowały ochoczo na jego głowie i ramionach, bacnym okiem wypatrując pokruszonych precli porzuconych przez dzieci.

Na Wysokim Zamku zaroilo się od zakochanych. Spacerowali, wdychając zapach drzew i podziwiając imponującą panoramę miasta. W dzień przychodzili po szeroki oddech, nocą po gorący pocałunek. Potem biegli do kina albo do Pasażu Mikolascha na kawę z bałabuchem lub po precle z solą zakrzepłą na chrupkiej glazurze. Byle pobyć ze sobą dłużej, byle głębiej zajrzeć w oczy. Wiosna nie sprzyjała siedzeniu w domu. Wiosną budziły się zmysły i tętniły gwarem lwowskie ulice.

Na Wałach Hetmańskich wśród kwiatnych klombów widać było kolorowe sukienki, cienkie jak pajęczyna pończochy, modne kapelusiki... Zgrabne pantofelki stukały rytmicznie, starając się dotrzymać kroku męskim butom od najmodniejszego w mieście szewca. Zewsząd dobiegał śmiech i przekomarzenia podobne do ptasich świergotów. Wtórowała im muzyka płynąca z otwartych okien kamienic i rojnych kawiarenek. Z Placu Krakowskiego dolatywał zaśpiew przekupek, prześcigających się w sztuce handlowej i oferujących wszystko, czego dusza zapagnie. Frywolnie, wesoło, wiośnianie...

Lilka oglądała wiosnę jedynie przez okno i pierwszy raz wcale nie była jej ciekawa. Od wielu tygodni dzień w dzień wyrzucała sobie, że to przez nią i jej głupią brawurę nie ma już Szmonki. Nikt nie powiedział jej złego słowa – ani ojciec, ani Jakub, ani nawet mama, która czuła się najbardziej odpowiedzialna za ten wypadek.

– Mój Boże, byłaś o krok od śmierci! Jak mogłam ci na to pozwolić... gdyby nie młody Bembnowicz... Boże, nawet nie chcę myśleć, co mogłoby się stać. Opatrzność nad tobą czuwała.

Witold Bembnowicz, sąsiad z Winniczek, wracał z nocnej zmiany z Fabryki Tytoniu w Winnikach. Znalazł Lilkę zmarzniętą i prawie nieprzytomną kilkadziesiąt metrów od jeziora, pod lasem. Siedziała na śniegu przemoczona do suchej nitki, oparta o drzewo, i było jej wszystko jedno. Nawet już prawie nie czuła zimna. Jeszcze nieco szczypało ją w uszy, ale wewnątrz już rozchodziło się przyjemne ciepło. Nadciągała senność, przynosząc apatię i ukojenie.

Bembnowicz wziął ją na ręce i wsadził do sań. Spiał konie i w niecałą godzinę byli już w szpitalu w Winnikach. Dopiero po trzech tygodniach, gdy minęło zagrożenie życia, została przeniesiona do szpitala we Lwowie, gdzie spędziła jeszcze prawie dwa miesiące.

– Powinniśmy Bogu dziękować, że skończyło się tylko na zapaleniu płuc i niegroźnych odmrożeniach – powtarzała mama. – Jesteś w czepku urodzona.

Lilka w najmniejszym stopniu nie uważała się za urodzoną w czepku. Przez długi czas nie chciała przyjąć wizyty Witolda Bembnowicza. Gdyby nie on, już dawno byłoby po wszystkim. Nie miałyby wyrzutów sumienia, nie budziłyby się w nocy zlana potem, wołając Szmonkę, i nie musiałyby znosić litościwych spojrzeń. To było najgorsze, wiedziała, że wszyscy ją obwiniają, a jedynie ze względu na okoliczności powstrzymują się od wyjawienia prawdy.

Ojciec rzadko zaglądał do Lwowa. Mama z Michasiem na dobre przenieśli się do domu na Żółkiewskim Przedmieściu, a ojciec został w Winniczkach, twierdząc, że musi doglądać majątku i pilnować służby. Wpadał do Lwowa w interesach kilka razy w tygodniu, nie zawsze jednak znajdował czas na dłuższe odwiedziny. Podobno rozpoczął się sezon żrebień i w stadninach trzeba było wszystkiego dopilnować.

Kiedy Lilka leżała w szpitalu, dryfując gdzieś na granicy świadomości, miała wrażenie, że ojciec siedzi przy łóżku i trzyma ją za rękę. Zdawało jej się, że widzi łzy na jego twarzy. Jednak gdy na dobre wróciła do świata żywych, nie była już pewna, czy zdarzyło się to na jawie, czy we śnie.

A potem atmosfera w domu stała się nie do zniesienia. Słychać było podniesiony głos ojca, trzaśnięcia drzwiami i z nagłą zapadała cisza. Mama wiecznie chodziła zapłakana, znacząc ślady chusteczkami. Zatrokana Pelasia przemykała za nią chyłkiem, zbierając je i ukradkiem posyłając swej pani pełne współczucia spojrzenia. Niania burczała na Michasia, że jest nieposłuszny, nie chce jeść fasolki, a wieczorem nie można zagonić go do łóżka. Nawet pani Chudecka, kucharka, co rusz przypalała kotlety, a potem z krzykiem wybiegała z dymiącą patelnią przed dom, nic sobie nie robiąc z pretensji pani domu, że wstyd na całą dzielnicę. Wszystko szło nie tak i Lilka była pewna, że to z jej winy.

Zegar w holu wybił piętnastą. Do pokoju weszła mama. Na tacy niosła parujący kubek z bulionem.

– Proszę, kucharka ugotowała. Specjalnie dla ciebie – powiedziała, uśmiechając się do córki. – Antoni przywiózł ze wsi świeże kaczkę od pani Helenki. Wszyscy tam się za tobą strasznie stęsknili, nieustannie się dopytują, kiedy przyjedziemy. Taka dziś piękna pogoda – dodała ze sztuczną wesołością.

Rozsunęła ciężkie kotary i otworzyła okno na oścież.

Z podwórza doleciał melodyjny zaśpiew handelesa: „handele, handele!”. Brodaty Szymon na krzywych nogach usadowił się pod studnią, rozkładając swój kram i przenośny warsztat ostrzenia noży. Po kilku chwilach podwórko zapełniło się przepychającymi i trajkoczącymi kobietami. Również pani Chudecka, pogrążona w gnypkami, zbiegła z góry zła jak piorun. Wysłałaby służącą Pelasię, ale pół godziny wcześniej sama kazała tamtej iść na rynek i teraz, zamiast pilnować ciasta, musiała uganiać się za starym Żydem, co zupełnie nie licowało z pozycją kucharki.

Szymon z uśmiechem brał od każdej narzędzia. Nie zawsze zdarzała się taka gratka, że to na niego czekano. Zwykle przesiadywał na podwórkach całymi godzinami, czasem ostrzył jakiś nóż albo nożyczki, i nawoływał, że szmaty skupuje. Zdarzało się, że z okien wylatywały całe naręczka starych spodni, sukienek, podartych zasłon i dziurawych swetrów, a po chwili na dole zjawiały się właścicielki po

zapłatę. Dzisiejszy zarobek zapowiadał się obiecująco.

Ostre słońce zalało pokój, wydobywając z mroku zieloną, pluszową otomanę, małe biurko, pomalowane na biało, i wysoką etażerkę, której dolne półki zajmowały książki. Na górnych stała kolekcja lalek i pluszowych zwierzaków, wśród których centralne miejsce zajmowała czarna, puchata pantera o groźnym wyrazie pyska. Pod stopami zółcił się wesoło miękki dywan.

Na przeciwległej ścianie, przyklejona do niej plecami, stała komoda. Zdobiły ją dwie łososiowe muszle, kupione podczas wakacji na targu w Damaszku. Ściany pomalowano w modne, geometryczne wzory. W całym domu nie było tapet, mama uważała je za przestarzałe, a przy tym stanowiące siedlisko pluskiew.

Lilka niechętnie odwróciła głowę od okna, udając, że nie widzi zatroskanej maminej miny, ciemnych cieni pod oczami i głębokiej bruzdy na czole. Marianna Lindnerowa w ciągu kilku tygodni postarzała się o parę lat.

– Kochanie, musisz jeść, musisz wreszcie zacząć normalnie żyć. Nie możesz na zawsze zamknąć się w tym pokoju. A co ze szkołą? A matura? Tak ci zależało...

Mama w końcu przestała udawać wesołość. Od kilku tygodni dzień po dniu prowadziła z Lilką podobne rozmowy. Słuszniej zresztą byłoby je nazwać monologami, gdyż córka zazwyczaj ograniczała się jedynie do niechętnych pomruków bądź zdawkowych odpowiedzi. Wzruszała ramionami i nie wyglądało na to, by cokolwiek mogło przebić ów mur obojętności, który wokół siebie wzniosła.

Już w początkach marca doktor Onopiuk orzekł, że pacjentka właściwie jest zupełnie zdrowa i może bez obaw kontynuować normalne życie, wstać z łóżka, wychodzić na ulicę, spotykać się z ludźmi, a przede wszystkim wrócić do szkoły.

Lilka jednak konsekwentnie odmawiała wszelkich kontaktów ze światem. Przestała o siebie dbać; kiedyś nie można jej było wygonić z łazienki, teraz siłą trzeba było zmuszać, żeby umyła włosy. Nie pozwalała się odwiedzać koleżankom, przestała czytać książki, nie słuchała radia, nie chciała nowych numerów swoich ulubionych czasopism. Odmówiła powrotu do szkoły. Nie chciała nawet widzieć swojej wychowawczynie, pani Jałowowej, gdy ta, zaniepokojona stanem najlepszej uczennicy i jej przedłużającą się nieobecnością, przyszła z wizytą. Mama bezradnie rozłożyła ręce i z przeproszącą miną odprowadziła nauczycielkę do schodów.

Lilka całymi dniami siedziała na sofie, patrząc w skupieniu na ścianę, jakby studiowanie geometrycznych wzorów było sensem jej życia. Czasem pisała coś w zeszytach, ale chowała go natychmiast, gdy ktoś przekraczał próg pokoju. Nie miała najmniejszej ochoty na kontakt ze światem i wcale się z tym nie kryła. Nie otwierała okna, nie odsłaniała kotar. Drzwi też by najchętniej nie otwierała, ale przeczna mama kazała Antoniemu wymontować zamek.

Marianna szukała pomocy dla córki u różnych lekarzy, wszyscy jednak zgodnie orzekli, że nie można nic robić na siłę. Trzeba czekać, aż jej przejdzie, co z pewnością w końcu nastąpi.

– Spotkałam w sklepie ciotkę Leokadię. Podobno Olga nieustannie się dopytuje, czy może do ciebie przyjść.

– A po co? – Dziewczyna wzruszyła ramionami. – Żeby zobaczyć morderczynię koni? Dziękuję, nie trzeba.

– Nie mów tak, słyszysz! To nie twoja wina...

Lilka spojrzała niechętnie na matkę.

– Chyba sama w to nie wierzysz, nie jestem ślepa. Myślisz, że nie wiem, dlaczego ojciec się wyprowadził? A Jakub? Oni mi nigdy nie darują Szmonki... Ty też, przecież widzę.

Mama nie odpowiedziała. Przez chwilę rozważała coś, mrużąc oczy i uważnie wpatrując się w córkę. Pierwszy raz od czasu wypadku Lilka z własnej i nieprzymuszonej woli powiedziała coś sama z siebie,



nie ograniczając się jedynie do zdawkowych półsłówk.

– Posłuchaj uważnie – zaczęła w końcu z powagą, biorąc córkę pod brodę, żeby dziewczyna nie odwróciła głowy. – Powiem tylko raz, bo... to trudne, ale nie mogę pozwolić, żebyś myślała, że to przez ciebie ojciec został na wsi.

W oczach Lilki po raz pierwszy od kilku tygodni błysnęło zainteresowanie.

– Jesteś już prawie dorosła... Wiesz, że w małżeństwie nie zawsze układa się tak, jak to sobie zaplanowaliśmy. – Marianna głośno przełknęła ślinę. Dużo ją kosztowało to wyznanie. – Twój ojciec jest atrakcyjnym mężczyzną, przy tym ma, niestety... słaby charakter i nie zawsze potrafi się oprzeć kobietom... Ojciec i ja...

– Rozwodzicie się? – przerwała Lilka przerażona.

– Nie, skąd taki pomysł... Po prostu uznałam, że będzie lepiej, jeśli ojciec przez jakiś czas pomieszka na wsi. Będzie miał czas, by to wszystko... rozważyć.

Marianna pierwszy raz w życiu rozmawiała z córką, jakby ta naprawdę była dorosła. Lilka dawno już przestała być dzieckiem i dobrze wiedziała, że ojciec podoba się innym paniom; nie raz widziała, jak okazywały mu zainteresowanie, ale była pewna, że naprawdę kocha tylko mamę. Mógł flirtować, pozwalać się adorować, zwłaszcza że w towarzystwie należało to do dobrego tonu. Ale prawdziwy romans, zdrada? Nigdy!

– Mamo, jestem pewna, że to jakaś bzdura! Ktoś rozpusza ohydne plotki! – zawołała z zapalem, zrywając się z sofy. – Tato nigdy by cię nie skrzywdził!

Ale Marianna już się otrząsnęła z chwilowej słabości.

– Lilu, dość. To są sprawy między mną a twoim ojcem – powiedziała, również się podnosząc. Wyciągnęła z kieszeni chusteczkę, dyskretnie otarła oczy, a następnie lekkim ruchem poprawiła fale włosów nad czołem. – Powiedziałam ci o nich jedynie dlatego, żebyś wreszcie przestała się o wszystko obwiniać. Trudno ukryć, że zachowałam się niemądrze, jednak żyjesz i to najważniejsze. Mnie też szkoda Szmonki, ale trudno, będziesz musiała nauczyć się żyć z tym poczuciem winy i oby to było najgorsze, co cię jeszcze w życiu spotka. A teraz przestań się mazać, umyj się i idź dopilnować kucharki. Piecze ciasteczka. Za godzinę przyjdą twoje koleżanki.

W klasie profesora Broniewskiego od dziesięciu minut pobrzękiwała mucha. Monotonny, miarowy dźwięk, początkowo denerwujący, w końcu zaczął odprężać dziewczęta i podziałał usypiająco.

Profesor Broniewski, w swoich nieodłącznych pumpach w kratkę ledwie zakrywających chude kolana, w szczelnie zapiętej marynarce i eleganckiej muszce pod szyją, przechadzał się po klasie, w skupieniu notując coś w kajecie, który trzymał w jednej ręce. Czasem przystawał na chwilę, mamrotał pod nosem kilka niezrozumiałych słów, a następnie wracał do przerwanej wędrówki.

Większość dziewcząt siedziała w ławkach w niedbałych pozach, podpierając się łokciami i garbiąc. Nina Dejnys prawie spłynęła na podłogę. W ostatniej chwili zdołała podciągnąć nogi, gdy nauczyciel, z nosem w zeszyte, omal się nie potknął o jej stopy. Janka Szymonowiczówna wbiła palce w rude, gładko zaczesane włosy. Gmerała w nich i gmerała, aż po kilku minutach wyglądała jak stylowy strach na wróble. Olga Niementowska bezmyślnie gapiła się w okno na pokryte kwiatami kasztany, bezwiednie kręcąc na palcu końcówkę warkocza. Klasę ogarnęła apatia i jakaś przedziwna niemoc, zupełnie niewspółgrająca z energiczną wiosną za oknem.

Jedynie siedzące w ostatniej ławce Wanda Daszyńska i Marysia Baczyńska szeptały coś od dłuższej chwili, nerwowo wrywając sobie pod pulpitem jakąś kartkę.

– Drogie panienki, a teraz porozmawiamy o patriotyzmie, ale również o postawach nacjonalistycznych i ich skrajnym, negatywnym przejawie, czyli szowinizmie. No i, rzecz jasna, o tolerancji.

Profesor Broniewski poprawił okulary na imponującym orlim nosie, zamknął kajet, po czym, nie spuszczać wzroku z ostatniej ławki, rzekł:

– Może panna Baczyńska będzie łaskawa podzielić się z nami swoją wiedzą na temat szowinizmu. Prosimy uprzejmie. Czym dla pani jest szowinizm?

Poszturchiwana przez koleżanki Marysia, wyrwana z emocjonującej rozmowy z Wandą, podniosła się lekko spłoszona.

– Eee...

– Szowinizm, proszę pani – odpowiedział łagodnie profesor Broniewski. – Kto to jest szowinista?

– To mój ojciec – wypaliła Marysia, cała czerwona.

– Słucham? – zgorszył się profesor. Zsunął niżej okulary i niczym głodny sęp wbił wzrok w dziewczynę. Ta jednak zdążyła odzyskać rezon.

– Znaczy się, antysemita. Mój ojciec od tygodnia jest antysemitą.

Przez ospałą klasę przetoczył się pomruk chichotu.

– Przyznam, że nie rozumiem – stropił się profesor. – Dlaczego akurat od tygodnia?

– No bo, panie profesorze, już nie może chodzić z Mopsem na śniadania do pani Teliczkowej. – Marysia najwyraźniej nie spieszyła się z wyjaśnieniami, pozwalając, by długi profesorski nos wydłużył się jeszcze bardziej, a łukowate brwi podjechały aż pod siwe włosy. – Nie może chodzić, bo pani Teliczkowa sprzedała lokal Rosenmannowi i wyjechała do Brzuchowic, żeby tam razem z córką prowadzić trafikę dla kuracjuszy. Tak powiedział mój ojciec. I dodał jeszcze, że to durny pomysł z punktu widzenia interesów, bo trafika to nic wobec pokoju śniadaniowego, ale jeszcze gorszy z jego osobistego powodu...

W klasie nastąpiło widoczne ożywienie. Nina wyprostowała się w ławce, Olga Niementowska porzuciła obserwowanie kasztanów. Wszystkie wpatrywały się w profesora Broniewskiego, z trudem tłumiąc rozbawienie. Znały dobrze Marysię i wiedziały o jej skłonności do chodzenia opłotkami, zanim w ogóle udawało jej się dotrzeć do sedna.

– Mój ojciec co rano, w drodze do kancelarii wstępował na śniadanie do pani Teliczkowej. Mops chodził razem z nim, bo tato zabierał go do pracy... – Marysia mówiła na jednym wdechu i na chwilę musiała przerwać, żeby zaczerpnąć powietrza.

– I? – zniecierpliwiał się profesor.

– I Mops zawsze też coś dostawał. Najbardziej lubił omlet z kiełbasą, ale ojciec mówił, że to przesada, żeby pies jadł jajka, i pani Teliczkowa zaczęła mu podawać samą kiełbasę.

Klasa chichotała już bez skrępowania. Jadzia Cwinarska zakryła ręką usta i bujała się w przód i w tył, nie mogąc opanować śmiechu. Profesor postukał linijką w biurko.

– Moje panienki, proszę! Ale co to ma wspólnego z antysemityzmem? – zwrócił się do stojącej we wdzięcznej pozie Marysi.

– Bo jak pani Teliczkowa sprzedała pokój śniadaniowy Rosenmannowi, to ten zabronił ojcu przyprowadzać Mopsa. Powiedział, że kto to widział, że to porządny lokal dla ludzi, a nie takie byle co dla zwierząt. I od tego czasu, znaczy się, od tygodnia, mój ojciec jest antysemitą. Mówi, że temu Żydowi w głowie się poprzewracało i nie odróżnia szanowanego obywatela od jakiegoś brudnego, zapitego batiara.

Marysia usiadła, uznając temat za wyczerpany. Profesor Broniewski z wysiłkiem powstrzymał się od parsknięcia śmiechem. Chrząknął kilka razy i przesunął ręką po twarzy.

– Hmm... I to według pani świadczy o szowinizmie szanownego tatusia, a raczej, pardon, o antysemityzmie? A co na to pozostałe panie? – Rozejrzał się po klasie.

W górę wystrzeliła długa i chuda ręka Wandy.

– Moim zdaniem to przykład postawy antyrosenmannowej, a nie antysemitkiej – oświadczyła z udawaną powagą Daszyńska. – Klasa znowu zachichotała. – Ojciec koleżanki Baczyńskiej jest takim samym antysemitą, jak ja baletnicą.

W rzeczy samej, trudno było sobie wyobrazić Wandę w bardziej nieprawdopodobnej roli. Chuda, wysoka, z rękami rozlatanymi jak wiatraki i stopami jak u podolskiego złodzieja, przysparzającymi jej kłopotów i wpędzającymi w kompleksy, wyglądała jak wyrośnięty szczeniak, który nie opanował jeszcze koordynacji między własnymi kończynami i choćby nie wiadomo jak się starał, zawsze któraś zostawała z tyłu, nie nadążając za pozostałymi. Była najwyższa w klasie. Nawet profesora Broniewskiego, nienależącego przecież do niskich, przerosła o głowę.

– A ja uważam, że nacjonalizm to nic złego – odezwała się nagle Nina Dejnisi. – Gdyby nie nacjonalizm, nikt by dziś nie pamiętał, że Ukraina była kiedyś wielkim i silnym państwem. Rodzice zawsze obchodzą nasze święta narodowe. Czuję się dumna z tego, że jestem Ukrainką.

– Ale nie da się ukryć, że mieszkacie u nas – rzuciła jakby od niechcenia Janka Szymonowiczówna.

Nina się zaperzyła.

– Zawsze tu mieszkaliśmy, te ziemie są tak samo wasze, jak i nasze!

– Trudno, żeby coś było jednocześnie polskie i ruskie...

– Mój ojciec mówi, że tak naprawdę to nasze ziemie, tylko wy je nam zabraliście! – Nina była bliska płaczu. – Wasi królowie zawsze traktowali nas jak gorszych, byliśmy im potrzebni wyłącznie jako karta przetargowa, żebyś wiedziała! A teraz nawet nie odróżniacie Rusina od Ukraińca! Mówicie o nas „Rusini”!

– A to jakaś różnica? – zakpiła Janka.

– Panienci, panienci! – Profesor Broniewski uznał za stosowne ostudzić atmosferę.

Lubił, gdy dziewczęta spontanicznie dyskutowały, i zwykle im nie przerywał. Rzucił jakiś temat i z boku obserwował, jak sobie radzą. Taką miał metodę. Dopiero pod koniec lekcji porządkował wiedzę i rozwiewał wątpliwości. Zazwyczaj rozmowy pełne były żaru i zaangażowania, lecz gdy stwierdzenia mijały się z prawdą – musiał interweniować.

– Po pierwsze, pani myli szowinizm z patriotyzmem, a po drugie, nie było królów waszych i naszych. – Uśmiechnął się do Niny, zdejmując okulary. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął irchową szmatkę i zaczął starannie czyścić szkła. – Od kilkuset lat, z przerwą na rozbiory, żyliśmy w jednym kraju. Oprócz Polaków, Ukraińców i Żydów było także mnóstwo Niemców, Litwinów, Czechów, Ormian, Rosjan, Romów. Obok siebie zgodnie żyli Grecy i Szkoci, Białorusini i Łotysze. Rzeczpospolita Obojga Narodów była postrzegana w Europie szesnastego wieku jako kraj tolerancji religijnej i przyciągała wiele nacji. Również przybyszów z Europy Zachodniej czy wyznawców nowych nurtów religijnych. I zapamiętajcie to sobie dobrze: nie była państwem jednolitym ani etnicznie, ani wyznaniowo, ani tym bardziej kulturowo. Stanowiła ewenement na skalę europejską. Jedynie Stany Zjednoczone Ameryki Północnej mogły się poszczycić taką kulturową i etniczną mieszaniną. Tak, tak, Rzeczpospolita była do nich w pewnym sensie podobna, stanowiliśmy tygiel różnych narodów, miłe panienci. A wy powinnyście o tym doskonale pamiętać z lekcji historii. – Z udawaną surowością pogroził im palcem. – Jeśli tak długo żyjemy obok siebie w jednym państwie, na ogół rozumiemy się i potrafimy pokojowo współistnieć, to najlepszy dowód, że pojmujemy i cenimy wartość owej pięknej różnorodności, którą kształtowaliśmy przez lata. Nie zmienił tego Moskał, nie zmienił Turek ani Tatarzyn i na pewno nie zmienią nacjonalistyczne zapędy niektórych grup wywrotowych. Choć marzy, oj, marzy im się wsadzenie kija w mrowisko – zakończył ponuro, próbując odpędzić czarne myśli.

W gruncie rzeczy Broniewski od kilku miesięcy był poważnie zaniepokojony, a dzisiejszy incydent na lekcji tylko podsycił jego obawy. Podobnie jak większość lwowian wyczuwał jeszcze ledwie

zauważalną zmianę w nastrojach ulicy. Znajomy z wyścigów, kolega z uczelni, sąsiad z kamienicy zyskiwał dodatkowe określenie, które nieoczekiwanie wysuwało się na pierwszy plan: Żyd, Rusin, Polak... Przynależność narodowa, do tej pory nieistotna w codziennych kontaktach, nagle stała się najważniejszą kategoryzacją. Wczoraj jedynie mieszkańcy Lwowa, dziś – przedstawiciele różnych narodów.

W ostatnim roku wzmogła się aktywność narodowa Ukraińców, którzy nie zamierzali się godzić z ustaleniami traktatu wersalskiego, układu ryskiego i rządami polskimi na terytorium uważanym przez nich za własne. Co rusz dobiegały ponure echa awantur ze studentami ukraińskimi, mających miejsce poza uczelniami, bo na nich panował jeszcze względny spokój.

Tarcia narodowe przynosiły ujmę metropolii. Nad Lwowem zawisła niepokojąca czarna chmura zaostrzonych konfliktów narodowościowych, sprytnie wykorzystywanych przez niechętne władzy środowiska. Powybijane szyby w żydowskich sklepikach, napady na polskich studentów, manifestacje rusinowskich nacjonalistów – taka była ciemna strona miasta.

Niechlubnie wpisywały się w nią również wystąpienia polskiej młodzieży endeckiej przeciwko Żydom, których i tak obowiązywała nie tylko przykra zasada numerus clausus, czyli ograniczonej liczby miejsc dla studentów pochodzenia żydowskiego, lecz także getta ławkowe. Pobicia były niemal na porządku dziennym. Nie pomagały działania szerokiego nurtu ludzi kultury i nauki, którzy próbowali łagodzić pogarszające się stosunki polsko-ukraińsko-żydowskie. Nad miastem zawisło jakby w oczekiwaniu coś złowieszczonego, choć na razie w stanie uśpienia. Wielu mieszkańców czuło, że wystarczy jedna iskra, by konflikty ukazały swe przerażające i bezwzględne oblicza. Z pozoru błaha kłótnia uczennic tak naprawdę była odbiciem nastrojów społecznych.

Profesor zmarszczył brwi, westchnął ciężko, a następnie oparł się o biurko i przesunął wzrokiem po klasie.

– Pamiętajcie, do jakiej szkoły macie zaszczyt uczęszczać. Wyróżniamy i szcycimy się tym, że w naszym gimnazjum imienia Świętej Marii Magdaleny, od jego powstania, czyli od roku tysiąc osiemset szesnastego, obowiązują zasady tolerancji, bez względu na rasę i wyznanie, oraz wzajemny szacunek. Stanowi to podstawę wychowania młodego człowieka. Tylko żyjąc zgodnie i nawzajem się szanując, możemy ocalić fundamentalne wartości...

– A Żydzi i tak są najlepiej wykształceni – z wyższością w głosie oświadczyła siedząca obok Lilki Sara Rothfeld. – Prawie wszyscy lekarze i prawnicy to Żydzi.

– A u nas w kamienicy Żyd jest dozorcą i co na to powiesz? – roześmiała się milcząca dotąd Marysia Szczurko, czyli Szczurek. – Nie wydaje mi się, żeby nasz Samuel był jakoś wybitnie kształcony...

– I co z tego, i co z tego? – Sara aż poderwała się z ławki. – Mój ojciec jest sędzią, a jego bracia są lekarzami. Stryj Anzelm jest światowej sławy chirurgiem! Dostał nagrodę w Ameryce! A mój drugi stryj jest kapitanem statku w Gdyni!

– Wielkie mi mecyje! Ojciec Wandy też jest kapitanem statku, a jest Polakiem! – wrzasnęła Szczurek, zapominając, że z boku stoi oniemiały nauczyciel. – Nagrodę, w Ameryce, akurat! Kto to widział, chyba ten, którego oczu nie miał! A w ogóle to wy też mieszkacie u nas! Jak Rusini! Może i jesteście lepiej wykształceni, ale tylko dlatego, że macie więcej pieniędzy, bo nam zabieracie pracę!

– Kto zabiera?! Kto zabiera?! – Halszka Auerbach niemal położyła się na ławce, usiłując osiągnąć Szczurka linijką. Ta jednak siedziała za daleko, więc w efekcie oberwało się Lilce.

– No, tego już za wiele! – krzyknęła oburzona Lilka i w tym samym momencie powtórzył to za nią profesor Broniewski, z tym że znacznie donośniej.

– Tego już za wiele! Wstyd mi za was, moje panny! – huknął, aż echo poszło po ścianach. W klasie momentalnie zapanowała cisza.



Huczący profesor Broniewski – było to coś niespotykanego, coś, co do tej pory jeszcze się nie zdarzyło. Starszy pan, zazwyczaj kulturalny, dobrotliwy i wyrozumiały, aż poczerwieniał ze złości. Nerwowo skubał rzadką brodę, sapał i bębnił palcami o pulpit. Niejedno już przeżył, z różną młodzieżą miał do czynienia i wyprowadzić go z równowagi była to trudna sztuka. Dziś najwyraźniej się udała. Z trudem się opanował.

– Jeszcze nie zabiły rany po bezsensownej wojnie, a wy już chcecie wywoływać następną? Nie przeżyłyście jej, ale spytajcie rodziców, do czego doprowadziły owe pokrzykiwania. „My”, „Wy”, „Nasze”, „Wasze”! – Prychnął rozzłoszczony. – Za to „nasze wasze” życie oddały tysiące ludzi, możecie ich dzisiaj odwiedzać na Cmentarzu Orłąt. Obrońcy Persenkówki, Zadwórza, chłopcy, często dzieci jeszcze, z lwowskiej Góry Stracenia i Placu Bema... Dzieci z Ogrodu Jezuickiego. Dziewczęta, takie jak wy... – zawiesił głos i popatrzył na z nagła spoważniałe twarze. – Mam nadzieję, że przemawia przez was młodzieńcza głupota i zapalczywość, bo tylko to jest w stanie was usprawiedliwić – dodał cicho. – Inaczej powinienem wszystkie wysłać do pana dyrektora Opiełki. Co za złe w was dzisiaj wstąpiło? Czy tak was wychowuje szkoła? A może dom i rodzina? Nie dość, że zachowujecie się poniżej wszelkich norm, zapominając najwyraźniej, że macie być elitą tego kraju, czyli kimś, od kogo wymaga się więcej i kto powinien świecić przykładem, to jeszcze beztrzęsco prezentujecie zupełną historyczną ignorancję. – Pokręcił głową wyraźnie zniesmaczony. – W związku z tym na najbliższy poniedziałek napiszecie pracę zatytułowaną: „Rzeczpospolita Obojga Narodów – fenomen pokojowego współistnienia”. Ze szczególnym naciskiem na aspekt tolerancji etnicznej i przenikania się kultur. Co najmniej cztery strony!

– O matuchno jedyna... – jęknęła Nina Dejnisi, gdy niefortunna lekcja historii wreszcie dobiegła końca i można było wyjść na pauzę. – W sobotę miałyśmy z siostrą jechać do ciotki Iryny na wieś. Kuzynka Alona wychodzi za mąż. Będzie prawdziwe wiejskie wesele, wiecie, takie z wykupywaniem panny młodej i chlebem pieczonym tylko przez kobiety, które mają udane małżeństwo. Inaczej to pech dla nowożeńców. No i cała draka się z tego zrobiła, bo ciotkę Irynę właśnie mąż zostawił i Alona powiedziała, że w takim razie matka ma się w kuchni nie pokazywać, bo ona, Alona, nie zamierza sobie marnować życia tylko dlatego, że ojcu zebrało się na amory... Ciotka się popłakała i już w ogóle nie wiadomo, co będzie dalej. Zdaje się, że będę musiała obejść się smakiem. – Nina westchnęła z żalu, że ominą ją atrakcyjne rodzinne skandale.

Janka Szymonowiczówna stała oparta o duże wykuszowe okno. Jadła kanapkę, przyglądając się niechętnie koleżance.

– Toś się wybrała z dzińdobranem jak do rzeźnika po zapałki – mruknęła. – Po coś w ogóle wyjeżdżała z tym ukraińskim patriotyzmem? Sama sobie jesteś winna, to teraz nie jójcz.

Przez chwilę wydawało się, że Nina rzuci się na nią z pazurami. Uniosła ręce, nabrała powietrza, ale już w następnej chwili oklapła jak balonik, z którego uszło powietrze. Zamiast złapać Jankę, złapała się za głowę.

– O Boże, nie wiem... – jęknęła znowu. – Kilka dni temu przy obiedzie ojciec z bratem rozmawiali o Chmielnickim. Nawet nie wiem dokładnie, o czym mówili, bo nie słuchałam, ale mi się przypomniało...

– Rychło w czas – parsknęła Wanda. – Przez ciebie będziemy plackiem siedzieć w domu całą sobotę i niedzielę. Cztery strony nudnych wypocin!

– A Sara i Halszka? – zaprotestowała Nina. Jeśli już miała być winna, wołała dzielić wyrzuty sumienia z koleżankami.

– Szczurek mnie sprowokowała – odparowała Sara. – Po co zaczęła o tym dozorcy?

Marysia siedziała na podłodze, oparta o ścianę. Granatowy fartuch naciągnęła na chude, wystające kolana.

– Sama zaczęłaś. – Wzruszyła ramionami. – Też mi odkrywcza informacja. Nasz radca jest Żydem. I lekarz dziadka, i nawet weterynarz naszego psa. Myślisz, że nie wiem, że Żydzi są wykształceni?

– To po co gadałaś o dozorczy? – Sara nie popuszczała.

– A, bo mnie zdenerwowałaś. Poza tym dozorca też jest Żydem – dodała tamta po chwili zastanowienia.

– Wiecie co – roześmiała się Marysia Baczyńska – w trzeciej A oprócz Żydówek, Polek i Rusinek są jeszcze dwie Niemki i Ormianka. Wyobrażacie sobie, jak wyglądałaby dzisiejsza lekcja, gdyby były w naszej klasie?

Roześmiały się wszystkie.

– Lilka ma niemieckie nazwisko. – Olga wbiła pulchny palec w Lilczyne ramię.

– To i tak lepsze niż moje – westchnęła smętnie Szczurek, machając ręką. – Nie mogłabym się nazywać Chomik albo chociażby Suseł, jeśli już muszą być gryzonie? – Zrobiła przy tym tak żalostną minę, że wszystkie musiały się roześmiać.

Na lekcji historii Lilka prawie nie brała udziału w dyskusji. Darowała Halszce nawet kuksańca linijką. Dla niej te wszystkie dziewczęta mogłyby pochodzić z samego Księżyca i nazywać się najbardziej dziwnie na świecie, w niczym nie zmieniałyby to faktu, że strasznie się za nimi stęskniła. Po długich tygodniach samotności była wygłodniała kontaktów z przyjaciółkami i chłonęła każde ich słowo.

Lubiła je wszystkie jednakowo, ale najbliższe jej były: chuda Wanda, bezpośrednia i czasami nieco bezczelna, której szczególny urok polegał głównie na tym, że zawsze prosto z mostu waliła człowiekowi prawdę między oczy, niejednokrotnie narażając się na towarzyski ostracyzm; Marysia Baczyńska, bystra blondynka o długich warkoczach i myląco słodkim spojrzeniu, które w duecie z uroczyimi dołeczkami w policzkach spędzały chłopcom sen z powiek. A także Janka Szymonowiczówna – ruda, piegowata i najbardziej wygadana z całej klasy, jak nikt inny umiejąca parodiować nauczycieli. Wszyscy uważali, że ma wielki talent i kiedyś z pewnością zostanie słynną aktorką. Janka również w to wierzyła i dlatego od jakiegoś czasu zawzięcie ćwiczyła podpis, żeby w przyszłości sprawniej rozdawać autografy. Lilka przyjaźniła się też z nieco tupeciarską, ale w gruncie rzeczy poczciwą Jadzią Cwinarską oraz pulchną i rozmarzoną Olgą Niementowską, Sarą Rothfeld, z którą spędziła kiedyś wakacje u jej wujostwa na wsi, i Halszką Auerbach, córką dyrektora teatru, która nieraz załatwiała całej klasie najlepsze miejsca w loży, gdy grano jakąś ciekawą sztukę. A także z Niną Dejnisi i ze Szczurkiem – złym snem panny Duszenko od pamiętnego wydarzenia z walcem wiedeńskim, co nie doszedł do skutku.

– Dziewczynki, jak ja się za wami stęskniłam – wyrwało jej się z samego dna duszy. – Już zapomniałam, jak to przyjemnie chodzić do szkoły.

Jadzia Cwinarska popatrzyła na nią jak na głupią i postukała się palcem w głowę.

– No, szczególnie jak trzeba będzie zmarnować sobotę i niedzielę nad książkami. Miałam mamie w sklepie pomagać...

– Dobrze ci to zrobi, Cwinarska, przypomnisz sobie, jak książka wygląda – docięła jej Wanda. – Słuchajcie, bo zapomniałam wam powiedzieć. Mańka ma nową dostawę! Mówię wam, cudny!

Wanda wyciągnęła z kieszeni wymiętoloną kartkę. Marysia Baczyńska z zapalem pokiwała głową.

– No, ledwo wydebilałam. Krzysztof nikomu się nie przyznaje, że pisze.

Kuzyn Marysi, Krzysztof, chodził w Warszawie do gimnazjum imienia Stefana Batorego i był utalentowanym, młodym poetą. Niechętnie dzielił się z kimkolwiek swoją twórczością, a już z pewnością nie pokazałby jej Marysi. Od dziecka za sobą nie przepadali; zmuszani do kontaktów poprzez rodzinne koligacje, oboje cierpieli z tego powodu. Jego rodzice zawsze stawiali mu za wzór lwowską kuzynkę, natomiast rodzice Marysi kazali córce brać przykład z kuzyna: że taki posłuszny, pilny, utalentowany...

Dobrze się uczy, lubi szkołę i zawsze wstaje, gdy starszy wchodzi do pokoju. Swego czasu Marysia na samą myśl o sztywnym Krzysztofie miała odruch wymiotny.

Aż do czasu, gdy w któreś wakacje spędzane razem z kuzynkiem z Warszawy przypadkiem trafiła na jego brulion pełen młodzieńczych wierszy. Chłoneła je zachwycona i oczarowana, aż do chwili, gdy Krzysztof wpadł do pokoju, wyrwał jej swoją własność i zdzielił Marysię brulionem po głowie. Od tamtego zdarzenia stosunki między nimi jeszcze bardziej się pogorszyły, o ile to w ogóle było możliwe. Jednak obecnie niechęć Marysi podszyta była ukrytym podziwem.

Nie byłoby najmniejszych szans na poznawanie twórczości nerwowego kuzyna, gdyby nie jego mama, ciotka Stefa, kobieta nieco dziwna i egzaltowana, ale maniacko zakochana w swoim jedynaku i jego wierszach. Gdy Marysia opowiedziała jej, co zaszło, ciotka obiecała, że po cichu, w tajemnicy przed Krzysiem, będzie jej wysyłała do Lwowa jego wiersze. Słowa dotrzymała i raz na jakiś czas Marysia otrzymywała świeżą dostawę.

Nie obiecywała ciotce, że zachowa poezje Krzysztofa tylko dla siebie, toteż nie miała skrupułów i pokazywała je przyjaciółkom. Wszystkie były w nich zakochane.

– Czytajże! – popędziła ją niecierpliwie Szczurek. – Na co czekasz?

– Coś ty, nie tu przecież! Zaraz przyroda.

Jakby na zamówienie na korytarzu pojawił się woźny, potrząsając trzymanym nad głową dzwonkiem. Zanim pani Jałowowa zapędziła je do klasy, zdążyły ustalić, że spotkają się po lekcjach na dziedzińcu i wtedy się zobaczy, co dalej.

– Idziemy do „Romy” – zdecydowała Wanda Daszyńska, gdy po trzynastej skończyły się zajęcia. Panna Duszenko była dziś chora, więc ku uciechu uczennic obyło się bez ostatniej godziny. Żadna nie żałowała nudnej i nikomu niepotrzebnej elegancji. – Jeśli gdzieś mamy czytać ten wiersz, to tylko w „Romie”.

„Roma” była kawiarnią, można by rzec, literacką, w przeciwieństwie do znajdującej się naprzeciwko „Szkockiej”, do której chadzali miłośnicy gry w karty i matematycy. Ci ostatni pisali równania, wzory i wykresy bezpośrednio na marmurowych stolikach albo serwetkach, nie zwracając większej uwagi na otoczenie, a po pewnym czasie założyli nawet w „Szkockiej” księgę problemów matematycznych, do której mógł się wpisać każdy, komu spędzało sen z powiek jakieś zagadnienie z tej dziedziny.

Za to w „Romie” zawsze można było spotkać znanych literatów, aktorów, a co najważniejsze – przystojnych studentów z pobliskiego Uniwersytetu Jana Kazimierza. W czapkach nonszalancko przekrzywionych na bakier toczyli spory, żywo dyskutując o książkach, a jednocześnie wyławiali sprawnym okiem co ładniejsze panny.

Przyjaciółki uwielbiały światową i intelektualną atmosferę „Romy”, lecz rzadko mogły chodzić tam same. Wszyscy rodzice, może poza jednym ojcem Wandy Daszyńskiej, którego zresztą na ogół i tak nie było we Lwowie, patrzyli na to niezbyt przychylnym okiem, uważając, że jeszcze będą miały czas, żeby się wycierać o kawiarniane stoliki, jak to obrazowo wyraziła Marianna Lindner. Drugim powodem, bardziej przyziemnym i trafiającym do przyjaciółek, były ceny, dość wysokie jak na kieszeń gimnazjalistek.

– Ja nie idę. – Nina zmarkotniała. – Batko chyba mnie zabił. W zeszłym tygodniu dwa razy spóźniłam się na obiad i gadania było, że hej.

Miała pecha, jej ojciec był wykładowcą na pobliskim uniwersytecie i istniało duże prawdopodobieństwo, iż szybko dowiedziałyby się o pozalekcyjnych zajęciach córki. Oprócz Niny wyłamały się także Sara, Halszka i Olga.

Po drodze Jadzia zaciągnęła koleżanki do sklepu Leona Propsta, gdzie pokazały się ostatnio nowe fotosy Żabczyńskiego z jego własnoręcznym podpisem. Kosztowały majątek, ale Jadzia nie zamierzała

oszczędzać na swojej miłości.

W „Romie” o tej porze było już tłoczno. Wiosna wypędziła ludzi z domów, więc nawet na zewnątrz wystawiono kilka stolików. W ochronie przed słońcem rozciągnięto nad nimi pasiaste markizy. W powietrzu unosiły się drażniące nos i pobudzające wyobraźnię słodkie aromaty ponczu, migdałów, palonych orzechów oraz kawy.

– No, czytaj! – popędziła Wandę Szczurek, kiedy znalazłszy wolny stolik na chodniku, zamówiły lemoniadę i pampuchy. Jak zwykle stawiała Jadzia.

– Lepiej niech Janka czyta. – Wanda po chwili wahania oddała kartkę koleżance. – Ona się bardziej wczuwa.

Janka chrząknęła.

– „Znów wędrujemy ciepłym krajem – zaczęła głosem łamiącym się ze wzruszenia – malachitową łąką morza. Ptaki powrotne umierają wśród pomarańczy na rozdrożach. Na fioletowoszarych łąkach niebo rozpina płynność arkad. Pejzaż w powieki miękko wsiąka, zakrzepła sól na nagich wargach...”.

Zamilkła na dłuższą chwilę.

– Boże, jakie to piękne...

– No, czytaj dalej! – szturchnęła ją Lilka, zaglądając w kartkę.

– „A wieczorami w prądach zatok noc liże morze słodką grzywą. Jak miękkie gruszki brz... brze”... Co tu jest napisane?

Marysia Baczyńska pochyliła się nad kartką.

– Brzmieje. Co ci poradzę, ciotka Stefa tak bazgroli...

– „...brzmieje lato, wiatrem sparzone jak pokrzywą. Przed fontannami perłowymi noc winogrona gwiazd rozdaje. Znów wędrujemy ciepłą ziemią, znów wędrujemy ciepłym krajem...”.

Wiersz wybrzmiał, a znad stolika, przy którym siedziały, popłynęło w niebo zbiorowe westchnienie.

– Choćbym żyła sto lat, nigdy nie uda mi się stworzyć czegoś takiego – wyznała smętnie Szczurek i kopnęła nogą kamyczek leżący obok krzesła.

Marysia miała literackie zapędy, pisała fraszki, wiersze, opowiadania i namiętnie wysyłała je do różnych czasopism oraz na konkursy dla debiutantów, często organizowane przez redakcje. Niestety, żadna z gazet nie poznała się na jej talencie. Pewnego razu sekretarz działu literackiego „Kuriera Lwowskiego”, zaprzyjaźniony z rodziną Szczurków, przekazał wiersze dziewczyny Beacie Obertyńskiej. Jakiś czas później autorka dostała list, w którym Obertyńska taktownie sugerowała, żeby młoda adeptka poezji znalazła sobie jednak inne hobby... Marysia bardzo to przeżyła

– A właściwie ile lat ma ten twój kuzyn? – zainteresowała się Wanda, obciągając spódniczkę, która podjechała niebezpiecznie wysoko, odsłaniając chude kolana.

Na Wandzie nigdy nic nie leżało jak trzeba i nie trzymało się w miejscu, w którym powinno. Guziki zawsze były krzywo zapięte, skarpety się zsuwały, palto jakimś cudem miało jedną połę dłuższą, a obcasy odlatywały od butów z częstotliwością godną lepszej sprawy.

– O rok od nas starszy.

– Dar od Boga, taki talent... Czuję, że mogłabym się w nim zakochać.

– Uwierz mi, na pewno nie. – Marysia Baczyńska stanowczo pokręciła głową. – Zresztą on się teraz kocha w jakiejś Annie. Poznał ją latem w Dalmacji. Ciotka Stefa napisała mamie, że jest z tego powodu ogromnie niezadowolona, bo podobno ta Anna pochodzi z nieodpowiedniej rodziny. No, ale ciotka najchętniej wsadziłaby go pod klosz. Ciężkie życie będzie miała jej synowa...

Jadzia Cwinarska od jakiegoś czasu niespokojnie wierceła się na krzesle, jednocześnie popatrując na boki. Jej obfity biust przy każdym gwałtowniejszym ruchu falował jak ocean; jakby usiłował się wydostać z przyciasnego sweterka. Jadzia była niezmiernie dumna ze swoich piersi. Zwłaszcza że żadna



z koleżanek nie mogła się poszczycić takim rozmiarem tego najważniejszego w jej mniemaniu atrybutu dopiero co wyklutej kobiecości. Wypinała więc biust, podkreślając go dopasowanymi bluzeczkami i opiętymi swetrami, i kraśniała pod wpływem spojrzeń chłopców i mężczyzn. Górny guziczek, niby przez roztargnienie, najczęściej bywał rozpięty. Oczywiście poza szkołą, gdzie nie sięgał surowy wzrok pani Jałowowej.

Jadzia od dłuższej chwili się nudziła. Ciastka już prawie zjadła, a za poezją nie przepadała. Woląta twardo stąpać po ziemi, niż ekscytować się jakimiś fontannami i zdechłymi ptakami. Towarzyszyła koleżankom wyłącznie dlatego, że w „Romie” można było spotkać interesujących chłopców. O pieniądze martwić się nie musiała, rodzice solidnie zaopatrzą ją na przyszłość, a przy jej głowie do interesów pomnożenia majątku murowane. Dlatego przydałby się jakiś inteligentny narzeczony... Nie musiałby być bogaty, byle był towarzysko ustawiony, z dobrej, uznanej rodziny z tradycjami. Może przyszły lekarz albo jaki mecenas?

Ostatecznie mógłby być obiecującym malarzem o zamglonych oczach i uduchowionej twarzy. Malowałby przepiękne portrety swojej żony i akty, których zazdrościliby jej wszyscy na mieście. O majątek nie będzie musiał się martwić. Zarabianiem pieniędzy już ona sama się zajmie i jej w tym głowa, żeby nigdy niczego im nie zabrakło. Jadzia aż się oblizła w duchu na myśl o tak interesującym mezaliansie. Weseli batiarzy, rozśpiewani, rubaszni i prostoduszni, zawsze skłonni do bójek i do igraszek, byli dobrymi kompanami niedzielnych zabaw na Łyczakowie. Nawet czasem pozwalała się któremuś obściskać w ustronnych alejkach, ale na męża żaden się nie nadawał. Jej ambicje sięgały wyżej. Jadzi nieodmiennie marzyła się przyszłość u boku doktora albo mecenasa... Ostatecznie jakiegoś profesora.

Dokończyła swojego pampucha, popiła lemoniadą i wytarłszy usta elegancką serwetką, z zainteresowaniem powiodła wzrokiem po sąsiednich stolikach.

– Patrzcie! – syknęła naraz, ścisząc głos.

Stoliki w sali „Romy” były z zewnątrz słabo widoczne, gdyż od ogromnych okien odbijały się promienie słońca. Mimo to dało się dostrzec, że przy jednym z nich, pochylony nad czymś w skupieniu, siedzi obiekt zbiorowych westchnień gimnazjalistek z „Magdusi” – Orest Bonder.

Przystojny, smagły Rusin miał wydatne usta i oczy czarne jak węgle, patrzące chmurnie spod ściągniętych zazwyczaj brwi. Jeszcze niedawno uczeń sąsiedniej męskiej szkoły „białej”, zwanej tak w odróżnieniu od czerwonego budynku „Magdusi”, obecnie był studentem trzeciego roku wydziału lekarskiego. Wyróżniał się aparycją filmowego amanta i nie było panny ani mężatki, która by się za nim nie obejrzała, posyłając mu zalotne spojrzenie. Jedne robiły to jawnie, a te bardziej nieśmiało zerkały spod spuszczonej powiek. On sam rzadko obdarzał którąś uwagą, zupełnie jakby nie robił na nim wrażenia fakt, że jest obiektem zainteresowania połowy lwowianek.

Obsługiwała go fertyczna kelnerka o zalotnym uśmiechu. Zabawiła przy jego stoliku nieco dłużej, niż to było konieczne, pomachała ze zniecierpliwieniem na dwie klientki pod oknem, przywołując ją bezskutecznie od dłuższej chwili. Po Lwowie krążyły słuchy, że nawet piękna Julia, żona profesora Kostrzewskiego, straciła dla Oresta głowę.

– Boże, jaki on piękny! – jęknęła Jadzia. – Nawet piękniejszy niż Żabczyński...

– Idź, zapytaj, może da ci swoją podobiznę. Będiesz mogła powiesić nad łóżkiem obok nowego Żabczyńskiego – złośliwie podpuściła ją Szczurek, nie mogąc sobie odmówić złośliwości. Marysia Szczurko była najmniej urodziwa ze wszystkich dziewcząt i nie mogła liczyć nawet na skromne tête-à-tête z najprzystojniejszym studentem we Lwowie. Mimo że poznała go jeszcze w szkole, dałaby sobie rękę uciąć, że Bonder jej nie pamięta i nie ma pojęcia o jej szczurkowatym istnieniu. Za wysokie progi na pańskie nogi, jak mawiał dziadek.

– A żebyś wiedziała! – odparła Jadzia, wprawiając koleżanki w osłupienie. Zerwała się z krzesła, wydeła wargi i powiódłszy po dziewczętach pogardliwym spojrzeniem, oświadczyła: – Wielkie mi męcyje! O maturze gadają, o równouprawnieniu, a jak się na horyzoncie atrakcyjne portki pokazują, to nagle tracą rezon. A co to, ja jakaś gorsza jestem, żebym miała czekać, aż męczyzna zwróci na mnie uwagę? Moja mama sama zaciągnęła tatę do ołtarza, to żaden wstyd. Powiedziała, że jak chłopak jest naprawdę zainteresowany dziewczyną, to głupieje z kretesem. To wy tu sobie z Bogiem czytajcie te poezje, a ja idę do domu.

Jednak zamiast udać się w stronę ulicy Kochanowskiego, gdzie mieszkała w jednej z dwóch kamienic należących do jej rodziców, weszła do wnętrza kawiarni, nie zwracając uwagi na wykrzywioną z niesmakiem minę Marysi Baczyńskiej. Przez szybę widziały, jak Jadzia zmierza prosto do stolika chłopaka. Po kilku minutach oboje wyszli na ulicę. Orest sprawiał wrażenie nieco zaskoczonego, lecz szybko przejął inicjatywę. Za to Jadzia nie kryła dumy. Ledwie rzuciła okiem na oniemiałe koleżanki, uniosła wysoko głowę, wyprężyła biust i pozwoliła chłopakowi poprowadzić się w kierunku parku Stryjskiego.

Kiedy mijali stolik, przy którym siedziały, Lilce wydało się, że Orest na ułamek sekundy przeszył ją wzrokiem. Poczła dziwny chłód wokół serca. Jego oczy miały piękną oprawę długich, ciemnych rzęs, ale pozbawione były ciepłego blasku. Świdrowały, przywodząc na myśl studnię; głęboką i niebezpiecznie zdradliwą. Niespodziewanie stanęła jej przed oczami jasna twarz Wiktora.

Lilka od samego rana kombinowała, jak by tu się znaleźć sam na sam z Marysią Baczyńską. Na każdej pauzie jednak otaczał je rozgadany wianuszek koleżanek, jak papugi prześcigających się w ćwierkach, piskach i podnieconych okrzykach. Jej powrót do szkoły, po tak długiej nieobecności – w dodatku trochę owianej tajemnicą, gdyż rodzice zadbali, aby sprawa niefortunnego wypadku nie rozniosła się zbyt szerokim echem, będąc pożywką dla plotek – stanowił nie lada atrakcję. Przez wszystkie pauzy musiała odpowiadać na pytania, ściskana, poklepywana i zasypywana opowieściami o wydarzeniach szkolnych, które ją ominęły.

Dopiero po wyjściu z „Romy” nadarzyła się okazja. Mieszkały w tej samej części miasta, niedaleko Placu Krakowskiego i często wracały razem ze szkoły. Lilka lubiła towarzystwo Marysi między innymi dlatego, że dobrze się z nią milczało.

Marysia różniła się od pozostałych dziewcząt. Nie było w niej nieodpartej chęci mówienia o sobie, tak męczącej u Wandy Daszyńskiej, nie analizowała na forum swoich stanów i nie zamęczała przyjaciółek łązawymi opowieściami o chłopakach jak Jadzia Cwinarska. Nie miała, jak Szczurek, owej sarkastycznej złośliwości, każącej wszystko ironicznie komentować, co czasem Lilkę niepomierne złościło. Potrafiła słuchać, była taktowna i powściągliwa.

A miałyby co opowiadać. Niejednego chłopca zwiódł wygląd słodkiej, łagodnej blondyneczki, niejeden dał się nabrać na rozmarzony, myląco naiwny wyraz błękitnych oczu. Na widok Marysi większość przedstawicieli płci męskiej czuła w sobie lwa. Ci bardziej pewni siebie, przekonani o własnej wspaniałości, zaczęli prężyć muskuły i jak koguty stawali do walki o względy dziewczyny. Do czasu, gdy nie padli rażeni celnym, a ostrym dowcipem, burzącym pozornie wspaniałą fasadę i bezlitośnie obnażającym intelektualną miernotę. Podkulali wówczas ogony i odtąd trzymali się z dala od Marysi, zadowolając się mniej wybrednymi pannami. A ona mogła oddać swoje serce tylko komuś naprawdę wyjątkowemu i spokojnie czekała na tę wielką miłość, nie rozmieniając się na drobne.

Na wysokości wiekowych potężnych lip, strzegących wejścia na uniwersytet, Lilka nie wytrzymała.

– Powiesz mi wreszcie...

Marysia uśmiechnęła się z przekąsem.

– Mnie też nie chciałaś oglądać – wypomniała. – Pytałam twoją mamę, czy mogę przyjść... – zaczęła,

ale widząc zrozpaczoną minę koleżanki, sięgnęła do torby. – Masz, odpisałam mu. Przychodziły te listy, pewnie coraz bardziej rozpaczliwe... Nie patrz tak, przecież nie czytałam. Mogę sobie wyobrazić, co czuje zakochany mężczyzna, gdy jego luba milczy jak zaklęta i nie odpowiada na listy. A swoją drogą mogłaś...

– Nie mogłam – przerwała Lilka stanowczo. – I nie chcę o tym mówić.

W oczach Marysi błysnęło współczucie.

– Bierz. – Wyciągnęła rękę z listami. – Napisałam, że byłeś w szpitalu, ale już wszystko dobrze. Ledwie go powstrzymałam, tak się pchał z przyjazdem. Twoi rodzice nie byłiby, zdaje się, szczęśliwi... Ależ on musi cię kochać! – westchnęła z zazdrością. – No leć już, leć – dodała wyrozumiale. – Przecież widzę, jak cię trotuar parzy w podeszwy.

Dopiero po obiedzie, który jak na złość składał się dziś aż z trzech dań i deseru, Lilka zamknęła się w łazience. Tylko tam mogła być pewna, że nikt jej nie będzie przeszkadzał. W domu nadal obchodzono się z nią jak z jajkiem, ale Michaś był jeszcze zbyt mały, by rozumieć, że prawie dorosła kobieta, szczególnie gdy jest zakochana, potrzebuje czasami chwili samotności. Wpadał zazwyczaj jak burza do jej pokoju, ładował się na kolana i żądał nowych opowieści o Indianach albo grzebał w książkach.

Na szczęście mama z ojcem już się chyba pogodziła, bo ojciec bywał na Żółkiewskim Przedmieściu coraz częściej. Kilka razy został nawet na noc, po tym jak wspólnie urządzili brydżowe przyjęcia dla znajomych. Lilka podsłuchiwała, jak kucharka mówiła do posługaczki, że teraz tylko patrzeć, jak przychówku przybędzie. Nie miałyby nic przeciwko nowemu braciszкови, choć z oczywistych względów wolałyby siostrę, najbardziej jednak cieszyło ją, że atmosfera w domu znowu zaczęła być taka jak kiedyś.

Mama chodziła tanecznym krokiem, jakby unosiła się nad ziemią. Znowu spędzała przed lustrem długie minuty, z uwagą poprawiając na ustach karminową czerwień i starannie tuszując rzęsy. W jej szafie przybyło parę nowych sukien i przepiękny, wiosenny płaszcz w kolorze gołębiopopielatym, podkreślający kolor oczu. Ojciec obsypywał ją kwiatami i czekoladkami, a pewnego razu zawiesił jej na szyi platynowy wisior w kształcie żółwia, ozdobiony maleńkimi diamentami.

Marianna pięknie się zarumieniła i obdarowała męża namiętym pocałunkiem, nie zważając na obecność dzieci i służby. Michaś piszczał z uciechy, Jakub chrząkał, a Lilka była tak rozradowana, że nie mogąc się powstrzymać, rzuciła się ojcu na szyję.

Jeszcze tego samego dnia w holu pojawiły się dwa wielkie kufry z rzeczami Gustawa, które przyjechały z Winniczek. Znowu w domu było jak dawniej i Lilka mogła wreszcie w spokoju zająć się swoim uczuciem, ostatnio z lekka zaniedbanym.

W przestronnej łazience oprócz umywalki i bidetu znajdował się również porcelanowy zbiornik do mycia nóg oraz białe kredensy na bieliznę pościelową i ręczniki. W zeszłym roku pani domu zarządziła remont i obecnie łazienka zyskała nowy, elegancki sznyt. Białe kafle lśniły jak wypolerowane, a geometryczny, czarny wzór na podłodze przykuwał uwagę. Jednak najbardziej cenny przedmiot stanowiła, zrobiona na zamówienie przez wiedeńskiego rzemieślnika, muszla sedesowa w stylu secesyjnym, z deską w jasnobłękitne kwiaty irysów. Również wanna na złożonych, lwich łapach była ozdobiona powtarzającym się motywem błękitnego irysa.

Lilka napuściła do niej wody i upewniwszy się, że drzwi są porządnie zamknięte, zanurzyła się w pachnącej, ciepłej pianie. Mama zapukała dwa razy, pytając, czy nie potrzebuje pomocy przy myciu włosów, ale została odprawiona z kwitkiem.

*...Moja ukochana, moja jedyne, cudna... Każdy dzień jak obcość wybucha w codzienność. Samotny czas przepływa mi przez palce; jak różaniec obracam go w rękach, odliczając dni do naszego*

spotkania. Dni ulatują w trwozę o Ciebie... Nie wiem, czy w sercu masz jeszcze dla mnie ów maleńki skrawek, w którym kiedyś zamieszkałem i z którego tak łatwo mnie nie eksmitujesz. A nawet gdybyś to uczyniła, powrócę tysiącem myśli, wspomnieniem ciepłego wiatru; jakimś nagłym a nieuchwytnym wrażeniem, trzepotem firanki u okna i niespodziewanym zapachem traw, przywianym znad łąk. I zaplątany w Twoje włosy zapragnę już nie otworzyć oczu... nigdy.

...Nie piszesz, nie przychodzisz do mnie nawet we śnie. Nie ma Cię czy nie ma Cię dla mnie? W drzewach dojrzewasz, w słowiczą spowita sukienkę, przepływasz pod powiekami, kąpiesz się w jeziorach żalu. Nie śpię, bo po co, nie jem, za oknem brzęczą natrętne muchy, jak moja samotność. Wszystkie kobiety mają Twoją twarz...

Dziś wreszcie los się nade mną ulitował. Marysia B. napisała do mnie kilka słów. Usilnie prosi, żebym nie przyjeżdżał i nie robił ci kłopotów. Moja droga, jedyna, jak mam tu normalnie żyć, kiedy Ty jesteś tam i nic o Tobie bliższego mi nie wiadomo? To ponad moje siły. Chodzę na wykłady, nawet próbuję trochę pisać, zwłaszcza że „Wiadomości Literackie” proszą o więcej. Moja książka z opowiadaniem też już prawie na finiszu. Jedno opowiadanie jest o Tobie, o nas. Miałem wysłać je listem, ale pomyślałem, że przeczytam Ci sam... kiedy się spotkamy. W początkach lipca rozpoczyna się w Brzuchowicach turnus dla dzieci z ubogich rodzin, na który przez cały rok zbieraliśmy fundusze. Zgłosiłem się na opiekuna i już za kilka tygodni znowu Cię zobaczę. Jedyne nadzieja pozwala mi przetrwać nieznośną rozłąkę...

Tylko prawdziwy poeta mógł tak pięknie pisać o miłości. Co tam kuzyn Marysi i jego wiersze! Ona miała swojego Wiktora, jedyne i niepowtarzalne, o pięknym sercu i wrażliwej duszy. Czytała listy tak długo, aż wreszcie nauczyła się ich na pamięć. Chodziła po domu z błyszczącymi oczami, mamrocząc pod nosem całe akapity, to znów zastygała z uniesioną dłonią. Mrużyła powieki i gładząc powietrze, usiłowała przypomnieć sobie kształt jego głowy, miękkość włosów. Wyobrażała sobie, że stoi tuż za nią, i prawie czuła jego zapach.

Jaka była głupia, że odizolowała się od świata na tyle tygodni! Zamknęła się w sobie i dobrowolnie, na własne życzenie odcięła od słów, które były jej potrzebne jak powietrze, jak słońce. Jak mogła żyć, nie znając Wiktora? Jak puste i głupie są jej dni wypełnione szkołą, błahymi spotkaniami i przypadkowymi ludźmi! Nagle wszystkie kłopoty wydały się nieistotne. Z lubością powtarzała w myślach: „moja ukochana, jedyna”. Jeszcze nigdy tak się nie czuła, jeszcze nikt tak pięknie jej nie kochał.

Trwała w tym stanie jeszcze przez kilka dni, nie zwracając uwagi na coraz bardziej zdziwione spojrzenia domowników.

– Boli cię co? – zainteresował się w końcu Michaś, wchodząc do salonu.

Siostra, zwykle skora do zabaw, wyglądała, jakby spłynęła na nią światłość wiekuista. Podobny wyraz twarzy miała tylko siostra katechetka, gdy opowiadała, jak Bernadecie ukazała się Matka Boża.

Lilka siedziała nieruchomo, ze wzrokiem bezmyślnie wbitym w ścianę i uśmiechała się głupkowato do *Dziwnego ogrodu* Józefa Mehoffera, ulubionego obrazu mamy, sprezentowanego przez ojca na piętnastą rocznicę ślubu.

Mama zawsze powtarzała, że nagi chłopiec z kwiatkami, w arkadyjskiej scenerii, jako żywo przypomina jej synka, i dlatego Michaś nie znosił tego głupiego obrazu. Trochę też się go bał. Dziwny niepokój i przerażenie wzbudzała w nim, niewidoczna na pierwszy rzut oka, monstualna wałka, odstająca od sielskiej atmosfery. Była jak przyczajony drapieżnik, wyczekujący stosownej chwili, by



zaatakować znieca, burząc spokój ogrodu...

Najczęściej Michaś omijał wzrokiem obraz, lecz jakoś nie przyszło mu do głowy poprosić mamę, żeby przeniosła go do swojej sypialni, w której on od kilku miesięcy przestał być częstym gościem. Był już prawie dorosły i jak każdy dorosły człowiek przesypiał noc we własnym łóżku. Poza tym uważał, że wcale nie przypomina błękitnookiego malca z obrazu, biegającego na golasa i w dodatku bawiącego się kwiatkami jak jakaś baba.

Jedno, co w pojęciu Michasia łączyło go z mehofferowskim chłopcem, to wieczna, uciążliwa obecność mamy. A także niani, taty, ciotek, Lilki, Jakuba i wszystkich tych, którzy odczuwali ustawiczną potrzebę opiekowania się nim. Za dzieciakiem na obrazie również kroczyła mama, a w tle widać było czujną nianię.

A przecież Michaś doskonale potrafił sobie radzić sam. Był chłopcem bystrym i rezolutnym; mama nawet niekiedy narzekała, że zbyt lotnym i rozgarniętym jak na swój wiek. Czasem, gdy zmęczona rodzicielka odpoczywała w swoim buduarze, a w kuchni odbywało się cotygodniowe pandemonium, zwane gotowaniem bielizny, i w całym domu panowało zamieszanie oraz rwetes, wymykał się po kryjomu i zanim ktokolwiek się zorientował – w tajemnicy odwiedzał swoje ulubione miejsca.

Przedmieście Żółkiewskie, ogromny obszar zamknięty z jednej strony ulicami Szpitalną i Źródlaną, z drugiej górą Zamkową i dobrami pod Łysą Górą i Kisielką, a od południa placami Gołuchowskiego i Krakowskim, nosił w sobie od wieków cechy wybitnie żydowskie i stanowił dla Michasia niewyczerpane źródło fascynacji. Małe sklepiki i zakłady przyciągały chłopca jak magnes.

Najbardziej lubił zapach sklepu przy warsztacie powroźnika Franciszka Marschalla na ulicy Tatarskiej. Już od progu uderzała w nozdrza woń konopi, którą mógł wdychać bez końca. Sklep był pełen kłębków szarego i barwionego szpagatu, grubych lin, powrozów, gurtów, szlei, płóciennych konwi i węży pożarniczych, wzbudzających zrozumiały podziw Michasia. Część towaru ułożono na pokaz w kształtną piramidę sięgającą od podłogi po sufit, reszta, upchana na wysokich regałach, zajmowała całe wnętrze.

Pewnego razu właściciel, dojrawszy małego chłopca, który z otwartą buzią przycupnął w kącie, nabożnie gładząc zwój grubego powrozu, skinął na niego i kazał mu iść za sobą. Michaś nie był strachliwym dzieckiem, pana Marschalla znał, czasem przychodził do sklepu z ojcem, więc bez ociągania za nim podążył. Przeszedłszy przez podwórze, znaleźli się w długim, wąskim budynku, na końcu którego ustawiono motowidło.

Michaś od pierwszej chwili zapałał wielką miłością do owego urządzenia i godzinami mógł obserwować, jak maszyna chwytła konopne włókno, by następnie skręcać je na cieńsze bądź grubsze sznury. Mechaniczną czynność nadzorował robotnik zwrócony twarzą do kołowrotka. Cofał się powoli, urabiał odpowiednio w palcach przędzę wyczesanych konopi wyjmowaną z podwiniętego fartucha, i podawał ją wirującemu przyrządowi, który wykańczał robotę.

Ojciec nazywał warsztat pana Marschalla prymitywną manufakturą, ale dla małego chłopca było to istne królestwo. Kiedy w swoich wędrówkach zapuścił się tam po raz pierwszy, obiecał sobie, że jak dorośnie, też będzie miał taką prymitywną manufakturę, choćby w tym czasie świat pobiegł do przodu, a wytwarzanie lin i sznurów udoskonalono po tysiącokroć.

Projekt posiadania warsztatu powroźniczego przetrwał zaledwie kilka tygodni. Do czasu, gdy w swoich potajemnych wędrówkach malec zapuścił się w okolice fabryki Mozera. Oprócz pospolitych części składowych do maszyn i narzędzi rolniczych odlewano tam również dzwony ze szlachetnego brązu z domieszką srebra. Michaś wciskał się między zabudowania fabryczne i ukryty w wysokiej trawie niekiedy bywał świadkiem pewnej solennej ceremonii, zwanej próbą dzwonu, gdy to umiejętnymi uderzeniami o kresę odlewu wydobywano z niego metaliczne dźwięki. Chłopca zachwycało, że dzwon już dzwoni, chociaż jeszcze nikogo nie nawołuje na nabożeństwo.

Michaś, mimo swoich kilku lat, znał już dobrze Lwów. Od małego prowadzano go pod Kopiec Unii Lubelskiej, na Wysoki Zamek, Lwią Górę, uczono rozpoznawać wieże: kwadratową ratusza, a zdobną w hełm Katedry oraz przysadziste kopuły dominikanów i Świętego Jura. Ojciec uczył go symboli fontann na rynku, pokazywał kamienne lwy ratuszowe, kamienicę „czarną”, Sobieskich, kaplicę Boimów, Teatr Skarbkowski oraz budynek Ossolineum.

Najbardziej lubili się zatrzymywać pod konsolami balkonowymi przy rynku. Przyglądał się wtedy maskaronom o diablích twarzach, a kamienne kariatydy, prężące się nad jego głową, jednocześnie przyciągały i przerażały malca. Jednak nic nie mogło się równać z wrażeniem, jakie wywierał na chłopcu męski odpowiednik kariatyd – potężny atlant, dźwigający balkon kamienicy Zuchorowiczowskiej pod numerem czterdziestym. Zastygły w kamieniu muskularny olbrzym pozbawiony nóg, jakby w obawie, że pewnego dnia zechce porzucić niewdzięczne zajęcie, z zaciętym obliczem i niewidzącym spojrzeniem, budził w Michasiu nieopisane współczucie.

Wyprawy trwały od kilku miesięcy. Zdążył jeszcze poznać stolarnię pana Langnera o pogodnej, lekko zaczerwienionej twarzy, za którym ciągnęły się zapachy karuku i politory, antykwariat starego Grunda, ciemny, pełen książek i drobinek kurzu unoszących się pod sufitem, oraz Zakład Cukierniczy sióstr Zaleskich, gdzie zawsze częstowano go murzynkiem albo bałabuchem. Zamierzał zapuścić się jeszcze w rejony lakierni pana Królickiego, gdzie w pokornym oczekiwaniu na remont stały na zewnątrz szopy rozmaite dorożki, fiakry i bryczki i skąd zawsze dobiegały dźwięki bałabajki, ale właśnie wtedy wszystko się wydało.

Pewnego razu ojciec po kryjomu poszedł za Michasiem. Trzymał się w pewnej odległości, dość daleko, aby syn go nie widział, na tyle jednak blisko, by interweniować, gdyby chłopiec wpakował się w kłopoty. Michaś szedł zamaszystym krokiem, wymachując rękami. To kopnął kamyk, to znowu zatrzymał się na chwilę przy psie obszczekującym go przez ogrodzenie jakiegoś domu, lecz mimo wszystko sprawiał wrażenie, że doskonale wie, dokąd zmierza. Na początek wstąpił do cukierni sióstr Zaleskich, ledwie dosięgając do klamki, a po chwili wyszedł stamtąd z wielkim ciastkiem w rękę. Zjadł je po drodze, nawet nie zwalniając kroku, a następnie zniknął za rogiem ulicy. Gustaw, chowając się po bramach kamienic, podążał za rezolutnym malcem, przerażony, ale i ciekawy. Przeszli w ten sposób kawał Lwowa, aż Michaś zatrzymał się w końcu na Placu Smolki.

Stał tu pomnik Franciszka Smolki, a wokół niego gromadziły się dorożki w oczekiwaniu na klientów. Konie przestępowały z nogi na nogę, zanurzając łby w workach z obrokiem i nie zwracając uwagi na kręcące się pod kopytami gołębie, nerwowo usiłowały dokończyć posiłek. W każdej chwili mógł się pojawić klient, a wówczas woźnica bez pardonu zabierał owies i trzeba było czekać do następnej przerwy. Osiemdziesiąt groszy piechotą nie chodzi, a w przypadku dorożki parokonnej – nawet złoty dwadzieścia.

Michaś bez ociągania podążył w tamtą stronę, a fiakrzy zgotowali mu powitanie jak staremu znajomemu.

Dopiero wtedy ojciec się ujawnił. Dowiedział się od rozbawionych dorożkarzy, że Michaś czasem do nich zagląda, sprzedając im najczęściej głodne kawałki. Bajtuje jak najęty o swoim ciężkim życiu, sierocym losie i poniewierce. O swej trudnej doli opowiadał tak sugestywnie, że niemal skłonni byliby uwierzyć w jego batiarskie pochodzenie, gdyby nie białe, delikatne rączki z czystymi paznokciami, po których żadnej pracy nie znać, a także odprasowane, zadbane ubranie, butki chyba z samego Wiednia i włosy, puszyste i pachnące ziołowym szamponem.

Sympatyczni dorożkarze zazwyczaj słuchali, z powagą kiwając głowami, a potem któryś odwoził go do domu. Chłopiec zawsze prosił, żeby stanąć jedną ulicę wcześniej, lecz już dawno podejrzeli, że mały szpiczfinder przełazi przez płot i na skróty biegnie na sąsiednią parcelę. Sprawdzili nawet, do której

kamienicy wchodzi. Rozpuścili słuchy i dowiedzieli się, że kamienica należy do Gustawa Lindnera, ziemianina i właściciela stadnin pod Lwowem. Od tego czasu rytuał się powtarzał, a woźnice udawali, że wierzą hecownemu mikrusowi o bujnej wyobraźni.

Oszołomiony ojciec sam nie wiedział, czy ma być dumny z syna, czy złościć mu skórę, by na przyszłość malcowi odechciało się wycieczek krajoznawczych. Poszperał w kieszeniach, wcisnął fiakrom kilka groszy, a następnie powiedział do chłopca:

– W porządku, powiemy mamie, że razem poszliśmy na spacer. Gdyby się dowiedziała o tych twoich wyprawach, serce by jej pękło już na samą myśl, co mogło ci się przydarzyć. Poza tym... – spojrzał na syna z ukosa – od razu ubyłoby ci ze dwa lata, a chyba na tym ci nie zależy? No i oczywiście koniec z uciekaniem!

– Dobrze, tatusiu. – Michaś gorliwie pokiwał głową.

Gniew ojca bywał nieprzyjemny, ale stokroć gorsza była nieposkromiona nadopiekuńczość mamy. Gdyby się dowiedziała, to na wszelki wypadek albo wpakowałaby go do kojca, albo kazała niani znowu spać w jego pokoju. Nie na darmo wywalczył sobie tę odrobinę samodzielności, przynajmniej w nocy, żeby ją tak głupio tracić. Tato ma rację, w oczach mamy cofnąłby się w rozwoju do etapu czterolatka, którego cały dzień należy prowadzić za rękę. Wtedy już zupełnie nie miałby życia...

Koniec roku szkolnego zbliżał się wielkimi krokami. Niestety, jedynie w kalendarzu tak się spieszył. W świadomości oczekujących go uczniów włókł się niczym stara dorożkarska szkapą, która po każdym kolejnym kroku może wyzionąć ducha. Kasztany już dawno przekwitły, a z witryny cukierni Ludwika Zalewskiego zniknęły tableaux abiturientów męskich i żeńskich szkół gimnazjalnych, zgodnie z tradycją zdobiące ją w okresie przedmaturalnym. Nowi maturzyści z dumą już obnosili swoją dorosłość, kłując nią w oczy i wzbudzając zawiść w młodszych o rok kolegach, dopiero we wrześniu mających rozpocząć ostatnią prostą, na końcu której czekała upragniona wolność.

Pani Jałowowa, nie zważając na zbliżające się wakacje, na każdej lekcji maglowała swoje uczennice, jakby matura miała być już nazajutrz. Rozbiór zdania, gramatyka opisowa, ortografia, Mickiewicz, Słowacki, Prus... *Gilgamesz* mieszał się z *Wojną galijską* Cezara, a Lermontow zupełnie nieoczekiwanie stawał się twórcą *Eugeniusza Oniegina*, przy czym nie było pewności, czy Oniegin też przypadkiem czegoś nie napisał...

Wszystko się myliło, ciągle powtórki przynosiły coraz więcej załamania i rozpacz, a zdobyte wiadomości fruwały bezładnie po głowie i nie chciały wskakiwać do swoich szufladek.

Dziewczęta bez ustanku borykały się z wrażeniem kompletnej, przeogromnej pustki, a zagadnięcie zniecka o cokolwiek związanego z historią czy literaturą wywoływało popłoch w oczach oraz gorączkowe przeszukiwanie umysłu i notatek.

Pewnego razu, przed powtórką z historii u profesora Broniewskiego, Wanda postanowiła wprowadzić nieco humoru w grobową i napiętą do granic wytrzymałości atmosferę przedklasówkową. Z zafrasowaną miną podeszła do siedzących na szkolnym dziedzińcu zdenerwowanych koleżanek. W dłoni ścisnęła kajet.

– Słuchajcie – zaczęła żałośnie – już mi się wszystko myli. Bitwa pod Kaczą Łapą była w lipcu czy sierpniu? Byłam pewna, że w lipcu, ale teraz już sama nie wiem...

Zapadło milczenie.

– W sierpniu – niepewnie odpowiedziała Nina Dejnys, dając nura w podręcznik do historii. – Kacza Łapa... Kacza Łapa... – mruzczała, studiując spis treści.

Za to Olga Niementowska zupełnie jawnie zaczęła sobie rwać włosy z głowy.

– O Boże, nie wiem, nic nie wiem! Co to w ogóle za bitwa? Na pewno mnie o to zapyta... Cyngiel murowany! Mańka, kiedy to było?

– Kacza Łapa? – Marysia Baczyńska zmarszczyła nos. – Jesteś pewna?

– Oj, szukaj szybciej, zaraz dzwonek! – zaczęły się gorączkować dziewczęta.

Marysia dała się porwać ogólnej atmosferze fiksacji i trzęsącymi rękami przewracała kartki z notatkami.

– To chyba było wtedy, jak Krzyżacy zawarli z Janem Luksemburskim sojusz przeciwko Polsce... Chyba w tysiąc trzysta trzydziestym pierwszym, czy jakoś tak... – podpowiedziała niepewnie Sara Rothfeld, nerwowo drapiąc się po szyi.

– To była bitwa pod Płowcami, ty tumanie. – Marysia nawet nie podniosła głowy znad kajetu. – To musiało być raczej podczas wojny trzydziestoletniej. Tak mi coś świta...

Wanda już dłużej nie mogła powstrzymać śmiechu.

– Wy, ćmoki, można was kiwać, aż miło! Nie było żadnej Kaczej Łapy – rechotała na cały głos, trzymając się za brzuch. – Jak tak dalej pójdzie, to dacie sobie wmówić, że bitwę pod Grunwaldem wygrali Turcy, a na tronie polskim zasiadał chiński cesarz.

Ulga, jaką wszystkie odczuły, była tak wielka, że nawet się nie obraziły za ten dowcip.

Czasem jednak już naprawdę nie wiedziały, czy Dawid Copperfield był pisarzem, czy bohaterem literackim. Czy *Pustelnia parmeńska* przypadkiem nie jest Pustynią Parmeńską i czy *Ivanhoe* był anglosaskim rycerzem, czy też może indiańskim wodzem...

Przy tym ostatnim upierała się Jadzia Cwinarska, doprowadzając panią Jałowową do palpacji serca.

– Wodzem indiańskim?! Cwinarska, czyś ty rozum postradała? Krzyżowiec?

Obfita pierś nauczycielki zafalowała niepokojąco, z ust wydobyło się ciężkie sapanie. Pani Jałowowa przypominała w tej chwili lokomotywę, która ciężko wtoczyła się na stację. Ubrana w czarny kostium z purpurową lamówką przy żakiecie, taką samą jak czerwona stójka bluzki, niczym parowóz przetaczała się po klasie, wbijając potępiające spojrzenie w zupełnie niespeszoną sytuacją Jadzię.

– A to krzyżowiec był? Jest pani pewna? – Jadzia zmarszczyła brwi z niedowierzaniem. – Ale nazwisko takie bardziej indiańskie...

Nie zamierzała tak szybko dać za wygraną, mimo że od dłuższej chwili Lilka szturchała ją ołówkiem w plecy.

– Zamknij się, nasermater, zamknij się natychmiast, bo będziemy tu siedzieli do wieczora... – wysyczała wściekłym szeptem.

– Lindnerówna, chciałaś nam coś powiedzieć?

Pani Jałowowa, choć ociężała w ruchach i obfita w biuście, miała słuch młodej sowy.

– Chciałam podpowiedzieć koleżance Cwinarskiej, kim był *Ivanhoe* – wyrecytowała Lilka na jednym wydechu.

– Hmm... a mnie się zdawało... No dobrze. – Nauczycielka w końcu machnęła ręką. – Powiedz jej, może ty zdołasz ją przekonać, skoro ja poniosłam klęskę. Co nie zmienia oczywiście faktu, Cwinarska – zwróciła się do Jadzi – że jeszcze przed końcem roku zgłosisz się do mnie z przeczytaną lekturą – zakończyła, wzdychając smętnie.

Po tylu miesiącach pracy ona też była już zmęczona i nie mogła się doczekać wakacji, a sytuacje takie jak dzisiejsza stawiały pod znakiem zapytania cały trud włożony w wykształcenie dziewcząt. Ledwie ochłonęła po awanturze, do której doszło w klasie na lekcji profesora Broniewskiego, a już musiała się zmierzyć z nowym przejawem ignorancji.

Była nauczycielką od prawie czterdziestu lat i coraz mniej rozumiała zarówno świat, jak i młodzież. Wydawało jej się, że jeszcze nigdy młodzi ludzie nie prezentowali tak bezmyślnych i roszczeniowych postaw, jak w tych nowoczesnych, zwariowanych czasach, gdy życie nieoczekiwanie nabrało szaleńczego tempa, a odległości się skróciły. Wystarczyło wsiąść do pociągu i po kilku godzinach wygodnej jazdy



stawało się w Wiedniu. A po kilkunastu godzinach w Paryżu.

Nie mówiąc już o tym, że coraz prężniej rozwijały się towarzystwa lotnicze i wspomnianą trasę można było pokonać jeszcze szybciej. Od czasu, gdy na terenie Targów Wschodnich zorganizowano pierwszą Ogólnopolską Wystawę Lotniczą, samoloty stały się coraz bardziej popularnym środkiem lokomocji. Nikogo już nie dziwił codzienny widok błyszczących maszyn startujących z pobliskiego lotniska w Skińowie. Regularne trasy lotów prowadziły do Warszawy, Bukaresztu, Sofii, Salonik i wielu innych miast, które nagle znalazły się na wyciągnięcie ręki.

Dotyczyło to, rzecz jasna, jedynie nieodpowiedzialnych osobników bez wyobraźni; ona sama za nic w świecie nie wsiadłaby do tego żelaznego potwora, wychodząc z założenia, że gdyby Pan Bóg chciał, aby ludzie latali, to dałby im skrzydła. Dyrektor Opiełka podśmiewał się po cichu z pani Jałowowej, głośno zaś przekonywał, że skrzydeł może i Pan Bóg poskąpił, ale za to podarował człowiekowi coś cenniejszego – rozum, aby używając go, pokonywał bariery wynikłe z anatomicznych niedoskonałości.

Jednak mimo swego niewątpliwego autorytetu nawet on nie był w stanie przekonać nauczycielki.

Od jakiegoś czasu ubolewała nad tym, że dorośli, zachłysłni wolnością, skupili się wyłącznie na ułatwianiu sobie życia, rekompensując sobie trudne czasy wojny i kryzysu, i jakby zapomnieli o prawdziwych wartościach. O tym, co naprawdę się liczy. Takie postawy przekazywali młodzieży, a ta, przyglądając się wygodnemu światu, chciała mieć wszystko od razu, niecierpliwie i bez wysiłku, w przekonaniu, że jej się należy.

Po lekcjach włączyli się po Pasażu Mikolascha, Hausmana albo po Korsie, zaglądali do sklepów, przesiadywali w kawiarenkach czy kinoteatrach. Nic dobrego z tego kina być nie mogło, a namnożyło się ich ostatnio we Lwowie jak grzybów po deszczu: „Apollo”, „Atlantic”, „Casino”, „Miraż”, „Palace”... Dobrze ponad dwadzieścia! Bilety kosztowały kilka groszy i prawie każdego było na nie stać, nie mówiąc o jej uczennicach, w większości wywodzących się z dobrze sytuowanych rodzin. Łatwa rozrywka, tanie emocje... Młodzi wszystko wiedzieli lepiej, za nic mając autorytety.

Czasy mamy za dobre, westchnęła w duchu. Wolne, kolorowe, beztroskie... W takich czasach myśli się tylko o zabawie i nikomu nie chce się zbyt prędko dorastać.

Jak na zawołanie stanął jej w pamięci rok tysiąc dziewięćset osiemnasty, a potem dwudziesty i poczuła, że grzeszy takim myśleniem. Może i młodzież była wtedy inna, bardziej rozważna, odpowiedzialna, waleczna. Szanowała starszych i liczyła się z ich zdaniem. Z rozrzewnieniem przypominała sobie, z jakim nabożeństwem sama całowała ojca w rękę...

Ale czy to przypadkiem nie owe czasy, na które dziś tak narzeka, wymusiły wtedy na nich przedwczesną dorosłość? Młody człowiek powinien się bawić, uczyć życia, nawet jeśli robi głupstwa i popełnia błędy, podważa autorytety i przy okazji wyprowadza swojego nauczyciela z równowagi. Taka jest kolej rzeczy, takie są przywileje młodości i z pewnością nie należy do nich umieranie na barykadach, w piekle wojny, które zgotowali owi szanowani przez tamtą młodzież dorośli...

Popatrzyła na swoje dziewczęta i nagle przeszła jej cała złość. Niech gadają bzdury i głośno się śmieją. Niech nie pamiętają o zaborach, wojnach, a wolność traktują jak coś oczywistego. Niech się zakochują i wychodzą za mąż, rodzą dzieci, podróżują, cieszą się życiem. Mają do tego prawo. Są pierwszym pokoleniem, które przyszło na świat w wolnej Polsce, i to one będą wyznaczać standardy. Ona zaś zrobi wszystko, żeby zbudowały sobie dobrą przyszłość i były mądrymi ludźmi. A na razie muszą zdać maturę.

– I w związku z tym, Cwinarska, nie tylko przeczytasz powieść *Ivanhoe*, autorstwa, przypominam, sir Waltera Scotta, ale jeszcze napiszesz, czym charakteryzuje się bohater romantyczny. To ostatnie dotyczy zresztą was wszystkich. – Pani Jałowowa zakończyła na głos swój myślowy wywód, czym wywołała lekką konsternację klasy.

– Ale pani profesor, przecież to nie my uważaliśmy go za Indianina, tylko Cwinarska! – oburzyła się

Wanda Daszyńska. – Dlaczego my też mamy pisać?

– Bo myślałam, że wszystkie chcecie zdać maturę – ucięła pani Jałowowa i w tym momencie rozległ się dzwonek.

– I znowu będziemy kwitnąć nad książkami – prychnęła ze złością szczuplutka i nieduża Sara Rothfeld, tupiąc nogą. – To już się robi nudne. Myślałam, że pojedziemy wykapać się do Parku Narutowicza, taka pogoda, żal w domu siedzieć. Albo chociaż do Ogrodu Jezuickiego...

Od połowy maja z nieba lał się żar i nawet noce nie przynosiły wytchnienia. Ludzie snuli się ulicami ociężali od upału, unikając miejsc pozbawionych drzew. Tłoczyli się pod topolami Alei Akademickiej, błogosławiąc tego, kto wpadł na pomysł, żeby posadzone w dwóch rzędach drzewa połączyć rozpiętym na drutach dzikim winem, tworzącym swoisty zielony dach, przez który nie przedostawały się promienie słoneczne. Przysiadali na ocienionych ławkach i przyklejali się do sklepowych witryn osłoniętych markizami. Na szczęście we Lwowie łatwo było znaleźć ożywczy chłodek i nie trzeba było z tego powodu koniecznie wchodzić do parku. Wieże licznych kościołów i wysokie kamienice dawały schronienie przed słońcem. Cienie wydłużały się wraz z ubywającym dniem, a wesoło pluskające fontanny chłodziły rozgrzane ciała. W taki upał nawet śpiewać się nikomu nie chciało.

– Przecież nasza specjalistka od Indian urządza wieczorek taneczny, zapomniałaś? Dzięki Bogu, na tym zna się lepiej. – Szczurek nie mogła sobie odmówić złośliwości.

Sara się wykrzywiła.

– I tak bym nie przysła. Szabat. Mama już mi zapowiedziała, że przyjeżdżają dziadkowie i muszę siedzieć w domu.

Ortodoksyjni dziadkowie wprowadzali w życie spragnionej rozrywek wnuczki surowe zasady i wymagali ich bezwzględного przestrzegania. Na szczęście dla Sary mieszkali w Drohobyczu i nie pojawiali się częściej niż parę razy do roku. Rodzice byli mniej rygorystyczni i nie wymagali od córki tak bezwzględного posłuszeństwa, często przymykając oko na młodzieńczą niefrasobliwość. Liber Rothfeld, znany dentysta, prowadził własną praktykę lekarską i choć starał się nie pracować w soboty, zdarzało się, że ulegał i przyjmował pacjenta, któremu ból nie pozwalał czekać do poniedziałku. Żeby wilk był syty i owca cała – nie brał wtedy pieniędzy za usługę. Tym samym nie nazywał tego pracą, jedynie pomocą bliźniemu, co spotykało się z uznaniem gminy. Żydzi mieli swoje pomysły na obchodzenie uciążliwych nakazów religii.

Wieczorki taneczne u Jadzi Cwinarskiej od kilku lat stały się już tradycją. Jadzia była otwarta, towarzyska, miała wielu znajomych w różnych lwowskich szkołach i, co ważniejsze, nowy gramofon. Wprawdzie zawsze trafił się ktoś, kto siadał do pianina, ale jeśli w grę wchodził jazz czy ragtime – gramofon był bezdyskusyjną atrakcją.

Rodzice nie mieli nic przeciwko tym spotkaniom, co więcej, sami pomagali w organizacji. Mama Jadzi, pani Krystyna Cwinarska, nieraz zaglądała do salonu, gdzie młodzi tańczyli, niby to pod pretekstem sprawowania opieki nad nimi, ale w rzeczywistości dlatego, że lubiła ich towarzystwo. Ponadto miała zamiłowanie do wszelkich balów, zabaw, dancingów i najmodniejszych ostatnio – fajfów. Zdarzało się, że któryś z chłopców prosił ją do tanga. Była jeszcze fest kobietką, zgrabną, wesołą i skora do żartów, lecz gdy z gramofonu zaczynały płynąć rytmy charlestona, wycofywała się w pośpiechu, tłumacząc, że nie lubi takich nowomodnych wygibasów.

Tym razem spotkanie zapowiadało się wyjątkowo atrakcyjnie, gdyż Jadzia miała wreszcie przedstawić oficjalnego narzeczonego. Zapowiedziała ową sensację już tydzień temu, ale nie chciała zdradzić, kim jest szczęśliwy wybranek. Oświadczyła jedynie, że z wrażenia wszystkie pospadają z krzeseł. Po wakacjach zamierzała zgłosić go oficjalnie u dyrektora.

W niektórych szkołach, w tym również w „Magdusi”, utrzymał się jeszcze zwyczaj, że uczniowie i uczennice podawali nazwisko swojej oficjalnej sympatii, która tym samym zyskiwała status legalnego narzeczonego. Dzięki temu można było bez większych ceregieli odprowadzać się ze szkoły czy chodzić pod rękę do parku, bez obaw, że w razie przypadkowego spotkania nauczyciela będą nieprzyjemności. Oficjalny narzeczony był akceptowany przez rodzinę i grono pedagogiczne tak długo, dopóki jego nazwisko figurowało w szkolnym rejestrze.

Rzecz dotyczyła oczywiście starszej młodzieży, tych uczniów, którzy teoretycznie osiągnęli wiek stosowny do założenia rodziny, w praktyce jednak nikt za bardzo się tym nie przejmował. Rzadkością było, iż taki „narzeczony” zostawał w przyszłości prawowitym małżonkiem. Narzeczonych zmieniało się dość często i specjalny zeszyt założony w tym celu w sekretariacie z roku na rok robił się coraz grubszy.

Lilka wpadła do domu jak huragan. Miała kilka godzin, żeby zdecydować, w co się ubierze, umyć włosy, ułożyć fryzurę i poprosić ojca, by ją zawiózł. Jadzia mieszkała na Łyczakowie, na końcu ulicy Kochanowskiego, prawie przy Pohulance, i Lilce nie uśmiechał się spacer przez pół miasta. W ostatnich dniach, nie wiadomo dlaczego, tramwaje zapchane były do granic możliwości. Mogłaby, co prawda, spróbować wskoczyć w tramwaj linii numer dziesięć, a na Kilińskiego przesiąść się w jedynekę, lecz nawet wtedy kawał drogi zmuszona byłaby przebyć piechotą, ponieważ jedyńska w pewnym momencie skręcała w Świętego Piotra. Nie mówiąc już o tym, że mama nigdy by się nie zgodziła, żeby jej córka włóczyła się sama po Łyczakowie. Z nieodgadzionych powodów Marianna Lindnerowa lubiła Żółkiewskie Przedmieście, które przecież także nie należało do najbezpieczniejszych miejsc, a Łyczakowa nie cierpiała, uważając go za siedlisko batiarów, kryminalistów, podmiejskich lumpów, a w najlepszym razie spryciarzy, co to zabajtlują człowieka i z gołym tyłkiem puszcza.

Lilka nie podzielała tej opinii. Nie bała się Łyczakowa, zapuszczała się tam nieraz bez wiedzy mamy i zgadzała raczej z ojcem, dla którego batiar był równocześnie chuliganem i bohaterem w jednej osobie, spryciarzem i patriotą. I czy wywodził się z proletariatu, biedoty, czy też z państwa, tak czy owak prezentował typ romantycznego wagabundy, Dyla Sowizdrzała, miejskiego trubadura, z którym wystarczyło dobrze żyć, nie okazując swojej wyższości, żeby czuć się bezpiecznie.

Lilce bardzo zależało na wyjściu. Od czasu, gdy dostała zaległe listy od Wiktora, życie poweselało i nabrało nowych barw. Po chwilowej apatii spowodowanej nadmiarem przytłaczającego szczęścia, rozpierała ją energia. Już niedługo będą wakacje, już za chwilę zobaczy się z Wiktorem. Tęskniła za nim bez przerwy, dniem i nocą, w szkole, na spacerze, podczas lekcji i gdy czytała książkę. Przed oczami nieustannie miała jego twarz i oczy pełne ciepłych iskierek. Nosiła w sobie ten obraz i pielęgnowała jak najcenniejszą relikwię. Marzyła o dniu, gdy ukochany pogładzi ją po policzku dobrze zapamiętanym gestem, gdy znów usłyszy jego niski głos i będzie mogła wtulić nos w szorstki materiał niebieskiej bluzy, o ile jeszcze będzie ją nosił.

Widać jej zakochanie nie było z gatunku tych smętnych, kiedy to człowiek zamyka się przed światem i najchętniej spędzałby czas na romantycznym wzdychaniu i rozpamiętywaniu minionych chwil. Ona chciała się bawić, szaleć, spotykać z koleżankami i robić tysiące, miliony rzeczy! Nawet wizja przyszlórocznej matury przestała straszyć po nocach, a zaczęła się jawić jako upragniona przepustka do dorosłości... i Wiktora. Lilka miała tyle energii co średniej wielkości elektrownia. Nadal wprawdzie brakowało jej owych wielkich i doniosłych rzeczy, którymi mogłaby zadziwić świat i zyskać uznanie ukochanego, jednak budząca się intuicja młodej kobiety podpowiadała, że Wiktor kocha ją bardziej za dołeczki w policzkach, granatową głębię oczu i szczupłą talię, niż gdyby potrafiła rozwiązać problem głodu na świecie.

Nie miała mu tego za złe. Dla niego chciała być najpiękniejszą kobietą na kuli ziemskiej. Dla niego

codziennie szcztokowała długie niemal do pasa włosy i nie dała się namówić na ich skrócenie, choć we Lwowie, wśród modniś z różnych warstw społecznych, eleganek łasych na wszelkie nowinki, zapanowała akurat moda na fryzurę podpiętą do góry i zakończoną lokami, pracowicie wymodelowanymi na czubku głowy. Najłatwiej osiągało się ją z włosów średniej długości. Co elegantsza obwiązywała dodatkowo głowę kolorową chustką. Tak czesała się już pierwsza klasowa modnisia, Jadzia. Bez żalu pozbywszy się warkocza, wkroczyła odważnie na lekcję elegancji panny Duszenko, skąd została natychmiast wyproszona, z komentarzem, że wygląda jak praczka. Jej finezyjnymi loczkami zachwycił się jedynie młody profesor przyrody, Miecio Januszewski, ale ten nieodmiennie zachwycał się wszystkim, co dotyczyło uczennic. Natomiast pani Jałowowa niemal wpadła w szal na widok tej fryzury i lodowatym tonem oświadczyła, że jeśli Cwinarska zrobiła sobie taką ondulację na stałe, może się więcej nie pokazywać w szkole. Na szczęście okazało się, że Jadzia użyła piwa i zwykłych papilotów z gazety. Następnego dnia przysłała już gładko uczesana, z włosami związanymi w krótki kucyk, a za karę musiała pomóc woźnemu wyczyścić pulpity po lekcjach i poustawiać krzesła.

Zajęta wymyślaniami stroju na zabawę Lilka nie słyszała rozmowy rodziców. Za ścianą, w salonie, ojciec przemierzał nerwowo dywan z jednego końca na drugi, za każdym razem zatrzymując się raptownie przy samej krawędzi, jakby poza kwiecistym kobiercem rozciągało się wzburzone morze. Mama początkowo biegała za nim, w końcu jednak dała za wygraną i zdyszana opadła na fotel.

– Powiesz mi wreszcie, czy mam ducha wyzionąć?

– Nie mogę, jestem tak wściekły, że udusiłbym go własnymi rękami. To drań! Wyobrażasz sobie, że wytoczył mi proces!?

Marianna złapała się za serce.

– O Boże! Przeczuwałam, że to się tak skończy. Nic dobrego z tego wyniknąć nie mogło. Od początku czułam, że przez te lasy będą same nieprzyjemności. Po co ci to było, po co? Wszyscy powtarzali, żebyś nie robił interesów z Lenthenem, bo to pospolity aferzysta, co niejednego uczciwego człowieka do grobu wpędził.

– Przecież nie robiłem z nim żadnych interesów! – obruszył się Gustaw. – Kupiłem las od Pistynera! Rozumiesz? Od Pistynera! A ten... ten... – nie mógł znaleźć dostatecznie obraźliwego słowa – wyskoczył nagle jak filip z konopi ze swoimi roszczeniami!

– Bardzo proszę, nie podnoś głosu!

– Przepraszam, jestem zdenerwowany. Lenthen przedstawił radcy dokumenty, jakoby wcześniej wpłacił zaliczkę, a Pistyner go oszukał. Wziął zaliczkę, a lasy sprzedał komu innemu, podczas gdy rzekomo miały już właściciela. Jego.

– To niech wytoczy proces Pistynerowi, nie tobie – oburzyła się Marianna. – Przecież w takim wypadku o żadnych wątpliwościach mowy być nie może!

– Żeby to było takie proste! – zachnął się Gustaw. – Lenthena kłuje w oczy majątek, którego Pistyner dorobił się na nafcie.

Max Lenthen, znany we Lwowie przedsiębiorca, miał opinię aferzysty, który zawsze potrafi wyczuć korzystny interes. Ten człowiek o mentalności przebiegłego lisa, ze znajomościami w kręgach prawniczych i wśród urzędników w magistracie, utrzymywał stosunki towarzyskie z połową liczących się obywateli Lwowa. Kolekcjonował dzieła sztuki, brał udział w imprezach dobroczynnych i lubił się przedstawiać jako mecenas kultury. Gazety z lubością rozpisywały się o jego przekrętach, które on sam nazywał inteligentnym wykorzystywaniem luk w niedoskonałym prawie. Jednak niczego nigdy mu nie udowodniono. Jak kot potrafił spadać na cztery łapy, był mistrzem w unikaniu odpowiedzialności. W niejasnych okolicznościach stał się właścicielem kilku kamienic w samym Lwowie i wielu atrakcyjnych parceli w okolicy. Ciągnęły się za nim wieloletnie procesy oraz skandale, było jednak



zadziwiająco, że te incydenty nie wpłynęły negatywnie na jego pozycję towarzyską. Wielu znakomitych obywateli miasta uwielbiało błyskotliwego Holendra, którego rodzina przed laty osiedliła się we Lwowie, i chętnie go przyjmowało, a winę za procesy i pomówienia zrzucali na dziennikarzy, prowadzących przeciw niemu nagonkę i rozdmuchujących byle pretekst do rozmiarów wielkiej afery, szczególnie gdy sprawa dotyczyła tak bogatego i ekscentrycznego obywatela.

Na nieszczęście dla Gustawa Lindnera lasy na południe od Borysławia stanowiły dla Lentheny łakomy kąsek. Niedawno z wielkim trudem wyprocesował w tamtych okolicach okazały majątek Podhorodce i miał wielki apetyt na zalesione pagórki okalające posiadłość. Być może liczył, że jemu także się poszczęści i w borysławskiej ziemi, podziurawionej jak sito przez poszukiwaczy ropy, znajdzie na swoim terenie czarne złoto.

Gdy się dowiedział, że ktoś go uprzedził, wpadł w szał. Nie lubił przegrywać, traktował interesy jak sport, jak wyzwanie, więc wykorzystując wszelkie dostępne środki, próbował doprowadzić do unieważnienia transakcji.

Sprawa ciągnęła się już od zeszłego roku i nie zanosiło się na rychły koniec, bo Lenthen co rusz przedkładał nowe dokumenty i przedstawiał świadków. Z tego powodu wiele nieszczęścia spadło na siwą głowę Żyda Pistynera, wcześniejszego właściciela lasów, którego Holender oskarżał o oszustwo, przekręty i wszelkie możliwe machlojki. Byli podobno świadkowie, którzy słyszeli, jak się odgrażał, że kto zadziera z Lenthenem, ten pożałuje dnia, w którym się narodził.

Jednak Max Lenthen nie przypuszczał jeszcze, że trafił na godnego przeciwnika. Początkowo Gustaw zamierzał wycofać się z transakcji. Nie lubił problemów, a na spornym terenie zbytnio mu nie zależało. Potraktował go jak lokatę kapitału, inwestycję dobrą tak samo jak każda inna. Jednak gdy któregoś dnia, pod nieobecność rodziny, Lenthen ośmielił się, nieproszony, odwiedzić go w domu, zmienił zdanie. Rozmowa miała burzliwy przebieg, choć zaczęła się dość miło.

– Szanowny panie Gustawie – zaczął Lenthen z lisim uśmiechem, stając w drzwiach. – Wprawdzie nie jestem Polakiem, co już pan zapewne wie; odziedziczyłem po matce holenderskie obywatelstwo, ale Polak z Holendrem prędzej się dogada niż którykolwiek z nas z Żydem. I pan, i ja jedziemy na tym samym wózku. Ten parszywy Żyd oszukał nas obu, a teraz zaciera ręce. Dobrze pan wie, że gdyby w Polsce nie mieszkało ich tylu, nigdy nie byłoby zaborów. A teraz żyją sobie spokojnie między nami, mataczą, robią interesy naszym kosztem, wykupując naszą ziemię i pokrzykują, żeby dać im równouprawnienie. Jakże można równouprawnić kogoś, kto jest tu obcy, a w dodatku ma się za coś lepszego?

– Przepraszam, ale o co właściwie panu chodzi? – Cierpliwość Gustawa Lindnera powoli się wyczerpywała. W dodatku zaczął wątpić w inteligencję Lentheny, o której wiele słyszał. – Ja się nie czuję oszukany. Z Pistynerelem zrobiłem uczciwy interes. Mam wszystkie dokumenty świadczące o legalności transakcji i nie rozumiem, do czego pan zmierza.

Tamten nieprzyjemnie zmrużył oczy, w jego głosie zadźwięczały lodowate tony.

– Więc nie zamierza pan wytoczyć mi procesu?

– Nie zamierzam.

– Jeszcze pan pożałuje – syknął Lenthen, przestając się bawić w kurtuazję.

– Proszę natychmiast opuścić moje mieszkanie! – zażądał Gustaw kategorycznie, usiłując zamknąć drzwi. Intruz szybko wsunął w nie stopę.

– Jeszcze nie skończyłem. Przyszedłem tu po dobroci, myślałem, że jest pan rozsądny. Ale w takiej sytuacji...

– Żegnam pana! – Gustaw w dalszym ciągu napierał na drzwi. W pewnej chwili Lenthen odsunął nogę i zanim zatrzaśnięto mu drzwi przed nosem, zdążył się uśmiechnąć.

– Jeszcze zobaczymy, jeszcze zobaczymy... Przekona się pan na własnej skórze, jak nieopłacalne

bywają interesy z Żydami...

Po tym zdarzeniu Gustaw Lindner obiecał sobie, że prędzej trupem padnie, niż pozwoli, aby ten butny cham i antysemita osiągnął swój cel. Wynajął najlepszego prawnika w mieście, upewniwszy się przedtem, że nie łączą go z Lenthenem towarzyskie koneksje, i nie szcędząc pieniędzy, polecił mu reprezentować swoje interesy. Oświadczył, że jest gotów zrzec się ziemi na rzecz Pistynera albo i samego diabła, jeśli będzie trzeba, byle tylko ani jedno drzewo nie przypadło w udziale Lenthenowi.

W przestronnym i urządzonym z drobnomieszczańskim przepychem salonie państwa Cwinarskich, zdradzającym zarówno zasobność portfela, jak i gusta gospodarzy, tłumnie zgromadziła się młodzież. Jadzia, ubrana w elegancką sukienkę uszytą ze złotych pasów przetykanych tiulem, obcisłą w gorsie, luźno puszczonej dołem, z zasłoniętymi ramionami i głębokim dekoltem, wyglądała powabnie i dorośle. Kręciła się między koleżankami, wydymając czerwone usta i lekko mrużąc przyciemnione powieki.

– Chryste Panie, nie poznałabym Cwinarskiej na ulicy – zauważyła szeptem Janka Szymonowiczówna. – Widziałyście? Chyba rzęsy sobie dokleiła!

Sama pozowała na niedbałą o strój artystkę. Niedbałość była pozorna, wystudiowana, lecz doskonale wpisywała się w stylizację. Wprawne oko dostrzegłoby pierwszej jakości jedwab, z którego uszyto zieloną, prostą sukienkę, wzorowaną na japońskich kimonach, z lekko rozszerzonymi rękawami. Zapytana o oryginalny fason Janka odparła, że sama Elsa Schiaparelli pokazała się ostatnio w Rzymie w podobnej kreacji, więc one z mamą postanowiły sprawić sobie takie same, w czym pomogła im pani Ludwika, krawcowa z Mazurówki.

Długie, rude włosy zebrała w niedbały węzeł i upięła nisko na karku. Kilka wolno puszczonej loczków fruwało wokół twarzy, gdy dziewczyna energicznie kręciła głową. Chłopcy nie spuszczały z niej wzroku. Wyglądała jak szukająca natchnienia malarka albo egzotyczna gejsza, która znalazła się tu przez przypadek.

Pozostałe dziewczęta nie były tak odważne w ubiorze. Przeważały proste sukienki w drobną łączkę albo spódnice przed kolano, rozszerzane do dołu, żeby nie utrudniać ruchów podczas tańca. Za to prawie wszystkie panienki miały krótkie białe skarpety, w ostatnim czasie uchodzące za modne.

Jednak prawdziwą furorę zrobiła Wanda Daszyńska. Ojciec przywiózł jej z ostatniego rejsu do Ameryki prążkowane spodnie, najnowszy amerykański krzyk mody, w którym wysoka, długonoga Wanda wyglądała jak sama Marlena Dietrich. Przynajmniej dopóki przy marynarce nie urwał się guzik, a na jasnych spodniach nie rozkwitła czerwona plama z rozlanego przez nieuwagę wiśniowego soku.

Lilka, nawet gdyby chciała, nie miałaby szans na zbyt odważne podkreślenie urody. Mama była w tej kwestii staroświecka i nieprzejednana. Uważała, że w życiu córki przyjdzie jeszcze czas na modne fatałaszki i kosmetyki. Za rok, może dwa... Ale z pewnością dopiero po maturze. Największą ekstrawagancją, na którą mogła więc sobie pozwolić Lilka, było rozpuszczenie włosów. Poza tym musiała się zadowolić skromną, błękitną sukienką, której jedyną ozdobę stanowiło krótkie bolerko obszyte lamówką w drobne kwiatki.

Jednak to nie stroje najbardziej spędzały dziewczętom sen z powiek. Na wieczorkach tanecznych u Jadzi bywali studenci, z oczywistych względów najbardziej pożądani goście, chłopcy jakby z innego świata, nieco onieśmielający uczennice i wnoszący w chichotliwą atmosferę intelektualną powagę i upragniony powiew samodzielności. Przychodzili również zaprzyjaźnieni koledzy ze szkoły Jordana, ale nie mogli z nimi konkurować.

Dziś pierwsze skrzypce grał Orest Bonder. Bomba pękła, gdy po kolacji Jadzia, dumna niczym kolekcjoner prezentujący swój najcenniejszy okaz, przedstawiła towarzystwu narzeczonego.

– I zaraz po maturze chcemy się pobrać – zakończyła, przytulając się do ramienia chłopaka. Sięgała mu

nico powyżej łokcia, więc wypadło to dość komicznie. – Orest mówił, żebyśmy jeszcze nie ogłaszali, ale ja jestem taka szczęśliwa! – Zarumieniła się. – Moi rodzice się zgadzają, w przyszłym tygodniu idziemy z nowiną do ojca Oresta...

– Jeszcze nie ustaliliśmy dokładnie kiedy – odezwał się chłopak, patrząc w bok.

Lilka nie odnalazła w jego wzroku żadnych iskierek. Ani śladu tklivego spojrzenia, żadnego błysku w oku, który powinien mieć zakochany mężczyzna. Za to Jadzia tryskała radością, rozpiekało ją szczęście i trudno jej było utrzymać na wodzy emocje.

Orest zachowywał się raczej powściągliwie i z chłodnym dystansem. Być może nie lubił afiszować się z uczuciami, co w oczach Lilki liczyłoby mu się na plus. Sprawiał wrażenie skrytego i trudno było ocenić, czy to jego zwykłe zachowanie, czy może perspektywa ożenku z Jadzią nie wydaje mu się dostatecznym powodem do radości.

Nie było żadnych podstaw, by tak przypuszczać, a jednak Lilka czuła niepokój. Odnosiła irracjonalne wrażenie, że w tym człowieku jest jakiś niepokojący rys, coś dziwnego, co sprawiało, że ilekroć pojawiał się na horyzoncie, była wytrącona z równowagi i nie mogła pozbierać myśli. Jakby stale nosił w kieszeni niewidzialny magnes, który burzył spokój, jednocześnie przyciągając ludzi, mimo że sam Orest zachowywał się dość obojętnie i wcale nie zabiegał o zainteresowanie.

Uśmiechał się do Jadzi, taksował wzrokiem dziewczęta, gawędził z chłopcami, trochę tańczył, ale jednocześnie błędził myślami gdzie indziej. Lilka musiała jednak przyznać, że bardzo mu było do twarzy z tym chmurnym i trochę nieobecny spojrzeniem. Ciemne oczy, ukryte pod szerokimi brwiami, rozwichrzona fryzura i mocno zarysowana szczeka naznaczona niebieskimi śladami zarostu oraz niewielka szrama biegnąca w poprzek policzka tworzyły nader interesującą całość. Nosił w sobie jakąś tajemnicę, nieokreślony mroczny cień, który podobał się kobietom. Był bez wątpienia niezwykle przystojnym i interesującym mężczyzną i nie ona jedna zadawała sobie pytanie, w jaki sposób dość przeciętnej w gruncie rzeczy Jadzi udało się go tak omotać.

Szczurek nie bawiła się w ceregiele. Jak zwykle strzeliła prosto między oczy.

– Ho, ho! Cwiniarska, nie podejrzewałam, że potrafisz być taka skuteczna. Na co go złapałaś? Na biust czy na pieniądze rodziców?

– No wiesz! – oburzyła się Jadzia. – Jak możesz! Zazdrość przez ciebie przemawia, ot co! Zakochałam się z wzajemnością. Nie każda ma takiego pecha jak ty – odgryzła się biednemu Szczurkowi, bo też Marysia z reguły wybierała na obiekty swych westchnień młodzieńców niepodzielających jej uczuć w najmniejszym stopniu.

Wanda siedziała nieopodal, na oparciu fotela, zajęta rozmową z Niną Dejnisi, będącą dziś w wyjątkowo dobrym nastroju. Po długich staraniach udało jej się wreszcie zaliczyć matematykę, najbardziej nienawidzony przedmiot.

– Co do tej wzajemności, to bym dyskutowała... – mruknęła pod nosem Daszyńska, nie zwracając uwagi, że od dłuższej chwili intensywnie wpatruje się w nią piegowaty chłopak o pociągłej twarzy i rudych włosach, układających się nad czołem w imponujący czub, jakby jego właściciel chciał sobie dodać wzrostu.

– Zatańczy pani? – Rudzielec w końcu zdobył się na odwagę.

Mina nieco mu zrzedła, gdy Wanda podniosła się z fotela. Żeby spojrzeć jej w oczy, musiał zadzierać głowę. Na dziewczynie nie zrobiło to specjalnego wrażenia; przyzwyczała się, że jest wyższa od większości chłopców. Jednak rudzielec poczuł się nieswojo, zwłaszcza że Nina wyglądała, jakby miała za moment eksplodować z powodu tłumionego śmiechu.

Wanda z rezygnacją machnęła ręką.

– Dobra, możemy o tym zapomnieć... – westchnęła i na powrót ulokowała się na oparciu, ostentacyjnie

podciągając nogawki spodni, jakby na dodatek chciała zaprezentować rozmiar stopy i tym samym odstraszyć rudzielca na dobre. – Ja udam, że mnie nie poprosiłeś, a ty idź, szukaj odpowiedniej wzrostem.

– Na pewno nie! – zaprotestował chłopak stanowczo, rumieniąc się aż po cebulki ognistych włosów. Szybko odzyskał rezon. – My się jeszcze nie znamy, jestem Jurek Lerski. – Szarmancko szurnał butami. – Ja tu pierwszy raz... Jadzia mnie zaprosiła. Odwołali trening i nie miałem nic ciekawszego do roboty. I wygląda na to, że dobrze zrobiłem. Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby ominęło mnie spotkanie z panią. – Zabawnie skłonił głowę, mrugając do Wandy.

– Logika panu szwankuje – mruknęła, nie mogąc się zdecydować, jak się zwracać do chłopaka. – Jakbyś nie przyszedł, nie miałbyś pojęcia o moim istnieniu.

– Co racja, to racja. Punkt dla ciebie! – roześmiał się Jurek.

Miał wesołą, pogodną twarz, przejrzyste zielone oczy i trochę za duży nos. Był niewysoki, ale za to barczysty i silnie zbudowany. Wanda z umiarkowanym zainteresowaniem przyjrzała się okazałym bicepsom napinającym rękawy koszuli. W obwodzie miały więcej centymetrów niż jej noga w najszerszym miejscu. Widać było, że chłopak uprawia jakiś sport. Mimochodem pomyślała, że sprawiał sympatyczne wrażenie.

– Z Jordana? – rzuciła, siląc się na obojętność. Coś jej podpowiadało, że to najlepsza taktyka.

– Studiuję na wydziale lekarskim, jestem z Orestem na roku. Ale kończyłem Jordana.

Wandzie rozbliły oczy.

Po godzinie – znali się od wieków. Czas zwolnił bieg, zgubiło się jutro, zapodziało wczoraj... Tańczyli, nie zwracając uwagi na zewsząd kierowane na nich rozbawione spojrzenia i nie przejmując się różnicą wzrostu. Okazało się, że wiele ich łączy: oboje wychowywali się bez matek, oboje lubili podróżować, a w dodatku Jurek wspinał się w Tatrach, czym bardzo Wandzie zaimponował. Od urodzenia mieszkał w Zakopanem, do Lwowa przeniósł się wraz z ciotką pięć lat temu, po śmierci ojca, który zginął podczas wejścia na Gerlach.

Długo nie mógł pogodzić się z jego śmiercią, złorzeczył światu, górom, dopóki i w nim nie obudziło się pragnienie sięgania po szczyty. Już jako mały chłopiec wędrował z ojcem łatwiejszymi szlakami, lecz wtedy jeszcze nie przypuszczał, że i on kiedyś zechce sprawdzać granice własnej wytrzymałości.

– No i nie myślałem, że góry mi go zabiorą – powiedział ze smutnym westchnieniem. – Wyobrażałem sobie, że na starość będę się nim opiekował i wkurzał, że nie trafia widelcem do ust. A na ścianach będą wisiały zdjęcia z naszych wspólnych wypraw.

Zwierzył się Wandzie ze swojego największego marzenia: po skończeniu studiów zamierzał zrobić sobie roczną przerwę od uporządkowanego życia i wyruszyć w Himalaje. Na własne oczy zobaczyć szczyty, które po nocach śniły się jego ojcu, a których nie zdążył dotknąć inaczej niż myślą. Od dawna odkładał na ten cel pieniądze i nabierała się całkiem pokaźna sumka.

Przez cały wieczór nie mogli się nagadać, przerywali sobie nawzajem i co rusz tracili świat z oczu. Oboje czuli, że zaczyna się coś wyjątkowego, czego nie wolno spłoszyć. Wanda wyznała później Lilce, że dopóki nie spotkała Jurka Lerskiego, była przekonana, że całe to gadanie o miłości od pierwszego wejrzenia to tylko durnowate kręcenie gitary.

Zabawa coraz bardziej się rozkręcała. Pani Cwinarska pozwoliła zgasić górne światło i razem z Jadzią wnieśli na tacy świece. Po chwili na ścianach zatańczyły cienie. Pełgające płomyki migotały niespokojnie, poruszane delikatnym powiewem czerwcowych woni, wdzierających się z ogrodu przez uchylone okna. Duszące jaśminy, kończące życie kwiaty bzu, rozbuchane czeremchy... W przerwach między kolejnymi płytami słychać było trele upartego słowika, który uwił sobie gniazdo w gałęziach czeremchy i teraz zalotnie wabił ukochaną, popisując się i zdzierając gardło.



– I po co ludzie wymyślili elektryczność? – szepnęła Wanda, płynąc w rytm muzyki w objęciach Jurka.

Większość chłopców kręciła się koło Janki Szymonowiczówny, całej w zieleni i zagadkowych uśmiechach, ale i Lilka nie narzekała na brak powodzenia. Przebierała w adoratorach jak w ulęgałkach, starając się sprawiedliwie rozdzielać tańce, i z rozbawieniem przyjmowała komplementy. Tańczyła niemal bez przerwy, zatopiona w myślach o Wiktorze. Gdy płynęła w rytm walca, podtrzymywana przez silne męskie ramię, wyobrażała sobie, że dotyka ukochanego, gładzi go po jasnych włosach. Przesuwały się w pamięci obrazy: jego zapach, ciepło dłoni, tembr głosu. Twarze tancerzy zacierały się i rozmywały, zlewając w jedną. Rozmarzony uśmiech błąkał się w kącikach jej ust.

Każdy kolejny partner, zachwycony i przekonany, że to z jego powodu dziewczyna ma takie zamglone spojrzenie, pęczniał z dumy i jeszcze bardziej się starał. Prężył mięśnie, gimnastykował intelekt; byle okazać się bardziej dowcipnym, bardziej interesującym... Tego wieczoru chłopcy niewiele różnili się od zdesperowanych słowików.

– Zatańczysz?

Orest wyrósł przed nią jak duch. Stała przy oknie, wachlując się chusteczką i zbierając siły po wyjątkowo żywiołowym charlestonie. Z gramofonu dla odmiany popłynęły nastrojowe dźwięki hawajskiej gitary. Silniejszy powiew wydał firankę. Orest wyciągnął rękę ponad głowę Lilki i uwolnił ją z tiulowego kokonu, wierzchem dłoni muskając rozgrzany policzek dziewczyny.

W popłochu rozejrzała się za Jadzią. Ta jednak zbyt zajęta była ożywioną rozmową ze Szczurkiem, by zwracać uwagę na cokolwiek innego. Ich sylwetki ledwo majaczyły w nikłym świetle świec, ale po żywiołowej gestykulacji łatwo było poznać, że koleżanki się kłócą.

– Nie bój się, nie gryzę. – Orest dostrzegł jej niepokój i najwyraźniej sprawił mu satysfakcję. Uśmiechnął się nieprzyjemnie, mrużąc oczy.

– Ale Jadzia...

– Nie proszę cię o rękę, tylko o taniec – odparł ironicznie i nie czekając na przyzwolenie, przyciągnął ją do siebie.

W pierwszym odruchu próbowała się wyrwać, jednak trzymał mocno. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że o ile zwykły taniec nie będzie wyglądał podejrzanie, o tyle nagła szarpanina z pewnością zwróci uwagę i wywoła plotki. Skapitulowała więc i podążyła za nim bez protestu.

Tańczył po mistrzowsku, miał miękkie, kocie ruchy i doskonałe wycucie rytmu. Prowadził pewnie, zdecydowanie, nie zostawiając partnerce wiele miejsca na inicjatywę i wymagając, by bezwzględnie powtarzała jego kroki. Trzymał ją mocno w pasie i ścisnął dłoń prawie do bólu. Przesuwał ją władczo i zupełnie nieoczekiwanie obracał jak zabawkę. Sunęli gładko przez parkiet i nikt z patrzących nie domyśliłby się, ile wysiłku i emocjonalnego napięcia wymaga od Lilki ten zwyczajny z pozoru taniec. Najchętniej wyrwałaby się i uciekła, ale podświadomie wyczuwała, że sprawiłaby tym satysfakcję Orestowi.

Po raz pierwszy pomyślała ciepło o pannie Duszenko. Zawsze przestrzegała je przed zbyt zaborczym partnerem i uczyła, jak poprzez taniec rozpoznać charakter mężczyzny.

– Nie mylcie zdecydowania z despotyzmem i tyranią. Kto zbyt mocno pragnie dominować w tańcu, ten w życiu kieruje się podobną zasadą. Mężczyzna, który nie zwraca uwagi na potrzeby i oczekiwania partnerki, nie zadba o jej komfort na parkiecie, nie zrobi tego także w codziennym życiu. Takich mężczyzn, moje drogie, każda rozsądna kobieta powinna unikać jak ognia, bo oni rzadko kiedy bywają dżentelmenami. Taki ktoś nie rozumie, że kobiecie należy okazywać szacunek. To najczęściej jastrzębie w łabędzich piórkach.

– Nie ścisłaj, boli... – Lilka usiłowała poruszyć zdrętwiałymi palcami. Nie zamierzała dawać mu tej satysfakcji, ale ból stał się dokuczliwy.



– Przepraszam. – Uścisk zelżał.

Od dłuższego czasu Orest tak manewrował pośród tańczących par, że nieoczekiwanie znaleźli się w najbardziej odległym kącie salonu, za wielkim filarem, we wnęce wyłożonej egzotycznym drewnem, gdzie prawie nie docierał nikły blask świec.

– Dlaczego jesteś taka spięta, przecież to tylko taniec. – W jego głosie znów wyczuła ironię.

– Wydaje ci się. – Jej odpowiedź padła pół sekundy za szybko. – Możemy wrócić?

Odległość między nimi stała się nagle zbyt mała i zbyt intymna, a przestrzeń skurczyła się na małym odcinku od twarzy do twarzy. W powietrzu, między ustami unosiły się obce wonie. Lilka odchyliła się do tyłu, by nie czuć ciepła jego oddechu na szyi, potknęła się, pomyliła kroki i zgubiła rytm. Orest wykorzystał sytuację i pod pretekstem podtrzymania dziewczyny przycisnął ją do siebie jeszcze mocniej.

– Tak jest dobrze – szepnął ledwie słyszalnie.

Czuła, jak bije mu serce. W trójkącie rozpiętej u góry koszuli, tuż pod obojczykiem, niebieska żyłka pulsowała w takt uderzeń. Coraz szybciej, jak gorący gejzer, który lada moment eksploduje. Miał rozchyloną marynarkę. Przez cienki materiał koszuli Lilka czuła ciepło jego ciała. Nieoczekiwanie pochylił się i dotknął twarzą jej włosów.

– Pachniesz wiatrem – zamruczał. – Jak rusałka...

– Przestań... – Zrobiło jej się słabo. Bała się, że za chwilę nogi odmówią jej posłuszeństwa i osunie się na parkiet. Chciała uciec, ale coś trzymało ją w miejscu.

– „Czy rusałka wyszła jaka, bawić się jak dziecko, czy też czeka na Kozaka zwabić go zdradziecko...”

– zacytował *Urzeczoną* Szewczenki.

Ktoś zmienił płytę i z gramofonu popłynęło tango notturno. Orest roześmiał się i gwałtownie okręcił Lilkę w rytm muzyki. Uniesione włosy otuliły mu twarz niczym popielaty szal. Odepchnął ją, a potem ponownie przyciągnął do siebie. Impet uderzenia sprawił, że aż jęknęła. Poczowała na czole chłodne wargi.

– Puść! – Odzyskała władzę nad sobą i wyrwała się, nie bacząc na plotki. Chciała jak najszybciej znaleźć się w bezpiecznej odległości od niego. Przepychała się pomiędzy tańczącymi, próbując odzyskać równowagę.

Tango właśnie się skończyło i z parkietu schodziły zdyszane, rozgadane pary, więc zaczerwieniona Lilka i jej potargane włosy nie wzbudziły niczyich podejrzeń. Większość dziewcząt wyglądała podobnie. Olga Niementowska, sapiąc jak parowóz, dyskretnie wycierała chusteczką pot z czoła.

– Już sobie postanowiłam, latem codziennie będę chodziła na kąpielisko – ogłosiła uroczyście, stając obok Lilki. – Zaraz jutro jadę na Kleparów wykupić karnet. Muszę zrzucić kilka kilogramów, bo niedługo w ogóle nie będę mogła tańczyć. Mama furt o tym samym, że niby prawdziwa kobieta nie może być chuda jak patyk i że mężczyźni wolą bardziej okrągłe, a co, ja nie widzę, że taka fafulasta jak ja tylko odstrasza... – Westchnęła smętnie, lecz zaraz dodała konspiracyjnym tonem: – W tajemnicy ci powiem, że moja matka wszystkim opowiada, jak to współczuje twojemu ojcu, bo biedaczek nawet przytulić się nie ma do czego...

– Olga!

– No co, nie znasz mojej matki? Przecież wprost oświadczyła ciotce Mariannie, że powinna przytyć parę kilo, jeśli nie chce, aby mąż szukał gdzie indziej, czego nie ma w domu. Nie rób takiej miny, ja tam uważam, że twoja mama ma figurę pierwsza klasa. Poza tym takiej Wandzie na przykład żyje się o wiele wygodniej, nawet jeśli nie ma powodzenia u chłopców.

Ku zadowoleniu Lilki, jak na zawołanie stanęła przy nich Wanda. Zdyszana i zarumieniona, z błyszczącymi oczami, wyglądała dziś naprawdę ładnie. Nie szpeciły jej nawet krzywo zapięte guziki przy żakiecie.

– Chciałam wam przedstawić... – Zamachała rękami, trafiając przy okazji w szklanekę trzymaną przez

Olę. – To jest Jurek Lerski, studiuje na wydziale lekarskim.

Olga zrobiła zdumioną minę, ale powstrzymała się od komentarza.

– Opanuj się, Daszyńska – upomniała ze śmiechem Wandę. – Jak wytłuczemy całe szkło, to nas Cwinarska więcej nie zaprosi. Bardzo mi miło, Olga jestem. – Podała chłopakowi dłoń. – Niementowska.

– Wiem, Wandzia zdążyła mi już o was opowiedzieć. Ty jesteś Lilka, prawda? – Spojrzał na nią z nieukrywanym zainteresowaniem. – Orest pokazał mi kiedyś ciebie na ulicy. Wychodziłaś z księgarni Malinowskiego. Towarzyszył ci taki mały chłopiec. Z bliska jesteś jeszcze ładniejsza...

Lilka poczuła się nieswojo.

– To był mój brat, Michaś.

Wanda chrząknęła, marszcząc brwi. Już zdążyła się przyzwyczaić do myśli, że Jurek tego wieczoru został jej absztyfikantem i nie zamierzała z niego rezygnować. Pozwoliła sobie na mały odwet. Wzięła się pod boki i udając oburzenie, oświadczyła:

– To my wszystkie wzdychamy do tego szac czerepacha, marzymy o nim po nocach, a tu nie dosyć, że Jadźka ciągnie go w krzaki i mianuje oficjalnym narzeczonym, to jeszcze teraz okazuje się, że Lilka ma to już dawno za sobą... Nie mówiłaś, że tak dobrze się znacie.

Zapanowała konsternacja. Jakby tego było mało, muzyka ucichła. Najwidoczniej ktoś postanowił zmienić płytę.

Lilka poczuła, jak rumieniec powoli wypływa na jej policzki. Jurek natomiast wyglądał, jakby połknął żabę.

– Ej, co wy, żartuję przecież. – Wanda zrozumiała, że przesadziła, ale nie mogła się powstrzymać i parsknęła śmiechem na widok ich min. – Na żartach się nie znacie?

– Mało śmieszne... – Lilka odetchnęła z ledwie widoczną ulgą. Za nic nie chciała, by w jakikolwiek sposób łączono ją z Orestem Bonderem. – A już Cwinarskiej z pewnością nie spodobałaby się sugestia o krzakach...

– Ech, chyba bardziej o tobie. – Wanda znowu się roześmiała, ale dała spokój.

Jurek się rozluźnił.

– Przyznam, że jestem trochę zaskoczony – zaczął, gdy usiedli razem na wygodnej sofie, popijając lemoniadę. – Orest nigdy nie wspominał o Jadzi. No wiecie, zdarzały się różne panny, co to po wykładach na niego czekały, czasem, nie powiem, takie, że oko bielało od samego patrzenia. Ale o Jadzi nigdy ani pary z gęby. Musiało go nagle trafić.

– Musiało... – zgodziła się z nim Wanda. – Tak, to dobre słowo – oświadczyła przeciągle. – Gdy w grę wchodzi Cwinarska, najlepsze. Pewnie biedak nawet nie wie, w co się wpakował, jak się zorientuje, będzie za późno.

– Orest? – Jurek pokręcił głową. – On zawsze dostaje to, co chce. Nie znam osoby, która mogłaby go do czegoś zmusić. To dobry kumpel, tyle że chodzi własnymi ścieżkami i jest trochę tajemniczy. Cenię jego przyjaźń i za nic w świecie nie chciałbym mieć w nim wroga... Dobrze go znasz? – zwrócił się nagle do Lilki.

Podniosła na niego zdziwione oczy.

– Wcale, dlaczego pytasz? Znam go tyle, co i Wanda. – Wzruszyła ramionami.

– Dziwne... – zamyślił się Jurek, ale mimo nalegań niczego więcej nie powiedział.

\* Pisownia nazw topograficznych zgodna z ortografią przedwojenną.

### III

W pierwszej połowie lipca mama z ojcem i Michasiem popłynęli na Wyspy Kanaryjskie, na wycieczkę zorganizowaną przez Linie Gdynia – Ameryka. Przedtem jednak Lilka musiała wytoczyć najcięższe działa, żeby móc zostać w domu.

– Matura! Muszę się uczyć! – krzyczała histerycznie. – Nic nie umiem, wszystko zapomniałam! Czuję, po prostu czuję, że nie zdam! Tego chcecie?! Żebym już na wieki wieków została gamoniem?!

Dla większego efektu złapała się za głowę i w przypiływie desperacji zakryła twarz rękami.

– Ona oszalała – stwierdziła zaskoczona mama. – Moja córka oszalała. Przecież matura dopiero w przyszłym roku.

– Ale ja mam potworne zaległości, tyle czasu nie było mnie w szkole! Pani Jałowowa powiedziała, że dostałam promocję jedynie dlatego, że ona we mnie wierzy! Jest pewna, że w wakacje nadrobię materiał!

– Masz jeszcze cały rok, zdążysz. To tylko trzy tygodnie...

– To się tylko tak mówi – mruknęła ponuro Lilka, porzucając wrzaski i dramatyczne gesty.

Na pierwszy rzut oka widać było, że nie podziały tak, jak się tego spodziewała. Mama nie wyglądała na przekonaną, raczej na zdumioną. Sceptycznie i nie bez obawy przyglądała się swojej, zazwyczaj opanowanej i w miarę rozsądnej, latorośli.

Lilka postanowiła zmienić taktykę.

– Już nam zapowiedzieli, że w przyszłym roku oprócz powtórek będą całe góry nowego materiału. Nawet Miecio Januszewski, choć zawsze nas pociesza i mówi, że dla nas to bułka z masłem, przestrzegał, że jak kto będzie bajtoła, to nie ma szans. Podobno widział już konspekty nowego programu i to jest po prostu dramat! – zakończyła z jękiem. – A co dopiero ja z moimi zaległościami...

– Jak ty mówisz o nauczycielu? – odruchowo zwróciła jej uwagę Marianna, lecz po minie rodzicielki Lilka widziała, że mama zaczyna kapitulować. – Nie wiem, co na to ojciec...

Ojciec jednak nie widział przeszkód, by jego prawie dorosła córka została w domu.

– Przecież nie będzie sama. Jest kucharka i Pelasia, poproszę Leokadię, żeby zajrzała...

– Już niech ona lepiej tu nie przychodzi – warknęła Marianna.

Rzadko zdarzał jej się taki ton, ale nie mogła darować Leokadii uwag o figurze.

– Wolałabym, żeby Lilka edukowała się w inny sposób. Lepiej poprosimy Jakuba, by na czas naszej nieobecności nie nocował w majątku, tylko tutaj. Przez tych kilka tygodni poradzą tam sobie i bez niego.

Jakub w przeciwieństwie do rodziców lepiej znał siostrę i nie miał złudzeń.

– Matura... A od kiedy, siostrzyczko, ty jesteś takim wzorem pilności? – zapytał ze śmiechem, gdy zostali sami. – Jak on ma na imię?

– Nie wiem, o co ci chodzi – odparła z godnością Lilka, próbując się obrazić, ale Jakub postawił sprawę jasno.

– No, już, nie buńdziurzyj się. – Chciał poczochnąć ją po włosach, ale zrobiła unik. – Czy ci się podoba, czy nie, dopóki nie ma ojca, jestem za ciebie odpowiedzialny. Nie spuszczę cię z oka i będę z tobą za rękę spacerował po mieście, przynosząc ci wstyd przed koleżankami, jeśli nie powiesz mi, kto to jest.

Lilka popatrzyła na niego spod oka. Wiedziała, że brat nie żartuje. Przyglądał jej się z rozbawieniem, ale stanowczy ton nie pozostawiał złudzeń. Jakub mówił poważnie i rzeczywiście gotów był wszędzie za nią łązić.

Nieoczekiwanie przyszło jej coś do głowy.

– Orest Bonder, a co? – oświadczyła wyzywająco, patrząc mu w oczy. Wiedziała, że chodzili razem do szkoły, i miała nadzieję, że zachował o nim dobre wspomnienie.

Reakcja brata ją zaskoczyła.

Jakub zmarszczył brwi i przestał się uśmiechać. Ledwie widoczny cień przemknął przez jego twarz, a oczy nabrały zimnego wyrazu.

– Trzymaj się od niego z daleka – wycedził dobitnie. – Jeśli nie chcesz mieć kłopotów... Po prostu lepiej trzymaj się od niego z daleka.

Wiedziała, że mówił poważnie. Znała go wystarczająco dobrze, by wiedzieć, kiedy kończą się żarty i przekomarzania.

– Ale dlaczego, co on takiego zrobił? Chodzi ci o to, że spotyka się..., no, że ma powodzenie i dlatego o nim gadają...?

– Nie bądź niemądra – zdenerwował się Jakub. – Po prostu zaufaj mi. To nie jest kawaler dla ciebie.

Podszedł do siostry i położył ręce na jej ramionach, a właściwie trochę poniżej. Zaciśnął dłonie, trzymając ją w objęciach jak wtedy, gdy była mała. Był wysoki i silny. Od nieustannego przebywania na powietrzu miał spaloną słońcem twarz i wesołe zmarszczki wokół oczu. Wyglądał na znacznie starszego i dojrzalszego niż w rzeczywistości. Opiekował się nimi, od kiedy pamiętała. Michasia zagarnęła mama, przytłaczając go ogromem macierzyńskiej miłości, tak że ledwie dyszał, więc Jakub udawał, że traktuje malca jak partnera, za co Michaś, mający ogromne poczucie niezależności, kochał go najbardziej na świecie.

Za to Lilka doświadczała braterskiej troski od najmłodszych lat. Jakub czuł się za nią odpowiedzialny już od czasu, gdy oboje byli mali. Jako siedmiolatek z dumą przedstawił kolegom swoją trzyletnią siostrę, usiłując wciągnąć ją do zabawy w Indian. Czytał jej bajki, razem chodzili do sklepu Blumów po śmietanę, której zwykle nie donosili w stanie nienaruszonym, zgodnie uważając ją za największy smakołyk. Bronił Lilki przed rodzicami, gdy coś przeszkrobała, a jak skończyła dziesięć lat, nauczył ją jeździć konno. Kiedy ojciec nie widział, pozwalał jej nawet czasem osiodłać Huragana.

Tym razem sprawa musiała być naprawdę poważna.

– Popatrz na mnie. – Uważnie zajrzał jej w oczy, nie pozwalając odwrócić wzroku. – Obiecuj, że więcej się z nim nie spotkasz. Obiecujesz?

Lilka jednak potrafiła być uparta.

– Powiesz mi wreszcie, o co chodzi? – Odsunęła się niechętnie. – Chyba zapominasz, że nie mam już pięciu lat.

Jakub nie miał ochoty wtajemniczać siostry w brudne i niebezpieczne sprawy, ale teraz uznał, że to jedyny sposób.

– Nie jestem pewien, jednak chodzą słuchy, że współpracuje z ludźmi, którzy nielegalnie reaktywowali Płasta i utrzymują ścisłe związki z OUN-em. Mówi się, że stali za zamachami w trzydziestym czwartym. Nikt tak naprawdę nie ma pojęcia, jakie są ich powiązania z nacjonalistycznymi organizacjami ukraińskimi, lecz jedno wiadomo z całą pewnością: wykorzystają najmniejszą nadarzącą się okazję, żeby utworzyć swoje niepodległe państwo. Co do tego nie mam złudzeń. – Jakub wzruszył ramionami. – Znam dobrze Oresta i jego poglądy. Z racji wieku bliżej mu do OUN-u niż do drużyn harcerskich, ale kto wie... Płast był kiedyś legalną, wychowawczą, ukraińską organizacją dzieci i młodzieży, znaleźli się jednak ludzie, którzy postanowili wykorzystać jej wpływy w innym celu. Obawiam się, że Orest macza

w tym palce. Nie wiem, jaka jest jego rola, w każdym razie nasi wspólni znajomi twierdzą, że ostatnio bardzo się zmienił. Pozrywał stare znajomości i widuje się go w nieciekawym towarzystwie. Chodzą słuchy, że był aresztowany za udział w demonstracji, gdzie nacjonaści ukraińscy domagali się niepodległości dla Rusi Zakarpackiej, ale tak naprawdę szykował się wtedy, żeby się zaciągnąć do wojska ukraińskiego, nielegalnie formowanego gdzieś pod Użhorodem. Podobno nie posiedział długo, nie znaleźli przeciw niemu dowodów. Bardzo cię proszę, trzymaj się od niego z daleka.

– Ale...

– I z nikim o nim nie rozmawiaj. To naprawdę nie jest zabawa, szczególnie że czasy niespokojne. Chodzą słuchy o wojnie... Wiesz, co by się tutaj działo, gdyby to była prawda? Niemcy walczyliby sobie z Europą, a tu Ukraińcy wycięliby nas w pień.

Lilka była wstrząśnięta.

– Jaka wojna, co ty mówisz?! Przecież Rusini mieszkają tu od lat, to ich ojczyzna. Tak samo jak nasza. Nina Dejnys, stary Kuryłło, sąsiedzi w Winniczkach. Pani Jakimiuk... – wyliczała. – Kto niby miałyby nas wyciąć w pień? Chłopaki od Hryciuków czy może doktor Onopiuk?

– Oj, Lilka, Lilka – zaśmiał się Jakub, kręcąc głową. – Jak ja bym chciał patrzeć na świat twoimi oczami... Ale wracając do tematu – spoważniał – to bardzo cię proszę, żebyś...

Lilka uznała, że dosyć zabawy.

– Oj, żartowałam – przerwała mu z niechęcią. – Nie chodzi o Oresta, nawet nie znam go zbyt dobrze i nic mnie nie obchodzi. Myślałam, że ty go znasz i nie będziesz się czepiał.

– Trafiaś jak kulą w płot.

– To Wiktor. Nie chciałam ci powiedzieć, bo sam wiesz... mama...

Jakub odetchnął z ulgą, jakby ktoś uwolnił go od ciężaru. Oczami wyobraźni widział już naiwną panienkę wciągniętą w brutalne, nacjonalistyczne rozgrywki. Na szczęście okazało się, że chodzi o jakąś zwykłą, wakacyjną miłość, na którą dziewczęta w wieku jego siostry zapadały corocznie, prawie tak samo jak na gripę, i równie szybko z niej wychodziły.

Rodzice nie pochwalali tej znajomości, lecz on nie miał nic przeciwko lewicującemu warszawiakowi. Znał go jedynie z opowieści mamy, lecz dobrze wiedział, że w tym przypadku trudno o obiektywizm.

– A skąd on tutaj?

– Przyjeżdża do Brzuchowic z sierotami. Będzie się nimi opiekował zupełnie za darmo, jedynie za wikt i mieszkanie – oświadczyła z dumą Lilka.

– Fiu, fiu! – gwizdnął Jakub. – Jaki społecznik. Ale nie myśl, że spuszczę cię z oka – dodał, grożąc jej palcem.

Czwartego lipca na okazały, przeszklony Dworzec Główny we Lwowie wjechał pociąg z Warszawy, przywożąc dzieci z podwarszawskich wsi i biednych podmiejskich dzielnic na wakacje. Pierwszy raz jechały tak daleko. Oszołomione tłoczyły się w ogromnej poczekalni, przytłoczone otaczającym je przepychem, zadzierały głowy i otwierały szeroko oczy w bezbrzeżnym podziwieniu. Nawet te, które na co dzień mieszkały w Warszawie, przyzwyczajone do miejskich widoków, czuły się nieco onieśmiałe bogactwem zdobień i światową atmosferą nowoczesnego gmachu dworca.

Poczekalnia bardziej przypominała salon, pełen kandelabrow, luster, złocień oraz miękkich, pachnących skórą kanap i kozetek, niż zwykłą salę na dworcu. Bogata, rześkie oświetlona, pachniała dalekim światem i czarem zagranicy. Odchodziły stąd pociągi w różnych kierunkach, na południe Europy, na zachód; do Rosji i dalej, w głąb Azji. Pobudzające wyobraźnię odległe kraje, egzotyczne nazwy, zapachy Orientu, kolorowe stroje... Napisy przewijały się na szyldach nad kasami, wkoło rozbrzmiewały pokrzykiwania bagażowych, z megafonu co kilka minut nadawano komunikaty. Eklektyczna perła



europiejskiej architektury budziła podziw w przybyszach z całego świata.

Lilka od rana nie mogła sobie znaleźć miejsca. Pociąg przyjeżdżał kwadrans po czternastej, a ona już o dziesiątej była gotowa do wyjścia, choć dziewiątka jechała na dworzec nie dłużej niż pół godziny.

Jakub pojechał na cały dzień do Winniczek, odebrawszy od siostry solenne przyrzeczenie, że będzie rozsądna. Przyrzekła, ale stan jej ducha i umysłu daleki był od rozsądku.

Od tak dawna go nie widziała. Emocje kłębiły się i wrzały i aż dziw bierze, że nie pękła od ich nadmiaru i intensywności. Radość i podekscytowanie przeplatały się z wątpliwościami. Tyle długich tygodni, miesięcy... A jeśli obrazy zatarły się w pamięci? Nie pozna jej na peronie... A może to wszystko między nimi zdarzyło się tylko w jej wyobraźni... Sierpniowe wieczory, ukradkowe pocałunki, a potem listy przepełnione żarem i tęsknotą. Wiktor miał duszę artysty i postrzegał świat inaczej niż przeciętny człowiek. Może to wcale nie były dowody uczuć, ale jedynie literacka forma wyrazu, którą ona, Lilka, w swej naiwności potraktowała zbyt dosłownie?

Po godzinie rozmyślań pogrążona była w skrajnej rozpacz. Wiktor wcale jej nie kocha, traktuje jak zwykłą koleżankę z wakacji i witając go na dworcu, tylko robi z siebie idiotkę. Najlepiej będzie zapomnieć o tamtym wszystkim i naprawdę zająć się nauką. Więcej pożytku z matury niż z tego kochania... Albo nie, pojedzie, ale tylko z grzeczności. Skoro napisała, że będzie, nie robi z gęby cholewy.

Stała w poczekalni pod wielkim lustrem, nerwowo wyłamując sobie palce, i za wszelką cenę usiłowała wyglądać jak ktoś, komu nie zależy, kto znalazł się w tym miejscu zupełnie przez przypadek. Z filozoficznym spokojem studiowała rozkład jazdy, przyglądała się podróżnym i nikt by się nie domyślił, że jest jednym kłębkim nerwów i całą siłą woli próbuje opanować niepożądane reakcje ciała: drżenie kolan, kołatanie serca i trzęsawkę rąk.

Nagle ktoś dotknął z tyłu jej ramienia. Lilka poczuła, że zaraz zemdleje. Przez ułamek sekundy nie miała siły się odwrócić. Serce przestało bić.

– Wiktor...

Stał przed nią Orest. Wysoki, górujący nad otoczeniem, z ironicznym półuśmiechem, rozwichrzonymi włosami i przerzuconą przez ramię torbą podróżną wyglądał nonszalancko i światowo.

Na dźwięk obcego imienia zmarszczył brwi. Nie umknął mu rozanielony wyraz twarzy stojącej przed nim dziewczyny, choć trwał jedynie ułamek sekundy. Szybko zastąpiła go zwykła niechęć.

– Dlaczego ty mnie tak nie lubisz? – wyrwało mu się niespodziewanie. Nie zamierzał tego mówić. – Czekasz na kogoś?

– Nie – odpowiedziała natychmiast.

– „Nie”, dotyczy czekania czy zaprzeczasz, że mnie nie lubisz?

– Na nikogo nie czekam.

– Więc jednak nie lubisz... Szkoda. Wierzysz w przeznaczenie? – zapytał nieoczekiwanie. – Wierzysz, że ponad twoją głowę, wbrew twojej woli rozstrzyga się wszystko, co najważniejsze? Ludziom się wydaje, że podejmują świadome decyzje, a czasami najlepszą decyzją jest niewtrącanie się w sprawy przeznaczenia. – Na sekundę twarz mu się rozjaśniła. Wyciągnął rękę, ale Lilka odskoczyła jak oparzona. W jego oczach na powrót zagościła ironia.

– Nie powinnaś się mnie bać, nigdy nie zrobiłbym ci krzywdy. Zawsze o tym pamiętaj, w każdej sytuacji. Jeszcze się przekonasz, że lepiej mieć we mnie przyjaciela...

Wokół pełno było spieszących się ludzi i to dodało jej odwagi. Gdyby znalazła się z nim sam na sam, umarłaby ze strachu. Czuła się jak mucha stojąca bezradnie przed pajakiem. Wiedziała, że zaraz ją obezwładni, a nie miała siły się ruszyć.

– Gdzie Jadzia? – zapytała słabo, bo tylko to przyszło jej do głowy.

Orest przez chwilę milczał, jakby rozważał, co odpowiedzieć.

– Stoi za ladą i bawi się w przekupkę. Nie sądzisz, że to dla niej najlepsze miejsce? W zadziwiająco trafny sposób definiuje jej naturę. Niektóre kobiety mają handel we krwi i choćby nie wiadomo jak się starały być damami, pozostają jedynie pospolitymi handlarzami. Życie jest dla nich nieustającą transakcją wymienną. Korzyść – zapłata, proste, jasne zasady...

– Może w życiu za wszystko trzeba płacić?

– Może...

Niczego nie mówił wprost, ale Lilce bardzo się nie podobał ton jego wypowiedzi. I choć musiała przyznać, że dość trafnie określił Jadzię, nie powinien mówić o niej w taki sposób.

Zegar wybił czternastą trzydzieści. Przez poczekalnię przepłynęła kolejna fala pasażerów.

– Lileczko!

Wiktor precyzyjnie się między dwoma podróżnymi z plecakami, potracając jakiegoś wysokiego studenta z dużą torbą, który ledwie utrzymał się na nogach. Następnie zaplątał się w smycz grubej matrony w kapeluszu prowadzącej małego pieska i ścigany jej jazgotliwymi pretensjami wreszcie chwycił Lilkę w objęcia.

Gwar dworcowej poczekalni ucichł. Ludzie w dalszym ciągu poruszali ustami, trzaskały drzwi, zawodziły odjeżdżające pociągi, ale dla Lilki na tę jedną sekundę świat stanął w miejscu. Czuła na policzku ciepło oddechu, słyszała gorączkowo szeptane słowa. Przymknęła oczy i położyła głowę na ramieniu Wiktora. Strach i wszystkie wątpliwości zniknęły. Było tak, jakby nigdy się nie rozstawali, jakby spędzili ze sobą nie jeden wakacyjny miesiąc, ale całe życie.

Orest cudem zachował równowagę, gdy rozpędzony chłopak, ogolony jakby wyszedł prosto z więzienia, walnął w niego z impetem. Stał jak rażony piorunem. Na chwilę spojrzenia jego i Lilki skrzyżowały się, ale już po chwili dziewczyna przymknęła oczy i mocniej przytuliła się do ramienia obejmującego ją mężczyzny.

Nastały dni, których nigdy potem nie zapomniała. Pierwszy raz w życiu czuła się naprawdę wolna i dorosła. Jakub spotkał się z Wiktorem. Od razu przypadli sobie do gustu i nadzór starszego brata nad Lilką nieco osłabł. Miejsce Jakuba zajął Wiktor.

Mimo nawału obowiązków codziennie przyjeżdżał po nią z Bruchowic, wsi letniskowej oddalonej od Lwowa o pięć kilometrów, i codziennie wieczorem odwoził Lilkę do domu. Nawet sceptycznie nastawiona kucharka w końcu spojrzała na niego przychylnym okiem, gdy okazało się, jak bardzo Wiktor dba o panienkę. Pewnego razu posunęła się nawet do tego, że zaprosiła go na obiad. Za to Pelasia od pierwszej chwili zapałała do niego sympatią i obiecała, że nic nie powie pani o jego wizytach, choć przyrzekła, że będzie miała Lilkę na oku podczas nieobecności państwa.

– Takie kochanie, takie kochanie... – wzdychała, składając ręce jak do modlitwy. – Niechby i na mnie w końcu kto tak spojrzał, jak pan Wiktor na pannę Lilkę.

Pelasia miała dopiero dwadzieścia jeden lat i o niczym innym nie marzyła. Lilka niejedną wieczór spędziła na pocieszaniu dziewczyny, że jeszcze wcale nie jest za późno i tylko patrzeć, jak spotka prawdziwą miłość.

– Ale takiego przywabliwego jak pan Wiktor to pewno nie znajdę – smętnie wzdychała służąca i szła pomagać kucharce.

Dla Lilki Wiktor był najprzystojniejszym mężczyzną na świecie. Przez ten rok zmężniał, okrzepł i przestał przypominać chłopca. Zapodziała się gdzieś owa mleczna niewinność, jej miejsce zajęły stanowczość i pewność siebie, które w przedziwny sposób wyrażały się w sposobie poruszania, gestach. Kiedy z uwagą patrzył na dziewczynę, przypominał jej ojca. W jego spojrzeniu była miłość, lecz także

troska i odpowiedzialność za ukochaną. Twarz mu wyszczuplała, rysy się wyostrzyły, a sylwetka nabrała muskulatury. Stał się jeszcze bardziej męski i interesujący. Ściał jasne loki, które przydawały jego twarzy miękkości. Teraz na głowie miał krótką szczecinę, miękką i zabawnie uginającą się pod dotknięciem Lilczynej ręki. Lubiała przesuwać dłonią po tych włosach i zachodziła w głowę, jak mogła kiedyś nic nie wiedzieć o jego istnieniu. Wystarczyłby przypadek, chwila nieuwagi, jedna lekkomyślna decyzja, a ich światy nigdy nie znalazłyby punktu stycznego. Trwaliby, jak po przeciwnych stronach galaktyki, nie wiedząc nic o sobie. Trzeba wierzyć w przeznaczenie...

Jak mogła choć przez ułamek sekundy zaprzętać sobie myśli chmurnookim Ukraińcem... Na wspomnienie ciemnych, ironicznych oczu tamtego przeszedł ją dreszcz. Szybko wyrzuciła Oresta z pamięci.

Wiktor miał jasne spojrzenie; kiedy się uśmiechał, w jego oczach pojawiały się łobuzerskie błyski. Częściej jednak bywał zamyślony, zdarzało się, że milkł w pół zdania i tylko patrzył na Lilkę zachłannie, jakby chciał na zawsze zatrzymać pod powiekami jej obraz. Czuła, jakby jego wzrok stwarzał ją na nowo: piękną, inteligentną, interesującą, kobiecą i zupełnie dorosłą. Wcale niepodobną do zwykłej, przeciętnej Lilianny Lindnerówny, siedemnastoletniej uczennicy w granatowym mundurku.

Dzięki niemu mogła wreszcie robić coś ważnego i pożytecznego. Za zgodą kierownika kolonii zaczęła pomagać przy dzieciach. Dzięki ojcu Marysi Baczyńskiej, właścicielowi Zakładu Wodolecznictwa w Brzuchowicach, udało się załatwić kąpiele lecznicze i rehabilitację dla kilkorga najbardziej potrzebujących. Dwóch chłopców cudem uszło śmierci, po tym jak zachorowali na tyfus. Wielu pochodziło z przytułków; byli niedożywieni, groziła im gruźlica. Potrzebowali fachowej opieki, lekarstw oraz witamin. Po długich naleganiach i wstawiennictwie Jadzi również pani Cwinarska zgodziła się włączyć w akcję. Zafundowała kolonistom wycieczki po Lwowie, wynajęła autobus, zapewniła posiłki, warzywa i owoce, a potem już z własnej woli dorzuciła kilka bel materiału na nowe ubrania.

Lilka dwoiła się i troiła, żeby dzieci jak najkorzystniej spędziły ten czas. Większość z nich skończyła dziesięć lat, a żadne nigdy nie wystawiło nosa poza swoją wieś czy dzielnicę. O koloniach dotąd nie słyszały. Rodzice, jeśli w ogóle istnieli, z trudem wiązali koniec z końcem; niektóre były sierotami wychowywanymi przez ulicę. Część nawet nie chodziła do szkoły, choć dawno osiągnęły wymagany wiek.

– Widzisz, to jest właśnie ta nasza sprawiedliwość – mówił z goryczą Wiktor. – Kogo one obchodzą? Kto ma się nimi zająć, żeby nie skończyły na bruku, żebrząc o kawałek chleba, albo nie wpadły w łapy apaszów i bandziorów, skoro nawet matka i ojciec mają to gdzieś. Niektórzy z tych chłopców już zaczęli chlastać w metę, dobrali się po kilku i obrabiali sklepy. Jeszcze nie dorośli, a już zostali wykluczeni z normalnego życia. Działacze ZHP skupiają się na strukturach, zrzeszeniach, statutach, zasadach, wpadają w chocholi taniec organizacyjności i przestają właściwie oceniać rzeczywistość. Dlatego my nie chcemy żadnych zrzeszeń ani stowarzyszeń! – Wiktor zapalał się coraz bardziej, jak zawsze, gdy rozmowa schodziła na kwestie nierówności społecznej. – To są kółka wzajemnej adoracji, tamci zjadają swój własny ogon i odgradzają się od normalnych problemów. A tu chodzi o coś innego: o uznanie wolnej myśli harcerskiej, która nie potrzebuje ram i regulaminów. Nie potrzeba nam hierarchii ani żadnych stopni, wszyscy jesteśmy równi. Istnieje tylko jeden rodzaj odpowiedzialności, najważniejszy, bo przed samym sobą. Łączy nas myśl i idea, a to jest, rozumiesz, stokroć mocniejsze spoiwo.

Niekiedy podczas takich rozmów Lilka uznawała za słuszne bronić idei tradycyjnego harcerstwa. Harcerzem był kiedyś Jakub i wówczas bardzo jej imponowało jego zaangażowanie oraz patriotyczne pieśni, którymi rozpoczynali każdą zbiórkę. Poszła z nim kilka razy i była urzeczona atmosferą, taką wzniosłą i romantyczną, a jednocześnie zwykłą, swojską, przepojoną wzajemną życzliwością i poczuciem, że razem mogą zmienić świat.

– Patriotyzm! – prychał Wiktor na nieśmiałe próby obrony. – A widziałaś, jak ten patriotyzm wygląda w rzeczywistości? Budzenie uczuć narodowych i czynnego patriotyzmu powinno się osiągać inną drogą niż jętrzeniem szowinizmu i wywoływaniem żarzącej nienawiści do naszych wrogów. Wolne Harcerstwo daje zawsze wskazania pozytywne, mówi: „Kochaj Polskę i jej służ”, a nie: „Nienawidź Niemców”. Naprawdę myślisz, że zatruwanie takich młodych serc jadłem nienawiści rasowej, religijnej czy jakiegokolwiek innej prędzej czy później się nie zemści? Otóż, oświadczam ci z całą odpowiedzialnością: zemści się, i to szybciej, niż wszystkim się wydaje. Jeśli kogoś nie nauczono kochać, zawsze będzie szukał sobie wrogów, bo tylko wtedy ma w życiu cel. Te wszystkie funkcje, meldunki... Baczność, spocznij, jak w wojsku. Ledwo od ziemi odrośli, a już wbija się ich w mundury.

Wtedy po raz pierwszy Lilka poczuła pewne wątpliwości. Na samym dnie duszy coś zaczęło nieśmiało popiskiwać, ale stłumiła to w zarodku. Oczywiście, że lepiej uczyć młodzież miłości i pokojowego nastawienia, niż przygotowywać do walki w obronie ojczyzny. Wtedy jest szansa, że żadna wojna już nigdy nie wybuchnie. Coś jej jednak mówiło, że to bardzo wyidealizowany obraz świata.

– Dzieci i wojna nie chodzą w jednej parze – dodawał Wiktor z niezłomną pewnością. – Wy powinniście rozumieć, Cmentarz Orłąt codziennie wam o tym przypomina.

– Ale gdyby nie oni, może nie mielibyśmy dziś Lwowa – protestowała. Jak wszyscy lwowianie była w tej kwestii wyczulona.

Wiktor spojrzał na nią z niechęcią. Nie umiał ukryć, że drażniła go owa niczym nieuzasadniona wiara w zwycięstwo i dziwny straceńczy optymizm. Według niego była to typowo polska skłonność do poświęceń, do desperackich zrywów bojowych, które w efekcie stawały się jedynie pożywką dla literatury. Dobre i to, lecz czy warto ginąć tylko po to, żeby zostać uwiecznionym w pieśni?

– Przecież to były dzieciaki, czapki miały większe niż głowy. Byłem wczoraj na Łyczakowie. Trzynaście, czternaście... Nawet jedenastolatka znalazłem. Naprawdę myślisz, że to było zadanie dla dzieci? Iść na barykady, zamiast schować się gdzieś i bezpiecznie przeczekać? Wyręczać dorosłych? To była skrajna nieodpowiedzialność. O dzieci trzeba dbać, chronić je, a nie wysyłać w ogień. Szczeniaki, którym brakło wyobraźni... Wojna to nie to samo, co zabawa w wojnę. – Wzruszył ramionami z taką miną, że Lilka otworzyła oczy ze zdumienia.

Jeszcze nikt nie mówił tak o tych młodych chłopcach i dziewczętach, którzy oddali życie za swoje miasto. Nikt nie szargał etosu, kwestionując zasadność ich poświęcenia. We Lwowie pamięć Orłąt była święta.

– Przecież nikt ich nie wysyłał – zaprotestowała z gniewem. – Była taka konieczność i uważali, że nie mogą postąpić inaczej. Ja też bym poszła, gdyby było trzeba! Wszyscy byśmy poszli!

– Ech, ta młodzieńcza zapalczywość! – Wiktor pokręcił głową. – Jak łatwo pomylić ją z patriotyzmem. Najłatwiej jest zginąć, bo żeby przeżyć i pracować dla ojczyzny, to już się trzeba trochę natrudzić... Może nawet iść na kompromis, czasem zęby zacisnąć, ale trwać, mając przed sobą cel. No, ale żeby ruszać ze scyzorykiem na czołgi... do tego nawet myśleć za bardzo nie trzeba, wystarczy impuls i emocje. Chcesz budować siłę państwa na emocjach? Doprawdy, godne podziwu...

– Jak możesz! – Lilce z oburzenia niemal zabrakło tchu. – Jak możesz mówić tak o rzeczach, o których nie masz pojęcia! To tylko puste słowa! Praca, godziwe warunki, bezpieczne dzieciństwo! Masz bardzo życzeniowy stosunek do świata. I pomyśleć, że to mnie Jakub zarzuca skrajny idealizm. Podczas wojny obowiązkiem każdego jest walczyć, a nie gadać farmazony. Gdyby wszyscy myśleli jak ty, Polska nigdy nie odzyskałaby niepodległości.

– Obowiązkiem każdego jest żyć, a nie bezsensownie umierać – odparował ze złością. – Gdyby wszyscy myśleli jak ja, pracowali uczciwie i nie zgadzali się na niesprawiedliwość społeczną, to nie mielibyśmy odzyskiwać wolności, bobyśmy jej nie utracili – zakończył bez cienia wątpliwości.

Nie wracali więcej do tego tematu. Na wizerunku Wiktora pojawiła się mała rysa. Początkowo Lilka chodziła przygnębiona, lecz z czasem zaczęła myśleć, że to nic takiego. Po prostu wyidealizowany obraz ukochanego, jaki nosiła w głowie, zaczynał nabierać realizmu.

Chłopiec z listów mówił pięknym językiem, malował świat ulotnymi wrażeniami z głębi duszy, ale Wiktor, mężczyzna, którego pokochała, był z krwi i kości. Miał mnóstwo zalet; był opiekuńczy, oddany temu, co robił, i przekonany, bez żadnych wątpliwości, że postępuje słusznie. Nie miał w sobie nawet cienia egoizmu, to Lilkę zawsze stawiał na pierwszym miejscu. Troszczył się o nią i szanował. Czuła się przy nim jak najcenniejsze dzieło sztuki. Przy tym wszystkim jego wady nie wydawały się tak bardzo istotne.

Właściwie najbardziej nie lubiła w nim skłonności do patosu oraz tego, co profesor Broniewski zwykł nazywać biciem piany albo kiszaniem sofizmatów. Kiedy Wiktorowi bardzo na czymś zależało, potrafił użyć wszelkich sposobów, by udowodnić rozmówcy, że ten się myli. Lilka nie należała do wytrawnych dyskusantek i nie dorównywała mu wiadomościami ani odczytaniem, nieraz jednak wyczuwała w jego wypowiedziach specyficzną retorykę i chęć, by za wszelką cenę dowieść swoich racji, po trupach, bez względu na prawdziwą wartość przedstawionych argumentów. Pod skórą czuła, że dźwięczy w nich jakiś fałsz, brak logiki, lecz tak sprawnie i sprytnie żonglował swoją wiedzą, przywołując zdarzenia i informacje, o których nie miała pojęcia, że na ogół kapitulowała. Po kilku bezskutecznych próbach obrony wycofywała się z dyskusji, bo coraz częściej kończyły się kłótnią.

Zwłaszcza że Wiktor rzadko dawał za wygraną. Jego zaciętość i zajadła obrona jedyne słusznego stanowiska bywała przerażająca. Czasem Lilka odnosiła wrażenie, że jest głuchy na wiedzę, poglądy czy argumenty adwersarza. Jego racje i przekonania stanowiły dlań wartość najcenniejszą na świecie. O takich ludziach profesor Broniewski mawiał żartobliwie, że gdy nastanie koniec świata, zostaną tylko ich przekonania oraz karaluchy. Dodawał jeszcze, że człowiek codziennie powinien się rozglądać w poszukiwaniu dowodów na to, że się myli.

Na szczęście w Brzuchowicach było tyle pracy, że nie pozostawało wiele czasu na jałowe spory. Po podwieczorku, gdy koloniści odpoczywali zmęczeni atrakcjami albo chodzili na zabiegi, Lilka z Wiktorem siadywali zwykle na wysokim wale rozdzielającym nizinę nadwiślańską od nadbużańskiej i wdychając żywiczny zapach rozgrzanego, sosnowego lasu, milczeli, trzymając się za ręce. Nauczyli się cenić te rzadkie chwile spokoju. Powoli opadało napięcie dnia, ustępując miejsca podniecie wspólnego wieczoru. Ten czas lubiła najbardziej.

Dni stawały się krótsze. Lipiec przetoczył się upalnymi godzinami nie wiadomo kiedy i oboje uświadomili sobie, że nieubłaganie zbliża się czas rozłąki.

– Nie wiem, jak wytrzymam bez ciebie – westchnęła Lilka. – To, co kiedyś wypełniało mi dni, teraz wydaje się takie nieistotne. Szkoła, koleżanki. Spory, która ma ładniejszą sukienkę... Nawet matura to tylko kolejny papierek. Dzięki tobie znowu chce mi się żyć, działać, czuję w sobie tyle energii, że świat bym mogła przebudować. – Uśmiechnęła się zawstydzona patosem swoich słów. – A jeszcze kilka miesięcy temu...

Wiktor objął ją za ramiona i przytulił. Włosy dziewczyny pachniały szamponem rumiankowym. Luźny sweter zsunął się z ramienia, odsłaniając białe ramiączko stanika. Powodowany nagłym impulsem pochylił się i przez cienki materiał dotknął ustami jej piersi. Wyczuł, że Lilka zeszywniała gwałtownie, jednak się nie odsunęła.

Ręce łatwo odnalazły drogę. Miała miękkie, różowe piersi, z ledwie ciemniejszym obrysem sutków, dopiero co ukształtowane, ale już zaskakująco pełne w swej świeżo pączkującej kobiecości. Budziły w nim więcej tkliwości niż pożądania. Delikatnie wodził wargami, jakby były z kruchej szkła. Dziewiczy róż, głęboki beż i niebieskie strumienie żyłek wydawały mu się świetlistą polaną ukrytą pod



warstwą materiału.

Słyszał jej przyspieszony oddech i czuł, jak trzepocze w niej serce.

– Nie bój się – szepnął, dotykając dłonią rozgrzanej skóry Lilki, jakby chciał uspokoić spłoszonego ptaka. – Jesteśmy jednym, ty jesteś moim rytmem i westchnieniem wiatru... – Przymknął oczy i zanurzył twarz w jej włosach. – Jesteś jak łódź, w której mógłbym przepłynąć każdy ocean strachu i wątplenia. Kiedy jesteś, nie mam wątpliwości, po co żyję. Moja kochana panienko, biała łanio zrodzona z najczystszej wody...

Szmer słów kołysał Lilkę, jakby wzięły ją w posiadanie ramiona wiatru. Dzień chylił się ku zachodowi, malując świat ciepłymi barwami. Obłoki zgubiły niewinną jasność dnia, przyoblekając się we frywolne czerwienie i ogniste pomarańcze. Wiktor miał złocistą skórę. Kropelki potu na opalonych ramionach lśniły jak złota rosa, wychwytyjąc rozbłyski słońca spomiędzy liści i zamykając je w swoim wilgotnym wnętrzu. Nad krzewinkami jagód krążyły złote muchy. W pewnej chwili znad podmokłych łąk bezszelestnie nadleciała wielka złota ważka i usiadła Wiktorowi na głowie.

– Nie bądź taka niecierpliwa. Poczekaj kilka dni, niech się rozpakują, odpoczną.

Marianna i Gustaw Lindnerowie wrócili z rejsu w połowie sierpnia. W korytarzu stały jeszcze nierozpakowane walizy, pudła na kapelusze i kufry pokryte barwnymi nalepkami, a już następnego dnia Lilka wpadła na pomysł, żeby przyprowadzić Wiktora na kolację.

– Ale on za tydzień wyjeżdża! Muszę ich do niego przekonać, nie rozumiesz? To już nie jest zabawa. Ja go naprawdę kocham. To prawdziwe, najprawdziwsze uczucie!

Ostatnie słowa zabrzmiały tak dramatycznie, że Jakub z niepokojem przyjrzał się siostrze.

– Hej, chyba za mąż się jeszcze nie wybierasz, mam nadzieję? To fajny chłopak, głowę wprowadzie ma nabitą utopijnymi ideami, jednak ogólnie fajny. Tyle że to jeszcze nie powód do ślubu.

– Nie wygłupiaj się, chciałam po prostu, żeby się przekonali, że Wiktor nie jest jakimś lewackim demonem, który mnie porwie i każe głodować w imię idei. Po prostu ma jasno sprecyzowane poglądy i jest za społeczną sprawiedliwość. Mnie się to podoba, czy to coś złego, że jest wrażliwy? Pomaga ubogim, interesuje się historią...

– I wiesz psy na burżujskich posiadaczach ziemskich – przerwał jej rozbawiony Jakub. – Zdarzyła nam się mała wymiana poglądów... Jesteś pewna, że chcesz go przedstawić ojcu?

– Przesadzasz, Wiktor nie ma nic przeciwko uczciwemu zarabianiu pieniędzy, chodzi tylko o to, żeby się nie zamykać na biedę. A tato był kiedyś biedny i wie, jak to jest.

Jakub parsknął śmiechem. Klepnął się po udach i rozbawiony opadł na fotel.

– No co, może nie? – nastroszyła się Lilka, obrażona, że się z niej śmieje.

– Był, był, a jakże. Bo wszystko przehulał w kasynie. Nie sędzę, żeby twój Wiktor miał na myśli ten rodzaj biedy. Moja droga, zarówno ojciec, jak i mama wywodzą się, niestety, i to w dodatku z dziada pradziada, z bogatej szlachty. W wyniku zawirowań dziejowych może trochę zubożeli, ale fakt pozostaje faktem: tacy ideowcy i strażnicy równości społecznej jak ten twój Wiktor nigdy im nie darują owego pochodzenia. Zapomniałaś, że babcia Stefania była de domo Tołłoczko herbu Pobóg?

– Wielka mi szlachta...

– A jej dziadek, Atanazy Kański, był spokrewniony z królem Janem Sobieskim i tak jak on pieczętował się herbem Janina?

– Oj, tysiąc razy to słyszałam – zniecierpliwiła się Lilka. – I co z tego?

– A ty pochodzisz od nich w linii prostej – kontynuował wciąż rozbawiony Jakub.

– Och, przestań żartować, mówię poważnie.

– Ja również.

– Chcę im przedstawić Wiktora – upierała się Lilka.

Jakub przestał się uśmiechać.

– A pomyślałaś, że od razu się wyda, dlaczego chciałaś zostać w domu?

Jednak na wszystko miała gotową odpowiedź.

– No i co z tego? Zostałam i nic się nie stało. Uważam, że to świadczy raczej o mojej odpowiedzialności – odparła wyzywająco.

Jakub skapitulował.

– Rób, jak chcesz. W sobotę, zdaje się, przychodzi na brydża profesor Ostrowski z żoną, może to dobry moment. Ojciec go ceni, a on z kolei lubi młodych ludzi o wyrazistych poglądach, nawet jeśli zbaczają w lewą stronę. Spróbuj, może nie będzie tak źle. Tylko radziłbym ci wtajemniczyć we wszystko mamę.

Łatwo było powiedzieć, trudniej wykonać. W końcu to mama miała do Wiktora więcej zastrzeżeń. Jednak, ku niezmiernemu zdumieniu Lilki, sprawa okazała się prostsza, niż można by przypuszczać.

Nie bez wpływu okazały się wakacyjne tygodnie spędzone na rajskich wyspach. Mama wróciła wypoczęta, wesoła i młodsza o dobrych kilka lat. W dodatku sprawiła sobie cztery nowe suknie, w których wyglądała bosko, co zdecydowanie poprawiło jej humor.

– Kochanie, przecież wiem, że nie jesteś już dzieckiem – westchnęła, gdy córka z kamienną twarzą zakomunikowała, że się zakochała, i że to ten jeden, jedyny. – Myślałam, że ci minie... Takie wakacyjne zauroczenia z reguły nie trwają zbyt długo. Ale w gruncie rzeczy jestem mu wdzięczna. Myślisz, że nie wiem, z jakiego powodu wróciłaś do żywych po tym okropnym zdarzeniu? – Poglądziła córkę po policzku. – Widziałam, jak chowałaś listy... Przepraszam cię, ale Michaś wygrzebał je kiedyś w twoim biurku. Szukał naklejek, podobno mu obiecałaś – dodała tonem usprawiedliwienia, widząc minę Lilki. – Nie, nie bój się, nikt ich nie czytał. – Uśmiechnęła się łagodnie. – Zaraz mu zabrałam. Ale stąd wiem, że Wiktor pisał do ciebie. No cóż, jeśli wytrwaliście cały rok, to może to jest poważniejsze uczucie, niż sądziłam – zakończyła, rozkładając ręce.

– Mamo, kocham cię! – Lilka nieczęsto w tak żywiołowy sposób okazywała emocje, ale tym razem nie mogła się powstrzymać i z piskiem zarzuciła Mariannie ręce na szyję.

Kolacja poprzedzająca brydża zapowiadała się wyśmienicie. Z Winniczek jak zwykle dostarczono wyborne produkty. Gospodyni zarządzająca wiejskim majątkiem, pani Helenka, przysłała pięćdziesiąt jaj, kwartę gęstej śmietany, dwie oskubane kaczki, gęś, pierogi z serem, ziemniakami i miętą, wielki pęk rabarbaru na placek oraz całe wiaderko świeżych, pachnących malin, które razem ze starą Dziedzicową uzbierała w lesie. Antoni przywiózł to wszystko, ale jednocześnie poinformował Mariannę, że pani Helenka jest obrażona, bo od ostatnich świąt Bożego Narodzenia nie urządza się już proszonych kolacji w Winniczkach.

– Ta joj, pani dziedziczko – wzdychał, drapiąc się po łysej głowie. – Cu ja mam z tu moju babu. Nabuńdziurzona, od kiedy si wywiedziła, że u państwa przyjęcie będzie. Wielkiego świata jej si zachciewa. Ale powidz pani sama: z babu źle, ali bez baby gorzy. – Westchnął ciężko. – A ja taki durnowaty pomidur i swoi baby kocham, choć, ni powim, czasem mnie zhołuka. Na ten przykład tera – westchnął znowu. – Powidz, mówi, pani Mariannie, że nikt tak nie upiecze kaczek jak ja ani takiego musu z rabarbaru nie zrobi, kaźden to powi.

– Wiem, panie Antoni, wiem. Jak pańska żona przepiórki raz upiekła, to mój mąż trzy dni z łóżka wstać nie mógł, tak się objadł. Mówił, że to najlepsze, czego w życiu kosztował. Chyba ze trzy sztuki sam jeden wtedy pochłonał.

– Ta co mam nie pamiętać – roześmiał się Antoni. – A tera narzeka, że gotować ni ma dla kogo. Pan Gustaw coraz rzadziej zagląda, a jak ma jakie interesa w majątku, to na obiad nie chce zostać, powiada, że si do domu spieszy. Dawniej u nas gwarno było, wesoło. Człowiekowi aż si chciało zaciuchrać na

harmonii, kindrusy pu domu biegali, przyjaciele w gościne zjeżdżali. A jak nastawał czas zbierania miodu, to już przyjęcie za przyjęciem. Tera majątek nikomu niepotrzebny, ali służbę i robotników ze stadniny karmić trza. A im przecież nie będzie si kwiczołów prażyć. Baraboli dosyć i jakiej chabaniny kawałek. Ta joj, nie wrócą dawne czasy...

Od wypadku Lilki rodzina Lindnerów rzadko jeździła do Winniczek. Marianna wolała mieć na oku dochodzącą do siebie córkę, a i Michaś zaczął się przygotowywać do pierwszej klasy. Majątku doglądał Jakub przy pomocy Antoniego, a pieczę nad domem sprawowała pani Helenka. Marianna nieraz jej proponowała, żeby przeniosła się z nimi do Lwowa; kamienica była duża i bez trudu wygospodarowałyby się mieszkanie, zwłaszcza że ciągle poszukiwano dozorczy. Było już kilku, lecz żaden dłużej nie zagrzał miejsca.

Pani Helenka nawet słyszeć o tym nie chciała.

– A kto obejścia przypilnuje? A kto ptactwo nakarmi, a dopilnuje, żeby krowy z pastwiska wrócili? Kto zoczy, aby si koni na padoku mokrej trawy nie nażarli? A żniwa? A pasieka? Nowy pachciarz jest, przyłazi po mleko z porannego dojenia, ale z oczu mu dobrze nie patrzy...

– Przecież od tego są ludzie!

– Na ludzi też trza mieć baczenie, bo pyćkać będą zamiast si porządni za rubote złapać.

W taki sposób kończyła się większość rozmów. Pani Helenka sercem oddana była wiejskiej posiadłości Lindnerów i wciąż miała nadzieję, że nastaną jeszcze złote czasy i rodzina na dobre wróci na wieś. Nie zadowalało jej prowadzenie domu, w którym właściciele pojawiali się raz na miesiąc. Gotowanie dla pracowników nie zaspokajało jej ambicji.

Przyjazd Antoniego z zaopatrzeniem wzbudził niechęć kucharki.

– Ta co, ja pirogów nalepić nie umi? – oburzyła się na widok wielkiej, wypełnionej nimi miski. – Że moje tu niby gorsze?

Marianna musiała się wykazać dużym taktem i nie lada talentem dyplomatycznym. Mimo powszechnego kryzysu o dobrą i doświadczoną kucharkę było we Lwowie trudno.

– Ależ kochana pani Chudecka, nikt w całym Lwowie nie robi takich jak pani. Co ja mówię, we Lwowie! W całej Polsce! A już te wątróbkowe po żydowsku nie mają sobie równych. Wczoraj Pelasia spotkała na targu dziewczynę od doktorostwa Rochowiczów. Prosiła, czy może przyjść do pani Chudeckiej, żeby jej pani przepis dała. Doktorowa Rochowiczowa kiedyś je u nas jadła i ponoć zapomnieć nie może.

Pani Chudecka, z natury czerwona na twarzy, pokraśniała jeszcze bardziej.

– A mogę, pewnie, że mogę. Trymbulki trza dla smaku dodać i tajemnica cała. A ta dziewczyna od Rochowiczów to taka wyginiasta łandyga? Ruda, z długimi pedałami? – upewniła się na wszelki wypadek, choć dobrze wiedziała, o kogo chodzi. – A, niech przyjdzie, co mi tam! – Machnęła ręką. – Jak nie dam, to się nigdy nie odfastryguje. Już ze dwa razy tu była. Co to ja miałam... A! – przypomniała sobie nagle. – Jak państwa nie było, to zachodził taki jeden, po pokojach węszył...

– Jak to, po pokojach? – przestraszyła się Marianna.

– Eligancki taki... Ubrany jak na odpust, Anglik z Kołomyi. Powiedziałam już do słuchu Pelasi, że go wpuściła. Podobno gadał, że przyjaciel domu, ale ja tam go nigdy nie widziała. Pelasia zostawiła go w korytarzu i do mnie przyleciała powiedzieć. Zara poleciałam, patrzę, a ten stoi w salonie i obraz ogląda, a dziwuje się, łbem kręci na wszystkie strony...

– Obraz? – Starannie wyskubane brwi pani domu uniosły się niemal do linii włosów. – Jak to, obraz oglądał? Obraz oglądał?!

Kucharka nie rozumiała, o co chodzi jej chlebobawczyni.

– Ta stał pod ścianą i się gapił, no to chyba oglądał... A te oczka takie łukawe byli...

– Pani Chudecka, przecież to oryginał!

– Ta joj! – ucieszyła się kucharka. – To samo powiedziałam Pelasi! Nikt normalny na co dzień nie stroi się w ancug jak na jaki bal. Błoto na ulicy po kolana, a ten w białym ancugu. Orginał, jak pragnę zdrowia, ma pani świętą rację.

Marianna aż jęknęła.

– Obraz jest oryginalny! To nie reprodukcja, przecież pani wie! Tyle razy prosiłam, żeby nikogo do salonu nie wpuszczają. Wie pani, jaki on cenny?

Kucharka wzruszyła ramionami.

– Może i cenny, ale straszny, że nawet łysemu włos by się zjeżył.

Pani Chudecka podzielała stanowisko Michasia i również nie lubiła *Dziwnego ogrodu*.

– Jakby zamazać tego złotego stwora, to całkiem przyjemny... I jeszcze Żydek z nim był, taki fifak kociurbaty – przypomniała sobie.

Bywały chwile, że Mariannie niełatwo było się dogadać z własną kucharką.

– Pani Chudecka!

– Ta mówię przecie. Eligant i Żydek stali w salonie i gapili się na to to, jak wół na malowane wrota. Żydek strugał funia, że niby nasz pan ich zaprosił i takie tam, kolędował i kolędował, a jadaczka mu się nie zamykała. Ten drugi nakazał mu siedzieć cicho. I dobrze, bo jużem się prawie zamachła, tak mnie rozeźlił. Kazał panu rzec, że jest obrazem zainteresowany i nabyć chce. Więcej jeszcze zamiarował bajtlować, ale kazałam iść precz, bo ręce mnie swędzieli i źle by się skończyć mogło. Ta powiedziała, że to ajnbruch jaki, nachodzić ludzi bez pytania i że policmajstra zawołam. Pokręcili nosami, ale poszli bez wydziwiania. Tyla że mi się widzi, że to nie policmajstra się przestraszyli...

Chudecka lekceważąco wzruszyła ramionami. Wysoka na prawie dwa metry i zbudowana jak zapaśnik, o szerokich barach i dłoniach, nie przymierzając jak kociuby, nie musiała się obawiać byle chłystka. Na jej widok nawet największemu chojrakowi miękły kolana i chyba tylko jaki myszygine mógłby się odważyć z nią zadzierać.

– Luftować potem trza było ze dwie godziny alibo więcej. Ten syn Abrahamowy cybulą waniał, aż dywany przeszli...

Po ustaleniach szczegółów Lindnerowie doszli do wniosku, że nieproszonym gościem musiał być Lenthen we własnej osobie.

– Zaczynam się go bać... – Marianna pokręciła głową. – Co za bezczelny typ. Przychodzi tu jak do siebie! Dobrze, że nic nie wyniósł. Skąd on w ogóle wie, gdzie mieszkamy? Z tego wszystkiego rozboleła mnie głowa...

Wyciągnęła się wygodniej w fotelu i odruchowo poprawiła szew w pończosze. Powinien dzielić łydkę na dwie idealne, smukłe części, ale nigdy nie chciał pozostać na miejscu i uciekał wężykiem na boki. Zrezygnowana Marianna pomyślała, że to już nie dla niej. Wciąż lubiła modne wytworne stroje, nadal chciała się podobać, jednak z biegiem czasu od elegancji ważniejsza stawała się wygoda.

Kątem oka dostrzegła jakiś ruch w drzwiach.

– Michaś! – Podniosła głos. – Tyle razy prosiłam, żebyś nie grzebał w rzeczach siostry!

– Ja nie grzebię, ja szukam – z godnością sprostował chłopiec.

– Chyba dnia wczorajszego...

– Mamo, a można cofnąć czas? – zainteresował się, nic sobie nie robiąc z pretensji. – Żebyśmy znowu mogli się kąpać w morzu? Czuję, że teraz już bym umiał pływać. Chyba na pewno. Chyba bardzo bym umiał.

Rodzice uśmiechnęli się do siebie porozumiewawczo. Mama przygarnęła Michasia i z czułością ucałowała w jasne włosy. Synek zawsze potrafił ją rozbroić i większość przewinień uchodziła mu na

sucho, choć czasem przez jego pomysły miała ochotę rwać włosy z głowy.

Przez całe lato ojciec na zmianę z dwoma ratownikami pilnującymi plaży usiłował nauczyć chłopca pływać. Bezskutecznie. Michaś nie bał się wody, lecz za nic nie udawało mu się utrzymać na jej powierzchni dłużej niż pół minuty. Machał nogami, wściekle młócił wodę rękami, wydymał policzki, mimo to za każdym razem szedł na dno jak kamień.

– Całkowity brak wyporności – orzekli w końcu zniechęceni ratownicy i poszli uczyć kogoś innego, niwecząc tym samym nadzieje chłopca na zdobycie upragnionej umiejętności.

Z podwórka doleciał charakterystyczny zaśpiew.

– Mamo, handełes! – wrzasnął Michaś.

Wyrwał się z maminych ramion i tyle go widzieli. Z korytarza doleciał tupot butów, jakby stado słońi zbiegało po schodach.

Stary Szymon był najlepszym przyjacielem chłopca. Michaś wpatrzony był w niego jak w obraz. Zazdrościł mu wszystkiego: długiej brody, powiewającej na wietrze kapoty oraz kapelusza z szerokim rondem. Największy jego podziw wzbudzał jednak przenośny warsztat do ostrzenia noży i lutowania garnków. Szymon lubił małego rezolutnego chłopca z kamienicy przy Tatarskiej; pokazywał mu, jak ostrzyć noże, i raczył zabawnymi szmoncesami, w których więcej było mądrości niż uśmiechu. A od chwili, gdy opowiedział, jak w społeczności żydowskiej podczas bar micwy każdy trzynastoletni chłopiec zostaje uznany za zupełnie dorosłego, Michaś miał nowe marzenie.

– Jak będę miał trzynaście lat, zostanę Żydem – oświadczył kiedyś oniemiałej pani Chudeckiej, która na to przeżegnała się nabożnie.

– Gdzie on znowu poleciał? – westchnęła Marianna. – Nie dosyć, że zmartwień tyle z tym Lenthenem, to jeszcze Michasiem muszę się denerwować. Nie uważasz, że ta przyjaźń z handlarzem jest co najmniej dziwna?

– Kochanie, przesadzasz. – Gustaw się uśmiechnął. – Michaś nie jest już malutkim dzieckiem, pozwól mu na trochę swobody. A ten Żyd to mądry człowiek – dodał nieco roztargniony.

Nie chciał niepokoić żony i nie powiedział jej o wcześniejszych, równie dziwnych odwiedzinach Lenthena. Podszedł do kredensu i wyciągnął butelkę absyntu. Nalał trochę do szklanki, dopełnił wodą, wsypał szczyptę cukru i podał Mariannie.

– Wypij, dobrze ci robi – powiedział ciepło, kładąc rękę na jej ramieniu. – Musiał się gdzieś wywiedzieć, że mamy ten obraz... – Z niechęcią wrócił do tematu. – Może uczestniczył w aukcji, nie wiem, nie pamiętam. Spotkałem go kiedyś raz czy dwa w... hmm, w kasynie, ale przecież o obrazie z nim nie rozmawiałem.

Rzucił żonie spojrzenie pełne niepokoju, obawiając się, że wkroczył na grząski teren. Kasyno, choć od jakiegoś czasu nieobecne w jego życiu, wciąż stanowiło drażliwy temat i zazwyczaj wolał do niego nie wracać. Sam nie wiedział, dlaczego nagle zebrało mu się na szczerłość.

Marianna nie zwróciła uwagi, zajęta rozmasowywaniem skroni.

– Rozmawiałem z Władkiem Ostrowskim, mówił, że u nich też był i z tego samego powodu. Bardzo się interesował portretem Heleny. Nie chciał przyjąć do wiadomości, że nie jest na sprzedaż. Diabli wiedzą, o co mu idzie. Nagle stał się takim miłośnikiem Mehoffera?

Zamiłowanie Lenthena do sztuki było we Lwowie powszechnie znane. W towarzystwie mówiło się, że lokuje pieniądze w obrazach i rzeźbach. Równie powszechna była wiedza, że metody, jakimi je zdobywał, nie zawsze są legalne, w każdym razie wszyscy dobrze wiedzieli o jego znajomościach w paserskim półświatku. Oficjalnie – uczestniczył w aukcjach, odwiedzał galerie, a przede wszystkim mienił się sprawnym wyszukiwaczem młodych talentów. Podobno rzeczywiście miał do tego nosa. Krążyły słuchy, że bywał bezwzględny w negocjacjach i jeszcze się nie zdarzyło, żeby jakiś młody artysta



dobrze wyszedł na tej współpracy.

Gdy dostrzegł duży talent i potencjał twórcy, najczęściej wykorzystywał trudną sytuację niedocenionego malarza i nabywał jego obrazy za grosze. Zapewne nie byłoby w tym nic zdrożnego, gdyby jednocześnie nie chępił się na prawo i lewo wielkodusznością swego postępku i nie opowiadał o swoim mecenacie, o stypendiach, rzekomo przyznawanych biedującym artystom.

– Kolekcjoner, psia mać... Nie rozumiem, co on knuje. Dzwonił mecenas Rostocki. Lenthen ostatecznie nie wniósł sprawy. Jakoś nie mogę uwierzyć, że pogodził się ze stratą. – Gustaw w zamyśleniu pokręcił głową. – To nie jest człowiek tego pokroju. Byłem przekonany, że będzie walczył do upadłego. Oczywiście nie sądzę, by miał szanse na wygraną, ale krwi mógłby mi napsuć, to nie ulega wątpliwości. Te latami ciągnące się procesy, zainteresowanie prasy... Wiesz, jak to jest: tobie ukradli czy ty ukradłeś, to po pewnym czasie przestaje mieć znaczenie, a smród dalej się ciągnie. Od jakiegoś czasu i tak jestem na celowniku „Gazety Lwowskiej” przez tego masztalera z Winniczek. Imaginuj sobie, że jak tylko wywaliłem go na zbity pysk, łajdak natychmiast poszedł się poskarżyć! Znalazł jakiegoś żądnego sensacji dziennikarzynę i przedstawił swoją wersję wydarzeń. Oczywiście możesz sobie wyobrazić jaką. Ani słowa o pijaństwie i pastwieniu się nad końmi, za to dużo o rzekomym wyzysku i głodowej pensji. Głodowej pensji! – Parsknął z oburzeniem. – Zarabiał chyba najlepiej w całej stadninie! Ty wiesz – zmienił temat – że byłem wczoraj u Ulama w Domu Bankowym i miałem kłopot z transferem pieniędzy? Sam już nie wiem, czy to przypadek, czy też zaczyna się za mną ciągnąć ten smród...

Marianna podeszła do męża i pogłodziła go po głowie. Wśród lśniących czarnych włosów ze smutkiem zauważyła siwe pasmo.

– Oby tylko nie było przez niego kłopotów – westchnęła. – I wiesz, że nie idzie mi o pieniądze. Ostatnio mam wrażenie, że za wiele jest tego wszystkiego; domy, auta, tyle niepotrzebnego zbytku... Duże pieniądze przyciągają duże nieszczęścia, tak mówiła moja babcia. I w dodatku na co dzień prawie cię nie widuję. Wcale mi nie zależy, żeby spędzać wakacje za granicą, a i Winniczki możemy sprzedać, jeśli uznasz, że tak będzie lepiej. Boję się tego człowieka... Mam jakieś osobliwe przeczucie, że jeszcze będą przez niego kłopoty. Obym się myliła... – Pokręciła głową. – Po prostu chciałabym, żebyśmy w spokoju doczekali starości... – Przytuliła się do męża, a ten w odpowiedzi objął ją w pasie i wtulił czoło w cienki materiał sukienki.

– Kochanie moje, tyle przeze mnie wycierpiałas... Nie wiem, czy jest na świecie drugi taki głupiec jak ja. – Podniósł głowę i spojrzał żonie w oczy. – Nie pozwolę, żebyś się zamartwiała przez takiego psubrata. Teraz, gdy interesy idą dobrze, nie będziemy zawracać sobie głowy tym... – Zmełł w ustach wyzwisko. Żona nie lubiła, gdy się niestosownie wyrażał. – A od nadmiaru pieniędzy jeszcze nikomu nie stała się krzywda. – Uśmiechnął się. – Niczego nie będziemy sprzedawać, lata chude już za nami, teraz czekają nas tylko lata tłuste, obiecuję ci. Jesienią zamierzam urządzać aukcję nowych koni i jeśli wszystko pójdzie dobrze, będziemy mogli piętnaście razy wykupić tego całego Lenthenę razem z jego dziełami sztuki.

– Boże broń! – roześmiała się nieco uspokojona Marianna.

Podczas kolacji profesor Ostrowski potwierdził, że Lenthen odwiedził również jego.

– Wyrzuciłem drania na zbity pysk! Nawet zdania nie zdążył dokończyć. A świdrował tymi oczkami, a świdrował, mało ściany na wylot nie prześwidrował. Drzwi były uchylone, myślałem, że mi się po ramionach wdrapie, tak zaglądał. Oczywiście udawał, że wcale go nie interesuje, co mam za plecami, Boże broń, ale oczy tak mu latały, że hej! Wątpliwa sława zjawiała się przed nim, a ja, nie chwaląc się, krzepę jeszcze mam. – Starszy pan roześmiał się rubasznie, prezentując chudą i żyłastą rękę, na której próżno byłoby szukać śladów mięśni. – Nie będzie mnie nachodził byle handlarzyna, mecenas, panie

dzieju, jak z koziej, za przeproszeniem, dupy trąba. Znany takich mecenasów, o pieniądze im się tylko rozchodzi, a Moneta od Maneta nie odróżniają. Słoma mu z butów wystawała, chociaż galanty jak ta lala.

– I w ogóle jakiś nieprzyjemny typ. – Helena Ostrowska, zwana Lunią, wzdrygnęła się gwałtownie. – Gładki i wyelegantowany, a z oczu wilkiem mu patrzyło. A wiecie, kochani, jakie nieprzyjemności ma przez niego ten biedny Pistyner? – Mówiąc to, zerknęła wymownie na Gustawa.

Ten jednak nie podjął tematu. Nie zamierzał przy stole rozmawiać o interesach.

– Wszystko przez ten spór o las. Na mieście powiadają, że od kilku tygodni nachodzą go jacyś podejrzani ludzie. To mu szyby wszystkie wyłukli w oknach, to znowu do kamienicy wrzucili palące się szmaty nasączone naftą, ledwie pożar zdołano ugasić. Cud, że nikt nie ucierpiał, przecież on ma podobno pięcioro małych dzieci...

Profesor Ostrowski popatrzył na żonę z naganą.

– Ależ, duszko, nikt nikogo za rękę nie złapał. To śliski typ i naprawdę nie rozumiem, jak Henio Hilarowicz i doktorostwo Troccy mogą go tolerować w towarzystwie, lecz nie godzi się rzucać niepotwierdzonych oskarżeń.

– Bo ty, Władziu, jesteś jak dziecko naiwny i widzisz w ludziach tylko to, co chcesz zobaczyć. – Lunia westchnęła, sięgając po kolejnego pieroga. – Pyszne te pierożki, Marianno.

– I za to mnie, duszko, kochasz. – Profesor uśmiechnął się rozbrajająco i z atencją ucałował małżonkę w rękę.

Zarówno Marianna, jak i Gustaw uwielbiali Władka Ostrowskiego. Znali go od dawna, darzyli przyjaźnią i często zapraszali do Winniczek. Profesor był wielkim miłośnikiem natury. Oprócz niemieckiej kultury jego największą namiętność stanowiła kultura mrówczego gniazda.

O mrówkach wiedział prawie wszystko: czego się boją, kto jest kim w hierarchii, dlaczego wracają do mrowiska. Organizacja mrówczej społeczności budziła w nim niekłamany podziw. Godzinami mógł badać i obserwować owadzie nieustające zmagania ze światem.

Efektom owej fascynacji stał się obszerny artykuł poświęcony zjawisku przejmowania kontroli nad zachowaniem mrówek z gatunku *Camponotus leonardi* przez grzybiego pasożyta, który zmieniając funkcjonowanie mózgu mrówki, zmusza ją, by przestała się troszczyć o mrowisko i porzuciła je, by szukać warunków idealnych dla rozwoju pasożyta. Zainfekowane w ten sposób owady nie myślą samodzielnie i stają się narzędziem w rękach okupanta, a ten, wykorzystując je do rozprzestrzeniania się i infekowania kolejnych mrowisk, osiąga swój cel.

W zupełnie nieoczekiwany i niepojęty dla profesora sposób ową pracę odebrano jako paszkwil na sympatyków komunizmu, toteż przyniosła ona uczonemu uznanie środowisk prawicowych. Publikacja artykułu w kilku najbardziej poczytnych ogólnopolskich czasopismach zupełnie przypadkowo zbiegła się z IV Zjazdem KPP. Podobno sam Piłsudski wyrażał się z uznaniem o dziele profesora i nawet chodziły słuchy, że chętnie by poznał jego autora osobiście.

Profesor Ostrowski z poprzednią żoną, Eleonorą, przez długie lata mieszkał w domu z ogrodem na przedmieściach Lwowa, niedaleko Kortumowej Góry. Kierowany jakimś nagłym, a niepojętym impulsem, jakby instynktem przetrwania, sprzedał go po śmierci małżonki, zorientowawszy się, że czas począł niepokojąco zwalniać i lada chwila zacznie się cofać. Zbyt mocno kusiło go tu powracanie do przeszłości, odczuwalnej w każdym pokoju, odnajdowanej w każdym meblu, nagłym błysku słońca na parapecie, w każdym zakątku ogrodu, gdzie oboje tak lubili spędzać czas. Przeniósł się do wygodnego mieszkania w śródmieściu, w pięknej secesyjnej kamienicy z niepowtarzalnymi balkonami, i choć usiłował rozpocząć nowe życie, nieustannie tęsknił za żoną, wsią i swoimi mrówkami. W starym domu miał niezliczoną ilość formikariów i mimo że bolało go serce, musiał się z nimi rozstać.

Gdy już zanosilo się na to, że do końca swoich dni będzie żył tęsknotą i wspomnieniami, niebiososa

zesłały mu Lunię, tak przynajmniej uważał. Sam nie przypuszczał, że w tym wieku człowiek może się jeszcze zakochać. Bez pamięci, zupełnie jak sztabak. Jakby bez ustanku karmił się ambrozją prosto z ogrodu Hesperyd.

W wielkim dzbanie szczęścia znalazła się wszakże mała kropla goryczy. Profesor jednak, po dłuższym zastanowieniu, zaczął ją traktować jak niezbędną przyprawę, ową szczyptę soli, podkrecającą smak. Otóż nowa pani Ostrowska była urodzonym mieszczuchem i ani myślała wyprowadzać się na wieś. Mrówek w domu nie tolerowała, budziły w niej obrzydzenie; uważała je za włączące do cukiernicy inwazyjne insekty, które zasługują jedynie na to, by zakończyć życie pod podeszwą pantofla.

Miała dość spokojną, choć towarzyską naturę i nie wyobrażała sobie życia, jakie marzyło się jej mężowi. Nie dla niej cicha wieś, obcowanie z naturą i świat sprowadzony do kilku najbliższych osób. Ludzi lubiła prawie tak samo jak książki. Pasjami oddawała się lekturze, a jej największą namiętnością było myszkowanie wśród półek antykwariatów w poszukiwaniu białych kruków. Charakterystyczny zapach starych książek sprawiał jej taką samą przyjemność jak najnowsze, paryskie perfumy od Coco Chanel.

Brała udział w aukcjach i znała chyba wszystkich bibliofilów na całym świecie, a już z pewnością w Polsce. Jako jedna z nielicznych kobiet należała do Rycerskiego Zakonu Bibliofilskiego i Kapituły Orderu Białego Kruka w Krakowie, którego Wielkim Mistrzem był Kazimierz Witkiewicz.

Ostrowscy posiadali imponującą kolekcję unikatowych książek i starodruków, niejednokrotnie przewyższających wartość porządną kamienicę w śródmieściu. Lunia uważała, że choć nic nie jest stałe na tym świecie, to książki zbliżają się do tego ideału. Większość ludzi nie zdawała sobie sprawy, jakie skarby kryły półki antykwariatów czy też sklepów ze starzyzną. Często sami sprzedawcy nie mieli pojęcia, co posiadają. Ostrowscy uwielbiali ten dreszcz emocji, który towarzyszył im, gdy w podejrzonej dzielnicy Moskwy trafili na pierwsze wydanie *Sonetów krymskich* Mickiewicza albo gdy na Krakidałach kupili za bezcen list Rilkego do Mariny Cwietajewej. Handlarka miała minę pokazującą dobitnie, co myśli o frajerach wyrzucających pieniądze na takie brechnie, a profesorostwo czuli się jak ostatni prawdziwi poszukiwacze skarbów.

Stanowili zabawną i uroczą parę. On, dystygowany starszy pan, w drucianych okularach i nieodłącznej panamie, sprawiający wrażenie trochę nieporadnego safandudy, był uznanym wykładowcą języka niemieckiego na Uniwersytecie Jana Kazimierza, autorytetem w swej dziedzinie i wielkim miłośnikiem Goethego i Kleista. Od wielu lat nieodmiennie zafascynowany kulturą niemiecką, w wolnych chwilach zajmował się tłumaczeniem literatury pięknej i przybliżał jej dzieła swoim uczniom, głęboko wierząc, że każdy, kto choć raz posmakuje jej owoców, nie będzie już mógł się bez nich obejść.

Zawsze gdy natknął się na jakiegoś studenckiego ignoranta, co to śmiał nie nazbyt entuzjastycznie się o niej wyrażać, powtarzał się ten sam rytuał. Profesor lekko się pochylał, podchodził do ofiary krokiem przyczojonego tygrysa, zsuwał okulary na sam czubek imponującego nosa i zaglądając przestraszonemu delikwentowi głęboko w oczy, pytał nieoczekiwanie: „Surehand czy Shatterhand?”.

Zaskoczony student najczęściej był w stanie wybąkać jedynie niezbyt inteligentne: „eee...”.

Wszakże raz zdarzył się taki, który wypalił bez namysłu: „Winnetou!”. Profesor wyprostował się, poprawił okulary i burknawszy ledwie zrozumiałe „no”, odwrócił się i poszedł, zostawiając młodego człowieka skonsternowanego i zbaraniałego.

Mało kto bowiem wiedział, że ów miłośnik niemieckiej literatury wysokiej był również wielkim admiratorem cieszącego się niezbyt chlubną sławą w środowiskach krytycznoliterackich Karola Maya.

Był niewątpliwym dziwakiem, ale młodzież lubiła go za nietuzinkowość i wyrozumiałość. Zawsze miał czas dla studentów i szanował swoich rozmówców bez względu na wiek i głupstwa, które zdarzało im się wygadywać.

Na pierwszy rzut oka niepozorny, dopiero przy bliższym poznaniu ujawniał pełen wachlarz zalet i każdy, kto choć przez chwilę miał przyjemność przebywać w towarzystwie Ostrowskiego, natychmiast ulegał jego urokowi. Profesor natomiast był pod nieustającym urokiem swojej żony, czemu trudno się dziwić.

Lunia Ostrowska, młodsza od męża o dwadzieścia pięć lat, była urodziwa jak gwiazda filmowa. Kruczoczarne włosy miękkimi falami okalały delikatną i subtelną acz nieco smagłą twarz, której największym atutem były wielkie, przepastne oczy. Czarne jak węgle, otoczone gęstymi rzęsami, świdrowały rozmówcę na wylot, niemal zaglądając mu w duszę. Mało kto był w stanie na dłuższą metę znieść owo wnikliwe, demoniczne spojrzenie, odzierające człowieka z wszelkich tajemnic. Za to uśmiech miała rozbijający i niepowtarzalny. Lekko uniesione kąciaki ust i nieco większa górna warga układały się jak do pocałunku, czasem przyjmując wyraz, jakby ich właścicielka traktowała świat z nieco ironicznym dystansem. Krągłe ramiona, niewielka głowa i długa smukła szyja czyniły z Luni idealną modelkę i natchnienie dla malarzy i poetów. Wyglądała jak czarny cygański anioł, przez pomyłkę zesłany między śmiertelników.

Pani profesorowa miała kilka portretów namalowanych przez oczarowanych jej powabem artystów. Magnetycznemu urokowi alabastrowej skóry i czarnych oczu Luni nie oparł się nawet Mehoffer. Portret, zatytułowany *Bogini i krzak róży*, wisiał na honorowym miejscu w salonie.

Plotkarski świątek Lwowa, uwielbiający takie historie, przez jakiś czas zastanawiał się, w jaki sposób starszemu i zupełnie pozbawionemu magnetycznego uroku, przeciętnemu w gruncie rzeczy mężczyźnie udało się zdobyć kobietę, do której wzdychało wielu młodszych i atrakcyjniejszych od niego. Swego czasu Helena Podkowińska stanowiła jedną z najbardziej pożądanых kobiet w mieście i niejednemu zламаła serce.

Początkowo podejrzewano, że powodem mógł być majątek profesora, ale szybko wyszło na jaw, że młoda pani Ostrowska pochodzi z zamożnej rodziny, w posagu wniosła mężowi pokaźną sumę i argument upadł. Nikt, oprócz tych, którzy znali profesora, nie przypuszczał, że to on został zdobyty. Gwoli prawdy dodać należy, że zbytnio się nie bronił i po niewielkich wahaniach spowodowanych różnicą wieku uległ sugestywnej i zakochanej w nim Luni. Z wrodzonym sarkastycznym poczuciem humoru, nieco wstydząc się siły uczucia, jakie i nim zawaładnęło, zwykł mawiać: „Ech, moja droga, bo jak się stary żeni z młodą dziewczyną, to tak, jakby analfabeta kupował książki”.

Mimo znacznej różnicy wieku, to profesor zachowywał się, jakby był młodszy od swojej żony. Miał otwartą głowę, cięty humor, a przy tym był stuprocentowym dżentelmenem, jakiego ze świecą by szukać pośród młodszych. W jego towarzystwie każda kobieta, choćby najpospolitszej urody, czuła się wyjątkowa i wyróżniona. Wesoły, błyskotliwy i skory do żartów, stanowił przeciwieństwo spokojnej, rozsądnej i nieco znudzonej światem Luni.

Dyskusja przy stole rozkręcała się coraz bardziej. Jedynie Lilka siedziała wyprostowana, jakby kij połknęła, i raz po raz spoglądała nerwowo na zegarek.

– Kochanie, nic nie zjadłaś – zauważyła z troską Lunia, odgarniając z czoła kosmyk włosów, uparcie spadający na policzek. Kątem oka uchwyciła zachwycone spojrzenie Jakuba. Od dłuższej chwili uważnie obserwowała dziewczynę. – Taka jesteś bledziutka... – wyciągnęła rękę i pogładziła ją po policzku. – Musisz jeść, w twoim wieku to bardzo ważne.

– Dziękuję, nie jestem głodna – bąknęła Lilka, czując, że krzesło parzy ją w siedzenie.

Mama posłała jej współczujące spojrzenie. Wczoraj poświęciła całe popołudnie, żeby przekonać Gustawa do ukochanej córki. A wybranek najwyraźniej zlekceważył wszystkich i nie pojawił się na kolacji.

Najbardziej było jej żal Lilki. Rzeczywiście zbladła jak płótno i pod stołem wyłamywała nerwowo

palce.

W końcu nie wytrzymała.

– Może coś mu się stało – zaczęła zdławionym głosem. – Obiecał, że na pewno przyjdzie... On zawsze dotrzymuje słowa. Może wpadł pod samochód albo zasnął na ulicy... Albo sama już nie wiem co.

– Ech, młodzi! – zaśmiał się profesor, nakładając na talerz okazałą porcję kaczki w pomarańczach i doprawiając ją żurawiną z salaterki. – Cały świat malują na czarno. Kochana Lileczko, życie ma jeszcze inne barwy, bardziej prozaiczne i nie tak wyraziste, na szczęście. Więcej w nim wyblakłych szarości niż czerni i bieli. Może po prostu twój znajomy doszedł do wniosku, że wieczór z czworgiem dorosłych ludzi i jednym starym piernikiem to nie najlepszy pomysł na spędzanie czasu. I powiem ci, kochaneczko, wcale bym mu się nie dziwił. Przewrotnie i okrutnie wymyśliła to natura: starzy ciągną do młodych, ale w odwrotną stronę ów proces nie zachodzi. Choć muszę przyznać, bywa, że...

Profesor nie dokończył zdania. Zza okien dobiegły echa pokrzykiwań i odgłosy awantury. Gdzieś tłuło się szkło, ktoś walił w metalowe pokrywki, a hałasy co jakiś czas przeszywał wibrujący dźwięk policyjnego gwizdka. W pewnej chwili huknęło, jakby ktoś rzucił petardę. Gustaw i Jakub zerwali się od stołu, trącąc kieliszki. Profesor Ostrowski również usiłował się podnieść, ale nie mógł sobie poradzić z odsunięciem ciężkiego krzesła.

– Władziu! – Lunia złapała go za rękę.

– Mamo! Biją się!

Michaś wybiegł ze swojego pokoju, z prędkością światła znalazł się przy oknie i po sekundzie już wisiał przechylony przez parapet.

– Tacy w czapkach gonią polikiera! – relacjonował przejęty. – Mają chorągiewki i takie, takie... – Nie mógł znaleźć określenia. – Szmaty z napisami! Nie! To polikiery gonią tych w czapkach!

– Michaś, złaż natychmiast! Co się tam dzieje? – przestraszyła się Marianna.

Zanim ktokolwiek zdążył jej odpowiedzieć, do pokoju wpadła przejęta Pelasia.

– Lilka idzie! – wrzasnęła, ze zdenerwowania akcentując pierwsze słowo.

Lunia spojrzała na nią, jakby służąca była niespełna rozumu.

– Jak to: Lilka idzie? Przecież Lilka...

– Lilka idzie! – powtórzyła Pelasia z naciskiem, wbijając wzrok w dziewczynę i kładąc tym razem akcent na „idzie”. Nie musiała tego robić, wszyscy domownicy byli przyzwyczajeni do jej trzecioosobowych zwrotów. Tknięta nagłym przecuciem Lilka poderwała się z krzesła.

– Już, co się... Wiktor?! Matko święta!

Zanim ojciec zdążył ją powstrzymać, pognała za Pelasią, trzaskając drzwiami.

– O Boże, idźże za nią! – histerycznie krzyknęła Marianna. – Coś się musiało stać! Na co czekasz!

Gustaw otrząsnął się z chwilowego stuporu i pobiegł za córką. Za nim Jakub.

Na parterze, na stopniach prowadzących do mieszkania dozorca, siedział Wiktor. Twarz miał zalaną krwią. Poszarpana marynarka trzymała się na kilku szwach. Pozbawiona guzików, straciła swój pierwotny, jasny kolor. Na całych plecach widniały ślady butów. Urwana kieszeń zwisała jak smętny jęzor.

Chłopak trzymał głowę do góry. Przykładał do nosa białą, płócienną szmatkę, która z wolna nasiąkała czerwienią. Nad nim, z rękami splecionymi na obfitym biuście, stała pani Marczenkowa, żona dozorca.

– Na zbity pysk bym go pogoniła! – zwróciła się do Gustawa, który pojawił się w chwilę po córce. – Co rusz jakie łachudry tu zagląдают, potem schodów doszorować nie można. W porę mi się przypomniało, że przecież to kawaler naszej Lilki. Ale sam pan przyznasz, że rozpoznać niełatwo. Nic mu nie jest, choć niezdały taki, poobijany troszku. – Na widok przerażonej twarzy dziewczyny lekceważąco machnęła ręką. – Krew przestanie iść i jak nowy będzie. Kubrak trochę porwany, ale sztaniety całe. Ja ne rozumiem... –



Wzięła się pod boki, opierając dłonie na okazałych rozmiarów wałku tłuszczu, który utworzył się wokół bioder. – Kak to w awantury uliczne się wdawać! Ludzi bahato, i poznaj, kto dobryj, kto pohanyj. Policja jednako pałami okłada! Sława Bogu, nie strzelali... Naszczo to? – Ze zdenerwowania wtrącała ukraińskie zwroty.

Lilka klęczała przy Wiktorze, zalewając się łzami.

– O Boże, kto ci to zrobił? Boli cię co? Pokaż głowę... Chryste, do szpitala trzeba! Tato! Boże, pobili go! Tato!

– Nic mi nie jest – wybełkotał Wiktor, połykając krew płynącą z nosa.

Gustaw uznał za stosowne interweniować.

– Nie lamentuj, tak nie pomożesz. Odsuń się. – Położył rękę na ramieniu córki. – Jakub, pomóż.

Chwycili Wiktora pod pachy i ostrożnie postawili na nogi.

– Możesz stać? – z niepokojem zapytał Jakub.

Wiktor lekko się zachwiał, ale potakująco skinął głową. Podtrzymali go i poprowadzili do mieszkania.

Najbardziej żywiołowo okazywał zainteresowanie Michaś. Skakał wokół mamy, która starała się oczyścić Wiktorowi ranę na czole, i wymachiwał swoim najnowszym nabytkiem, zwanym jo-jo.

– Biłeś się?! A masz taką pałkę z gumy? A rzucałeś kamieniami? Widziałem, jak żeście gonili polikierów, a potem uciekaliście. Ale była chatranka na fest! Facki rozdawali!

– Nigdzie nie uciekałem – obruszył się Wiktor.

– Michaś, nie przeszkadzaj! I zostaw wreszcie to jo-jo, bo oko sobie wybijesz! Idź do Lilki, niech powie Pelasi, żeby nakrycie dodatkowe przyniosła. A pan niech lepiej nic nie mówi – zirytowała się Marianna. – Ładna mi pierwsza wizyta...

– Przepraszam, to naprawdę nie moja wina.

– Dobrze już... Proszę podnieść głowę. Rana powierzchowna, ledwie naskórek zdarty. Do wesela się zagoi.

W jej głosie Wiktor wyczuł sarkazm.

– Przepraszam...

– Niech pan już lepiej nie przeprosza, tylko idzie się umyć. Mimo wszystko jednak zdążył pan na kolację. – Uśmiechnęła się, wskazując mu drzwi do łazienki.

Gdy umyty i opatrzony Wiktor w końcu zasiadł przy stole, pytania posypały się jak z karabinu. Paradoksalnie, niefortunny incydent bardzo ułatwił przełamanie towarzyskich lodów. Jedyne Gustaw nie mógł się powstrzymać i od czasu do czasu posyłał chłopakowi pełne urazy spojrzenia. Wciąż miał mu za złe, że spotykał się z jego córką po kryjomu, jakby miał nieczne zamiary. Spojrzał na przeciwległą stronę stołu.

Lilka promieniała. Jeszcze nigdy nie wyglądała tak ładnie. Długie popielate włosy spięła kłamrą, pozwalając, by parę kosmyków spływało swobodnie na ramiona. Gustaw cieszył się, że jego córka nie uległa modzie na krótkie włosy. Fryzura odsłoniła smukłą szyję i wysokie czoło. W uszach dziewczyny połyskiwały maleńkie kolczyki. Policzki zaróżowiły się z emocji. Nie spuszczała wzroku z chłopaka, a w jej oczach malowało się bezgraniczne uwielbienie, jakie zdarza się jedynie, gdy człowiek ma siedemnaście lat i skłonności do idealizowania.

Po raz pierwszy pomyślał, że jest już właściwie dorosła i prawdopodobnie to ostatnie chwile, gdy on, jako ojciec, jeszcze ma tu coś do powiedzenia. Intuicja podpowiadała mu, że między tym dwojgiem zdarzyło się znacznie więcej niż kilka niewinnych pocałunków.

W pierwszym odruchu poczuł złość. Jego mądra, ambitna córka z rozanielonym wyrazem twarzy

nakładła chłopakowi na talerz kawałek kaczkę i z pieczołowitością godną lepszej sprawy polewała ją sosem. Pomyślał zrezygnowany, że nie ma wyjścia, będzie musiał dać temu młokosowi szansę. A przynajmniej uważnie mu się przyjrzeć.

– Bogu trzeba dziękować, że ten kamień ledwie pana drasnął. Gdyby tak kilka centymetrów niżej, mógłby pan stracić oko. – Lusia podała chłopakowi salaterkę z żurawiną. – Boże, czyżby to znaczyło, że znów się zaczyna? Za mało pamięci o krwawym kwietniu?

– Byłem na dole, u Albinowiczów. – Jak na zawołanie do salonu wszedł Jakub. Mówił do wszystkich, lecz patrzył tylko na Lunię. – W hucie szkła na Zniesieniu doszło do wystąpień przeciw sprzedaży zakładu jakiemuś austriackiemu przedsiębiorcy. Ludzie się boją, że będą zwolnienia. Szli protestować pod magistrat i województwo. Chcieli blokować Wały Hetmańskie, ale policja ich rozpedziła. Uważają, że właściciel działa na szkodę fabryki. Ktoś rzucił hasło, że zwolnią wszystkich Polaków, a zatrudnią Ukraińców. No i zrobiła się jatka, psia mać. Są ranni. Najgorsze, że teraz wszystko skrupi się na Ukraińcach; już podobno zaczęli jakichś Bogu ducha winnych studentów.

– Oni rzadko bywają Bogu ducha winni... – mruknął pod nosem profesor Ostrowski, mając na myśli ostatnie awantury na uczelni.

– Czytałem o tym, zdaje się – wtrącił Gustaw. – Ale to ledwie projekty we wstępnej fazie, nic pewnego, wciąż trwają rozmowy. Chyba trochę się pospieszyli z tą demonstracją... Huta od lat przynosiła straty i uważam, że nowy właściciel to dobry pomysł. A państwu nic do tego. Insynuacje, że zwolnią Polaków, a zatrudnią Ukraińców, to jakiś absurd. Każdy zdrowo myślący przedsiębiorca chce mieć przede wszystkim dobrych, wykwalifikowanych pracowników. Najwięcej zawsze krzyczą ci, co najgorzej pracują. Na ten przykład, w zeszłym miesiącu musiałem wyrzucić masztalerza. Okazało się, że na boku sprzedaje owies przeznaczony dla naszych koni. A ile przy okazji było krzyku o prawach pracowników, związki zawodowe od razu chciał zakładać. A to była zwykła łajza, koni nie szanował.

Brzęknął widelec.

– Ludzie chyba mają prawo do obrony własnych interesów i wyrażania zdania – odezwał się Wiktor, rzucając Gustawowi zaczepne spojrzenie. – Co w tym złego, że interesują się losem fabryki? Może chcieliby współdecydować, w końcu to ich miejsce pracy.

Odpowiedział mu Jakub.

– I to ma być metoda? Z kamieniami na policję? Z takich negocjacji jeszcze nigdy nie wyszło nic dobrego.

– A co innego im pozostało? – zaperzył się Wiktor. – Przecież po dobroci nikt nie zechce z nimi gadać! Przyjdzie nowy właściciel i wylecą na bruk. Komu mają powiedzieć o skandalicznych warunkach pracy, o głodowych pensjach? O tym, że nie stać ich na chleb, że ich dzieci skończą w rynsztoku, bo nikogo nie obchodzą. Komu? Może panu?

W spojrzeniu chłopaka było tyle zaczepnej kpiny, że Gustaw nie wytrzymał.

– Czy pan coś insynuuje? – spytał cicho, odkładając serwetkę na stół.

– Wiktor! – Lilka złapała go za rękaw.

– Córeczko, daj spokój. Pan najwidoczniej ma mi coś do zarzucenia, chętnie posłucham.

Jednak młody człowiek zdążył się opanować.

– Przepraszam, nie powinienem. Proszę o wybaczenie. Na swoje usprawiedliwienie mogę dodać, że jestem nieco przeczulony w tych kwestiach. Na co dzień mam do czynienia z ich dziećmi... Robimy, co w naszej mocy, by im jakoś pomóc, ale nie zawsze się udaje – westchnął smętnie. – Ulica bywa szybsza – dodał z goryczą. – Przyciąga ich jak lep muchy. Łatwy chleb kusi i dzieci biorą sprawy w swoje ręce. Wczoraj z Brzuchowic uciekło dwóch moich podopiecznych, odbierałem ich rano z posterunku policji. Mają dopiero po jedenaście lat! Zdążyli okraść warsztat krawiecki, włamać się do piwnicy i napaść

w parku na jakąś starszą damę. Głową musiałem poręczyć, że więcej tego nie zrobią, a wcale nie jestem pewien. Oni nie potrafią inaczej, całe życie sami musieli troszczyć się o siebie i tak naprawdę chyba nie wierzą, że ktoś chce im pomóc. Zachowują się, jakby przyjechali na gościnne występy... W Warszawie ledwie wyciągnąłem ich z aresztu. Ciężko zdobyć ich zaufanie... Dlatego tak mnie poruszyła ta demonstracja. – Podniósł wzrok na Gustawa. – Przechodziłem i mnie zaczepili. Wszyscy są rozżaleni, boją się utraty pracy, już teraz ledwo mają za co wykarmić rodziny. Słyszałem, że we Lwowie oficjalnie zarejestrowanych jest ponad trzydzieści tysięcy bezrobotnych. To tak jak u nas, w Warszawie.

Wiktor wytarł usta serwetką i odłożył ją na kolana. Nikt się nie odezwał, więc kontynuował:

– To dramat. Dlatego są potrzebne wystąpienia i demonstracje. Nie wolno siedzieć cicho. Władza nie może trwać w błogim poczuciu, że za nic nie odpowiada, wszyscy powinniśmy protestować przeciw niesprawiedliwości! – Znowu zaczął się zapalać. Podniósł głos i energicznie gestykułował, bezwiednie wymachując trzymanym widelcem. W takich chwilach coraz trudniej mu było nad sobą panować. Zreflektował się dopiero, gdy Lilka, pod wpływem spojrzenia Marianny, dyskretnie położyła mu rękę na ramieniu.

– Młody człowieku – odezwał się, milczący dotychczas profesor Ostrowski, przerywając ten teatr jednego aktora – szanuję ludzi o tak wyrazistych, nieprzejednanych poglądach. – Uśmiechnął się życzliwie. – To rzadkość, prawdziwa rzadkość w dzisiejszych czasach... Jednakże muszę zaprotestować. Do połowy lat trzydziestych świat pogrążony był w wielkiej depresji, ale to już, Bogu dzięki, za nami. Skąd pan bierze te wielkie liczby? Nie twierdzę, że wszyscy mają pracę, ale to, co pan tu podaje, to przesada. A jeśli chodzi o różnice społeczne... Cóż, to naturalna cecha nowego ładu ustrojowego. Walczyliśmy o odzyskanie niepodległości, ale też o to, by każdy mógł wybrać własną drogę. – Profesor zerknął podejrzliwie na Wiktora. – Chyba nie zapatrzył się pan na sąsiada ze wschodu, bo to musiałoby oznaczać jedną z dwóch rzeczy: albo jest pan niedoinformowany, albo, z przeproszeniem, głupi – rzucił, po czym dodał: – Proszę pamiętać, wolność ma swoją cenę. Nikt nie weźmie odpowiedzialności za pana, jeśli pan sam tego nie zrobi. Wolność to odpowiedzialność za siebie, choć niewygodnie o tym pamiętać.

– To znaczy, że wolność jest dla bogatych! – Wiktor z wysiłkiem powstrzymał się, by nie walnąć pięścią w stół. – Dla biedaków nie ma znaczenia, czy uciska ich zaborca, czy bogaty rodak. Chleba od tego nie przybywa. Czy pan wie, jak oni się teraz czują? Walczyli o tę wolność z nadzieją, że walczą o lepsze życie, a co dostali? Zmienił się jedynie ciemniejszy...

– Chyba pan przesadza! – Marianna nie wytrzymała, choć jeszcze chwilę wcześniej obiecywała sobie, że ze względu na Lilkę postara się łagodzić dyskusję. – Naprawdę nie widzi pan różnicy? To niepojęte, że stawia pan zaborcę w jednym szeregu z fabrykantem, dającym ludziom pracę!

Wiktor w zaciętrzewieniu nie zwracał uwagi na poszturchującą go rozpaczliwie Lilkę. Atmosfera przy stole robiła się gęsta. Lunia Ostrowska już otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, jednak Wiktor był szybszy. Prychnął z sarkazmem:

– A więc wolna ojczyzna to przede wszystkim gwarancja poszanowania własności, tak? I za to ginęli na barykadach ci naiwni, którzy i tak niczego nie mieli na własność, oprócz pary spodni i zgrzebnej kapoty? Moim zdaniem, nie o to chodzi, żeby bronić własności, ale żeby tych, co potrzebują, nakarmić. I nieważne, czy robi to jeden zaborca, czy drugi. Wielu z tych, którzy dzisiaj strajkują, za zaborów żyło znacznie lepiej i bardziej dostatnio. Państwo nie spełniło ich oczekiwań, państwo ich zawiodło. Pozwala, żeby jedni bogacili się kosztem innych. A to właśnie państwo powinno zadbać, żeby ludzie mieli pracę!

Gustaw aż poczerwieniał. W pierwszym odruchu chciał złapać tego młokosa za kark i wyrzucić z domu, lecz w porę się opamiętał. Przecież miał nastoletnią córkę i powinien być przyzwyczajony do sądów równie nieprzejednanych, co bzdurnych. Był na siebie zły i nie mógł zrozumieć, dlaczego tak go irytuje ta gadanina Wiktora. Z trudem starając się ukryć niechęć, odpowiedział chłopakowi:

– Najwidoczniej zupełnie nie rozumie pan roli państwa, drogi chłopcze. Chce pan, by praca była odgórnie konstruowana, ale czy zdaje pan sobie sprawę, że z centrali państwo nie zobaczy problemów pojedynczego człowieka? Cóż za naiwna wiara, że państwo da, państwo zapewni i zlikwiduje różnice klasowe.

– No tak, oczywiście panu i panu podobnym nie byłoby to na rękę – zakpił Wiktor. – Wy wolicie, żeby nikt wam nie patrzył na ręce. Pomnażacie swoje majątki i nie interesuje was los tych, których wykorzystujecie... Wolna amerykanka, niech żyje wolny rynek, a my razem z nim! Nic to, że inni na chleb nie mają, toż to... jak pan był łaskaw rzec? – zwrócił się do profesora Ostrowskiego. – Naturalna cecha nowego ładu.

Od dłuższej chwili Lilka robiła się coraz bardziej czerwona. Postanowiła się nie wtrącać, ale teraz nie wytrzymała. Wiedziała, że Wiktor będzie miał do niej pretensje, lecz nie mogła milczeć.

– Mój ojciec nikogo nie wykorzystuje! Jesteś niesprawiedliwy – zwróciła się do ukochanego, starając się, by to, co powie, zabrzmiało możliwie najłagodniej. – Dzięki niemu powstała szkoła w Winniczkach i dzieci mogą się uczyć. Znalazł nauczycieli, pomógł wyremontować budynek, a najbiedniejszym ufundowano stypendia. Gdyby nie on i jego współpracownicy, wiele dzieci w ogóle nie umiałoby czytać ani pisać. Dzięki pieniądзом mojego ojca, o których wyrażasz się z taką pogardą, Marysia Bembnowiczówna odzyskała wzrok, bo zapłacił za operację. Mam mówić dalej? Przepraszam cię, Wiktor, ale nic nie wiesz o moim ojcu – zakończyła z godnością.

Jakub zerknął na nią z podziwem. Prawdę mówiąc, do tej pory był przekonany, że miłość zazwyczaj odbiera rozum siedemnastoletnim panienkom. Siostra mile go zaskoczyła.

Wiktor nie wyglądał na przekonanego. Nikt oprócz Lilki nie zauważył, że w jego oczach przez chwilę mignęło coś na kształt zawodu.

– W takim razie przepraszam, zwracam honor. – Skinął głową w stronę Gustawa. – Jednak ów fakt tylko potwierdza to, co mówiłem wcześniej. Pan jest porządnym człowiekiem i dba o swoich ludzi, ale nie może być tak, że ich los zależy od fanaberii bogaczy, którzy jeśli będą chcieli, to pomogą, a jak nie, to nie. A co by się stało, gdyby pana zabrakło? Kto by pomógł tej niewidomej dziewczynie? Tu potrzeba systemowych rozwiązań, a przede wszystkim sprawiedliwego dostępu do środków produkcji.

Profesor Ostrowski słuchał Wiktora z wyrozumiałością niepozbawioną przyjemności. W odróżnieniu od Gustawa nie był uprzedzony do tego chłopca, a miał już tyle lat i takie pokłady życiowej mądrości, że choć sam zaliczał się do majątnych obywateli, nie mógł się poczuć dotknięty zarzutami tamtego. Co więcej, podobała mu się ta młodzieńcza wrażliwość i socjalizujący idealizm, jeszcze nieskażony i niewypaczony przez lewicowych mistrzów cynizmu, którzy już ostrzyli sobie zęby na takich jak Wiktor, doskonale wiedząc, że gdy się ma dwadzieścia lat, człowiek gotów jest przyjąć każdą propozycję ideologiczną, byle tylko była rewolucyjna.

– Ech, młody człowieku! – zaśmiał się dobrodusznie, wznosząc kieliszek. – Widać, że pańska sprawiedliwość oznacza wszystkim po równo. Wygląda pan na inteligentnego, więc zapewne już pan wie, że ludzie nie są tacy sami, nie są równi, choć wszyscy mamy po dwie nogi i ręce. I dobrze! I za to wypijmy! – dodał.

Wszyscy z widoczną ulgą poszli w jego ślady. Nawet Wiktor po krótkim wahaniu umoczył usta w winie.

– Jeden ma smykałkę do interesów i uwielbia związane z nimi ryzyko, ekscytujący zastrzyk adrenaliny, gdy na horyzoncie pojawia się nowe wyzwanie – kontynuował profesor, jakby miał przed sobą ucznia. – Inny woli w zaciszu własnego domu grać na skrzypcach i nie wydawać się na pastwę drapieżnego świata. A jeszcze inny ceni spokój i niezmiennność, a tym samym nie wyobraża sobie sytuacji, w której musiałby wziąć odpowiedzialność za pracowników i ich rodziny. Jak więc w takim razie mówić o równym

podziale? Sprawiedliwy, mój panie, nie znaczy taki sam.

– Chciałby pan zabierać bogatym, a dawać biednym. To bardzo szlachetne – włączyła się Marianna, tym razem nalewając wszystkim do kieliszków nalewki domowej roboty.

Miała nadzieję, że jej moc i słodycz nieco rozluźni napiętą atmosferę. Zaczęło się niefortunnie, lecz jeszcze nic straconego. Wiedziała, że Lilce bardzo zależy, aby ta wizyta wypadła jak najlepiej, postanowiła więc wziąć sprawy w swoje ręce.

– Kochany panie Wiktorze, tyle że jeśli zabierze pan pieniądze mojemu mężowi, w Winniczkach nie będzie szkoły, bo państwo na nią nie da. Pan jest jeszcze bardzo młody... Nie rozumie pan, że państwo pod pozorem troski o obywateli będzie się troszczyło wyłącznie o siebie. To mój mąż i jemu podobni są gwarancją, że to społeczeństwo w końcu dogoni Europę. A mamy do nadrobienia bardzo wiele. Czy wie pan, jaki jest poziom analfabetyzmu u nas na wsi? Mówił pan, że jego rodzice pochodzą spod Poznania... Wy, tam, w zaborze pruskim, od dawna mieliście już maszyny, a u nas do dziś podstawą jest koń. Nie każdy, kto dostanie pieniądze, będzie wiedział, jak je pomnożyć. Niech się pan nie oburza – zaprotestowała na widok zmarszczonych brwi Wiktora. – Pan mieszka w Warszawie, my żyjemy również na wsi i znamy tamtejszych ludzi. Wie pan, co by zrobili, choćby... – Marianna poszukała w głowie przykładu – ...choćby Hryciukowie, gdyby im nagle pieniądze spadły z nieba? Większość by przepili sami, a gdyby co zostało, poszliby stawiać kamratom. Oni nie są źli ani głupi, ich po prostu nikt tego nie nauczył. Dopiero zaczynamy i jeszcze długa droga przed nami... A teraz zapraszam państwa do salonu. Pelasia już przygotowała stolik do brydża.

Lato skończyło się, jak co roku, zbyt szybko. Jeszcze niedawno parne wieczory przechodziły niepostrzeżenie w różane świty, a noce zdawały się zbyt krótkie na sen. Prawie do połowy października natura uparcie walczyła z nadchodzącą jesienią, jakby nie chciała poddać się nieuniknionemu. Aż w końcu, którejś krótkiej niedzieli, ciepłe dni ustąpiły miejsca mglistym porankom i deszczowym popołudniom. Wiatr porozwieszał na burych gałęziach koronki pajęczyn, świat poszarzał i stracił głębię kolorów. Żółte liście zmieniły się w poczerniałą breję pod stopami – smutne memento minionego czasu.

Na Wałach Hetmańskich sklepikarze wyłożyli w progach wielkie gumowe wycieraczki i aż do następnego lata pochowali kolorowe markizy chroniące przed słońcem. Jesienią i zimą każdy promyk był na wagę złota. Z rzadka ktoś przechadzał się szerokimi arteriami pełnymi sklepów. Opustoszały parki, na ławkach rozsiadła się wilgoć. Ludzie przemykali pod parasolami, walcząc z wiatrem. Zgięci w pół, marzyli, by znaleźć się w jakimś ciepłym i przytulnym miejscu.

Zyskał za to zadaszony i ogrzewany Pasaż Mikolascha, jedna z jaskółek secesji lwowskiej. Jesienią i zimą po brzegi zapełniały się tu kawiarenki i kina, dogodne punkty spotkań towarzyskich, bo te we Lwowie nie ustawały nigdy, o żadnej porze roku. Do późnego wieczora dobiegały stamtąd gwary rozmów, wybuchy śmiechu i przekomarzenia, a wszystko w otoczeniu dzieł sztuki i architektury tworzących atmosferę tego niezwykłego miejsca.

Tej jesieni śmiechu było jakby nieco mniej. Mało kto wprawdzie wierzył, że za oknami naprawdę zbiera się na historyczną burzę, ale zewsząd dolatywały echa rozmów. Lwów zyskał kolejny temat do plotek i dywagacji i, jak to miał w zwyczaju, łakomie się na niego rzucił. Z lubością analizowano cechy Hitlera, natrzęsając się z jego mało gustownego wąsika i niezrealizowanych ambicji malarskich. Lwów leżał zbyt daleko od Rzeszy, by lwowska ulica mogła widzieć w niej rzeczywiste zagrożenie. O wiele bardziej obawiano się sąsiada zza miedzy. Grozę budziły zwłaszcza docierające ze wschodu informacje o masowych procesach i egzekucjach.

Lilkę mało to wszystko obchodziło. Miłość i matura wystarczająco absorbowały jej głowę oraz serce i nie bardzo zastanawiała się, dokąd zmierza ten świat. Jej świat obecnie zamykał się w trójkącie



pomiędzy szkołą, domem i pocztą, skąd kilka razy w tygodniu nadawała listy do Warszawy.

Mimo owej niefortunnej kolacji i pierwszej wizyty, wszystko dobrze się ułożyło. Duża w tym była zasługa profesora Ostrowskiego, który polubił hardego młodzieńca o nieco niewyparzonym języku i zdołał przekonać Gustawa, powtarzając za Piłsudskim, że kto za młodu nie był socjalistą, ten na starość będzie skurwysynem.

Lilka była mu za to niewymownie wdzięczna.

Również Marianna w końcu spojrzała na chłopaka przychylniejszym okiem. Najbardziej pomogły opowieści Lilki o pracy Wiktora i jego młodocianych podopiecznych. Marianna kilka lat wcześniej sama organizowała w Winniczkach półkolonie dla dzieci z domów przyległych do majątku, angażując w to przedsięwzięcie wszystkich znajomych, więc któregoś popołudnia wybrała się do Brzuchowic, zabierając ze sobą Pelasię i dwie skrzynki papierówek przywiezionych ze wsi. Wróciła, będąc pod wrażeniem sprawności organizacyjnej i zaangażowania chłopaka. Wszystko chodziło jak w zegarku, mimo że z pewnością niełatwo było zapanować nad tymi jeszcze przecież dziećmi, z których prawie każde zdążyło już być na bakier z prawem. Wiktor jednak miał u nich posłuch. Był surowy, ale sprawiedliwy i za to chłopcy go szanowali. Jasno określił reguły, których muszą przestrzegać, i choć początkowo trochę się buntowali, szybko się okazało, że życie według zasad jest prostsze.

Następnego dnia Marianna zmusiła Gustawa, żeby zawiózł do Brzuchowic jeszcze trochę owoców, a ponadto mięso, jajka, kilka litrów słodkiej śmietany i parę baniek mleka. Z tego mleka, przy pomocy Lilki, nagotowała wielki sagan budyniu. Doprawiła go sokiem z wiśni i nie mogła wyjść ze zdumienia na widok początkowej nieufności chłopców, którzy pierwszy raz skosztowali tego deseru. W głowie jej się nie mieściło, że ktoś może nie znać owego prostego i taniego dania. Później tak się w nim rozsmakowali, że do końca pobytu codziennie gotowano budyń.

Marianna skompletowała też wyprawki szkolne dla tych chłopców, którzy już chodzili do szkoły, i zorganizowała zbiórkę pieniędzy na ich inne potrzeby.

Wiktor także nieco złagodniał. Widać było, że najbardziej leży mu na sercu los dzieci i jest w stanie wiele zrobić, żeby im pomóc. Przy okazji Marianna z ulgą odkryła, że jest całkiem sympatycznym i inteligentnym młodym człowiekiem, jeśli tylko nie wygłasza tych swoich nieprzejednanych poglądów. Nie mogła nic zarzucić jego zachowaniu wobec Lilki. Był w niej prawdziwie zakochany. Z przyjemnością obserwowała, z jaką czułością się do niej odnosił, jak miękkim gestem odgarniał jej włosy z czoła, jak się rozpromieniał, gdy dziewczyna wchodziła do pokoju. Było w nim tyle ciepłości, kiedy usiłował jej coś wytłumaczyć, i tyle wyrozumiałości, gdy mimo starań ona nadal nie rozumiała.

Marianna przyjrzała się uważnie wyrazowi jasnych oczu, lustrując Wiktora niemal po samą duszę, i wreszcie dała zgodę na związek. Nie wiedziała, ile będzie warta miłość młodego człowieka za rok czy dwa, ale tego nikt nie wiedział.

Wolała nie pytać Gustawa, co o tym wszystkim sądzi. Nie urodził się jeszcze taki, który w jego pojęciu zasługiwałby na Lilkę. W dodatku do dziś miała w pamięci rezerwę i nieufność, z jaką kiedyś jej ojciec zgodził się na małżeństwo córki, gdy Gustaw przyjechał się oświadczyć...

W taki oto sposób Wiktor Kozicki został oficjalnie uznany za starającego się o Liliannę Lindnerównę.

– Ale miała minę, mówię wam! – oznajmiła z tryumfem Jadzia Cwinarska, wpadając spóźniona na Pasaż Mikolascha.

Koleżanki siedziały już przy kawiarnianym stoliku, piły herbatę, jadły lody i paplały bez troski. W piątkowe popołudnie niczym się nie przejmowały. Następny sprawdzian z historii profesor Broniewski zapowiedział dopiero na środę, czyli za sto lat. Na razie można było nie zawracać sobie tym

głowy.

Wyjątkowo lubiły to miejsce. Wanda Daszyńska zawsze powtarzała, że czuje się tu jak w Wiedniu. Wierzyły jej bez zastrzeżeń, choć jeszcze żadna z nich w Wiedniu nie była. Marysia Baczyńska co roku spędzała pierwszy tydzień wiosny z rodzicami w Wilnie, ale Wanda z całą stanowczością oświadczyła, że Wilno to nic naprzeciwko Wiednia, choć też na „w”.

Lilka zachichotała głupekowato, bo przypomniała sobie powiedzonko babci, wygłaszane zarówno przy okazji, jak i bez, że „tygrys to gównem naprzeciwko lwa”. Podzieliła się wspomnieniem z koleżankami i po chwili chichotały już wszystkie, osuwając się na krzesłach.

W otoczeniu dekoracyjnych fryzów, mozaik i witraży, wśród unoszących się subtelnie aromatów rozpylanych przez uśmiechnięte panienki w fartuszkach ze znakami obco brzmiących firm Coty, Chanel czy Forvil, dziewczęta czuły się, jakby dostały przepustkę do dorosłości. Albo przynajmniej jej ekscytujący przedsmak. Z zachwytem chłoneły światową atmosferę. Ukradkiem przyglądały się eleganckim damom o modnie znudzonych twarzach, wyobrażając sobie, że już za parę lat, jako niezależne, nowoczesne kobiety będą wpadały tu po pracy. Na zakupy, papierosa albo na kieliszek wermutu. No i oczywiście na randki.

Mniej istotne było, że to właśnie tu, na zapleczu tutejszej apteki „Pod Żółtą Gwiazdą” przeprowadzał swoje analizy chemiczne Ignacy Łukasiewicz, a w jej witrynie po raz pierwszy zapłonęła lampa naftowa. To już były drobne szczegóły, niewarte uwagi.

– Mówię wam, prawie spadła ze stołka, gdy usłyszała, że chodzi o Oresta – ciągnęła niezrażona Jadzia.

Zupełnie się nie przejęła, że przy okazji obwieszcza nowinę połowie kawiarnianych gości. Jakaś młoda kobieta w futrzanym toczku ozdobionym piórkiem posłała jej zaciekawione spojrzenie.

– Wyjęła brulion, niby zapisywała, ale cały czas się gapiała i miała taki głupi wyraz na cyferblacie. To co, idziemy do tego kina?

Podeszła kelnerka, donosząc jeszcze ciepłe pampuchy.

– Czy tobie, Cwinarska, się wydaje, żeś Pana Boga za nogi złapała? – zapytała z niechęcią Szczurek, gdy panienka w koronkowym fartuszkach zniknęła na zapleczu. – I ucisz się trochę, na litość boską!

Szczurek była dziś w wyjątkowo złym humorze. Redakcja „Sygnałów Lwowskich” znów odrzuciła jej opowiadanie.

– A tak w ogóle to chyba na głowę upadłaś. Widziałaś kiedy jej męża? Twój ruski książę mógłby mu buty czyścić – dodała z pogardą.

W istocie, Piękna Zofija, jak w „Magdusi” nazywano urodziwą sekretarkę szkolną, miała męża, który atrakcyjnością prawie dorównywał żonie. Zdarzało się, że przychodził po nią do pracy i wówczas wszystkie młode istoty płci żeńskiej nieoczekiwanie miały do załatwienia w sekretariacie tysiące spraw niecierpiących zwłoki. Nawet surowa zazwyczaj pani Jałowowa uśmiechała się życzliwie na widok przystojnego mężczyzny i pozwalała „ucałować sobie rączki”, choć na ogół unikała takich poufałości.

Jadzia nie dawała za wygraną.

– No co, mówię wam przecież. Chyba lepiej wiem, co widziałam. Nie mogła uwierzyć, że chodzi o niego. Furt tylko się dopytywała. Jakbym gitarę kręciła albo co. Meczyje wielkie... – Wzruszyła ramionami, usiłując sprawiać wrażenie znudzonej.

– Może i wielkie... – Niewinna mina Szczurka mocno kontrastowała z niechęcią malującą się w oczach dziewczyny. Na Jadzi nie zrobiło to jednak większego wrażenia.

– Zazdrosna jesteś i tyle – skwitowała. – Wszystkie jesteście zazdrosne.

– Chryste Panie, Jadzka, przestań wreszcie przynudzać – westchnęła z rozpaczą Olga Niementowska, bijąc czołem o blat stolika, czym wprowadziła filiżanki w nerwowe pobrzękiwanie.

Ostatnie dwa tygodnie wakacji spędziła razem z Jadzią, dorabiając sobie przy porządkowaniu książek.

Ulica Batorego słynęła z najsylniejszych księgarń, składów książek i antykwariatów. Mieli tu także warsztaty chyba wszyscy liczący się w mieście introligatorzy.

Tak się złożyło nieszczęśliwie dla Olgi, że miejsca pracy jej i Jadzi oddzielała zaledwie jedna kamienica. Zatrudnione więc były u różnych pracodawców, ale w istocie razem odwalaly robotę, najpierw u Dawida Iglą, następnie zaś na zapleczu księgarni Stanisława Malinowskiego, gdzie mieścił się antykwariat. Po dwóch tygodniach nieustannego słuchania o nowym narzeczonym Olga miała dość. Mniej męczyło ją dźwiganie książek i segregowanie zakurzonych foliałów niż paplanina Jadzi.

– Jeszcze jedno słowo, a skoczę do Pełtwi – oświadczyła któregoś popołudnia. – Nie bój się, znajduję sobie jakiś płynący kawałek... – dodała na widok uniesionych brwi koleżanki. Pełtew, kapryśna rzeka, pojawiała się właściwie jedynie po obfitych opadach. – Pytlujesz o nim jak najęta, a ani razu cię nie odwiedził. – Nie mogła się powstrzymać od drobnej złośliwości.

Wszystkie pomału zaczynały mieć dość nieustannego roztrząsania miłosnych dylematów koleżanki. Świeży urok plotkarskiej nowinki uleciał w siną dal.

– Dobrze wiesz, że wyjechał – oburzyła się Jadzia. – Sto razy ci mówiłam.

– No fakt, sto razy, nie przeczę. Albo i ze dwieście...

Przez chwilę przy stoliku panowała cisza.

– Wiecie, mój ojciec wczoraj wrócił z Ameryki. – Wanda zmieniła temat. – Podobno nie jest dobrze...

– No co ty, Jadzia uważa całkiem inaczej – przerwała jej z uśmiechem Sara Rothfeld. – Tylko na nią popatrz...

Marysia Szczurko przysunęła sobie cukiernicę i posłodziła herbatę, nie żałując cukru.

– Tej to dobrze – burknęła Olga, spoglądając zazdrośnie na poczynania koleżanki. – Do każdej filiżanki kilo cukru, a nogi jak patyki.

W odpowiedzi Szczurek tylko wzruszyła ramionami. Nikt się nie domyślał, jak bardzo nienawidzi swoich patykowatych nóg.

– W jakim sensie nie jest dobrze? – zainteresowała się Marysia Baczyńska. – Mnie się wydaje, że jest całkiem przyjemnie... Kilka dni spokoju...

– Głupie wszystkie jesteście, czy jakie? – zdenerwowała się Wanda, zła, że żadna nie dostrzega powagi sytuacji. – Ojciec mówi, że będzie wojna. W Gdańsku od dawna się szykują.

– Na wojnę? Z Ameryką? – Zdumienie w głosie Jadzi było tak ogromne, że mimo woli wszystkie wybuchnęły śmiechem.

– Ech, Cwinarska, ty geniuszu polityczny... To już rzeczywiście lepiej miłością się zajmuj.

– Podobno to pewne. Ojciec czytał w zagranicznej prasie, że państwa Osi gwałtownie się zbroją, szczególnie Niemcy i Włochy. I zacnie się, jak tylko znajdą pretekst.

– E tam, nie wierzę. Takie gadanie. – Lilka beztróska machnęła ręką i sięgnęła po kolejne ciastko. – Jakub ciągle straszy, ale Wiktor pisał, że jeden z jego profesorów mówił im na wykładach, że to wszystko bujdy umysłów karmionych sensacją. Że rozsądek i prawo zawsze wezmą górę nad falą fanatyzmu, a na wojnie nikt by nie zyskał, więc nikt nie będzie jej ryzykował.

Poparła ją Janka Szymonowiczówna.

– Mój dziadek mówi tak samo. Że świat za dobrze pamięta jedną wojnę, żeby ładować się w następną. A chyba wie, co mówi, w końcu był legionistą i walczył na Wołyniu. Poza tym Polska jest silna i ma potężnych przyjaciół – dodała beztróska. – Pamiętajcie, jak profesor Broniewski tłumaczył, że Anglia zabiega o Polskę, bo chce nas mieć po swojej stronie? Niech ten burmyło z wąsikami tylko spróbuje. Jak się na niego rzuci pół Europy, to mu się odechce wojowania.

– To będzie jego klęska.

– No i może wreszcie ciotka Abelowiczowa się od nas wyprowadzi... – westchnęła smętnie Sara, przy

okazji dmuchając w cukiernicę i rozsypując cukier. – Siedzi już od dwóch miesięcy. Podobno w Rzeszy niebezpiecznie i lepiej, jak Żydzi Niemcom nie włożą w oczy. Pewnie, lepiej niech nam codziennie włożą... – dodała z goryczą.

Roześmiały się wszystkie.

– Wojna to może być nawet romantyczna... – zaczęła z namysłem Janka. – Wyobrażacie sobie? Bohaterscy chłopcy, można ich pielęgnować... – Mrugnęła filuternie. – Nachylasz się nad takim postrzelonym w ramię i pytasz łamiącym się głosem: „Bardzo pan cierpi?”. A on z wdzięcznością spogląda ci głęboko w oczy i mówi: „Kiedy pani jest przy mnie, to jakby jutrenka się zapalała...”.

– Dlaczego akurat w ramię?

– No jakaś ty głupia, ramię to lepiej niż, dajmy na to, pięta.

– Albo brzuch... Blee, flaki nie są romantyczne.

– Dlatego mówię, ramię albo szyja, ewentualnie...

– Klęska to będzie, jak matury nie zdamy! – Sara sprowadziła koleżanki na ziemię. – Ojciec za próg mnie nie wpuści...

– Nie martw się, możesz nocować na wycieraczce – odpowiedziała zyczliwie Janka.

Wanda od dłuższej chwili ze zmarszczonymi brwiami przysłuchiwała się paplaninie rozbawionych koleżanek. W końcu huknęła, aż echo poszło:

– Głupie jesteście wszystkie! Jeszcze zobaczycie!

Dwóch mężczyzn przy sąsiednim stoliku obejrzało się przez ramię.

Lilka wracała do domu, kuląc się pod parasolem. Pogoda była tak parszywa, że nawet psa by z domu nie wygonił. Wszechobecna wilgoć zawładnęła światem. Woda wciskała się w każdy możliwy zakamarek ubrania, a wiatr raz po raz przypuszczał ataki. Miotał parasolem na wszystkie strony, czyniąc z niego przedmiot zupełnie bezużyteczny. Sama nie wiedziała, po co właściwie trzyma go nad głową, chyba z przyzwyczajenia.

Buty były przemoczone do cna. Początkowo usiłowała omijać kałuże, ale jednoczesna walka z parasolem w końcu przerosła jej siły. Następnej kałuży już nie ominęła. Bardziej mokra już być nie mogła.

Marzyła, by jak najszybciej znaleźć się w ciepłym, przytulnym mieszkaniu i rozgrzać przy kominku. Ojciec w zeszłym roku kazał zainstalować centralne ogrzewanie, lecz w dalszym ciągu rozpałało się w kominku. Wszyscy woleli żywy, trzaskający ogień od bezdusznych kaloryferów.

Miała zamiar szybko odrobić pracę domową, a potem w spokoju oddać się marzeniom. Jej myśli co rusz wędrowały do torby, którą przyciskała do siebie, usiłując ochronić książki i zeszyty przed zamknięciem.

Kolejny list od Wiktora przyszedł dziś rano, gdy spóźniona wybiegała do szkoły. Nie chciała czytać w pośpiechu, byle jak, pobieżnie przerzucić go wzrokiem jak przypadkową gazetę. Wcisnęła więc kopertę między stronicę podręcznika do historii i przez cały dzień z wysiłkiem powstrzymywała się, by po nią nie sięgnąć.

Zazwyczaj wyczekiwała na odpowiedni moment i tak długo, jak się dało, celebrowała chwilę rozdarcia koperty. Zostawiała za sobą zgiełk dnia, zamykała się w pokoju, zapalała świeczkę i zagłębiała się w słowach pełnych czarodziejskich wyznań.

Co prawda listy Wiktora nie były już tak poetyckie, jak na początku. W nieodmiennie piękny sposób wyznawał jej miłość, ale pisał również o zwykłych sprawach: o uczelni, sukcesach pisarskich i działalności społecznej. O tym, że zastanawia się, czy studiowanie literatury w czasach, które wymagają konkretnych działań, w ogóle ma jakiś sens. Na pół etatu zatrudnił się w redakcji „Wiadomości

Literackich” i z goryczą donosił Lilce, że nie chcą zamieszczać jego zaangażowanych społecznie artykułów, bo rzekomo nie pasują do liberalnego oblicza gazety. A on wie, że tak naprawdę chodzi o to, by drukować zwykłą, taną sensację, bo tego łakną czytelnicy. Dowodem miała być popularność, jaką cieszyła się drukowana w odcinkach, prostacka i pospolita powieść *Zazdrość i medycyna* autorstwa niejakiego Michała Choromańskiego.

Zaciekawiona Lilka wygrzebała tę książkę w maminej biblioteczce i przeczytała z wypiekami na twarzy w dwa wieczory. Mimo że powieść zrobiła na niej ogromne wrażenie, odczucia z lektury zachowała dla siebie. Nie chciała, by Wiktor uznał ją za łaknącą sensacji prostaczkę, choć powieść w najmniejszym stopniu nie wydała jej się ani prostacka, ani tym bardziej pospolita.

Mijała właśnie Plac Misjonarski zapatrzona w migające światełka pociągu, który przetaczał się z hukiem po wiadukcie nad ulicą Pełtewną, gdy ktoś niespodziewanie przytrzymał jej parasol. Silniejszy podmuch wiatru zarzucił go na plecy i gdyby nie nieoczekiwana pomoc, już sunąłby po ulicy, objając się o latarnie, unoszony przez wiatr.

– Proszę uważać! Zmoknie pani i przeziębienie gotowe.

Wysoki, elegancki mężczyzna skłonił się z atencją, uchylając kapelusza. Mimo wszechobecnej pluchy jego popielaty, długi płaszcz z gatunkowej wełny był nieskazitelnie czysty, kapelusz trzymał się głowy jak przyklejony, a na butach i spodniach Lilka nie dostrzegła śladów błota.

– Bardzo dziękuję. – Dygnęła, zamierzając się oddalić.

Zapadł już zmierzch. W taką pogodę na ulicach kręciło się niewielu przechodniów, ludzie przesiadywali raczej w domach lub gwarnych, przytulnych kafejkach, nie spiesząc się do wiatru i wilgoci. Nikt nie lubił mieć przemoczonych butów.

Jeszcze nie włączono latarni na placu, dopiero zaczynały mrugać. Mrok rozświetlał jedynie poblask padający z okien pobliskiej kamienicy i dziewczyna poczuła się nieswojo. Pomimo eleganckiego stroju mężczyzna jakoś nie wzbudzał zaufania. Miał nieprzyjemny, lisi uśmiech. Nie widziała jego oczu, ukrytych pod rondem kapelusza, ale była prawie pewna, że uśmiechał się samymi ustami. Precyzyjniej byłoby zresztą powiedzieć, że jedynie rozciągał wargi.

– Okropna pogoda. Nie powinna pani chodzić pieszo, to dobre dla takich... – Wskazał głową starą Cyganekę, opatuloną chustą.

Kobieta stała nieopodal mrugającej latarni z koszykiem w rękach i spod naciągniętej na głowę chusty przyglądała się przechodniom, typując potencjalnych klientów. Przez szum deszczu dolatywał jej zawodzący, schrypnięty głos: „Powróżyć, panoczku, powróżyć...”. Musiała być bardzo zdesperowana, jeśli dzisiejszego wieczoru liczyła na zarobek.

Lilka nie odpowiedziała. Poprawiła torbę i ruszyła naprzód. Mężczyzna jednak nie dawał za wygraną.

– Podwożę. Wiem, gdzie pani mieszka, jestem znajomym pani ojca. Max Lenthen – przedstawił się. – Za rogiem mam auto. Nie musi się pani obawiać.

– Dziękuję, to bardzo uprzejme, ale nie ma takiej potrzeby...

– Nalegam. – W głosie mężczyzny pojawił się niemiły dysonans. – Przy okazji chciałbym z panią o czymś porozmawiać... Proszę.

Mówiąc to, stanowczo ujął ją pod ramię, jednocześnie robiąc kilka kroków. Był tak pewien, że Lilka za nim pójdzie, iż nie przygotował się na sprzeciw. Nie przewidział, że dziewczyna wpadnie w panikę.

Przerażona Lilka poczuła nagły przypływ adrenaliny. W pamięci mignęły jej ostatnie nagłówki w gazetach donoszące o fali porwań na przedmieściach Lwowa, niedaleko Frydrychówki, w okolicach cmentarza żydowskiego. Miały wprawdzie dotyczyć jedynie niemowląt, a plotka głosiła, że to sprawka Żydów, którzy rzekomo do wyrobu macy potrzebują krwi małych gojów. Kto wie, może tym razem zadowoliliby się nieco dojrzałszą...



Zapominając o zasadach dobrego wychowania, wyszarpnęła ramię z uścisku mężczyzny i niewiele myśląc, wzięła szeroki zamach i walnęła go w głowę. Ciężka skórzana torba, wypełniona książkami, wprawiona w ruch zadziałała jak pocisk wystrzelony z katapulty.

Lenthen był bardziej zdumiony niż uszkodzony. Schylił się, by podnieść kapelusz. W tym momencie poczuł kolejne, jeszcze bardziej nieoczekiwane uderzenie.

Cyganka od dłuższej chwili obserwowała młodą dziewczynę i nagabującego ją mężczyznę, rozważając, czy dałoby się wyciągnąć od nich jakieś pieniądze. Gdy ujrzała, jak mężczyzna szarpie i próbuje ciągnąć za sobą opierającą się dziewczynę – pospieszyła na odsiecz. Miała córkę w podobnym wieku i na to skojarzenie krew się w niej zagotowała. Nieraz bywała świadkiem, jak młode cygańskie dziewczęta broniły się przed rozochocionymi batiarami, którym najwidoczniej musiały jawić się jako łatwe i chętne dziunie. Na ogół lwowianie byli Cyganom przychylni, traktowali ich jak naturalny koloryt miasta i nie złościł się, gdy czarnookie kobiety proponowały, że za drobną opłatę uchylą drzwi do tajemnic przyszłości.

Niedoczekanie, pomyślała rozżłoszczona kobieta, jednym susem przyskakując do tamtych dwojga. Nie miała przy sobie niczego, co byłoby przydatne w walce, oprócz kosza z jabłkami. Użyła go więc bez zastanowienia, trafiając Lenthena prosto w kręgosłup.

– A poszedł, łobuzie jeden! – wrzasnęła, odsuwając Lilkę na bezpieczną odległość. – Kobity będzie zaczepiał, cepaka, dzieci prawie! Chirny czy jaki? A to cham, w pańskich fatałaszkach, jak ci zasunę po krzyżabantach, to popamiętasz! Ludziskaaa!

Jakiś mężczyzna po drugiej stronie placu zatrzymał się z wahaniem, po czym ruszył w stronę przedstawienia, wyraźnie przyspieszając kroku. Przejeżdżający fiaker również zwolnił, jakby zastanawiając się, czy ingerować w awanturę. Od strony ulicy Miodowej nadeszła para, kuląca się pod parasolem. Na widok zamieszania przyspieszyli kroku, udając, że niczego nie dostrzegli.

Lenthen był wściekły. Wolał jednak nie ryzykować, że ktoś go rozpozna. W innej sytuacji może z łatwością wmówiłby wszystkim, że nagabuje go nachalna Cyganka. Ale była jeszcze dziewczyna... Włożył kapelusz i postąpił kilka kroków, jakby zamierzał odejść bez słowa. W ostatniej chwili nagle się odwrócił i z nienacka uderzył kobietę w brzuch. Cios był tak szybki i celny, że zanim Lilka się zorientowała, stara Cyganka już opadła na ziemię, zwijając się z bólu. Jabłka z kosza potoczyły się po chodniku, lądując z pluskiem w pobliskiej kałuży. Lenthen właśnie zniknął w bocznej uliczce.

– Nie wierzę, po prostu nie wierzę... – Zdenerwowana Marianna kolejny raz przemierzała przestrzeń między oknem, drzwiami a komodą. Za każdym razem, gdy mijała okno, ze złością trącała ręką firankę. – Po prostu w głowie się nie mieści! On usiłował ją porwać... – Złapała się za głowę; od wczoraj nie mogła dojść do siebie. – Co dalej? Boże, czego ten człowiek od nas chce?! Mówiłeś, że już będzie spokój, musisz coś zrobić! – zażądała histerycznie, zwracając się do męża. – Natychmiast! Sprzedaj mu ten obraz, czy co tam jeszcze chce... Jeśli nie, pakuję dzieci i już zaraz wyjeżdżamy do Winniczek! Boże, na krok nie puszczę nigdzie Michasia!

– Kochanie, uspokój się. Jemu nie chodzi o obraz... Obiecuję ci, że to się nie powtórzy.

– A skąd ta pewność? Jeszcze niedawno obiecywałeś, że wreszcie się od nas odczepi. No tak, od nas się odczepił, za to obrał sobie za cel Lilkę. O to ci chodziło?

Gustaw dawno nie słyszał tak jadowitych i zgryźliwych tonów w głosie łagodnej zazwyczaj żony.

Nie mógł jej powiedzieć wszystkiego. Pewne sprawy powinny pozostać między mężczyznami. Szczególnie te niezbyt czyste. Jednak był przekonany, że z Lenthenem na jakiś czas mają spokój. Przynajmniej na tak długo, jak długo potrzebują kości, żeby się zrosnąć... Z ciężkim sercem, lecz bez sekundy wahania wykorzystał dawne kontakty, o które Marianna zawsze miała pretensje, narzekając, że

towarzystwo hazardzistów i mętów społecznych jest niebezpieczne i nieodpowiednie. I choć z pewnością miała rację, nie wiedziała, że są sytuacje, gdy bywa ono bardzo przydatne.

Kiedy następnego dnia po incydencie poszedł na policję, był pewien, że to jedynie kwestia czasu, a Lenthen znajdzie się za kratkami. Nie liczył wprawdzie, że winowajca długo posiedzi; stać go było na dobrych prawników. Zresztą próba porwania była zarzutem dość enigmatycznym i pewnie łatwo byłoby mu się z niej wywinąć. Najważniejsze jednak, że dostanie nauczkę.

Nie przewidział jednego: Lenthen go ubiegł. Nie przejmując się, że Lilka wszystko widziała, oskarżył Cygankę o napaść i próbę kradzieży. Twierdził, że chciał jedynie podwieźć znajomą do domu. Padał deszcz, była okropna pogoda, więc gdy ją zauważył, nie mógł pozwolić, by zmokła jeszcze bardziej. Jest dżentelmenem. Wcale się nie szarpali. Po prostu wiał wiatr i wspólnymi siłami próbowali okiełznać parasol. Możliwe, że z boku sprawiało to wrażenie awantury... Za to starucha była agresywna i napastliwa. Na dowód zaprezentował swój płaszcz, rozdarty w okolicach kieszeni.

Gdy zapytana Lilka wszystkim zaprzeczyła, Lenthen z niewinnym uśmiechem oświadczył, że musiała go źle zrozumieć. Przecież jej się przedstawił, zna jej ojca, bywał u nich w domu, więc jak mógłby chcieć ją porwać? I w jakim celu? To jakiś absurd i wymysły bujnej wyobraźni młodej panienki, zapewne karmionej nieodpowiednią lekturą. Z Gustawem łączą go ponadto wspólne interesy dotyczące lasów w Borysławiu.

Starszy przodownik spisujący zeznania wyglądał na skonsternowanego. Gryzł ołówek i widać było, że nie wie, komu wierzyć. Cyganki nie udało się odszukać, a nawet gdyby ją znaleźli, jej zeznania niewiele by zmieniły. Lenthen był znanym obywatelem o rozległych znajomościach i choć miał na koncie kilka niejasnych sprawek, to dotyczyły one poważnych interesów i dużych pieniędzy. Można założyć, że ktoś taki próbuje czasem wykorzystywać luki prawne, ba!, nawet prawo naginać, ale trudno sobie wyobrazić, że mógłby się wdawać w pospolite przepychanki lub bawić w porwania. W dodatku grywał w brydza z połową wysoko postawionych funkcjonariuszy policji.

Sprawę przesądził jeden telefon od nadkomisarza. Starszy przodownik, przestając gryźć ołówek, oznajmił sucho, że jeśli pan Lindner chce, może wnieść sprawę z powództwa cywilnego, ale policja nie ma tu nic do roboty. Zeznania przyjęli, jednak z uwagi na brak znamion przestępstwa prokurator palcem nie ruszy.

Gustaw doszedł do wniosku, że nie ma wyjścia. Nie zamierzał ciągać tego szubrawca po sądach. Wiedział, że jego przeciwnik na sali sądowej jest w swoim żywiole. Miał skłonności do pieniactwa, a obstawiony prawnikami potrafił w nieskończoność przeciągać proces.

Musiał załatwić rzecz inaczej. Pewnego popołudnia wsiadł w samochód i udał się w najodleglejszy zakątek Zamarstynowa. Wrócił z nieco uszczuplonym portfelem, za to z niezłomną pewnością, że w najbliższym czasie Lenthen nie ośmieli się nękać jego rodziny.

Gdzieś pod skórą czaiło się wprawdzie jakieś niedobre przeczucie, jednak szybko złożył je na karb zdenerwowania. Najbardziej martwiło go wszakże, że tak naprawdę nie zna przyczyn dziwnego postępowania tego człowieka: nachodzenie, nagabywanie, zainteresowanie obrazem, próba uprowadzenia Lilki... Lenthen był jak kleszcz, który uparcie trzyma się swojej ofiary. Jednak w przeciwieństwie do jasnych intencji kleszcza, powody zachowania Holendra były dość zagadkowe.

Powiedział Mariannie, że tamtemu nie chodziło o obraz. Gustaw przypuszczał, że to próba odwetu za zmarnowany interes z Pistynerem. Lenthen wycofał sprawę przeciwko Gustawowi i najwidoczniej postanowił zemścić się w inny sposób.

Lunia Ostrowska nie musiała mówić mu o nieprzyjemnościach, jakich doświadczał Żyd w związku z całą sprawą. Mimo że Gustaw nie czuł się winien, jak umiał, pomagał Pistynerowi i był z nim w stałym kontakcie.

Proces o lasy w Borysławiu ciągnął się już prawie rok i Lindner jako świadek spotkał się z Lenthenem kilka razy w sądzie.

Sprawa była skomplikowana, bo tamten miał nader wiarygodne dokumenty świadczące, że wpłacił zaliczkę i z chwilą wpłacenia pozostałej części stanie się prawnym właścicielem lasów. Na papierach widniał podpis Pistynera. Dodatkowo, gdy Lenthen dowiedział się, że Żyd podpisał umowę z kimś innym, postanowił się zabezpieczyć. Zanim wystąpił ze swoimi roszczeniami, przelał na konto tamtego pozostałą część pieniędzy.

Zlecono ekspertyzę podpisu Żyda i okazało się, że zdania są podzielone: jeden grafolog potwierdził, iż podpis prawdopodobnie należy do niego, drugi miał wątpliwości. W dodatku Pistyner wykazał się niefrasobliwością zupełnie niepasującą do skrupulatnej, żydowskiej natury. Mianowicie, nie od razu spostrzegł, że na koncie zostały zaksięgowane pieniądze od Lenthena. Zorientował się dopiero po dwóch tygodniach.

Owo zamieszanie wywołał fakt, że jak większość przedsiębiorców żydowskich, Pistyner był właśnie w trakcie wycofywania depozytów z banków niemieckich i lokowania ich w Polsce. Nazistowska fala terroru zburzyła korzystną handlową atmosferę w tym kraju. Żydzi uciekali przed prześladowaniami. Jednak dla Lenthena stanowiło to kolejny dowód, że kupno lasów odbyło się rzetelnie i zgodnie z prawem.

Pośrednio ta sytuacja uderzyła również w Gustawa: do czasu zakończenia procesu nie mógł czuć się właścicielem i niemożliwe było poczynienie najmniejszych choćby inwestycji na tamtym terenie.

Pistyner na kolanach zapewniał go, że cała sprawa jest jedynie mistyfikacją i wymysłem opętanego żądzą zysku Lenthena. Gustaw mu wierzył. Znał Żyda nie od dziś; jeszcze jego ojciec robił interesy z firmą „Pistyner i Synowie”. Właściciel był prawdomówny i uczciwy jak dziecko. Niestety, bywał również jak dziecko naiwny i aż dziw brał, że przedsiębiorstwo kwitło i miało się dobrze. Ostatnio zatrudniono bodaj najlepszego adwokata w całej Rzeczypospolitej i pojawiła się szansa, że procesy wreszcie się zakończą.

Lilka była całym zajściem bardzo poruszona. Nie miała pojęcia, kim był ów mężczyzna ani czego od niej chciał. Wszystko wydarzyło się tak szybko, że choć nie zdążyła na dobre się przestraszyć, jeszcze przez kilka dni czuła na ramieniu żelazny uścisk jego palców.

Ani mama, ani tym bardziej ojciec nie zamierzali zbyt w tajemniczać jej w sytuację. Ograniczyli się jedynie do zapewnienia, że to się więcej nie powtórzy. Poprosili również, by w miarę możliwości unikała odludnych i ciemnych miejsc. Jeśli jeszcze kiedykolwiek spotka tego mężczyznę, miała natychmiast podejść do pierwszego lepszego przechodnia i poprosić o pomoc. Ludzie we Lwowie byli otwarci, życzliwi i na ich pomoc można było niezawodnie liczyć. Mimo to przez jakiś czas miał ją odbierać ze szkoły Jakub. W Winniczkach o tej porze roku wszystko było już przygotowane do zimy, mógł więc sobie pozwolić na tymczasowe przenosiny na Żółkiewskie Przedmieście.

Nie mogła przestać myśleć o tym, co powiedziała Cyganka, gdy mężczyzna zwałił ją z nóg. Lilka przyskoczyła do niej, nie zważając na nic, uklękła w samym środku kałuży i złapała kobietę pod ramię, usiłując ją podnieść. Stara podniosła wykrzywioną bólem twarz i patrząc jej prosto w oczy, rzekła: „Wilk nie przestaje być wilkiem tylko dlatego, że nosi skórę owcy. Rozejrzyj się wokół siebie, naucz się patrzeć. Chmury już się zbierają...”.

Wiosna tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku nie różniła się niczym od poprzedniej. Znów zaroiły się skwery i parki, w cieplejsze dni otwierano na oścież okna, by wygonić zimowy kurz, i wystawiano twarze do słońca.

Lecz nawet jeśli w nastrojach ulicy na pierwszy rzut oka nie dawało się odczuć, że ludzie rzeczywiście wierzą w wojnę, wraz z nasilaniem się groźnych pomruków z Berlina od końca trzydziestego ósmego roku we Lwowie organizowano patriotyczne imprezy i manifestacje, mające stanowić swoiste antidotum na ponure plotki polityczne, dobiegające z każdego kąta: o sporach w kierownictwie państwa, brakach w armii, o druzgocącej ocenie naszej gotowości bojowej i wreszcie, o nieuchronnie nadciągającej katastrofie.

Każdy obywatel czuł się w obowiązku wspomóc Fundusz Obrony Narodowej; traktowano to jak moralny obowiązek. Zbiórki pieniędzy odbywały się na uczelniach, w fabrykach, nawet w popularnych kawiarniach.

– Dacie wiarę? – odezwał się na jednej z brydżowych kolacji profesor Ostrowski. – Na mieście chodzą słuchy, że Sprecher, Kosecki, Baczewski i kilku innych skrzyknęli się i kupili we Francji karabiny maszynowe. Przy naszym stanie uzbrojenia to może być kluczowa sprawa... – zakpił, kręcąc z niechęcią nosem na widok kart, jakie mu się trafiły. Od lat bezskutecznie ćwiczył pokerową minę. – Blok. – Jeszcze raz zerknął w karty.

Lunia uniosła brwi. Przypadkowo dostrzegła karty męża.

– Och, nie bądź zgryźliwy, Władku – mitygowała go. – Ja uważam to za piękny patriotyczny gest. I chyba trochę przesadzasz. W sobotę byłeś na wykładach, a ja poszłam z Agatą Drychowiczówną na spacer i wyobraźcie sobie, na Mochnickiego trafiłyśmy na paradę wojskową. Nie można było przejść na drugą stronę, przejazd tych wszystkich wozów, czołgów i sama nie wiem czego trwał chyba z godzinę! Samych koni były setki! Ułani z bronią, w pięknych mundurach, tacy dumni i pewni siebie... To robiło wrażenie. Więc nie opowiadaj takich rzeczy, no już naprawdę! Nie mamy czego się wstydzić.

– Bez atu. Kawaleria? – zdziwił się Gustaw. – Cat-Mackiewicz zaproponował niedawno, by zrezygnować z jej części, bo jest kosztowna, a w zamian wyekwipować parę dywizji pancernych. Cwajkiepeła. – Z uznaniem kiwnął głową. – I za to poszedł siedzieć...

– Czytałam, że go wypuścili, widocznie Beck uznał, iż rzekome osłabianie ducha obronności nie było takie szkodliwe... – powiedziała Lunia.

– ...ani takie znowu rzekome – Gustaw wszedł jej w słowo. – Ludzie go poważają, szczególnie moja ukochana małżonka, admiratorka Piłsudskiego. – Mrugnął do Marianny, która rzeczywiście darzyła Piłsudskiego wielką atencją. Gustaw podejrzewał nawet, że większą rolę odgrywała prezencja Marszałka niż jego poglądy.

– Och, Guciu, dałbyś spokój... Dwa bez atu.

– Ależ to bzdura! Całkowity absurd! – oburzył się Jakub. – Nic nie zastąpi koni na polu walki, koniom można ufać, prowadzić je, to od wieków nasza bojowa tradycja! Wygraliśmy dzięki nim setki potyczek!

– Obawiam się, synu, że nie masz racji. – Gustaw westchnął. – Przeglądałem w zeszłym tygodniu zagraniczną prasę i włos się jeży, jakimi rodzajami uzbrojenia dysponują Niemcy i Włosi. Nasza kawaleria to przy nich archaiczny zabytek. Wychodzisz?

– Ale konie mają instynkt, są szybkie, zwinne...

– ...i nie mają żadnych szans przy niemieckich panzerkampfwagenach – wszedł mu w słowo profesor Ostrowski.

Lunia zerknęła podejrzliwie na męża.

– Władziu, a skąd ty nagle tak się znasz na broni?

– Studenci pokazali mi fotografie czołgów. – Profesor uśmiechnął się rozbrajająco. – Robią wrażenie, niech je licho!

– My również dysponujemy czołgami...

– Małymi tankietkami polskiej produkcji, uzbrojonymi w jeden karabin maszynowy. Z czymś takim nie

mamy szans, wyglądamy jak armia z zeszłego stulecia. Ale może lepiej skupmy się na grze. Ja mówię pas.

– Jak to, więc rzeczywiście uważacie, że będzie wojna?

Takimi pytaniami od kilku tygodni kończyła się większość rozmów przy większości lwowskich stołów. Choćby nie wiadomo jak się starano, nie udawało się uniknąć przygnębiającego tematu. I mimo że jeszcze nikt nie wierzył, iż ten bezpieczny świat może ogarnąć pożoga, widmo katastrofy już nadciągało, powoli, lecz nieubłagane, zasiewając w sercach kłujące ziarna strachu.

Wiosna przyniosła jeszcze bardziej ponure nastroje. Lilka z koleżankami starały się nie dopuszczać do siebie innych informacji niż te o maturze, ale pewnego ranka, na lekcji przyrody zmuszone były, chyba po raz pierwszy, tak otwarcie stanąć twarzą w twarz z groźbą wojny.

Profesor Miecio Januszewski, którego wszystkie uwielbiały za swobodę i nowoczesny styl bycia, spędzał ferie wiosenne w Paryżu. Po powrocie do szkoły zauważyły, że ich nauczyciel wygląda nieco inaczej niż zwykle. Nienaganna dotychczas marynarka była wymięta, spodnie zgubiły kanty, a w okolicy kolan utworzyły się niechlujne wyrzuczenia. Miał cienie pod oczami, zapadnięte policzki, lekko rozbiegany wzrok i sprawiał wrażenie bardzo rozkojarzonego. Zanim zdążył się odezwać, po klasie z prędkością światła rozeszła się plotka, że się nieszczęśliwie zakochał. Halszka Auerbach utrzymywała nawet, że chodzi o jakąś paryżankę lekkich obyczajów, która nie zgodziła się dla niego porzucić swojej profesji.

Nauczyciel wsunął się za katedrę, nerwowo mierzwiąc sobie starannie dotychczas układaną fryzurę, i oznajmił grobowym głosem:

– Moje drogie panie, dzisiaj będzie szczególna lekcja. Bardzo szczególna – powtórzył. – I chciałbym, abyście ją na długo zapamiętały. Nie mogę być hipokrytą, honor mi na to nie pozwala. Pytałyście mnie niedawno, czy będzie wojna, wówczas miałem jeszcze nadzieję, ale po powrocie z Francji mogę wam powiedzieć tylko jedno: będzie, i to prędzej, niż się wszyscy spodziewają. Nie dajcie sobie wmówić nic innego, zawsze lepsza jest bolesna prawda niż głupie złudzenia.

W klasie zapanowała cisza.

– Ale jak to? – wyrwała się Sara Rothfeld. – Przecież matura...

– Jaka wojna? – weszła jej w słowo Janka Szymonowiczówna. – Hitler się nie odważy, mamy sojuszników! Choćby Anglia i Francja... Byłyśmy niedawno w kinie na filmie *Francja czuwa* i naprawdę, gdyby pan go obejrzał, toby pan wiedział, prawda, dziewczynki?

– No! – z entuzjazmem włączyła się Lilka. – Wielkie działa, brygady czołgów, artylerii...

– ...i takie mrowie senegalskich żołnierzy... chyba senegalskich, co, Wanda, bo nie pamiętam...?

– I ta linia, tego, no, Maginota, bunkry, ćwiczenia! Potężne okręty wojenne! Hitler musiałby być idiotą!

– I generałowie przy mapach!

Gadały teraz jedna przez drugą. Tylko Wanda Daszyńska siedziała cicho i nie zabierała głosu.

Profesor uciszył je ruchem ręki. Na chwilę przymknął oczy, następnie przesunął roztargnionym wzrokiem po klasie, zupełnie jakby się gdzieś spieszył. W jego zachowaniu było coś niepokojącego.

– Nie jesteście już dziećmi... Właśnie dlatego, że byłem w Paryżu, mogę z całą odpowiedzialnością przewidzieć, jaka będzie odpowiedź Francji na pytanie tego francuskiego dziennikarza: „Czy warto umierać za Gdańsk?”. – Zawiesił głos. – Nie. Nikt, moje drogie, nie zamierza oddawać za nas życia... Będziemy musieli sami za siebie umierać. Oczywiście nie wszyscy i dlatego nie zamierzam zostać tu ani minuty dłużej, niż to będzie konieczne. Jeśli ten kraj nie potrafi zapewnić bezpieczeństwa obywatelom, nie jest wart, by za niego ginąć.

– Pan Krukowski robi trumny, a ja jemu gównu umry... – mruknęła pod nosem Wanda.

Ów przykry incydent na lekcji przyrody być może nie miałby żadnych konsekwencji, gdyby Sara Rothfeld nie oświadczyła w domu, przy obiedzie, że nie zamierza przystępować do matury, bo w obliczu



wojny to i tak nie ma najmniejszego sensu, i w ogóle odmówiła powrotu do szkoły. Ugryzła przylipkę chleba i zamilkła na dobre.

Zaraz następnego dnia w „Magdusi” zjawił się oburzony Liber Rothfeld, wykrzykując, że przez czyjeś nieodpowiedzialne jojczenia jego córce poprzestawiało się w głowie, a tym samym mogą zostać zaprzepaszczone szanse, by w przyszłości wykonywała szlachetny fach dentysty, do czego matura jest, niestety, niezbędna.

Liber był człowiekiem wybuchowym i porywczym, lecz w gruncie rzeczy rozsądnym, więc bez większych protestów pozwolił się zaprowadzić do gabinetu dyrektora Opalki, gdzie przy filiżance kawy ostatecznie się uspokoił.

Byłby może i skłonny wybaczyć profesorowi ze względu na jego młody wiek, ów brak opanowania i niegodne nauczyciela zachowanie – wszak Januszewski, zamiast przedstawiać niezłomny wzór do naśladowania, okazał się jakimś histerycznym fatalistą – ale tak się złożyło, że tamten poprzedniego dnia sam złożył wymówienie. Większość współpracowników była zdania, że postąpił rozsądnie, gdyż dyrektor i tak wyrzuciłby go na zbity pysk za sprzeniewierzenie się wartościom, jakie miał obowiązek krzewić wśród uczennic. Po kątach szeptano, że to zapewne z powodu owych używek, bez których nie mogą się obejść morfiniści, a których ponoć próbował w Paryżu. Nikt bowiem nie wierzył, że nauczyciel w pełni świadomy, odpowiedzialny, przy zdrowych zmysłach mógł zachować się tak niegodnie.

Echa tego małego skandalu jeszcze przez tydzień pobrzmiwały na korytarzach „Magdusi”, lecz później ustąpiły miejsca kolejnym rewelacjom.

Od jakiegoś czasu nie było w szkole Jadzi Cwinarskiej. Najpierw opuściła klasówkę z rachunków, a potem sprawdzian z historii. Przez kilka dni nikt nie wydawał się tym faktem zaskoczony, gdyż Jadzia nigdy nie należała do orłów, ale kiedy nie oddała na czas wypracowania z polskiego opiewającego uroki wsi na podstawie utworów Reja, Kochanowskiego i Szymonowica, zdenerwowana pani Jałowowa huknęła pięścią w pulpit.

– Co się dzieje z tą Cwinarską, na miłość boską! Ktoś wie? Profesor Broniewski mówił, że nie było jej na dwóch sprawdzianach, a teraz to...

Szczurek nachyliła się do Lilki.

– Bo Cwinarska prędzej trupem padnie, niż przyzna, że polska wieś ma jakieś uroki.

– I myślisz, że dlatego jej nie ma? – Lilka zachichotała pod nosem.

– Kto ją tam wie...

W górę wystrzeliła ręka Niny Dejnisi.

– Pani profesor, ja mogę sprawdzić. Mieszkam niedaleko.

– Będę ci wdzięczna. Czy ta dziewczyna nie zdaje sobie sprawy, że to już nie przelewki? – westchnęła nauczycielka, wracając do przerwanej lekcji.

Lilka jadła właśnie późny obiad, gdy zatelefonowała Nina.

– Lilka, bądź człowiekiem, idź tam za mnie. Ojciec nie chce mnie z domu wypuścić, zaraz przychodzą goście, muszę im w progu dygnąć – sarknęła złośliwie, co jak na córkę nigdy niesprzeciwiającą się ojcu, zabrzmiało dość zuchwale. – Mówię ci, czasem mam ich tak dosyć... – zniżyła głos do szeptu.

– Gdzie mam iść? – nie zrozumiała Lilka.

– Do Cwinarskiej, obiecałam pani Jałowowej.

Było jeszcze wcześniej, więc Lilka nie spotkała się z protestem, gdy oznajmiła, że musi na chwilę wyskoczyć. Mama poprosiła jedynie, by zabrała ze sobą Michasia, bo ten szybciej zasypiał, gdy wieczorem trochę się dotlenił.

Dość szybko dotarli na Łyczaków. W powietrzu unosiły się upojne aromaty wiosny, sprzyjające spacerom, ludzie nie zamierzali się tłoczyć w dusznych tramwajach. Ulice pełne były przechodniów,

wędrujących z wolna między klombami, na których kwitły pierwsze w tym roku tulipany.

Lilka z bratem wyskoczyli z prawie pustej jedynki i resztę drogi przebyli piechotą. Dumny Michaś już zapowiedział siostrze, że w drodze powrotnej koniecznie muszą zajrzeć na Plac Smolki. Stamtąd pojedą sobie do domu z jednym z zaprzyjaźnionych fiaków, jak paniska.

– Zobaczysz, jacy są pierwsza klasa! Nauczyli mnie klawych wierszyków, posłuchaj tylko! – zawołał i nie czekając na zachętę, wyrecytował: – „Na Batorego, czy wy słyszycie, w ponurej celi chłopina stał, bo on kochance odebrał życie, dając z browninga trzykrotny strzał”.

– Michaś...

– No co? – obruszył się chłopiec. – Wiesz, co to browning? Taki karabin maszynowy...

– Michaś!

– Albo to: „Kamień na kamieniu, na kamieniu kamień, a na tym kamieniu jeszcze jeden kamień”. – Tym razem zaśpiewał, wymachując do taktu rękami.

– Przystaniesz wreszcie?!

Za plecami zadzwonił tramwaj.

– Tramwaj za tramwajem, za tramwajem tramwaj, a za tym tramwajem jeszcze jeden tramwaj!

Na szczęście dla chłopca stanęli właśnie przed kamienicą Jadzi. Służąca wpuściła ich do mieszkania.

– Państwa nie ma, a panička chora na gardło. Taką ma chrypę, że słowa nie wypowie – poinformowała i poprowadziła do pokoju Jadzi. Przeszli przez wielki salon, który w czasie wieczorków tanecznych służył za salę taneczną i gdzie Lilka ostatnim razem tańczyła z Orestem. Otrząsnęła się na samo wspomnienie.

– Cwinarska, ty bajtole patentowany! Pani Jałowowa mnie przysyła, zacznij się bać! – zawołała ze sztuczną wesołością na widok koleżanki.

Jadzia, z obwiązany gardłem, w barchanowej koszuli nocnej, tkwiła w pościeli i wyglądała na bardzo nieszczęśliwą. Obok, na nakasliku z błyszczącym, czerwonym blatem, leżał termometr i jakieś lekarstwa. W pokoju panował zaduch. Lilka uchyliła okno.

– Piękny dzień dzisiaj... Upiekło ci się z tą wsią.

– Z jaką wsią? – zapytała chora głosem zupełnie nieschrypniętym i w następnej chwili natychmiast zanosła się kaszlem, łypiąc na gości i jednocześnie klepiąc się po gorsie.

– Ejże? – Lilka przysiadła na brzegu łóżka, przyglądając jej się podejrzliwie. Sama nie raz usiłowała przekonać mamę, że jest umierająca, gdy zbliżał się termin jakiejś klasówki. Symulanta potrafiła wyczuć na odległość, jak dobrze wyszkolony pies policyjny. – Kręcisz gitarę! Dziewczyno, za niecały miesiąc matura! Ostatni moment, by jeszcze coś powtórzyć! Dalej, jazda! Wyłaż z tego wyrka!

– Daj mi spokój...

– A nie dam, żebyś wiedziała. Wszystkie się boimy, ale żadna nie tchórzy, nie poznaję cię, gdzie się podziała nieustraszona panna Jadwiga, która nic sobie nie robiła ze swojej ignorancji... – Lilka się roześmiała. – Nie masz wielkich zaległości, jeszcze dasz radę! Jak chcesz, to ci pomogę, co? Halszka Auerbach dostała dwa cwajery u Broniewskiego i poprawiła bez problemu. Jak chcesz...

– Daj mi spokój – przerwała jej tamta niechętnie. – Nie wrócę do szkoły...

Dopiero teraz do Lilki dotarło, że Jadzia nie wygląda dobrze. Z pewnością nie miała chorego gardła, a kaszel był udawany, jednak coś z nią było nie tak.

– Tchórz cię obleciał?

– Będę miała dziecko.

– „Stolik za stolikiem, za stolikiem stolik, a za tym stolikiem siedzi alkoholik...” – zaśpiewał Michaś i dostał czkawki.

Pięknie zdobione ściany kawiarni w Pasażu Mikolascha słyszały już niejedną nowinę, lecz ta przebiła wszystkie. Wstrząśnięte dziewczęta siedziały w najbardziej odległym kącie, pochylone ku sobie tak nisko, że niemal stykały się głowami. Z daleka wyglądały jak kury bijące się o ziarno. Poza nimi o tej porze nie było gości.

Znudzona kelnerka obserwowała je od dłuższej chwili, zastanawiając się, czy podejść. W końcu dała sobie spokój i z ulgą przysiadła na stołku za barem. Nie wydawało się, by młode klientki były zainteresowane czym innym niż sobą; zauważyła mimochodem, że wyciągnęły z teczek kanapki. Właściwie powinna zwrócić im uwagę, ale jakoś jej się nie chciało.

– Jak mogła być taka durna! – Nie wiadomo było, czy Szczurek pyta, czy stwierdza fakt. – Życie tak sobie zmarnować! I to z kim!? On zawsze miał na boku jakieś flamy, wszyscy o tym wiedzieli, tylko jedna Cwinarska nie! Pypcia miała za nim, ale nie musiała zaraz... no, wiecie.

– Może właśnie musiała...

– Ja bym nigdy! – Olga walnęła się pięścią w piersi. – Jakby chłopak nalegał, tobym go w trąbę puściła.

– No właśnie, a co on na to? – chciała wiedzieć Janka. – Ożeni się z nią?

Jadzi nie zależało na tajemnicy. Wiedziała, że cała sprawa prędzej czy później się wyda, więc nie miała nic przeciwko temu, by Lilka wtajemniczyła przyjaciółki; poprosiła jedynie, by nic nie mówić wychowawczyni. Chciała najpierw poinformować rodziców.

– Oj, nie wiem, podobno od kilku tygodni go nie widziała. Przestał się pokazywać... Matce nałgała, że chora.

– To znaczy, że się nie ożeni? – przestraszyła się Sara. – Boże, ojciec by mnie chyba zabił, gdybym to ja, uchowaj Boże... A już na pewno wygnałby z domu.

– Co ty, jej rodzice są nowocześni.

Olga Niementowska z politowaniem popukała się w głowę.

– Żadni rodzice nie są aż tak nowocześni, żeby bez gadania przyjąć córkę z bękartem – oświadczyła. – A już moi to na pewno... Wiecie, jakie życie ma panna z dzieckiem?

– No, moi też... Gadania by było na całe życie, a i po śmierci by mi nie darowali. Ludzie na ulicy palcami by wytykali... Jezu, jaka ona była głupia!

– A on?

– Co? Wiadomo, że jak kobieta się nie szanuje, to i mężczyzna nie traktuje jej z szacunkiem. Ma, czego chciała – oświadczyła bezlitośnie Szczurek.

– Nasza praczka się... eee... – Nina się zacukała. – No, wiecie, pozwoliła sobie ze zdunem, co przychodził piece odykać. Ale była chryja! Matka chciała ją ze schodów spuścić, jak się okazało, no, wiecie... – Nawet się wstydziła wymówić to słowo. – Ale batko powiedział, że nie można tak z człowiekiem postępować, że to nie po chrześcijańsku. Wysłał ją na folwark, do stryja, i jeszcze pieniądze dał... Potem poroniła, bo ciotka kazała jej codziennie jedzenie świniom nosić, ale do nas już nie wróciła. Ze mną to by nie przeszło tak ulgowo, fruwałabym przez okno, o ile by mnie przedtem nie zabił.

Ojciec Niny Dejnisi, ceniony wykładowca greki na uniwersytecie, znany był z konserwatywnych poglądów. Zdarzało się, że Nina boleśnie doświadczała ich na własnej skórze.

Lilka westchnęła.

– Nie uważacie, że to hipokryzja? Z reguły obrywa tylko panna... Patrzcie, nawet wy go usprawiedliwiacie.

– Na wsi u mojej ciotki mówią, że jak suka nie da, to pies nie weźmie...

– Aleś ty brusowata! – fuknęła na Szczurka Marysia Baczyńska.

– No co? Prawdę mówię!

– Nie prawdę, tylko jakieś obrzydliwe rzeczy... Ja uważam, że trzeba się zastanowić, co teraz zrobimy.

– My?

– Tak, my! – podkreśliła dobitnie Marysia. – Teraz się okaże, co jest warte całe to gładzenie o przyjaźni. Musimy jej pomóc, nie może być inaczej!

– Ale jak?

– Na początek uważam, że któraś powinna porozmawiać z Orestem. Nawet nie wiadomo, czy on wie, że tatusiem zostanie. Lilka ma rację, to niesprawiedliwe, że tylko Jadzia ma ponosić konsekwencje. – W błękitnych oczach Marysi pojawiły się stalowe błyski. – Lilka, powtórz jeszcze raz, co o nim mówiła.

Lilka od dłuższego czasu nie słuchała. Teraz ocknęła się z zamyślenia. Paplanina koleżanek uświadomiła jej dobitnie, że ona również mogłaby się znaleźć w podobnej sytuacji. Pocieszała ją jedna myśl: Wiktor z pewnością stanąłby na wysokości zadania i za nic w świecie nie zostawiłby jej samej z tą sprawą. Szybko odpędziła przerażającą wizję.

Chrząknęła.

– On chyba rzeczywiście o niczym nie wie, Jadzia dawno go nie widziała, a zorientowała się jakiś miesiąc temu, że coś jest nie tak. No, wiecie z czym... Przedtem myślała, że nie ma tych, no, księżycowych dni, bo piła jakieś zioła na odchudzanie. Daty ślubu jeszcze nie wyznaczyli, ale była przekonana, że pobiorą się zaraz po maturze.

– Księżycowych dni?

– Moja mama tak mówi...

– Po maturze? A z czego to wywnioskował ten nasz geniusz klasowy? – zakpiła Szczurek.

– Szczurze! Zamilcz wreszcie!

– Dobra, dobra, już nic nie mówię...

– Jej ojciec go polubił, ale mama jakoś nie bardzo... Może miała intuicję? W każdym razie nie bronili Jadzi z nim się spotykać, ojciec nawet dawał pieniądze na jakąś organizację studencką, do której Orest należał...

Szczurek uniosła brwi i już otwierała usta, lecz zamknęła je pod wpływem gromiącego wzroku Olgi Niementowskiej.

– Od kilku tygodni Orest jakby zapadł się pod ziemię. Jadzia była na uczelni, ale podobno rzucił studia...

– Mogę zapytać Jurka – wtrąciła Wanda. – Przecież są razem na roku.

Od pamiętnego wieczoru ona i Jurek Lerski stanowili nierozłączną parę.

– Dobra, więc ty zapytasz Jurka, a jak się dowiemy, gdzie jest Orest, to Lilka z nim porozmawia.

Lilka zakrztusiła się kanapką.

– Dlaczego ja!? – krzyknęła tak głośno, że znudzona kelnerka uniosła głowę. – Przecież ja go nie znam – dodała nieco ciszej. – Nie będę gadała z obcym mężczyzną na tak intymne tematy. Niech Nina idzie.

– Ja? – przestraszyła się Nina. – Nie umiem rozmawiać tak otwarcie. I co mu powiem?

– Też jesteś Rusinką...

– Ukrainką! – warknęła Nina.

– Jak zwał, tak zwał, oboje macie czarne podniebienia – zarechotała Szczurek, czyhająca na okazję, by się na kimś odegrać.

– Hodi!

Nina poczerwieniała. Szurnęła krzesłem, zamierzając natychmiast odejść z miejsca, gdzie zmuszona była oddychać tym samym powietrzem, co ta głupia rasistka, ale Szczurek w porę się opamiętała.

– Przepraszam. Ninka, przepraszam, sama nie wiem, co za złe we mnie dziś wstąpiło. No, nie gniewaj

się, proszę, jestem jakaś rozkojarzona.

– A co, znowu ci gdzieś twórczości nie przyjęli? – Nina uśmiechnęła się złośliwie i od razu poczuła się lepiej.

Niczego więcej nie zdołały ustalić. Stało na tym, że dopóki się nie dowiedzą, gdzie jest Orest – nic nie mogą zrobić. Powzdychały jeszcze nad sytuacją pechowej Jadzi, ponarzekały na okrutny los i rozeszły się do domów. Przyjaźń przyjaźnią, ale czas pozostały do pierwszego maturalnego egzaminu kurczył się nieubłaganie.

W czwartek Wanda wpadła spóźniona do szkoły. Miała pecha, pierwsza była lekcja elegancji, a dla panny Duszenko punktualność stanowiła kluczową sprawę. O ile oczywiście nie dotyczyła jej samej, bo wówczas kilkunastominutowe spóźnienie w sprytny sposób przemieniało się w zasadę dobrego tonu.

– Zapamiętajcie sobie, moje drogie, że nie ma nic bardziej przykrego niż widok wyczekującej samotnie kobiety, zwłaszcza gdy czeka na mężczyznę. Prawdziwa dama zawsze przybywa kilka minut po umówionej godzinie, wówczas jest niecierpliwie oczekiwana i ma szansę zobaczyć wdzięczność w oczach partnera, że w ogóle się pojawiła. To eleganckie zachowanie należy do starej, dobrej szkoły *savoir-vivre*'u, dziś już, niestety, trochę zapomnianej. Daszyńska, dlaczego znowu się spóźniłaś?

– Przepraszam, pani profesor, tramwaj mi uciekł.

Wanda klapnęła na krzesło i z hurgotem rzuciła torbę na pulpit.

– Ale mam wieści! – szepnęła półgłosem, nachylając się do Lilki. – Na przerwie wam powiem, bo ta hipokrytka gotowa znowu kazać mi myć ławki.

W zeszłym tygodniu Wanda z Olgą musiały na polecenie panny Duszenko po lekcjach szorować ławki za karę, że zamiast słuchać wykładu o tym, iż prawdziwie wytworna kobieta nie powinna wychodzić z domu, nie poprawiwszy wprzódki wyglądu, grały pod stolikiem w karty. I na dodatek ręce miały po łokcie uwalane atramentem, a tego panna Duszenko już nie mogła im darować.

Wanda wolała więc nie ryzykować. Dopiero na przerwie nadarzyła się okazja do rozmowy.

– Orest zniknął i nikt nie wie, co się z nim dzieje – oświadczyła zaaferowana. – Jego ojciec na chał pal wyprowadził się ze Lwowa, podobno gdzieś na wieś, i zabrał go ze sobą.

– Jak to zabrał, ile ten chłopak ma lat? – zdziwiła się Szczurek.

Wanda rozejrzała się na boki i ściszyła głos.

– Jurek mówił, że na uczelni była jakaś afera. Ktoś się dowiedział, że Orest i paru innych studentów współpracują z jakąś nacjonalistyczną organizacją ukraińską, chyba z OUN-em. Podobno przygotowywali akcje sabotażowe...

– Jak to?!

– Są przekonani, że wojna jednak wybuchnie i wtedy Ukraińcy wreszcie będą mieli okazję, by odzyskać niepodległość. Jurek mówi, że od dawna chodziły słuchy, jakoby tamci współpracowali z faszystami, licząc, że przy okazji ugrają coś dla siebie... W każdym razie na wezwanie rektora przybyła policja, zatrzymano kilku chłopaków, ale Oresta wśród nich nie było. Jurek uważa, że ktoś uprzedził jego ojca... Stary Bonder należał do UNDO, jak podpisywano umowę polsko-ukraińską, i podobno miał na tym tle zatargi z synem. Orest twierdził, że ci z UNDO chcieli się sprzedać, a ojciec uważał, że syn wpadł w łapy tych z OUN-u i oni robią mu wodę z mózgu, żeby go wykorzystać...

– ...a potem zahipnotyzować i posadzić na tronie wolnej Ukrainy, skąd będzie władał światem przy pomocy Świntusi Macabrescu. Banialuki! – parsknęła Marysia Baczyńska.

Wanda nie zwracała uwagi na kpiny.

– Jurek mówił, że Orest rozklejał na mieście plakaty nawołujące Ukraińców, żeby nie wstępowali do naszego wojska, a w razie wojny nie bronili Polski, i że na Wołyniu szykują się do antypolskiego powstania – wyrecytowała na jednym wydechu. – Prosił jeszcze, bym wam przekazała, żebyście z nim



nie rozmawiały, jeśli przypadkowo się na niego natkniecie. Zakładając oczywiście, że wróci, w co Jurek osobiście wątpi, bo tu od razu go aresztują.

Nina Dejnys z niedowierzaniem pokręciła głową.

– To jakaś bzdura, nie wierzę! Mój ojciec jest lojalnym obywatelem...

– Co ma do tego twój ojciec? – szczerze zdziwiła się Szczurek.

– Jak to, sama mówiłaś, że też jesteśmy Ukraińcami.

– I co z tego? Ze szczętem zgłupiałaś? Myślisz, że podejrzewam cię o jakieś nacjonalistyczne idiotyzmy? Sama się wrzucasz do jednego worka...

Janka Szymonowiczówna bez przekonania pokręciła głową.

– Nie wierzę... Zgadzam się z Mańką. – Skinęła w stronę Marysi Baczyńskiej. – On może i jest trochę dziwny, ale żeby akcje sabotażowe i powstanie? To jakieś wydumane plotki... Studiuj, tu mieszka, ma przyjaciół, wyobrażacie sobie, że mógłby... Bzdura kompletna.

Lilka nerwowo skubała guzik przy swetrze, w milczeniu próbując opanować gonitwę myśli. W przeciwieństwie do przyjaciółek nie miała złudzeń. Dobrze pamiętała, co opowiadał Jakub. Orest należał do nielegalnych ukraińskich organizacji i był bardzo zaangażowany w ich działalność. Nie wątpiła, że w razie sprzyjających okoliczności, jakie mogły stworzyć pogłoski o wojnie, nie zawahałby się ani chwili, by osiągnąć cel.

Zaciśnięta szczęka, chmurne oczy ukryte pod ciemnymi rzęsami i ten nieuchwytny cień, przecinający czoło...

Współczuła koleżance, jednak w gruncie rzeczy ucieszyła się na wieść, że Ukrainiec zniknął. Dla Jadzi może to i lepiej, kto wie, co się jeszcze wydarzy... Jedno jest pewne: kontakty z Orestem Bonderem nikomu nie mogą wyjść na dobre.

Utwierdziła się w tym przekonaniu, gdy w drodze do domu dogoniła ją Wanda.

– Poczekaj no, muszę ci coś powiedzieć! – krzyknęła i przez chwilę łapała oddech zdyszana. – Nie chciałam gadać przy nich, ale Jurek powiedział mi coś jeszcze...

Lilka milczała, więc Wanda mówiła dalej:

– Powiedział, że masz na niego uważać, bo być może będzie chciał się z tobą skontaktować...

– Ze mną? – przestraszyła się Lilka. – Dlaczego ze mną? Co ja mam z tym wspólnego?

Wanda wzruszyła ramionami.

– Nic więcej nie wiem, miałam ci tylko przekazać, żebyś uważała. To cześć, muszę lecieć, Jurek na mnie czeka. – Machnęła ręką i zawróciła na pięcie, co przy jej długiej i chudej sylwetce odzianej w łopoczący płaszczyk wyglądało, jakby wir powietrzny nagle zmienił swój kierunek. – Jak się dowiem czegoś więcej, dam ci znać.

Ostatnie dni przed pierwszym egzaminem Lilka spędziła, nerwowo maszerując po mieszkaniu. Salon, pokój gościnny, bawialka Michasia, gabinet ojca... Salon, pokój gościnny, bawialka Michasia i tak w kółko. Co drugą rundę zahaczała o kuchnię, aż zniecierpliwiona pani Chudecka nie wytrzymała.

– A mogłaby Lilka te marsze wiosenne urządzać gdzie indziej? Ta wnerwia mnie to, że Boże ucho! Gniewu nastawiłam, a jak Lilka tak drzwiami macha, to nijakiego ciasta nie będzie, bo nie urośnie.

Mama z troską zerkała sponad gazety, lecz już dawno przestała apelować o zdrowy rozsądek. Nic to nie dawało, a córka denerwowała się jeszcze bardziej.

– Wszystko będzie dobrze, jestem pewna, że zdasz na piątkę. Widziałam u pani Katke w „Czarze Elegancji” wyjątkowe suknie. Po egzaminach tam się wybierzemy, powinnaś na pożegnalnym komersie wyglądać przepięknie. A może zahaczymy o skład futer? – kusila. – Jesteś już właściwie dorosła...

– Mamo, jaki komers? – jęczała Lilka, wbijając palce we włosy. – Do hotelu „George” pójda tylko ci,

co zdali...

– No właśnie! I ty będziesz wśród nich. – Marianna była niezłomna w swej wierze.

Gdyby oczekiwanie miało potrwać dłużej, nie wiadomo w jakim stanie ducha i umysłu większość uczennic przystąpiłaby do matury. Ciągnęły już resztkami sił, nie spały po nocach, o byle co kłóciły się z najbliższymi i miały do wszystkich pretensje. Codzienna egzystencja z maturzystkami stawała się coraz bardziej nieznośna, we wszystkich domach maturzystów z niecierpliwością wyczekiwano dnia pierwszego egzaminu.

Lilka zdawała pisemnie matematykę, język polski i niemiecki. Dwa pierwsze przedmioty poszły jej dobrze, niemiecki zaplanowany był na ostatni dzień i bardzo się go obawiała. Język знаła nieźle, gramatyka nie sprawiała jej trudności, gorzej z literaturą. Jakoś nie miała do niej serca. Czytała, bo musiała, ale uważała ją za nudną i toporną, choć nigdy nie przyznałaby się do tego profesorowi Ostrowskiemu; biedny wujcio padłby zapewne na zawał. Zawsze uważał Lilkę za wrażliwą i mądrą panienkę.

Właściwie to czuła się najmocniej obeznana z twórczością Fryderyka Schillera, jednego z ulubionych poetów mamy, która czytywała jego wiersze Lilce, gdy ta była mała.

I zdarzył się cud, z gatunku tych, które się nie zdarzają: jako temat wypracowania dostała twórczość Schillera! Była uratowana.

Egzaminy ustne odbywały się w sali gimnastycznej. Zniknęły materace i przyrządy do ćwiczeń, ich miejsce zajęły ławki oraz krzesła. Udekorowana kotarami z ciemnego sukna znana, pocziwa sala gimnastyczna, gdzie nieraz liczyły siniaki i szarpały się za włosy w ferworze sportowych potyczek, nieoczekiwanie nabrała powagi i jakiejś dziwnej podniosłości. Przez okna zaglądały kwitnące kasztany, na środku stanął przykryty zielonym suknem długi stół, za którym zasiedli członkowie komisji egzaminacyjnej.

Większość stanowili profesorowie z „Magdusi”, którzy usiłowali zachęcającymi uśmiechami dodać otuchy maturzystkom. Poważną minę zachował jedynie przewodniczący, naczelnik wydziału z Kuratorium Okręgu Szkolnego, człowiek surowy i wymagający, starszy, postawny mężczyzna o twarzy mopsa i oczach okrągłych jak guziki. Chodziły słuchy, że jako autor popularnego podręcznika logiki lubi wtrącić pytanie ze swojej dziedziny, uznając, że logika nie jest przedmiotem do zdania, lecz obowiązkiem każdego człowieka aspirującego do miana inteligenta.

– Jaka logika, nic nie wiem o żadnej logice! – histeryzowała Marysia Baczyńska, która z racji nazwiska na B wchodziła w pierwszej czwórce. – Ja tu przyszedłam z historii odpowiadać! – syczała. – Jak mnie zapyta o kwadraty logiczne, to mu podam wzór na pole...

Lilka, podobnie jak Marysia, do egzaminu ustnego również wybrała historię.

– Co ty za bzdury wygadujesz! On podobno nie zadaje pytań, tylko się przysłuchuje, to profesor Broniewski będzie egzaminował. Nie siej defetyzmu!

– Ho, ho, Lindner, jakie trudne słowo – zakpiła Szczurek, która dziś nie zdawała, ale przyszła się przyzwyczajając do atmosfery strachu i hysterii, jaka zapanowała w szkole.

Kiedy zabrzmiał dzwonek, do sali gimnastycznej weszła pierwsza czwórka, z Marysią Baczyńską na czele. Nie minęło dwadzieścia minut, Lilka zdążyła ledwie wyskoczyć do toalety, a potem do szatni po chusteczkę, gdy Marysia była już z powrotem.

– Zdałam, zdałam! – krzyknęła bezgłośnie, zamykając za sobą drzwi. – Przerwali mi po drugim pytaniu, kazali w dwóch słowach odpowiedzieć na trzecie, a potem ten ponury zapytał mnie, co sądzę o Aleksandrze Wielopolskim. Ha! Myślał, że mnie zagnie, ale niedoczekanie! Wielopolski! Ulubiona postać mojego ojca... Zdałam! – Aż podskoczyła.

Zdały wszystkie, nawet Halszka Auerbach, choć ze zdenerwowania upierała się, że Krzyżaków do

Polski sprowadził Konrad Wallenrod, a powstanie listopadowe beztrzesko przeniosła na rok tysiąc osiemset sześćdziesiąty trzeci.

Zdały, wreszcie były wolne, dorosłe i dopiero wówczas zauważyły, że wiosna niepostrzeżenie przeszła w gorące i parne lato.

Pierwszy raz w życiu Lilka miała sama pojechać do Wilna, gdzie ciotka Eliza Strońska, siostra mamy, spędzała lato na wizytach w teatrze, spotkaniach z przyjaciółmi, popołudniach brydżowych i niekończących się fajfach. Wuj musiał zostać w Sosnowce, by dopilnować majątku, lecz ze starannie skrywaną ulgą wysłał żonę na wakacje. Ciotka, dusza towarzyska, przez okrągły rok tkwiła na wsi i wuj uznał, że zaczyna dziwaczeć w tej głuszy i jedynym rozsądnym rozwiązaniem będzie zmiana otoczenia. Niech jedzie, niech się zabawi. Wujostwo byli dobrym małżeństwem, ufali sobie, a wuj nie obawiał się skandalu.

Czasy były takie, że większość żon samotnie zażywała rozrywek, chadzała do kawiarni, spacerowała po pasażach czy przesiadywała na nadbałtyckich plażach i nikt nie widział w tym niczego niewłaściwego. Koniunktura sprzyjała interesom i mężowie na ogół zbyt zajęci byli zarabianiem pieniędzy, ponadto dziś już mało kogo gorszył widok samodzielnych, wyemancypowanych, używających życia kobiet, które wyrwały się wreszcie spod męskiej kurateli i odkryły uroki świata dotąd zarezerwowane jedynie dla męskiej połowy ludzkości.

Ciotka pojechała więc już na początku lipca, a Lilka miała do niej dołączyć trzy tygodnie później.

Dziewczyna była bardzo podekscytowana, zarówno samodzielną wyprawą, jak i perspektywą pobytu bez uciążliwej kurateli mamy. Lubiła Wilno, cieszyła się na myśl o odpoczynku po szkolnej harówce, spacerach nad Wilią i Wilejką, a także nowych sukienkach, które ciotka z właściwą sobie rozrzutnością już ponoć obstałowała u najlepszego wileńskiego krawca. Ale najbardziej radowała ją myśl, że spotka Wiktora.

W tajemnicy przed wszystkimi umówili się w Wilnie. Tak się szczęśliwie złożyło, że Wiktor, coraz bardziej zaangażowany w pracę dziennikarską, miał napisać artykuł o bibliotece Wróblewskich i sprytnie manipulował terminami, by znaleźć się w Wilnie jednocześnie z ukochaną. Uprzedził, że ma dla niej niespodziankę i już się nie może doczekać spotkania.

Lilka nie obawiała się reakcji rodziców, wołała jednak nie wtajemniczać ich w swoje dodatkowe plany. Nie daj Boże, mama wpadłaby na pomysł, żeby jej towarzyszyć, a w najlepszym razie zobowiązałyby ciotkę Elizę, by miała młodych na oku. Mamie wciąż się wydawało, że dziewiętnasty wiek ma się dobrze, a młode panienki potrzebują przyzwoitek.

Owszem, zgodziła się, by Wiktor został oficjalnym starającym się o rękę córki, ale stanowczo uważała, iż dobry obyczaj wymaga, by zaloty odbywały się pod czujnym okiem kogoś z rodziny. Między coraz bardziej swobodnymi obyczajami a zasadami wyznawanymi przez Mariannę Lindner ziała przepaść bez dna.

Lilka wołała nie ryzykować. Z ciotką Elizą jakoś sobie poradzi; choć nieco starsza od siostry, była bardziej wyrozumiała i nie tak maniacko przywiązana do tradycji. Co ważniejsze, zajęta nadrabianiem zaległości towarzysko-kulturalnych nie będzie chyba przez dwadzieścia cztery godziny na dobę zwracać uwagi, co porabia jej, dorosła bądź co bądź, siostrzenica.

Gdy bilety zostały już kupione, walizka spakowana, a pierwsze prawdziwie dorosłe członka na francuskim obcasie czekały w pudełku, zdarzyło się coś nieoczekiwanego.

Lilka czyniła ostatnie poprawki przy bluzce, którą zamierzała jutro włożyć, gdy w progu stanęła mama. Miała dziwną minę.

– Lilianno, masz gościa... – Zabrzmiało to bardzo oficjalnie.

Lilka uniosła głowę. Za mamą stała Jadzia z walizką. Bagaż musiał być ciężki, koleżanka z wysiłkiem dźwigała walizkę, odchylając się do tyłu. Twarz, na której zwykle malowała się pewność siebie i pogoda ducha, była zaczerwieniona od płaczu i pokryta plamami. Spuchnięte powieki i byle jak związane włosy nie pozostawiały wątpliwości, że ten dzień nie należy do szczególnie udanych. Wrażenie było tym silniejsze, że Lilka jeszcze nigdy nie widziała w takim stanie zawsze z siebie zadowolonej Jadzi.

– Oszalałaś!? – Poderwała się z miejsca, wyszarpując z jej rąk walizkę. – Nie możesz...! Zostaw to!

Mama uniosła brwi.

– Nie możesz dźwigać takich ciężarów, kręgosłup ci się wykrzywi... Mamo, my tu sobie pogadamy przy herbatce, co? Zaraz pójde do kuchni...

– Zostaw, zajmij się gościem. Powiem Pelasi.

W powietrzu wisiało napięcie. Rozdygotana Jadzia niemal słaniała się na nogach. Stała oparta o framugę, bezradnie wyłamując palce, a minę miała tak nieszczęśliwą, że mama taktownie się wycofała.

– Chryste Panie, co się stało?

Lilka zakrzętała się, posadziła roztrzęsioną koleżankę w fotelu i podała jej chusteczki.

– No, gadaj!

– Wyrzucili mnie z domu. – Jadzia głośno przełknęła ślinę i wydmuchała nos. – Ojciec krzyczał, że nie przeżyje takiego wstydu i że mam się wynosić. To co ja teraz zrobię, gdzie pójde? Nie mamy żadnej rodziny... Może do jakiego przytułku mnie wezmą...

– A mama?

– Co mama?! – Raptem zeszywniała i na sekundę stała się dawną Jadzią. – Nie ma nic do gadania, jak ojciec powiedział, tak ma być. Wielka mi fabrykantka! – Prychnęła. – Jak kupowała skład sukna od Lieberknechta, to się chwaliła, że bez mężczyzny potrafiłaby sobie w życiu poradzić... A teraz? Podkuliła ogon... Boże, co ja zrobię?! – zaszlochała, porzucając butny ton.

– Nie płacz, coś wymyślimy. Jak chcesz, poproszę mamę, żeby do was poszła.

Jadzia pokręciła głową.

– To nic nie da. Moja mama nie robi niczego wbrew woli ojca. Ja już tam nie wróce. – Zaciśnęła szczęki, aż z podbródka zrobiła się pestka brzoskwini. – Nawet jakby mnie na kolanach błagali. Mama nie stanęła w mojej obronie, rozumiesz? Pozwoliła, żeby wyrzucił mnie na ulicę!

Lilka gorączkowo zbierała myśli.

– Wyrzucił cię, czy sama poszłaś? – zapytała nieufnie.

– A jakie to ma znaczenie? Tak gadał i gadał... W końcu nie wytrzymałam. Łaski bez!

– Posłuchaj, na pewno mu przejdzie, pozwól im ochłonać. To normalne, muszą się przyzwyczaić...

– Oni z początku nawet mi tego nie wymawiali. Może mama trochę żałowała, że nie będę miała matury. Ale nic nie mówili, sama byłam zdziwiona... Ojciec czekał, aż Orest przyjdzie ustalić datę... Ja już nie miałam siły! – wybuchnęła zniecka. – Kiedy przyjdzie i kiedy przyjdzie, a skąd mnie to wiedzieć? Ojcu się w głowie nie mieściło, ale przecież wiesz, jaki jest Orest. Nie widziałam go od kilku miesięcy! Ludzie gadają, że wyjechał ze Lwowa, a ojciec uważa, że to przeze mnie, bo żenić się nie chciał. Taki wstyd... Szukał go, ale jak kamień w wodę. No i wtedy... – zachlipała Jadzia.

– Co?

– Powiedział, że jak nie ma ojca, to i dziecka być nie może...

Pan Cwinarski był prostym mężczyzną, w życiu wyznawał jasne zasady, ponadto lubił święty spokój. Dlatego pozwalał, by na co dzień to żona w jego imieniu zmagala się ze światem. Pracował jako urzędnik w magistracie, zajmował się księgami wieczystymi, swoje obowiązki wykonywał sumiennie, a najbardziej lubił ową nieskomplikowaną powtarzalność czynności, pozwalającą poruszać się w świecie bezpiecznych rytuałów: poranna kawa z pampuchem, starannie owiniętym przez żonę

w niebieską serwetkę, układanie ołówków na biurku, przerwa na obiad. Metalowy kosz na śmieci z chwiejącą się jedną nogą, paprotka na parapecie, pielęgnowana od pierwszego listka. Codziennie te same twarze, znajome dekoracje. Nawet interesantów lubił przyjmować w porządku alfabetycznym. Pewnego razu, gdy rozeszły się słuchy o jego awansie, pan Cwiniński, uprzedzając działania władzy, sam zgłosił się do przełożonych i oświadczył, że awansu nie przyjmie. Dobrze mu tam, gdzie jest. Nie chce nowego gabinetu, bo do starego już się przyzwyczaił, a i na większych pieniądzach tak bardzo mu nie zależy.

Został więc tam, gdzie był. Petenci go cenili. Jak nikt inny potrafił wyprostować i wyczyścić najbardziej zawiłą i zagmatwaną historię; równym, starannym pismem nadawał tożsamość parcelom, rozświetlał mroczną przeszłość domów i placów. Opatrywał je sygnaturami, skrupulatnie wypełniał miliony rubryczek i w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku odstawiał segregatory na półkę.

W jego świecie jasnych reguł nie było miejsca na dzieci bez ojców, przynajmniej jeśli chodziło o własną córkę. Było dziecko, musiał być ślub. W przyszłego zięcia zaczął już nawet inwestować. Gdy dowiedział się, że Orest szuka pieniędzy na jakieś przedsięwzięcie, bez namysłu i mimo protestów chłopaka chętnie wyasygnował odpowiednią sumę. Nie dopytywał się na co, nie zamierzał Jadzi niczego żałować, a przyszły zięć najwidoczniej zaczął już budować ich wspólną przyszłość. Tak mu się wtedy wydawało...

– Nie spędzę, to jego dziecko – chlipnęła znowu Jadzia. – A w ogóle, jak mam to zrobić? – Uniosła obszerny sweter. – Ono się rusza...

Lilka nie była mocna w tym temacie, ale brzuch Jadzi był już pokaźnych rozmiarów i trudno było podejrzewać, że to dopiero początek ciąży.

– Który to miesiąc? – zapytała ostrożnie.

– Nie wiem. – Jadzia wzruszyła ramionami. – Miesiączki nie mam już prawie pół roku. Z początku myślałam, że to jakieś zatrucie, bo było mi ciągle niedobrze... Olga wciąż gadała o tym odchudzaniu, to i ja postanowiłam spróbować. Kupiłam u Żyda zioła, piłam dwa razy dziennie i myślałam, że ta miesiączka to dlatego...

– No, ale chyba wiesz, kiedy... no, kiedy wy... – jąkała się Lilka. – No chyba musisz wiedzieć, kiedy dziecko zostało poczęte.

– To było tylko dwa razy. – Jadzia zaczerwieniła się jak burak i zaczęła skubać guziki u swetra. Gdyby mogła, wzrokiem przewierciłaby na wylot podłogę. Zająknęła się, ale z jej ust nie padło ani jedno zdanie więcej.

Lilka poczuła, że nie ma ochoty słuchać. Twarz Oresta zbyt wyraźnie stała jej w oczach.

– I co teraz będzie? – spytała bezradnie przyszła matka.

– Nic. Po prostu zostaniesz tutaj. Trudno, ciotka Eliza jakoś sobie beze mnie poradzi w tym Wilnie.

## Część druga

# PORA BURZ

*Wojenko, wojenko, cóżeś ty za pani,  
Śpiewał żołnierz, aż kulą w łeb trafiony urwał.  
Pozwólcie mi błąd jeden sprostować, kochani:  
Przede wszystkim, nie pani żadna, ale kurwa.*

M. Pawlikowska-Jasnorzewska



# I

Radio było włączone niemal przez całą dobę, choć audycje nadawano jedynie kilka godzin dziennie. Nieoczekiwanie stało się najważniejszym przedmiotem w domu. Ojciec łapał stacje nadające po niemiecku i francusku, żeby dowiedzieć się więcej. Nikt nie wierzył w chełpliwe niemieckie komunikaty, uważano, że to czysta propaganda. Niewielu zdawało sobie sprawę, że owo przekonanie wynika z poprzedzającej wybuch wojny silnej antyniemieckiej propagandy, głoszącej potęgę armii polskiej i wyśmiewającej papierowe czołgi Hitlera.

Jeszcze w sierpniu, w święto Wojska Polskiego, cały dzień czekano we Lwowie na marszałka Rydza-Śmigłego. Swoją obecnością miał uświetnić obchody. Jednak specjalnie na tę okazję udekorowana girlandami trybuna przy ulicy Pełczyńskiej pozostała pusta. Wieczorem, w blasku pochodni odbył się patriotyczny wiec pod Wysokim Zamkiem. Powiało grozą i lękiem, gdy po dramatycznych przemówieniach ludzie zrozumieli, że wojna jest nieunikniona.

Lilka stała obok Jakuba, ściskając go za rękę, i wspólnie ze wszystkimi śpiewała ochryłym ze wzruszenia głosem: „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród” tak głośno, że pieśń echem przetoczyła się przez miasto. Zadrżały kamienice, a zaniepokojone dorożkarskie szkapę podniosły łby i zastrzygły uszami. Po zakończonej uroczystości zeszli w dół w blasku pochodni niesionych przez uczestników wiecu. W powietrzu czuło się podniosłą atmosferę, wszystkich ogarnęło dziwne uniesienie. Pachniało jakąś desperacją. Z gwaru rozmów jasno wynikało, że nawet jeśli wojna jest nieunikniona, nic nie zdoła osłabić ducha bojowego Polaków, a zwycięstwo będzie tylko kwestią czasu. Wysoki mężczyzna w nieco przykrótkich spodniach i z blizną na policzku zrównał krok z Jakubem i Lilką. Sprawiał wrażenie przejętego.

– Będziemy musieli przetrzymać pierwsze uderzenie. Nawet za cenę oddania sporego terenu – oświadczył, patrząc przed siebie, w czarną przestrzeń pomiędzy drzewami porastającymi zbocze.

– A potem co?

Dopiero teraz spojrzął na Lilkę. W blasku pochodni widziała jego rozgorączkowane jak u wariata oczy.

– Na zachodzie rozpocznie się wielka ofensywa naszych sojuszników. A potem zwycięstwo, a co ma być? Nikt się nie boi śmierci! Na dłuższą wojnę Hitlerowi i tak zabraknie ropy, a natychmiast będzie miał przeciwko sobie szczelną blokadę morską. Jesteśmy silni, będziemy bronić Lwowa do upadłego, o czym tu gadać.

Wzruszył ramionami, jakby się dziwił, że można zadawać takie głupie pytania, i przyspieszył kroku. Patrzyli za nim przez chwilę, dopóki drgający blask pochodni nie zniknął między drzewami.

– Jakub?

– Nie bój się... – Brat położył rękę na jej ramieniu. – Spotkałem się wczoraj w restauracji „U George’a” z przyjaciółmi. Obok nas siedziało kilku wyższych oficerów, w tym jakiś generał. Gdybyś zobaczyła ich miny! Nie tak wyglądają ludzie, którzy się boją przegranej. Byli w wyśmienitych nastrojach! Jakby wojna już została wygrana, chociaż jeszcze się nawet nie zaczęła, i kto wie... Może ten człowiek ma rację? Ludzie podchodzili do stolika, ściskali im ręce... – dodał z wymuszoną wesołością.

– To znaczy, że jeszcze nic nie jest przesądzone? – W głosie Lilki zabrzmiała desperacka nadzieja.

Jakub nie widział w ciemnościach jej twarzy. Poczuł ulgę, ponieważ ona również nie mogła dostrzec jego.

– Dopóki nie ma oficjalnego wypowiedzenia, wszystko może się zdarzyć.

Wracali do domu okrężną drogą, każde zatopione w swoich myślach, mijając po drodze kilka jednostek wojskowych. W oświetlonych koszarach trwało zamieszanie. Nawoływania, okrzyki, odgłosy kopyt końskich przecinały wieczorną ciszę. Jakieś stukoty, brzęki, metaliczny pogłos uderzeń, które trudno było zidentyfikować... Żołnierze uwijali się jak nerwowe mrówki w wielkim mrowisku zagrożonym likwidacją... Tak przynajmniej widziała to Lilka. Mimo usilnych starań nie była w stanie wykrzesać z siebie ani krzty optymizmu. Widok chaotycznie biegających ludzi, przepychających się i pakujących na wozy karabiny maszynowe i plecaki nie podziałał na nich krzepiąco. Tamci nie wyglądali jak silna armia, zwarta i celowa w swych działaniach.

Byli to w większości młodzi chłopcy i miała wrażenie, że są przerażeni jeszcze bardziej niż ona. Od niej niczego nie oczekiwano, prócz tego, że zadba o siebie i przeżyje. Na ich barkach spoczywały losy świata, a przynajmniej najbliższej okolicy. Jeszcze wczoraj siedzieli w szkolnych ławkach, dziś mieli wyruszyć na tę nieznaną wojnę, która wisiała w powietrzu od tyłu miesiący, stanowiąc pożywkę dla plotek, a wkrótce miała się stać przerażającą rzeczywistością.

Na tyłach Sądu Wojskowego na Zamarstynowskiej natknęli się na Wandę Daszyńską i Jurka Lerskiego. Trzymając się za ręce, stali przed plakatem z wizerunkiem Rydza-Śmigłego i podpisem, że „jesteśmy zwarci i gotowi”. Mimo półmroku widać było niewyraźne miny obojga.

Sierpniowy wieczór był ciepły, przepojony odurzającymi woniami, idealny na miłosne schadzki kochanków. Z pobliskiego skweru dolatywały odgłosy nocnych świerszczy i rechotanie żab. Nad miastem zalegała migotliwa, granatowa przestrzeń upstrzona złotymi kropkami, zawieszonymi tak nisko, że można było po nie sięgnąć ręką. Co chwilę któraś leciała w dół, szybko, nie dając szansy na wypowiedzenie życzenia. Księżyc świecił jak oszalały, ale dziś nie był Księżycem Pocałunków. Był Księżycem Grozy.

– Nie ma sensu siedzieć we Lwowie, za chwilę zrobi się niebezpiecznie – oświadczył ponuro Jurek na widok Lilki i Jakuba. Wanda podniosła na niego przerażony wzrok. – Wszyscy wiedzą o ścisłej współpracy nacjonalistów ukraińskich i ich jacejek uniwersyteckich z Niemcami. Myślicie, że dlaczego Orest tak nagle przepadł? Kiedy wojna wybuchnie, można się spodziewać najgorszego... Tam, na zachodzie, będą mieli tylko jedną, my będziemy mieć dwie. Zobaczycie, co zrobią Ukraińcy, kiedy tylko poczują się bezkarni...

– Więc co? Uciekać? Jak tchórze? – Lilka nie umiała ukryć oburzenia. – Nie zamierzam się stąd ruszać! Jeśli trzeba będzie, pójdę walczyć...

– Siostrzyczko, nie bądź dzieckiem – powiedział Jakub znużonym tonem, a potem westchnął. – Nie wiesz, o co tu chodzi.

– Właśnie że wiem! Nikt za nas nie obroni miasta. Kto ma to zrobić?

– Na pewno nie ty!

– Tak, najlepiej wyciągnij ich z grobów! – Lilka czuła, że zaczyna być dziecinnie patetyczna, ale nie dbała o to. Jej także udzieliła się podniosła atmosfera tego dnia. – Raz to zrobili, może zrobią drugi. Nie mają już nic do stracenia. Sprawdzili się jako obrońcy.

– Nie bądź dzieckiem!

– Nie jestem! Uważam, że jesteśmy im to winni... Sobie jesteśmy winni.

– Też tak uważam – wtrąciła milcząca dotąd Wanda. Lilka posłała jej wdzięczne spojrzenie. – Tyle było gadania o patriotyzmie, a teraz zastanawiacie się tylko, jak ratować tyłki. Jak Mićcio Januszewski... Pewnie siedzi teraz w tej Francji, zabawia się z jakimiś ścierkami i ma wszystko gdzieś. – Nie przebierała w słowach. – Ja nie zamierzam się stąd ruszać! Jeśli będzie trzeba, pójdę walczyć! Niczego

na świecie nie kocham tak jak tego miasta... To mój dom i wara od niego!

Jurek popatrzył na nią uważnie. W jego oczach błysnął ledwie dostrzegalny cień zawodu.

– Myślałem... nieważne. Jeśli chcesz, zostaniemy. Ale to nie jest mądry pomysł. I niebezpieczny...

Wiesz przecież, że ja nigdzie bez ciebie... – dodał miękko.

– I dobrze! – oświadczyła Wanda. – Tu będziemy potrzebni.

– Powinnaś z nią porozmawiać – rzucił Jakub, pozornie od niechcienia, gdy pożegnawszy Wandę i Jurka, skierowali się w stronę domu. – Był zaangażowany w akcje i wystąpienia antyhitlerowskie. Jeszcze w czerwcu urządzali manifestacje, wszyscy to wiedzą. Przecież on jest znany w środowisku uniwersyteckim ze swoich poglądów, będzie pierwszy na liście do aresztowań.

– Kto?

– Jurek.

– Mówisz, jakby wszystko było już przesądzone – zdenerwowała się Lilka.

– Mówię jak ktoś, kto dobrze wie, co spotkało aktywistów organizacji demokratycznych po zajęciu przez Niemców Austrii i Czech... Jak mi nie wierzysz, zapytaj ojca.

Lilka poczuła, że rośnie w niej zapał bojowy. Bała się w dalszym ciągu, ale najlepszym lekarstwem na strach była chęć działania.

– Nie będzie żadnych aresztowań! Jestem pewna, że Niemcom nie uda się nas stąd wykurzyć! Nawet tu nie dotrą.

– Niemcom może i nie... – Jakub znowu westchnął, ale nie kontynuowali tematu.

Pod koniec sierpnia nikt już nie miał złudzeń. Wojna miała zaraz wybuchnąć i było to równie pewne, jak fakt, że po lecie za oknem zagości jesień. Gazety na pierwszych stronach donosiły ogromną czcionką: „Ribbentrop w Moskwie!”. Wszyscy zrozumieli, że zawaliła się cała polityka Becka i dla Europy nie ma już ratunku. Pakt rosyjsko-niemiecki poruszył cały świat.

Pod koniec sierpnia mama, na przekór sceptycyzmowi ojca, zapędziła służbę i wszystkich domowników do montowania czarnych rolet i oklejania okien paskami papieru, co w jej mniemaniu miało zabezpieczyć mieszkanie przed skutkami bombardowań. W razie fali uderzeniowej szyby pozostaną na swoich miejscach. Wieczory spędzano przy świecach, nie włączając światła, a nieliczni przechodnie nosili latarki z zamalowywanymi niebieską farbą szkiełkami. Najmniejszy ognik czy błysk papierosa wywoływał protesty. Krążyły już informacje o szpiegach wysyłających sygnały w niebo dla naprowadzenia niemieckich bombowców.

Tak robili wszyscy mieszkańcy Lwowa. Miasto przygotowywało się do wojny, w ufnym i prostodusznym przekonaniu, że wystarczą same zakłęcia, jakiegokolwiek działania, choćby pozorowane, by zatrzymać demona zagłady. Mimo obaw część ludzi nie traktowała zagrożenia poważnie, nie starczało im wyobraźni, że cokolwiek w tym cudnym, dobrze znanym życiu może ulec zmianie. Jakby zapomnieli, jakby nie było roku tysiąc dziewięćset osiemnastego ani dwudziestego...

Część lwowian była jednak świadoma tego, co nastąpi. Gorączkowo kopano rowy przeciwlotnicze. Ochotników nie brakowało, panowała atmosfera przedziwnego uniesienia, wspólnoty; jedni drugim przekazywali informacje, gdzie można kupić maski przeciwgazowe, bez których strach było wychodzić na ulicę, gdzie taniej sprzedają cukier, ziemniaki czy kaszę... Po zmroku ludzie gromadzili się na podwórkach i placach, z trwogą spoglądając w niebo.

Przykry incydent, który nieco osłabił ducha bojowego, zdarzył się podczas kopania rowów na dawnym cmentarzu Stryjskim, gdzie po godzinie pracy ziemia ukazała ludzkie szczątki. Czaszki z wyszczerzonymi zębami, puste oczodoły i nagie kości wywarły tak piorunujące wrażenie na młodych ochotnikach, że

wkrótce przy łopacie nie został nikt.

W pierwszych dniach września widok śmierci nie był jeszcze normalny i oswojony. Dopiero gdy pierwsze bomby zaczęły spadać w okolicach kościoła Świętej Elżbiety i w pobliżu Dworca Głównego, zabijając kobiety i dzieci i raniąc przechodniów – wszyscy zrozumieli, że wojna stała się faktem. Nadciągała nowa rzeczywistość.

W mieście zapanowała panika i chaos. Sytuacja Lwowa, leżącego na pierwszej linii frontu i atakowanego zaciekle przez Niemców od dwunastego września, pogorszyła się dramatycznie tydzień później. Mieszkańców sparaliżował strach, gdy gruchnęła wieść, że od wschodu zbliżają się oddziały Armii Czerwonej. Niewielu wierzyło, że przybywają z pomocą.

Lilka, nie zważając na protesty mamy, biegała po mieście, słuchając, co mówią ludzie. Jadzia wołała słuchać komunikatów.

„Uwaga, uwaga – nadchodzi”, „Uwaga, uwaga – przeszedł” – po czym następował ciąg liczb, które nie wiadomo, co znaczyły. Z początku się nimi nie przejmowała, skupiona na własnym nieszczęściu, lecz w miarę jak zwiększała się częstotliwość nadawania, co rusz gładziła się po brzuchu, próbując opanować kielkujące uczucie strachu.

Lilka postawiła na swoim. Jadzia została na Tatarskiej, wbrew początkowym protestom mamy i ojca. Po raz pierwszy w życiu znalazła w sobie siłę, by się przeciwstawić rodzicom. Po burzliwej rozmowie wszyscy doszli do wniosku, że to rozwiązanie tymczasowe. Mama zapewniła, że spróbuje delikatnie porozmawiać z panią Cwinarską, choć widać było, ile ją, taktowną, niewtrącającą się w cudze życie, kosztuje ta obietnica.

Lilka zostawiała Jadzię pod opieką rodziców i nie zważając na ich protesty, razem z Wandą Daszyńską i Marysią Baczyńską zgłosiła się do kliniki chirurgicznej przy Pijarów. Przez całe dni pomagały opatrywać rannych, których przybywało z godziny na godzinę. Zwijały kilometry bandaży, wycierały krew, wносиły baseny i zmieniały prześcieradła po umarłych, mechanicznie wykonując wszystkie czynności, które jeszcze miesiąc temu przyprawiłyby je o omdlenie. Zobojętniały, przyzwyczały się do odoru śmierci i ludzkich nieczystości. Po tygodniu cierpienie rannych nie budziło już paraliżującego współczucia, przestał robić wrażenie widok oderwanych kończyn, potrzaskanych miednic czy wylewających się wnętrzności. Liczyła się szybkość, precyzja i sumienne wykonywanie poleceń lekarza. Umysł ratował się, jak potrafił, eliminując emocje i myśli, które w krótkim czasie doprowadziłyby do obłędu.

Wszystkie trzy radziły sobie w miarę dobrze, lecz najlepiej sprawdzała się Wanda. Potrafiła nawet żartować razem z umierającymi, a kiedy zdarzała się jakaś chwila oddechu, grała z rannymi w karty i opowiadała dowcipy. Była zdystansowana i profesjonalna. Odnajdowała się w chaosie i zamieszaniu, jakie zapanowały w szpitalu w pierwszych dniach bombardowań, jakby całe życie nic innego nie robiła. Wiedziały, że przyjaciółkę zżera niepokój o ojca. W połowie sierpnia wypłynął w rejs do Ameryki Południowej i do tej pory nie miała od niego żadnych wiadomości. Mimo to stanowiła podporę wszystkich zbyt wrażliwych i nieco zagubionych wolontariuszek, które przeceniły swoje możliwości albo wciąż jeszcze uważały, że wojna to dobry pretekst do romantycznych poświęceń.

Lilka nie mogła wyjść z podziwu. Zarówno ją, jak i Marysię dużo kosztowało zachowanie spokoju i równowagi. Zastanawiała się, skąd ta pozornie beztroska i niefrasobliwa Wanda bierze tyle siły. Do czasu, gdy któregoś dnia, niechcący, była świadkiem, jak koleżanka rozpaczliwie zanosila się płaczem, obejmowana i tulona przez Jurka Lerskiego, który jak zwykle odebrał ją po dyżurze. Dzielna, twarda, nieco roztrzępiana Wanda drżała i szlochała jak dziecko.

Lilka tylko raz nie potrafiła nad sobą zapanować. Po szczególnie dramatycznym bombardowaniu okolic

Placu Krakowskiego, o dwunastej w południe przywieziono małego, może trzyletniego chłopczyka o przerażonych oczach, z oderwaną ręką i zmiażdżoną klatką piersiową. Na swoje własne nieszczęście malec jakimś cudem nie stracił przytomności. Żył jeszcze piętnaście minut. Umierał bezgłośnie na rękach Lilki, wpatrując się z napięciem w ścianę w oczekiwaniu, co prędzej się zwolni: stół na sali operacyjnej czy miejsce na tamtym świecie.

Tego dnia nie zdołała dłużej pracować, nie mogła zostać w szpitalu. Coś się w niej rozsypało. Nie zdejmując fartucha, bez słowa wybiegła na ulicę. Nie zważając na odgłosy wystrzałów artylerii przeciwlotniczej ani dźwięki syren, jak nieprzytomna pędziła w dół ulicy Kurkowej. Mijała kryjących się po bramach ludzi, nie słyszała krzyków, że nadlatują, że trzeba się chować. Nic jej w tej chwili nie obchodził ryk samolotów, bomby, strzelanina ani ta cała głupia wojna.

Ktoś szarpnął ją za ramię tak mocno, że nie wyhamowała pędu. Zakręciła się, uderzając we framugę bramy, i została zniecka wciągnięta do środka. Trzasnęły drzwi, ktoś pobiegł na górę. Kilka minut później rozległ się ogłuszający ryk, przeszywający niebo, potężniejszy z każdą sekundą jak narastająca zapowiedź nieuniknionego. Przecinał go wibrujący wysoko jazgot alarmu przeciwlotniczego, który włączył się dwie ulice dalej.

Lilka zatkała uszy i schowała głowę w ramionach, osuwając się na ziemię. Mimo panującego na zewnątrz upału ściana klatki schodowej była chłodna i wilgotna. Przez cienki fartuch czuła paralizujące zimno. Kamienica zadrżała w posadach, z sufitu posypał się gruz. Tynk pokrył schody białym pyłem. W jednej chwili płuca dziewczyny wypełniły się duszącym kurzem, jakby ktoś nasypał mąki do gardła i nosa. Przez kilkanaście sekund była pewna, że się udusi. Nic nie widziała. Czyjaś ręka przyciągnęła ją do siebie, ktoś zasłonił jej głowę, gdy na parterze posypały się szyby. Cisza, która na moment zapadła, była niczym bezgłośnie chwytnie powietrza. Po chwili przeszła w przeraźliwe krzyki i zawodzenia. Zza drzwi mieszkania na pierwszym piętrze dobiegał płacz dziecka, mieszając się z wyciem syren.

Lilka poczuła, że dłużej tego nie zniesie. Potworny, rozsadzający płuca wrzask narastał w niej z każdą chwilą. Tłumione emocje musiały znaleźć ujście. Wrzeszczała, nie zdając sobie sprawy, że zamiast krzyku z jej ust wydobywa się bezgłośny szloch. Czuła wilgoć rozmazaną na policzkach, łyzy kapały na fartuch i kolana podciągnięte pod brodę.

Mały chłopiec, który skonał z głową na jej rękach, miał twarz Michasia. Mimo że naloty trwały od kilku dni, dopiero teraz z całą jasnością uświadomiła sobie, że już nikt nie jest w stanie ochronić jej marzeń o szczęśliwej przyszłości, że po śmierci tego dziecka już nic nie będzie takie samo. Pomyślała o Wiktorze.

– Uspokój się, nic się nie stało, żyjesz – usłyszała znajomy głos. Przed nosem mignął jej szary, płócienny rękaw koszuli, przykurzony i pokryty pyłem.

Orest złapał ją za rękę, pomagając wstać. Przez łyzy i w pyle ledwie go widziała.

– Na drugi raz słuchaj alarmów. Bomba spadła kilka ulic dalej. Już byś nie żyła.

– Skąd ty... skąd się tu wzięłeś? – W pierwszej chwili popatrzyła na niego jak na ducha. W drugiej uświadomiła sobie, że właśnie uratował jej życie.

– Muszę z tobą porozmawiać – rzucił, nie zwracając uwagi na jej szeroko otwarte oczy. – Wiem, że pracujesz przy Pijarów. Chciałem się zobaczyć z Jakubem... Posłuchaj uważnie. – Położył ręce na jej ramionach i zmusił, żeby patrzyła mu w oczy. – Wszystko skończone, nie będzie żadnej pomocy ani Francji, ani Wielkiej Brytanii, ani nikogo innego. Za chwilę wszystko się zmieni, będą czystki, aresztowania... Powiedz ojcu, żeby uciekał. Niech zabiera wszystko i uciekajcie, póki jeszcze możecie. Za chwilę już nikt stąd nie wyjedzie... Teraz jeszcze jest szansa, wszyscy uciekają przed frontem...

Rzeczywiście, w ostatnich dniach Lwów zaczął pękać w szwach. Pierwsza przybyła fala uciekinierów z Małopolski. Pewnego dnia u profesora Ostrowskiego pojawił się Ignacy, bratanek z Krakowa, z żoną

i dzieckiem. Opowiadali przerażające historie o rozbiciu lotnictwa, rozpaczliwej obronie słabo uzbrojonych oddziałów i miazdzącej przewadze technicznej Niemców. Ale przede wszystkim mówili o okrucieństwach Wehrmachtu: strzelaniu do dzieci, dobijaniu kolbami rannych, gwałtach i bestialstwie trudnym do wyobrażenia. Kiedy opisywał, jak niemieccy żołnierze zabawiali się w przytułku, ciągnąc za nogi niemowlęta i rozdzierając je na dwoje, Lusia zemdląca.

Profesor Ostrowski słuchał z niedowierzaniem. Znał bratanka i wiedział, że ten nie ma skłonności do konfabulacji, ale w głowie nie mogło mu się pomieścić, żeby cywilizowana, bądź co bądź, armia niemiecka mogła dokonywać tak przerażających mordów na cywilach. Synowie narodu, który wydał na świat Goethego, Bacha, Leibniza... Dlaczego? Po co?

– Musicie uciekać! – kontynuował gorączkowo Orest. – Zaczną się wywózki, deportacje... Nawet nie przypuszczasz, co tu się będzie działo. Ludzie gadają, że wejdą Ruskie... Nie będzie rozmów, negocjacji. Nie przyjdą z odsieczą...

Lilka przyglądała mu się z niedowierzaniem. Nie była już dzieckiem i wiedziała, co oznacza wojna. Nie rozumiała, dlaczego Orest ją ostrzega.

– Ludzie gadają też, że po lasach bandy ukraińskich nacjonalistów atakują cofających się żołnierzy – powiedziała, patrząc mu prosto w oczy. – Pewnie nawet mi powiesz, którądy powinniśmy uciekać...

– Najlepiej na południe, do granicy rumuńskiej... – zaczął Orest, ale raptownie umilkł. Wiedziała, że zrozumiał. Skrzywił się nieznacznie, lecz nie wyglądał na urażonego. – Powiedziałem kiedyś, że nigdy cię nie skrzywdzę. Nie mieszam pewnych spraw... Zrobicie, jak zechcecie, pamiętaj, ostrzegałem. Przekaż Jakubowi, że będę czekał na starym żydowskim cmentarzu, po zmroku. To ważne...

Ciszę popołudnia znów rozciągnęło przeciągłe wycie.

– Zostań tu! – rzucił, zmuszając Lilkę, by przykucnęła pod ścianą. – Nie wychodź z bramy, póki nie ucichnie.

– A ty?! – krzyknęła.

Odpowiedziało jej echo kroków. Zdążyła jeszcze zobaczyć kawałek szarej koszuli Oresta znikającej w załomie muru, i w tym samym momencie uświadomiła sobie, że nie zdążyła powiedzieć mu o Jadzi. I o dziecku.

Przed osiemnastą było jeszcze dość jasno. Mimo że słońce wisiało już nisko nad cmentarzem żydowskim, jakoś nie kwapiło się, by zakończyć codzienną wędrówkę. Jakub minął okazały Dom Inwalidów przy ulicy Kleparowskiej i skierował się ku nekropolii. Tam zamierzał poczekać, aż zupełnie się ściemni.

Dobrze znał te tereny. Gdy tylko się dowiedział, że dowódca północno-zachodniego odcinka obrony Lwowa, podpułkownik Brzeziński-Dunin, zorganizował swój sztab właśnie przy Kleparowskiej, wsiadł na konia i natychmiast tam się zgłosił. Nie chciał zostawiać Winniczek, to był jego dom, jego miłość. Jednocześnie zaś nie mógł pozostać obojętny, gdy Lwów rozpaczliwie szukał sposobu na odparcie najeźdźcy. Nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby w obliczu zagrożenia zaszył się na wsi, dbając tylko o własny majątek.

Od początku wojny kursował między Lwowem a Winniczkami, głuchy na prośby matki, by choć przez chwilę pomyślał o sobie, a właściwie o niej, bo jeśli coś mu się stanie, ona tego nie przeżyje. Co mógł jej odpowiedzieć? Przytulał ją tylko, uspokajając, że wie, co robi.

Kilka dni po wybuchu wojny wpadł na Tatarską, by namówić rodzinę do przeprowadzki na wieś. Wydawało się, że tak będzie bezpieczniej dla wszystkich. Winniczki, położone na wschód od Lwowa, nie znajdowały się na linii frontu. Można było założyć, że Niemcy nadejdą raczej od zachodu. Już po dwóch tygodniach droga na Winniki była jedyną trasą łączącą miasto ze światem. Ojciec jednak nie chciał



wyjeżdżać. Uważał, że w mieście, wśród ludzi, mniej są narażeni na niebezpieczeństwo niż tam, gdzie za sąsiadów mają głównie Rusinów. Jak się wkrótce okazało, miał rację...

Huragan został za murem, grzebiąc kopytem i leniwie skubiąc trawę, a Jakub zniknął w alejkach cmentarza, zostawiając za sobą przygnębiającą grozę wojennego miasta; snujące się nad kamienicami czarne dymy, wszechobecny pył i zasypane gruzem ulice. Mimo że codziennie usuwano ciała zabitych, po każdym bombardowaniu zostawał ktoś pod gruzami, a przy upalnej pogodzie fetor rozkładających się zwłok był nie do zniesienia.

Cmentarz był jak złudna oaza spokoju; bezpieczny skrawek łądu, gęsto zarosły i ocieniony, na pustyni przeżartej palącym, morderczym słońcem. Jakub od dziecka lubił cmentarze. Chłonał ich melancholijny klimat i leniwą atmosferę. Nigdy się nie bał umarłych. W miejscu, gdzie znajdowali wiekiasty odpoczynek, potrafił odnaleźć ukojenie. Wojna trwała zaledwie dwa tygodnie, a on już zdążył pożegnać kilku najbliższych przyjaciół. Padali jak muchy w bitwach pod Lwowem, ginęli od kul na ulicach miasta bądź pod gruzami, gdy spadały bomby. Przez ten krótki czas zdołał się oswoić z życiem pod skrzydłami śmierci i nie robiła już na nim takiego wrażenia. Powoli wszyscy przyzwyczajali się do widoku poskręcanych ciał leżących na ulicach, do nagłych i nieoczekiwanych zgonów, przepełnionych szpitali i do tego, że jutro stawało się równie mgliste, jak świat za milion lat.

Gdzieś w głębi duszy czaiła się niezmacona pewność, że ten los jest pisany również jemu. Kilka razy chyba tylko cudem wywinął się od śmierci, ale nie miał wątpliwości, że śmierć jeszcze się po niego zgłosi.

– Dziękuję, żeś przyszedł. Właściwie na to nie liczyłem...

Orest wyłonił się zza drzewa. Zbliżył się z wyciągniętą ręką. Po chwili wahania Jakub podał mu swoją. Usiedli na ławce przy starej macewie porośniętej mchem.

– Przyszedłem tylko ze względu na... – zaczął Jakub.

Orest uniósł rękę.

– Nic mi nie jesteś winien, mówiłem ci. Każdy by tak postąpił. Poza tym nie zrobiłem tego dla ciebie... A przynajmniej nie tylko.

– Nie ma znaczenia. Chętnie spłacę dług. Czego chcesz?

Orest schylił się i podniósł mały kamyk. Podrzucił go kilka razy, przenosząc z dłoni do dłoni. Uśmiechnął się.

– Chyba jeszcze nie tym razem, przyjacielu... Muszę cię ostrzec. Robi się gorąco. W organizacji jeszcze nigdy nie było takich nastrojów... Przynajmniej od kiedy pamiętam. Teraz najwięcej do powiedzenia mają ci z kierownictwa najbardziej radykalnego skrzydła. Zawsze głośno mówiłem o wolnej i niepodległej Ukrainie i wydawało mi się, że akurat ty...

– Pamiętam – oświadczył krótko Jakub. – Ale wasze metody są nie do przyjęcia, nigdy nie były. Nieraz o tym rozmawialiśmy i znasz moje zdanie. Akcje sabotażowe, akty terroru... Poza tym Lwów zawsze należał do Polski i tego nie zmienicie. Żle wam tutaj? Macie stanowiska, wolność wyznania, swobodny dostęp do nauki. Żyjecie, jak chcecie. To mało?

Z pobliskich drzew doleciały ostatnie tego dnia, gasnące trele ptaków.

– Stanowiska... – Orest uśmiechnął się z przekąsem. – Na uniwersytecie pracuje tylko jeden wykładowca Ukrainiec. Nawet katedra ruskiego jest obsadzona przez Polaka. To zresztą teraz już nieważne... Jeszcze nie wiesz, ale do tej pory to była zabawa. – Orest rzucił kamyk w trawę. – Podpalanie stogów siana, zwalanie słupów telefonicznych... – Wzruszył ramionami. – Drobiazgi niewarte uwagi. A co do Lwowa, nawet jeśli jest polski, to się mylisz. Niedługo wszystko się zmieni.

– Drobiazgi? Mam ci przypomnieć Hołówkę czy Pierackiego? Bandera dalej siedzi za zabójstwo, o ile dobrze się orientuję.

– Już niedługo...

– Straszysz?

– Nie. – Orest pokręcił głową. – Próbuję cię ostrzec. Wiesz, że mój ojciec należał do UNDO i nigdy mi nie wybaczył, że wybrałem inną drogę. Dopóki była konspiracja, wszystko wydawało się na miejscu, sensowne i właściwe. Jakoś musieliśmy walczyć o niepodległość, nikt nam jej nie da, jeśli sami nie weźmiemy... Komu w Europie zależy na Samostijnej Ukrainie z godłem tryzubą? Nikomu. Akurat wy, Polacy, powinniście to rozumieć. Przez wiele lat nie było was na mapie, nasze losy są podobne.

Trudno było nie usłyszeć gorczy w jego głosie.

– Chybiona analogia – oświadczył Jakub. – Więc co się stało, że tu jesteś? – spytał z ironią. – Sumienie cię ruszyło? Teraz macie świetną okazję... Poszukajcie sobie sprzymierzeńca i bierzcie, co chcecie. Tylko musicie znaleźć sposób, żeby po dobroci oddał, co nam wyszarpiacie.

Orest nie zareagował na zaczepkę. Podniósł głowę i spojrzał Jakubowi prosto w oczy.

– Znasz mnie... Ja robię tylko to, w co wierzę. Mam przyjaciół wśród Polaków, wiele im zawdzięczam. Nie mogę się zgodzić na metody, którymi... o których... Nie wszystko da się usprawiedliwić. Nawet patriotyzmem i miłością ojczyzny – zawahał się na chwilę.

– Co masz na myśli? – Jakub zmarszczył brwi.

– Od początku roku Niemcy przysyłali nam broń. To nie są jawne informacje... OUN razem z Abwehrą zaplanowały powstanie antypolskie. Miało wybuchnąć na dniach, jednak sytuacja nieco się skomplikowała, nie wiadomo, co teraz będzie. Przecież wiesz, co się dzieje po wsiach... Grupy Ukraińców napadają na gospodarstwa, palą ludzi... To już nie jest zabawa. Nie wszyscy są z organizacji, to raczej odzwierciedlenie nastrojów. Puściły tamy... Wiadomo było, że tak się stanie, nikt przy zdrowych zmysłach nie wierzył przecież w miłość między Polakami a Ukraińcami, ale nie myślałem, że na taką skalę... – Orest pokręcił głową. – Twierdzą, że to odpowiedź na akcje przeprowadzane przez wasze wojsko. Tyle że nikt nie mówi głośno, że w rzeczywistości to wojsko bierze odwet za działania dywersyjne przeciw Polakom. OUN chce przejąć władzę, gdzie się da, w miasteczkach, na wsiach, jeszcze przed wkroczeniem Niemców. Albo Sowietów, bo i takie chodzą pogłoski. Jakub, zrozum, jeśli chodzi o OUN, to przemyślana polityka, im chodzi o to, żeby przygotować te tereny... Oczyszczyć je etnicznie... Wiesz, co to znaczy? Dopóki istnieje polska administracja, jeszcze się to jakoś trzyma kupy, ale sam wiesz, że na dłuższą metę nie macie wielkich szans. Wynik wojny jest już przesądzony. Obecnie gra toczy się wyłącznie o to, czy Lwów podda się Niemcom, czy Sowietom. Niektórzy gadają, że jak dostaną go Sowietci, odpłynie do Azji – zaśmiał się cicho i nieprzyjemnie. – Tak czy inaczej, tu ma być Ukraina, bez znaczenia, czy pomogą nam w tym jedni czy drudzy... Choć ja osobiście w tych drugich nie wierzę...

– Więc co? Wywózki?

Orest przecząco pokręcił głową.

– Widziałem dokumenty... Nie mam najmniejszych wątpliwości. Jeśli nikt im nie przeszkodzi, wyrzną was wszystkich jak świnię... Bez najmniejszych skrępołów.

Zza cmentarnego muru dobiegło głucho dudnienie. Na rogatkach miasta wciąż trwały walki.

– Oni? – zachnął się Jakub, bezwiednie zaciskając pięści.

– Mówię o założeniach. Tam były podpisy kierownictwa, a wiesz, co to oznacza. – Orest wytrzymał jego spojrzenie. – To nie takie proste... W życiu rzadko coś jest tylko czarne albo białe. Ostrzegłem cię, a ty zrobisz, jak zechcesz.

Jakub przez chwilę milczał.

– Co to za dokumenty? Mógłbyś je zdobyć?

– Nie wymagają wiele... I tak robię dużo. Gdyby ktoś się dowiedział... U nas nie zadaje się pytań,

tylko wykonuje polecenia. Nie zabieraj rodziny na wieś, tam jest teraz niebezpiecznie. I sam też nie wracaj. Świat sprzed września już nie istnieje... Najlepiej stąd uciekajcie, spróbuj przekonać ojca. I tak już wszystko stracone. Myślisz, że zostawią wam cokolwiek? Ziemię, stadniny? Będziecie pierwszymi wrogami ludu pracującego. Zdławią tę waszą pańską Polskę. Na pewno widziałeś ulotki na słupach...

Jakub przypomniał sobie wściekłość, jaka ogarnęła go dziś rano, gdy wpadła mu w ręce odezwa do żołnierzy armii polskiej, ulotka, jakich pełno walało się po ulicach, podpisana przez Naczelnego Dowódcę Frontu Białoruskiego.

„Bracia, pańsko-burżuazyjny rząd wciągnął was w awanturniczą wojnę. Ministrowie i generałowie schwycili zagrabione złoto i tchórzliwie uciekli, zostawiając armię i cały lud Polski na wolę losu. My idziemy do was nie jako zdobywcy, ale jako wasi bracia po klasu, jako wasi wyzwolenicy od ucisku obszarników i kapitalistów. Nie przelewajcie daremno krwi za cudze wam interesy obszarników i kapitalistów...”

– Jeśli wam się poszczęści, zostaniecie wywiezieni w głąb Rosji... – kontynuował Orest. – Takiego losu chcesz dla swojej siostry? Jesteście dziećmi kapitalisty – dodał z sarkazmem, jakby czytał Jakubowi w myślach.

Lindner zmrużył oczy. Za wszelką cenę starał się nie pokazać, jakie wrażenie zrobiły na nim informacje przyniesione przez Ukraińca.

– Lepsza sowiecka wywózka niż wasze pomysły... A co na to twój ojciec? Pozbył się już złudzeń, czy wciąż wierzy, że jego syn to patriota? I co teraz? – zakpił. – Przestraszyłeś się konsekwencji, czy doszedłeś do wniosku, że trzeba się rozejrzeć za nowym sprzymierzeńcem? Wiesz równie dobrze, jak ja, że gówno od nich dostaniecie, a nie wolną Ukrainę... – roześmiał się z ironią.

Orest konsekwentnie nie pozwolił się wyprowadzić z równowagi. Widać było, że czuje się rozdarty wewnątrz, lecz na Jakubie nie robiło to wrażenia. Zawsze uważał, że człowiek powinien być odpowiedzialny za własne wybory.

– Patriota... – powtórzył, patrząc gdzieś ponad ramieniem Jakuba. – Tak, jestem patriotą i chcę, żeby moje państwo miało takie samo prawo do istnienia jak twoje. A jakie mam wyjście, co? Wszystko się rozpada, nikt już nad niczym nie panuje... Nie wiadomo, co teraz będzie. Niemcom nie poszło, jak się tego spodziewano. Tak, masz rację, w organizacji boją się sowieckich represji, liczyli na Hitlera.

– Liczyliście – poprawił go Jakub z naciskiem.

– Nie zamierzam cię więcej przekonywać. Zrobisz, jak zechcesz. – Orest podniósł się z ławki. – I jeszcze jedno. Na twoim miejscu przyjrzałbym się bliżej temu młodzikowi z Warszawy... – Urwał na chwilę. – I nieważne, co o mnie myślisz... Po prostu potraktuj to serio. Jeśli nie dla siebie, to ze względu na rodzinę. Pamiętaj, jesteś za nich odpowiedzialny.

– Będziesz miał dziecko! – rzucił Jakub, na pozór obojętnie. On również wstał. – A dzieci zwykle rozliczają rodziców z ich wyborów. Też o tym pamiętaj – dodał z uśmiechem.

Odwrócił się na pięcie i zniknął za murem, zostawiając za sobą osłupiałego Oresta.

Od kilku dni we Lwowie nie było wody ani gazu, a wieczorem wyłączono również prąd. Całe szczęście, że Pelasia kilka tygodni wcześniej kupiła kilka pudeł świec, a i z ubiegłych Zaduszek zostało kilkadziesiąt zniczy, których nie zapalono na mogiłkach. Pierwszego listopada lało jak z cebra i praktyczna Marianna doszła do wniosku, że nie ma sensu walczyć z wiatrakami. Dzięki temu teraz można było oświetlić mieszkanie, choć i tak świece oszczędzano. Nikt nie wiedział, ile nocy przyjdzie wpatrywać się w drgające płomyczki. Dodatkowo Ostrowscy przynieśli kilka zabytkowych lamp naftowych, uznając, że jeśli nie przydadzą się teraz, to już chyba nigdy. W piwnicy wygrzebano parę baniek z naftą, schowanych na czarną godzinę.

W salonie przy Tatarskiej w minorowych nastrojach siedzieli profesor Ostrowski z Lunią, Gustaw i Marianna, Lilka z Jadzią oraz bratanek profesora, Ignacy, z żoną Zosią. Pelasia z panią Chudecką odmawiały różaniec w służbówce. Uznano, że na Żółkiewskim jest bezpieczniej niż w śródmieściu, gdzie mieszkali Ostrowscy.

Michaś po wielkich awanturach wreszcie zasnął w swoim pokoju, obrażony, że brutalnie wyklucza się go z ważnych porad wojennych. Synek Ignacego i Zosi, pięcioletni Ludwiczek, spał na kolanach mamy zwinięty w kłębek jak kocurek. Ruda czupryna sterczała spod maminego łokcia. Marianna chciała położyć go razem z Michasiem, ale przerażona wydarzeniami ostatnich dni Zosia bała się wypuścić synka z rąk choćby na chwilę. Dla niej wojna oznaczała jedno – zagrożenie dla dziecka i irracjonalne przeświadczenie, że jeśli straci małego z oczu choćby na sekundę, więcej już go nie zobaczy. Ignacy patrzył na żonę zatroskany. On również bał się o syna, ale zachowanie Zosi, choć usprawiedliwione trudnymi przeżyciami wielodniowej tułaczki, budziło coraz większy niepokój.

Od dnia, kiedy zmuszeni byli uciekać z własnego domu, Zosia nie powiedziała ani jednego słowa. Zamknęła się w sobie i nie odpowiadała nawet na proste pytania. Pod Tarnowem, gdy kryli się po rowach przed polującymi messerschmittami i przez chwilę wydawało się, że to już koniec, przycisnęła synka do trawy, zasłaniając go własnym ciałem, i bezgłośnie szeptała modlitwy. Ignacy leżał kilka metrów dalej. Z natężeniem wpatrywał się w jej usta, na próżno prosząc Boga, by w tej ostatniej chwili powiedziała choć jedno słowo. Choć jedno krótkie słowo, które mógłby zapamiętać, gdy już stanie przed boskim majestatem. Nie modlił się o ocalenie.

Wokoło ludzie padali jak muchy, zaskoczeni własną śmiercią. Serie z karabinów maszynowych przecinały plecy uciekających, znacząc na nich dziurkowane wzory. Złapani i unieruchomieni na mgnienie powieki, zastygali w przedśmiertnej pozie, z wyrzuconymi w górę ramionami, a następnie w makabrycznych piruetach zwalali się ciężko na ziemię. I nic już nie było w nich z tanecznej lekkości.

Ignacy przytulił twarz do mokrej trawy, wyciągając rękę w stronę żony, choć Zosia była zbyt daleko, by mógł jej dosięgnąć. Nieoczekiwanie przypomniał sobie, jak dawno temu, w innym życiu, w ich małym krakowskim mieszkaniu przy Wielickiej krzyczała na niego, że przypalił mleko...

Jakub nie dawał znaku życia. Z Winniczek dotarły wieści, że nie pokazał się od kilku dni i nikt nie wie, co się z nim dzieje. Lilka wiedziała, że miał się spotkać z Orestem. Szarpały nią na przemian przerażenie i poczucie winy. Nie ufała Orestowi, ale wierzyła w Jakuba. Wierzyła, że wie, co robi...

Marianna również nie mogła sobie znaleźć miejsca. Nerwowym krokiem przemierzała pokój od okna do okna, odsuwając firankę i trzaskając okiennicą za każdym razem, gdy zmieniała kierunek marszu. Gustaw popatrywał na to z niepokojem, zastanawiając się, ile jeszcze takich uderzeń wytrzyma biedne okno. Nic nie mówił. Też martwił się o syna.

W ciemnej otchłani ulicy widoczny był jedynie chwiejny poblask padający z okien sąsiednich kamienic. Poza tym ciemności nie rozpraszała ani jedna gwiazda. Nie świeciły się latarnie. Ciszę nocy rozrywało co jakiś czas głucho dudnienie dział i buczące, odległe dźwięki kołujących samolotów przyprawiające o trwogę. Ich złowróżbne, sunące po ziemi cienie sprawiły, że zniknęła fabryka wódek Baczewskiego, kompletnie zniszczona została cerkiew greckokatolicka Świętego Ducha, Dworzec Główny był uszkodzony, a wiele kamienic zrównanych z ziemią.

Wszyscy byli wyciszeni, otepiali z bólu, zawieszani w jakimś dziwnym oczekiwaniu na nieuchronne. Nadzieja stała się najbardziej deficytowym towarem na świecie. Nikt już nie wiedział, co myśleć, co robić. Młodzi ludzie, zgodnie z nawoływaniami władz, zaczęli opuszczać miasto.

Kilka dni wcześniej Lilka i Jadzia spotkały na ulicy paru kolegów ze szkoły Jordana. Mówili, że podobno zaczęto organizować szlak emigracyjny przez Karpaty Wschodnie na Węgry i oni nie zamierzają tu zostać i dać się aresztować, zwłaszcza że polski rząd uciekł do Rumunii. Chcą walczyć,

a o ohotniczym zaciągu we Lwowie już nikt przy zdrowych zmysłach poważnie nie myśli. To koniec.

Dziewczęta słuchały zdezorientowane. Pogłębiał się chaos informacyjny, nie wiadano, gdzie jest prezydent Mościcki, rząd, Rydz-Śmigły. Nie chciały wierzyć, że to prawda, ale tyle docierało sprzecznych wiadomości, że każda wydawała się możliwa.

Rozgłośnia w Raszynie zamilkła kilkanaście dni wcześniej i jedyne informacje pochodziły od uciekinierów z południowej i zachodniej Polski, choć akurat te wieści nikomu nie chciały pomieścić się w głowie. Kapitulacja Westerplatte, zajęcie przez Niemców całego Śląska, Krakowa, Łodzi, Bydgoszczy... Najeźdźcy sunęli jak szarańcza: metodycznie, konsekwentnie i nieuchronnie. Wiadomo było, że Warszawa jeszcze się broni, ale chyba już nikt nie miał wątpliwości, że klęska jest tylko kwestią czasu. Nocami rozlegały się odgłosy kanonady artyleryjskiej. Front zbliżył się na odległość kilku kilometrów. Niemcy stali u bram Lwowa.

Nie przestano jeszcze opłakiwać ofiar bombardowań i walk, a już gruchnęła wieść o kolejnym ciosie, choć nieoficjalnie szeptano o tym od kilku dni. Od strony wschodniej nadciągało wojsko sowieckie, na Lwów maszerowała Szósta Armia Frontu Ukraińskiego.

– Można się było tego spodziewać... – Profesor Ostrowski pogładził żonę po szczupłej dłoni. Na ścianie zatańczył chwiejny cień. – Nigdy nie miałem złudzeń, choć znam takich, co uważali, że pakt przyjaźni między Stalinem a Hitlerem jest nie do pomyślenia. Nawet gdy został podpisany, mówiono, że to zwykła umowa o nieagresji. Cóż... Jakiej trzeba naiwności, by nie rozumieć, że jeśli nad głową owcy wilk dogaduje się z lisem, to los owcy jest przesądzony. – Uśmiechnął się z goryczą. – Obawiam się, że teraz to już przepadliśmy, moi drodzy. Podobno już przedwczoraj, na Łyczakowie, przy dolnych koszarach ułanów jazłowieckich ktoś widział dwa sowieckie czołgi... To kwestia godzin, zobaczcie.

Nikt już nawet nie starał się udawać, że jeszcze wszystko może się dobrze skończyć.

– O Boże, to niedaleko od nas! – krzyknęła Jadzia, odruchowo dotykając brzucha. – Od tyłu dni nie ma żadnych wieści... Jutro z samego rana muszę tam jechać! Nie przeżyję, jak coś im się stanie!

Zaczęła płakać. Od dłuższego czasu była roztrzęsiona i nerwowa, a brak wieści o rodzicach dodatkowo wytrącał ją z równowagi. Nie mogła spać, nie miała apetytu, nie docierały do niej argumenty, że powinna teraz myśleć o dziecku. Źle znosiła ciężę. Jeszcze pod koniec sierpnia Marianna wezwała doktora Onopiuka. Ten nakazał zapewnić ciężarnej spokój, zdając sobie jednocześnie sprawę, że w obliczu nadchodzących wydarzeń jego zalecenie zakrawa na kpinę. Miała odpoczywać, oszczędzać się i unikać nadmiernych emocji.

– Dziecko jest małe i wątłe – poinformował zmartwioną Mariannę. – Dziewczyna musi się teraz dobrze odżywiać, odpoczywać i nie wolno jej się denerwować. Najlepiej, gdyby wyjechała na wieś...

Pomysł był dobry i nawet zaczęto czynić przygotowania do wyjazdu do Winniczek – kiedy radio podało komunikat o wojnie. W tej sytuacji uznano, że na razie w mieście, wśród ludzi, będzie bezpieczniej, i wyjazdu zaniechano.

Wiadomość o zbombardowaniu kamienicy przy Kochanowskiego, w której mieszkali rodzice Jadzi, przyniosła przejęta Pelasia. Ludzie gadali, że nalot nastąpił nad ranem, gdy wszyscy jeszcze spali, i nie było wielkich nadziei, by ktoś mógł się uratować. Tam, gdzie jeszcze niedawno stała okazała, secesyjna budowla z pięknymi balkonami i połyskującym w słońcu dachem, teraz ziała czernią ogromna dziura w ziemi.

Gustaw z Marianną wtajemniczyli Lilkę i wspólnie uznali, że nie można dopuścić, by Jadzia się o tym dowiedziała. Nie przed rozwiązaniem.

– Zresztą to nic pewnego... – smutno westchnęła mama. – Może nie nocowali w domu... Dopóki nie ma pewnych informacji, zawsze jest nadzieja, trzeba wierzyć.

Jeszcze kilka tygodni wcześniej Marianna, na prośbę Lilki, odwiedziła panią Cwinarską i wspólnie

ustaliły, że dopóki ojciec Jadzi nie ochłonie i nie pogodzi się z sytuacją, lepiej będzie, jak dziewczyna zostanie u Lindnerów.

– Wie pani, to dobry człowiek... – mówiła pani Cwinarska, prowadząc Mariannę do salonu i sadzając ją na pluszowej kanapie ze złożonymi poręczami. – Na pewno w końcu zrozumie. Tęskni za nią, ale jak coś sobie do tego łba wbije, to nie ma na niego mocnych. Uparł się i co pani zrobisz? A Jadźka też nie lepsza. Zacięła się w sobie i nijak przetłumaczyć jej nie można, że ojciec nerwowy, że poczekać trzeba. Muszę trzymać jego stronę, to w końcu mój stary... Na dodatek siłą niczego nie zwojuję, trzeba nam poczekać, tak będzie lepiej. Bardzo dziękuję, że państwo ją przygarnęli... Wiedziałam, że ona do panny Lilki od razu poleci. Przecież gdybym myślała, że ona na ulicy... – Chrząknęła zakłopotana. – No, naprawdę, bardzo dziękuję, zwrócę za jej utrzymanie, ja zaraz...

Marianna siłą powstrzymała kobietę przed wciśnięciem jej grubego zwitka banknotów. Jako matka nie mogła tego pojąć. Ona sama nigdy nie naraziłaby swojej córki na podobny los. Jej zdaniem lojalność wobec męża też miała swoje granice, szczególnie gdy w grę wchodziło dobro dziecka. Przyjęła podziękowania, kategorycznym tonem odmówiła wzięcia pieniędzy i z najwyższym trudem powstrzymała się przed uwagą, że Jadzi bardziej niż pieniądze potrzebne jest teraz wsparcie matki i jej troska. Wtedy widziała panią Cwinarską po raz ostatni.

Lilkę bolało serce, ale zgodziła się, że w obecnej sytuacji informacja o rodzicach mogłaby Jadzi zaszkodzić. I tak już miała nerwy jak postronki.

– Przecież na Łyczakowie są barykady i nasze wojsko – zwróciła się szybko do ojca. – Sam mówiłeś, że tamtędy nie wejdą... Kochana, nie martw się teraz o rodziców, na pewno są bezpieczni. Pomyśl o dziecku – dodała szybko, bo Jadzia znów zaniósła się płaczem. – Chodź, idziemy do kuchni! Zrobimy sobie gorące kakao. Kucharka mówiła, że piec jeszcze ciepły. Mamo, możemy?

– Tak, dziewczynki, idźcie, idźcie... – zgodziła się Marianna. – Zróbcie w dzbanku, może ktoś jeszcze będzie miał ochotę.

Kakao było towarem deficytowym, od początku wojny półki sklepowe świeciły pustkami, ale ona też potrzebowała jakiejś namiastki normalności. Wieczorne rozmowy przy dzbanku gorącego napoju stanowiły taką namiastkę. Choć przez chwilę można było udawać, że to zwykłe towarzyskie spotkanie grupy przyjaciół, a odległe dudnienie za oknem to nie front, lecz jedynie odgłosy letniej burzy.

– Biedne dziecko – westchnęła, gdy Lilka z Jadzią zniknęły w głębi mieszkania. – Nie wiem, co ona teraz pocnie... Będziemy musieli nią się zająć.

– Przecież już się zajmujecie – uśmiechnęła się Lunia Ostrowska. – Ma tu u was jak u Pana Boga za piecem.

– Tylko co będzie dalej?

– A czy to kto wie, moja kochana...

– Prosiłam Gustawa, żebyśmy wyjechali do majątku, ale mówi, że tu bezpieczniej... A teraz jeszcze Jakub...

– I ma rację – wtrącił profesor Ostrowski. – Tam, u was, zdaje się, wielu Ukraińców... Teraz lepiej trzymać się od nich z daleka. Takie czasy, że nie wiadomo, kto wróg, kto przyjaciel. Ludzie gadają takie rzeczy, że normalny człowiek nie jest w stanie uwierzyć... – Ze smutkiem pokręcił głową. – A o Jakuba się nie martw, to dorosły mężczyzna. W obecnej sytuacji dorośli mężczyźni nie wtajemniczają swoich matek w to, co robią. Tak jest bezpieczniej. Dla wszystkich...

– Wiem, Władziu, wiem, ale tak strasznie się martwię. To już prawie tydzień.

– Cztery dni nie ma żadnych wieści – uściślił Gustaw. – Widziałem się z nim w zeszły czwartek, na wsi. Sam go namawiałem, żeby wracał ze mną, bo tam niebezpiecznie. Widać w końcu usłuchał. Antoni mi pomógł i jakoś udało się przywieźć trochę jedzenia. Drogi zatłoczone, ludzie już sami nie wiedzieli,



czy uciekać do miasta, czy na wieś. Przywieźliśmy, co się dało, resztę schowaliśmy. Antoni mówił, że w nocy przychodzili jacyś z karabinami i pod groźbą śmierci kazali oddawać zboże. Bogu dzięki, nikogo nie zabili, ale zaglądali w każdy kąt, jakby kogoś szukali. Wcześniej przyszli Ukraińcy. Nasz zarządca to Rusin, więc jakoś się dogadali i po dobroci poszli. Zabrali tylko dwie świnie. Teraz, kochanie – zwrócił się do żony – od tamtej strony nie ma już przejazdu, chyba lasami... Armia sowiecka już pewnie w Winnikach. Dzięki Bogu, że Jakuba tam nie ma.

– Przynajmniej ukraińskich narodowców wypłoszyli. – Profesor Ostrowski uśmiechnął się smutno. – Czekali na Niemców, a doczekali się Ruskich...

W wieczornej ciszy rozległo się pukanie do drzwi. Mimo napiętej atmosfery nikt się nie przestraszył, bo zabrzmiało delikatnie i jakby trochę niepewnie. Zanim ktokolwiek zdążył się ruszyć z miejsca, Lilka już wisiła na szyi Wiktora.

– O Boże! Skąd ty tutaj? Jak ci się udało przedostać przez front? Żyjesz! Nic ci nie jest? – zasypała go pytaniami, nie zważając, że chłopak ledwie się trzymał na nogach.

Wiktor zachwiał się i osunął na stojący w rogu mały stolik. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Wazon z suszonymi kwiatami wylądował w kawałkach na podłodze.

Dopiero teraz Lilka spostrzegła, że Wiktor jest skrajnie wyczerpany. Miał podartą koszulę, był brudny, potwornie wychudzony i prawie czarny. W zapadniętej jak u trupa twarzy błyskały białka oczu. Zarost świecił srebrnym poblaskiem. Schyłek tegorocznego lata przyniósł upalną i suchą pogodę, mimo że wszyscy modlili się o błoto, w którym mogłyby utknąć niemieckie czołgi. Wiktor musiał wiele dni spędzić w kurzu i palącym słońcu.

Po godzinie wykąpany, nakarmiony i ogolony siedział przy stole, ściskając w rękach filiżankę z herbatą. Mimo ciepłej nocy cały dygotał. Marianna przyniosła mu koc i zmierzyła temperaturę. Gustaw podszedł do bufetu, wyjął butelkę rumu i bez pytania dolał solidną porcję do herbaty.

Przez jakiś czas nikt się nie odzywał, choć wszystkich poruszyło nieoczekiwane przybycie Wiktora. Zjawił się nagle, jak duch, i poza zdawkowymi półsłówkami niczego nie wyjaśnił. Lilka klęczała przy jego krześle, z głową wtuloną w ramiona, nie mogąc się zdecydować, czy bardziej jest przerażona stanem ukochanego, czy szczęśliwa, że wreszcie go widzi. Że Wiktor żyje.

Od początku wojny nie miała żadnych wieści od niego. Umierała z niepokoju, w miarę jak z falami uchodźców docierały informacje o tragicznej sytuacji Warszawy. O obronie, ustawicznych bombardowaniach... Kiedy jeszcze się dało w miarę normalnie i bezpiecznie poruszać po mieście, codziennie wychodziła na dworzec i rozpytywała przybyłych o Wiktora Kozickiego, w bezrozumnej nadziei, że zdarzy się cud, że może ktoś przypadkiem coś o nim wie.

Zaczeptała otumanionych, wynędzniałych ludzi, którzy z obłędem w oczach wysypywali się z pociągów. Niczego się nie dowiedziała, prócz tego, czego wolałaby nie wiedzieć: liczba zabitych cywilów jest niewyobrażalna, a ogrom zniszczeń nie mieści się w głowie. Warszawa przypomina przedsionek piekła. Jakaś młoda kobieta z Brwinowa, z dzieckiem na ręku, opowiadała, z emocji połykając słowa, jak cudem uciekła z pola, gdzie razem z innymi sadziła ziemniaki, nim zaczęły strzelać z nieba niemieckie myśliwce. Z dwudziestu kobiet uratowała się tylko ona. Ktoś płakał, że Warszawy już nie ma, bo najeźdźcy zrównali ją z ziemią. Bomby spadały jak deszcz, ludzie ginęli rozszarpywani na krwawą miazgę albo umierali pod gruzami. Nie było wiadomo, gdzie się chować, dokąd uciekać.

Lilka ze ściśniętym gardłem słuchała tych opowieści. Dławił ją potworny lęk; gdyby Wiktor żył, znalazłby sposób, by ją powiadomić. Codziennie czekała na jakiś znak, na cud. Starła się nie myśleć. To była jej dewiza od pierwszego dnia szaleństwa, które zawładnęło światem. Nie myśleć i robić swoje. Wówczas może jest jakaś szansa na pozostanie przy zdrowych zmysłach.

A teraz siedział tu i wreszcie mogła zachłannie na niego patrzeć, dotykać go. Szczęście było tak wielkie

i nieoczekiwane, że choć najchętniej wyciągnęłaby Wiktora z tego pokoju i zawłaszczyła tylko dla siebie, klęczała przy krześle, w milczeniu napawając się niespodziewaną obecnością ukochanego, jakby wciąż nie mogła w nią uwierzyć.

Było oczywiste, że miał za sobą trudne przeżycia i choć wszyscy taktownie uznali, że potrzebuje czasu, i najlepiej będzie poczekać, aż sam zacznie mówić, profesor Ostrowski poddał się pierwszy. Choć zawsze miał się za opanowanego, wraz z pierwszą bombą, która spadła na Lwów, stracił niezłomną wiarę w swój spokój i dystans do świata. Był już starym, zmęczonym człowiekiem i coraz wyraźniej sobie to uświadamiał.

– I znów się spotykamy w niecodziennych okolicznościach – zauważył z uśmiechem. – Gdyby nie ogólna sytuacja, powiedziałbym, że pan, młody człowieku, ma zadziwiające talenta do pakowania się w kłopoty...

Wiktor podniósł zmęczony wzrok. Lilce przez ułamek sekundy wydało się, że w jego oczach błysnęło coś w rodzaju wdzięczności.

– Przepraszam, należą się państwu wyjaśnienia... Że tak bez uprzedzenia, jak do siebie...

– Nic się nam nie należy, jest wojna – zaprotestowała Lunia. – Prawda, Marianno? Chyba nie czas na konwenanse i dobre wychowanie. Władku, doprawdy, dałbyś panu spokój...

– Nie, nie. – Wiktor się ożywił. – Nic takiego, pan profesor ma rację. – Uśmiechnął się słabo. – Dotarłem do Lwowa dwa dni temu, ale dopiero teraz udało mi się tu dostać...

– Jak to?! – Lilka nie umiała ukryć zawodu. – I nie dałeś znaku życia?! Przecież ja tu odchodzę od zmysłów! Jak mogłeś mi to zrobić?!

– Nie miałem jak...

– Jakkolwiek! Po nocach nie spałam, zamartwiałam się, a ty tu byłeś! Trzeba było...

– Najlepiej będzie, jak zacznie pan od początku. – Gustaw pośpiesznie przerwał strumień żalu, który już zaczął się wylewać z ust jego córki. Rozumiał, że miłość kieruje się swoimi egoistycznymi prawami, ale ten chłopak najwyraźniej przeszedł przez piekło i należało mu oszczędzić pretensji. Przynajmniej chwilowo.

– Mój ojciec zginął podczas pierwszych bombardowań... Został w szpitalu, chociaż mama go błagała... Od samego początku, od kiedy tylko zaczęli zwozić rannych, pełnił nieustający dyżur. Prawie nie sypiał. Do domu wpadał tylko, żeby się przebrać i coś zjeść. Mama prosiła, ja też, ale to nic nie dało. Gdy naloty się nasiliły, już w ogóle nie wychodził ze szpitala. Tego dnia doszedł do wniosku, że trzeba wywiesić na dachu białą flagę z czerwonym krzyżem, bo bomby coraz częściej spadały w pobliżu i wszyscy się bali, że przez pomyłkę trafią w szpital... – dodał z goryczą. – Wtedy jeszcze naiwnie wierzyliśmy, że nawet na wojnie obowiązują jakieś zasady. A ojciec zawsze wierzył w ludzi.

Umilkł. W ciszy, która nagle zapadła, słychać było jedynie tykanie zegara i spokojny oddech małego Ludwiczka śpiącego na kolanach mamy. Nawet odgłosy za oknem umilkły, jakby wojna przygotowywała się do snu.

– Podobno Niemcy zbombardowali szpital niecałe dwadzieścia minut potem. Nikt nie mógłby wyjść z tego żywy... – Wiktor urwał i przesunął wzrokiem po zgromadzonych. Nikt się nie poruszył i nie odezwał. – Poszliśmy tam z mamą, jak trochę się uspokoiło... Jeden wielki lej. Nawet gruzu nie było tak wiele, wszystko wbite w ziemię. Zbiorowa mogiła. A samoloty wciąż nadlatywały... Wtedy już wiedzieliśmy, że nie da się tam dłużej zostać, Niemcy nie przestaną, dopóki w mieście zostanie choćby jedna cała kamienica... Jeszcze wszyscy liczyli, że front się w końcu zatrzyma, że to kwestia tygodnia, najwyżej dwóch, kiedy ruszy odsiecz z zachodu... Tak mówiono. Mama nie chciała wyjeżdżać. Chyba nie do końca zdawała sobie sprawę, że ojca już nie ma. Wciąż wierzyła, że ocalał, może tylko jest ranny. Że leży gdzieś, błagając o pomoc. Siłą ściągałam ją z ulicy... Gołymi rękami próbowała rozgrzebywać

gruzowisko. – Wiktor na chwilę ukrył twarz w dłoniach. – Ja nie miałem złudzeń. Wreszcie udało mi się ją przekonać. Jeszcze wyjeżdżały z Warszawy ostatnie pociągi na wschód. Były przeładowane, ale jakimś cudem nam się udało. Patrzyłem i nie mogłem uwierzyć. Ludzie wieźli wszystko, jakby to nie była ucieczka, tylko przeprowadzka. W naszym przedziale siedział mężczyzna z gramofonem na kolanach, a ktoś miał ze sobą wielki kufer wyładowany książkami. Zajmował niemal pół wagonu! Nie było miejsca dla ludzi, a oni ciągnęli takie rzeczy! Bałem się, że mama zemdleje, taki był ścisk. Nie było czym oddychać, zamiast powietrza duchota i smród tłumy, i taki... nie wiem, jak to nazwać... wszechobecny odór strachu... Ale to nie miało znaczenia, bo z każdą minutą byliśmy coraz dalej od tego piekła. – Przełknął głośno ślinę i przymknął oczy.

Lilka podniosła się i naląła mu herbaty do filiżanki. Chłopak popatrzył zdumiony na cienką porcelanę, jakby stanowiła jakiś dziwny dysonans światów.

– A za oknami wędrowała cała rzesza tych nieszczęśliwców, którym nie udało się dostać do pociągu – ciągnął, odstawivszy filiżankę na stół. – Mężczyźni, kobiety, dzieci i starcy... W ciężarówkach, na wojskowych furgonach, bryczkach i chłopskich drabiniastych wozach, z dobytkiem, który pewnie przypadkowo zabrali, bo nie było czasu na pakowanie. My też wyszliśmy tak, jak staliśmy. Część na piechotę... Ludzki, dramatyczny exodus bez nadziei na ziemię obiecaną. – Zamyślił się, przywołując obrazy. Już w tamtych chwilach wiedział, że mimo dramatu, mimo ośpienia spowodowanego stratą najbliższych, niepewnością jutra, kiedyś to opíše. – Nam się udało przesiąść w Lublinie do pociągu jadącego w kierunku Zamościa. Miał powybijane szyby, ale ważne, że jechał. Dopiero jak minęliśmy Zamość, stanął w polu i wtedy usłyszeliśmy potworny huk dział.

W pierwszej chwili nie wiedzieliśmy, co się dzieje. Była noc, ciemno. Potem usłyszeliśmy serie z karabinów... Ludzie skakali przez okna i biegli w pole, na oślep. Niemcy mieli reflektory... Strzelali do uciekających jak do kaczek... – Wiktor zaczerpnął powietrza. – Gdyby nie mama, też bym pewnie uciekał, to było odruchowe... Jak najdalej, nieważne gdzie, byle poza zasięg światła. I pewnie już bym nie żył. Nie mogłem jej zostawić, była ranna w udo i nie dałaby rady biec. Tych, których nie zabili, aresztowali i popędzili w nieznanym kierunku. Mama ledwie trzymała się na nogach, na szczęście pomagał nam jakiś mężczyzna...

Szliśmy prawie całą noc. Niemcy jechali obok, w odkrytych ciężarówkach. Cały czas broń mieli wymierzoną w naszą stronę. Czasem rozlegały się jakieś krzyki, ale z reguły panowała cisza i to było najbardziej przerażające. Ta niepewność... Nie mieliśmy pojęcia, gdzie nas prowadzą, co teraz będzie. Ludzie modlili się po cichu. W każdej chwili spodziewaliśmy się, że zaczną strzelać. Mimo ciemności nikt się nie odważył na ucieczkę. Minęło kilka dni, odkąd wyruszyliśmy z Warszawy... Mama była bardzo osłabiona, rana na nodze się paprała. Skończyło nam się jedzenie. Wodę piliśmy z kałuż, jeśli szczęśliwie zdarzały się po drodze... W końcu kazali nam się zatrzymać przy jakimś budynku dworca. I tak nikt już nie miał siły dalej iść... – Wiktor znów zamilkł.

Apatia, która ogarnęła wtedy ludzi, była lepsza niż strach przed śmiercią. Przyszło mu wtedy do głowy, że człowiek jest bardziej organizmem podporządkowanym biologii niż istotą wyższą, zdolną do współczucia, miłości. Jest zwierzęciem, które zaspokaja popędy i podstawowe potrzeby. On sam czuł wtedy przede wszystkim zmęczenie i potworny głód. Zesztywniałe nogi poruszały się jedynie powodowane pamięcią ruchu. Przestał się bać, przestał myśleć. Ciało rozpaczliwie domagało się snu i zaspokojenia głodu. W tamtej chwili nic innego się nie liczyło. Nie interesowali go współtowarzysze niedoli. Patrzył obojętnie na ludzi wlokących się obok. W ich twarzach widział to samo.

– Tam przeczekaliśmy kilka godzin do świtu. Rano znowu zaczęły się naloty, ale to chyba były ruskie samoloty, bo Niemcy wpadli w panikę. Zaczęli strzelać na oślep, w niebo, między ludzi... potem wsiedli do ciężarówek i odjechali. Któraś chyba oberwała, słyszałem wybuch kilkanaście metrów od nas, kula

ognia i dym. Schowaliśmy się pod ławkami, ludzie płakali, krzyczeli... Ten mężczyzna, który nam pomagał, leżał w kącie koło kasy, twarz miał zalaną krwią... Jedna wielka panika. Jakiś Niemiec wpadł do budynku i przejechał po ścianie serią z karabinu... Dopiero po chwili zorientowałem się, że mama jakoś dziwnie się o mnie opiera... Osunęła się, jakby zemdląła albo zasłała... – Urwał i wbił wzrok w ścianę.

Lilka poczuła, że ma ściśnięte gardło. W głosie Wiktora nie było bólu ani przerażenia. Po prostu relacjonował wydarzenia. Mówił spokojnym, niemal obojętnym tonem, jakby to, co opowiadał, przydarzyło się komu innemu. Jakby jego nie dotyczyło. Bez słowa ścisnęła go za rękę. Nie odwzajemniła uścisku.

– Sam nie wiem, jakim cudem znalazłem się we Lwowie – podjął opowieść. – Jeszcze w Warszawie mówili, że przez Karpaty Wschodnie organizowany jest szlak przerzutowy, że można otrzymać pomoc, jakieś namiary, jedzenie... Nie miałem nic do stracenia, wydawało mi się, że tak będzie lepiej. Tam już nic nie mogłem zrobić, straciłem wszystkie kontakty, rodzice zginęli, najbliżsi przyjaciele również. Zanim wyjechaliśmy, poszedłem zobaczyć, co z chłopcami... Na miejscu sierocińca była wielka sterta gruzu. Mogę tylko mieć nadzieję, że zdążyli uciec...

– Jakim cudem udało się panu przedrzeć przez front? – Gustaw nie potrafił sobie tego wyobrazić. – Przecież od tamtej strony teraz są też Rosjanie.

– Właśnie dlatego mi się udało. Dobrze znam rosyjski, poza tym, jeszcze w Warszawie, przyjaciel ojca, gdy się dowiedział, co planujemy, że jedziemy na wschód, powiedział: „Wiktor, pamiętaj, nie zabieraj kosztowności, nie zabieraj pieniędzy, bo tam i tak się nie przydadzą. Nie bierz ubrań ani innych bzdur. Weź porządne buty i gorzałkę. Tylko to może uratować ci życie”. I miał rację... – Uśmiechnął się smutno.

Nie skończył mówić, gdy ciszę rozdarł tak wielki huk, jakby waliło się niebo. Po nim nastąpił kolejny. I jeszcze jeden. Zadzwończyły szyby w oknach, gdzieś z parteru kamienicy dobiegły krzyki. Mały Ludwik obudził się z płaczem. W drzwiach salonu stanął zaspany Michaś. Marianna desperacko porwała go na rękę i przytuliła do siebie mimo gwałtownych protestów chłopca.

– O Boże, Gustaw! To znaczy, że już weszli?

W tej samej chwili rozległ się kolejny donośny huk, jakby bliższy niż poprzednie, dając początek całej kanonadzie. Świat zatrzęsł się w posadach. Ignacy podbiegł do okna.

– Od strony rynku jasno jak w dzień! Coś się pali!

– Ignaś, lepiej się odsuń – odezwał się zaniepokojony profesor Ostrowski, nerwowo poprawiając binokle. – Uważam, że powinniśmy wszyscy przejść w głąb mieszkania, tam, gdzie jest najmniej okien.

– O Boże, Boże! – zawodziła Jadzia. – Już po nas, nie przeżyjemy...

– Ale co to znaczy? – Lunia starała się zachować spokój, choć przychodziło jej to z trudem. Pobladła, jakby odpłynęła z niej cała krew. – Może to nasi?

– Boże, wpadną tu i nas wszystkich wymordują... Boże! – lamentowała dalej Jadzia. W niczym nie przypominała tej hardej i odważnej dziewczyny sprzed paru miesięcy. – Nie chcę umierać! Nie chcę...

Zosia przyciskała do piersi rozespane dziecko i tylko w oczach miała coraz więcej przerażenia. Ignacy był pewien, że zna jej myśli. Uciekali przed grozą i okrucieństwem wojny, żeby znaleźć bezpieczny kąt, a dostali się w paszczę diabła. Z żalem pomyślał, że ją zawiódł.

– Nikt tu nie będzie umierał! – Gustaw poczuł, że dłużej nie zniesie tej hysterii. Stanął w drzwiach. – Cokolwiek się dzieje, najbezpieczniej będzie w piwnicy. Marianno, Luniu, weźcie jakieś koce, poduszki i ciepłe rzeczy. Lilka, przypilnuj, żeby Michaś i panna Jadzia włożyli ciepłe skarpety. Niech Pelasia zanieś do piwnicy lampy naftowe, a pani Chudecka zrobi coś ciepłego do picia i napełni termosy. Na dole z pewnością jest zimno, a możliwe, że przyjdzie nam siedzieć całą noc. Szybko, pospieszcie się!

Gorączkowa krzątanka przyniosła wszystkim ulgę. Marianna z Lunią biegały po mieszkaniu, donosząc

coraz to nowe koce. Lilka nadgorliwie wciskała kolejny sweter na wierzgającego Michasia.

– Puszczaj! Gorąco mi! – protestował z całych sił, cały czerwony na twarzy.

– Córeczko, może jednak nie przesadzaj... – rzuciła mama w przelocie. – Nie wybieramy się na biegun, ten rozpinany wystarczy. Pelasiu, weź poduszki z salonu, w piwnicy nie ma na czym siedzieć. I pospieszcie się, na miłość boską!

Zza okien wciąż dobiegała głucha kanonada, przerywana wyciem syren i krótkimi chwilami ciszy. Niebo raz po raz rozświetlała jaskrawa pożoga. Momentami robiło się jasno jak w dzień.

Po piętnastu minutach wszystko było zorganizowane: koce i ciepłe ubrania zgromadzone, napoje oraz suchy prowiant przygotowane i upakowane w wiklinowy kosz. Jakby rodzina Lindnerów wraz z przyjaciółmi wybierała się na piknik...

Jadzia bujała się jednostajnie na krześle, pogrążona w jakimś dziwnym stanie katatonii, nie biorąc udziału w ogólnej krzątaniu. Mimo że w mieszkaniu nie było gorąco, na jej czole perliły się kropelki potu.

– Niedobrze mi... – jęknęła słabo.

– To ze strachu, chodź, dziecko. – Profesor Ostrowski ujął dziewczynę pod ramię, pomagając jej dźwignąć się z krzesła. – Musimy iść.

Piwniczne kąty tonęły w nieprzyjemnym mroku, w przeciwieństwie do niewielkiego kręgu światła pośrodku, który przyciągał ludzi, jakby zniecacka zamienili się w ćmy. Stłoczeni ramię przy ramieniu rozlokowali się na poduszkach i kocach, pilnując, żeby odległość między głowami była jak najmniejsza. Atmosferę grozy i niepewności dało się łatwiej znieść, gdy obok słychać było czyjś oddech. Dwie lampy naftowe wystarczająco spełniały swoje zadanie.

Piwnica nie miała okien, nad czym w normalnych czasach ubolewała Pelasia, zmuszona zapuszczać się w mroczne czeluście w poszukiwaniu konfitur czy słoików z marynowanymi rydzami. Teraz, gdy we Lwowie było jak w piekle podczas karnawału, stanowiła idealne schronienie, choć Lilce w jakiś nieprzyjemny sposób kojarzyła się z mogiłą. Pogrzebani żywcem... przemknęło jej przez głowę. Wiktor siedział obok. W półmroku widziała, że miał opuszczone powieki. Spał. Obejmował ją za ramiona, ale czuła, że jego ręka jedynie bezwładnie się o nie opiera, jakby była ręką szmacianej kukiełki.

Ktoś nadstawił ucha.

– Słyszycie? Chyba się uspokoiło... Może to już koniec?

– Tut mniejszy huk, ale to niedobre... Nie wiadomo, co tam. A jak wliżą i chałupy okradną? Wse zabiorą, nawet nie usłyszemy!

Żona dozorczy, Marczenkowa, nie umiała ukryć zdenerwowania. Na pomysł zejścia do piwnicy wpadła razem z mężem w tym samym momencie, kiedy pochód z pierwszego piętra mijał drzwi jej mieszkania. Oboje Marczenków także wprawiły w trwogę potężne, nieustające palby i fajerwerki błyskawic rozświetlające noc. Stary Taras, zasuszony, milczący mężczyzna o wodnistych oczach, siedział bez słowa pod ścianą, żując machorkę. Na jego nieruchomym, żółtawym obliczu nie malowały się żadne emocje.

– Nie wiem, czy dweri zamknięte, trzeba powernutysia...

– Sidity! – zgasił żonę, nie zmieniając wyrazu twarzy.

– A coś ty taki strachoput...

– Ta lepij się stąd nie ruszać, pani Marczenkowa – poparła dozorcę kucharka Chudecka, ukradkiem czyniąc znak krzyża. – Co ma być, będzie... W obliczu boskich wyroków ziemskie manele nieważne. Ta bodajby im buraki z dupy wyrosli! – nie wytrzymała w końcu. W gruncie rzeczy naturę miała butną i nieskłoną do uległości. – Przyłóżą jak do siebie i porządnych ludzi w kazamaty wpuszczają! A co pani tam tak w garści ścisza?

Marczenkowa z roztargnieniem rzuciła okiem na trzymane w ręce mieszadełko do śmietany.

– A, ot, kołotuszka... – sapnęła zdziwiona. – Sama nie wiem, po com ją brała. W ruki wpadli...

– Ot, baba durna! – Marczenko splunął pod ścianę.

– Panie Marczenko! – oburzyła się Marianna.

– Probaczcie...

W ciszy rozległ się przejmujący jęk Jadzi. Lilka delikatnie odsunęła się od Wiktora.

– Nie bój się, wszystko będzie dobrze. – Pogłaskała koleżankę po ramieniu.

– To nie to... – stęknęła Jadzia. – Boli... boli jakby mi brzuch miało rozerwać... O Booże...

Po chwili konsternacji zaczął się ruch.

– Połóżcie ją, szybko! Pani Chudecka, pani poda tamte poduszki! I lampy! Nic nie widać! To niemożliwe, jeszcze cały miesiąc!

Marianna w głębi duszy przeczuwała, że nastąpiło najgorsze, co mogło się wydarzyć, akurat teraz, w najbardziej nieodpowiednim czasie. Jednak jak zawsze w takich chwilach umiała zachować zimną krew. Kucharka z Pelasią rzuciły się organizować prowizoryczne posłanie dla ciężarnej.

– Więc to już? – dopytywała się zaniepokojona Lusia, odgarniając z czoła kosmyk włosów. Podciągnęła rękawy bluzki, jakby sama jedna szykowała się do odebrania porodu. – Chryste Panie, lekarz będzie potrzebny! Biedne dziecko... – Wzięła Jadzię za rękę, starając się nie dostrzegać, że dziewczyna natychmiast wbiła jej paznokcie w dłoń.

Zza grubych ścian doleciał słaby odgłos kolejnego wybuchu.

– Spokojnie, niejedno ditina na świat sprowadziłam. – Marczenkowa z wysiłkiem dźwignęła się ze swojego miejsca, rzucając w kąt kołotuszkę. – Woda gorąca potrzebna i jakieś ruszniki... Abo listi...

– Trzeba skoczyć na górę! Wody nagrzać!

– Ta już leceć! – podskoczyła przejęta Pelasia.

Jadzia pozwoliła się ułożyć na plecach. Nie przestawała jęczeć. Wiła się i skręcała z bólu, obejmując brzuch. Dyszała ciężko. Mimo piwnicznego chłodu była spocona jak mysz, na czole perliły się połyskujące krople. Widać było, że bardzo cierpi. Marczenkowa kazała się wszystkim odsunąć i uklękła przy dziewczynie. Z troską obmacała brzuch, mamrocząc coś pod nosem, po czym zadarła jej spódnicę i kazała rozłożyć nogi.

– Główkę już widać, tylko patrzeć, jak na świat się wyciśnie – oznajmiła.

Lilka się przeraziła.

– Ale to jeszcze nie czas! Doktor Onopiuk mówił, że ma się urodzić dopiero w połowie października. Nie teraz! Bez lekarza! A jak coś pójdzie nie tak?

– Czasu nie ma, gdzie ta woda?! – Marczenkowa nie zamierzała bawić się we wróżby. – A panna Lilka jeszcze młoda, nie wie, że jak ditina zechce wyjść, to nic nie zrobisz, tylko przyjąć można.

W piwnicy zapanował gorączkowy stan podniecenia. Nagle nie wojna stała się ważna, tylko to maleństwo, które tak niecierpliwie pchało się na świat.

– I gdzież mu tak spieszno... – westchnął filozoficznie profesor Ostrowski, zabierając swoje siedzisko, żeby zrobić więcej miejsca. – Świat się pali, jutra może nie być, a ono z beztróską motyla chce popróbować zatrutego nektaru...

– Nie mów tak, Władziu! – skarciła go żona, wycierając pot z rozpalonego czoła dziewczyny. – Nie poznaję cię, co się z tobą dzieje...? Właśnie teraz musimy być silni.

– Wojna, moja duszko... Dla niektórych czas refleksji i rozrachunków z samym sobą.

Kobiety chaotycznie krzątały się przy Jadzi, krzyczącej coraz przeraźliwiej. Jedynie ruchy Marczenkowej sprawiały wrażenie pewnych i celowych. Mężczyźni taktownie się usunęli, zajmując najdalszy kąt pod ścianą. Gustaw poszedł na górę, żeby pomóc Pelasi dźwigać garnki z gorącą wodą. Co



chwila rozlegało się trzaskanie drzwi i szybkie kroki na schodach.

– Huczy coraz bliżej – poinformowała rozgorączkowana Pelasia, wracając kolejny raz z mieszkania z naręczem prześcieradeł. – Widziałam przez okno, ludzie biegną jak kot z pęcherzem. Mało co widać, wojska chyba nie było... Panienko Przenajświętsza, co z nami będzie?

Lamentowałyby zapewne dalej, ale przerwał jej krzyk Jadzi, tak przejmujący, że wszyscy zamarli.

– Wytrzymaj, dziecko, jeszcze trochę i będzie po wszystkim... – Lunia z troską pochyliła się nad dziewczyną. Czowała się bezradna. – Pani Marczenkowa...?

Kobieta pokręciła głową.

– Krwi za dużo... Nie można zatrzymać. Likara trzeba... Nie poradzę jedno...

Kłęcząca przy Jadzi z drugiej strony Lilka momentalnie zerwała się na nogi.

– Ja pójdę!

– Dokąd? Mowy nie ma! – przeraziła się Marianna. – Skąd lekarza teraz, nie wiadomo, co się w mieście dzieje! Ponoć wszędzie ruskie wojska! Chyba nie wyobrażasz sobie, że ci pozwolę po ulicach spacerować? Gustaw!

Spojrzała do tyłu, ale męża nie zobaczyła. Kilka minut wcześniej poszedł na górę razem z Ignacym. Zabrali ze sobą Wiktora. Doszli do wniosku, że ktoś musi kontrolować, co się dzieje na ulicy, żeby w razie niebezpieczeństwa wiadomo było, co robić.

– Mamo, nie rozumiesz? Ona może umrzeć! Pani Marczenkowa...?

Kobieta bezradnie rozłożyła ręce. Jadzia już nie krzyczała, tylko pojękiwała cicho. W drgającym świetle lampy jej oczy wyglądały jak szklane paciorki, wypełnione obłędem. Suche wargi były spierzchnięte i rozchylone, a skóra na twarzy stała się blada i zimna.

– Lilka, przestań wydziwiać! Leć lepiej po ojca, niech coś wymyśli. I przynieś z kuchni cukier. Ona jest tak słaba, że choć wody z cukrem powinna...

Lilki nie trzeba było dwa razy prosić. Rozumiała, że właśnie otwiera się jedyna możliwość. Że teraz nikt jej nie zatrzyma. Nie miała zamiaru przedzierać się aż na Górny Łyczaków do szpitala, w którym pracowała, choć z pewnością tam znalazłaby pomoc. Przy Placu Misjonarskim, niedaleko Zamarstynowskiej, też był szpital. Prowizoryczny, sklecony naprędce na czas wojny, ale z tego, co wiedziała, wciąż przyjmował rannych. Postanowiła, że choćby miała siłą przyciągnąć jakiegoś lekarza czy akuszerkę, nie pozwoli, by Jadzi coś się stało. Niewiele myśląc, wybiegła w noc.

Ulica Tatarska, znajoma w dzień i przyjazna nawet nocą, gdy blask latarni oświetlał ciepło każdą kamienicę, drzewo i parkan, teraz wydawała się obca i groźna. Na tle dalekiej kanonady ucho wychwytywało niepokojące odgłosy, jakieś świsty i poszeptywania, których źródła lepiej było nie dociekać. Nocne miasto bez prądu przestawało być miejscem oswojonym. Po bramach czały się cienie, tu i ówdzie trzasnęła okiennica.

Lilka szła szybkim krokiem, próbując opanować ogarniające ją przerażenie. Echo kroków odbijało się od murów. Z całych sił pilnowała, by nie puścić się biegiem, bo to oznaczałoby poddanie się panice. Trzymała się ogrodzeń i starała przemykać blisko murów. Na chwilę odzyskiwała równowagę, gdy ramię raz po raz dotykało szorstkiej ściany. Zagrożenie mogło wówczas nadejść jedynie z trzech stron.

Tyle razy mijała znajome domy, znała na pamięć każdy kamień i furtkę, z zamkniętymi oczami potrafiła wskazać, w którym miejscu stoi zielona studnia z długim lewarem do pompowania wody. Teraz nie potrafiła rozpoznać żadnego kształtu. Dwa razy przebiegli obok jacyś ludzie, drażąc małymi latarkami świetlne tunele w ciemnościach, ale nikt się nie zatrzymywał, nikt nie zwracał na nią uwagi. Od strony śródmieścia widać było pomarańczową lunę, liżącą niskie sklepienie nieba. Pożar musiał objąć znaczną część dzielnicy.

Lilka wiedziała jedynie, że zmierza w dobrym kierunku. Minęła po lewej stronie czarną gęstwinę, w dzień będącą zieloną otuliną Wysokiego Zamku, i znalazła się na wysokości ulicy Żółkiewskiej.

Lubiła przychodzić tu z Michasiem i włóczyć się między budami z pierogami i barszczem czerwonym. Obecnie z kramików pozostała bezładna sterta okopconej blachy i gruzu. Musiała ostrożnie stawiać kroki.

Początkowo zamierzała iść dalej Tatarską, aż do Placu Misjonarskiego, jednak po głębszym namyśle zrezygnowała i skręciła w Żółkiewską. Ta wydawała się bardziej przyjazna od ginącej w mroku, wąskiej i klaustrofobicznej Tatarskiej. Tędy również można było się dostać na Pełtewną, do szpitala.

Donośny huk rozciął powietrze. Rozległy się rozdzierające krzyki, choć ludzi nie było widać. Z okien kamienicy posypało się szkło. Lilka odruchowo wtuliła głowę w ramiona i skoczyła ku najbliższej bramie. Od pierwszych dni wojny wszyscy Lwowianie mieli ten odruch opanowany do perfekcji. Gorączkowo szarpała za uchwyt, chcąc się dostać do środka, ale ktoś musiał zabezpieczyć drzwi od wewnątrz, bo mimo jej wysiłków nie dawały się otworzyć. Przykucnęła pod murem i skuliła się, jednocześnie próbując zlokalizować źródło huków.

Ulicą biegli jacyś ludzie. Nie widziała ich, ale słyszała, jak krzyczeli, żeby uciekać, bo ruskie tanki minęły roгатki. Jakby na potwierdzenie znowu rozległ się głuchy łoskot i przeszywające powietrze serie z karabinów. Co do tego nie miała wątpliwości, choć nie potrafiła rozpoznać, z której padają strony. Echo pustej ulicy sprawiało, że tkwiła w samym środku tego dudniącego piekła. Kątem oka dostrzegła niewielki daszek przy wejściu do sutereny, przesłonięty jakimś krzakiem i zavalony kartonami. Tłumiąc w załążku podpełzającą do gardła panikę, przeczołgała się w tamtą stronę, raniąc kolana o odłamki szkła. W tej samej chwili usłyszała tupot butów. Ktoś biegł ulicą, pokrzykując, żeby barykadować okna i drzwi, bo będziemy bronić Lwowa. Z kilku okien lekko wychyliły się głowy.

– Ludzi, ta co si dzieje? To już koniec? Co to będzie? – Przerazone głosy mieszały się ze sobą. – Jezu Chryste! Poszli my na stracenie! – lamentował ktoś przeciągle.

– Zdałoby się barykadę zmaistrować na ulicy... Bierz pan krzesła! Nie oddamy miasta ani Ruskim, ani Hitlerowi!

Lilka dopiero teraz spostrzegła, że ten, kto kazał barykadować drzwi i okna, to młody żołnierz w długim płaszczu. Stał tak blisko niej, że od dołu widziała jego zakurzone buty.

– Ludzie, nie gadajcie głupot! – krzyknął w ciemną twarz kamienicy. – Macie się z mieszkań nie ruszać, bramę zabezpieczyć. Już tam ma kto za was walczyć, nie bójcie się. Najlepiej zejdźcie do piwnicy, za chwilę będzie tu gorąco – dodał i pobiegł dalej, kurczowo ściskając karabin i mierząc z niego w ciemność.

Kula dosięgła go, gdy przeskakiwał niski parkan po drugiej stronie ulicy. Dostał w plecy i zawisł na płocie jak złamana wpół marionetka. Lilka przebiegła ulicę i znalazła się przy nim chwilę po tym, jak skonał. Zajrzała mu w twarz, ale zobaczyła jedynie martwe, szeroko otwarte oczy w przerażającym wyrazie zaskoczenia. Jakby się zdziwił, że to już...

Za jej plecami znów rozległy się odgłosy wystrzałów i okrzyki. Zanim zdążyła się obrócić, ktoś złapał ją za ramię.

Drgnęła.

– Co ty tu, do licha, robisz?!

– Jakub!

– Chodź! – krzyknął i bez zbędnych ceregieli pociągnął ją w stronę najbliższej bramy.

Przebiegli razem kilka metrów i znów znaleźli się w jakimś ogrodzie.

– Miał broń? – spytał Jakub.

– Nie wiem, chyba... Ciemno jest. Skąd się... – zaczęła, ale jej przerwał.

– Siedź tu i się nie ruszaj! Zaraz wracam. Nie ruszaj się stąd, choćby nie wiem co! – Ścisnął ją za

ramiona, zmuszając, by usiadła pod drzewem.

Przytulając się do pnia wiekowego dębu, usiłowała przebić wzrokiem mrok. Widziała, jak brat jeszcze raz pokonuje tę samą trasę. Jak mocno zgarbiony przebiega ostrożnie przez ulicę, wskakuje na wysoki krawężnik i zatrzymuje się przy martwym żołnierzu. Był ledwie widoczny w ciemnościach, a jednak rozpoznała kształt przedmiotu, z którym wracał już w następnej minucie. Kiedy niebo rozświetliła kolejna kanonada, był dopiero w połowie drogi. Pozostało mu zaledwie kilka metrów, żeby skryć się w bezpiecznym załomie muru.

Następna scena rozegrała się jak filmowy kadr, w zwolnionym tempie. Jakub zatrzymał się pośrodku ulicy i odruchowo uniósł broń. W tej samej chwili padła seria z karabinu maszynowego. Zza zakrętu błysnęły oślepiające światła samochodu.

Strzały dudniły teraz bez przerwy. Odpowiadały im pojedyncze odgłosy dochodzące z głębi ulicy, gdzieś z góry, za jej plecami. Chyba strzelał ktoś z dachu. Lilka zatkała uszy i przyłgnęła do mokrej ziemi, modląc się w duchu, by Jakub zdążył zrobić to samo. Nie widziała, co się dzieje przed nią, ale ponad niskim żywopłotem dostrzegła, że smuga światła zaczyna się oddalać. Wokoło wciąż świstały kule, ciemności raz po raz rozbłyskiwały wybuchami, ale samochód najwidoczniej zawracał. Ktoś pokrzykiwał i przez moment wydawało się, że słyszy pojedyncze rosyjskie słowa. Potem i to ucichło.

Z okna domu, do którego należał ogród, wyskoczyła jakaś ciemna postać. Kuląc się pod ścianą, przebiegła wzdłuż muru, po czym zniknęła w mroku. Dziewczyna zdążyła zauważyć okazałych rozmiarów worek, obijający się o plecy tego kogoś. Uchylone okienne skrzydło rytmicznie uderzało w futrynę, podzwaniając luźno osadzoną szybą.

Uniosła głowę. Odgłosy wystrzałów oddalały się w stronę Starego Rynku, okolica znów sprawiała wrażenie uśpionej. Jakby wszystko wydarzyło się jedynie w jej wyobraźni. Mimo że bała się wstać, niepokój o brata był tak silny, że nie zważając na poranione kolana, poczołgała się w kierunku ulicy.

Początkowo nic nie było widać. Dopiero po kilku sekundach na nowo przyzwyczajony do ciemności wzrok wyłowił człowieka siedzącego na chodniku i opierającego się plecami o stertę betonowych płyt, którymi w dawnych, jeszcze normalnych czasach zamierzano naprawiać ubytki w jezdni.

– Jakub!

Dyszał ciężko. Broda dotykała piersi. Lilka ledwie widziała jego twarz i malujący się na niej grymas bólu. Po minucie oddech Jakuba zamienił się w nieprzyjemne rżenie.

– Posłuchaj mnie...

– Jakub! Chodźmy stąd, w domu czekają, mama już wyobrażała sobie wszystko, co najgorsze! A Jadzia rodzi, wiesz? Najpierw musimy po doktora... Na Pełtewnej jest szpital... Jakub...

– Lila... cicho. Cicho...

– Jakub... – powtarzała na okrągło jego imię, w bezrozumnej nadziei, że podziała jak zaklęcie zmieniające rzeczywistość. – Powiedz, że nic ci nie jest, zaraz sprowadzę lekarza... to niedaleko... Wszystko będzie dobrze...

W ciemności odnalazł jej dłoń.

– Posłuchaj... – powtórzył z wysiłkiem, starając się, by to, co wydobywa się z jego gardła, przybierało formę jak najbardziej zwięzłej i sensownej wypowiedzi. Musiał oszczędzać siły. – To ważne. Musisz odszukać Oresta...

Lilka zacisnęła pięści w bezsilnej złości.

– Wiedziała! Wiedziała, że wszystko przez tego przeklętego Ukraińca! Zabiję go! Przysięgam, że to zrobię! To moja wina, ja ci powiedziałam, że chce się spotkać...

– Nie bądź niemądra. Nic nie rozumiesz... – Jakub uniósł się nieco na rękach, ale zaraz z powrotem opadł na chodnik.

Wiedział, że zostało mu niewiele czasu. Stało się, jak przeczuwał. Śmierć zgłosiła się po niego w najbardziej nieodpowiedniej chwili. Jego mała siostrzyczka była ostatnią osobą, którą chciałby narażać na niebezpieczeństwo, ale nie miał wyboru. Mógł tylko dziękować Bogu, że się tu pojawiła.

– Musisz go znaleźć i dać mu to.

Odchylił się do przodu i sięgnął ręką za siebie. Jęknął. Lilka pospieszyła z pomocą. Mały, parciany plecak wyglądał niepozornie, ale Jakub obchodził się z nim, jakby był bezcenny.

– To bardzo ważne... Nie prosiłbym cię, gdyby nie... sytuacja. Pamiętaj, nikomu nie mów, nie pokazuj. Nawet nie zaglądamy do środka. Po prostu odszukaj Oresta...

– Gdzie mam go szukać? W mieście pełno wojska...

– Musisz się dostać do Borysławia... Najlepiej, gdybyś wzięła Huragana, oczywiście jeśli to jeszcze w ogóle możliwe. Jest w Winniczkach. Antoni ci pomoże, trzyma go w ukryciu, na końcu wsi. Gdyby się nie udało... nie wiem jak stadnina... Wtedy musisz jakoś sobie poradzić. Nie możesz korzystać z głównych dróg, ale to niedaleko Truskawca. Przecież znasz tamte okolice... Pamiętasz nasze wycieczki jarami, wzdłuż Dniestru? – Uśmiechnął się z wysiłkiem. – Kieruj się na Truskawiec... Dasz radę...

– Jak go znaleźć? – Lilka bardzo się starała ukryć przerażenie. Wreszcie mogła udowodnić bratu, że jest dorosła i można jej ufać. Bała się o Jakuba, wiedziała, że jest ranny, i wcale nie uśmiechała jej się wyprawa w poszukiwaniu Oresta.

– On sam cię znajdzie... Po prostu spróbuj się dostać do Borysławia... I pamiętaj, musisz być bardzo ostrożna. Możliwe, że ktoś... że będą cię śledzić. Ten plecak jest bardzo ważny, a właściwie jego zawartość. Dobrze trzymasz się w siodle, nie gorzej niż niejeden kawalerzysta, dasz radę. Orest musi dostać ten plecak. Od tego zależy życie wielu ludzi. I uważaj na siebie... Nie możesz o tym z nikim rozmawiać, choćbyś nie wiem jak mu ufała. Pamiętaj, to bardzo ważne. Lilka, pamiętaj! – Spróbował dostrzec w ciemności jej oczy. – Nie narażałbym cię, gdyby... Ja już nie dam rady...

Długa tyrada najwidoczniej go zmęczyła, bo przymknął powieki. Podniósł rękę i pogładził policzek siostry przytulony do jego twarzy.

Lilka bez wahania podjęła decyzję. W pewnych sytuacjach najlepiej było zdać się na instynkt działania i zbyt dużo nie myśleć.

– Chodź! – Zerwała się na nogi. Z wysiłkiem złapała Jakuba pod pachy i zaczęła wlec ku najbliższemu wejściu do budynku. Poczowała wilgoć na dłoniach. Wiedziała, że brat silnie krwawi. Nie było czasu do stracenia. – Poczekaj na mnie, zaraz wracam. Przeprowadzę lekarza. Nie dam rady donieść cię do szpitala...

– Plecak! – krzyknął, gdy zniknęła w mroku. – Pilnuj plecaka...

Chciał jeszcze dodać, żeby uważała na siebie i nikomu nie ufała, ale z gardła nie wydobył się już żaden dźwięk. Ciężkie jak z ołowiu powieki opadły na oczy. Czas rozciągnął się w rozmytą smugę. Nadpłynęła ciemność i objęła go jak najczulsza, troskliwa matka.

Doktor Osowicz usiłował jak najlepiej wykorzystać nieliczne chwile przeznaczone na odpoczynek. Całą noc przywożono rannych i dopiero teraz, nad ranem, sytuacja nieco się uspokoiła. Sam nie wiedział, czy to dobra wróżba, czy może raczej cisza przed burzą. Od kilku tygodni niczego nie był tak pewien, jak tego, że życie ludzkie nie kończy się tylko z powodu chorób i naturalnych niedomagań. Przez te dwadzieścia lat pokoju zdążył o tym zapomnieć.

Zgodził się pójść z tą rozgorączkowaną, szaloną dziewczyną, która nie zważając na sytuację panującą w mieście, wpadła do jego prowizorycznego gabinetu przerobionego z pomieszczenia na miotły, w prowizorycznym szpitalu, gdy właśnie rozprostowywał nogi na prowizorycznej kozetce, wstawionej tu przez litościwe siostry. Zgodził się nie dlatego, że nerwowo szarpała go za rękaw, wykrzykując o jakimś porodzie, podczas którego ktoś został ranny w plecy, ale dlatego, że pamiętał ją z Pijarskiej. Zwróciła

wówczas jego uwagę spokojem, determinacją i umiejętnością panowania nad emocjami. Na tle przerażonych albo nadmiernie egzaltowanych młodych sanitariuszek, w pierwszych dniach wojny tłumnie zgłaszających się do pomocy w szpitalu, często w romantycznym odruchu miłosierdzia, które nie wytrzymało zderzenia z brutalną i brudną prawdą o ludzkiej fizjologii, wydała mu się nad wyraz profesjonalna. Mimo zamieszania zapamiętał wyraźnie tamto wrażenie.

Nie oponował nawet wtedy, gdy zamiast udać się wprost na Tatarską, gdzie jak zrozumiał, potrzebny był przy trudnym porodzie, nieoczekiwanie skręcili w Misjonarską. Okolica wyglądała na uśpioną, ale może właśnie dlatego wydawała się niebezpieczna. Dziewczyna szła tak szybko, że ledwie mógł za nią nadążyć. Zatrzymała się na chwilę przy Żółkiewskiej, wbiegła w jakąś bramę, ale po chwili wróciła. Doktor odniósł wrażenie, że jest czymś zaniepokojona. Gdy ją zapytał, co się stało, przyspieszyła tylko kroku.

Na Tatarską przybyli w ostatniej chwili. Dla młodej kobiety w ciąży sytuacja była już naprawdę groźna. Na szczęście opatrzność nad nią czuwała i udało się zatamować krwotok. Cesarskie cięcie okazało się niepotrzebne, dziecko nie ociągało się już dłużej. Gdyby stało się inaczej, tu, w tych piwnicznych warunkach niewiele można by zrobić. Mała dziewczynka urodziła się o kilka tygodni za wcześnie, ale wbrew wcześniejszym obawom była silna i zdrowa. Jej stan nie budził zastrzeżeń. Gorzej za to czuła się matka. Wyczerpana porodem straciła dużo krwi i najważniejszą sprawą stało się przetransportowanie jej do szpitala.

– Nie przyślę teraz ambulansu... Nie mogę. Trzeba poczekać do rana, może coś się wyjaśni. – Doktor Osowicz bezradnie rozłożył ręce. – Operowałem po południu jednego pułkownika, zarzekał się, że dziś wieczorem podpiszą kapitulację... Lwów będzie rosyjski, ale może skończy się to szaleństwo.

– Od dawna to przeczuwałem. – Profesor Ostrowski westchnął ciężko. – Boże, miej nas w opiece... Teraz jedynie cud może powstrzymać komunistyczną zarazę.

Marianna kołysała w ramionach śpiącego noworodka.

– Najważniejsze, aby Jadzia wyzdrowiała. Niech to się już wreszcie skończy, na miłość boską! Ona potrzebuje pomocy... Rosjanie też ludzie.

Gustaw podszedł do drzwi.

– Nie będziemy czekać... To tylko dwie ulice. Zaczyna świtać i chyba się uciszyło... – nadstawił ucha. – Przeniesiemy Jadzię do auta, tylko ostrożnie!

– W takim razie zabieramy też dziecko – zdecydował doktor Osowicz, podnosząc się z krzesła. – Będę spokojniejszy, kiedy zbadam ją na miejscu.

Gdy odtransportowana bezpiecznie Jadzia znalazła się w szpitalu, Lilka, która również uparła się jechać, opowiedziała ojcu o Jakubie, zatajając wszakże sprawę plecaka. Nie była jeszcze pewna, jak postąpić, ale wolała mieć wolną rękę. Jedno nie ulegało wątpliwości: gdyby powiedziała o wszystkim ojcu, za nic w świecie nie pozwoliłby jej na samotną wyprawę do Borysławia.

– I nie było go, rozumiesz? Wróciłam tam po piętnastu minutach i już go nie było... – zakończyła rozpaczliwie, wyłamując sobie palce ze stawów. – Tato, co się mogło stać?

Gustaw z trudem zachował spokój. Miał ochotę przełożyć córkę przez kolano, takiego napędziła mu strachu, wymykając się nocą z domu.

– Gdzie to dokładnie było? – zapytał, ruszając spod szpitala.

Na wschodzie niebo straciło już swą granatową głębię. Świt był coraz bliżej. Niski horyzont z wolna rozświetlała zapowiedź kolejnego wrześnieowego dnia, równie niepewnego jak poprzednie. Panował żłudny spokój. Odgłosy walk albo ucichły, albo się oddaliły. Nad miastem zawisł trudny do zniesienia nastrój niepewnego oczekiwania. Chłodny poranny wiatr przyniósł trele pierwszych przebudzonych ptaków i gdyby nie dymy z Łyczakowa, można by odnieść wrażenie, że oto wstaje zwykły, migotliwy

lwowski dzień, przepełniony śpiewnym bałakiem przekupek z Placu Krakowskiego i normalną codzienną krzątaniną.

Pomimo dokładnego przeszukania okolicy nie znaleźli żadnego śladu po Jakubie. Jakby zapadł się pod ziemię. Na chodniku, pod betonowymi płytami Lilka dostrzegła niewielką plamę. Woląta nie dociekać jej pochodzenia. I tak wiedziała, co to jest.

– To na pewno tu?

Wskazała plamę.

– Zataszczyłam go do bramy... Myślałam, że tam będzie bezpieczniej niż na ulicy. Krwawił, nie mógł nigdzie pójść. Tato, nie było mnie tylko kilka minut, naprawdę... Dosłownie kilka... Co się mogło stać? Przecież nie wyparował!

– To nie twoja wina. Był ciężko ranny? – Gustaw starał się powstrzymać chłód, od kilku minut przenikający mu serce. Nie miał czasu na luksus rozpaczy.

– Nie wiem, chyba tak... tak.

– A twoje kolana? Cały czas krwawisz...

– Skaleczyłam się, to nic takiego. – Lilka machnęła ręką. – Był słaby, daleko by nie zaszedł. Może powinniśmy popytać ludzi, może ktoś mu pomógł? Wziął do mieszkania, czy ja wiem... może zawiózł do szpitala?

Gustaw zauważył uchylone okno w mieszkaniu obok.

– Poczekaj tu – rzucił.

Brama była zamknięta. Nie chciał podnosić rabanu, więc ostrożnie pchnął szybę.

– Halo!

Odpowiedziała mu cisza. O tej porze mieszkańcy z pewnością jeszcze spali, niepokoiło go jednak to uchylone okno. Lokal znajdował się w suterenie, żeby się do niego dostać, wystarczyło bez większego trudu przełożyć nogę przez parapet. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zostawiałby teraz otwartego okna! Po mieście, wykorzystując sytuację, włóczyły się bandy szabrowników i pospolitych złodziejasków, dla których wojenna zawierucha była doskonałym pretekstem do grabieży. Zastanawiając się, w jaki sposób będzie się tłumaczył, w razie gdy wezmą go za złodzieja, wszedł do środka.

Mieszkanie składało się z kilku pomieszczeń. Jedno, w głębi, stanowił sporych rozmiarów pokój. Pod ścianami stały trzy łóżka z rozgrzebaną pościelą. W jednym z nich dostrzegł leżących ludzi. W pierwszej chwili był przekonany, że śpią. Już zamierzał wycofać się na palcach, modląc się w duchu, by tamci się nie obudzili i nie potraktowali go jak intruza, którym w rzeczywistości był, gdy jego uwagę przykuł zegar z kukułką leżący w poprzek wąskiego korytarza. Pod stopami zachręściło szkło. Dopiero teraz zauważył, że pokój był splądrowany, szafy wybebeszone. Na podłodze wały się jakieś szmaty i gazety. Pod ścianą leżały szuflady wyrzucone z komody. Gustaw, tłumiąc niepokój, zbliżył się do łóżka.

Kobieta i mężczyzna mieli poderżnięte gardła. Nie było wątpliwości, że nie żyją. Krew czarną plamą rozlała się na jasnych poduszkach i wsiąkła w pościel, tworząc makabryczne, surrealistyczne obrazy. Musieli zostać zaskoczeni we śnie i przed śmiercią nawet nie zdążyli otworzyć oczu. Taką przynajmniej miał nadzieję, choć rozsądek mu podpowiadał, że ten rodzaj śmierci jest długi i bolesny, a ofiara do ostatniej chwili zachowuje świadomość.

– Idziemy!

Jednym susem przesadził parapet i pociągnął Lilkę za rękę, zmuszając, by córka wsiadła do auta. Starał się zachowywać normalnie. Robiło się coraz jaśniej i nie chciał, by ktoś ich zobaczył. Zwłaszcza że od strony Cytadeli znów rozległy się odgłosy wybuchów. Walki musiały się toczyć również na Kaiserwaldzie, raz po raz dobiegały stamtąd echa strzelaniny.

Tym tutaj i tak nie mógł już pomóc. Zapewne padli ofiarą rabunku. W ostatnich dniach pełno było takich



wypadków. Czasem nie potrzeba wroga z zewnątrz, by ludzie przemienili się w hieny, Gustaw zbyt długo chodził po świecie, by mieć co do tego jakiegokolwiek wątpliwości.

– A Jakub? Tato, musimy go szukać! On żyje! Nawet jeśli w tamtym mieszkaniu nic nie wiedzieli, trzeba walić w bramę. Przecież ktoś musiał coś widzieć...

– Najpierw odwiozę cię do domu, matka już umiera ze strachu. I Wiktor zapewne też... Potem wrócę i sam poszukam. Trzeba ci kolana opatrzyć.

– Ale...

– Bez dyskusji! Wracamy.

Wzmianka o Wiktorze spowodowała, że Lilka przestała się opierać. W ferworze dzisiejszych wydarzeń zupełnie o nim zapomniała. Na pierwszy plan wciąż wysuwały się myśli o Jakubie i przesyłce, którą zobowiązała się dostarczyć do Borysławia. Bez słowa wsiadła do samochodu.

## II

Armia Czerwona wkroczyła do Lwowa dwudziestego drugiego września około godziny trzynastej. W mieście było już wtedy spokojnie, jeśli nie liczyć kilku drobnych starć na ulicach. Odgłosy walk ucichły na dobre. Na pustych i wyludnionych ulicach panowały się gołębie i uciekały całymi stadami przed nadciągającą rzeką wojska. Ludzie zaszyli się w domach, niepewni, przelękli. Dopiero gdy przez kilka godzin nie było słyhać wystrzałów, grupki pierwszych ciekawskich wyległy na ulice.

Po południu Lilka z Wiktorem odważyli się wyjść z domu, mimo sprzeciwu mamy i oburzeniu Michasia.

– Jestem już duży! Chcę zobaczyć! Chcę zobaczyć żywego Sowietę! – awanturował się chłopiec, tupiąc nogami, jakby chodziło o jakiś ciekawy i egzotyczny gatunek zwierzęcia. – Lilusiu, weź mnie ze sobą, proszę, będę grzeczny!

Profesor Ostrowski wziął go na kolana.

– Michasiu, drogie dziecko, niewiele jest rzeczy w życiu, których możemy być pewni, a tym samym niewiele rzeczy mógłbym ci obiecać na pewno. Ale to jedno akurat mogę... – Potargał jasną czuprynę chłopca. – Zobaczysz jeszcze żywego Sowietę. I to nie jednego, niestety...

Lilka stała na ulicy Zamarstynowskiej obok Wiktora i nie mogła uwierzyć w to, co działo się przed jej oczami. Wmieszana w tłum gapiów miała wrażenie, że uczestniczy w jakiejś karnawałowej paradzie przebierańców albo w przedstawieniu cyrkowym.

Ulicą wolno ciągnęły sowieckie pułki. W wysokich, przedpotopowych tankach siedzieli niscy, skośnoocy Mongołowie. Część z nich jechała konno, część szła pieszo, prowadząc na smyczach wychudłe psy. Broń zawieszona na sznurkach obijała się między kolanami. Wszędzie roznosił się drażniący zapach dziegciu. Konie w białej uprzęży, która w pierwszej chwili sprawiała wrażenie skórzanej, parskwały, stukając kopytami o bruk. Dopiero gdy któryś z żołnierzy przejechał prawie pod nosem gapiów, można było dostrzec, że to nie biała skóra, tylko najzwyklejsze płótno.

Prawie wszyscy zamiast mundurów nosili płaszcze w kwiaty, nieobrębione u dołu. Wśród gromadzących się mieszkańców Lwowa przeszedł szmer, rosnący z każdą sekundą: wojsko w szlafrokach... Wyglądali raczej na przypadkową zbieraninę niż regularną armię: brudni, zarośnięci, niechlujni, o ziemistych twarzach. Nieufnie i niepewnie rozglądali się dookoła, nie zatrzymując na niczym wzroku.

Kilka przecnic dalej polskie wojsko rozdawało przechodniom konserwy i smalec. Na ulicach leżały porzucone przez rozbrojonych żołnierzy karabiny i bagnety, które tłum zbierał w pośpiechu. Większość ludzi doświadczała uczucia kompletnego chaosu i bezmiernego tragizmu. Lilka słyszała, jak ktoś koło niej opowiadał, że wielu oficerów popełniło samobójstwo, wybierając raczej śmierć niż złożenie broni. Część wyszła z miasta, nie wiadomo w jakim kierunku, nie czekając, aż dopełni się ich los pod sowiecką okupacją. W ślad za nimi udała się rozbrojona policja i w mieście nie było już żadnych służb porządkowych. Nikt nie wiedział, co się z nimi stało.

– Nie ma już Polski... Skończyła się nasza Polska. Teraz się okaże, kto tak naprawdę potrafi zostać Polakiem... O! – Kobieta w czarnym płaszczu wskazała ręką przed siebie.

W kamienicy po drugiej stronie otworzyło się okno. Z parapetu spłynął czerwony pas materiału, krzywo, w pośpiechu oderwany od białego i dumnie załopotał na wietrze jak pogardliwie wysunięty język. Komunikat był czytelny. Sąsiedni balkon został przybrany w podobny sposób. Dopiero teraz Lilka i Wiktor dostrzegli, że część gapiów podnosi do góry ręce ozdobione czerwonymi opaskami. Najpierw nieśmiało, potem z coraz większym entuzjazmem wykrzykiwano słowa powitania. Ktoś rzucił w stronę ciągnącej armii wiązaną kwiatów, ktoś inny krzyknął: „Niech żyją wyzwolicieli!”.

– Chodźmy stąd! – Lilka nie wytrzymała i pociągnęła Wiktora za rękę. – Nie mogę tego słuchać!

– Daj spokój, patrz. To w większości Ukraińcy. I Żydzi...

Wokoło rzeczywiście rozbrzmiewał język ukraiński i przesuwwały się czarne kropki jarmułek.

– I co z tego? Mieszkają tu, a Lwów jest polski. Jak mogą!? Teraz wiem, czemu Żydzi zawsze powtarzali: „Wasze są ulice, nasze kamienice”. To ma być lojalność?

Zacisnęła pięści i posłała mordercze spojrzenie młodemu chłopakowi z czerwoną opaską na ramieniu, który wiwatował najgłośniej ze wszystkich.

– I co się gapisz! – wrzasnęła, gdy zauważył, że na niego patrzy. – Przecież to okupanci! Jesteś taki głupi czy sprzedajny?! – Czuła, że przestaje nad sobą panować.

Chłopak nieprzyjemnie zmrużył oczy i trącił łokciem niskiego, starszego mężczyznę. Nachylił się, wskazał głową na nich oboje i zaczął szeptać coś tamtemu do ucha.

– Wiewjemy stąd! – Wiktor, nie czekając na rozwój wypadków, złapał dziewczynę za rękę i wyciągnął z tłumu.

Przebiegli kilka metrów i znaleźli się na tyłach jednej z kamienic. Zdyszani oparli się o ścianę. Lilka przykucnęła i oparła łokcie na kolanach.

– Co za gnoje... co za cholerne gnoje! – warknęła, usiłując uspokoić oddech. – Sprzedajne świnię! Przecież nie mogą być tak naiwni, by wierzyć w opowieści o braterskiej pomocy. No powiedz, nie mogą! Profesor Ostrowski mówi, że to będzie straszna okupacja, że teraz wszystko się zmieni, Lwów już nie będzie taki jak dotąd. Zobaczysz, teraz tu będzie Rosja!

Nad miastem ciemną chmurą kołowały gołębie. Z oddali dobiegał dźwięk syren, wciskając się w gęstniejący tłum. Ludzi przybywało z każdą minutą. Ciekawość pokonała strach.

Wiktor pogłaskał Lilkę po głowie.

– Nie martw się na zapas... Może nie będzie tak źle. Przynajmniej skończyły się bombardowania. Na froncie giną ludzie, w Warszawie też, ale tu będzie już bezpiecznie, zobaczysz. Aby tylko jakoś się przystosować...

Spojrzała na niego zdziwiona.

– Co ty mówisz? Jak to: przystosować? Mamy się poddać, pogodzić z tym, że nie będzie już Polski?

– Maleńka, to nie zależy od nas... Takie decyzje zapadają nad naszymi głowami, możemy tylko starać się przeżyć. Jak najlepiej przeżyć i niepotrzebnie nie narażać. – Pokręcił głową. – To było niemądre... Trzeba bardziej uważać na słowa. Zrozum wreszcie, że teraz wszystko się zmieni, to już nie będzie to samo znane i bezpieczne miasto. Musisz być ostrożniejsza i na drugi raz...

– Nie zamierzam! – Lilka poderwała się gwałtownie, rzucając mu wyzywające spojrzenie. – Nie zamierzam, rozumiesz! Oni weszli tu jak do siebie! Łatwo ci mówić! Nie po twoich ulicach maszeruje banda obdartusów, nie twój brat narażał życie... – zamilkła raptownie. – Przepraszam... Wiktor, przepraszam, jestem głupia.

Stał z ustami zaciśniętymi w linijkę i niewidzącym wzrokiem wodził po rozpadającej się szopie w głębi podwórza. Zniknął gdzieś błękit jego oczu, teraz były granatowe.

Lilka nie mogła sobie darować tej porywczosci i głupoty. Jak łatwo dać się ponieść własnemu gniewowi i rozgoryczeniu, nie widzieć niczego poza własnym żalem. Ona wciąż miała rodzinę...

Zrobiło jej się wstyd. Podeszła do Wiktora i nieśmiało dotknęła jego dłoni.

– Przepraszam, masz rację. Niepotrzebnie nas narażałam, głupia jestem... Wiem, że ty...

– Nie mówmy o tym – przerwał, biorąc jej twarz w dłonie. Uśmiechnął się. – Kocham cię, mój ty porywczy dzieciaku. Jakoś to wszystko się ułoży.

– I będzie dobrze? – W tym momencie Lilka rozpaczliwie potrzebowała otuchy.

Pomyślała o plecaku. Gdyby nie wyraźna prośba Jakuba, natychmiast zwierzyłyby się Wiktorowi. Ufała mu jak nikomu na świecie. Wiedziała, że będzie miał żal, gdy się dowie. Jeśli się dowie... Wcale nie była taka pewna, czy uda jej się wyjść z tego cało. Musiała dostać się jakoś do Winniczek, na szczęście leżały mniej więcej w tym samym kierunku, co Borysław, ale nie miała zielonego pojęcia, co tam zastanie. Westchnęła ciężko i przytuliła się do szerokiej piersi ukochanego.

Tak czy inaczej, trzeba było jakoś zorganizować sobie życie w nowej, nieprzyjaznej rzeczywistości. Dwa dni później, po kolejnych bezskutecznych poszukiwaniach pracy, wracali do domu rozgoryczeni sytuacją i pełni wątpliwości, każde zatopione we własnych myślach.

Przy Brajerowskiej mieścił się referat do likwidacji bezrobocia i giełda pracy, ale Gustaw stanowczo zabronił im się tam zgłaszać. Chodziły słuchy, że podczas rejestracji bezrobotni wpisywani są na specjalne listy, a następnie kierowani w głąb ZSRR, skąd już się nie wraca.

Lilka wciąż rozmyślała, w jaki sposób dostarczyć Orestowi plecak. Nie miała szans, by niezauważona wymknąć się z domu, gdyż Wiktor nie odstępował jej na krok. Czasem odnosiła wrażenie, że tak na nią patrzy, jakby doskonale wiedział, co jej się roi w głowie. Ojciec zniknął na całe dni, ale kiedy wracał wieczorami, wymagał, żeby rodzina trzymała się razem. Mówił, że nie wiadomo, jak długo będą się jeszcze cieszyć względny spokojem. W mieście zaczęły się pierwsze aresztowania, nocne naloty na mieszkania, eksmisje, a w najlepszym razie dokwaterowywanie sowieckich żołnierzy i urzędników.

O Jakubie wciąż nie było żadnych wieści. Musiała znaleźć jakiś sposób, czas płynął i szanse na swobodne poruszanie się po drogach były coraz mniejsze. Nieoczekiwanie przyszło jej z pomocą pewne zdarzenie.

Na rogu Miodowej, przy Placu Teodora, natknęli się na Marysię Szczurko. Szła ulicą, smętnie powłócząc nogami. Wyglądała jak ktoś, kto bardzo nie chce dotrzeć tam, gdzie zmierza.

Nie widziały się od matury; na początku wakacji zniknęły sobie z oczu. Tamten czas wydawał się tak odległy, jakby chodziło o poprzednie życie. Szczurek była jeszcze chudsza i bledsza niż zazwyczaj. Za duży płaszcz wisiał na wynędzniałej sylwetce jak na wieszaku. Twarz, bardziej trójkątna, rzeczywiście przypominała szczurzy pyszczek, jakby dziewczyna zamierzała dopasować się wyglądem do swojego przydomku. Zyskały za to jej oczy, które w szczupłutkiej buzi jaśniały jak dwa wilgotne szmaragdy. Starając się ukryć zaciekawienie, zerkała na Wiktora, nie poświęcając koleżance zbyt wiele uwagi.

– Mieszkam teraz z matką u ciotki, na Bonifratrów – odparła zapytana. Lilka w pierwszej chwili chciała ją uściskać z radości, ale w Marysi było coś obcego. – Ojciec pojechał na wakacje z kochanicą, a jak sumienie go ruszyło i chciał wrócić, wybuchła wojna. Pies go trącał... Mam nadzieję, że zdechł gdzieś w rowie. A matka łyże leje, wojna jej nie obchodzi, tylko po nim rozpacza... Wszystko na mojej głowie. Ciotka chora, nie wychodzi z domu, muszę jakoś organizować jedzenie, inaczej też zdechniemy – dodała z goryczą. – Może teraz będzie lepiej... Mówią, że ruskie nawiozą towarów do sklepów. Nie wierzę, ale kto wie. Stalina nawet sobie w pokoju powieszę, byleby trochę chabaniny zdobyć. Od początku wojny jemy tylko cienkie galop zupki i nic więcej.

Trudno było nie zauważyć, że zhardziała i w przyspieszonym tempie przeszła kurs dorastania.

– A tobie, jak widzę, niezgorzej się powodzi – zauważyła, mrużąc oczy w jakiś nieprzyjemny sposób

i jednocześnie obrzucając zazdrosnym spojrzeniem Wiktora. – Nawet trochę przytyłaś... Zawsze byłaś farciarą. I kiecka elegancka... Tylko ta torebka średnio pasuje – zauważyła kpiąco, dotykając zniszczonego plecaka, z którym Lilka od paru dni się nie rozstawała, uznając, że najbezpieczniejszy będzie przy niej.

– Nie chcesz wiedzieć, co z Jadzią? – Lilka spróbowała zmienić temat, by odwrócić uwagę Szczurka od plecaka. Już i Wiktor ze dwa razy pytał, po co ciąga ze sobą tego starego strupla. Odpowiedziała wtedy, zgodnie z prawdą, że to po Jakubie, co zamknęło temat.

– Wiesz... jakoś nie – odparła tamta spokojnie. – Mam gdzieś Jadzię. Jej sprawa, z takimi starymi nie zginie. Bękartą też jej wychowają. Dopóki nie miałam własnych zmartwień, mogłam jej trochę powspółczuć. Potrzebuję lekarstw dla ciotki i jedzenia. Rozdawali z magazynów wojskowych, ale, cholera, ile dałam radę udźwignąć sama jedna? – Ze złością trzepnęła się w wychudłe ramię. – Worek ziemniaków i ledwo kilka puszek z wołowiną... Poleciałam drugi raz, ale było po wszystkim. Durni, egoistyczni ludzie.

Lilce zrobiło się smutno. Ze Szczurka wylały wszystkie wstrętne cechy, które do tej pory czały się gdzieś głęboko i nad którymi zwykle panowała. Egoizm, zawiść, myślenie tylko o sobie i złośliwość. Oblaży ją jak robale, tocząc mózg i serce.

Nie potępiła jej, wydarzenia ostatnich dni mogły złamać każdego, ale dała spokój rozmowom o Jadzi.

– Wpadnij do nas, na pewno znajdzie się coś do jedzenia. Ojciec z Antonim nawieźli ze wsi...

– Mogę teraz? – podchwyciła natychmiast Marysia. – Skoro jestem niedaleko... A może twój... kolega potem by mnie odprowadził i pomógł nieść? – Zalotny uśmiech, który zupełnie nie spodobał się Lilce, rozjaśnił twarz koleżanki. – Niebezpiecznie teraz chodzić samej po ulicach. Słyszeliście? Na Czarnieckiego, niedaleko Urzędu Wojewódzkiego ruski tank zabił siedmioro ludzi. Wiwatowali na jego widok, a załoga nie wiedziała, o co im idzie. Nie zrozumieli przyjacielskich gestów i wypalili do nich z działka. – Wprawdzie się nie roześmiała, ale minę miała taką, jakby uśmiech czał się tuż pod samą powierzchnią i lada moment miał wypłynąć.

Kolejny raz podczas tej rozmowy Lilka poczuła się nieswojo. Szczurek nie należała do ścisłego grona jej przyjaciółek, między nimi dwiema zawsze był lekki, niemal niewyczuwalny dystans, niepozwalający na całkowitą dziewczynską szczerłość, ale w gruncie rzeczy ją lubiła. Marysia, mimo swych wiecznych złośliwych przytyków oraz docinków, odznaczała się inteligencją, błyskotliwością i zawsze umiała podkreślić nawet najbardziej smętne spotkanie. Obecnie czuło się w niej jakąś niepokojącą zmianę.

– Nie wiesz, co z Sarą? A z Niną Dejnis? Mam kontakt tylko z Marysią Baczyńską i Wandą. Pracujemy w szpitalu przy Pijarów... a właściwie pracowałyśmy, bo teraz nie wiadomo, wymienili całą administrację.

– Pracujecie? – Szczurkowi zaświeciły się oczy. – To niedaleko ode mnie, może mnie wciągniesz? Dużo płacą?

– Coś ty, w ogóle nie płacą, po prostu pomagałyśmy przy rannych. Były naloty, brakowało sanitariuszek, chciałyśmy się przydać.

– Eee... – Szczurek momentalnie straciła zainteresowanie. – Ponoć Rothfeldowie wyjechali do rodziny na wakacje i do tej pory nie wrócili. Spotkałam niedawno Jankę, mówiła, że widziała się z Sarą jeszcze w sierpniu. Pewnie wrócą, przynajmniej mają pewność, że Niemców nie będzie, a Żydzi, zdaje się, ruskich kochają.

– A Janka? – Lilka udała, że nie dosłyszała ostatniej uwagi.

– Nie słyszałaś? W naszej szkole działało pogotowie harcerskie. Janka brała udział w obronie. Podobno wysadzili w powietrze dwa niemieckie czołgi, a Janka nawet została ranna.

Lilka nie potrafiła ukryć zdziwienia.

– Nic nie wiedziałam! Byłam w „Magdusi” pod koniec sierpnia, myślałam, że może która z was zajrzy... Janka i harcerstwo? Przecież ona nie cierpiała żadnych organizacji! Nawet w samorządzie klasowym nie chciała się angażować. Pamiętasz, zawsze powtarzała, że artyści nie dają się zamykać w ramy. Chyba że obrazów. – Uśmiechnęła się na wspomnienie słów koleżanki.

Szczurek wzruszyła ramionami.

– No, już, nie wyobrażaj sobie Bóg wie czego. To nie szlachetny patriotyzm. Zakochała się w dowódcy. Dzisiaj jest ślub. W kościele Świętej Marii Magdaleny.

Ostatnie promienie zachodzącego słońca otulały dwie strzeliste wieże kościoła. Wysoko, przy dzwonicach, jaśniała jeszcze biel murów, złote światło ślizgało się po dachu, podczas gdy fasada tonęła już w cieniu, przysłonięta sąsiednimi budynkami.

Przed bocznym, ukrytym między drzewami wejściem zebrała się niewielka grupa. Przeważali młodzi ludzie. Mimo że Lilka usilnie wypatrywała znajomych twarzy, nie rozpoznała nikogo. Na ślub Janki Szymonowiczówny z podporucznikiem Zbigniewem Szczawińskim stawili się chyba sami harcerze. Nie nosili mundurów, ale można było to poznać po małych lilijkach wpiętych dyskretnie w klapy marynarek i kieszonki sukienek.

Nie było natomiast nikogo z klasy, jakby wczorajsze przyjaciółki nigdy nie istniały. W pierwszej chwili Lilce zrobiło się przykro; tyle było wspólnych spraw, na ucho szeptanych zwierzeń, nadziei i rozterek, kilka ładnych lat spędzonych w jednej ławce, a Janka nie zawiadomiła żadnej z nich.

Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że wokół panuje osobliwa atmosfera konspiracji. Podenerwowani młodzi ludzie stali rozbici na małe grupki, rzucając wokoło niespokojne spojrzenia, jakby w każdej chwili gotowi do ucieczki. Nikt się nie śmiał, nie żartował, co zwykle miało miejsce przy takich okazjach. Nikt nikogo nie poklepywał po ramieniu. Nie było odświętnych strojów ani kwiatów. Jedynie niska, tęga dziewczyna z warkoczem tak białym, że przypominał śnieg, trzymała maleńki bukietik astrów, kryjąc go pod żakietem.

Kiedy podeszli do najbliższej stojącej grupki, chłopak w drucianych okularach i płaszczu, zbyt szerokim w ramionach, rzucił im niechętnie spojrzenie.

Szczurek nie kryła zniecierpliwienia.

– Spóźniliśmy się, już po wszystkim. Mówiłam, nie ma po co leźć... Jakby chciała, toby zawiadomiła. Ja też się dowiedziałam przypadkiem. Lepiej stąd chodźmy, dziwnie tu jakoś...

Lilka odsunęła ją na bok.

– Przepraszam – zwróciła się grzecznie do chłopaka w okularach. – Moja przyjaciółka Janka Szymonowiczówna podobno dzisiaj wychodzi za mąż... Ślub tu ma być. Może pan wie?

Chłopak wzruszył ramionami. Nie odpowiedział. Odwrócił się plecami i zagadnął swojego towarzysza:

– Znasz jakąś Jankę?

Tamten przecząco pokręcił głową, uśmiechając się nieprzyjemnie.

– Nie znamy. – Chłopak w okularach stracił zainteresowanie i ostentacyjnie odszedł kilka kroków dalej.

Stojący do tej pory z tyłu Wiktor objął Lilkę za ramiona i pociągnął ku widniejącej z daleka bramie.

– Marysia ma rację, chodźmy stąd... Mnie też się tu nie podoba...

Na dźwięk jego głosu chłopak w okularach odwrócił się gwałtownie.

– Wiktor?

– Tadeusz!

Lilka ze Szczurkiem patrzyły zaskoczone, jak tamci dwaj uścisnęli się serdecznie. Poklepywali się radośnie po ramionach, wykrzykując słowa powitania i przerywając sobie nawzajem. Wyglądali jak

wesołe niedźwiadki, które przypadkiem się odnalazły.

– Bracie! Co za fart! Myślałem, że nie żyjesz! Zuzanna opowiadała, że widziała cię przy szpitalu chwilę przedtem, jak spadła bomba! Podobno nikt nie przeżył...

– Ojciec... – Wiktor urwał. – Matka kazała mu obiad zanieść, bo już wcale do domu nie wracał... A Zuzanna? Co z nią?

– Wszystko dobrze, też jest we Lwowie. Nawet miała tu dziś być, ale jej nie widzę. Jej siostra zginęła podczas bombardowania... A twoja mama?

Wiktor nie odpowiedział. Jeszcze raz potrząsnął Tadeuszem, jakby nie dowierzając, że to on.

– Stary! Mów lepiej, co u ciebie? Skąd się tu wzięłeś? Lilka, poznaj, to mój kuzyn i najlepszy przyjaciel, Tadek Tyczyński... Marysiu... Dziewczyny, niech ja skonam, co za spotkanie!

– No, z tym przyjacielem bym nie przesadzał. – Tadeusz roześmiał się uszczęśliwiony, raz po raz klepiąc Wiktora po ramieniu. – Niech wam lepiej opowie, jak chciał mnie z mostu zrzucić za to, że wstąpiłem do znienawidzonej przez niego organizacji...

– Jesteś w ZHP? – zapytała Lilka, wyciągając dłoń na przywitanie.

– Ku jego utrapieniu... Na pewno wiesz, że dla Wiktora istnieje jedynie Wolne Harcerstwo. A dokładniej, jego idea, bo z organizacją zdaje się u was krucho? – Roześmiał się ponownie. – Ech, braciszku, kto by pomyślał, że szkolenie wojskowe jednak może się przydać... Udało nam się wysadzić w powietrze dwa czołgi. – Ściszył głos, w którym pobrzmiwała nieskrywana duma. – Na szczęście nikt od nas nie zginął, za to kilku Niemiaszków wyleciało w powietrze... No i co byśmy zrobili z samą ideą, bez karabinów? – dodał z przekąsem.

– Ale skąd się tu wzięłeś? Byłem przekonany, że zostałeś w Warszawie.

– Byłem w sierpniu na obozie nad Prutem, pod Delatynem. Myślałem, że dosiedzę do połowy września. Kiedy się okazało, że jest wojna, utknąłem we Lwowie. Chciałem wracać, ale wszyscy mówili, że to głupie, że tu będzie bezpieczniej. Martwię się, nie mam jak powiadomić mamy. Nie wiem nawet, gdzie jej szukać... Nie wiem, czy wróciła do Warszawy... Oby nie... Ostatni raz widzieliśmy się pod koniec lipca. Miała jechać z Janeczką do Ustki. Odprowadziła mnie w Warszawie na pociąg. Słuchaj... Tam naprawdę było takie piekło?

Wiktor skinął głową.

– Moi rodzice zginęli, ale twojej mamie z pewnością nic się nie stało. – Uśmiechnął się niewesoło i powiedział pocieszającym tonem: – Ciotce Leokadii nie dałby rady nawet pułk wojska. Pamiętasz, jak przyłożyła parasolką temu cherlawemu złodziejaszki w parku Ujazdowskim? Nie martw się, na pewno są bezpieczne...

– Stary, tak mi przykro...

Od strony kościoła dobiegł szmer podnieconych głosów. Odwrócili się w tamtą stronę. Zza kępy topoli niedaleko schodów prowadzących do drzwi wyłoniła się młoda para.

Z daleka widać w nich było jakąś odświeżość. Mężczyzna, wysoki i przystojny, ze sznytem charakterystycznym dla wojskowych, górował nad zebranymi. Dodatkowo wzrostu przydawały mu włosy, zaczesane do tyłu i tworzące nad czołem wysoką falę. Miał pociągłą twarz o regularnych rysach i osobliwie, jakby spiczasto zakończone uszy. Spod szarego prochowca wystawał czarny garnitur.

Prowadził pod ramię młodą, szczupłą dziewczynę o pięknych, rudych włosach, luźno spływających na plecy, ubraną w skromny, zielony kostiumik, ładnie kontrastujący ze śnieżnobiałą bluzką. We włosy miała wpiętą białą różę. Taką samą trzymała w ręku. Gdy mijali czarny samochód, zaparkowany na dziedzińcu, od jego szyby odbił się promień słońca i zapłonął w jej włosach.

Lilka i Szczurek natychmiast ją rozpoznały, choć wyglądała inaczej niż zwykle, doroślej i bardziej uroczyście. Miała rumieńce, a oczy błyszczały jej jak w gorączce. Podekscytowanie mieszało się w niej



ze skupieniem, ale wciąż była to ta sama Janka Szymonowiczówna, piegowata i wygadana koleżanka z trzeciej ławki pod oknem, z talentem aktorskim i skłonnościami do niekontrolowanego śmiechu.

Lilka pierwsza przełamała onieśmielenie. Złapała Wiktora za rękę i podeszła do młodej pary. Pozostali zrobili to samo. Młodych ciasno otoczył tłumek znajomych. Musiała odczekać chwilę, aż główną bohaterkę uroczystości wypuści z ramion panna o białym warkoczu.

– Janka!

Dziewczyna drgnęła.

– Lilka! Szczurek?! Boże, to wy?! Dziewczyny, to naprawdę wy?! Jak dobrze, że jesteście! Nie macie pojęcia, jak się cieszę! Ale klawo!

W jednej chwili stateczna panna młoda zamieniła się w żywiołową Jankę. Piskom i uściskom nie było końca. Zostawiwszy na chwilę towarzystwo, odeszły na bok. Nawet Marysia, choć początkowo trochę nieufna i nabzdyczona, dała się ponieść atmosferze. Nie byłaby jednak sobą, gdyby nie wetknęła koleżance szpilki.

– Nie byłabyś zaskoczona, gdybyś nas zawiadomiła... Nie widzę nikogo z naszej klasy. Cóż to, uznałaś, że nie jesteśmy godne towarzyszyć ci w takim dniu?

Jance dziś nic nie było w stanie popsuć dobrego humoru.

– Zamknij się, Szczurek – poprosiła z szerokim uśmiechem. – I tak was kocham. Przepraszam, ale nie mogłam... Wiecie, jak jest. Prosiłam rodziców, żeby nie przychodzili, nie narażali się niepotrzebnie. Mieli być tylko świadkowie, skromna i cicha uroczystość, a w efekcie... – Potoczyła nieco przerażonym wzrokiem po małym tłumie przed schodami. – Zbyszek musi uciekać, wszyscy musimy, cały Ochotniczy Batalion Obrony. Na razie jeszcze trwa zamieszanie, ale wiadomo, co zaraz się zacznie. Wystarczy być harcerzem, żeby zostać aresztowanym... W Brygidkach już pewnie czekają cele... Przez kilka dni zamierzamy się ukrywać, a potem przerzut pod węgierską granicę... Już mamy wszystko poumawiane. Lwów nie jest wielki, trudno byłoby się tu zgubić. No i nie można narażać rodziny. Jest informacja, że ktoś dostarczył Sowietom listy z nazwiskami... Zbyszek twierdzi, że gdy minie pierwszy chaos, zabiorą się do planowych i konsekwentnych działań. Już ponoć szykują wagony do wywózki ludzi.

Lilka poczuła wstyd. Podczas gdy ona sama siedziała bezpiecznie ukryta w piwnicy, Janka, którą zawsze miała za beztruską i skorą do zabawy, narażała życie razem z innymi młodymi ludźmi, ich rówieśnikami.

– U nas w domu już były wykwaterowania... – kontynuowała Janka, zerkając jednocześnie z ukosa na swojego przyszłego męża poklepywanego czule po ramieniu przez tę z białym warkoczem. – Rodzice musieli się wynieść do wujostwa na Kulparków. Pamiętacie? W naszej kamienicy na drugim piętrze mieszkała taka hrabina, jej nie wyrzucili, tylko dokwaterowali jakiegoś ruskiego oficera... Opowiadała mojej mamie, to nawet zabawne, podobno pierwszej nocy latał jak opętany i budował barykadę przed jej pokojem. Hrabina ma dobrze ponad siedemdziesiątkę i mieszka tylko ze służącą, ale najwidoczniej biedaczyna nasłuchał się opowieści o sowieckich lokatorach, co to ich w lwowskich mieszkaniach przeprowadzono nocą na tamten świat. – Roześmiała się. – Rano poleciał do stróża i po zasięgnięciu języka wpadł do biednej hrabiny i zażądał jej złotych mebli. Sąsiadki słyszały, jak wrzeszczał, że on nie taki durny, by wierzyć, że taka „pomieszczycza” ma same paskudne graty. Wiecie, u hrabiny w mieszkaniu same antyki, po przodkach... – Zachichotała. – Dalej było jeszcze lepiej. Przyleciał i oświadczył, że zamierza ją aresztować. Na to hrabina odparła z godnością, że nie ma teraz czasu, bo musi iść na uniwersytet. No to ją zapytał, już znacznie ciszej, o której będzie wolna. Ustalili, że o trzeciej po południu, i hrabina spokojnie wyszła z domu.

Roześmiały się wszystkie trzy.

– A ten twój? – Szczurek z ciekawością skinęła brodą w stronę przystojnego porucznika. – Pierwsza

z nas wychodzisz za mąż...

Oczy Janki momentalnie zasnuła rozmarzona mgiełka, rysy się wygładziły, a na twarzy rozkwitł cielecy uśmiech.

– Zbyszek jest cudowny! Poznaliśmy się w lipcu, prowadził dla harcerzy zajęcia z obronności. Nudziłam się w wakacje, więc poszłam zobaczyć. Odprowadził mnie wtedy do domu, prawie pół nocy spacerowaliśmy po mieście i gadaliśmy... Ach, dziewczynki, nawet nie wiecie, jaka jestem szczęśliwa...

– Wiemy, wiemy – brutalnie przerwała jej zniecierpliwiona Szczurek. – Ślepy wół by zauważył. Powiedz lepiej, dlaczego się tak spieszycie? Czyżbyś poszła w ślady Cwinarskiej?

– Cicho, Szczurze! – zgromiła ją natychmiast Lilka.

Janka wcale się jednak nie obraziła.

– Coś ty! – zarumieniła się. – Po prostu nie chcieliśmy czekać. Czasy niespokojne, kto wie, co będzie jutro...

Lilka wzięła ją za rękę.

– Jutro będzie pierwszy szczęśliwy dzień twojego nowego życia. I sama się jeszcze przekonasz, jakie będzie udane.

Na kościelnych schodach ukazał się niski, przygarbiony ksiądz w czarnej sutannie. Spojrzał na zgromadzonych, omiół wzrokiem dziedziniec, na chwilę zatrzymując spojrzenie na czarnym samochodzie i załamując ręce, rzekł znękany głosem:

– Dzieci, dzieci, przecież prosiłem... To nierozsądne i niebezpieczne. Taka jawność... i ostentacja. Wejdźmy lepiej do środka.

Janka rzuciła koleżankom skruszone spojrzenie.

– Ksiądz Fedorowicz, nasz kapelan... Chodźcie, już czas. Naprawdę się cieszę, że będziecie przy mnie.

– Uścisnęła im ręce. – Nawet nie wiecie, jak bardzo. Potem pogadamy, jeszcze będzie okazja... Jezu, dziewczynki! Ależ się za wami stęskniłam!

W kościele panował półmrok. Paliły się jedynie świece w lichtarzach przy ołtarzu i mała lampka nad wejściem do zakrystii. Nawy boczne tonęły w cieniu. Kilka najwyższych szybek witraża próbowało przytrzymać ostatni blask światła, zanim prześliznęła się po nich, gasząc intensywność barw i pozostawiając je pogrążone w mroku aż do jutrzejszego poranka. Młodzież, zbiwszy się w grupę, zajęła miejsca w pierwszych ławkach. Lilka, Szczurek, Wiktor i Tadeusz usiedli nieco z boku, skąd mieli lepszy widok na ołtarz.

Oblubieńcy stali tyłem do zgromadzonych, trzymając się za ręce. Wyglądali na nieco stremowanych. Z zakrystii wyłonił się ten sam ksiądz, który zapędził wszystkich do środka, tym razem był już w uroczystym stroju. Miał na sobie zielony, błyszczący ornat z ozdobną pretekstą w kształcie krzyża.

Ceremonia nie trwała długo. W zachowaniu księdza wyczuwało się pewną nerwowość, choć jednocześnie wyglądał na wzruszonego. Mówił cicho, niemal szeptem, mimo to głos niósł się echem po pustym kościele. Płomyki świec drgały w ciemności, wokoło unosił się mdlący zapach kadzidła. Świat, zamknięty w kościelnych murach, odgradzony od wojennych dramatów i brudów, wydawał się taki znajomy i bezpieczny. Jakby jedynie tu nic się nie zmieniło. Wszyscy ulegli tej podniosłej i nieco tajemniczej atmosferze. Wiktor, nie patrząc na Lilkę, w ciemności dotknął jej palców.

Kiedy już Janka i Zbyszek w obliczu Boga zostali mężem i żoną, ksiądz podszedł do nich i powiedział ciepło, biorąc oboje za ręce:

– Moi drodzy, kochani. To naprawdę wielka radość dla mnie, że mogłem poświadczyć przed Bogiem waszą miłość. Tym większa, że w czasach, kiedy świat płonie, każdy jej przejaw jest na wagę złota. Potrzebna nam teraz równowaga, nie możemy pozwolić, by zło zwyciężyło, choć zalewa nas jak ocean. Musimy z bożą pomocą wznosić wielki gmach miłości, budować go z pojedynczych cegiełek, kawałek po

kawałku. Wszystkim nam potrzeba będzie dużo sił, a troski łatwiej pokonywać, kiedy mamy przy sobie przyjaciół. Dlatego oprócz nieustającej miłości życzę wam też wielkiej przyjaźni. Wtedy każdy dzień będzie łatwiejszy do przeżycia... – urwał raptownie.

Ostry, wysoki pisk zagłuszył ostatnie słowa. Rozległ się gdzieś wysoko i zabrzmiał w ciszy kościoła jak zgrzyt żelaza po szkle, odbijając się od ścian i roznosząc echem pod sklepieniem. Wszyscy unieśli głowy.

Mała, atramentowa strzałka trzepotała rozpaczliwie skrzydłami, szamocząc się na wszystkie strony. Miotła się jak czarna błyskawica, od nawy do nawy, ledwie widoczna w półmroku. Czasem obniżała lot, w nadziei, że uda się odnaleźć drogę powrotną, lecz drzwi były zbyt małe, by w szaleńczej samotninie mogła w nie trafić. Krzyczała bezradnie i przejmująco, uwięziona w chłodnych murach jak w grobowcu.

– Dymówka! – Wiktor wyteżył wzrok. – Chyba...

– Biedna... Sama stąd nie wyfrunie.

Ksiądz uspokajająco machnął ręką.

– Da sobie radę, to nie pierwszy raz. Mają gniazdo nad gzymsem, przy oknie, często zaglądamy do kościoła. – Uśmiechnął się. – I nie dymówka, mój drogi, ale oknówka zwyczajna. Jaskółka oknówka.

– Jest ksiądz pewien? – Wiktor się skrzywił. – Mnie wygląda na dymówkę...

Janka zamachała rękami.

– Hej, chyba psujecie mi uroczystość! Kto tu jest bohaterką wieczoru, ja czy jaskółka? Poza tym, radzę nie kłócić się z księdzem. Jakbyś zobaczył jego atlasy ptaków, to siedziałbyś cicho. Chodźmy na zewnątrz, ciemno się zrobiło...

– Dymówka czy oknówka, jaskółka to dobry omen dla rodziny – oświadczyła wyniośle dziewczyna z białym warkoczem. – Mówią, że oznacza pomyślne wiadomości otwierające nowe perspektywy...

Ktoś rzucił półgłosem:

– Spadamy, Baśka znowu zaczyna wykład.

– No i oczywiście zapraszamy wszystkich na plebanie – włączył się świeży małżonek, obejmując Jankę i całując ją w policzek. – Nasz niezawodny ksiądz Andrzej przygotował skromny poczęstunek.

– Wszystko dzięki mojej gospodyni. Bez niej życie byłoby nieznośnie uciążliwe... – Ksiądz westchnął, drapiąc się za uchem. – Idźcie, idźcie, moi kochani, zaraz do was dołączę.

Gdy opuszczali kościół, popiskująca nerwowo jaskółka wciąż krążyła u pułapu, trącając kryształowy żyrandol, który rozdzwonił się delikatnie.

Starając się zachować należytą powagę, minęli okazałą chrzcielnicę ustawioną w kruchcie, zanurzyli w niej palce, po kolei przyklękali w drzwiach, a następnie stoczyli się na schodach, przepychając i poszturchując się jak niesforne dzieci. Nagle znów byli beztroską młodzieżą spragnioną zabawy, flirtu... Chcieli się śmiać, robić szalone rzeczy, a umierać tylko z miłości. Jakby pora westchnień się nie skończyła, jakby nie było wojny. Jakby jeszcze kilka dni temu nie narażali życia, uciekając przed niemieckimi karabinami, kryjąc się po bramach. Jakby Tadeusz nigdy nie poderżnął gardła sowieckiemu bandycie, usiłującemu zgwałcić małą dziewczynkę.

Zapadł już zmrok, w mieście gdzieś palły się latarnie, choć większa część ulic wciąż pozostawała bez światła. Z niewielkiego wzniesienia, na którym stał kościół, widać było łunę nad Cytadelą.

– Coś się pali – zauważył ktoś zaniepokojony. – Chyba nie są takimi kretykami, żeby miasto z dymem puścić...

– Może nasi jeszcze walczą? – Chłopak w cyklistówce i wysokich oficerkach wysunął się do przodu. – Panie poruczniku...? – z nadzieją w głosie zwrócił się do Zbyszka.

Ten stanowczo pokręcił głową.

– Wiem, że chcielibyście dalej... Ja też. Ale to byłoby niepotrzebne narażanie życia, zrobiliśmy, ile się dało. Rozkazy są jednoznaczne, nic na to nie poradzimy, jesteśmy żołnierzami. Kapitulacja podpisana, teraz najważniejsze, by jak najszybciej się stąd zawinąć, już o tym mówiliśmy. Widzieliście, jak Sowieci pod bagnietami wyprowadzali z miasta żołnierzy. Jak myślicie, co z nimi zrobili? – spytał z goryczą i nie czekając na odpowiedź, dodał: – Dostałem rozkaz, by zdobyć cywilne ubrania, bo nie będą przestrzegać warunków kapitulacji... – Urwał pod wpływem wzroku żony. – Tak, nie pora teraz o tym. Spotkamy się jutro, tam gdzie zawsze...

Ciszę wieczoru przerwał chrzęst żwiru i narastający warkot silników od strony bramy wjazdowej. Po chwili ostre reflektory samochodów omiotły mrok dziedzińca, prześliznęły się po kępie drzew, a następnie oświetliły sylwetki stojących u szczytu schodów. Zanim ktokolwiek z zaskoczonych zdążył się poruszyć, rozległy się odgłosy przeładowywanej broni i okrzyki w języku rosyjskim.

Z trzech samochodów wyskoczyli ludzie ubrani w sowieckie mundury.

– Stojat’! Nie dwigat’ sja!

Zgromadzeni w panice rozpięzchli się na wszystkie strony. Jakaś dziewczyna straciła równowagę i potracona przez uciekających spadła ze schodów. W przerażającej ciszy rozległy się strzały. Baśka z białym warkoczem zaczęła krzyczeć, gdy kolba karabinu z całej siły uderzyła ją w ramię, wybijając je ze stawu. Krzyk zamienił się w skowyt, gdy wleczona za włosy szorowała kolanami żwir. Sowieci wyłapywali ich jak kaczki: brutalnie i bez najmniejszych trudności, wykorzystując dezorientację i zaskoczenie.

Czyjaś ręka chwyciła Lilkę za sukienkę. Przerazona dziewczyna bez namysłu skoczyła w ciemność przy załomie muru. Rozległ się trzask pękającego materiału. W panice spojrzała za siebie, usiłując odnaleźć wzrokiem Wiktora, lecz wśród miotającej się dziko gromady cieni i czarnych postaci nie potrafiła nikogo rozpoznać. Po tym ludzkim kłębowisku co rusz prześlizgiwało się światło reflektorów, wydobywając z mroku przerażone twarze. Przez moment miała wrażenie, że gdzieś mignęła jej biała bluzka Janki, ale nawet tego nie była pewna. Wciąż słychać było pojedyncze wystrzały. Rosyjskie, krótkie komendy mieszały się z pełnymi paniki głosami harcerzy.

Nie zauważyła wystającego z trawy nagrobka, potknęła się i upadła, uderzając nosem w kamień. Na moment zabrakło jej tchu, bała się, że zemdleje. Ból był tak dojmujący, że odsunął na bok wszystko inne. Łzy popłynęły jej z oczu, poczuła wilgoć na wargach. Przełamując słabość, podkurczyła nogi i wczółgała się w wąską przestrzeń pomiędzy grobem a ścianą kościoła, przywarła ramieniem do chropowatego muru. Miała nadzieję, że szeroka płyta nagrobna stanowi skuteczną osłonę, zwłaszcza że nie docierało tu światło reflektorów i ta część dziedzińca tonęła w ciemności.

Wytarła krew rękawem, przytuliła do piersi parciany tobołek i wsłuchana w łoskot walącego serca, modliła się, by nikt jej tu nie znalazł. Sama również niewiele widziała, sytuację mogła oceniać jedynie na podstawie odgłosów.

Bała się poruszyć, strach sparaliżował każdy skrawek jej ciała. W uszach słyszała szum krwi. Nie miała dokąd uciekać. Budynek kościoła usytuowany był na niewielkim wzniesieniu i widoczny ze wszystkich stron jak na dłoni. Przy jakiegokolwiek próbie ucieczki dostałaby serię w plecy, zanim zdołałaby dobiec do bramy.

Zagryzła wargi, usiłując nie oddychać. Strasznie się bała o Wiktora, ale panika odebrała jej możliwość jakiegokolwiek działania. Miała wrażenie, że mózg nagle utracił zdolność wydawania poleceń nogom i rękom. Chciała się wychylić, sprawdzić, co z ukochanym, ale nie była w stanie przełamać obezwładniającej niemocy. Zwinęła się w kłębek, podciągając kolana pod brodę.

W pewnej chwili ktoś przebiegł obok. Lilka kątem oka dostrzegła wysokie oficerki i szerokie bryczesy.

Zaprzagnęła zapaść się pod ziemię i przestać istnieć. Żołnierz zrobił jeszcze kilka kroków i zawrócił.

– Tam niet nikogo.

Ponownie usłyszała strzały, a zaraz potem przenikliwy, rozdzierający krzyk, wydobywający się nie z gardła, lecz z samego środka trzewi. Wzniósł się ponad ogólną wrzawę i długo wibrował wśród nocy, zanim opadł, zamieniony w jęk bezsilności. Okrzyk zwierzęcego bólu w ludzkiej rozpacz.

– Nieee!!! Janka!!!

Nie rozpoznała głosu, ale była pewna, że to Zbyszek. Zanim pojęła, co się stało, już to przeczuła...

Nie wiedziała, jak długo tu leży. Czas to rozciągał się, to znów kurczył, niczym lepka plastelina przyklejał się do palców. Ogarnęła ją osobliwa pewność, że gdyby tylko zaprzagnęła, potrafiłaby ulepić z niego wszystkie swoje emocje. Mogłaby dotknąć strachu, bezsilności, ugnieść w dłoniach niemoc, zobaczyć przerażenie i może dopiero wówczas potrafiłaby się z nimi zmierzyć i odzyskać nad sobą kontrolę. Sekundy rozwlekały się, minuty pędziły, a ona nie mogła się pozbyć poczucia, że świat stanął na głowie i właśnie znalazła się na jego krawędzi.

Nagle rozległy się odgłosy, jakby ktoś wbijał gwoździe w drewno. Suchy stukot mieszał się z warkotem uruchamianych silników. Zobaczyła oddalającą się łunę. Po chwili wszystko ucichło, a dziedziniec ogarnęła ciemność, rozświetlana jedynie nikłym blaskiem padającym z okien plebanii.

Późnym wieczorem w kuchni kamienicy przy Tatarskiej paliły się świece. Pomimo pozornie ustabilizowanej sytuacji, w mieście wciąż panował chaos, a prądu jak nie było, tak nie było. Rozczarowani poczuli się ci, którzy liczyli na wyzwolenczą armię, bo najwidoczniej oprócz wyzwolenia nie radziła sobie z niczym innym.

Na szczęście w rurach znów płynęła bieżąca woda i Pelasia nie musiała już z wiadrami biegać do studni. Bardzo ją to cieszyło. Od kiedy w mieście zjawili się Sowieci, nie lubiła wychodzić na ulicę.

– To diabły, pani Chudecka – skarżyła się kucharce, obierając ziemniaki na jutro. – Czarne, zarośnięte diabły. Smarowozy! A jakie mają pełechy! Brudne i poklejone... Nawet jak komandir, to brusowaty. Da pani wiarę, że wczoraj na Krakowskim widziałam takiego jednego spuchlaka, co w mundurze z torbą na sprawunki łąził? Z torbą na sprawunki! Jak przekupa jaka... Gdzie im do naszych oficerów! A ich bachory?! Wrzaskliwe toto i niewychowane. Róża, ta szepetlawa, od doktorostwa Mochnackich, gadała, że przylazły na ich podwórko i w najniższych mieszkaniach wszystkie szyby kamieniami powybiły. Ot, tak, z czystej złośliwości. Potem, za przeproszeniem pani szanownej, nasrały w sieni i podtarły się prześcieradłami, co to je doktorowa Mochnacka suszyła na strychu. Dzikie i złośliwe jak małpy...

Kucharka westchnęła przeciągle, z zainteresowaniem słuchając Pelasinej paplaniny. W tych trudnych czasach plotki stanowiły jedyną bodaj rozrywkę. Przysiadła na stołku, założyła długie ręce na piersi i przytaknęła z zadowoleniem:

– Ta daj spokój, czego się spodziewać, bolszewickie nasienie... Gęby jak od siekier. Przywlekli za sobą kobity, psy i bachory. A słyszałaś, że gdzieś przy Placu Halickim zabrali porządnym ludziom chałupę i oddali jakimś ruskim siostram z Czerwonego Krzyża? Patrzaj, niby to siostry, mądre i kształcone... – Pokiwała głową sama do siebie.

– I co, pani Chudecka kochana, co? – Pelasia aż się oblizwała z ciekawości.

– Ano nic. Szmondzie, jedna w drugą. Szturpaki jakie chyba. Jedenaście ich mieszka w jednej izbie, chociaż inne puste. Nie chciało im się słomy do sienników ponakładać i na ziemi łysej śpią...

– Może pokutę czynią...

– Akurat! – prychnęła kucharka. – Bajtoły i tyle! Ogień zaczęły rozpalać na podłodze, choć w całej kamienicy piece jak ta lala. Dopiero jak sąsiedzi straż ogniową zawiadomili, to przestały. Ktoś się w końcu ulitował i pokazał, od czego są piece. Na mieście gadają, że nawet sowieckie komandiry,

dokwaterowane do ludzi, wodę z klozetów piją.

Pelasia przeżegnała się ukradkiem.

– Mateńko jedyna, ta żeby nas nikt stąd nie ruszył. Ani nikogo nam nie przysposobił... Żyć pod jednym dachem z diabłami...

– Ta weź przestań krakać! Po co tracić nadaremni słowa – zirytowała się kucharka. – Pan Gustaw ma znajomych w magistracie – dodała po chwili zastanowienia. – Nie ruszą nas.

W tej samej chwili rozległo się ciche pukanie do drzwi. Pelasia zamarła.

– Ta już, na co czekasz! – popędziła ją kucharka.

– Ale... – Pelasia z ociąganiem oderwała się od ziemniaków. – O tej porze?

– Pewnikiem to nasza Lilka z kawalirem... Państwo czekają na nich cały wieczór. Nie chciałabym być w jej skórze, ta jak mi Bóg miły... Czasy takie, a ci się pętają...

Pukanie się powtórzyło. Tym razem zabrzmiało, jakby pukającemu skończyła się cierpliwość.

Za drzwiami nerwowo przebierała nogami dozorczyńni Marczenkowa. Nie kryła zdenerwowania.

– Skoro! – popędziła Pelasię, pchając ją w głąb holu, i bezpardonowo władowała się za nią do środka.

– De pan Lindner?

– A co wy tu, jak do siebie... – odburknęła Pelasia, biorąc się pod boki. Na widok Ukrainki natychmiast odzyskała rezon. – Wiecie, która godzina?

– Nie gadaj mi tu, dziewczyno, tylko pana wołaj. – Marczenkowa najwyraźniej nie zamierzała bawić się w uprzejmości.

Z głębi mieszkania wynurzył się Gustaw. Mimo późnej pory nie sprawiał wrażenia kogoś, kto szykuje się do snu.

– Nemaje czasu! Wam treba brać rodzinę i do nas, na dół! Teper!

– Co się stało? Coś z Lilką? – Gustaw momentalnie zbladł.

– Zaraz przyjadą... – Dozorczyńni nie zrozumiała. – Nie słyszeliście? Kamienice nacjonalizują, ludzi na bruk wyrzucają... Mój ma znajomego w kwaterunku, od wczoraj wielki urzędnik! – parsknęła. – Ranisze u Baczewskich spiryt rozlewał. Ukraińcy w sowieckich mundurach i Żydzi na doczepkę... Łażą po kwartirach. Nadgorliwcy, psia jucha. Na Tatarskiej już byli, u radcy Bubera i u tego okulisty, jak mu tam...

– Abramowicza? – przeraził się Gustaw. Przed oczami stanął mu niewysoki, siwiutki jak gołąbek doktor.

– Zapakowali ich do ciężarówek i powieźli Bog wie kudy... Jedyna rada, zamienić kwartiry. Kazałam powiedzieć, że teraz my będziemy tu mieszkać, a wy pójdziecie do sutereny. No to mój poszedł. Kręcili nosem, że niby kwartira za duża na dwie osoby. I tak w końcu kogoś dokwaterują, ale póki co, może się uda. Gadali, że dozorca to już nie będzie tylko dozorca, że teper będziemy zarządzać kamienicą i pilnować, co ludzie mówią. Niedoczekanie, żeby my na kogo donieśli! – Podniosła głos, ale zaraz się opamiętała. – Im przecież najbardziej się rozchodzi, żeby polski pan nie panoszył się jak jaki bojar. A ja nie dam was pokrzywdować. Suterena będzie dobre... Jak się uspokoi, wróćcie. Lepsze to niż na Sybir... Ale cicho wam patribno bude siedzieć... No i... – Marczenkowa, zacukawszy się, spojrzała niepewnie na Gustawa.

– Niech pani mówi.

– Rewizje robią... Srebro i złoto zabierają. I inne drogocenne rzeczy. Od Bubera całe miszki wynieśli, kto by pomyślał, tak skromno żyli... – Z niedowierzaniem pokręciła głową. – Co się da schować, weźcie ze sobą, u nas szukać nie będą... Probaczcie, czo ja tak...

Gustaw podszedł do dozorczyńni i położył ręce na jej ramionach. Spojrzał kobiecie prosto w oczy.

– Co ja mam pani wybaczać, pani Marczenkowa, życie nam ratujecie.

Speszyła się i dyskretnie wytarła fartuchem łzę.

– Ja duże wdziaczna... Bym sobie nie wybaczyła, jakby wam coś się stało. Pani Marianna zawsze taka dobra, złego słowa nie powie, choć mój to czasem jak ten cham niewdzięczny się zachowuje... I pieniędzy nie żałujecie, nawet wtedy, zimą, jak nogę złamałam i nie mogłam pracować. Za likara zapłaciliście, i mojemu za likarnie... Co to, ja nie wiem, że moj zarobek wyższy niż u innych? A wungiel? Przecież nigdy my nie płacili, jak państwu przywozili, to i nam też... A co to, darmo wy dostawali...? – Rozszlochała się.

Gustaw poczuł się zakłopotany.

– No już, nie trzeba... No, niechże pani nie płacze. A o węglu nieraz gadaliśmy, mówiłem, jak jest. Zaraz powiem żonie... Marianno! – zawołał.

Pukanie do drzwi tym razem zabrzmiało jak armatni wystrzał. Pelasia, z zaciekawieniem przypatrująca się całej scenie, cofnęła się przestraszona do kuchni. Marianna stanęła w progu, zderzając się z kucharką. Gustaw delikatnie odsunął dozorczynię i uchylił drzwi.

Zagotowało się. Do mieszkania wtargnęła grupa złożona z czterech uzbrojonych Ukraińców. Jeden był po cywilnemu, reszta w sowieckich mundurach. Nie wdając się w wyjaśnienia, brutalnie odepchnęli Gustawa.

– Zajmujemy lokal! Macie dziesięć minut na spakowanie! – wrzasnął jeden, uderzając kolbą karabinu w ścianę. Posypał się tynk. Przestraszona Pelasia wcisnęła się we wnękę za kredensem.

Dozorczyńni Marczenkowa wysunęła się do przodu, głośno przełykając ślinę. Z kieszeni fartucha wyjęła jakiś świstek złożony na pół i podała mężczyźnie, trafnie typując go jako dowódcę. Zdumieni Lindnerowie usłyszeli głośną tyradę, niczym seria z karabinu maszynowego, szybującą w stronę cywila. Nie znali ukraińskiego, ale widzieli, że przemowa kobiety wywołała konsternację. Cywil przez chwilę się zastanawiał, wybałuszonymi oczami wpatrzony w pismo. W końcu podrapał się po głowie, coś odburknął, a następnie wskazał brodą mieszkanie. Jego towarzysze bez słowa rozbiegli się po pokojach. Marianna rzuciła się w ślad za nimi.

– Michaś! Przestraszy się!

Cywil skierował broń w jej stronę.

– Stój!

– Czekaaj, pani! – wtrąciła się dozorczyńni, po czym nie zważając na intruzów, poszła do bawialki. Po chwili wróciła, niosąc na rękach rozspanego chłopca.

Cała akcja trwała nie dłużej niż piętnaście minut. Tymczasem w otwartych drzwiach mieszkania stanął stary Taras Marczenko, żując nieodłączną machorkę. Jak zwykle miał nieprzeniknioną minę. Na plecach niósł wielki toból, obwiązany prześcieradłem. Sapnął i bezceremonialnie rzucił go na podłogę.

– Kazałam pierzynę i poduszki przynieść... – rzuciła półgłosem dozorczyńni. – Jak teatr, to na całego...

Marianna przytuliła zaniepokojonego Michasia. Przyglądając się Marczence, wcale nie miała przekonania, czy to aby na pewno tylko teatr...

Lilka miała zamknięte oczy. Ciemność pod powiekami była znajoma i bezpieczna, jedyne demony, jakie się w niej czaiły, to wytwory jej umysłu, ale z nimi umiała sobie radzić od najwcześniejszego dzieciństwa. Wystarczyło się skupić, na chwilę wstrzymać oddech i popatrzeć na siebie z boku. Były wtedy dwie Lilki: ta, która się boi, i ta, która ogląda swój strach z dystansu, zaciekawiona reakcją spanikowanego organizmu. Nauczyła się tej sztuczki dawno temu, lecz wtedy jeszcze nie wiedziała, że istnieje taki rodzaj przerażenia, od którego nie można się zdystansować. Dławiący, paraliżujący każdy mięsień. Strach o kogoś. W ciągu ostatnich dni doświadczała go wielokrotnie.

Przełamując drżenie kolan, posuwała się wzdłuż ściany, szorując plecami o chropowaty mur. W pewnej



chwili usłyszała cichy głos. Ktoś jęczał przeciągle. Jęk, pełen bólu i cierpienia chwycił za gardło jak lodowata dłoń. Nie zważając na strach, stanęła przed wejściem do kościoła i zamarła.

Ksiądz Fedorowicz wisiał na drzwiach, przybity niczym Chrystus do krzyża. W półmroku ledwie widziała jego rozrzucone szeroko ręce, w które wbito grube gwoździe, jakich zwykle używa się do podkładów kolejowych. Prawą przyszpilono za nadgarstek, lewą za dłoń. Widać nie była w stanie utrzymać ciężaru ciała, gdyż prawie całkiem się rozerwała, zamieniona w krwawą miazgę. Postać duchownego przechylała się groteskowo na jedną stronę, jak krzywo powieszony obraz. Ze związanych sznurkiem stóp płynęła strużka krwi, świadcząca, że tam również znajdowały się gwoździe, choć niewidoczne spod długiej sutanny.

Ksiądz opuścił głowę na pierś. Usiłował zapierać się nogami o poprzeczną belkę tuż pod jego stopami, ale wysiłki szły na marne. Raz za razem się ześlizgiwał, pogarszając tylko sytuację rąk. Rozdarcie lewej sięgało już prawie kciuka, krew ściekała gęstą strugą pod rękaw sutanny, wsiąkając w materiał pod pachą.

Rzęził coraz głośniej, nie mogąc oddychać. Pozycja na krzyżu uniemożliwiała zaczerpnięcie powietrza. Nadludzkim wysiłkiem usiłował odciążyć ręce i unieść ciało do wydechu, ale już brakowało mu sił. Przygniecione płuca pracowały coraz słabiej.

Lilka doskoczyła do niego jednym susem, omal nie łamiąc sobie nóg na schodach.

– Proszę księdza... O Chryste! Proszę księdza!

Dotknęła jego twarzy. Była zimna i mokra od potu, wiszący mężczyzna miał dreszcze. Rozejrzała się gorączkowo wokół i nagle błysnęła jej w głowie pewna myśl. Krzyknęła: „Zaraz wracam”, i wbiegła do kościoła. Kiedy pojawiła się z powrotem, dzierżąc w dłoniach srebrny świecznik o szerokiej i płaskiej podstawie, przy duchownym klęcząca przepasana fartuchem kobieta w średnim wieku i zakrywając twarz rękami, zanosila się płaczem. Na głowie miała chustę. Wyglądała jak Matka Boska Bolesna, opłakująca syna.

– Niech mi pani pomoże! – Dziewczyna domyśliła się, że to gospodyni. – Proszę objąć go w pasie i podtrzymać, żeby mógł oddychać. Mocno!

Kobieta bez słowa wykonała polecenie, jakby ulżyło jej, że ktoś przejął inicjatywę. Przełamując opór, Lilka dotknęła poszarpanej, zakrwawionej dłoni. Przydało się doświadczenie ze szpitala z pierwszych dni wojny. Zebrała z tyłu włosy nieustannie lecące na twarz i związała je paskiem od sukienki. Zaciskając nerwowo zęby, trzęsącymi się rękami, najdelikatniej jak tylko potrafiła, zaczęła podważać gwóźdź. Początkowo bez skutku, lecz o dziwo, świecznik spełnił swe zadanie i po kilku minutach gwóźdź się wysunął. Lewa ręka opadła bezwładnie wzdłuż boku. Ksiądz otworzył na chwilę oczy i jęknął. Twarz wykrzywił mu grymas cierpienia. Raz po raz tracił przytomność, ale Lilce mignęło w głowie, że to dobrze. Nie czuł wtedy bólu i nie stawiał oporu.

– Niech pani teraz trzyma mocno – sapnęła, zabierając się do drugiej.

Po chwili siłowania kolejny gwóźdź wyszedł z cichym plaśnięciem, pozostawiając krwawiącą dziurę w nadgarstku. Z chwilą, kiedy mokrymi od krwi rękami udało się go wyjąć, ksiądz opadł całym ciężarem na gospodynię. Był raczej szczupły i niewysoki, lecz gdyby nie refleks Lilki, kobieta by go nie utrzymała.

– Jezusie Nazareński... – zapłakała gospodyni, tuląc do siebie głowę nieszczęśnika. – O Jezusie! Jak mogli... tak okrutnie, z księdzem... Nie ma słów w ludzkim języku...

Lilka wytarła zakrwawiony świecznik w sukienkę, żeby nie ślizgał się w dłoniach.

– Nie pora na płacz! – rzuciła stanowczo, widząc, że kobiecina zaczyna się rozklejać. – Nie teraz... Niech pani trochę się odsunie i mocno zaprze. Zostały jeszcze stopy... Musi pani przez chwilę sama go przytrzymać. Da pani radę?

– Dam. – Gospodyni wzięła się w garść. – To święty człowiek, wszystko dla niego zrobię.

Zerwał się chłodny wiatr, przynosząc nieprzyjemny odór spalenizny. Zawirowały liście przed kościołem.

– Więc proszę trzymać – rozkazała Lilka, przyklękając.

Nogi związane razem, ale przybito każdą z osobna. Oprawcy najwidoczniej nie znali się na rzeczy, bo nie ugięto ich w kolanach przed ukrzyżowaniem, przez co ksiądz zyskał większą możliwość ruchu. Na dodatek nie zdjęto mu butów i porządnie przybito jedynie lewą. W prawej gwóźdź przeszedł na wylot przez but, zaledwie drasnawszy śródstopie. Jednak ten siedział najmocniej i mocno musiała się natrudzić, żeby go wyjąć. Świecznik kleił się i ślizgał, wciąż wysuwał się z dłoni, mokrych od krwi i potu i kiedy właśnie zaczęła wątpić, czy da sobie radę, ostatni gwóźdź puścił.

Ostrożnie ułożyły księdza na ziemi. Ponownie stracił przytomność, ale klatka piersiowa unosiła się w miarowym rytmie. Teraz oddychał normalnie i swobodnie, ściśnięte płuca wreszcie dostały potrzebną ilość tlenu. Gospodyni położyła jego głowę na swoich kolanach i znowu się rozplakała. Gładziła go delikatnie po włosach i kołysała, szepcząc jak do dziecka:

– Będzie dobrze... Wszystko będzie dobrze... „Na krzyżu zawisł Boży Syn z powodu naszych win”... – zanuciła półgłosem, przymykając oczy.

– Trzeba zatamować krew i opatrzyć rany. Ma pani coś, gazę, bandażę...? Musimy wnieść go do środka, najlepiej na plebanię. – Lilka mówiła coraz głośniejszym głosem, bo kobieta nie słuchała, odpływając w głąb siebie. – Same nie damy rady... Halo! Proszę pani!

Gospodyni raptem zamilkła i podniosła na nią zadziwiająco przytomne spojrzenie.

– Nic nie zostało... Opatrywałam ich po każdej akcji, nie mieliśmy skąd brać... Ale może... Po drugiej stronie mieszka kościelny. Silny chłop. I dobry. Jego żona jest salową w szpitalu.

Od początku działań wojennych we Lwowie były trudności ze środkami higienicznymi i opatrunkowymi. Ludzie radzili sobie, jak mogli, darli prześcieradła, a rany odkażali wodą z mydłem, jeśli akurat było. Jeśli nie, musiała wystarczyć sama woda. Czasem używano sproszkowanych liści wierzby działających przeciwzapalnie.

Dziewczyna w jednej chwili podjęła decyzję. Musiała zrobić wszystko, by wyciągnąć tę kobietę z letargu. Bez niej nie dałaby sobie rady.

– Niech pani po niego leci. Mnie mógłby się wystraszyć... I niech weźmie, co ma, gazę, bandażę, wszystko jedno. Ostatecznie jakieś płótno. Jeśli ma, to spirytus by się przydał. Ja tu poczekam.

Kiedy gospodyni zniknęła w ciemnej ulicy, Lilka podłożyła księdzu pod głowę swój sweter, nawet nie zauważywszy, że jej ciało pokryło się gęsią skórą. Była spocona i rozgorączkowana. Poprawiła plecak na ramieniu i ruszyła ku pobliskiej kępie drzew. Musiała odzyskać równowagę i nieco uporządkować myśli.

Martwiła się o Wiktora, o Szczurka, o wszystkich. Chciała wierzyć, że zabrano ich do więzienia w Brygidkach albo na Zamarstynowie. Nie dopuszczała do siebie myśli, iż mogło się stać coś znacznie gorszego. Na pewno zapakowali ich do ciężarówek i dzisiaj noc spędzą na betonowej podłodze. Przecież gdyby chcieli wszystkich zabić, nie zadawaliby sobie trudu z wpychaniem ich do ciężarówek. Jutro się okaże, że to pomyłka... Przecież Wiktor nie miał nic wspólnego z tamtymi harcerzami... Chwytała się rozpaczliwie tej nadziei, czując, że to jedyny sposób, by nie zwariować ze strachu.

Nieoczekiwanie przyszedł jej do głowy Orest. Trzeba go szukać! Teraz już nie tylko ze względu na Jakuba. Orest jest Ukraińcem, ma wysoko postawionych znajomych. Choćby musiała iść do Borysławia na piechotę – znajdzie go, wykopie spod ziemi, jeśli będzie trzeba! Tylko on może pomóc.

Była potwornie znużona. Napięcie ostatnich godzin zamieniło jej ciało w skałę, jakby wyczerpały się zapasy energii. Bolały ją ręce, nogi, wstrząsały nią dreszcze. W pewnej chwili z jej gardła wydarł się głęboki szloch i to w jakimś sensie pomogło odzyskać równowagę. Musiała tylko pilnować, żeby się nie

rozpląkać, nad potokiem łez nie potrafiłaby zapanować, a czuła, że czają się niebezpiecznie płytko.

Zacisnęła zęby. Nie miała teraz czasu na roztkliwianie się. Wystawiła twarz na ciepły wiatr i odetchnęła głęboko dwa razy. Mimo że wrzesień był tego roku upalny i suchy, odczuwała chłód, promieniujący od serca. Objęła się za ramiona i już miała wrócić przed kościół, kiedy jej uwagę zwrócił jasny damski pantofel, wystający zza smukłej topoli.

Janka siedziała na ściętym pniu jak na taborecie, oparta plecami o sąsiednie drzewo. Głowę opuściła na piersi. Ręce zwisały bezwładnie wzdłuż ciała. Lilka przyskoczyła do niej, potknęła się o jakiś wystający korzeń i wpadła z impetem na przyjaciółkę.

– Janka! Bogu dzięki!

Okrzyk zamarł jej na ustach. Bezwładne ciało, potrącone zniecacka, osunęło się na ziemię. W prawej skroni Janki widniał niewielki, czarny otwór. Twarz była zalana krwią, a rude włosy, mokre od tej strony, zlepily się w jeden wielki strąk. Lilka nie miała pojęcia, dlaczego Janka znalazła się w takiej dziwnej pozycji, dlaczego tu została, ale nic jej to w tej chwili nie obchodziło. Uklękła, wzięła w dłonie piegowatą twarzyczkę przyjaciółki i podsunęła kolana pod jej głowę. Pogładziła ją po włosach, odgarniając z czoła dwa sztywne od krwi kosmyki.

– To nic... to nic takiego, wszystko będzie dobrze. Jestem pewna, że nikomu nic się nie stało, zobaczysz, oni wszyscy żyją. Jeszcze się przekonasz. I Zbyszek żyje, słyszałam jak ładowali ich na ciężarówkę. Na pewno żyją. Ksiądz przybili, ale żyje. I Jakub żyje... Na pewno żyje, w końcu go znajdę. Tylko muszę do Borysławia. Ten plecak... – Poklepała parciany tobolek. – Wszyscy się śmieją, że taka galanta, buty na glans, a torebka jak od hołodrygi... Ale wiesz... ten plecak... Wcale nie lubię Oresta, jest taki odpychający, mówiłam ci, pamiętasz? Ale tylko on pomoże. Jakub powiedział... Zobaczysz, pomoże. Jestem tego pewna!

Przemawiała do trupa jak do dziecka, jednocześnie poprawiając przekrzywioną spódnice przyjaciółki. Dostrzegła, że Janka ma tylko jeden pantofel na nodze. Drugi leżał w trawie nieopodal. Ostrożnie odsunęła ciało, podłożyła pod głowę dziewczyny płaski kamień i nie wstając z klęczek, włożyła jej but. To było w tej chwili najważniejsze, banalny, z pozoru nieistotny gest, który przywracał równowagę oszalałej rzeczywistości. Ważniejszy nawet niż jęczący na schodach kościoła i cierpiący ksiądz. Kiedy zobaczyła, że od strony bramy nadciąga niewielki pochód prowadzony przez podekscytowaną gospodynię, przylgnęła do drzewa, chowając się w ciemnościach. Gdy tamci ją minęli, poprawiła plecak na ramieniu, jeszcze raz spojrzała na Jankę i odwróciwszy się na pięcie, zniknęła za bramą.

Wszystko wokół pogrążone było w mroku i ciszy. Umilkły odgłosy wystrzałów, ludzie po zmierzchu nie mieli odwagi zapuszczać się w miasto, które z przyjaznej, oswojonej oazy zamieniło się w jakąś nieprzewidywalną i groźną pustynię; nieznaną, straszącą ciemnością, spalonymi kikutami kamienic i gruzem zalegającym na chodnikach. Po kątach czaiły się cienie, zza drzew i z bram błyskały małe światełka, które równie dobrze mogły być kocimi oczami, niewielkimi latarkami, jak i złowieszczymi ślepiami śledzącymi każdy ruch tych lekkomyślnych, którzy z jakichś powodów nieopatrznie znaleźli się o tej porze na ulicy. Upalne wrześniowe powietrze przesycone było spalenizną i tą specyficzną wonią strachu i rozkładu, której nie można opisać, ale rozpoznaje się ją bezbłędnie już w pierwszej sekundzie, gdy uderzy w nozdrza.

Lilka chciała jak najszybciej znaleźć się w domu. To pragnienie zabijało nawet strach przed opustoszałym miastem. Biegła ulicami, nie mogąc złapać tchu, pewna, że kiedy zobaczy rodziców i Michasia, wszystko wróci na swoje miejsce. Byle do domu, do bezpiecznego azylu, gdzie znowu będzie mogła stać się dzieckiem.

Od początku września tramwaje kursowały nieregularnie, bez oglądania się na rozkład jazdy, a kiedy

zaczynało zmierzchać, podążały do zajezdni w niepewnym oczekiwaniu na jutro. Zresztą ludzie i tak bardziej ufali własnym nogom; podczas nalotu szybciej mogli się skryć w przypadkowej bramie.

Mijała właśnie Park Kościuszki, gdy na wysokości Marszałkowskiej drogę zagrodziła jej płonąca wojskowa ciężarówka. Wbita w ogrodzenie okalające park strzelała w niebo jasnymi płomieniami. Wypadek musiał nastąpić niedawno, dookoła auta w szaleńczym pośpiechu krzatali się ludzie, usiłując wyciągnąć, co się jeszcze dało.

– Ludziska! Hajda stąd! Zaraz wybuchnie!

Stojący na chodniku mężczyzna w cyklistówce odganiał gapiów.

– A panna tu czego? – krzyknął na widok Lilki, która zatrzymała się jak wryta, hipnotycznie wpatrzona w ogień. To wystarczyło. Momentalnie odzyskała władzę w nogach i rzuciła się do ucieczki. Nie bała się wybuchu, ale nie miała już dziś siły, by oglądać kolejne trupy.

Kiedy znalazła się na Tatarskiej, na wprost kamienicy, w której mieszkała, odetchnęła z ulgą. Stąd miała tylko dwa kroki. Dwa kroki do dzieciństwa.

– Stój! – Ktoś bezceremonialnie złapał ją za plecak i pociągnął do tyłu. Szarpnęła się odruchowo, próbując uwolnić ramiona. Pod nogą wyczuła kawałki gruzu. Schyliła się i już miała zaprawić napastnika w ciemność, gdy naraz wydało jej się, że ten głos zabrzmiał znajomo.

– No stój, na miłość boską, bo ci fackę sprzedam! Jak babcię Kocham, coś ty taka narwana!

– Wanda!

– Po co ci ten kamień? – Mimo mroku Lilka dostrzegła podejrzliwy wzrok koleżanki.

– Oszalałaś? Jeszcze pytasz? Co tu robisz?

Wanda zmarkotniała.

– Czekam na ciebie. A tak po prawdzie, szłam do was, ale zobaczyłam, jak podjechały ciężarówki i wyskoczyli jacyś z bronią, a potem wbiegli w bramę. Wciąż tam są...

Lilka dopiero teraz spostrzegła, że przed jej kamienicą stoją dwa samochody. W szoferce jednego wciąż ktoś siedział. W mętym, samochodowym świetle widać było, jak zapalał papierosa.

– Schowajmy się lepiej. – Wanda pociągnęła ją za ramię. Przebiegły kilka metrów i skryły się za wysokim żywopłotem. Upadły na kolana.

– Kto to? – Lilka była przerażona.

– Nie mam pojęcia... Wyglądało jak chatranka, ale to nie policja przecież. Chyba ruskie...

– Idę tam! – oświadczyła Lilka, podnosząc się z klęczek. Wanda przytrzymała ją za ramię.

– Zdurniałaś chyba! Siedź tu i się nie ruszaj.

– Ale...

– Siedź, powiedziałam! I tak nic nie pomożesz, co ma być, to będzie, a chyba lepiej, żebyś miała możliwości działania. Wolisz dać się złapać? Szlachetne. Ale głupie. Słuchaj... – Wanda położyła jej ręce na ramiona i zmusiła, żeby przyjaciółka odwróciła głowę od ulicy. – Aresztowali Jurka. Poszliśmy na uniwersytet, Jurek mówił, że wywiesili jakieś ogłoszenia o pracy, wiesz, takie bezpieczne, nie trefne jak na Brajerowskiej. Nie zdążyliśmy nawet wejść, zgarnęli nas na dziedzińcu. Sama nie wiem, jakim cudem udało mi się uciec. Jurek mnie wepchnął na schody do piwnicy. Poleciałam pyskiem na węgiel i zanim się wygramoliłam, już nikogo nie było. Boję się, Lilka... To wszystko moja wina. Wiedziałam, że on może być na liście, ale głupio mi się wydawało, że ważniejsze jest, żeby bronić miasta, a nie uciekać jak szczury. Boże, byłam taka durna i naiwna! Gównem z tej naszej obrony wyszło, a Jurek za to teraz zapłaci... Muszę mu pomóc, rozumiesz? Oni mają na niego papiery... Muszę zrobić wszystko, żeby go wypuścili. – Wanda zacisnęła szczęki. W jej głosie zadźwięczały stalowe nuty. – Całe to gadanie o obronie... – prychnęła nagle. – I co nam z tego przyszło? Naiwne dziewczuszki, którym się wydaje, że coś mogą, a jak się robi gorąco, to z wrzaskiem lecą do mamusi... Tym byliśmy, wiesz? Bohaterki jak

z koziej dupy waltornia, wychowane w micie zwycięstwa. Dużo gadania i wzniosłych słów. Wojna i romantyczne rany w obojczyk. Miłość na noszach... Jezu... A czy która z nas cokolwiek zrobiła? Która poleciała na barykady walczyć ramię w ramię z żołnierzami? Boże, jakimi kretynkami byłyśmy!

– Janka nie żyje – rzuciła głucho Lilka. – Walczyła w Ochotniczym Batalionie Obrony, była ranna...

Wandzie na chwilę odebrało mowę.

– O Jezu... Nie wiedziałam. Zginęła w czasie walk?

– Nie. Zastrzelili ją godzinę temu, w kościele Świętej Marii Magdaleny. Brała ślub...

Lilka w kilku słowach streściła minione wydarzenia. Nie miała siły więcej opowiadać. Wanda bez słowa przygarnęła ją do siebie. Siedziały tak dłuższą chwilę, dotykając się głowami, w końcu Wanda nie wytrzymała. Załamywanie rąk nie leżało w jej naturze.

– Jance nie pomożemy, ale możemy pomóc innym – oświadczyła dobitnie, zaciskając pięści. – Szczurkowi, Wiktorowi, Jurkowi i tym harcerzom, co mówiłaś. Przyszłam do ciebie, bo Jurek w ostatniej chwili kazał mi się skontaktować z Orestem. Nie mam pojęcia, gdzie go szukać, a przypomniało mi się, że znają się z Jakubem. Może on będzie wiedział?

Lilka przyciągnęła do siebie plecak. Odwróciła głowę. Nie chciała, żeby Wanda zobaczyła łzy.

– Ja wiem, gdzie go szukać. Muszę się dostać do Borysławia. – W jednej chwili podjęła decyzję. Nie musiała wtajemniczać Wandy, ale pomyślała, że we dwie zdziałają więcej. – Jeśli się nie boisz, chodź ze mną. W Winniczkach weźmiemy konie, a drogę do Borysławia znam. Pojedziemy lasami, omijając główne drogi.

– Bać się? – Wanda uśmiechnęła się krzywo. – Od kiedy aresztowali Jurka, niczego się już nie boję. O ojcu też nie mam żadnych wieści. Człowiek boi się, jak ma coś do stracenia. Ja już nie mam nic.

Lilka ostrożnie wychyliła się z żółknących jesiennych krzaków. Ciężarówka w dalszym ciągu stała na ulicy. W oknach mieszkania drgało światło, zasłony były rozsunięte, lecz choć usiłowała przebić wzrokiem ciemność, nic nie zobaczyła. Po krótkiej dyskusji uznały, że nie ma na co czekać; im szybciej się dostaną do Winniczek, tym większe będą miały szanse na uratowanie bliskich.

Świtało, gdy zmęczone stanęły przy pierwszych zabudowaniach wsi. Szły bez przerwy przez kilka godzin. Na szczęście noc była ciepła i sucha, więc nie groziło im, że zmarzną. Odpoczywały, chowając się po rowach i czuwając na zmianę, choć i tak żadna oka nie zmrużyła. Po drodze nikt ich nie zaczepił, nikt nie zwracał na nie uwagi. Ulice były puste i wyludnione. Za miastem również nikogo nie spotkały; dwa razy przebiegła im drogę spłoszona sarna, to znów natknęły się na niewielkie stado dzików, buchtujące na polu ziemniaków w poszukiwaniu jedzenia. Nigdzie za to nie było widać sowieckich żołnierzy, jakby odsypiali gdzieś trudy ostatnich dni, zanim na dobre rozsiądą się we Lwowie. Lilka pomyślała smętnie, że gdyby nie dramatyczne okoliczności, wyprawa miałaby ów specyficzny urok zakazanej rozrywki. Jeszcze kilka miesięcy temu mama prędzej trupem by padła, niż pozwoliła, żeby córka błąkała się nocą po mieście.

– Swoją drogą teraz padłaby jeszcze szybciej... – mruknęła na głos.

– Co tam mamroczesz? – zainteresowała się zaspana Wanda. – Padam na twarz, daleko jeszcze? Mam nadzieję, że chociaż ciepłego mleka dadzą...

Były głodne i zmęczone, więc Lilka postanowiła, że nie czekając, aż się całkiem rozjaśni, od razu pójdą do domu. O tej porze pani Helenka powinna już być na nogach, a i Antoni zapewne się krząta, doi krowy i dogląda obejścia. Od kiedy wybuchła wojna, na dobre przeprowadził się do majątku, żeby mieć na wszystko baczenie. Potrzebowały snu i porządnego śniadania, zanim udadzą się dalej.

– Jakub mówił, że Antoni ukrył konie gdzieś na końcu wsi – powiedziała Lilka, przechodząc przez drogę.

Za dorodną kępą drzew, na tle łagodnych wzniesień, rysowała się okazała sylwetka domu w stylu dworku polskiego, pokrytego gontem. Razem z zabudowaniami gospodarczymi wzniesiony był na planie litery U i stanowił najdalej położony budynek. Jednak nawet z tej odległości widać było ganek ozdobiony dwiema kolumnami, porośniętymi wiciokrzewem, i drewniane, niebieskie okiennice, teraz zamknięte. Z komina unosił się dym.

– Ponoć ruskie na nie pazerne... Profesor Ostrowski mówił, że od czasów kolektywizacji nie mogą mieć własnych.

Wanda od dłuższego czasu nad czymś dumiała. Kiedy Lilka zamierzała już wejść na podwórko, nieoczekiwanie złapała ją za rękę.

– Poczekaj! Jaką mamy pewność, że tam nikogo nie ma? Znaczy, że nie ma Ukraińców? Albo kacapów? Słyszałam straszne historie... Podobno bandy nacjonalistów mordują Polaków po wsiach albo wydają Sowiecom. Zasadzają się na resztki wycofującego się wojska, rozbijają, każą doły kopać, a potem... – Wanda zawiesiła głos. – Jurek mówił, że niedaleko Czystek, w jakiejś wsi, obcięli kobietom piersi... Ustawili je wszystkie w rzędzie i... W ogóle potworne rzeczy mówił, aż wierzyć trudno – westchnęła. – Zakradnijmy się od tyłu, tak będzie bezpieczniej. Może uda się co zobaczyć.

– Ale tam wszystko zarośnięte. Same krzaki i pokrzywy...

– Tym lepiej – skwitowała Wanda. – Schowamy się. Uważam, że powinniśmy najpierw sprawdzić. Skąd wiesz, czy oni jeszcze...

Nie dokończyła, ale Lilka wiedziała, co przyjaciółka chciała powiedzieć. Od początku wojny człowiek niczego nie mógł być pewien. Śmierć stała się upiorną towarzyszką każdego dnia, każdej nocy. Nowa rzeczywistość wciąż zaskakiwała, najczęściej w dramatyczny, szokujący sposób. Przestały obowiązywać znane schematy i bezpieczniej było spodziewać się najgorszego. To zwiększało szanse przeżycia.

Pochylone przemknęły wzdłuż niskiego żywopłotu i po chwili znalazły się na tyłach domu. Rosły tu wysokie krzaki leszczyny i czarnego bzu, stanowiące idealne miejsce na kryjówkę. Wyraźnie widać było podwórko, ogród i niewielką przeszkloną werandę, na której wiosną, nim zaczęły się upały, jadano posiłki. Wanda pociągnęła Lilkę do siebie. Znieruchomiały przytulone nisko przy ziemi, z nosami w trawie, jednocześnie usiłując zlustrować wzrokiem otoczenie.

– Chyba spokojnie... – szepnęła Lilka, wyciągając szyję. – Nic się nie dzieje. Tylko te szyby, zobacz... – Wskazała brodą.

Weranda nosiła ślady zniszczenia. Część okien została wytłuczona, a drewniane schodki prowadzące do domu wyglądały jak porąbane siekierą. Poza tym było pusto i cicho. Jedyne piania kogutów, jeszcze nieco zaspane, od czasu do czasu mąciły ciszę, unosząc się nad wsią i zwiastując kolejny poranek.

– Może były naloty?

– I tylko takie zniszczenia? Dach cały, ściany całe, obora i stajnie też. Nigdzie nie widać lejów po bombach. Nie... – Lilka pokręciła głową. – Poza tym porządek, wszystko na swoim miejscu. Zobacz, nawet skrzynki z astrami stoją, jak stały.

Nie wiadomo dlaczego zaświtała jej myśl, że gdyby wydarzyło się coś złego, kwiaty nie mogłyby sobie rosnać jak gdyby nigdy nic.

Kiedy tak rozważały, czy mogą bezpiecznie wejść do środka, drzwi się otworzyły, a w progu stanął wysoki, nieco zgarbiony mężczyzna. W rękach trzymał wiadro.

– Antoni! – krzyknęła Lilka, zrywając się na nogi. Zanim Wanda zdążyła zareagować, jak strzała pomknęła przez podwórko. – Antoni, jak dobrze, że jesteście! – Rzuciła się na szyję osłupiałemu zarządcy. – Boże, marzymy o śniadaniu! Wanda, chodź, wszystko w porządku! – krzyknęła w stronę kępy czarnego bzu.

– Panienska Lilka?! – Mężczyzna, w przeciwieństwie do niej, nie wyglądał na uszczęśliwionego.

W oczach miał przerażenie. – Ta skąd panienka tutaj, na miłość boską? Cichaj, dziecko, nie tak głośno.

– Gdzie Jakub? – Lilka nie zwracała uwagi na rozszerzone strachem oczy zarządcy i jego ściszony głos.

– Jest tu?

– A skąd! Już będzie tydzień, jak my go nie widzieli. I Bogu dziękować, ta joj. U nas kacapy tera siedzą. Panienka musi stąd uchodzić, i to rychło. Tera śpią, jeden z drugim, ćmągi si opili, szkoden goden... Ali to długi gadani by putrzebny...

– W domu? – Lilka była wstrząśnięta.

– A w domu, w domu. A panienka tu co, ta joj? – powtórzył. – Czemu ni we Lwowi? Ta gdzie pan Gustaw, że tak zezwolił?

Lilka złapała go za rękę. Już wiedziała, że nici z bezpiecznego łóżka i obfitego śniadania.

– Z ojcem wszystko w porządku. Antoni, potrzebuję konia. Jakub mówił, że Huragan wciąż tu jest. I jedzenia. Od wczoraj nic nie miałyśmy w ustach. – Wskazała głową na stojącą opodal Wandę. – Musimy się dostać do...

– Ciii... – przerwał Antoni. – Lepij mi nie wiedzieć. Dla nas wszystkich bezpieczniej. – Rzucił okiem za siebie, w głąb domu. – Tera nic nie mogę, najsampierw krowy mi trza wydoić. Parobków Ukraińcy zabrali, sami z moju babu my zostali, a jadaczek wiela do wykarmienia. Niech no panny chyłkiem idą na koniec wsi, tam, gdzie chałupa starej Bednarzowej. Jak się tu skończy kalamacja, przyniesę coś do jedzenia. I konie pokażę. A tera hajda mi stąd, zara się obudzą. I nikomu się nie pokazujcie! – dodał jeszcze, widząc, jak obie wycofują się w zarośla.

– Gdzie ta chałupa? – zapytała zdyszana Wanda, przełaząc przez zarośnięty rów, którym w czasie deszczów płynęła woda. – Jezu, już nigdzie nie jest bezpiecznie... Nie wiem, jak się dostaniemy do Borysławia. Na drogach niebezpiecznie, we wsiach niebezpiecznie...

– Będziemy chyba musiały jechać nocą – powiedziała Lilka i raptem przystanąła. – Umiesz jeździć konno? – zapytała podejrziwie.

– Ciotka mnie nauczyła – odrzekła, krzywiąc się, Wanda. – Chociaż taka z niej korzyść...

Bez przeszkód dotarły do starej, walącej się chaty pod lasem, w której od dawna już nikt nie mieszkał. Zagrodę ocieniały czarne sosny i rozłożyste świerki. Schowana wśród traw i nawłoci, stanowiła dobre schronienie. Położona w pewnym oddaleniu od wsi, nie wzbudzała zainteresowania i nawet mieszkańcy tu nie zaglądali. Stara Bednarzowa umarła zeszłej jesieni, a jej dzieci wyjechały do miasta, nie interesując się losem lichej chałupki, zwłaszcza że stała na cudzej ziemi. Lilka i Wanda znalazły w izbie stary, częściowo wybebeszony siennik, ale były tak zmęczone, że przełamując niechęć, rzuciły się na niego i zasnęły po kilku chwilach.

Późnym popołudniem pojawił się Antoni. Przeprosił za zwłokę, tłumacząc, że razem z żoną musieli zabijać i patroszyć kury. Wojsko sowieckie siedziało już prawie tydzień i pomału w gospodarstwie kończyła się żywność. Na szczęście oprócz tego, że wlewali w siebie litry gorzały i pożerali wszystko, co się dało, nie było z nimi większych kłopotów. Na trzeźwo nie byli agresywni, raczej nieco onieśmieleni luksusami, jakich nigdy nie zaznali w swoich zapadłych sowieckich siołach pod Uralem. Największą nieufność budził w nich sedes i woda, w magiczny sposób lejąca się za pociągnięciem spłuczki. Antoni musiał im pokazać, do czego służy, bo przez pierwsze dni chodzili za chałupę, traktując rezerwuar jako zwykowny pojemnik na wodę pitną. Kiedy, przełamując pierwszą niechęć, w końcu zaczęli wykorzystywać toaletę zgodnie z przeznaczeniem, pani Helenka w kuchni słyszała, jak raz po raz spuszczała wodę, zaśmiewając się przy tym jak dzieci.

Tylko śmierdzieli jak capy. Kufajki i gimnastorki, poprzecierane na łokciach, aż się kleiły od brudu. Butów, powiązanych sznurkiem i drutem, by ledwie trzymające się podeszwy nie powędrowały w dal, nie ściągali nawet do spania. Byli jak dzicz z samego serca stepu; na brudnych włosach nosili mongolskie



hełmy z pikami, takie szmaciane pikielhauby. Kiedy nie mogąc już znieść fetoru snującego się po pokojach, pani Helenka zaproponowała, że nagrzeje im wody, młody komandir, skośnooki chłopak spod Akmoły, na widok którego od razu pomyślała, że to chyba jaki pitolko, a nie poważny dowódca, bo szmatławy mundur miał przewiązany grubym sznurem konopnym, odparł, że oni nie pany i myć się nie muszą. Poza tym, dodał pouczająco, woda nie zabija wszy! I z dumą wyciągnął metalowe pudełko, pełne śmierdzącej dziegciem maści, której używali zamiast wody i mydła. Na koniec rzucił z pogardą, że Polska, taki kraj panów i bogaczy, a oni we Lwowie nie widzieli ani jednej odwszalni. To jak wy się tu wszy pozbywacie?

Pani Helenka była pewna, że już nic nie może jej zaskoczyć. Jakież jednak było jej zdziwienie, gdy pewnego razu, niosąc wiadro pełne mleka z porannego udoju, nieopatrznie zajrzała przez okno werandy. Sowietci leżeli rozwaleni na sofach i krzesłach i zajęci byli lizaniem... lepów na muchy. Miny mieli przy tym tak błogie, jakby smakowali ambrozji.

– Jezus Maria, Antoni, też się potrują albo jeszcze gorzej, sraczki dostaną!

– Ta niech się trują, nie nasz interes.

– Ale jak się posrają, to nasz. Ja już teraz tego smrodu znieść nie mogę.

– Lepy są robione z miodu, może myślą, że to lizaki.

Pani Helenka jedynie z niedowierzaniem kręciła głową, za to Antoni w duchu nawet się cieszył. Dzięki tej azjatyckiej hordzie wieść do tej pory omijały ukraińskie bandy, o których okrucieństwie krążyły przerażające opowieści. Zaraz na początku wojny przepadły chłopaki od Hryciuków. Większość Polaków ze wsi powołano do wojska. Co się stało z Ukraińcami, tego nikt nie wiedział. Pewnego wrześnieowego ranka wyszli z domu i słuch o nich zaginął. Po chałupach szeptano, że poszli do lasu, ale głośno nikt nie odważył się tego powiedzieć, zwłaszcza że stara Hryciukowa, babka chłopców, zielarka, ciesząca się we wsi poważaniem, zaczepiała, kogo spotkała, i wypłakiwała się każdemu w rękaw. Antoni opowiedział, jak przysłała się pożalić do majątku, jeszcze zanim ruskie nastały.

– Ta gdzie moi synkowie do bandy jakiej? To dobre chłopaki, panie Antoni, wiesz pan przecież. A za panem dziedzicem w ogień by poszli. Przez tyle lat my tu żyli jak jedna rodzina, tyle dobrego od was doznali, a teraz mieliby mordować, bo wy Polacy, a my Rusini? Człowiek, panie Antoni, to człowiek. Albo dobry, albo zły i nijakiej przyczyny złości nie ma w języku i pochodzeniu. My się tu urodzili, wy się tu urodzili... Z paniczem Jakubem jak bracia rodzone...

– Pani Hryciukowa – Antoniemu żal się zrobiło staruszki – też nikt nie gada, że oni co złe robią... Wiadomo, dobre chłopaki zawsze byli – dodał, mając nadzieję, że to, co powiedział, zabrzmiało wiarygodnie.

Jakub, który słuchał tej rozmowy, pokiwał smutno głową.

– Ludzie dobrzy, pani Hryciukowa. Tylko czasy złe...

Antoni przyniósł ze sobą dwa słoiki gorącego rosołu z kluskami, trochę chleba i cztery pęta kiełbasy. Dodatkowo wyciągnął z tobołka dwie pary starych bryczesów Lilki i grube swetry.

Lilka i Wanda bez słowa rzuciły się na jedzenie. Antoni zerknął na dziewczęta z ukosa spod krzaczastych brwi.

– Noce furt ciepłe, ale w tych kieckach na koniu chyba niewygodnie... A panienki to ryzykowali, że Boże uchroni – mruknął z naganą, przyglądając się z zadowoleniem, jak rosół znika ze słoików. – Poligutko, skrętu kiszki można dostać – przestrzegł. – Kacapy od rana do nocy chirne – westchnął, przysiadając na stercie cegieł z rozebranego pieca.

Podniósł z ziemi zielony, gliniany kafel, częściowo połamany, jakby dziwiąc się, że jeszcze cokolwiek tu się ostało. Kiedy Bednarzowa umarła, z chałupy wyniesiono wszystko, co nadawało się do użytku.

– Spiryt się strumieniami leje, a panny w łapy im się pchali, jak nie przymierzając muchy w pajęczynę.

Moi baby nie ruszyli, kto by im żarło prażył, ale panny Lilki, to ja by nie uratował... Ta joj, nawet myśleć nie chcę...

Po posiłku przebrały się i pozwoliły poprowadzić w głąb lasu. Okrążyli niewielkie jezioro otoczone szerokim pasem bagien, minęli młodnik posadzony na miejscu starego lasu, który ucierpiał od zeszłorocznych huraganów, i znaleźli się na niewielkiej polanie, ukrytej wśród wysokich drzew i zarośli, ogrodzonej prowizorycznym płotem. Nie prowadziła tu żadna droga i niewprawne oko nawet by nie zauważyło ledwie wydeptanej ścieżki wśród kłujących jeżyn.

Na ścianie lasu, pod dębami, stała prowizoryczna wiata sklecona naprędce z żerdzi, zadaszona powiązanymi gałęziami świerków i sosen. W środku było duże koryto z wodą. W kącie leżał stos świeżego siana. Na łące pasło się kilka koni.

– Huragan! – Lilka w okamgnieniu znalazła się przy pięknym, karym koniu o sierści lśniącej jak jedwab. – Koniku – szeptała, przytulając się do jego pyska. – Mój koniku...

Huragan zarżał, pochylając łeb. Widać było, że pieszczoty sprawiają mu przyjemność. W jego połyskliwej grzywie błysnęły ostatnie promienie słońca. Antoni stał obok Wandy, z czułością przyglądając się koniom. Z zawodu był kowalem i najchętniej wróciłby do swego zajęcia. Niestety, wojna nie pytała, co kto woli.

– Ta ja nie wiem, co tera ze stadnią... Panicz Jakub mówił, że konie tam niebezpieczne. Przed jesienią aukcja miała być, wszystko przygotowane, ale ta kto tera wie, co będzie. – Westchnął ciężko. – Przyprowadził kilka najbardziej ulubionych i powiada: „Antoni, niech Antoni je gdzie ukryje”. Najsamwpierw ja zamyśliwał, że może w Sosnowce, u państwa Strońskich... Że niby bezpieczniej, bo to i dzicz większa, i droga gorsza. Ale potem się wydało, że tam już Ukraińcy...

– O Boże! – Lilka oderwała się od Huragana. – A ciotka i wuj? Co z nimi?

– Ta niech się panna Lilka nie frasuje. – Zarządca uśmiechnął się uspokajająco. Kąciki jego oczu zmarszczyły się w ciepłym grymasie. – Wszystkie bezpieczne, do Paryża wyjechali, kiedy jeszcze dało się podróżować. Zajrzeli tu przed wyjazdem, list zostawili dla pana Gustawa, ale tak po prawdzie... – z zakłopotaniem zdjął czapkę i podrapał się po głowie. – Ja zapomniał dać... Co noc my drzwi ryglowali, rańsze przed Niemcem, potem przed Ukraińcem... Bali my się, że gardła nam w nocy popodrzynają. Potem ja miał przekazać Jakubowi, ale to akuratnie kacapy nadeszli i nikt już głowy nie miał. – Wyglądał na zmartwionego.

– Niech się Antoni nie martwi, powiem ojcu... Najważniejsze, że są bezpieczni. A Antoniemu tyle zawdzięczamy, że nie wiem, czy kiedykolwiek się odplącimy. Gdyby nie wy...

– A co tam gadać po próżnicy. – Mężczyzna machnął ręką. – Byle państwo było bezpieczne. Pani Marianna delikatna jak ta ptaszyna, a pan Gustaw tera ich wróg największy... Obszarnik kapitalista. To już z dwojga złego chyba lepiej, jakby Niemiec tu nastał – mruknął, nie przeczuwając, że kiedyś pożałuje tych słów. – Wojna zmienia ludzi. Człek w pojedynkę nie przeżyje, ale takie czasy, że jeden drugiemu wilkiem. Nie dalej jak wczoraj ktoś doniósł, że u Kmieciów jest radio, audycje zagraniczne nastawiają. Ruskie wpadli jak huragan, radio roztrzaskali i jeszcze kabana zaszlachtowali. Nakazali jutro kiełbasy sporządzać. Jakby panny zaczekali, to ja by więcej wałówki przynies. Studzieniny i świeżej szperki, jak panna Lilka lubi. Albo i szkwarki na chleb... A i pani by popróbowała.

– I tak pan się dla nas naraża – zaprotestowała Wanda. – Nie możemy, tu idzie o życie, każdy dzień się liczy. A swoją drogą – dodała z przekąsem – dobrze się Sowietom u was powodzi...

– Dobrze, niedobrze. – Antoni nie zareagował na zaczepkę. – Lepiej, że tu siedzą, szkód wielkich nie robią. A mogli przyjść Ukraińcy, majątek z dymem puścić. Ta sałamacha niedługo się skończy i państwo będą mogli spokojnie do domu wrócić, bo my tu na wszystko mamy baczenie. A jakby mnie kto pytał, to ja by panny Lilki i jej kolegówny samych nigdzie nie puścił. Ale co robić. – Wzruszył bezradnie

ramionami, jak człowiek, od którego niewiele zależy. – Pannę Lilkę znam od niemowlęctwa i wiem, że jak se co do głowy wbije, nie ma zmiłuj. Skoro powiadacie, że mus... – Westchnął. – Uważajcie na siebie i nikomu nie ufajcie. Wojna zmienia ludzi – powtórzył i począł siodłać konie.

Borysław, miasto brudu, cuchnące i odpychające. Przynajmniej tak zapamiętała je Lilka z letnich wypraw do pobliskiego Truskawca. Pierwsze na świecie zagłębienie naftowe. Miasto, które jak lampa ćmy, przyciągało ludzi różnego autoramentu, od poważnych przedsiębiorców po awanturniczych poszukiwaczy przygód i łatwych pieniędzy. Każdy, kto tylko miał trochę grosza, kupował choć kilka metrów ziemi, wierząc, że już wkrótce, już za tydzień, za miesiąc, dzięki czarnemu złotu niebo milionerów stanie przed nim otworem. Żadne inne miasto w Polsce nie było świadkiem narodzin tylu ekspresowych fortun i równie dramatycznych bankructw, gdy ludzie, upojeni sukcesem i szybkimi pieniędzmi, przesarżowali.

Czasem marzenia się spełniały, jak Wacławowi Wolskiemu, któremu ropa tryskała strumieniem o wydajności pięćdziesięciu wagonów dziennie. Nagły szczęśliwiec nie miał skąd wziąć tylu cystern, zamknął więc pobliski jar ziemnymi nasypami, naprędce tworząc prowizoryczny magazyn. Liczyła się pomysłowość i otwarta głowa.

Borysław, z ziemią podziurawioną jak rzeszoto, eksploatowany bez umiaru, nie dostawał w zamian niczego. Bogacze nie inwestowali w jego infrastrukturę. Piękne domy powstawały w pobliskim szykownym Truskawcu. Rodzina Lindnerów najchętniej zatrzymywała się w bajecznie położonym „Kryształowym Pałacu”, skąd mieli nostalgiczny widok na otulone chmurami pasma Gorganów, oddzielonych od siebie dolinami rzek. Marianna mogła godzinami siedzieć na ocienionym tarasie z lornetką w dłoni, podziwiając panoramę gór i popijając leczniczą „Naftusię”.

Szerokie chodniki, promenady ocienione drzewami, wille o wyszukanych kształtach w stylu zakopiańskim, z charakterystycznymi trumiennymi dachami, pensjonaty na modłę art déco czy w modernistycznym, oszczędnym stylu – o tym wszystkim Borysław mógł jedynie pomarzyć. Był jak uboga, zaniedbana krewna. Choć to w jego mazistych błotach rodziły się pieniądze, najlepsze samochody – pacardy, lencie, bugatti – jeździły po ulicach Truskawca. Świetnie ubrane towarzystwo bawiło się na kortach tenisowych, oklaskiwało jeźdźców na zawodach hippicznych lub też kąpało się w potężnym basenie – jeziorze, którego plaże usypano z miękkiego piasku przywiezionego znad Bałtyku. Luksusowy Truskawiec w niczym nie ustępował najlepszym europejskim kurortom, atmosferą przywodząc na myśl Cannes, San Remo czy San Sebastian.

Borysław musiał się zadowolić oblepionymi czarną mazią ciężarówkami, wożącymi robotników do pracy przy szybach naftowych. Cuchnący i zaniedbany mógł jedynie bezradnie przyglądać się dewastacji środowiska.

Pan Bóg pobłogosławił Truskawiec. O Borysławiu zapomniał.

Odległość z Winniczek do Borysławia wynosiła niecałe sto kilometrów i dziewczęta potrzebowały kilku dni na jej pokonanie, zwłaszcza że jechały przeważnie nocami, omijając główne trakty. Zmuszone były nadkładać drogi i jedynie cudem nie zablądziły w atramentowych ciemnościach, z konieczności zdając się na instynkt koni, dzięki którym nie zakończyły tej szalonej podróży w głębokim jarze albo na drzewie.

Antoni zaopatrzył je w starą mapę wygrzebaną w winnickiej biblioteczce, w tajemnicy przed Sowietami, bo ci każdy jej kawałek traktowali, jakby to był co najmniej plan podboju świata, a jej posiadacza uznaliby za szpiega nad szpiegami. Nieufnie i podejrzliwie odnosili się do każdego skrawka dokumentu zawierającego przecinające się linie, na których figurowały nazwy i liczby. Podejrzenia Rosjan budziła zarówno mapa terenów uprawy buraka cukrowego, jak i ukazująca obszary występowania

wilka szarego w Europie.

Mapa województwa lwowskiego, choć nieco sfatygowana i poprzecierana na zgięciach, okazała się dokładna i bardzo przydatna. Tylko dzięki niej nie zabłądziły i mogły poruszać się mało uczęszczanymi, lokalnymi drogami czy leśnymi duktami, z mozołem przekraczając głębokie jary, którymi płynęły rzeki, na szczęście w wielu miejscach płytkie z powodu trwającej od tygodni suszy. Początkowo konie z obawą wchodziły do wody, wkrótce jednak się przyzwyczyły i nawet czerpały z kąpieli przyjemność. Przez rzeki dziewczęta musiały się przeprowiać w dzień, w obawie, że źle po ciemku ocenią głębokość. Wyżyna Podolska ze swoimi gęstymi lasami, falistą, pagórkowatą budową, poprzecinana rzekami, najeżona zdradliwymi rozpadlinami w najbardziej nieoczekiwanych miejscach, stwarzała wiele kryjówek, lecz nie ułatwiała podróży.

Na głównych drogach było niebezpiecznie i tłoczno. Widywały niedobitki polskiego wojska, wycofującego się w pośpiechu. Nawet z daleka dawało się wyczuć atmosferę rezygnacji i beznadziei, nieodłączną towarzyszkę pokonanych. Było coś w sposobie poruszania się tych biedaków, w zamęcie, widocznym w każdym ruchu, kroku. Przede wszystkim rzucał się w oczy brak tego, co pierwsze przychodzi na myśl na widok przemierzających się żołnierzy: spójnego, równego marszu, uniesionych głów... Mężczyźni zmierzający ku granicy nie dbali o postawę, szli zgarbieni, blisko ziemi, ze zwieszonymi ramionami. Czapki mieli głęboko nasunięte na oczy, trwożnie ściskali w rękach karabiny, rzucając dookoła nieufne spojrzenia. Nie maszerowali, tylko wlekli nogi za sobą. Jakby to już nie było wojsko, lecz bezładna zbieranina przypadkowych wędrowców pozbawionych celu. Nad ciągnącą się bez końca kolumną krążyły stada czarnych ptaków, potęgując wrażenie niemocy.

Przez resztę dnia żadna nie powiedziała ani słowa. Jeśli nawet do tej pory, mimo niezbitych dowodów, że klęska stała się faktem, nie dowierzały temu gdzieś w głębi serca, pełnego młodej, bezrozumnej euforii, teraz uzmysłowiły sobie, że spełniły się najczarniejsze przepowiednie i wszystko stracone. Zwieszona ramiona żołnierzy, przeraźliwa cisza rozdzierana ciężkim szuraniem butów i skrzypieniem kół, nie pozostawiała złudzeń. Sny o potędze okazały się tylko snami.

Pewnego popołudnia, niedaleko Rudek, kryjąc się w polu kukurydzy, zobaczyły zupełnie inny przemarsz. Energiczny, miarowy stukot kopyt i rozlegające się co jakiś czas rzenie koni wyrwało je z płytkiej drzemki. Jechały prawie całą noc, więc z ulgą powitały świt i wymościły sobie bezpieczne legowisko w wysokiej kukurydzy. Ostrożnie podczołgały się do szosy.

Niewielki oddział kawalerii liczył nie więcej niż pięćdziesięciu jeźdźców. Ich sylwetki, mundury, inny niż polski sposób trzymania się w siodle nie budziły wątpliwości: pełną pyłu, zakurzoną drogą ciągnęła radziecka kawaleria. Chwilę po niej przejechał niewielki oddział pancerny. Na czele podążał czołg. Widziały, jak lufa się obraca; od czasu do czasu padał strzał, wzniecając tumany kurzu, choć nie było widać żadnego celu. Przerażone przypadły do ziemi, dziękując Bogu, że konie uwiązały daleko od drogi, w kępie drzew wyrastającej wśród pól jak wyspa na oceanie.

Czasem nad głowami dziewcząt rozlegało się upiorne wycie samolotów. Lilka upierała się, że to niemieckie messerschmitty, jak te z pierwszych dni wojny bombardujące Lwów. Wanda jednak przecząco kręciła głową.

– Inaczej wyją, nie słyszysz? To ruskie. Po Niemcach nie ma śladu, dogadali się z Sowietami. Sama widziałaś, jak pewnie się tu czuli – dodała, mając na myśli przejeżdżającą kawalerię.

Chwilę grozy przeżyły pod Drohobyczem. Późnym wieczorem, gdy po dłuższym popasie zamierzały ruszyć dalej, wpadły w łapy nocnej straży, którą organizowali chłopci w polskich wsiach, obawiając się ukraińskich nacjonalistów. Pilnowali dróg wjazdowych, zmieniając się co kilka godzin. Bez słowa wyjaśnienia zostały brutalnie ściągnięte z koni i rzucone na ziemię. W ciemności ktoś przystawił im do głowy broń. Czując chłodny ucisk metalu na karku, Lilka już żegnała się z życiem, kiedy leżąca obok

Wanda usłyszała, że napastnicy rozmawiają po polsku, i zaczęła krzyczeć, że one też są Polkami.

Nastąpiły wyjaśnienia. Mężczyźni byli skonsternowani. W głowie im się nie mieściło, że dwie takie dzierlatki wybrały się w samotną podróż, gdy świat płonął, a na każdej drodze czyhało niebezpieczeństwo. Kręcili głowami nad ich brawurą i brakiem wyobraźni. Napoili, nakarmili konie i dodatkowo wsadzili kilka przyłipek chleba i kawał szpondra w sakwy przytroczone do siodeł. Na koniec wskazali drogę.

– W Borysławiu jeszcze kilka dni temu byli Niemcy, ale może już rickug zrobili, kto ich tam wie. – Krępy, młody mężczyzna o rudych, kręconych włosach i twarzy piegowatej jak indyjskie jajo wzruszył ramionami, z zainteresowaniem przyglądając się Wandzie. – Tutaj dookoła ukraińskie wsie. Niebezpiecznie teraz. To diabły, nie ludzie. – Splunął w kurz pod nogami, mocniej ściskając broń. – Ciesz się z naszej klęski – rzucił przez zęby. – Oby w piekle skończyli. Nie dalej jak kilka dni temu, pod Czyszkami, zastawili pułapkę i zdybali cały oddział piechoty. Szeregowych żołnierzy wypuścili i kazali im uciekać. Dowódców zatrzymali. Obstawili, przyłożyli cekaemy, dali łopaty i kazali dół kopać... – Mężczyzna zacisnął szczęki. – Żywcem ich zasypali, a jak kto próbował uciekać, dobijali na miejscu. Ale kilku się udało, dotarli do nas, do wsi. Gadali, że więcej było takich mogił, ziemia się długo unosiła i jęki słychać było, jak z czyścica. Ludzie w okolicy wszystko widzieli, ale nie mogli nic zrobić, bo Ukraińcy dopóty trzymali wartę przy mogiłach, dopóki nie ucichło ostatnie zawodzenie.

Próbował zachować spokój, ale obie widziały, że ręce mu się trzęsą. Na pytanie, czego zamierzają szukać w Borysławiu, żadna nie miała odwagi odpowiedzieć. Nagle zdały sobie sprawę, na co się porwały. Orest był Ukraińcem, i to Ukraińcem mocno zaangażowanym w walkę o niepodległość swojego kraju.

– Ale przecież nie wszyscy są tacy... – zaczęła Lilka ze ściśniętym gardłem, zastanawiając się rozpaczliwie, czy bardziej pragnie przekonać jego, czy siebie. – Niektórzy by... nigdy... Pani Marczenkowa, nasza dozorczyńca...

– Może kiedyś tak. – Rudzielec pokręcił głową. – Teraz wszystko się zmieniło – oświadczył twardo. – Każdy to perekińczyk. Czasem udają przyjaciół, ale tak naprawdę tylko szukają okazji. Wczoraj razem piekliśmy kukurydzę, dziś bez skrupułów wsadzą nóż pod zebro... – W głosie mężczyzny zadźwięczał źle skrywany żal. – I dobrze wam radzę, trzymajcie się od nich z daleka. U nas, we wsi, było kilku, ale uciekli, jak się zaczęło. Tu więcej Polaków, to tacy odważni nie są.

Przez chwilę w jego oczach błysnęła podejrzliwość:

– A was po co niesie do Borysławia? – powtórzył. – Coś tumanicie... Ze Lwowa jedziecie? I tak wam się udało ruskim uciec? Mówią, że miasto obstawione...

– Nie ze Lwowa, tylko z Winniczek – zaczęła niepewnie Lilka.

– Brata szukam. – Wanda wysunęła się do przodu, klepnęła konia po zadzie i sprawdziła popręg. – Na początku września uciekł z przyjacielem ze Lwowa, mieli iść do granicy rumuńskiej, tam podobno była mobilizacja, ale niedawno dostaliśmy wiadomość, że jest ranny. Utknął gdzieś w Borysławiu. Nie ma pieniędzy ani dokumentów... Muszę go znaleźć, rodzice odchodzą od zmysłów.

– I tak samą cię puścili?

– A bo to ich pytałam?

Buńczuczna i energiczna Wanda wzbudzała respekt. Należała do tego typu nowoczesnych dziewcząt, które zawsze stawiają na swoim i potrafią się o siebie zatroszczyć. Jeśli nawet przez chwilę podobała się rudemu młodzieńcowi, szybko nabrał przekonania, że z taką zadziorną i niepokorną babą więcej kłopotów niż przyjemności.

– Jak chcecie, możecie u nas zostać. Kilka chałup stoi pustych. Nie wiadomo, co będzie, ale tu bezpieczniej niż w lesie... Coś do jedzenia zawsze się znajdzie. Marne szanse, że znajdziesz brata w tym

rejwachu – zwrócił się do Wandy. – Tylko niepotrzebnie się narażacie. Ludzie gadają, że ruskie zaraz wejdą. W Drohobyczu poniszczyli wszystkie sklepy spożywcze. Oni wiecznie głodni... Dowódcy sobie brzuchy pasą, a ta dzicz puszczona samopas zaiwania wszystko, co się da zjeść i wypić. Zalani na okrągło... Nie daj Boże, żebyście im w łapy wpadły.

Podziękowały za propozycję i bez ociągania ruszyły w dalszą drogę, żegnane urażonym wzrokiem rudzielca. Do świtu pozostało jeszcze kilka godzin. Wspięły się na wzgórze i stanęły na niedużej polanie okolonej olszyną, pośród której falowało zielone morze paproci. Konie, puszczone samopas, zajęły się skubaniem trawy.

Przed nimi rozciągała się szeroka panorama: czarna przestrzeń nieba i ziemi, złana w jedno, bez widocznej linii horyzontu. Upstrzona świetlistymi, migoczącymi punktami, na niebie, jak i na ziemi.

– Co to? – zdziwiła się Wanda. – Wygląda, jakby gwiazdy pospadały w błoto...

Lilka się uśmiechnęła.

– To światła szybów naftowych. Kiedyś było ich więcej... Niesamowity widok, nie? Zostańmy do rana, to już niedaleko. Tamta łuna to Borysław. Rano pojedziemy do Pistynera.

Wanda wymościła sobie legowisko na skraju urwiska. Stąd był najlepszy widok na dolinę. Za plecami szumiała czarna ściana lasu. Sięgnęła do plecaka, wyjęła chleb i nóż, odkroiła kawał boczku i podała Lilce przylipkę.

– A kto to?

– Żyd, znajomy ojca, ale powinien mnie pamiętać. Może co wie. Ma kilka sklepów w rynku i chyba jakiś tartak. Zatrudniał zawsze mnóstwo ludzi. Nie mam innego pomysłu... Może będzie wiedział coś o Oreście albo chociaż o ludziach, którzy mogliby mieć z nim kontakt. Borysław jest niewielki, a Jakub mówił, że Orest na pewno tu jest.

Myśl o bracie zabolęła jak ćmiący ząb, zbyt mocno dotknięty językiem.

– Nic lepszego nie przychodzi mi do głowy.

Wanda w skupieniu wpatrywała się w chleb, zanim podniosła go do ust. W poprzednim życiu tłusty boczek budził w niej wstręt, dziś pachniał jak ambrozja.

– A nie boisz się, że Orest... no, wiesz. W końcu był zaangażowany w jakieś dziwne organizacje i nigdy nie ukrywał, o co mu chodzi. Stoi teraz po drugiej stronie. Jaki miałby interes, żeby mi pomóc. Wiem, lubili się z Jurkiem, ale w końcu Jurek to Polak.

– Ale też nigdy nie mówił, że nienawidzi Polaków. – Lilka wzruszyła ramionami. W głowie jej się nie mieściło, że właśnie ona go broni. – Zresztą, znam go tak samo jak ty. Po prostu muszę się z nim skontaktować. Potem będziemy się martwić.

Była zła na przyjaciółkę, choć sama nie wiedziała, z jakiego powodu.

– A właściwie dlaczego tak bardzo ci na tym zależy? – Nieświadoma niczego Wanda spojrzała na nią, szukając w półmroku jej oczu. – Ja, wiadomo, ale ty? Nie mówiłaś, to nie pytałam... Wiem, że chcesz mi pomóc, coś mi się jednak wydaje, że nie tylko o to chodzi. Ten facet miał rację – dodała, mając na myśli rudego chłopaka. – Wszystko się zmieniło. Może to głupota teraz na niego liczyć? Już nie jesteśmy znajomymi, którzy spotykają się na fajfach. Zabawa się skończyła – dodała z goryczą.

– Jakub mnie prosił – rzekła cicho Lilka. Wiedziała, że Wanda w końcu zapyta. – Gdyby nie on, to ja nie... Przecież wiesz, że ja Oresta... no, że my za bardzo się nie lubimy – dodała nieco zażenowana.

– E tam, on cię lubi! – Wanda się roześmiała. Lilka usłyszała złośliwe nuty. – Tylko ślepy wół by nie zauważył. Zastanawialiśmy się, dlaczego właściwie zaczął się kręcić koło Jadźki. Jakoś trudno było uwierzyć w wielką miłość, raczej chodziło mu o pieniądze jej rodziców. Wszystkie myślałyśmy, że za chwilę mu się to znudzi i zacznie do ciebie oficjalnie smalić cholewki. A co z nią? – zapytała. – Pewnie już urodziła? Żal mi jej, biedna dziewczyna.

– Tak, córeczkę. – Lilka przypomniała sobie małą, różową bużkę z ciemnymi ślepkami, tak bardzo przypominającymi przenikliwe oczy Oresta. – Ostatni raz ją widziałam, jak jechała do szpitala... Miała krwotok. Trzeba się modlić, żeby wszystko było dobrze.

Wspomnienie Jadzi uruchomiło w mózgu znany mechanizm. Jedna za drugą otwierały się klapki: ślub, Janka, Wiktor... Wystrzały, panika, ksiądz przybity do drzwi. Pierwszy raz od kilku dni Lilka pozwoliła swobodnie płynąć myślom.

Za plecami rozległo się ciche rżenie koni. Gdzieś w zaroślach zawołał nocny ptak. Trzasnęła sucha gałąź, jakby ktoś na nią nastąpił. Przez chwilę obie nasłuchiwały, jednak dźwięk już się nie powtórzył. Nocny las ucichł, przyczaił się, by zaczerpnąć tchu przed pierwszymi zwiastunami świtu.

Były zmęczone, ale świadomość, że są już blisko celu, nie pozwoliła im zasnąć.

– Jak zginęła Janka?

Wanda siedziała nieruchomo, ze wzrokiem wbitym w rzednącą coraz bardziej czerń. Lilka czuła, jak drżą jej ramiona.

– Zastrzelili ją przed kościołem... Dostała w głowę. Kilka godzin wcześniej była najszcześniejszą panną młodą. Szkoda, że nie widziałaś światła w jej oczach, gdy patrzyła na tego swojego porucznika.

– A on?

– Zabrali go. Razem z Wiktorem, Szczurkiem i innymi.

– Dlaczego tylko ją zastrzelili?

– Nie wiem, to się stało tak szybko... Teraz wydaje mi się, że nie mieli zamiaru nikogo zabijać, chyba chodziło o to, żeby ich złapać. To byli harcerze z Ochotniczego Batalionu Obrony... Ale był rejwach, zamieszanie, wszyscy uciekali... Poza tym zrobiło się już ciemno. – Lilka oparła łokcie o kolana, spuściła głowę i zanurzyła ręce we włosach. Przymknęła oczy. Czuła się odrętwiała i znużona, jakby już nie dochodziły do niej żadne emocje. Miała wrażenie, że wraz z wybuchem wojny stępiły jej się wszystkie zmysły. – Czasem mam wrażenie, że to sen wariata, że zaraz się obudzę. To nie może dziać się naprawdę, no powiedz. To jakiś obłąd! Nie mogę o tym myśleć, bo zwariuję. Odganiem tamte obrazy, a one uporczywie wracają. Nie mogę, po prostu już nie daję rady... Nie wiem, jakim cudem się im wywinęłam. Boję się o Wiktora, nie mam pojęcia, co z Jakubem... Wanda, to jakiś obłąd – powtórzyła. – Wczoraj zdawałyśmy maturę i bałyśmy się, że za mało wiemy. A teraz? Jakie to ma znaczenie? Dlaczego nikt nam nie powiedział, że to wszystko bzdura? Bitwa pod Grunwaldem, rozbiór zdan... Jakby to miało w czymkolwiek pomóc!

Usłyszała, że Wanda wzdycha. Siedziały obok siebie, stykając się ramionami, każda zatopiona we własnych myślach. Nic już nie mówiły. Jakby minął czas wspólnych łez. Od dni spędzonych razem w szkolnych ławkach upłynęło tak niewiele czasu, a jednak przeszły przyspieszony kurs dorastania i zrozumiały, że w najtrudniejszych chwilach życia człowiek zawsze zostaje sam. Choćby otoczony był wianuszkami przyjaciół. Nikt nie jest w stanie wziąć na siebie bólu, który rozsada serce. Trzeba się z nim zmierzyć samotnie.

Nagle Wanda się roześmiała. Śmiech poniósł się echem po lesie i był tak nieoczekiwany, że Lilka zamarła w przekonaniu, że przyjaciółka zwariowała.

– Wiesz, co mi właśnie przyszło do głowy? – odezwała się Wanda, wyciągając przed siebie brudne dłonie z połamanymi paznokciami.

Od kilku dni się nie myły, spały w kartofliskach, przedzierały się przez krzaki. Czasem którejś zdarzało się spaść z konia prosto w piach albo błoto.

– Pomyślałam, co powiedziałyby panna Duszenko, gdyby zobaczyła moje łapy. I w ogóle, nas teraz. „Moje drogie – zaczęła, prostując plecy i naśladując piskliwy głos nauczycielki – prawdziwa dama zawsze spóźnia się na spotkanie...”. A najlepiej, nie przychodzi wcale... A adorator zapuszcza korzenie



przy stoliku, aż zakwitnie i uschnie. A wtedy czas na gustowną trumnę, najlepiej od Krukowskiego.

– I ma czyste ręce – dorzuciła Lilka, krztusząc się ze śmiechu.

– Adorator?

– Też.

– I pachnie fiołkami...

– Adorator???

– No coś ty!

– I na odległość potrafi wyczuć mężczyznę o niecnym zamiarach... No, już! Odczep się od tego adoratora!

– I mdleje, gdy ktoś powie przy niej: do diaska!

– I wie, który to kieliszek do wody. A to elementarna wiedza. Bez tego człowiek nie przeżyje w dzisiejszym drapieżnym świecie...

Teraz śmiały się już obie. Wandzie pociekły łzy. Lilka trzymała się za brzuch, siedząc po turecku.

– Proszę, zaraz się zsikam...

– Sikaj, bardziej śmierdząca nie będziesz.

Głośny szcęk broni zabrzmiał z jednoczesnym, pełnym strachu okrzykiem Wandy, uderzonej kolbą w skroń. Śmiech urwał się raptownie. Dwaj mężczyźni wyrosli przy nich jak duchy. Wynurzyli się z ciemności, celując prosto w ich głowy. Lilka zerwała się na równe nogi i odskoczyła do tyłu, jednocześnie w popłochu usiłując zlokalizować plecak. Nie pamiętała, czy wyjęła go z torby przytroczonej do siodła, czy przyniosła tu ze sobą, ale nagle wydał jej się najważniejszy. Kątem oka zdołała jeszcze dostrzec, jak Wanda upada na bok, zanim sama została powalona ciosem w brzuch.

Uderzenie było tak silne, że na chwilę straciła świat z oczu. Pod powiekami zawirowały świetliste płatki. Pełznąąc po trawie i zwijając się z bólu, podkurczyła kolana i nagle poczuła, że leci w przepaść. Nie zdążyła się niczego przytrzymać i jak bezładny pakunek zaczęła się osuwać w dół urwiska. Choć mdlący ból niemal pozbawił ją tchu, rozpaczliwie usiłowała chwycić się wystających korzeni i niskich krzaków. Nabierała coraz większej prędkości, czuła, jak ostre kamienie rozrywają ubranie. W oddali słyszała odgłosy wystrzałów i okrzyki w języku ukraińskim.

– Tam! Poswetety!

– A czort z neju...

Poczuła w ustach metaliczny smak krwi i w tym samym momencie straciła przytomność.

### III

Starał się iść normalnie, nie skradał się, nie przemykał, szedł wyprostowany, dziarsko wymachując jedną ręką. Wymachiwałyby i drugą, ale zawinięta w szary papier deska od sedesu, choć niezbyt ciężka, była jednak dość nieporęczna. Opadała na biodro i co chwilę musiał przystawać. Nie przejmował się tym za bardzo; wiedział, że na malowane w jasnoniebieskie irysy cudeńko szybko znajdzie nabywców na Placu Mariackim. Już wczoraj opowiadał o niej jednemu oficerowi i widział, jak jego żonie zaświeciły się oczy, choć nie miał pojęcia, czy w ogóle rozumiała, o czym mówił. Dziwnie wyglądała. Była nieco podobna do mamy, jednak o wiele brzydsza. Szerokie, czarne brwi miała prawie zrosnięte nad nosem, a nienaturalnie czerwone usta rozciągały się w życzliwym uśmiechu, odsłaniając na samym przodzie złoty ząb. Na jej głowie tkwił przekrzywiony na bakier czerwony берет. Ubrana była w kwiecistą, połyskującą na złoto podomkę, a zamiast pończoch miała skarpetki do kostek. Michaś wiedział, że to podomka, bo mama miała podobną, ale nigdy w życiu nie wyszłaby w niej na ulicę. Nawet gdy przychodził inkasent, biegła się przebierać, choć chłopiec uważał że podomka była bardzo szykowna.

Żałował, że w domu nie ma żadnego zegarka, w ostatniej chwili wszystkie zabrał tato. Michaś, schowany za szerokimi plecami kucharki, widział, jak mama w tajemnicy przed żołnierzami wciskała mu je do kieszeni: złoty, po dziadku, niewielki, z pękniętym cyferblatem i nawet ten Jakuba, z szerokim, skórzanym paskiem, który Michaś lubił zakładać, wyobrażając sobie, że jest już dorosły. Sowiecom na ich widok świeciły się oczy, jakby co najmniej złoty samorodek znaleźli. Kucharka mówiła z przekąsem, że potrzebują tych zegarków, bo wtedy mają się za władców czasu. Raz widział takiego władcę czasu na Placu Krakowskim. Ubrany w odprasowany mundur, z dumą podciągnął rękaw, prezentując trzy naraz. Stojący nieopodal fiakrzy dyskretnie pukali się w głowę. Michaś nie rozumiał, jaki ma sens noszenie trzech zegarków jednocześnie. W końcu czasu od tego nie przybywało, lecz jako bystre dziecko z handlową żyłką zwietrzył interes. Spotkany przypadkowo chłopak w zielonej cyklistówce pouczył go, że jeśli zegarek ma świecące wskazówki i czarną tarczę – ruskie płacą każdą cenę.

Trudno, trzeba będzie zadowolić się deską od sedesu, pomyślał. Liczył, że dostanie za nią kupę pieniędzy, bo naprawdę była piękna. Kwiaty wyglądały jak żywe. Na dodatek żyłki na ich płatkach pociągnięto złotą farbą. Pani Marczenkowa, która zamieniła się z nimi mieszkaniem, choć nie bardzo wiedział, z jakiego powodu, bez oporów mu ją oddała, gdy wyjaśnił, o co chodzi.

– Bierz, dziecko, bierz, przecież to twoje. Ruskie jak sroki, kupią wszystko, co się świeci. Tylko uważaj, chyba trochę za mały jesteś na handel.

Zapewnił ją, że będzie uważał, i poprosił, żeby nic nie mówiła mamie.

Musiał się pospieszyć. Mama wyszła na miasto poszukać czegoś do jedzenia. Patrzył przez okno, jak szła, taka smukła, wyprostowana, z jaką bezradnością próbowała omijać hałdy gruzu – i nie umiał pozbyć się uczucia smutku. Był wystarczająco duży i bystry, by dostrzec, że jego mama w swojej kolorowej sukience nie pasuje do tej zakurzonej, zagruzowanej ulicy, na której pył unosił się od rana do wieczora.

Miał w zapasie trochę czasu. Od chwili wybuchu wojny wszędzie stały kolejki. Tylko chleb dało się jeszcze kupić bez godzinnego stania i bitew staczanych na laski, parasolki i języki. Zdobycie cukru, smalcu czy mięsa okupione było wielkim wysiłkiem. Największe szanse mieli ci bez skrupułów

i z twardymi łokciami. Michaś słyszał któregoś dnia, jak mama żaliła się Pelasi, że wojna zabiła w ludziach dobroć i serdeczność, a nauczyła ich egoizmu i dbania wyłącznie o własny interes. Życzliwi do tej pory przechodnie, kłaniający się na ulicy nawet nieznanym, nagle, oprócz strachu, zaczęli mieć w oczach nieufność i zazdrość. Michaś nie miał zdania na ten temat. Dla niego wojna oznaczała ruch w interesach i zmniejszoną kontrolę ze strony dorosłych. Lwów stał się nagle jednym wielkim targowiskiem. Można było kupić i sprzedać wszystko: zegarki, używane ubrania, bieliznę, obuwie, wódkę i inne cenne przedmioty, nieznane ludziom sowieckim w takiej ilości.

Za pierwszym razem poszedł na Plac Misjonarski ze starym handełsem Szymonem. Ścisłej rzecz ujmując, nie poszedł z nim, tylko go tam spotkał. Akurat targował się z jakimś nerwowym żołdatem o inkrustowaną szkatułkę, w której mama przechowywała biżuterię (samej biżuterii nie wziął, bał się, że mama zauważy), gdy zobaczył, jak od strony ulicy Pełtewnej, podzwaniając wózkami, wtacza się stary Żyd na krzywych nogach. Gdy dostrzegł chłopca, pomachał mu ręką, a następnie począł zachwalać unikatowe piękno szkatułki. Oglądał ją ze wszystkich stron okiem znawcy, cmokał i mruczał coś pod nosem. Rosjanin bez targowania zapłacił żadaną sumę. Od tamtej pory spotykali się prawie codziennie, choć nigdy się nie umawiali. Michaś niekiedy miał wrażenie, że Szymon wyrasta przy nim jak duch i choć nie narzucał się ze swoją obecnością, chłopiec nieustająco czuł jego uważne spojrzenie.

– A ty, karapuz, co tam niesiesz?

Wysoki żołnierz w czapce przekrzywionej na bakier wyciągnął rękę, zagradzając mu drogę. Na policzku miał wstrętne, ropiejące czyraki.

– Nie wiesz, że handel tu zakazany?

Michaś mocniej przycisnął do siebie pakunek, nie mogąc oderwać wzroku od ropnia, przypominającego mały wulkan. Mimo że był obrzydliwy, przyciągał jak magnes.

– Tu to znaczy gdzie? – spytał, nie tracąc rezonu.

– No, na tej ulicy.

– Ale ja tu nie handluję. Ja handluję tam. – Wskazał głową widoczny w perspektywie Plac Mariacki. – A po jakimu pan mówi? – zainteresował się nieoczekiwanie.

Żołnierz miał skośne oczy, wysokie kości policzkowe, nosił rosyjski mundur i z całą pewnością nie był Polakiem, a mimo to chłopiec doskonale go rozumiał. Do tej pory zazwyczaj miał kłopoty z komunikacją i musiał pomagać sobie rękami.

– A po twojemu mówię. Takiś cwany, a nie rozpoznajesz? – zdziwił się mężczyzna, lustrując odprasowane spodnie i porządną, bawełnianą koszulkę malca. – No, dawaj, co tam masz, bystry riebionek!

– To taki... obraz. – Michasiowi nagle zrobiło się trochę wstyd.

– Obraz, powiadasz... A skąd go masz? Buchnąłeś komu?

– Co pan! – oburzył się chłopiec. – To moje.

– Nie łzyj!

Mężczyzna energicznie wyszarpnął deskę, która upadła na ziemię i pękła na pół. Łodygi irysów oddzieliły się od kwiatostanów.

– No i po twoim handlowaniu! – roześmiał się. – I dobrze, na drugi raz w domu siedź, na ulicy niebezpiecznie – dodał, grożąc mu palcem. – Nie każdy taki wyrozumiały jak ja. Inny by ci baty sprzedał i zabrał ten twój... obraz. – Skrzywił się ironicznie, spoglądając na pękniętą deskę. – No, marsz do domu, ale już!

Michaś stał bezradnie nad zniszczoną nadzieją na pieniądze. Jeszcze kilka minut temu widział w wyobraźni, z jaką dumą wręcza mamie starannie wygładzone banknoty, szczęśliwy, że dokłada się do utrzymania. Odkąd zabrali tatę, a Jakub przepadł nie wiadomo gdzie, to on był jedynym mężczyzną

w domu. Musi opiekować się mamą. I Lilusią, jak wróci. Bo przecież niedługo wróci...

Łzy podeszły mu do gardła i wiedział, że zaraz się rozplacze jak maluch, którym przecież wcale nie był.

– Ty... ty głupi kacapie! – wrzasnął, rzucając się z pięściami na zaskoczonego żołnierza. – Coś mi zrobił! Wynocha stąd! To moje miasto i moja ulica! Moje, słyszysz?! I tak was wszystkich rozstrzelamy! Mój brat wam pokaże, durne cepaki!

Złość przesłoniła mu oczy. Walił na oślep, sam zaskoczony, skąd w nim tyle desperacji. Tylko nie łzy, tylko nie łzy, dudniło gdzieś w głowie. Nagle poczuł, że ktoś szarpie go za ubranie i ciągnie do tyłu. Zdążył jeszcze zobaczyć rozwścieczone oczy żołnierza i jego uniesioną rękę, gdy widok przesłoniła mu wysoka czarna postać.

– Panie, to tylko dziecko... – W głosie Szymona zabrzmiała prosząca nuta. – To dziecko, nie wie, co mówi...

Żołnierz aż poczerwieniał ze złości.

– Szmaciarski charakter! Polaczki jebane! Co za chujnia! Zabieraj się stąd, Żydzie! A ty, gówniarzu, prowadź do matki! Sam tego nie wymyślił! Pewnie ta suka miele jęzorem od rana do wieczora. No, to teraz sobie porozmawiamy i zobaczymy, kto tu pan.

Michaś począł się szarpać, chcąc znowu rzucić się na mężczyznę, ale Szymon trzymał go mocno. Żołnierz sięgnął po broń.

– Michaś, uciekaj! – Żyd odtrącił chłopca, jednocześnie zasłaniając go własnym ciałem.

W tej samej chwili otrzymał cios w głowę i jak długi zwałił się na chodnik, zahaczając o wózek. Jarmułka potoczyła się i spadła z krawężnika. Z rozbitej głowy starca popłynęła krew. Przerażony Michaś rzucił się do ucieczki. Biegł, nie oglądając się za siebie. Z tyłu słyszał strzały. Już nie powstrzymywał łez. Cała nagromadzona złość zmieniła się w panikę. Teraz był jedynie przerażonym, kilkuletnim dzieckiem, które pierwszy raz zmuszone było zmierzyć się z okrucieństwem.

Mieszkanie Marczenków było dość ciemne. Usytuowane od północnej strony, nieco wilgotne i zaniedbane, miało okna wychodzące na podwórko studnię, ale jednocześnie mogło pomieścić Lindnerów razem ze służbą. Bez przeszkód docierał do niego każdy odgłos z zewnątrz: echo kroków odbitych od murów, krzyki dzieci, jazgotliwe kłótnie lokatorów. Z suterenu dolatywał mdły zapach rozgotowanej kapusty. Nawet tramwaje było tu słychać. Kucharka żaliła się codziennie, że przejeżdżają jej przez garnek z zupą. Zrzędziła od rana do nocy i nie mogła się powstrzymać od nienawistnych spojrzeń w stronę dozorczyń.

– Ta już ja dobrze wiem, o co im się tak naprawdę rozchodzi – burczała, opierając ręce na potężnych piersiach, które zdawały się nie pasować do kościstej, szerokoplecej sylwetki. – Za bezdurno dostali takie eliganckie lokum i jeszcze państwu wmawiają, że to dla ich dobra – buntowała Gustawa. – A gadała, że zara z powrotem się odmienimy i co? Dzień przechodzi za dniem, oni wciąż tam, a my tu. A jak to nosa zadziera! Państwo wielkie się naraz zrobiło, a słoma z butów wystaje. Zawdy mówiłam, że to czarne podniebienia... Budne perekińczyki, ot co!

– Pani Chudecka kochana, bardzo proszę, bez takich komentarzy! – mitygował ją Gustaw, kiedy zdarzało mu się wpadać do domu. Po całych dniach załatwiał jakieś interesy, w które nikogo nie wtajemniczał. – Przecież zrobili to, żeby nas chronić. Na naszej ulicy prawie wszystkim dokwaterowano Sowietów. Albo, co gorsza, zabrano mieszkania i właścicieli na bruk wyrzucono. A to jeszcze nie koniec, chodzą słuchy, że dopiero teraz nazjeżdża ich się jak psów. I tak by nas stamtąd wyrzucili, nie słyszała pani, co mówili o nacjonalizacji kamienic? – dodał z goryczą. – Nacjonalizacja... Tak się teraz nazywa zwykłe złodziejstwo. Poszlibyśmy na pierwszy ogień jako właściciele. Tylko dzięki Marczenkom nie wylądowaliśmy gdzieś w barakach. Zima za pasem...

– Akurat – mruknęła kucharka.

Miała swoje zdanie na temat rzeczywistych pobudek, którymi kierowali się tamci dwoje. Nie przekonał jej nawet argument, że z mieszkania niczego nie wyniesiono. Nawet cenny obraz Mehoffera wciąż wisiał na swoim miejscu.

Marianna nie narzekała. W obecnej sytuacji wygoda była luksusem, który zupełnie jej nie interesował. Co innego miała na głowie. Ostrzeżona przez profesora Ostrowskiego desperacko próbowała namówić męża, żeby uciekał. Niech nie czeka, aż po niego przyjdą, co zdaniem profesora było jedynie kwestią czasu.

Sam profesor również próbował wpłynąć na Gustawa, lecz bez skutku.

– Ja wiem, mój drogi, że się czujesz za nich odpowiedzialny – mówił, mając na myśli rodzinę przyjaciela. – Ale czy ty, do ciężkiego pioruna, nie widzisz, co się dzieje? Nie chodzisz po mieście? Nie czytasz tych wszystkich plakatów i odezw o walce z „pańską Polską”? Przecież im nie wystarczy, że nas pokonali. Teraz będą nas uszczęśliwiać. I oczyszczać z wrogich elementów. Ty jesteś pierwszy na tej liście, nie rozumiesz? – zapytał z rozpaczą, poprawiając nerwowo okulary, które zsuwały mu się na nos.

Poluzowały się zauszniki i już dawno powinien zanieść je do optyka, ale firma Kopernicki i Syn, gdzie zwykle załatwiał te sprawy, przestała istnieć wraz z wybuchem wojny i słuch po niej zaginął.

Prowadzili podobne rozmowy od kilku dni i profesorowi zaczynało już brakować argumentów. Gustaw zachowywał się irracjonalnie, co było do niego zupełnie niepodobne. Jakby nagle stał się ślepy i głuchy.

– Nawołują do walki z kapitalistami, obszarnikami, ich ustrojem, do zabijania „przedstawicieli wyzyskiwaczy”, oficerów, do palenia majątków obszarniczych... Mam ci dalej wymieniać?

– Winniczek nie ruszyli. – Lindner był niewzruszony. – Jestem im potrzebny. Rozmawiałem już w tej sprawie w magistracie, mam tam znajomego Ukraińca, jest mi coś winien. Rosjanie potrzebują moich kontaktów handlowych, zabrali stadniny, ale nie potrafią zarobić na sprzedaży koni. Ty, Władku, mówisz o polityce i idei, a ja o pieniądzach, które oni kochają bardziej niż jakąkolwiek ideę. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, wiosną przeniesiemy się na wieś, załatwiam lewe dokumenty... Byle tu zimę przetrzymać.

Profesor złapał się za głowę.

– Ty nie masz pojęcia, o czym mówisz! To nie jest najzwyklejszy racjonalnie myślący przedsiębiorca czy urzędnik. To terror! Gustaw, oni jeszcze nie bardzo wiedzą, jaką politykę wobec nas zastosować, ale to wszystko gra, służąca jednemu: żeby jak najprędzej przemaalować Polskę na czerwono. Nie znasz Sowietów! Oceniasz ich przez pryzmat biznesu, a to jest zupełnie inny sposób myślenia, z racjonalizmem i interesami niewiele ma wspólnego. Tych ludzi nie sposób zrozumieć, pojmij to wreszcie! Niejeden połamał sobie na tym zęby. Na uniwersytecie zorganizowali mityng pracowników i studentów, zapowiedzieli, że zachowają polski charakter placówki. Trzeba było słyszeć to westchnienie ulgi naiwnych – dodał z przekąsem, kiwając głową. – Już następnego dnia zwolnili większość polskich wykładowców i zastąpili ich Ukraińcami. Oni tak działają, na pozór tylko chaotycznie i niekonsekwentnie, a człowiekowi to wszystko się wydaje raczej dziecinnie naiwne i mało niebezpieczne. Przecież słyszę, jak się ludzie pocieszają, że coś tak głupiego i nieporadnego jak bolszewicy i ich władza, która czasami przypomina pajdokrację, nie może trwać długo i sama się wywróci. Nie masz pojęcia, mój kochany, ile bym dał za taką naiwność... Największym grzechem jest niedocenywanie przeciwnika. I jeszcze jedno ci powiem – sapnął profesor. – Rosjanie zawsze lubili przedstawiać się światu jako trochę niepoczytani, to element ich taktyki. Mówią o sobie: „Jesteśmy dzikim niedźwiedziem z tajgi. Niby jesteśmy tacy jak wy, ale tak naprawdę dziwni i inni, więc bójcie się nas”. Aleksander Błok rzucał Europejczykom w twarz: „Tak! Jesteśmy Scytami!”. Ja bym dodał: nieobliczalnymi Scytami...

– Władziu, jeszcze przed wojną robiłem z nimi interesy. Znam trochę ich mentalność. Tam, gdzie się nie dało zdroworoządkowo, wystarczyła bańka spirytusu – odparł z uśmiechem Gustaw. – Poza tym nie zostawię Marianny samej. I tak już od zmysłów odchodzi ze strachu o Lilkę i Jakuba. Nie mogę, rozumiesz? Nie mogę uciekać jak tchórz, kiedy najbardziej jestem potrzebny. I proszę cię, nie martw się, naprawdę o wszystko zadbałem...

Kilka dni później, nad ranem, nim jeszcze zaczęło świtać, na korytarzu rozległ się głośny stukot butów i okrzyki. Wyrwany ze snu Gustaw poszedł otworzyć. To właśnie wtedy Marianna widziała go po raz ostatni. Kazali mu się ubrać i pozwolili spakować najpotrzebniejsze rzeczy. Drżącymi rękami dopinała mały, skórzany neseser, daremnie usiłując się dowiedzieć, dokąd zabierają jej męża.

Poblady na twarzy Gustaw uspokajał ją, że to z pewnością pomyłka, wszystko się wyjaśni i zanim się obejrzy, on będzie z powrotem. Marianna kiwała głową, udając, że w to wierzy. Oboje odstawiali tę szopkę ze względu na Michasia, ukrytego za potężną sylwetką pani Chudeckiej.

Ściśnięte gardło bolało, jakby miała anginę. Gdyby nie kucharka, która zdążyła szepnąć jej na ucho: „zegarki!”, Marianna nie wpadłaby na pomysł, żeby ukradkiem wsunąć je mężowi do kieszeni, a przecież dobrze wiedziała, że mogą uratować mu życie. Od początku wojny cały Lwów gadał prawie wyłącznie o obsesyjnej miłości Sowietów do zegarków. Nawet Pelasia okazała więcej rozumu i zapobiegliwości. Przyniosła z kuchni owinięty w lnianą szmatkę ostatni kawałek schabu, który zdobyła kilka dni wcześniej i jedli go, celebrując tę czynność i krojąc go na prawie przezroczyste plasterki. „Chleb”, oświadczyła, wciskając pakunek między ubrania.

Marianna była odrętwiała i pusta w środku. Mechanicznie wykonywała wszystkie czynności. Nawet gdyby chciała się rozplakać, nie umiałaby. Modliła się w duchu o siłę, wiedziała, że w tej chwili nic nie może zrobić. Że każdy protest czy nerwowy ruch mógłby narazić na niebezpieczeństwo nie tylko Gustawa, ale także Michasia i wszystkich domowników. Musiała zapomnieć o luksusie hysterii, co być może przyniosłoby jej ulgę, ale mogło się źle skończyć. Ludzie, którzy bez pukania wtargnęli do domu, wyglądali na takich, co to jedynie szukają pretekstu. Pokrzykiwali nerwowo, ponagłając Gustawa. Rozbijali się po kątach, zaglądali do szaf. W kuchni wyrzucili z kredensu wszystkie talerze i kubki, a następnie z jakąś mściwą satysfakcją podeptali buciorami szczątki fajansu. Padały obraźliwe słowa. Jeden z przybyłych uderzył Gustawa w plecy, gdy ten się schylił, by uściskać syna. Nawet nie wiedziała, czy to Ukraińcy czy Rosjanie. Była za to pewna, że wysoki mężczyzna z tyłu, o charakterystycznych rysach twarzy, jest Żydem. On jeden nie brał udziału w plądrowaniu mieszkania. Stał oparty o beczkę do kiszenia kapusty i sprawiał wrażenie trochę zakłopotanego. W pewnej chwili jakimś nerwowym, niezauważalnym ruchem pogłaskał po głowie Michasia.

Za to dowódca miał nieprzyjemne, lisie oczy, wzbudzające trwogę. Lustrował Mariannę spod czapki, przesuwał między zębami zapałkę. Marianna wzdrygnęła się pod jego spojrzeniem, ciaśniej zawiązując szlafrok.

Na odchodnym wyciągnął zza pazuchy kawałek pogniecionej kartki.

– Tu przyjdiesz, jak się będziesz chciała dowiedzieć czego o mężu – rzucił po rosyjsku. – Póki co, jest bezpieczny, wagonów jeszcze nie podstawili – dodał, zmieniając ton na bardziej miękki. – Ty jesteś piękna kobieta, możesz go uratować. Twoja wola. A wasza kwartira kiepska... – dodał, spoglądając z pogardą na zacieki na ścianie. – My w Użhorodzie lepiej mieszkali. Nie taka pańska ta Polska, kiedy wielki pan w norze bytuje.

Dopiero gdy za wychodzącymi zamknęły się drzwi, a zmęczony płaczem Michaś w końcu zasnął w jej łóżku, Marianna pozwoliła sobie na łzy. Kucharka z ciężkim westchnieniem usiadła obok niej. Nigdy wcześniej do głowy by jej nie przyszło tak się spoufalać z chlebobawczynią. Dobrze wiedziała, gdzie jej

miejsce, pochodziła z porządnej rodziny. Ale wojna, oprócz kamienic, zburzyła również znany i bezpieczny porządek społeczny. Tak przynajmniej uważała pani Chudecka. Wczorajszy pan dziś przemykał ulicami, truchlejąc ze strachu na widok grupy operacyjnej NKWD, oczyszczającej miasto z elementów antyradzieckich i kontrrewolucyjnych.

Kucharka nie była głupia, miała swój spryt i niebywałą umiejętność dostosowywania się do warunków. Niejedno w życiu przeszła i z każdego zdarzenia potrafiła wyciągać wnioski. To ona zwróciła uwagę panu Gustawowi, że chodzi po mieście zbyt porządnie ubrany, z wypielęgnowanymi dłońmi, i aż się prosi o nieszczęście. Według niej ruscy może i byli wszechmocni, ale głupi. Wystarczyło wciągnąć na grzbiet starą kufajkę i przez kilka dni nie myć rąk, pozwalając, by brud utworzył czarną otoczkę wokół paznokci. Osobiście dopilnowała, by pan Gustaw kilka razy przyniósł węgiel z piwnicy, a pani Marianna dorzuciła swoje, kładąc mężowi obierać kartofle. Już po kilku dniach jego dłonie stwardniały, a od ciężkiego wiadra pokryły się odciskami. Przyszli, bo znaleźli na niego papiery. Z ulicznej łapanki może i wyszedłby obronną ręką, dziś jednak szukali Gustawa Lindnera, właściciela ziemskiego, hodowcy koni, i nawet nie spojrzeli na jego dłonie.

Kucharka znowu westchnęła. Ze swym długim tułowiem i szerokimi ramionami górowała nad panią Marianną, która nagle wydała jej się taka drobna i słaba, choć pani Chudecka wiedziała, że w tym drobnym ciele drzemie ogromna siła i hart ducha. Przekonała się o tym niejednym razem. Zresztą od zawsze uważała, że kobiety są znacznie silniejsze od mężczyzn, a ona sama również tężyzną fizyczną, odziedziczoną po matce, przewyższała niejednego chłopca. Gdy ojciec w pijanym amoku utopił się w przerebli, ciężar prowadzenia gospodarstwa i wychowania czworga dzieci spadł na matkę. Ta nie rozpaczała, nie zadawała zbędnych pytań, nie wadziła się z Bogiem. Zakasała rękawy, zatarła swoje wielkie dłonie i ruszyła w życie. Jednak państwo to trochę co inne, pomyślała filozoficznie kucharka, przyglądając się Mariannie.

– Płacz, pani, płacz... – westchnęła, nieporadnie gładząc ją po plecach. – Łzy to najlepsze lekarstwo na oczyszczenie duszy. Jak się człowiek wypłacze, to potem z suchymi oczami chodzi. Woda z człowieka wypłynie i sama sól zostanie, a zbrylona sól, wiadomo, twarda. Nie ma rady na tę wojnę, człek bezradny jak dziecko. Modlić nam się trzeba. Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy.

– Już mi słów zabrakło – odrzekła głucho Marianna. – Wszystkie zużyłam. Całymi nocami modlę się za Jakuba, za Lilkę... – Głos jej się załamał. – Nie wiem, co się z nimi dzieje... Nie wiem nawet, czy żyją. A teraz jeszcze to. Pani Chudecka, jak my sobie teraz poradzimy? Już dawno chciałam z panią porozmawiać... Pani jest dla nas domownikiem, ważnym i kochanym. Jest pani z nami od zawsze, dla dzieci jak druga matka...

Kucharka poczerwieniała. W jej wypukłych, ciemnych oczach błysnęły łzy. Sięgnęła do kieszeni, wyjęła chusteczkę i z hurgotem wydmuchała nos.

– A przecież pani ma chyba jakąś rodzinę? Pewnie zechce pani do nich wrócić... Nie będę miała żalu, zrozumieć. Czasy takie...

Kobieta znieruchomiała.

– Pani mi wymawia?

– Ależ skąd! – Marianna podniosła zapłakane oczy. – Ja po prostu nie wiem, czy... czy będę mogła pani płacić. Zostało trochę pieniędzy i biżuteria, ale kto wie, ile ta wojna jeszcze potrwa. Nie wiadomo, co będzie. Ceny horrendalne, sama pani wie. Gustaw zdążył wyciągnąć pieniądze z banku. Lusia mówiła, że wszystkie oszczędności powyżej trzystu złotych uległy konfiskacie... Stracili mnóstwo pieniędzy. Nam już też niewiele zostało... A jeszcze teraz to...

Marianna pochyliła głowę i oparła czoło na dłoni.

– Poradzimy – oświadczyła krótko kucharka, ocierając resztki łez i prostując plecy. Wyglądała jak



generał szykujący się do bitwy. – Poradzimy – powtórzyła. – O męża niech się pani nie martwi, jestem pewna, że wszystko się wyjaśni. A jeśli się rozchodzi o mnie... Nie mam dzieci, przecież pani wie, męża pochowałam piętnaście lat temu, z okładem. To niby dokąd mam wracać? Tu jest mój dom. I nie potrzebuje mi pani płacić. Co to, czy ja nie wiem, że wojna? Ta gdzie ja bym poszła? Na bruk chyba albo pod most. I Pelasia pewnikiem też zostanie, jeśli pani się zgodzi. To sierota, w przytułku się wychowała i zawdy powtarza, że dopiero u państwa dom znalazła. Kobiety zawsze sobie dadzą radę, tak mawiała moja mama nieboszczka i miała świętą rację – sapnęła, dźwigając się z krzesła. – A teraz niech się pani położy, wcześniej jeszcze. Ja zaraz pod kuchnią napalę i co do jedzenia uszykuję. Wczoraj krupy dostałam u Żydka i słoniny jeszcze trochę zostało. I na całe szczęście jest mleko. Obiecali mąki worek odłożyć, to się potem Pelasię wyśle. A pani niech się nie zamartwia po próżnicy, bo od tego rozumu nie przybywa. Lepiej pomyśleć, gdzie by tu iść w sprawie pana. Może do Marczenki, skoro jego baba gada, że taki ważny teraz w magistracie.

Kiedy kucharka wyszła, zamykając za sobą drzwi, Michaś otworzył oczy. Wyjątkowo przytomne.

– Mamo, to nieprawda, co pani Chudecka mówiła – oświadczył twardo. – Że same kobiety teraz zostały – dodał na widok miny matki. – Ja jestem mężczyzną i teraz ja się będę tobą opiekował. I Pelasię też. I panią Chudecką... – dokończył z wahaniem, zdając sobie sprawę z różnicy w gabarytach. – Zobaczysz, damy sobie radę. Jutro polecę na Krakowski, wiem, gdzie można tanio mięso dostać. Zrobi się w słoiki, jak w Winniczkach, i potem, jak nie będzie, to my będziemy mieć – zakończył z tryumfem.

Marianna przyciągnęła do piersi jego jasną głowę i wtuliła nos we włosy synka. Rozczulający, ciepły zapach dziecka sprawił, że serce jej się ścisnęło. Michaś pachniał dobrymi, słonecznymi dniami, o których już zdążyła zapomnieć. Poczwała, że kocha go nad życie i choćby świat miał jutro spłonąć, uczyni wszystko, żeby synek był bezpieczny. Ta myśl dodała jej otuchy. Zwłaszcza że było jeszcze jedno dziecko...

Wczesnym popołudniem, gdy razem z Pelasią kroili mydło na małe porcje, starając się nie zmarnować żadnego cennego okruszka, bo na bazarze za niewielki kawałek żądano trzy i pół złotego, ktoś zapukał do drzwi. Głośno i niecierpliwie, jakby go stado wilków goniło. Mariannie nóż wypadł z ręki, przerażona Pelasia zastygła w bezruchu.

Jedna kucharka zachowała zdrowy rozsądek. Machnęła ścierką w stronę dziewczyny.

– Ta leć, na co czekasz! Ino nie otwieraj na oścież. Łańcuch zostaw.

Za drzwiami stał Antoni. Objuczony workami i koszami, ledwie trzymał się na nogach.

– Chwała Bogu – sapnął, wchodząc w słowo Pelasi, która na jego widok wydała westchnienie ulgi, przywołując Przenajświętszą Panienkę. – Jużem rady nie dawał. Cud jaki, że na ulicy mnie nie zatrzymali, taż od pierwszego rzutu oka widać, że jedzenie niosę.

Gdy uradowane kobiety rozpakowały jajka, mięso, mleko, masło i świeżo uwarzony kwargiel z kminkiem i pochowały w spiżarce, Marianna, nieoczekiwanie dla samej siebie, uściskała Antoniego. Pachniał domem na wsi i machorką, znajomymi, bezpiecznymi woniami z minionego życia. Mężczyzna, nienawykły do takiej poufałości, z zakłopotaniem mamrotał coś pod nosem.

– Jajka się trochę potłukli, ten tego... W tramwaju ścisk niemożliwy, wiara wisi na schodach i buforach... Z Winniczek syn Bembnowicza mnie przywiózł. Tego, co naszą pannę Lilkę wtedy w lesie znalazł. Szpunt taki, chyba szesnastu lat jeszcze nie ma, a końmi powozi jak stary. Teraz, jak Bembnowicz na front poszedł, matką i babką się opiekuje. Tylko te jajka... szkoda...

– Panie Antoni kochany, niechże się pan nie martwi. – Marianna odsunęła się, klepiąc go po ramieniu. – Pelasia większość uratowała. Pani Helenka na szczęście w miskę zapakowała i zaraz się jajecznicę usmaży. I mleko jest – westchnęła z ulgą. – Całe szczęście. No, a teraz niech Antoni lepiej opowiada, co

tam w domu. Jak pani Helenka?

– Ta co ma być? – Wzruszył ramionami. – Turbuje się od rana do nocy, że ruskie majątek niszczą. Ale niech się pani dobrodziejka nie frasuje – pocieszył, nie zdając sobie sprawy, że dla Marianny to ostatni powód do zmartwień. – Ta joj, dla moi baby niszczenie to jak podłogi brudzą i parkiety rysują tymi swoimi buciorami. Bo poza tym spokojne są. Nikt nie wie, jak długo jeszcze posiedzą, ale już widać, że świrkować zaczynają. Chirzą od rana do nocy, a potem zalegają pokotem na podłodze. Wszystko piją, ta powiadam pani. – Antoni pokręcił głową i przygładził białe włosy, odstające za uchem. – Ja tam nie od tego... – chrząknął zakłopotany. – Ta niejednego się cymesa za młodego próbowało, ale żeby wodę kolońską, co po panu została? A denaturat? I prynuki nie potrzeba. Co spirytem zalatuje, w ruskim gardle wyląduje.

– I kopyt od tego nie wyciągli? – zdziwiła się Pelasia.

Antoni machnął ręką.

– Złego diabli nie biorą. Ich komandir, taki syromudry młokos, czasem mnie na gadanie zaczepia. O wszystko wypytuje, do czego to, do czego tamto. Ta joj, pani! Wodę w kranie pierwszy raz na oczy zobaczył, a do naszej Krasuli to się prawie modli. Bidulka, oczy miała jak spodki.

– Krowy też przedtem nie widział? – Pelasia zrobiła wielkie oczy.

– To z nabożności – pouczył ją Antoni. – Podobnież w jego wsi rodzinnej jedna krowa uratowała wszystkich mieszkańców od głodu. A u nas takie marnotrawstwo – roześmiał się. – Dziesięć krów dla jednego pana. Dziwuje się, że takie gospodarstwo do jednego należy, i furt brechnie gada, że on nas wyzwalać będzie. Czują się w chałupie jak u siebie, ale szkód wielkich nie czynią. Chyba że po ćmoku okna potłuką...

Zarządca z lubością powąchał parujący talerz jajecznicy, który postawiła przed nim pani Chudecka. Sięgnął po widelec.

– Wcześniej bym przyjechał, ludzie gadali, że we Lwowie z jedzeniem nietęgo, ale nie tak łatwo zejść im z oczu. Ostatniej niedzieli na baczność stali, bo przyjechał politruk. Strasznie się go boją, po cichu mówią o nim „sobaka”, ale portkami trzęsą, oj, trzęsą. Pochodził, powęszył, coś zapisał i pojechał, a ci z ulgi wielkiej znowu się uchlali. Pytał o pana Gustawa. Ta ja już dłużej czekać nie mógł. Antoni, mówię sobie, musisz pana Gustawa ostrzec. A że akurat Bembnowicz się napatoczył...

W kuchni zaległa cisza.

– Za późno, nad ranem go zabrali.

– Nie może być! – Antoni był wstrząśnięty. – Panienko Przenajświętsza, to moja wina! Po co żem tyle czekał? Trza było w zeszłym tygodniu przyjechać...

– To nie Antoniego wina, i tak by Antoni nie poradził. Od dawna wszyscy mówili, żeby uciekał. Ale zna go Antoni przecież... Zawsze wszystko lepiej wie, nikogo nie słucha. Tak się martwię, najpierw Jakub, potem Lilka. A teraz jeszcze to. Wojna rozdziela ludzi... Nie udało nam się trzymać razem, chociaż się modliłam. I najgorszy los niestraszny, kiedy rodzina razem.

Antoni drgnął. Podrapał się po brodzie i zmarszczył brwi.

– To panna Lilka jeszcze nie wróciła? – zaniepokoił się. – Będzie już ze trzy tygodnie.

Marianna znieruchomiła.

– O czym Antoni mówi?

– Ze trzy tygodnie temu przyszły do Winniczek. Z taką binią była, wysoką i rozlataną, Wanda, na nią mówiła. Biegły wprost do majątku, alem na szczęście je zdybał, nim zdążyły wejść do chałupy.

Opowiedział o spotkaniu.

– Ta ja robił, co mógł, żeby same nie jechali, ale uparte toto, pani dobrodziejka wie – zakończył zmartwiony. – Mówiły, że o życie się rozchodzi...

Marianna nie mogła uwierzyć własnym uszom.

– Jak Antoni mógł na to pozwolić?! I jeszcze konie im dał! Przecież to jeszcze dzieci! W takich czasach, same! Chryste Panie, człowieku! Czy Antoni zdaje sobie sprawę, co zrobił? Antoni je posłał na pewną śmierć!

Poczuła, że musi usiąść, bo inaczej się przewróci. W głębi duszy czuła, że jest niesprawiedliwa, ale w tej chwili nie miało to żadnego znaczenia. Zmęczony mózg podsuwał straszne obrazy; nie chciała sobie wyobrazić ogromu niebezpieczeństwa, na jakie narażała się Lilka.

Antoni skurczył się na krześle i schował głowę w ramiona, jakby dopiero teraz dotarła do niego powaga sytuacji.

– Ot, durny ja... Niech pani przebaczy, ja dobrze chciałem... Gdzie ja miałem łepetę. Powinien być zatrzymany, choćby siłą.

Kucharce żal się zrobiło starego człowieka. Złapała się pod boki i huknęła:

– A bo to pani nie wie, że nasza panna Lilka furt stawia na swoim? I bardzo dobrze, że Antoni pomógł, nie kaparzył. Chociaż głodne nie poszły. A że konie dał? To i lepiej. Gdzie się wybierały, toby się wybrały, z koniem czy bez. A czasy takie, że każdy szybciej dorosnąć musi.

– Mówiły, dokąd jadą?

Marianna porzuciła pretensje. Od początku wiedziała, że kucharka ma rację. Teraz zachodziła w głowę, jakim cudem Wiktor przemienił się w Wandę. Kiedy widziała córkę po raz ostatni, wybierała się z Wiktorem szukać pracy.

– Tak po prawdzie, to nie – zafrasował się Antoni. – Ale ja słyszał, jak o Borysławiu między sobą gadały, że lasami trza im jechać, mimo głównych dróg.

– Tyle dobrego, że choć rozsądku nieco wykazały. Ale po jakie licho aż do Borysławia je poniosło? Nikogo tam nie znamy, jednego Pistynera... Może jakaś koleżanka? A może to z powodu Wandy?

Marianna nie mogła się otrząsnąć. Nie miała nadziei, że zgadnie, co Lilce mogło strzelić do głowy. Musiała wierzyć w jej rozsądek, nic innego nie pozostało. Nie mogła nic zrobić; nie miała żadnego wpływu na jej poczynania i to doprowadzało ją do obłędu. Z jednej strony czuła ulgę, bo córka była cała i zdrowa. Zaraz jednak znowu dopadło ją przygnębienie.

– Kiedy to dokładnie było, pamięta Antoni?

Z widocznym zakłopotaniem podrapał się po głowie. Zmrużył niebieskie, wodniste oczy.

– Mówiłem, będzie ze trzy tygodnie, nie pamiętam dobrze. W każdym razie jakieś dwa tygodnie po tym, jak pan Stroński list przywiózł... Ta Jezu Chryste! Znowu bym zapomniał! – Pogrzebał w kieszeni i wyjął zmiętoszoną kopertę. – Ta trzymam przy sobie od miesiąca...

Marianna niecierpliwie rozerwała kopertę i przebiegła oczami tekst.

– Chwała Bogu, chociaż oni są bezpieczni. Miejmy nadzieję – dodała. – Bo czy to dzisiaj co pewnego?

– Zdążyli z Sosnowki uciec, zanim Ukraińcy nastali. A wiadomo co o Jakubie? – dopytywał się Antoni.

– Przepadł jak kamień w wodę! – westchnęła. – Liczyłam, że może Antoni co wie... Że może do Winniczek zaglądał?

– Nie trza się martwić. – Poklepał ją po dłoni. – Pewnikiem ma jakieś swoje powody, żeby się ukrywać. I tak zrobił lepiej niż pan Gustaw... Gdyby tu był, też by go zabrali.

– Może ma Antoni rację... – Marianna uchwyciła się tej myśli, bo przynosiła ulgę. – Jakub potrafi o siebie zadbać, to przecież dorosły mężczyzna.

– Postaram się jeszcze mąki przywieźć, z tym że nie wiem kiedy. – Antoni zmienił temat. – Ta wczoraj bym był, jużem konia zaprzęgał, ale mi nie pozwolili. Lejce wyrwali i zamalowali, ażem gwiazdy zobaczył. A na piechotę nie uradzę... Lata nie te.

Marianna zamachała rękami.

– Nie ma sensu się narażać, niech Antoni dba o siebie, my jakoś damy radę. Ale... – zawahała się. – Gdyby się udało, to najbardziej mleko potrzebne. Trochę pieniędzy zostało, a na bazarze można wszystko sprzedać. Sowiety wygłodniałe, z takiej dziczy przyjechali, że nasza normalność luksusem im się jawi. Nasza dawna normalność – dodała z goryczą – bo teraz coraz gorzej. Teraz jeszcze ciepło, w piecach nie palimy, ale pod kuchnią trzeba. Gustaw wyciął te stare grusze z tyłu domu, to starczyło na jakiś czas. Słyszałam wczoraj w sklepie, że częściowo wyrąbano Lasek Węgliński na Pohulance i prawie cały lasek na Kleparowie. I co tu się dziwić? – Marianna wzruszyła ramionami. – Na co komu parki, jak nie ma czym palić! Mówią, że zima zapowiada się mroźna, a sam Antoni widzi, że tu wilgoć straszna. Choć okna zdałoby się zabezpieczyć. Przedtem się łudziłam, że może uda się wrócić do mieszkania przed zimą, ale Marczenkowa kręci smętnie głową za każdym razem, jak mnie widzi. To dobra kobieta, ufam jej – dodała, nie zwracając uwagi na wymowne prychnięcia kucharki. – Oj, pani Chudecka, dałaby już pani spokój, ludziom trzeba wierzyć. Skoro mówi, że jeszcze nie, to nie. Aż się boję myśleć, co to będzie...

– Ta joj! Damy radę. – W głosie Antoniego zadźwięczały twarde nuty. – Niech się pani dobrodziejka nie frasuje. A te okna zaraz zobaczę – powiedział, podnosząc się od stołu. – Najsamprzód na miasto skoczę, może co się nada.

Marianna zmusiła się do uśmiechu. Zza ściany dobiegł płacz dziecka. Pelasia zniknęła w drzwiach pokoju. Mężczyzna uniósł brwi w niemym zdziwieniu.

– Dlatego o tym mleku mówiłam – wyjaśniła znużonym głosem Marianna. – My sobie jakoś damy radę, możemy jeść cokolwiek. Ale niemowlę musi mieć mleko.

## IV

Więzienie przy ulicy Kazimierzowskiej zajmowało okazały, renesansowy gmach. Wybudowano go z przeznaczeniem na klasztor dla żeńskiego zakonu Świętej Brygidy. Przez sto siedemdziesiąt lat służył siostrzom jako dom. Dziś jedynie ich duchy błędziły między celami, z troską pochylając się nad zwiniętymi na podłodze, skatowanymi ludzkimi ciałami i wysłuchując zawodzeń więźniów. Mówiono, że niekiedy czuć było lodowaty powiew, choć okna w celach się nie otwierały. Albo skrzypienie pryczy, na której nikt nie leżał. Zakonnice przychodziły w snach i dotykając chłodną dłońią rozpalonego czoła któregoś z aresztantów, szeptały mu do ucha słowa pociechy i ukojenia.

Dawne miejsce kontemplacji i modlitwy, przedsionek raj, zamieniło się w piekło na ziemi. Wszyscy we Lwowie wiedzieli, czym są Brygidki, jak powszechnie nazywano to miejsce, ale od kiedy miasto zajęli Sowieci, nikt z mieszkańców nie był w stanie wyobrazić sobie ogromu cierpień i dramatów rozgrywających się za murami. Ludzie ginęli bez wieści, jakby wpadli w głęboką studnię bez dna. Nie pozostawały po nich nawet mogiły.

Tej nocy na korytarzu słycać było głucho łupanie, odbijające się echem od kamiennych ścian. Wiktor obrócił się na drugi bok, starając się nie jęczeć. Podkute buciory strażnika, po których do dziś miał sińce na całym ciele, dudniły jak armaty. Był środek nocy i współtowarzysze z celi już spali. Sen był jedną z najcenniejszych rzeczy, które im zostały, i nie chciał pozbawiać go innych tylko dlatego, że sam nie mógł spać. Uniemożliwienie snu było jedną z bardziej wyrafinowanych tortur. Po Brygidkach chodziły słuchy, że jednemu nieszczęśnikowi nie pozwolono zasnąć przez dziewięćdziesiąt sześć godzin. Gdy zasypiał, polewano go lodowatą wodą albo przytrząskiwano mu drzwiami palce. Wytrzymał, ale potem i tak go zatłukli, dając w prezencie sen wiekuisty.

Choć Wiktora już od kilku dni nie przesłuchiowano, obolałe ciało nie mogło wytrzymać zbyt długo w jednej pozycji. Podejrzewał, że ma pękniętą kość ogonową, a w najlepszym wypadku porządnie stłuczoną. Wybity ze stawu bark już tak nie dokuczał, od czasu gdy jeden ze współwięźniów go nastawił. Wiktor cieszył się, że nie wybili mu zębów, jak temu chłopakowi z pryczy pod oknem. Do jedzenia dostawali tylko czarny chleb, twardy jak kamień. Biedak musiał długo moczyć go w wodzie, zanim był w stanie przełknąć cokolwiek. Gdy nie przyniesiono wody na czas, pluł na kromkę, usiłując zeskrobać zakrwawionymi dziąsłami choć kilka okruchów. Wiktor odwracał głowę, by nie patrzeć na tę krwawą, lepka breję, którą tamten łapczywie pochłaniał.

Zza okna dobiegały odgłosy wolności: szum deszczu, dzwonki tramwajów, ujadanie psów. Gdzieś niedaleko przejechała ciężarówka, turkocząc po bruku i jęcząc wszystkimi osiami. Wyobrażał sobie ludzi przemykających pod parasolami, stojących w kolejkach, biegnących na spotkanie. W powodzi normalnych czynności prawie można było zapomnieć, że czas jest nienormalny, że trwa wojna.

Przymknął oczy. Ostatnio jego ulubionym zajęciem stało się podróżowanie w głąb siebie. To były długie i intensywne podróże pełne wspomnień, refleksji. Odgradzał się wtedy od świata niewidzialnym murem. Nauczył się wyłączać mózg, sprawiać, że stawał się odporny na bodźce z zewnątrz. Z boku wyglądał na otępiełego, ale właśnie w takich chwilach doświadczał największej intensywności istnienia. Ratowało go to podczas przesłuchań. Po piętnastym z kolei pytaniu o lokalizację harcerskiej podziemnej

radiostacji przestawał słyszeć. Mogliby zatłuc go na śmierć, a jego umysł i tak błędziłby miliony kilometrów stąd.

Enkawudzista stawał się zabawną marionetką; miał czerwoną z wściekłości twarz, oczy z guzików, kartoflany nos i usta, które kłapały, nie wydając żadnego dźwięku. Wiktor patrzył na spleciony z metalowych prętów bykowiec, obciążony skórą, którym marionetka machała mu przed nosem. Widząc go z całą wyrazistością, jednocześnie doznawał irracjonalnego wrażenia, że jego samego wcale tam nie ma. Jakby był widzem w kinie i oglądał niemy film. Strach zniknął, ustępując miejsca apatii i obojętności. Gdy bolesne razy spadały na głowę, ramiona i nerki – Wiktor unosił się pod sufitem, spoglądając ze smutkiem na to biedne, katowane ciało, tak bliskie, a jednocześnie obce. Ciało młodego mężczyzny, który nie był nim. On sam był nicością i spełnieniem, bytem poza czasem i przestrzenią. Poza świadomością i rozumem.

Tylko trudno było znieść coś, co nazywali między sobą podskubywaniem gęsi. Kiedy wyrwali mu włosy ze skroni, piersi, spod pach albo z narządów płciowych – wył jak zarzynane zwierzę. Wracał na powrót do swego ciała i znów stawał się Wiktorem Kozickim, mężczyzną w wieku, którego już pewnie nie przekroczy.

Przesłuchiwali go od wielu dni, coraz częściej jednak miał wrażenie, że robią to bez przekonania. Zadawali mniej pytań, jednocześnie wynajdując bardziej wyrafinowane metody sprawiania bólu. Jakby w końcu uwierzyli, że znalazł się w grupie harcerzy przez przypadek, zresztą jego nazwiska nie było na liście, lecz nie potrafili sobie odmówić sadystycznej rozrywki. Dlatego nawet się nie dziwił, gdy przestano go wzywać.

Ucieszył się, gdy zobaczył Tadeusza Tyczyńskiego. Minęli się na dziedzińcu. Wiktorą prowadzono do innego budynku, gdzie razem z wybranymi więźniami miał ładować na ciężarówkę ciała rozstrzelanych ostatniej nocy. Tadek, popychany przez dwóch rozbawionych żołnierzy, ledwie powłóczył nogami. Wyglądał przerażająco z opuchniętą twarzą i zmiażdżonym nosem, wciąż jednak żył i to było najważniejsze. Nie mieli szansy, by zamienić choćby słowo. Gdy Wiktor na chwilę przystanął, natychmiast przewrócono go na ziemię i skopano. Zdążył tylko zobaczyć, jak Tadeusz, mijając go, nieznacznie pokręcił głową.

Z całej grupy aresztowanych przed kościołem spotkał tylko jego. Przypuszczał, że inni też tu są, ale nie miał pewności. Oprawcy skrupulatnie dbali, by więźniowie z jednej łapanki nie siedzieli w tych samych celach. Kiedy trzęśli się w ciężarówce zaskoczeni i przerażeni, mimo że ściśnięci jak świnie jadące na rzeź, nie mogli rozmawiać. Wciąż miał w głowie zakrwawioną twarz Baśki z białym warkoczem. Dostała cios kolbą między oczy, gdy zaczęła krzyczeć, że są niewinni, nic nie zrobili, przyszli tylko na ślub koleżanki. Zbyszek usiłował ją uspokoić, ale zwalili go z ławki i całą podróż spędził przyciśnięty do podłogi butami żołnierzy.

Lilki między nimi nie było... Od kilku tygodni Wiktor zastanawiał się, czy to powód do radości. Stracił ją z oczu już kilka chwil po tym, jak światła reflektorów pocięły ciemność przed kościołem. Ktoś szarpał go i popychał, a on w panice rozglądał się za jej jasnym swetrem. W pewnej chwili wydało mu się, że przy ścianie budynku mignęła jakaś jaśniejsza plama, lecz nie był pewien. Któryś z żołnierzy zaczął strzelać. Inny podbił mu ramię, krzycząc coś ostro. Seria z karabinu trafiła między drzewa. Poleciały skoszone gałęzie. Wiktor modlił się z całej duszy, by jasna postać widoczna na tle ściany kościoła była Lilką. Kępa drzew rosła po drugiej stronie...

Musiał wierzyć, że żyje, że zdołała uciec. Tylko ta myśl powstrzymywała go przed poddaniem. Wytrzymał tak wiele tylko i wyłącznie dla niej. Gdyby wiedział, że wtedy zginęła, sam sprowokowałby strażników. I jedno było pewne: podarowałiby mu natychmiastową śmierć.

Ciężkie dudnienie nagle ustało. Trzasnęły jakieś drzwi. Ciszę zmaćcił przeciągły, nieludzki skowyt. Ktoś

wył, jakby właśnie spojrzął w otchłań i zrozumiał, że otchłań spojrziała na niego. Wiktor nieoczekiwanie przypomniał sobie Nietzscheańską myśl.

– To ten ormiański ksiądz – usłyszał seplenienie spod okna. – Przesłuchują go co kilka godzin, w dzień i w nocy. Widziałem, jak wpletli go między metalowe nogi dwóch krzesel i bili gumowymi pałami. Kiedy tracił przytomność, cucili go wiadrem wody i zaczynali od nowa.

– Za co go aresztowali? – Wiktor słyszał o księdzu, ale nie wiedział nic bliższego.

– Pomagał głodującym. I podobno należał do ZWZ. – Bezzębny chłopak ściszył głos. – Twardy jest, nikogo nie sypnął.

– A ty? Skąd ty tutaj? – Wiktor uniósł się na łokciach.

W nikłym świetle latarni wpadającym przez zakratowane okno widać było śpiące sylwetki zwinięte na siennikach. Na burej ścianie malowały się rozmyte cienie krat. Gdy zamontowane na zewnątrz reflektory prześlizgiwały się po pomieszczeniu, wzór powtarzał się również na suficie. Starszy mężczyzna na dolnej pryczy jak co noc jęczał cicho przez sen.

Chłopak wydawał się zadowolony, że może coś powiedzieć, choć brak zębów nieco mu to utrudniał. Sepleniał tak, że trzeba było niemałego wysiłku, by go zrozumieć. Od kiedy tu trafił, z nikim nie zamienił więcej niż kilka słów. I to nie tylko ze względu na trudności w mówieniu. Atmosfera nieufności i strachu panująca w mieście przenosiła się za mury Brygidek. Chodziły słuchy o konfidentach umieszczanych w celach między więźniami i ludzie bali się bez potrzeby otwierać usta. Dodatkowo każdy skupiony był na własnym bólu i nieszczęściu i nieczęsto zdarzały się akty więziennej solidarności. Owszem, pomagano sobie nawzajem, opiekowano się tymi, którzy najbardziej ucierpieli podczas przesłuchań, opatrywano ich w miarę możliwości, lecz wszystko działo się w ciszy. Jeśli nie trzeba było mówić – po prostu milczano.

– Złapali mnie na cmentarzu – zaczął. – Podczas manifestacji, mówię ci...

Wiktor wiedział, że dla lwowian Cmentarz Orłąt był szczególnym miejscem. Nie zdziwił się zatem, gdy usłyszał, że pierwszego listopada przy Grobie Nieznanego Żołnierza odbyła się patriotyczna manifestacja młodzieży. Najmłodszy uczestnik nie miał jeszcze dziesięciu lat. Zebrany wieczorem tłum wznosił okrzyki ku czci „Polski niepodległej, Francji, Anglii, prezydenta Rzeczypospolitej Raczkiewicza, generała Sikorskiego, generała Hallera”. Dwukrotnie odśpiewano hymn narodowy, a następnie Rotę.

– To było coś! – Chłopak wyglądał, jakby na nowo przeżywał tamte uniesienia. W półmroku jego blada, piegowata twarz niemal świeciła. – Nie możesz wyobrazić sobie ducha, który nas połączył, gdy ta pieśń-modlitwa popłynęła w rozgwieżdżone niebo... To było niepojęte przeżycie, dowód, że nic nas nie złamie, że mimo ciemnienia zawsze pozostaniemy nieugięci! Wszyscy śpiewali, do ochrypnięcia. – Uśmiechnął się. – I jeszcze przypadkowi przechodnie się przyłączyli.

Wiktor milczał przez chwilę.

– Ile masz lat? – zapytał w końcu.

– Prawie piętnaście – z dumą doleciało spod okna. – To była już druga manifestacja, ale przedtem udało mi się uciec. A teraz, choroba, ktoś musiał donieść...

– Donieść? – Wiktor uniósł brwi. – Wydzieraliście się pośrodku pustego cmentarza... I co? – dodał drwiąco. – Komuś tym pomogliście? Zmieniliście bieg historii? Lepiej ci bez tych zębów? Ojczyzna z pewnością bardzo się ucieszyła...

Chłopak wytrzeszczył oczy. Mimo ciemności Wiktor widział jego zaskoczoną minę.

– Co ty? Co ty gadasz? To obowiązek każdego Polaka. Jesteśmy to winni Orłętom. Oni zginęli za wolną Polskę, do końca się nie poddali. Mamy siedzieć z założonymi rękami?

W głosie dzieciaka, którym wciąż był, zabrzmiała tak wielka żarliwość, że Wiktorowi nie pozostało nic innego, jak wzruszyć ramionami. Westchnął. Od kiedy pierwszy raz przyjechał do Lwowa, wciąż słyszał to samo. Nie mógł się nadziwić, ile egzaltowanego patosu tkwiło w jego młodych mieszkańcach. Można



by pomyśleć, że wybuch wojny niemal ich uszczęśliwił. Wreszcie zyskali szansę, by zginąć za ojczyznę, nie robiąc nic sensowniejszego niż prowokacyjne śpiewanie hymnu. Już miał przypomnieć podnieconemu chłopakowi, że Orleńta zrobiły jednak coś więcej, że tamci złapali za broń i skoro zabrakło polskich regularnych oddziałów wojskowych, ochotniczo walczyli o miasto w tysiąc dziewięćset osiemnastym, a potem dwudziestym, ale w końcu dał spokój.

– Lepiej więc dać sobie bohatersko wybić zęby... I co? Siedzisz tu i na co komu to się zdało? Tyle zyskałeś, że matka oczy wypłakuje.

– Jeśli będzie trzeba, pójdę na śmierć z podniesionym czołem! – zawołał tamten histerycznie.

– Ciii...! – skarcił go Wiktor. – Pobudzisz ich. Dobry sen jest więcej wart niż te wszystkie patriotyczne demonstracje. Przywraca człowiekowi siły. Wiesz, co ci powiem? Głupio się narażaliście. Mogli was na miejscu rozstrzelać i to za nieszkodliwe w gruncie rzeczy manifestacje. Żeby to jeszcze jakiś sens miało, tobym zrozumiał. A tak? Więzienia im zapełniacie i tyle. I na dodatek dostarczacie rozrywki. Chcesz składać życie na ołtarzu, to się chociaż upewnij, czy wyznawcy przypadkiem nie przenieśli się gdzie indziej.

– Gówno prawda! – warknął rozzłoszczony już na dobre chłopak. – Co z ciebie za Polak? Nic nie rozumiesz. Pokazujemy, że duch w narodzie nie zginął. To nie jest bez sensu, właśnie nie! To więcej warte niż bezmyślne latanie z karabinem. Niech wiedzą, że Polaków nie można złamać, nawet jak im się wszystko odbierze. Moja mama pochodzi ze Swierynowa – mówił już spokojniej, ściszej głoś. – Taka wieś na samej granicy z ruskimi. Opowiadała, że zawsze chcieli być w Polsce, tylko nie wiedzieli, jak to zrobić. Wójt pisał pisma, delegacje jeździły do Warszawy, ale nie pomogło. Pewnego razu dziadek z sąsiadem wpadli na pomysł. Co noc upijali sowieckich strażników i co noc przesuwali po trochu słupy graniczne, aż w końcu wieś znalazła się w granicach Polski. I co, uważasz, że to też było bez sensu?

– Długo tak?

– Co, poili ich spirytem?

– Nie, czy długo wieś była polska? – uściślił pytanie Wiktor.

Chłopak dopiero teraz wyczuł kpinę, ale odpowiedział:

– Dwa miesiące. Potem przyjechały ciężarówki, słupy przestawili, a sąsiada zabrali. Dziadkowi się upiekło, tydzień wcześniej buhaj go stratował w oborze... Ale ty nic nie rozumiesz, przecież chodziło o symbol. Widziałeś na mieście te parszywe afisze z kacapem przebijającym orłowi szyję? Zalepili nimi cały Lwów, ale daliśmy radę. – Uśmiechnął się szelmowsko. – Oczyszciliśmy Łyczaków i Śródmieście. Chodziliśmy w nocy i zrywaliśmy je z murów. Ludzie nam dziękowali, dawali chleb. Widzisz? To ma sens! Większy, niż myślisz.

Wiktor uznał, że ich rozmowa do niczego nie prowadzi. Ten chłopak żył w świecie symboli i demonstracji, jakby jeszcze nie opuścił szkolnej ławki. Jakby uważał, że wojnę wygrywa się, prezentując najeźdźcy dumny patriotyzm. Tylko patrzeć, a zacnie recytować Mickiewicza... Jednak pomimo niewątpliwej naiwności w jakiś niepojęty sposób budził szacunek. Przesłuchiwali go od kilku tygodni, a jednak nie złamali. Ani przez moment nie zwątpił w słuszność swoich idei. Wciąż miał w sobie mnóstwo entuzjazmu i było jasne, że jeśli tylko uda mu się przeżyć i jakimś cudem stąd wyjdzie – natychmiast popędzi robić to samo: wymachiwać sztandarem, sabotować, zrywać plakaty, śpiewać patriotyczne pieśni pod nosem okupanta i bez wytchnienia grać z wrogiem w kotka i myszkę. No cóż, pomyślał Wiktor, może tacy też są potrzebni.

Kolejny świt wstał mokry i szary. Świat za oknem wyglądał jak skąpany w brudnym mleku. Był początek grudnia i pomimo zapowiedzi, że szykuje się wyjątkowo ostra zima, mieszkańcy Lwowa z wrodzonym optymizmem łudzili się, że złowróżbne przepowiednie się nie spełnią. Ciężka zima oznaczała jeszcze większy głód. Porcje chleba, które dostawali więźniowie, z dnia na dzień były coraz

mniejsze, ale Wiktor nieraz się zastanawiał, jak radzą sobie ludzie za murem, zdani jedynie na siebie i własną zapobiegliwość. Docierały wieści o pustych sklepach, w których brakowało już nawet soli i zapalek, jedynych artykułów do tej pory dostępnych bez ograniczeń. Mówiono z wisielczym humorem, że kolejnym ukazem nowej władzy będzie usunięcie z alfabetu litery „m”, bo nie ma mleka, masła, mąki, marchwi, mamałygi, a dla machorki nie warto.

W celi zawisł odór stęchłych szmat, przemieszany z wonią potu, uryny i odrażającym smrodem gnijącego ciała. Jeden z piątki więźniów miał na pośladkach otwarte rany, które nie goiły się od wielu dni. Były mokre i zaognione, trawione zakażeniem. Przykleiła się do nich poszarzała bielizna, a przy każdej próbie odklejenia sączyła się brunatna ropa. Resztki skóry w tym miejscu przybrały zielonkawosiny odcień. To był jedyny raz, kiedy dziękowali Bogu, że w celi jest zimno i od posadzki ciągnie chłód; w przeciwnym wypadku odoru nie dałoby się znieść. Od dłuższego czasu nie było już czym opatrywać jątrzących się obrażeń, więc tylko ograniczano się do przemywania ich wodą, co zresztą niewiele dawało. Rany gniły i stało się oczywiste, że biedak już długo nie pociągnie. Przeszto go wzywać; całymi dniami leżał na pryczy twarzą do dołu, trawiony gorączką, i skowyczał z bólu, desperacko wczepiony w życie. Nikt nie był już w stanie znieść tych monotonnych jęków. W dzień starano się rozmawiać o czymkolwiek, byle je zagłuszyć, nocą zatykano uszy, modląc się, by nieszczęśnik wyzdrowiał. Albo wreszcie umarł. Granica pomiędzy współczuciem a zniecierpliwieniem stawała się coraz bardziej niewyraźna.

W powolną ciszę poranka wdarł się odgłos dudniących kroków na korytarzu i jakieś zgłuszone rozmowy. Jak wyszkolone psy Pawłowa zaczęli się zwlekać z prycz, zanim jeszcze szczęknął zamek. Za brak regulaminowej postawy w czasie obchodu groziło pozbawianie racji żywnościowych albo całodobowa praca przy trupach.

– Kozicki! – zawołał strażnik, kopniakiem otwierając drzwi.

Był niewysoki i krępy, miał grube, mongoidalne rysy i ciemne oczy, w których zawsze błyskały iskierki rozbawienia, przez co wyglądał jak dobrotliwy wujaszek Wania. Nawet wówczas, gdy przykładał komuś pistolet do głowy i pociągał za spust.

– Pan Kozicki – powtórzył z rechotem.

Słowo „pan” najwyraźniej sprawiało mu przyjemność, za każdym razem smakował je i obracał w ustach jak cukierek. Złożył komicznie uniżony pokłon, trącając lufą Wiktora, tkwiącego w karnym szeregu razem z innymi. Strażnik o twarzy wykutej jakby z jednej bryły nie sprawiał wrażenia zbyt lotnego, toteż więźniowie dziwili się, gdy już po kilku dniach potrafił dopasować nazwisko do postaci. W jego skrzydle było ponad dwadzieścia cel i wciąż przybywali nowi więźniowie.

– A ten czego leży? – Rzucił okiem na mężczyznę z ranami na pośladkach. – Towarzysz Pawłyszeńko do ciebie mówi, rybeczko. Podnieś swój dziurawy zadek, bo ci go odstrzelę. – Szturchnął butem ciało leżące na pryczy. – No, Cieński, jebana mać! Wstawaj!

Mężczyzna ani drgnął. Kopniak w pośladek był tak mocny, że Wiktor zrozumiał od razu. Jednak pierwszą reakcją było zdziwienie: sąsiad z pryczy miał nazwisko! Znał je sowiecki strażnik, a jemu samemu nigdy nie przyszło do głowy zapytać. Nawet ten prymitywny, zwyrodniały kałmuk nie odarł Cieńskiego z człowieczeństwa, tak jak to zrobił on, Wiktor.

Po kilku kolejnych szturchańcach do Pawłyszeńki w końcu dotarło, że stracił władzę nad Cieńskim.

– Zabierać to śmierdzące truchło! – ryknął. – Ty nie! – powstrzymał Wiktora, gdy ten, zaciskając zęby, razem z innymi pochylił się nad zmarłym, uważając, by nie zahaczyć głową o górną pryczę. Miał już wystarczającą ilość ran i siniaków utrudniających poruszanie. – Ty idziesz ze mną. Masz gościa, Kozicki. – Znowu zarechotał. – Panie Kozicki! – Popchnął go w stronę drzwi, ponaglając kopniakiem.

Wiktor z bólu zacisnął zęby. Dół pleców zabolął, jakby ktoś przebił to miejsce rozżarzonym prętem.

Słaniając się, przestąpił próg.

Siedziba Milicji Robotniczo-Chłopskiej mieściła się w dawnym komisariacie Policji Państwowej przy ulicy Sapiehy. Na szczęście tramwaje znów kursowały i choć były przepełnione do granic wytrzymałości, zarówno swoich, jak i pasażerów, wszędzie można było dotrzeć bez większych kłopotów. Najpierw uruchomiono odcinek od Pełczyńskiej przez Zyblikiewicza, Batorego, Wały Hetmańskie aż do Dworca Głównego, a w połowie października czynne już były wszystkie linie. Panował taki ścisk, że jazdę zaczynało się najczęściej na stopniach albo na buforach. W każdym wagonie było dwóch konduktorów, najczęściej Ukraińców, którym do pomocy przydzielano bolszewickiego policjanta. Był panem życia i śmierci, decydował, kto może wsiąść, a kto nie, na którym przystanku się zatrzymać, a który minąć bez zwalniania. Lwowiacy, przyzwyczajeni do codziennej życzliwości, a nawet rubaszości przedwojennych konduktorów i motorniczych, powoli zaczęli przyjmować nowe porządki i już się nie dziwili, gdy na znak obsługi tramwaj ruszał, mimo że nie wszyscy zdążyli zeskoczyć ze stopni albo zabrać tobołków. Nikogo nie obchodziło, że jakaś babina wysiadła na jednym przystanku, a jej tłumok pojechał dalej. Nastały inne czasy.

Znów zaczęły kursować pociągi. Miejska Kolej Elektryczna została przekształcona w Lwiwskij Tramwajnyj Trest i wagony również nigdy nie jeździły puste, mimo że nie obowiązywał właściwie żaden rozkład jazdy, a zdobycie biletu okupione było wielogodzinnym staniem w kolejce.

Lwów puchł, pęczniał, wypełniony ludźmi rojącymi się jak robaki na padlinie. Marianna odnosiła wrażenie, że cała Polska, uciekając przed frontem, bombami i prześladowaniami ze strony Niemców, trafiła właśnie tu. Uciekali przed wilkiem, bez świadomości, że na wschodzie już ostrzy sobie pazury tygrys. Chodnikiem nie dawało się przejść, ulice blokowały wszelkie możliwe środki komunikacji. Barwne, zadbane do tej pory miasto zszarzało, sposepniało, stało się ponure, złowrogie, budziło obrzydzenie i lęk. Jedynym kolorem, który krzyczał z każdej wystawy, każdego pomnika i budynku, była czerwień. Lwów tonął w czerwieni i brzydł z dnia na dzień. Na Korsie panowała Azja.

Marianna ze zgrozą i odrazą przyglądała się przez okno tandetnej, ogromnej konstrukcji z drewna oblepionego betonem, wystawionej na cześć Związku Radzieckiego nieopodal pomnika Sobieskiego. Z gmachów publicznych zniknęły godła Rzeczypospolitej. Tramwaj mijał kamienice obwiązane ogromnymi transparentami wykrzykującymi hasła propagandowe. Do przechodniów uśmiechały się monstrualnie wielkie, blade twarze Lenina i Stalina. W oczy biła wszechobecna, szmatława brzydota. Przed Małopolską Kasą Oszczędności wyrosła wysoka, drewniana wieża ze szczytem okrytym czerwonym materiałem. Stopnie wieży ozdabiały alegoryczne figury, przedstawiające rozmaite dobrodziejstwa konstytucji stalinowskiej, które zapewne nawet dla jej wyznawców stanowiły zagadkę. Na Wałach Hetmańskich umieszczono w równych odstępach wielkie, czerwone tablice, gdzie złotymi literami wypisano sentencje partii bolszewickiej. Tramwaj zwalniał przy nich z szacunkiem, by pasażerowie mogli je odczytać, a najlepiej wryć sobie w pamięć. Na szczycie każdej powiewały dwie czerwone chorągiewki.

Michał marudził, też chciał jechać, stęsknił się za tatą, lecz nawet nie było o tym mowy. Marianna nigdy nie zabrałaby synka ze sobą do takiego miejsca, zwłaszcza iż była prawie pewna, że i tak nie pozwolą jej się zobaczyć z Gustawem. Nie miała pojęcia, co się z nim dzieje, nawet nie wiedziała, czy mąż jeszcze żyje, choć akurat tej myśli starała się do siebie nie dopuszczać. Teraz, gdy została sama, jak jeszcze nigdy dotąd czuła na sobie ciężar odpowiedzialności za całą rodzinę.

Czekając w korytarzu na swoją kolej, starała się nie patrzeć w oczy ludziom, przygnanym tutaj przez podobny los; dobrowolnie z pewnością nigdy by tu nie przyszli. Jej uwagę zwróciła młoda dziewczyna spod okna. Mogła mieć najwyżej osiemnaście lat i była wyjątkowo piękna. Ciemne oczy, ocienione

długimi rzęsami, rzucały niepewne spojrzenia. Wysoko sklepione kości policzkowe i wypukłe, intrygujące usta z nieco większą górną wargą niczym magnes przyciągały wzrok. W jej rysach była jakaś nieuchwytna słodycz i szlachetność. Spod chustki wysypywały się grube, czarne włosy, przy czole i uszach skrócone w naturalne sprężynki.

Marianna odniosła wrażenie, że dziewczyna jest skrepowana swoją urodą i zrobiła wszystko, żeby ją ukryć. Mimo że w pomieszczeniu było raczej ciepło, siedziała zgarbiona na ławce, okutana w jakiś koc, w chustce naciągniętej na czoło, próbując zasłaniać twarz wysoko postawionym kołnierzem. Chustka uparcie ześlizgiwała się z włosów, więc nieznojona co rusz poprawiała ją nerwowo. Gdy tak siedziała skulona, z pochylonymi ramionami, w pierwszej chwili można ją było wziąć za staruszkę. Popatrywała lekliwie dookoła i drżała za każdym razem, gdy trzasnęły drzwi.

W pewnym momencie do czekających ludzi wyszedł milicjant i powiedział coś po rosyjsku. Jego wzrok spoczął na dziewczynie, a ta wyprostowała się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Podniosła głowę, zsunęła chustkę i rzuciła mu zalotne spojrzenie. Kiedy nie zareagował, znów się skuliła.

Zaintrygowana Marianna nie spuszczała z niej wzroku. W tej dziewczynie było coś niepokojącego, biła od niej jakaś desperacka chęć ukrycia się, połączona z jednoczesną potrzebą zwrócenia na siebie uwagi. Dwa sprzeczne i nieprzystające do siebie zamiary.

W poczekalni zaczął się ruch. Zgromadzeni, którzy do tej pory siedzieli cicho, zatopieni we własnych myślach, nagle się ożywili.

– Ludzie, ta od piątej tu czekam, a te bolszewiki sakramenckie wszystko mają w dupie. Co ten polikier trajkotał? – rozsierdziła się zdenerwowana tęga kobieta z lisem na szyi, podrygując nerwowo na ławce. – Powiedzieli w magistracie, że wungiel dadzą, a jak nie było, tak ni ma. No to jeszcze zobaczą, co Filarowa może!

Marianna drgnęła. Zapatrzona w dziewczynę, nie zrozumiała, co powiedział urzędnik, choć dość dobrze znała rosyjski.

– Kobito, ucisz się! – syknął starszy mężczyzna z białą brodą. Jego długi, wąski nos wyglądał jak pizszel obciągnięty skórą. – Kazali czekać, to nie ma wyjścia – powtórzył nieco spokojniej. – A język trza powściągnąć... I ciesz się, paniusiu, że na Pełczyńską nie kazali się zgłaszać...

Przy ulicy Pełczyńskiej mieściła się siedziba NKWD.

– Po wungiel? – zdumiała się Filarowa, lecz zaraz dodała: – Myślisz pan, że się boję tych czubaryków? Mój mąż jest zegarmistrzem, drogi panie, i ja wiem, jak z nimi rozmawiać – oświadczyła z wyższością, uchylając torebkę. Ze środka błysnęła płatanina zegarków na rękę. Kilka osób siedzących najbliżej pochyliło się nad torebką z niemal nabożną czcią. Tylko mężczyzna z brodą nie zmienił wyrazu twarzy.

– Myślisz, pani kochana, że też powinnam co przynieść? – zafrasowała się kobieta siedząca obok Filarowej. – Syna mi zabrali, to musi zegarek by nie wystarczył... Syn przed wojną policjantem był, na tym komisariacie urzędował. To może co wiedzą?

– Zegarek nie, ale co inne...

– Już nic nie mam, wszystko na jedzenie idzie, a gadają, że nasze złote niedługo przestaną być ważne. Że ruble będą.

– Ruble wróble – rzucił z pobłażaniem ktoś spod ściany. – Przylecą i odlecą. Ten bałagan i tak w końcu szlag trafi. Takie durne ludzie władzy nie zorganizują, mówię państwu. Wczoraj spotykam ja kilku na Krakowskim i pytam: „A co wy tam, u siebie nic nie macie, że się tak na wszystko tu rzućcie?”. „Mamy, mamy – odpowiadają. – U nas wsiewo mnogo. U nas charaszo”. To ja pytam dalej: „A limony macie?”. „Mamy – mówią z dumą. – Całe fabryki limon mamy”. „A Kopenhagę?”. „No kak niet – oburzają się. – U nas nawet kopenhaga jest. I to milionami. A jak zbudujemy więcej fabryk, to i kopenhagi będzie więcej”.

Przez poczekalnię przetoczyła się fala stłumionego śmiechu. Ktoś zaraz zaczął opowiadać o prymitywizmie cywilizacyjnym przybyszów, jako że na wielkiej gali w teatrze, wydanej z okazji rocznicy wybuchu rewolucji październikowej, żony radzieckich towarzyszy pojawiły się w powłóczystych nocnych koszulach, kupowanych na bazarze w przeświadczeniu, że to eleganckie suknie wieczorowe.

– Kołchoznyje Marusie, myślałby kto!

Ktoś inny dodał, że ruski komandir z żoną i dzieckiem, dokwaterowany do jego mieszkania, sypia z rodziną na stole i nie daje się przekonać, że mebel ma inne przeznaczenie. Za każdym razem, gdy gospodarz próbuje mu zwracać uwagę, ze złością wyszarpuje broń z kabury i wymachując mu przed nosem, wrzeszczy, że to sabotaż.

– No tom przestał – westchnął nieszczęsny właściciel mieszkania, niewysoki, starszy mężczyzna o okrągłej, czerwonej twarzy. – Gnieździmy się z famułą w dawnej służbówce, ale chociaż strachu nie ma. Ten komandir to jakaś szycha, choć ćmok, jakich mało. Że nas na ulicę nie wyrzucili, to cud jaki chyba. W naszej kamienicy – ściszył głos – mieszkał taki jeden, mecenas Majewski. Tylko co na emeryturę przed wojną poszedł. Z żoną sobie żył spokojnie, a kulturalny, a miły, mówię państwu. Nie wywyższał się, choć człowiek kształcony. W mieszkaniu jak w muzeum, antyki, obrazy, dużo miejsca. A posadzki to tak lśniły, jakby ze złota zrobione. Nieraz mówił do mnie: „Kochanieńki panie Waławie, na co to nam przyszło, że w kwiecie wieku na emeryturę nas odprawiono”. Bo ja też emeryt, motorowym byłem – wyjaśnił z dumą, gładząc się po resztkach włosów. – „Teraz na rybki będziemy sobie chodzić, gazetki czytać...”. I patrzcie, ludzie, zaraz wojna wybuchła i po mecenasie Majewskim śladu nie ma. Nawet nie wiem, kiedy go zabrali, musi, na chał pal... Pamiętam, że w sierpniu, jak już było wiadomo, że Niemce się zbiesiły, to zamówił sobie w prywatnej firmie takie gazowe żółte maski na czarnej wstążce. Stale je z żoną na rękach nosili... A teraz u niego jakiś ruski urzędnik bytuje. – Westchnął. – Więc ja nie narzekam, cicho siedzę. Ten nasz nie jest taki zły, choć trochę smarowóz, myć się nie lubi. Ale za to czasem jedzeniem się podzieli... Żona im praży, to i nam co skapnie. Chude te juszki na gwoździu, ale Bogu dziękujemy i za to. A ta jego to hadra, że nie daj Bóg! Dziauka od rana do nocy. Nawet jak sama zostaje, to na kacarabę wrzeszczy albo bywa, że i na synka. Uszy bołą, ale nie narzekamy. Wnuczek ich się nie boi, nawet się zakolegował z tym małym. No i ciepło jest, bo opał załatwił. Drewno się skończyło, a nowe skąd brać?

– Toż mówię, ja po przydział na wungiel – przypomniała się Filarowa. – W magistracie mówili...

– Daj pani spokój z tym wunglem. – Mężczyzna z białą brodą przerwał jej dość obcesowo. – Ludzi zabierają, wywożą nie wiadomo gdzie, a pani furt o wunglu...

Gdzieś trzasnęły drzwi. Z głębi budynku dobiegło kobiece zawroźnienie. Głos wibrował, wspinał się po ścianach, sięgając sufitu, by po chwili opaść, zamieniając się w gardłowe rzężenie. Był tak niespodziewany i przeraźliwy, że w poczekalni zaległa nagła cisza. Paplający jeszcze przed chwilą ludzie zamilkli, trwożnie zerkając po sobie. Nawet pewna siebie Filarowa zamarła w pół słowa, nie kryjąc przerażenia. Jej buta zniknęła jak zdmuchnięty płomień świecy. Wszyscy wlepili wzrok w drzwi, zza których dochodził ów odgłos.

Mariannie przyszło do głowy, że cały Lwów dotknięty został jakąś zbiorową psychozą strachu, którą mieszkańcy umiejętnie skrywają pod maską optymizmu i pozornie beztroskich zachowań. To był ich mechanizm obronny, reakcja owładniętego paniką umysłu: wyśmiać lęk, zakpić z niego, sprowadzając trwogę do anegdot i żartów. Zamiast drzeć przed okupantem, lepiej z niego drwić, z owym dobrodusznym politowaniem i wyższością. Przypomniała sobie żart, który opowiedziała wczoraj Pelasia, powróciwszy z targu.

– Czy pani Chudecka wie, że ruskie postanowili zamienić Lwów na Betlejem? – zapytała z pełną

powagą.

– Jakże to? – oburzyła się kucharka.

– A tak, święta idą, na ratuszu jest gwiazdka, a po ulicach chodzą pastuchy...

Ale wystarczyła jedna iskra, żeby zapalić w oczach ludzi przerażenie, którego nie dawało się zbyt głęboko ukryć. Tak jak teraz.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Wysoka, szczupła kobieta w poszarpanym palcie, prowadzona przez dwóch mundurowych, słała się na nogach. Miała włosy w nieładzie, tusz spływał aż na brodę, przez policzek biegła sina pręga. Za tą trójką wyszedł jakiś mężczyzna. Z racji wielu naszytych na zielonym mundurze baretek musiał być dowódcą. Wydatny brzuch opadał mu niemal na kolana. Guziki mundurki miał rozpięte pod szyją, a pas podtrzymujący spodnie był rozluźniony. Na twarzy Sowietki malowało się udawane oburzenie.

– Ciesz się, kobieto, że cię do kryminału nie kazałem wsadzić – oświadczył z niesmakiem, poprawiając mundur. Nieprzyjemny uśmiech wykrzywił mu kąciki warg. W lisich oczach błysnęło coś niedobrego. – Powinnaś odpowiadać za nakłanianie władzy radzieckiej do niegodnych czynów. Twój mąż to pospolity przestępca i jako taki został godzinę temu rozstrzelany z osobistego polecenia komisarza NKWD.

Umilkł i powiódł wzrokiem po skulonych postaciach.

– Ty! – Wskazał palcem Mariannę i odwróciwszy się, zniknął za drzwiami.

– Nazwisko? – rzucił, gdy znalazła się naprzeciw biurka.

Oprócz krzesła, na którym się rozpiął, nie było na czym usiąść. Pomieszczenie sprawiało przygnębiające wrażenie, bardziej kojarzyło się z lochem niż z biurem. Mimo wczesnej godziny panował tu półmrok, zakratowane okno wpuszczało niewiele światła przez brudną szybę. W kącie leżała mała przyzma gruzu, powstała przy okazji zamurowania drugich drzwi. Świeży ślad po nich wciąż był widoczny na ścianie. Nad pękatą, przeszkloną szafą pyszniła się surowa twarz Lenina. Takie samo popiersie tkwiło na stołku po przeciwnej stronie. We wnęce za szafą Marianna dostrzegła wąską kozetkę.

– Nazwisko! – powtórzył.

– Marianna Lindner. Mój mąż...

– Kolejna w sprawie chłopca? – przerwał jej ze śmiechem. – Co wy, polskie kobiety, tak murem za tymi chłopami stoicie? Ruskie baby potrafią zadbać o siebie, która durna by tu przylazła, żeby się za przestępcą wstawiać.

– Mój mąż nie jest przestępcą – oświadczyła z godnością Marianna.

– Radziecka władza nie aresztuje lojalnych towarzyszy! – ryknął grubas, aż podskoczyła. Uniósł się zza biurka. Był tak blisko, że widziała pootwierane pory na czerwonym, perkatym nosie mężczyzny. – Jeżeli aresztowany, to przestępca albo wichrzyciel, sprzeciwiający się nowemu porządkowi! Już my znamy takich pańskich Polaczków! Nawet wasz rząd to nędzna garstka tchórzliwych burżujów. Jak Niemca zobaczyli, nogi za pas wzięli. A może twój mąż to jeden z nich, co? Wyglądasz mi na pomieszczycę – zamlaskał. – I zapamiętaj sobie, paniusiu, ludowa władza nie uprzykrza życia lojalnym towarzyszom.

Marianna zwróciła uwagę, że na jego biurku nie ma żadnych dokumentów, żadnych teczek. Oprócz rolki papieru toaletowego leżała jedynie jakaś książka w twardych oprawkach i obgryziony ołówek.

– Oczywiście – pośpieszyła z zapewnieniem. – Nic takiego nie sugerowałam...

Jeszcze zanim tu weszła, wiedziała, że to nie ma sensu. To był z jej strony jedynie akt desperacji. Jeśli ten obleśny człowiek zacznie dochodzić prawdy, szybko się okaże, że w jego oczach Gustaw jest zdrajcą i uosobieniem tego wszystkiego, z czym nowa władza zamierzała walczyć. Była szalona, że tu przysłała.

– Przepraszam, chyba zaszła jakaś pomyłka... – zaczęła skrępowana, wycofując się tyłem w stronę drzwi. – Nie będę przeszkadzać, i beze mnie macie dużo pracy...

Gruby jednym sprawnym susem znalazł się przy niej. Mimowolnie zauważyła, że jest bardzo zwinny.

– Pomyliło ci się czy twój stary nocował w domu?

– Przypomniałam sobie, że wyjechał...

– O, nie tak szybko! – Mężczyzna zagroził jej drogę. – Skoro przyszłaś, znaczy, wiesz, że mogę pomóc.

I znaczy wiesz, jaka cena.

Mówiąc to, zmrużył oczy i pogładził ją kciukiem po policzku. Szarpnęła się, ale złapał ją mocno w pasie, jednocześnie przyciskając do swoich lędźwi.

– Paniusiu, nie zgrywaj cnotki – wycharczał wprost do jej ucha.

Ciepło jego oddechu przyprawiało Mariannę o mdłości. Ohydny smród przetrawionego alkoholu przemieszany z odorem zepsutych zębów wdarł się w jej nozdrza. Żołądek podszedł jej do gardła i była pewna, że zaraz zwymiotuje. Z wysiłkiem powstrzymała torsje.

– Chłopa nie ma, to pewnie jesteś potrzebowska. Karmazynow ci go zastąpi w trójnasób – stęknął lubieżnie, sięgając ręką pod jej spódnicę.

Poczuła na udzie jego szorstką, gorącą dłoń. Wyrwała się i przerażona odskoczyła do tyłu. Oparła się plecami o drzwi, rozpaczliwie szukając dłonią klamki. O dziwo, mężczyzna jej nie zatrzymywał. Rzucił jedynie przez zęby:

– O nie, kochaneczko, tak się bawić nie będziemy. Karmazynow ma swój honor i siłą nie bierze, co po dobroci dostać może. Chcesz, to chodź, wtedy ci pomogę i chłopa oddam. Ale, jak gadam, po dobroci ma być. Poruchamy – pogadamy, wyjebimy – pomożemy...

Znowu zarechotał. Przypominał wielką, zieloną ropuchę z obwisłymi policzkami. Stał naprzeciwko Marianny z założonymi rękami i obserwował ją spod opuszczonych, żabich powiek.

– Nadobna żena z ciebie, choć już wiochną nie jesteś. Ale dziadzia Karmazynow woli takie, doświadczone – wysapał powoli, oblizując się ze smakiem. – Przynajmniej ceregieli nie robicie i wiecie, jak chłopu dogodzić. Młode pizdy śliskie i chętne, nie odróżnisz jednej od drugiej... No, jak ci tak na męzulku zależy, wskakuj na stół i rozkładaj nogi! Zobaczymy, co tam chowasz...

Marianna bez namysłu złapała za klamkę i nie zważając na konsekwencje, wybiegła na korytarz. Nie podejrzewała, że Karmazynow osobiście będzie ją gonił, jednak mógłby kazać ją zatrzymać. Szmer głosów w poczekalni ucichł. Wszyscy mieli podobnie przerażone miny. Emerytowany motorniczy nawet poderwał się z krzesła i wykonał gest, jakby chciał ustąpić jej miejsca, ale nie zwróciła na niego uwagi. Filarowa nerwowo przełknęła ślinę, niepewnie gładząc martwy pysk lisa.

Marianna podeszła do dziewczyny spod okna i spojrzawszy jej w oczy, złapała ją za rękę. Tamta nie protestowała. Po chwili obie były już na ulicy. Szybkim krokiem, bez słowa ruszyły w stronę Cytadeli, nie zważając na sypiący coraz gęściej śnieg. Byle dalej, byle zapomnieć...

– Wiem, co zamierzałaś. – Marianna odezwała się pierwsza.

Podjechały razem kilka przystanków tramwajem, choć wcześniej niczego nie uzgadniały. Kiedy, również bez słowa, obie wysiadły na wysokości elektrowni, dziewczyna, jakby nie słysząc, co powiedziała Marianna, rzuciła:

– Wie pani, że na Persenkówce zabili dyrektora elektrowni? Nazywał się Stanisław Kozłowski... Potem gadali, że przypadkiem, że się zagapili, ale czy można przez przypadek kogoś zastrzelić? Przez przypadek można nie wysiąść z tramwaju na odpowiednim przystanku. Albo wsypać soli do herbaty.

– Jest wojna. – Marianna ominęła małą zaspę przy rozbitej witrynie sklepowej. – Wiem, po co tam przyszłaś – powtórzyła.

– Na pewno nie po wungiel. – Dziewczyna uśmiechnęła się smutno. – Palimy starymi gratami, ojciec nigdy nie pozwalał niczego wyrzucać. Mama się na niego złościła, do piwnicy już wejść się nie dawało. A teraz jak znalazł. Mojego brata złapali przy próbie przekraczania granicy. Chciałyśmy się z mamą czegoś dowiedzieć, ale nikt nie chce gadać. Wszędzie już byłam, myślałam, że jest na Brygidkach albo



Zamarstynowie... Ktoś mi powiedział, że najwięcej może ten... Karmazynow. – Gdy to mówiła, twarz jej stwardniała. Teraz malował się na niej upór. – Dla mojego brata wszystko zrobię. Nawet gdybym musiała... On słynie z tego, że przyjmuje zapłatę w naturze – dokończyła cicho.

– Nie – spokojnie oświadczyła Marianna. – On ci nie pomoże. To zwykła szumowina, korzystająca z przywilejów władzy. Pojęcia zielonego nie ma ani o twoim bracie, ani o nikim innym. I palcem nie kiwnie, żeby się dowiedzieć. Nie bądź naiwna, kochanie. – Popatrzyła miękko na dziewczynę. – Mojego męża też zabrali i też w swojej naiwności myślałam, że mogę coś wskórać. Byłam głupia... – Pokręciła głową, strzepując śnieg, który oblepił rzęsy. – Desperacja odebrała mi rozum. To nie jest żadna ludowa władza, choć od początku usiłują nam to wmówić. To zwykła anarchia, brutalne rządy zaborcy i tyle. Nie wolno dać się nabrać, pamiętaj o tym. – Zerknęła na dziewczynę, która szła obok niej z opuszczoną głową i zwieszonymi ramionami. Była jeszcze taka młoda... Wspomnienie Lilki nagle ścisnęło Mariannę za gardło. Przymknęła oczy, starając się uspokoić serce. – Obiecuj, że tam nie wrócisz. Masz kogoś?

– Z mamą same jesteśmy, ojciec zginął zaraz we wrześniu. Bomba spadła na tramwaj...

– Wiem, że to, co powiem, zabrzmi brutalnie, ale musisz teraz myśleć o sobie i mamie. Twój brat jest dorosły, jest mężczyzną, poradzi sobie. Poradzi sobie lepiej niż ty. Na pewno nie chciałby, żebyś wpadła w łapy tego... – Marianna zmeła w ustach przekleństwo.

Przystanął przy wylocie ulicy Wronowskich. Śnieg sypał coraz mocniej. Płatki wirowały, wciskając się pod kołnierz, pod chustkę. Mróz szczypał w policzki, zwiastując nadejście wielkich chłódów. Nie było dziś we Lwowie człowieka, który nie drżałby ze strachu przed nadciągającą zimą. Marianna popatrzyła w górę. Przez białą kurtynę ledwie widoczna była niewysoka, przysadzista wieża kościoła Świętego Łazarza. To właśnie w tym niedużym kościółku ochrzczono Lilkę, Jakuba i Michasia. Znow poczuła w sercu znajome ukłucie. Niekiedy miała wrażenie, że tylko krok dzieli ją od szaleństwa.

– Jak ci na imię?

– Helena.

– A więc, Heleno, obiecuj, że tam nie wrócisz. Mama wie?

– Że poszłam się czego wywiedzieć... Ale nic więcej...

– I lepiej niech tak zostanie. Poczekaj. – Marianna otworzyła torebkę, wyjęła notes i ołówek. – Tu masz mój adres i nazwisko. Jak będziesz czegoś potrzebowała, przyjdź. Nie wiem, czy będę mogła ci pomóc, ale się postaram. Mam córkę w twoim wieku...

Helena wzięła kartkę, schowała ją do kieszeni, po czym bez słowa wtuliła twarz w szare palto Marianny. Stały tak przez chwilę, dwie kobiety tego samego wzrostu, wtulone w siebie, jakby z jednej do drugiej płynął życiodajny strumień nadziei. Wśród śnieżnej zamieci, która rozpętała się tak samo nagle jak wojenna zawierucha, choć tak jak ona, była łatwa do przewidzenia. Obie czuły, że to przypadkowe spotkanie każdej z nich coś dało. Wreszcie Helena szepnęła: „dziękuję”, odwróciła się i zniknęła w śnieżnej bieli. Marianna została sama. Świadomość tego dopadła ją znienacka jak nagły cios w brzuch. Poczuli się opuszczona przez dziewczynę, której nawet nie znała.

W domu czekała na nią nieprzyjemna niespodzianka. Jeszcze zanim otworzyła drzwi mieszkania, wiedziała, że coś jest nie tak. Przed domem spotkała Michasia. Właśnie wpadał w bramę, obsypany śniegiem i bardziej przypominający śniegowego bałwanka niż chłopca. Najwyraźniej skądś wracał. Zaaferowany taszczył coś dużego i płaskiego, owiniętego w szary papier. Zmieszał się na jej widok.

– E... znaczy... Byłem u kolegi.

Nogą obutą w wysoki trzewik zawzięcie wierceł dziurę w śniegu.

– Michaś!

– No co, naprawdę byłem.

– Wiesz, że nie wolno ci samemu wychodzić. Tyle razy rozmawialiśmy! Co tam masz?

– Nic.

– Michał!

Szarpnęła za sznurek przewiązujący pakunek i oniemiała. Na ciemnozielonym tle ogrodu zajaśniał mały nagi chłopiec. Nad nim złowrogo błysnęła złota, monstrualnie wielka ważka. *Dziwny ogród* Mehoffera, zamiast wisieć na ścianie w salonie, który chwilowo zajmowali Marczenkowie, tkwił u Michasia pod pachą.

– Co zmierzałeś z tym zrobić? – Marianna nieprzyjemnie zmrużyła oczy, aż zaczęły przypominać oczy jaszczurki.

Nie była już pocziwą mamą, tylko śledczym, który nie ustanie, póki nie wyciągnie prawdy z przesłuchiwanego. Michaś wiedział, że wpadł w tarapaty. Wiedział też, że jedyne wyjście to powiedzieć prawdę. Prawda była czymś, co mama ceniła najbardziej. Nieraz zdarzało mu się unikać kary tylko dlatego, że się przyznał. Westchnął więc ciężko, zrobił najsmutniejszą minę, jaką potrafił, i rzekł łamiącym się głosem:

– Mamusiu, co tam jakiś głupi obraz, no naprawdę. Możemy dostać za niego na Krakowskim dużo pieniędzy, i to nie jakichś moniaków. Sowiety to czerepachy, powiem im, że jest bardzo drogi i sławny. Stefek mówił, że można im wszystko wcisnąć...

Przez chwilę panowała cisza, przerywana jedynie odgłosem zatraskiwanych drzwi gdzieś na wyższych piętrach. Michaś niemal słyszał brzęczenie much rozbijających się o szyby, choć o tej porze roku nie mogło tu być żadnych much.

– Kto to jest Stefek? – spytała głucho Marianna.

Zrozumiał, że nie jest dobrze. Normalnie mama by na niego nakrzyczała, może nawet dostałby klapsa. Usłyszałby, że jest nieodpowiedzialny, wpędzi ją do grobu i takie tam; miała bogaty repertuar dramatów. A teraz pyta, kim jest Stefek. Jakby to było najważniejsze.

– No, Stefek. – Mina mu zrzędła. – Taki kolega...

Marianna jakby nie słyszała. Bez słowa zabrała obraz i pokazała ręką schody. Chłopiec powlókł się ze spuszczoną głową, nie śmiąc protestować. Na korytarzu natknęli się na Marczenkową.

– Pani mu to dała? – spytała Marianna.

– A dobryj deń. No ja, a jakże. Wisiał zakurzony, malyj powiedział, że wy tak ten obraz lubicie... Ja tam się na sztuce nie wyznaję, to na co mnie on. Zresztą powiem pani Mariannie, że on jakiś taki weliczeznij. Co na niego spojrzę, dreszcz mnie przenika. – Otrząsnęła się. – I resztę oddam, i w ogóle, co kochana pani będzie chciała, ale... – Dozorczyni się zacukwała. Widać było, że coś jej leży na sercu. – Gdyby to ode mnie zależało, już dawno bylibyście na swoim. Ale mój stary mówi, że jeszcze niebezpiecznie, że kwaterunek dopiero się zaczyna. Ranok tu przyszli Żydzi z Sowietami, komisija taka, po kwartirach chodzili i metraż spisywali. Mój powiedział, że i tak nam tu kogo dodadzą. Trudno, niech już będzie, skoro ma być. Byle jaki bisowaty nie był – westchnęła, szczerzej otulając się chustą. – Ziab, że strach nos z chałupy wyściubić... A malyj zaradny, jak stary. – Uśmiechnęła się promiennie do Michasia, nie zważając na ukradkowe sygnały, które rozpaczliwie jej posyłał. – Przy nim pani nie zginie...

– Michaś, do domu – rzuciła Marianna, a sama odwróciła się do dozorczyń. – Pani Marczenkowa – zaczęła, siłąc się na spokój. – Jestem pani bardzo wdzięczna, naprawdę, ale czy pani, do licha, nie widzi, że to jeszcze dziecko?! Wie pani, co on chciał zrobić, wie pani?! Poszedł handlować! Pojęcia nie mam, dlaczego wrócił z obrazem, i wcale mnie to nie obchodzi. Na litość boską, to jeszcze dziecko!

– No wiem, że handlować, a jakże – przytaknęła dozorczyń, najwyraźniej nie rozumiejąc, o co Mariannie chodzi. – Taż mówię, że zaradny jak stary. To pohano? – spytała urażona.

– Tak, bardzo źle – jęknęła Marianna, czując, że nie dogada się z tą kobietą. – On nie ma jeszcze ośmiu

lat...

– I co z tego? Jednemu słońce świeci, drugiemu i księżyc nie błysnie. Powiadam pani, że Michaś bystry i ma chłopak szczęście. Bać się nie ma o co, w kaszę sobie dmuchać nie da, a ludzie nie Tatarzy, zawsze skibkę chleba dadzą – zakończyła ulubionym powiedzonkiem.

Marianna poczuła, że ma dość.

– Michaś, do domu! A panią bardzo proszę – ściszyła głos. – Następnym razem, jak przyjdzie z równie rewelacyjnym pomysłem, niech mu pani niczego nie daje.

– No dobrze, już dobrze – zaburczała dozorczyńni, odprowadzając Mariannę urażonym spojrzeniem. – Człowiek chce pomóc, a wychodzi jak zawsze... – Pomyślała o frymuśnej desce w irysy, która w gruncie rzeczy bardzo jej się podobała.

Ściskając obraz jedną ręką, a drugą trzymając Michasia za kołnierz, Marianna zeszła kilka schodków w dół i stanęła przed dawnym mieszkaniem dozorczyńni. Zza drzwi dobiegały hałasy. Ktoś mówił podniesionym tonem, ktoś krzyczał. Usłyszała płacz dziecka. Nad wszystkim górował doniosły głos kucharki.

– Dobrze, że pani jest! – zawołała na jej widok pani Chudecka. – Ta ja już nie mam siły tłumaczyć, że tu nie mieszka żaden Alojzy Bałbasenko! Mówię jak komu dobremu, że Taras Marczenko mieszkał, nie Bałbasenko!

Rozsierdzona kucharka trzymała się bod boki, zagrządzając drogę do pokoju wysokiemu mężczyźnie w zielonym wojskowym płaszczu, spod którego wyzierał sowiecki mundur. Na policzku żołnierza czerwieniał wielki czyrak. Obok tamtego, z uniesioną bronią, stał drugi, znacznie niższy, o niemal groteskowo krótkich rękach i nogach. Posturą bardziej przypominał Michasia niż dorosłego mężczyznę. W porównaniu z kucharką wyglądał jak krasnoludek. Mimo uzbrojenia obaj sprawiali wrażenie dość niepewnych, jakby z zaskoczenia zostali wciągnięci w coś, co ich mimowolnie skonsternowało. Ten pierwszy, mimo że wzrostu był słusznego, również sięgał pani Chudeckiej zaledwie do podbródka i to zapewne wywołało jego chwilową konsternację, bo zamiast odepchnąć kucharkę i zrobić, co zamierzał, tłumaczył się jak uczeń. Nie bez kozery były zapewne jej szerokie, silne ramiona, sięgające od futryny do futryny.

– Kobieto, odsuń się, pókim dobry. Jeśli nie mieszka, pójdziemy precz. Ale zobaczyć muszę! Taki rozkaz!

– Dziecko płacze, ta nie słyszy?! Głuchy czy jaki! Trzymajcie mnie, bo jak się zamachnę...

Pani Chudecka rzadko traciła nad sobą panowanie; jakby mając świadomość własnej siły, wołała nie kusić losu. Przerazona Marianna widziała, że tym razem jej kucharka gotowa była z gołymi rękami rzucić się na intruza.

– O co chodzi? – energicznie wkroczyła do akcji, zanim doszło do nieszczęścia.

Sowiec odwrócił się. Stojący obok Michaś wrzasnął, mocniej ściskając ją za rękę.

– Co? – przestraszyła się, odstawiając obraz na podłogę i nachylając się nad synkiem.

– Mamo! To on! – darł się chłopiec. – Ja go znam! On zabił Szymona! Widziałem! Starego Szymona zastrzelił!

Na twarzy żołnierza odmalowało się zaskoczenie. Wulkan na policzku był tak zaogniony, jakby za chwilę miał eksplodować.

– Tego handełesa? – mimowolnie zapytała Marianna.

W pamięci mignęła jej sylwetka starego Żyda. Właśnie dziś go spotkała, pchał swój nieśmiertelny wózek przysypany śniegiem. Czarne pejsy wyglądały jak pieprz z solą. Pewnie nawet by go nie zauważyła wśród wściekle wirujących płatków śniegu, zajęta walką z kapeluszem zrywanym przez wiatr, ale skinął jej na powitanie i powiedział, żeby uważała na Michasia.

– Prosił, żeby cię pozdrowić...

– O, karapuz! – zdziwił się żołnierz na widok Michasia. – Co za spotkanie!

Tym razem w jego skośnych oczach nie było drwiny, raczej ciekawość. Mignęło w nich również coś na kształt sympatii.

– O co chodzi, dowiem się wreszcie?

Marianna wysunęła się do przodu, zasłaniając sobą synka. Im bardziej się bała, tym odważniej potrafiła się zachować. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że właśnie umiera ze strachu.

– Wasz synalek to niezłe ziółko. – Skośnooki pogroził chłopcu palcem. – A ty? Matka – bardziej stwierdził, niż zapytał. – Gdzie Alojzy Bałbasenko? Ojciec.

– Nie znam żadnego Bałbasenki, nazywam się Marianna Lindner, a to mój syn, Michał Lindner.

– A Marczenko to kto?

– Dozorca.

– A gdzie Bałbasenko?

Żołnierz był uparty. Zadawał pytania i nie przyjmował odpowiedzi. Marianna poczuła, że za chwilę oszaleje. Jakby brała udział w jakimś surrealistycznym przedstawieniu.

– Przecież tłumaczę, tu nie mieszka i nigdy nie mieszkał żaden Bałbasenko. Musiała nastąpić pomyłka...

– Władza ludowa się nie myli – przerwał jej. – Napisane: Alojzy Bałbasenko, Tatarska pięć.

Wyszarpnął z kieszeni jakiś papier i szybkim ruchem podetknął jej pod oczy. Zdążyła jedynie przeczytać nazwę ulicy.

– Tam jest napisane: Weteranów pięć.

Lekko się zmieszał, choć widziała, że starał się tego nie okazać. Rzucił nieuważnym okiem na papier, a następnie pokazał go towarzyszowi, stukając palcem. Powiedział do tamtego kilka słów w jakimś dziwnym, nieznanym Mariannie języku. W jego głosie zabrzmiała pretensja. Tamten w odpowiedzi wzruszył ramionami, poprawił broń i uciekł spojrzeniem na ścianę.

Skośnooki odwrócił się do Marianny. Widziała, że zaczyna być zniecierpliwiony.

– Tu nie jest Tatarska? To gdzie do kurwy nędzy jest Tatarska?! – wrzasnął, tracąc nad sobą panowanie. – Tam napisane! Tu napisane! Kto by spamiętał!

Marianna wyjaśniła odruchowo, że nie trzeba pamiętać, wystarczy przeczytać... I nagle ją olśniło! Uśmiechnęła się, patrząc mu prosto w oczy...

Zrozumiał, że go zdemaskowała. Nigdy wcześniej nie przyszło mu do głowy, że mógłby się wstydzić. Szczególnie przed jakąś Polką! Nigdy tego nawet nie ukrywał. Był najlepszym strzelcem w pułku, a w siodle trzymał się, jakby na koniu się urodził. Kiedyś, w tajdze, jedną ręką skręcił kark wilkowi, który rzucił się na kobietę zbierającą chrust. Potrafił rąbać drewno z zamkniętymi oczami i postawić najpiękniejszą jurkę na świecie. I co z tego, że nie umiał czytać? Był silnym, dorosłym mężczyzną, w dodatku synem zwycięskiego narodu. Nie miał powodów do wstydu! A ta wyniosła kobieta stoi przed nim z zadartym podbródkiem i kpina nie schodzi jej z twarzy. W jej spojrzeniu było coś takiego, że nagle poczuł się nie jak tryumfator, który dyktuje warunki, tylko jak mały, bezradny chłopiec. Nie mógł pozwolić, by czuła się lepsza od niego.

Zamachnął się i uderzył ją w twarz.

Cios był tak nieoczekiwany, że Marianna się zatoczyła. Ból i zaskoczenie odebrały jej zdolność racjonalnej oceny sytuacji. Od rana nerwy miała napięte jak postronki i czuła, że jeśli nie da ujścia tej parze, która buzowała w niej jak w szczelnie zamkniętym garnku, zaraz eksploduje. Komisariat, gruby Karmazynow, lekkomyślna Marczenkowa, a teraz jeszcze ten Rusek z czyrakiem na policzku. Mdlący strach o Michasia, Lilkę, o Gustawa. Złość, bezradność... Zbyt wiele nawarstwiło się emocji, zbyt mało było sytuacji dających wytchnienie, za mało nadziei. Zanim pomyślała, co robi, zacisnęła zęby i jednym

celnym ruchem oddała cios, trafiając w sam środek pulsującego wulkanu.

Żołnierz ryknął, chwytając się za policzek. Drugi doskoczył do Marianny. Kucharka rzuciła mu się na plecy, próbując go od niej odciągnąć. Jęknął, przywalony potężnym ciężarem, i nawet nie poczuł, że jednocześnie chłopiec kopie go po kostkach, wrzeszcząc przy tym przeraźliwie. Jakoś zdołał się uwolnić z kotłowaniny i uniósł karabin. Wycelował lufę prosto w Mariannę. Michaś zaczął płakać. W korytarzu zapanowało pandemonium. Przerwał je Sowiet z czyrakiem na policzku.

– Spokój! – krzyknął. – Zabierz broń!

Ostrożnie pomacał ręką policzek i rzucił Mariannie wściekłe spojrzenie. Musiało go bardzo zboleć, bo w oczach miał łzy. Wiedziała, że musi coś zrobić. W powietrzu zawisło napięcie, sytuacja stawała się niebezpieczna. Na dodatek sama nierozważnie ją sprowokowała. Podjęła decyzję.

– Chodź ze mną! – rzuciła, wskazując brodą drzwi do kuchni.

– Ale co pani! – oburzyła się kucharka, machając potężnymi ramionami. – Chyba nie będzie pani...

– Pani Chudecka, niech pani zabierze Michasia i zobaczy, czy Pelasi czego przy małej nie potrzeba – Marianna przerwała jej stanowczo. – I proszę zamknąć za sobą drzwi. A ty – zwróciła się do niskiego żołnierza – poczekaj na zewnątrz.

Wysoki zmrużył oczy. Teraz wyglądały jak dwie skośne kreski. Po chwili wahania wykonał krótki ruch ręką. Trzasnęły drzwi. Weszli do kuchni.

– Siadaj – rozkazała, podsuwając mu krzesło. Bez słowa wykonał polecenie, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego to robi.

W pomieszczeniu było ciepło i przytulnie. Za oknem szalała śnieżycą, spowijając miasto w białe, poszarpane welony i odbierając światu głębię. Wiedział, że za tą wirującą ścianą jest kolejna kamienica, ale nagle zobaczył bezkresny, piołunowy step z mglistym pasmem gór za plecami.

Patrzył, jak kobieta stawia na kuchence duży rondel i wlewa do niego wodę. Następnie wyjęła z szafki czysty słoiczek, umieściła go w rondlu i podgrzała wodę do wrzenia. Kiedy w rondlu zabulgotało, chwyciła szczypcami słoiczek i sprawnie go wyjęła. Potrząsnęła nim kilka razy i dotknęła dłonią szkła.

– Może być, nie za gorący.

Obserwował jej ruchy z pewną podejrzliwością, ale się nie odzywał. Czekał. Ta kobieta miała w sobie tyle stanowczości i pewności siebie, że postanowił zobaczyć, co z tego wyniknie. Trochę mu imponowało to, co zrobiła, że się go nie bała. Doszedł do wniosku, że aresztować ją zawsze zdąży. Kiedy podeszła, odruchowo się odsunął.

– Jeśli chcesz się tego pozbyć... – Uniosła brwi. – Za chwilę będzie za zimny.

Nie nalegała, po prostu stwierdziła fakt. Stała wyprostowana, patrząc mu prosto w oczy, ze słoiczkiem w dłoni. Sam nie wiedział dlaczego, ale jej ufał. Pierwszy raz w życiu zaufał obcemu człowiekowi. Podsunął policzek, jednocześnie odwracając wzrok. Poczuł na skórze wilgotne ciepło i przymknął oczy w oczekiwaniu bólu.

Marianna pewną ręką przytrzymała słoik, obserwując przez szklane ścianki, jak stożek wulkanu robi się coraz bardziej fioletowy. Krew i ropa podeszły wysoko, były już pod samą skórą, ale jeszcze nie znalazły ujścia. Patrzyła z góry na gęste, ciemne włosy, trochę zbyt długie jak na żołnierza, podgolone na skroniach. Miał wysokie czoło i szerokie brwi, proste jak kreski.

– Jak ci na imię?

– Nergui.

– Jesteś Rosjaninem?

– Moja matka była Mongołką, ale urodziłem się w Karagandzie. Tam ojca poznała.

– Ojciec jest Kazachem? Bardzo dobrze mówisz po polsku. – Uśmiechnęła się, poprawiając słoik w taki sposób, by między jego krawędzią a policzkiem nie było prześwitu. Czowała, że coraz bardziej

stygnie i zaczyna zasysać skórę. Za chwilę powinno być po wszystkim. Próbowwała odwrócić uwagę mężczyzny.

– Nergui... Dziwne imię. To znaczy, bardzo ładne – dodała szybko, nie chcąc wyjść na ignorantkę, która uważa, że normalność kończy się na wschodniej granicy... Była przekonana, że spięty i skupiony na sobie mężczyzna wcale jej nie słucha, dlatego zdziwiła się, gdy starając się prawie nie poruszać szczęką, odpowiedział:

– „Nergui” znaczy: bezimienny. Matka przede mną straciła dwóch synów, umarli podczas porodu. Chciała zmylić złe duchy, żeby trzeciego jej nie porwały, więc nazwała mnie Nergui. Żeby nie mogły poznać mojego imienia i mnie zawołać... O jebana mać! – zawył nagle, zrywając się z krzesła.

Słoik upadł na podłogę i potoczył się pod stół. Czyrak pękł. Było po wszystkim.

Kiedy przecierała mu ranę spirytusem, żołnierz niespodziewanie przytrzymał jej rękę.

– Bałem się znów sobie to przebić, bo po ostatnim razie babrało się jeszcze bardziej. Taka kurewska rzecz, a życie uprzykrza. Ty jesteś mądra i odważna kobieta... Chciałbym coś dla ciebie zrobić, odwdzińczyć się. Mogę ci przynieść papierosy... Albo jakieś jedzenie. Może cukier?

– To miło z twojej strony, nie palę, ale cukru nie odmówię. – Nawet nie zauważyła, kiedy zaczęli sobie mówić po imieniu. Zastanowiła się. – Ale możesz mi pomóc.

Opowiedziała mu o aresztowaniu Gustawa i swojej wizycie u Karmazynowa. Ze zdziwieniem odkryła, że dzielenie się troskami z kimś, kto nie jest w nie w najmniejszym stopniu zaangażowany, przynosi ulgę. Pierwszy raz zwierzyła się komuś, za czyj los nie czuła się odpowiedzialna. Nergui wysłuchał, a następnie pokręcił głową. Dopiero teraz zwróciła uwagę, że oczy miał dziwnie przejrzyste, a nie ciemne, jak należałoby się spodziewać po kimś jego narodowości.

– Nie mogę ci nic obiecać, zwykły lejtnant ze mnie, ale spróbuję się czegoś dowiedzieć. A tam więcej nie chodź – przestrzegł. – Karmazynow to największy jebaka we Lwowie... Wszyscy wiedzą. Ty jedna nie wiedziałaś?

W drzwiach ukazała się Pelasia z niemowlakiem na rękach. Dziecko było sine na twarzy i zanosilo się płaczem. Oddychało ciężko, z trudem łapiąc powietrze posiniałymi usteczkami.

– Już nie wiem, co robić... Chora chyba, może trza do doktora?

Dziewczyna miała w oczach panikę. Wpatrywała się z napięciem w Mariannę, szukając ratunku. Marianna wzięła małą i bacznie jej się przyjrzała. Dziecko wciąż płakało. Chwilami zanosilo się kaszlem, który brzmiał jak krótkie szczeknięcia, przechodzące w świst.

– Od rana tak... Rańsze, jak pani nie było, to myślałam, że trochu minęło, bo zasnęła nawet. A tera znowu... Co robić, Boże, co robić? – lamentowała Pelasia. – Biedna sierotka, od narodzin jaka klątwa nad nią ciąży... Najpierw matka, tera to... Jezusie słodki, a wszystko bez te wojne!

– Pelasia, zamknij jadaczkę – fuknęła kucharka, stając za nią. – Ta jeszcze tu trza twoich lamentów. Zamiast rajdać, po felczera leć.

– Aliwo? – zdziwiła się Pelasia. – Przecież doktor Onopiuk nie żyje...

Rzeczywiście, stary doktor Onopiuk, od lat opiekujący się wszystkimi dziećmi Lindnerów, umarł na serce zaraz na początku wojny. Gdy dowiedział się, że na kamienicę, w której mieszkało jego dwóch synów z żonami i wnukami, spadła bomba i nikt z mieszkańców nie przeżył, położył się do łóżka i więcej nie wstał.

– No to gdzie indziej! Jeden felczer we Lwowie? Za winklem jest apteka, może co pomogą...

– To mi wygląda na krup. – Przestraszona Marianna przytuliła płaczące dziecko. – Ale trzeba się pośpieszyć, ona coraz gorzej oddycha. Najlepiej by było do szpitala... Pelasiu, leć na ulicę, może jakiego fiakra złapiesz, przecież nie będę się tłuła z małą tramwajem.

W ogólnym zamieszaniu kobiety zapomniały o Nerguim. W obliczu choroby dziecka wszystko zeszło na

dalszy plan, nawet wojna i jej emisariusze. Przypomniły sobie o nim, kiedy powiedział spokojnie:

– Pojedziemy autem, opatul dobrze dzieciaka, mróz jest. No co tak patrzysz, na dole mam samochód. Tylko pokierować mnie musisz, jeszcze się tego waszego Lwowa nie nauczyłem...



## V

Marysia Szczurko starała się chodzić na palcach. Wiktor spał już od dwunastu godzin, ale nie chciała go budzić. Jeszcze nie. Po tym piekle, które przeszedł, miał prawo spać i cały tydzień, a ona osobiście dopilnuje, żeby nikt mu w tym nie przeszkadzał. Po raz kolejny pomyślała, jakie to szczęście, że w budynku, gdzie mieściła się redakcja, była ta wolna klatka. Mała facjatka na strychu, pozostałość po jakiejś pannie z nieślubnym dzieckiem, którą litościwie przygarnęli właściciele kamienicy. Trudno by to nawet nazwać mieszkaniem, ale dla Marysi stanowiło wymarzone miejsce, raj, można powiedzieć. Matka została u ciotki na Bonifratrów i mimo że Marysia starała się odwiedzać ją codziennie, zawsze z ulgą wracała do tych swoich kilkunastu metrów, z małą łazienką i kredensem, udającym kuchnię. Kolejną zaletą facjatki było to, że choć nie miała pieca, w jakiś przemyślny sposób, za pomocą grubej rury biegnącej wzdłuż całej ściany, ogrzewały ją piece znajdujące się w pomieszczeniach redakcji, gdzie zawsze utrzymywano odpowiednią temperaturę. Zdarzało się, że i nocą ktoś wpadał dokończyć artykuł czy zrobić prasówkę.

Pierwszy raz od chwili wybuchu wojny Marysia Szczurko mogła zaryzykować stwierdzenie, że jest szczęśliwa. Nic jej nie obchodziło, że na mieście „Czerwony Sztandar” nazywano gadzinówką. Dla niej liczyło się tylko, że mogła wreszcie pisać. I na dodatek ktoś chciał to drukować. Nie bez znaczenia pozostawał również fakt, że „Czerwony Sztandar” był jedyną wydawaną w języku polskim gazetą na całej Ukrainie Zachodniej, gdzie po wybuchu wojny znalazł się Lwów. I to w nakładzie aż czterdziestu tysięcy! Czy kiedykolwiek mogłaby marzyć o tym, że będzie miała aż tylu czytelników? Oczywiście, wolałaby publikować własne wiersze i opowiadania, a nie pisać sprawozdania z masówek w zakładach pracy czy artykuły wychwalające komunizm albo ślęczeć po nocach nad komunikatami radiowymi nadawanymi z Francji lub Wielkiej Brytanii, żeby później przerobić je na wiadomości, rozchwytywane rankiem przez lwowian.

Wczoraj na przykład cały wieczór siedziała nad przemówieniem dowódcy Frontu Ukraińskiego, komandarma pierwszej rangi S.K. Timoszenki, które wygłosił na wiecu do ludu pracującego miasta Lwowa. Redagując tekst, musiała się nieźle natrudzić, żeby wpasować się w ogólnie obowiązujący język i styl. Od pierwszych dni pracy wbijano jej do głowy, że język musi być poprawny politycznie; nie wolno pisać „chłop”, tylko „włościanin”, i ma być „jewrej” zamiast „Żyd”. Do tego trudno jej się było przyzwyczaić, ale już sztapowe określenia, które musiały padać w każdym artykule, przyswoiła sobie dość szybko. „Nasze życie jest szczęśliwe i radosne”, „Nasza armia jest heroiczna i niezwyciężona”, „Towarzysz Stalin jest wodzem międzynarodowego proletariatu, ojcem rewolucji i przyjacielem wszechświata”, a czasem jeszcze „słońcem ludzkości”, „Najszczęśliwiej jest żyć w świetle najdemokratyczniejszej w świecie stalinowskiej konstytucji...”. Z biegiem czasu Marysia zaczęła nawet dostrzegać korzyści płynące z tego typu retoryki: wystarczyło pożonglować zalecanymi zwrotami, okraszyć je kilkoma frazami zachwytu, miłości do ustroju, kilkoma pełnymi entuzjazmu epitetami i już był gotów kolejny artykuł o niczym, a pieniądze i zadowolenie redaktora naczelnego wynagradzały jej zawiązką brak możliwości rozwoju literackiego. Bez wysiłku, bez nadmiernego myślenia.

Robiła to z zapałem, mając nadzieję, że w końcu doczeka chwili, kiedy jej wiersze także ujrzą światło

dzienne. Nawet rozmawiała już o tym z redaktorem naczelnym. Z drzeniem serca przyniosła mu swoje zeszyty, w których zebrała wszystko, co kiedykolwiek wyszło spod jej pióra. Zsunął grube okulary, rzucił okiem i obiecał, że na pewno bliżej im się przyjrzy i jeśli tylko nie będą odbiegały wymową od obowiązującej linii ideologicznej, można je opublikować.

Biegła wtedy po schodach na swoje poddasze, pokonując po dwa stopnie naraz, taka była szczęśliwa. Przez moment tylko się zawahała, czy aby samotność i miłość nie odbiegają nieco od politycznych założeń gazety, ale szybko odpędziła wątpliwości. Miłość to uczucie, które dopada każdego, nawet najbardziej zatwardziałego komunistę, więc powinno pasować. A samotność w razie czego zamieni się na kolektyw i też będzie dobrze. Najważniejsze, że wreszcie świat o niej usłyszy. Koniec z nikomu niepotrzebnym, chudym Szczurkiem w za dużym palcie. W ogóle precz z tym przezwiskiem! Wystarczająco długo pozwalała tak na siebie mówić i po przemyśleniu doszła do wniosku, że większość jej życiowych niepowodzeń wzięła się właśnie z tego. Wołano na nią Szczurek i była szczurkiem: szarym, smętnym i odpychającym, z wiecznie skrzywionym pyskiem. Inni spadali na cztery łapy, a ona jedna zawsze miała pod górkę. Od teraz będzie po prostu Marysią. I jeszcze im wszystkim pokaże!

Spojrzała czule na śpiącego chłopaka. Delikatnie dotknęła twardej, króciutkiej szczeciny porastającej jego głowę. W więzieniu włosy mu odrosły, a widać nikt się nie przejmował, że wśród więźniów panuje wszawica. Mimo że kilka godzin walczyła z robactwem panoszącym się wśród bujnych loków, w końcu musiała je zgolić.

Zerknęła na kuchenkę. Garnek z ziemniaczanką bulgotał apetycznie, roznosząc mięsny aromat po całym pokoiku. Marysia była dumna z siebie. Udało jej się zdobyć kawałek rąbanki i zupa zapowiadała się na smaczną i pożywną. Praca u koryta, jak nazywały jej zajęcia mama i ciotka, miała swoje zalety i choć dziewczyna wyczuwała w ich tonie sarkazm, to jednak obie nie miały oporów, by korzystać z jej owoców. Lekarstwa dla ciotki, kwity na węgiel, kilka metrów ziemniaków, czasem worek cukru... Przyjmowały wszystko bez skrupułów, bez mrugnienia powieką. Jak gdyby za „sprzeniewierzenie się” córki i siostrzenicy należały im się deputaty od nowego systemu. W głębi duszy Marysia czuła do nich pogardę, choć starała się z tym nie zdradzać. Mimo wszystko zależało jej na dobrych stosunkach z rodziną. Wychodziła z założenia, że nie wiadomo, kiedy tamte dwie mogą się przydać.

Przypomniała sobie natomiast niezbyt miłe spotkanie z dawną wychowawczynią, panią Jałowową. Usiłowała wyrzucić je z pamięci, bo uwierało jak bolący ząb. Natknęła się na nią pewnego dnia, gdy stała w niekończącym się ogonku po chleb, którego we Lwowie nie widziano już kilka dni. Ledwo ją poznała. Zamiast postawnej, eleganckiej kobiety ze starannie ułożonymi włosami stała przed nią wychudła, przygarbiona babinka w chustce, ściskająca w rękach lichą siatkę na zakupy, z którą dawna pani Jałowowa nigdy by nie wyszła z domu. Nie wiadomo dlaczego Marysia pomyślała, że szykowna lakierowana torebka, nieodłączny atrybut nauczycielki, dziś byłaby nie na miejscu. Na wychudłej twarzy kobiety malowało się znużenie. Oczy, kiedyś pełne surowej troski, zasnuły mgiełką rezygnacji i zniechęcenia. Spod chustki wystawały posiwiałe kosmyki.

– O, Szczurkówna – stwierdziła zaskoczona, gdy Marysia podeszła, żeby się przywitać.

– Pani profesor, mam zajętą kolejkę z przodu, proszę iść ze mną, nie ośmielą się gadać. Podobno chleba starczy tylko dla pierwszej dwudziestki.

– Nie ośmielą się gadać, mówisz... – Nauczycielka delikatnie uwolniła ramię. – A w czymże ja jestem lepsza od innych, żeby uzurpować sobie prawo do pierwszeństwa?

– Ale... – Marysia była zbita z tropu. – Jest wojna.

Pani Jałowowa wymownie spojrzała w oczy dawnej uczennicy.

– I z tego powodu wszystko, czego starałam się was nauczyć, przestało obowiązywać? Równość, sprawiedliwość, współczucie? To wartości zarezerwowane na czas pokoju? Tak? Odpowiedz, naprawdę

tak uważasz?

– Ale teraz każdy musi się troszczyć o siebie! – Marysia była tak zdesperowana, że aż krzyknęła.

Kilka osób w kolejce popatrzyło na nią niechętnie. Chciała jakoś wytłumaczyć nauczycielce, że ten sposób myślenia prowadzi donikąd.

– Nie najem się współczuciem, nie włożę do garnka równości, a w sprawiedliwość się nie ubiorę! – dodała ze złością.

– Elokwentna się zrobiłaś... Tak myślisz? Że to najważniejsze? Że należy stawiać siebie na pierwszym miejscu, nie licząc się z nikim? A jeśli skorzystam z twojej propozycji, skąd wiesz, że nie zabraknie chleba dla kogoś bardziej potrzebującego? Że jakaś matka nie nakarmi dzieci, bo ja zajmę jej miejsce?

– Jest wojna – twardo powtórzyła Marysia, robiąc zaciętą minę.

– Moje dziecko, to żadne usprawiedliwienie. Więcej ci powiem, właściwie to jest sprawdzian człowieczeństwa i tak trzeba na to patrzeć. Nie sztuka być dobrym człowiekiem, gdy świeci słońce. Sztuką jest nie sprzeniewierzyć się wartościom, kiedy szaleje zamieć. Widziałam twoje artykuły w „Czerwonym Sztandarze”... Hmm... poezja to to nie jest, ale zapewne na wszystko przyjdzie pora. Kto wie, może niedługo zaczniesz pisać jak Pasternak – rzuciła ironicznie i wyrecytowała: – „Powiedz, że trzeba, że można, że muszą ruszyć masywy mitów, bądź samą prawdą, w którą uwierzysz, agituj, agituj, agituj...”.

Kilka osób stojących najbliżej wybuchnęło śmiechem. Marysia poczuła się, jakby dostała w twarz. Spojrzenia ludzi paliły, jakby ktoś przykładał jej do ciała rozżarzone zapalki. Zapiekle ją policzki, do oczu napłynęły łzy. Postarała się opanować. Nie da satysfakcji komuś, kto już dawno się poddał i nie rozumie, czym jest desperacka wola przeżycia.

– Nie tego dla was chciałam... – westchnęła nauczycielka i po raz pierwszy w jej oczach błysnął żal i prawdziwa troska. Wyciągnęła rękę, chcąc pogłaskać dziewczynę po policzku.

– A czego?! – Marysia się odsunęła. Znów przestała nad sobą panować. Przybrała opryskliwy, wyzywający ton. Wydeła wargi i rzuciła bezceremonialnie: – Wiem, wolałaby pani, żebym zginęła jak Lindner, jak Szymonowiczówna. No, rzecz jasna, najlepiej w obronie ojczyzny, a jakże. Wtedy mogłaby pani być ze mnie dumna. Może nawet by pani mówiła: Ho, ho, moje uczennice tak pięknie poszły na śmierć. Tak jak je uczyłam, mogę być z siebie rada! – Zmrużyła oczy. – Przykro mi, że panią rozczarowałam. I powiem więcej: zamierzam dalej żyć i dbać o swoje interesy.

Po twarzy pani Jałowowej przebiegł skurcz.

– Janka?! Lilka?! Nie żyją? Jesteś pewna? To nie może być prawda... Jak to się stało?

– Co się pani dziwi, normalnie, jak to na wojnie. – Marysia wzruszyła ramionami.

Ponownie przywdziała pancierz, wściekła na siebie za tę chwilę słabości. Nie da sobie wmówić, że jest gorsza, tylko dlatego, że chce normalnie żyć. Pomimo nienormalnych czasów. A na bohaterkę się nie nadaje. Niech inni lecą na barykady, ona postara się tak zorganizować sobie życie, żeby jak najmniej ucierpieć. Dawno temu pani Jałowowa była dla niej autorytetem, jednak autorytety mają to do siebie, że się dezaktualizują. Dziś już nie pozwoli, by ktoś wpędzał ją w poczucie winy. Znalazła sens istnienia i tego się będzie trzymać. I ma gdzieś, czy akurat świeci słońce, czy szaleje zawierucha.

Wyniośle skinęła głową dawnej nauczycielce i pomaszerowała na początek kolejki.

Wiktor poruszył się i westchnął przez sen. Na czoło wystąpiły mu kropelki potu. Marysia dotknęła rury biegnącej obok łóżka. Była gorąca, widać na dole w redakcji ktoś pracował. Ostrożnie zsunęła z chłopaka koc. Pod obcisłym podkoszulkiem rysowała się delikatnie klatka piersiowa. Wiktor opowiadał, że pomimo głodowych porcji jedzenia, jak mógł, starał się dbać o kondycję. Wierzył, że przetrwa tylko wówczas, gdy będzie silny i zdrowy. Musiał zachować proporcje, żeby nie zasłabnąć, bo wtedy cały plan diabli by wzięli; większa i pożywniejsza porcja – więcej ćwiczeń. Dzień bez jedzenia –

bezruch na pryczy. Dziewczyna przyjrzała się jego bicepsom i silnym rękóm ze strumieniami niebieskich wypukłych żył. Nie były może przykładem wielkiej fizycznej tężyzny, ale obudziły w niej nieznaną wcześniej tęsknotę. Z trudem powstrzymała się, by nie przytulić policzka do jego dłoni.

Wstała i podeszła do lustra wiszącego naprzeciwko okna. Z małej torebki wyjęła czerwoną pomadkę i przeciągnęła nią po wąskich wargach. Z lustra spojrzała na nią trójkątna nijaka twarz o zdecydowanie zbyt długim nosie i wypukłych oczach nieokreślonego koloru, poznaczonych ciemnymi cętkami. Bezbarwna i przeciętna do bólu. Gdyby przypadkiem wpadło jej do głowy napaść na bank, żaden świadek by jej nie zapamiętał. Skrzywiła się z niechęcią. Wydeła usta, chwilę przyglądała się swemu odbiciu, a następnie szybkim ruchem, jakby wstydząc się tego, co zrobiła wcześniej, wytarła szminkę rękawem.

– Długo spałem? – Wiktor poruszył się niespokojnie. Spróbował usiąść, ale zaraz opadł na poduszki. – Kręci mi się w głowie...

– Jesteś osłabiony i zmęczony. Leż. Zaraz podam supę, musisz teraz dużo jeść.

Marysia ukradkiem poprawiła grzywkę, zlizwała resztki czerwieni z warg i odwróciła się do niego.

– Masz prawo być zmęczony, po tylu tygodniach... Wszyscy wiedzą, jakie tam są warunki. To cud, że przeżyłeś.

– Nie mam pojęcia, jak tego dokonałaś. Kiedy cię tam zobaczyłem, nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Byłem pewien, że też siedzisz. Nawet czasem o tobie myślałem, zastanawiałem się, co się z tobą dzieje. Jestem ci winien podziękowania. Gdyby nie ty...

– Nic takiego, naprawdę. – Zarumieniła się jak pensjonarka, widząc w jego oczach ciepły blask. – Okazuje się, że wystarczy znać odpowiednich ludzi. Kiedyś tego nie wiedziałam, to moje nowe wojenne doświadczenie. – Zaśmiała się cicho. – Od dziwnej strony weszłam w tę upragnioną niegdyś dorosłość.

Opowiedziała mu o swojej pracy w „Czerwonym Sztandarze” i o tym, co się z nią działo po aresztowaniu przed kościołem.

– Zamknęli nas na Łąckiego, mnie i Baśkę. Pamiętasz Baśkę? Miała taki jasny warkocz...

Skinął głową. Kolejny raz chciał o coś zapytać, ale dziewczyna nie pozwoliła mu dojść do słowa. Gadała jak najęta, nie patrząc Wiktorowi w oczy. Jakby chciała zagłuszyć napięcie, które nieoczekiwanie zawisło w powietrzu. Niebezpiecznie zbliżali się do tematu, budzącego w obojgu lęk. Od kiedy Wiktor zobaczył ją w drzwiach więzienia, wiedział, że ta chwila w końcu nadejdzie. Sam przed sobą nie chciał się przyznać, jak bardzo się boi. Miał wrażenie, że zaklina rzeczywistość; dopóki nie poruszali tego tematu, Lilka była bezpieczna.

– Baśka chociaż wiedziała, dlaczego to wszystko, była harcerką. – Marysia potrząsnęła głową na wspomnienie jasnowłosej dziewczyny.

Od kilku tygodni wciąż widziała ją w snach. Widziała, jak Baśka po kolejnym przesłuchaniu wczołguje się na pryczę. Zamiast swoich pięknych włosów miała gołą czaszkę, pokrytą krwawymi śladami. Podobne ślady widniały na odkrytym łonie i bujnych piersiach, które usiłowała zasłaniać podartą bluzką. Gwałcili ją wszyscy strażnicy po kolei, niekiedy na oczach innych więźniarek, bestialsko pastwiąc się nad jej niewinnym jeszcze ciałem. Wówczas Marysia pierwszy raz w życiu dziękowała Bogu za swój nieatrakcyjny wygląd i sylwetkę młodego chłopca.

– Angażowała się w tę całą zabawę – westchnęła, z trudem pozbywając się tamtej wizji. – Ale ja? Pojęcia zielonego nie miałam, czego ode mnie chcą, sam wiesz, znaleźliśmy się tam przez przypadek. Tylko dlatego, że ten ślub... Wciąż pytali o jakąś radiostację... Gdzie jest i gdzie jest, w kółko to samo. Nie bili mnie, raz tylko wylali mi na głowę wiadro z... no, wiesz. – Otrząsnęła się na samo wspomnienie smrodu. – Na szczęście, zupełnie przez przypadek, wyszło, że potrafię nieźle pisać i tylko dlatego mnie wypuścili. No i oczywiście dlatego, że mojego nazwiska nie było na tej liście. Przyszedł kiedyś taki

jeden funiasty, w baniaczku na łepetynie, i gada, że wylizę, jak się zgodzę w gazecie pracować. Zdziwiłam się, że chyba jaki chirny, skoro pyta. Wyobrażasz sobie? Taki cymes, a ja bym miała nosem kręcić? No naprawdę nie wiem, kto by wolał furdygarnię od ciepłej posady. Przecież o niczym innym marzyć nie mogłam... – Roześmiała się. – Jak tylko dostałam tę pracę, od razu opowiedziałam im o tobie. Że pracowałeś w gazecie w Warszawie, że jesteś młodym pisarzem, dostałeś nagrodę za swoje opowiadania i że dużo publikujesz. No wiem, może trochę przesadziłam – dodała, widząc uniesione brwi Wiktora. – Ale najważniejsze, że w końcu chyba cię sprawdzili i całkiem nieźle wypadłeś. Trochę to trwało, nim udało mi się przekonać, kogo trzeba. Teraz tylko musimy cię zarejestrować.

Popatrzyła na niego ciepło.

– Dostaniesz paszport i możesz zaczynać. Nie ma z tego wielkich pieniędzy, najwyżej parę kopiejek wpada za artykuł, ale to nie jest najważniejsze. Liczą się znajomości. Miałam szczęście, że polubiła mnie Wanda Wasilewska. Wiesz, to ona stworzyła „Czerwony Sztandar”. To jedyna szansa, żebyśmy mogli mieć polską prasę. Niech sobie ludzie gadają, co chcą, ja wiem swoje. – Wzruszyła ramionami. Mieszkańcy Lwowa pogardliwie wyrażali się o gazecie, ale do dziewiątej schodził cały nakład. – Wpadła kiedyś wieczorem do redakcji, nikogo nie było, tylko ja. Musiałam skończyć przepisywać czyjś artykuł i jakoś się zgadałyśmy.

Uśmiechnęła się na wspomnienie przenikliwych, smutnych oczu pani Wandy.

– Żartowała, że przypominam ją samą sprzed kilkunastu lat. Wiesz, że ona też pisze wiersze? I też nikt jej nie doceniał? Obiecała, że za jakiś czas wciągnie mnie do Związku Pisarzy Polskich. Wyobrażasz sobie?! Oczywiście na razie dostaję w redakcji najczarniejszą robotę, najbardziej nudną. – Skrzywiła się niechętnie. – Ale może już niedługo, kto wie? Najważniejsze, że mogę pisać i jeszcze mi za to płacą.

Marysia była podniecona i szczęśliwa. Jej chuda, nijaka twarzyczka jaśniała, jakby od wewnątrz rozświetlało ją słońce. Wiktor obserwował, jak dziewczyna krząta się po maleńkiej kuchence, nalewa zupę do talerzy i stawia je na stole. Ciepłe aromaty rozeszły się w powietrzu, drażniąc mu nozdrza. Miał jeszcze setki pytań, ale nie mógł się powstrzymać i niemal rzucił się na jedzenie.

– Przepraszam – wymamrotał z pełnymi ustami. – Nie pamiętam, kiedy jadłem coś ciepłego... Świetnie gotujesz.

Marysia pokraśniała z zadowolenia. Sięgnęła po łyżkę i nie spuszczać wzroku z pochylonego nad talerzem Wiktora, zaczęła jeść swoją zupę. Kiedy skończyli (Wiktor z lekkim zażenowaniem dwa razy poprosił o dokładkę), pozmywała naczynia i zaparzyła herbatę w małym imbryczku. Dołożyła pod kuchenną płytę kilka kawałków drewna i ogień buchnął jasnym płomieniem, rozświetlając półmrok. Jedna licha lampka ustawiona na chyboczącym się stoliku nie była w stanie zapewnić wystarczającej ilości światła.

Na zewnątrz zrobiło się ciemno. Blask gazowych latarni nie docierał tak wysoko. Wiktor podszedł do okna. Śnieg leciał z nieba małymi, ruchliwymi płatkami, wirując mu tuż przed nosem. Ledwie je widział w ciemności, dostrzegał wówczas, gdy osiadały na szybie. Z tej perspektywy miasto wyglądało jak morze światełek, w którego głębinach mieszkali ludzie. Nagle poczuł się bardzo samotny.

– Masz jakieś informacje o Lilce? – zapytał cicho, nie odwracając się od okna. Nie mógł widzieć, że Marysia zastygła z imbrykiem w ręku. – Na Łąckiego trzymano kobiety... Może coś słyszałaś?

Wyprostowała się, przełykając głośno ślinę. Zastanawiała się, jak mu powiedzieć.

– Wiktor, ja ją widziałam.

Odwrócił się gwałtownie, potrącając stolik. Sarta książek runęła na ziemię. Mimo półmroku dziewczyna zdołała zauważyć nadzieję w oczach Wiktora. Poczwała chłód w okolicy serca. Jakby nałykała się lodu, który igiełkami wbił się w klatkę piersiową. Wyprostowała się z wysiłkiem, wypuszczając powietrze z płuc.

– Wtedy, przed kościołem... Strzelili jej w plecy, jak uciekała. Upadła pod murem. Zanim wrzucili mnie do tej ciężarówki, zdążyłam jeszcze zobaczyć Jankę. Ona też... – Urwała na chwilę. – Wiktor, tak mi przykro... – ciągnęła gorączkowo, potykając się o słowa. – Musimy się z tym pogodzić, już nic się nie da zrobić, nic nie pomoże. Ważne, że ty żyjesz, że nic ci nie zrobili. Tak strasznie się o ciebie bałam. Nawet nie wiesz, jak bardzo. Gdyby coś ci się stało... Wiktor, Wiktor, co ty? Dokąd idziesz?! – krzyknęła, gdy bez słowa sięgnął po palto. – Nie możesz teraz wyjść! Jest godzina policyjna!

– Zostaw mnie. – Strząsnął jej rękę z ramienia, jakby była natrętną muchą.

Usłyszała skrzywienie schodów i z płaczem rzuciła się na łóżko.

Był zły na los. Gdyby wówczas, siedząc przy Kazimierzowskiej, dowiedział się, że Lilka nie żyje – wszystko stałoby się prostsze. Nie musiałby się starać przetrwać za wszelką cenę, mógłby sobie pozwolić na komfort rezygnacji. Więzienie by mu to ułatwiło: wystarczyłoby wdać się w bójkę ze strażnikiem albo po prostu zacząć uciekać. Strzał w plecy, sekunda bólu i strachu, a potem wszystko przestałoby się liczyć. Ciemność, spokój, niebyt. Świat i jego problemy zostałyby z tyłu, a on byłby wolny. Wolny od myślenia. Wolny od odczuwania.

Teraz nie potrafił. Był odrętwiały i pusty w środku, nie umiał się zdobyć na żadne świadome działanie. Szedł, pozwalając, by jego ciało podjęło decyzję. Nie chciał mu przeszkadzać. Naznaczone pamięcią ruchu nogi mechanicznie zginały się w kolanach, stopy na przemian wysuwały się do przodu. Prawa, lewa, prawa, lewa... Płakał, krzyczał i złorzeczył, wyzywając Boga na pojedynek. W myślach rzucał mu rękawicę w twarz. Miotał przekleństwa, nie przejmując się, że może zwrócić czyjąś uwagę. Miał gdzieś godzinę policyjną. Po cichu liczył, że może spotka jakiś patrol i wtedy wszystko się skończy.

Krótkie błyski i przeskoki między neuronami ledwie dawały się ubrać w słowa i zdania.

Wiktor z zaciekawieniem obserwował szaleńczą szarpaninę myśli. Był jak wędrowiec, który usiadł na brzegu rzeki i zapatrzył się w jej nurt. Płynęły patyki znaczeń, plątały się wodorosty faktów, rozważań. Czasem przemknęły jakieś natrętne skrawki wrażeń i emocji, nie do sklejenia, nie do rozpoznania. Kłębowisko intelektualnych śmieci. Wojna wydała mu się nagle zupełnie bez znaczenia. Przymknął oczy i uniósł twarz w górę. Płatki śniegu osiadły na rzesach, a potem się rozpuściły, spływając po policzkach jak słodkie lzy. Fale krzyku wzbierały w nim powoli, rosły, a następnie rozbijały się tak głośno, że cały Lwów drżał w posadach. Sunęły ulicami, odbijając się od kamienic i tłukąc szyby w oknach. Bolały go rozdziawione usta, pękały spierzchnięte wargi pokryte strupami opryszczki, której nabawił się w więzieniu. W gardle czuł palącą suchość, ale nie mógł przestać krzyczeć. Jedyne krzyk mógł go uratować. Krzyczał więc w pustkę, do utraty tchu, do bólu.

Mijający go nieliczni przechodnie widzieli, jak młody, wychudzony mężczyzna wlecze się chodnikiem, zgarbiony, z głową schowaną w ramionach, chory, apatyczny i osłabiony. Mamrotał coś pod nosem, co kilka kroków zastygając w bezruchu, niczym nakręcana zabawka, w której zacięła się sprężyna. Wyglądał, jakby postradał zmysły. Jakiś człowiek przystanął, pytając, czy potrzebna mu pomoc, ale Wiktor minął go bez słowa, nie obdarzając ani jednym spojrzeniem.

## VI

Wieczność miała się dobrze. Namacalnie, w pozornym bezruchu, minuty przepływały w godziny, godziny w dni. Lilka, zawieszona w próżni, nie wiedziała, czy jest ranek czy noc. Poniedziałek, piątek, listopad, luty czy może epoka kamienia łupanego... Jedyne okno zostało starannie zabite dużym kawałkiem grubej dykty. Bez narzędzi nic nie mogła zrobić. Na szczęście nie było ciemno. Pod sufitem wisiał żyrandol na trzy żarówki, a w rogu stała piękna, secesyjna lampa z kloszem w kształcie tulipana, niepasująca do skromnego pokoju, gdzie znajdowało się jedynie proste, dębowe łóżko, mały stolik na chybotliwych nogach i większy, okrągły, z kilkoma krzesłami. W rogu, dla bezpieczeństwa podparty jakąś deską, kolebał się krzywy regał, do granic możliwości obciążony książkami. We wnęce, za kwiecistą zasłonką, urządzono coś w rodzaju małej łazienki z sedesem i umywalką. Pod ścianą, na taborecie, stała duża, cynowa miska.

Rytm dnia wyznaczała pora posiłków. Kiedy chrobotał klucz w zamku, z wysiłkiem odwracała się na drugi bok. Trzeszczały drzwi, słyszała ciężkie szuranie. Skrzypiały krzywe deski w podłodze. Ktoś stękał, jakby chodzenie sprawiało mu trudność. Schrypnięty głos, zawsze ten sam, życzył jej smacznego, a jego właściciel, nie czekając na reakcję, wycofywał się z pokoju. Była zadowolona, że tamten ktoś nie próbuje nawiązywać z nią kontaktu. Nie miała ochoty na rozmowę, choć trochę ją ciekawiło, kto codziennie stawia na stole miskę zupy i kilka kromek chleba, a czasem hreczkę z jakimś sosem czy nawet karmenadlem albo kapustę okraszoną skwarkami. Raz nawet dostała kawałek gniewiucha. Na śniadanie zwykle było mleko i niekiedy kwargiel. Przynajmniej na to nie mogła narzekać, karmili ją prosto, ale całkiem smacznie. Dopiero po jakimś czasie ciekawość wzięła górę. A może bardziej przekonanie, że trwając w dzieciennym uporze i obrażając się na cały świat, nie polepszy swojej sytuacji. Zamiast chować się w sobie, lepiej spróbować poznać wroga. Następnym więc razem, gdy rozległ się znajomy chrobot, przymknęła oczy, udając, że śpi, lecz nie odwróciła się do ściany.

W szparkach przesłoniętych rzęsami zobaczyła wysokiego, nieco zgarbionego mężczyznę o szerokich, zwieszonych ramionach. Niewątpliwie miał ponad siedemdziesiąt lat, ale trzymał się całkiem dobrze. W młodości musiał być przystojny; jeszcze teraz zachował resztki dawnej urody. W ogorzałej, pooranej zmarszczkami twarzy widać było czarne jak węgiel oczy, ledwie przesłonięte widoczną mgiełką starości. Ciemne niegdyś włosy, przyprószone siwizną, układały się w miękkie fale, kontrastując z zupełnie białą brodą. Szerokie, krzaczaste brwi pozostały ciemne, jakby czas ograniczył swoje upodobania do zmiany kolorów jedynie do włosów i brody. Mimo pochylonej sylwetki biła od niego duma i jakaś bliżej nieokreślona wyniosłość, co jednak nie budziło niechęci. Zatrzymał wzrok na leżącej na łóżku dziewczynie i w jego oczach błysnął żal. Przez głowę Lilki przemknęła błyskawica: gdzieś już widziała to przenikliwe spojrzenie; badawcze, jakby z nutką smutku na dnie. Zanim zdołała sobie przypomnieć, myśl zniknęła.

Gdy mężczyzna wyszedł, starannie zamykając za sobą drzwi, z wysiłkiem zwlokła się z łóżka. Wciąż bolała ją ręka, a unieruchomiona gipsem noga utrudniała poruszanie się po pokoju. Lilka była rozbita i poobijana, jakby przejechał po niej walec. Choćby z tego powodu nawet nie zaświtała jej myśl o ucieczce. Od stołu leciał nęcący zapach. Nie namyślając się wiele, usiadła na krześle, ulokowała chorą



nogę na taborecie i zabrała się do jedzenia.

Kiedy tylko odzyskała przytomność, przez kilka pierwszych dni nie chciała jeść. Całymi dniami leżała w łóżku odwrócona do ściany i na nic nie reagowała. Jedynie kuśtykała do toalety. Miała wrażenie, że zapadła w letarg, w jakiś dziwny rodzaj hibernacji, półsnu, który nie wyłączył jej mózgu, a jednocześnie pozwolił odpłynąć w niebyt. Nie docierały do niej żadne odgłosy świata. Skrawkami świadomości rejestrowała, że ktoś wchodzi, wychodzi, słyszała jakieś kroki, rozmowy, choć nawet tego nie była pewna. Tkwiła w niewidzialnym kokonie odgradzającym ją od świata. Nie czuła bólu, nie była ciekawa, gdzie jest ani co się z nią stanie. Nie pamiętała niczego i było jej z tym dobrze. Otepiały mózg bronił się przed świadomością, nie chciał się zmierzyć z sytuacją. Równie dobrze mogła urodzić się przed chwilą, jak i sto lat temu. Szuflada z napisem „wspomnienia” była pusta. Czuła ciężar swojego ciała, nogi były z ołowiu, a powieki ważyły tony. Każdy ruch zdawał się wysiłkiem ponad miarę, był jak zdobywanie nowych przyczółków na terytorium wroga.

Pamiętała jedynie ukłucia w rękę. Musieli jej robić jakieś zastrzyki, po których zapadała w długi sen bez snów. Po jakimś czasie zastrzyki zamiast otepienia zaczęły przynosić energię. Poczowała, jak kokon się kruszy. Rozrzucone fragmenty obrazków powoli wskakiwały na swoje miejsce. Jakaś dziewczyna, Jakub, podróż konno do Borysławia, główne drogi zatłoczone uciekinierami i wojskiem... Ostatnim wspomnieniem, choć bardzo rozmytym, jakby z pogranicza jawy i snu, były dziesiątki światełek w dole, nad miasteczkiem. A potem strach i bolesna ciemność. Wracała rzeczywistość, a wraz z nią ból. Dopiero wtedy zorientowała się, jak bardzo jest pokiereszowana i obolała. Na głowie wyczuła opatrunek, zabandażowaną miała również lewą rękę, aż po łokieć. Prawa noga, uwięziona w gipsie, rwała, jakby ktoś od środka rozszarpał ją na strzępy. Bolał prawie każdy skrawek ciała. Stalowa taśma zaciskała się na żebrach przy najmniejszej próbie głębszego oddechu.

Po kilku dniach zaczęła znajdować przy talerzu tabletkę. Nie zamierzała niczego dobrowolnie zażywać, choć podejrzewała, że to leki przeciwbólowe, lecz w końcu się poddała. Ból stał się tak nieznośny, że mącił jej umysł, a tego bardzo nie chciała. Musiała wreszcie się zorientować w sytuacji, zwłaszcza że w jej pamięci, mimo podejmowanych wysiłków, wciąż były denerwujące luki.

Kiedy następnego dnia rano mężczyzna jak zwykle stanął w drzwiach, zobaczył Lilkę siedzącą na łóżku i wpatrującą się w niego z napięciem.

– Gdzie ja jestem? – zapytała, patrząc mu prosto w oczy. – Jakim prawem mnie tu zamknęliście? Chce pan, żebym oślepała?

Mężczyzna westchnął ciężko, przysunął sobie krzesło i usiadł z widoczną ulgą.

– Prawem? Dziecko, prawo się skończyło w chwili, kiedy wybuchła wojna. Powinnaś to wiedzieć, zważywszy na okoliczności... – Uśmiechnął się z przekąsem. – To, co się teraz wyczynia, z prawem nie ma nic wspólnego. To dżungla, w której trzeba się nauczyć żyć... Wszystko się rozsypało, nie udało się niczego zbudować po dobroci, to teraz trzeba spróbować ocalić przynajmniej te resztki.

Miał niski, ciepły głos i mówił z obcym akcentem.

– Kim pan jest?

– Danyło – przedstawił się. – Możesz mi mówić po imieniu. I najlepiej się położyć. Musisz dużo odpoczywać, jeśli chcesz szybko wrócić do zdrowia. Nie masz się czego obawiać, nikt ci tu krzywdy nie zrobi. A to? – Wzruszył ramionami, wskazując na okno. – Szybę wybili. Ruskie. Zdemolowali po pijanemu sklep obok, ale dostało się również nam. A skąd teraz szklarza brać? A nawet gdyby... Awantury przy sklepie na okrągło, za chwilę byłoby to samo. Dykta pewniejsza. – Zacisnął usta.

Lilka zmarszczyła brwi. Była pewna, że gdzieś już widziała to charakterystyczne skrzywienie warg.

– Dlaczego tu jestem? – zaczęła z innej beczki, widząc, że mimo życzliwości, jaką wyczuwała w tym starym człowieku, niełatwo będzie czegokolwiek się dowiedzieć. – Co to za miejsce?

Mężczyzna poruszył się niespokojnie. Z głębi domu dobiegły jakieś odgłosy. Trzasnęły drzwi, po czym jakiś głos zawołał:

– Papa!

– Jeszcze porozmawiamy, teraz odpoczywaj – rzucił, śpiesznie podnosząc się z krzesła. – Noga dobrze się goi, za kilka tygodni będzie można zdjąć gips. Żebro masz pęknięte, dlatego boli przy każdym ruchu. Wszystko będzie dobrze – dodał uspokajająco.

Obrzucił ją spojrzeniem pełnym współczucia i wyszedł, zostawiając uchylone drzwi.

Młody mężczyzna w ciepłych rękawicach siedział przy stole przykrytym kraciastą ceratą i wpatrywał się w okno. W pomieszczeniu było chłodno, nie na tyle jednak, by rękawice nie budziły zdumienia.

Danyło wszedł do kuchni.

– Kiedy to się wreszcie skończy? – Nie umiał ukryć wyrzutu. W jego ciemnych oczach malowało się znużenie kogoś, kto nie ma już wpływu na rzeczywistość. – Masz te papiery. Daj jej spokój. Ile to już tygodni...

Młody mężczyzna odwrócił wzrok od okna.

– To nie zależy ode mnie. Jak twój reumatyzm? Powinieneś się oszczędzać.

– Nie zmieniaj tematu – rzucił niechętnie stary, masując sobie kolano. – Nie można jej tu trzymać w nieskończoność... I wiem, co ci chodzi po głowie. Myślisz, że nie widziałem, jak na nią patrzyłeś? – Nie spuszczał wzroku z młodego, choć tamten wciąż wpatrywał się w okno. W końcu westchnął, porzucając zaczepny ton. – Co mam jej mówić? Że jest więźniem? Nie nadaję się do tego, za stary jestem na te wasze... zabawy. Idź, porozmawiaj z nią, wytłumacz, a potem odwieź tę dziewczynę do Lwowa. Nie zachowuj się jak pan życia i śmierci, bo to niepoważne.

Czasem jeszcze łudził się, że sprowadzając wszystko do szczeniackich wybryków, zdoła umniejszyć dramat wojny. Był już stary i pewnych rzeczy wolałby nie przyjmować do wiadomości.

Zawahał się w oczekiwaniu na wybuch złości. To chyba jedyna rzecz, która wyprowadzała jego syna z równowagi: protekcyjnalne traktowanie.

Tym razem wybuchu nie było.

– Odzyskała przytomność? Jak z nią?

– Fizycznie nie najlepiej, na szczęście minęła jej ta apatia. Chyba niewiele pamięta. Mówiłem ci już, że to może być skutek szoku pourazowego. Bili ją? – Zerknął krzywo na syna.

– A ja ci mówiłem, że spadła ze skarpy. Dlaczego mi nie wierzysz? – Jego rozmówca próbował ukryć złość. Nie mógł znieść choć cienia podejrzeń, że świadomie mógłby skrzywdzić Lilkę. – Byłem w Dereżycach, jak przyprowadzili konie. Od razu rozpoznałem Huragana. Najpierw myślałem, że to Jakub. Do głowy mi nie przyszło, że... – Przesunął rękawicą po czole. – Nikt jej nie tknął – dodał z uporem.

– No nie wiem... Miała wyboczyny w okolicach nerek i na brzuchu. Nie wyglądały na obrażenia spowodowane upadkiem...

Młody mężczyzna zacisnął szczękę. Oczy mu pociemniały. Nie chciał nawet o tym myśleć. Wystarczy, że nie potrafił się powstrzymać, kiedy zobaczył ją nieprzytomną, pokiereszowaną. Prawą nogę miała wygiętą pod jakimś dziwnym kątem, a na szyi długą ranę. We włosach widać było zaschnięte skrzepy krwi. W pierwszej chwili myślał, że Lilka nie żyje. Uspokoił się, dopiero gdy usłyszał, jak cicho jęczy, ale jednocześnie ogarnęła go taka wściekłość, że przestał nad sobą panować.

Wzdrygnął się na wspomnienie złamanego nosa i zmasakrowanej twarzy tego, który stał najbliżej...

Od jakiegoś czasu miał kłopoty ze swoim oddziałem. Młodych Ukraińców rozsadzała energia. Chcieli walczyć, ale ich działalność ograniczała się do bandyckich napadów na wsie. Niczego innego nie

potrafili i chyba, podejrzewał to już od dawna, nie chcieli. Na ostatnim tajnym spotkaniu OUN-u we Lwowie nakazano działaczom wykorzystać wszelkie możliwości przejmowania administracji, handlu, przemysłu. Mówiło się o tym, że jak najwięcej Ukraińców powinno przenosić się do miast, żeby młodzi ludzie zasilali szeregi batalionów policyjnych i lokalnej ukraińskiej policji pomocniczej. Żeby przeszkolić ich jak najwięcej, przygotować do przejęcia stanowisk.

Orest słuchał i własnym uszom nie wierzył. Miał przed oczami swoich podkomendnych, z których większość nie potrafiła czytać ani pisać. Ci ludzie nigdy nie byli dalej niż w sąsiedniej wsi, nie jechali tramwajem, a spory po wsiach załatwiali bez pomocy policji. Chodzili własnymi ścieżkami, las dawał im poczucie wolności i bezkarności, a jakakolwiek próba zamknięcia ich w ramy organizacji niosła ryzyko. A takich jak oni były setki! Nie spieszyło im się do miast, chcieli ustanawiać swój porządek i własne reguły. Na wieść o wybuchu wojny uciekli do lasów, chroniąc się przed mobilizacją do polskiego wojska.

Niechętnie musiał przyznać, że wielu z nich to zdemoralizowani zwyrodnialcy i ostatnią rzeczą, o jakiej myśleli, był patriotyzm. W zamęcie wojennej zawieruchy dostrzegli pożywkę dla swoich instynktów: ktoś zaopatrzy ich w broń i pod pozorem szlachetnych hasel pójdą gwałcić i mordować. Tych odsyłał, potrafił ich wyczuć na odległość. Nie chciał większych kłopotów. Nie miał jednak złudzeń: wiedział, że w końcu sami się zorganizują, a wtedy biada tym Polakom, których dopadną...

Jego podwładni jeszcze jako tako dawali się okiełznać. Zyskał u nich posłuch i cieszył się autorytetem, choć od niedawna sam miał na pieńku ze swoimi dowódcami. Jego ludzie natknęli się na dwie dziewczyny, kiedy szukali kilku polskich oficerów, rzekomo ukrywających się w okolicznych wsiach. Czasem nie mógł zrozumieć, skąd w nich tyle nienawiści do Polaków. W podnieceniu czekali na okazję, by móc zarizaty Lacha. On osobiście nie miał nic przeciw Polakom, walczył o sprawę, nie czuł niechęci, nie skupiał się na animozjach. Przyświecał mu inny cel, choć wiedział, że nastały czasy, gdy ideały i moralność trzeba schować do kieszeni.

– Ostatnio do oddziału zgłosili się dwaj bracia z tej wsi, gdzie jej ojciec miał majątek. Rozpoznali ją i chyba dlatego jeszcze żyje... – Odwrócił wzrok. – Gorzej z tą drugą, mówiłem ci przecież... Zostawiłem ją w Dereżycach, jest w nie najlepszym stanie. Lilka zniknęła im z oczu, kiedy poleciała w dół. Tamta dostała w głowę, gdy próbowała uciekać. Na szczęście kula utkwiała płytko w czaszce, nie uszkodziła mózgu... Paraska jej pomogła. – Zamilkł na chwilę. – Od kiedy Niemcy się wycofali, coraz trudniej zapanować nad tymi chłopakami – dodał z westchnieniem. Dotknął jednej dłoni drugą i po jego twarzy przebiegł grymas bólu. – Urządzają obławy na okolicznych wieśniaków, snują się po lasach. NKWD rozsyła wici po ukraińskich wsiach, na każdym kroku pełno szpiegów. Cały czas mieli nadzieję na antypolskie powstanie. Wszystko zostało przygotowane, ale nie było zgody. No i poczuli się zawiedzeni. – Rozłożył ręce. – Wiesz, zgłasza się coraz więcej młodych, wszyscy chcieliby coś zrobić, krew kipi. – Uśmiechnął się. – No i nigdy nie mieli większej nadziei na wolną Ukrainę. Poza tym, musisz zrozumieć, w większości to są biedni, niewykształceni chłopci, którzy nigdy nie mieli niczego na własność. Dla nich ta wojna to okazja na zmianę. Jak tu nie skorzystać?

Danyło podszedł do syna i bezceremonialnie zdjął mu rękawice. Chłopak syknął, ale nie cofnął rąk. – Odmrożone. – Stary pokiwał głową. – Ha, a teraz biorą krwawy odwet za swoją biedę i dorabiają do tego ideologię... Ile jeszcze będziesz siedzieć w tym lesie?

– Ile trzeba. Nie zostawię ich. Pomożesz?

– Boli? – zapytał Danyło, ostrożnie dotykając czerwonej, spuchniętej dłoni.

– Swędzi i trochę szczypie...

– To dobrze, nie wdała się jeszcze nekroza... Nie rozcieraj! – zaprotestował. – Siedź, przyniosę maść. Ulży, ale nie ma mowy, żebyś spędził dzisiejszą noc na zimnie. Zostajesz tutaj, jeśli nie chcesz stracić

rąk.

Chłopak poruszył się niespokojnie.

– Nie mogę... Miałem przywieźć chleb, załatwiłem już z piekarzem. Przygotuje mi kilka worków. I tak cud, że się udało, przywiozłem mąkę z Drohobycza.

– Trudno. – W głosie starego zabrzmiały kwaśne nuty. – Poradzą sobie dziś bez chleba. W Borysławiu ludzie od dawna głodują, kolejki przed piekarnią ustawiają się już w nocy. A ty chleb do lasu... Dla tych... bandytów. Jak spekulant. – Pokręcił głową. – Wiesz, jakie oni stosują metody? Zapędzają się czasem do miasteczka. Powiem ci, że się wstydzę, że to moi rodacy. Wdzierają się do sklepów, są bezczelni i silni, wszystkich zastraszają. Wynoszą, co się da... – Urwał. – To już jest inny świat, synu. Do tej pory żyliśmy jak sąsiedzi, raz lepiej, raz gorzej, a teraz pacjenci się mnie boją. Myślisz, że nie widzę? Gdyby w okolicy był polski lekarz, zdechłbym z głodu. A dla mnie pacjent nie ma narodowości, to cierpiący człowiek. Płacą tym, co mają. – Westchnął. – A najczęściej nie płacą w ogóle. Nie mam już prawie żadnych leków, wszystko skonfiskowało wojsko. Czasem myślę, że trzeba mi było zostać we Lwowie... Wiesz, ilu tu codziennie umiera? Mało wam tego? Pogrzeby przestały być uroczystością, teraz to zwykła konieczność pozbywania się trupów. Ja już nie rozumiem tego świata. – Podniósł wzrok na syna. – Obiecałeś mi kiedyś, że nie przyłożysz ręki do bezsensownego przelewu krwi. – Był teraz poważny. Krzaczaste brwi zbiegły się w jedną kreskę. – Myślisz, że nie słyszę, co ludzie o was gadają? Napadacie na polskie wsie, mordujecie, gwałcicie kobiety... Nie oszczędzacie nawet dzieci.

Orest zacisnął zęby. Z trudem powstrzymywał się, żeby nie wybuchnąć. Był wściekły na ojca, ale uczciwość wzięła górę. Wciąż miał w pamięci mały oddział polskiego wojska, który we wrześniu został zarąbany siekierami przez zbrojną bandę ukraińskich chłopów, gdy żołnierze wycofywali się pod rumuńską granicę.

– Tato! To nie moje chłopaki! Przecież wiesz, że robię, co mogę, żeby ich powstrzymać! Ja sam już przestaję odróżniać dobro od zła. Musisz zrozumieć, że najtrudniej jest czekać. Ostatnio nawet żadne rozkazy nie przychodzą, jakby się wszyscy przyczaili. Słyszałem pogłoski, że w organizacji szykuje się rozłam. A Polacy lepsi? – Wzruszył ramionami, chwytając się ostatniego argumentu, który pozwalał mu na usprawiedliwienie tego, co Ukraińcy robili Polakom. – Gdyby mogli, toby nas wszystkich na słupach powywieszali, tylko dlatego, żeśmy Ukraińcy. Ile razy słyszałem w szkole, że mam czarne podniebienie? – Ostatnie słowa zadźwięczały jakoś wyjątkowo żałośnie i sam się ich zawstydził.

Ojciec spojrzał na niego z goryczą.

– Ile ty masz lat, żeby się na kolegów żalić? Ja nie jestem idiotą, synu. I po świecie chodzę dłużej niż ty. To, co robicie, to zwykły bandytyzm, którego nie da się niczym usprawiedliwić. A teraz na dodatek wymknął się spod kontroli. Słyszałem, że wypuścili Banderę? No, tylko patrzeć, a zaczną się jatki. Najchętniej wyróżnąłby tych, co byli za porozumieniem.

– Mamy taki sam cel jak wasza partia – odciął się Orest. – Chyba zapomniałeś.

– Tak, UNDO rzeczywiście było partią. Legalną i prawdziwą. W przeciwieństwie do tej waszej faszystowskiej organizacji... – oświadczył twardo Danyło.

– Bo co? – Jego syn podniósł głos. – Bo uznawał was polski rząd? Bo tańczyliście, jak wam Polacy zagrali? Bo dawaliście się mamić obietnicami bez pokrycia? I po tylu latach starań wciąż nie ma ani jednego kawałka ziemi, którą mógłbyś oficjalnie nazwać swoim państwem...

– Nie! Dlatego, że my budowaliśmy ukraińskie poczucie tożsamości, od początku, od podstaw. Bez uciekania się do przemocy. Bo nie rościliśmy sobie prawa do własnego kodeksu wartości jak OUN, który z zimną krwią wydawał wyroki śmierci na polskich polityków albo na Ukraińców, którzy w waszym mniemaniu zdradzali swój naród. Synku, rzuć to, to zwykli mordercy, tam nie ma żadnej idei!

Orest zerwał się z krzesła i zaczął nerwowo chodzić po kuchni.

– Siadaj! – Danyło odsunął krzesło. – Trzeba posmarować – powiedział, nakładając resztki maści na zaczerwienioną skórę. Orest się skrzywił. – Podpisałem się pod deklaracją Naczelnego Komitetu o wypełnieniu obowiązku obywatelskiego względem Polski. Zadeklarowaliśmy w sejmie lojalność ludności ukraińskiej.

– I zaraz potem zaczęły się aresztowania – zakpił Orest. – Polacy jakoś nie za bardzo odróżniają UNDO od OUN-u. Dla nich Ukraińiec to Ukraińiec. W Berezie Kartuskiej siedzieliśmy w jednej celi. Tato, to nie Wersal, z wrogiem trzeba walczyć, a nie dyskutować. I przypomnij sobie stanowisko tego waszego UNDO do trzydziestego pierwszego roku. – Uśmiechnął się złośliwie. – Wtedy jeszcze gadaliście z sensem – dodał. – Nikt nam niczego nie da, rozumiesz? Teraz każdy będzie próbował ugrać coś dla siebie. Jest wojna, otwierają się nowe możliwości. Mapa Europy po wojnie będzie wyglądała zupełnie inaczej. Od nas zależy, czy z tego skorzystamy, bo nie trafi się już lepsza okazja. Nie rozumiesz, że koniec z sentymentami? Na pierwszym miejscu musi stać dobro Ukrainy! Jeśli trzeba ponieść ofiary, trudno.

Danyło parsknął śmiechem. Niekiedy przerażała go ta zapalczywa naiwność.

– Tak? A kto ma ponieść tę ofiarę? My czy Polacy? I jakim prawem to wy chcecie decydować, co jest dobre dla narodu ukraińskiego? I w imię jakiego to samozwańczego prawa możecie zabijać wszystkich, którzy się z wami nie zgadzają?

– W imię prawa wolnej Ukrainy.

– Synu – odparł Danyło, kręcąc głową – to nie będzie wolna Ukraina, czy ty tego nie rozumiesz? To będzie faszystowska dyktatura garstki ludzi, którzy zamierzają sobie podporządkować całe społeczeństwo. Kiedy ty się wreszcie obudzisz? Nie wiem, w jaki sposób jej brat zdobył te papiery, ale nie mogę uwierzyć, że nie dały ci do myślenia... Całe wsie do eksterminacji, mapy, nazwiska. Przecież to będzie rzeź na wielką skalę. Nie wierzę, że mógłbyś przyłożyć do tego rękę. Mamili was wysiedleniami, tyle razy o tym rozmawialiśmy. Zawsze ci mówiłem, że to bzdura, nie będzie żadnych wysiedleń. OUN chce rozdeptać Polaków jak mrówki. Żeby nic tu po nich nie zostało. Żeby śladu nawet nie było, że mieszkali na tych ziemiach.

– To nie jest takie proste, jak ci się wydaje! – W głosie Oresta Danyło po raz pierwszy usłyszał wahanie.

Tyle razy prowadzili te bezsensowne dyskusje, że nawet ognia już w nich nie było. Dawno temu jeszcze próbował przekonać syna, że cel nie uświęca środków. Że takie myślenie jest niebezpieczne i prowadzi do wynaturzeń. Sam także marzył o wolnej Ukrainie. Pamiętał dziadka Wasyla, siwiuteńkiego jak gołąbek, który żując machorkę, powtarzał małemu wówczas Danyłowi: „Synku, ta ziemia to nie czuźbina, to nasza Ukraina”. On sam większą część życia poświęcił dla ojczyzny, ale w przeciwieństwie do Oresta wyznawał jedynie drogę prawa i pokoju. Chciał uczestniczyć w budowie niepodległego, demokratycznego państwa ukraińskiego, jednak bez niepotrzebnych ofiar i rozlewu krwi. Wiedział, że Orest jest dobrym chłopcem, ale od kiedy zabrakło mu matki, wszystko potoczyło się inaczej, niż zakładał. On, Danyło, zbyt mało miał czasu dla syna, za bardzo skupił się na ideach, pracy i pacjentach, stracił z oczu to, co ważne. Dziś już o tym wiedział.

Syn w jakimś sensie podzielał jego ideały, choć różnili się co do metod osiągnięcia celu. Ani Orest, ani nikt z nacjonalistycznego OUN-u nie zamierzał czekać, aż dostaną od kogoś wolne państwo. Od dawna wykorzystywali wszelkie dostępne sposoby: działali w konspiracji, prowadząc działania terrorystyczne, zajmowali się propagandą, nie przebierali w środkach, konsekwentnie i brutalnie wyszarpując to, co w ich mniemaniu im się należało. Gdy kilka lat temu Danyło dowiedział się, z kim się zadaje jego syn, spuścił mu lanie.

Spojrzał na niego: Orest nie był już chłopcem. Siedział przed nim dorosły mężczyzna, który dawno miał za sobą okres młodzieńczego buntu. Danyło nie wiedział, czy powinien się z tego powodu cieszyć, czy

martwić. Decyzji syna nie można już było składać na karb lekkomyślnej młodości.

Podszedł do kuchenki i podrzucił kilka szczap do paleniska. Pochuchał w dłonie.

– Zimno się robi... Noce są coraz chłodniejsze, a drewno się kończy.

– Tato... – Orest ściszył głos. Był jakiś zgaszony i przybity. – Uwierz mi, naprawdę próbuję jakoś to ogarnąć, powstrzymać. Przynajmniej o tyle, o ile cokolwiek zależy ode mnie. Przecież takich oddziałów są dziesiątki. Jak ich zostawię, skoczą sobie do gardeł. I nie tylko sobie, wiesz przecież. Czuję się za nich odpowiedzialny, w większości to ja ich werbowałem.

– Oszukujesz sam siebie. I bardzo cię proszę, nie mów do mnie jak do idioty. – Danyło skrzywił się z niechęcią, choć w gruncie rzeczy był rad, że w głosie syna zabrzmiały nuty usprawiedliwienia. Od dawna podejrzewał, że Orest zawiódł się na organizacji, ale chłopak był zbyt dumny, by się do tego przyznać. Ojciec ucieszył się w duchu, że jednak nie wszystkie jego nauki poszły na marne. – Przygotowywaliście teren pod wejście Niemców i mieliście dostać coś w zamian, myślisz, że nie wiem? A teraz wszystko się sypnęło. Już nie mówię o tym, jak bardzo naiwne było to myślenie... – dodał z przekąsem. – Synu, wy już po prostu nie wiecie, kogo słuchać, wasi przywódcy nie mają pomysłu, bo sam przyznasz, że eksterminację Polaków trudno nazwać pomysłem na przyszłe państwo. – Skrzywił się. – Kiedy zawiodły nadzieje, skoczyli sobie do gardeł. I wiesz, co ja myślę? Nawet jeśli wasze kierownictwo wciąż ma jakąś ideę, w co zresztą wątpię, to tym bandom, które grasują po lasach, chodzi tylko o rewanż za rzekomą krzywdę wyrządzoną im przez Polskę. I niestety, one rosną w siłę, między innymi dzięki takim idealistom jak ty. I jeszcze ci powiem...

Zaskrzypiała podłoga. Zaszczekał pies w sąsiednim obejściu. Obaj mężczyźni jak na komendę spojrzeli w stronę drzwi. Lilka stała w progu, opierając się o framugę. Przytrzymała się krzesła, które przed sobą popychała. W ferworze rozmowy nie usłyszeli, jak weszła. Była taka mizerna i wychudzona, że Orestowi ścisnęło się serce. Nie widział jej kilka tygodni, ale miał wrażenie, jakby z rumianej i nieco pucułowatej niegdyś twarzy dziewczyny zostały same oczy. Na widok Oresta powiększyły się jeszcze bardziej i wydało mu się, że przez chwilę zobaczył w nich coś więcej niż strach i niepewność.

– To ty? Skąd się... szukałam cię... Obie cię szukałyśmy.

Zachwiała się i pewnie by upadła, gdyby nie zerwał się od stołu i jej nie podtrzymał. Ostrożnie zaprowadził ją do stojącej koło kredensu ławy. Pomógł dziewczynie usiąść, pod chorą nogę podsunął taboret. Następnie otulił ją pledem, który przyniósł z sąsiedniego pokoju. Danyło obserwował spod oka te zabiegi.

Lilka westchnęła z ulgą. Kilka samodzielnych kroków kosztowało ją tyle energii, że teraz nawet nie miała siły otworzyć ust. W jej głowie kłębiły się myśli. Widok Oresta wywołał sprzeczne uczucia, ale jednocześnie ostatnie elementy układanki wskoczyły na swoje miejsce. Przypomniała sobie Wandę i plecak.

– Gdzie Wanda?

– Żyje, nie martw się. Ma dobrą opiekę...

– Ale co się stało? Może ktoś mi wreszcie powie? Jakub kazał cię odszukać. I ten plecak... Właśnie, gdzie on jest?

– Nie denerwuj się, wszystko w porządku.

– Co tam było?

– Nie mogę ci powiedzieć. Coś bardzo ważnego... – Orest się zawahał. – Wiesz, gdzie jest Jakub?

Jej bladą twarzą wykrzywił bolesny grymas.

– Nie... Myślałam, że może ty... Ostatni raz widziałam go na początku września, był ranny. Spotkałam go przypadkiem, szłam po pomoc dla Jadzi... – Lilka raptownie zamilkła. – Ona...

– Urodziła moje dziecko.

Danyło drgnął.

– Tato, później o tym porozmawiamy.

Tato! Już wiedziała, dlaczego ten starszy mężczyzna wydał jej się znajomy. Podobna sylwetka, taki sam charakterystyczny chód, kształt oczu i głowy. Jakby wszystkie fizyczne cechy Orest odziedziczył wyłącznie po ojcu. Ledwie zdążyła o tym pomyśleć, rozległo się walenie w drzwi. Głośne i natarczywe. Orest poderwał się w popłochu, przewracając krzesło. Danyło przyłożył palec do ust. Było widać, że również jest zaniepokojony.

– To na pewno jakiś niecierpliwý pacjent – rzucił uspokajająco, zamykając za sobą kuchenne drzwi.

Lilka z Orestem spojrzeli po sobie. Przez chwilę nasłuchiwali.

– Dostał na moich oczach – odezwała się pierwsza. – Potem już go nie było. Nie mógłby sam odejść, bardzo krwawił. Szukaliśmy wszędzie, kamień w wodę. Od tamtego czasu żadnego kontaktu, jakby zapadł się pod ziemię. I na dodatek nie wiem, co w domu...

– Twojego ojca zabrali. – Orest z napięciem wpatrywał się w drzwi. – Nic więcej nie wiem. Podobno wywieźli go razem z innymi. A o Jakuba się nie martw. Jeśli żyje, poradzi sobie. Jest sprytny i ostrożny.

Rzuciła mu urażone spojrzenie. Jeśli żyje?

– A co z mamą, z Michasiem?! – wykrzyknęła, nie mogąc się opanować. – Boże, oszaleję ze strachu o nich! – Dopiero po chwili zreflektowała się, że powinna być cicho. Zza drzwi dobiegały szmery rozmowy i odgłosy, jakby ktoś płakał.

Do kuchni wszedł Danyło. Za nim kulila się drobna, kobieca postać. Spod grubej, wełnianej spódnicy wystawały walonki. Wierzchnie odzienie stanowił kraciasty koc, którym okutana była po uszy.

– Musisz mi pomóc – zwrócił się stary do Oresta. Nie bawił się w tłumaczenia.

– Boże, zmiłuj się nad nim! Jak mógł mi to zrobić... Jak?! Przez taką... Boże, Boże! Matkę zostawić na pastwę wojny... Serce z kamienia! Tylko jego jednego miałam. Grzech śmiertelny! Nic mi nie zostało, szczerząc chyba przyjdzie. Boże!

Kobiecina ukryła twarz w sękatych dłoniach. Ramionami raz po raz wstrząsały spazmy. Koc zsunął się na podłogę. Niewielką kuchnię szczelnie wypełnił chwytający za serce płacz.

– Pani Jaremczukowa, pani tu zostanie – rozkazał Danyło. – Mięta w dzbanku, świeżo parzona. – Skinął głową w stronę stołu. – Teraz nic tam po pani. Jak wrócę, ustalimy, co dalej. Chodź! – ponaglił Oresta.

Obaj wyszli z domu.

– Co się stało? – odważyła się zapytać Lilka dopiero po dłuższej chwili.

Nie chciała być wścibska. Wiedziała, że podczas wojny powodów do płaczu nie brakuje. Jaremczukowa osunęła się na krzesło i podniosła na nią zaczerwienione oczy.

– Mój syn... Miał wrócić wieczorem, jak zwykle, po robocie. Nigdy nie spędzał nocy poza domem, dopiero jak poznał tę... lafiryndę. Wczoraj go nie było, rano nie było, tom myślała, że znowu u niej. Ale jak przyleciała sąsiadka z pretensją, że zakład zamknięty, a na ondulację była umówiona, coś mnie tknęło. Mówię panience... O matkę tak nie dbał jak o ten swój zakład. Fryzjerem jest – wyjaśniła z dumą na widok pytającego spojrzenia dziewczyny. – Jak wojna wybuchła, wszyscy uważali, że zwariował, bo zakładu nie zamknął. A on gadał: „Mamuś, jeszcze zobaczysz, wojna nie wojna, nawyków kobiet nic nie zmieni. Próżności i największy kataklizm nie da rady”. I miał rację, mówię panience. Jak tylko trochę spokojniej się zrobiło, znowu zaczęły przychodzić. Niektóre to nawet z ruskimi się prowadziły... A mój synek jest najlepszym fryzjerem w całej okolicy. Do samego Lwowa miał się przenieść, tam lepsze widoki. Dla matki tu został... A teraz? Jezusie Przenajświętszy! Taki grzech... – Kolejne słowa utonęły w szlochu i lamencie.

Lilka nie przeszkadzała, siedziała cicho, pozwalając kobiecie się wypłakać. Dopiero po godzinie, gdy wrócili mężczyźni, a Jaremczukową zabrała sąsiadka, dowiedziała się więcej.



– A myślałem, że w dzisiejszych czasach śmierć chodzi tylko w wojennym płaszczu – powiedział z westchnieniem Danyło. – Jak widać, niektórzy wybiegają przed szereg... Głupi i tyle. Tylko patrzeć, a zakład by zamknęli. Nowy ustrój nie lubi przedsiębiorczych. Prędzej czy później na Syberii by wylądował. Mógł poczekać, jeśli już mu na tej śmierci tak bardzo zależało.

– Powiesił się. – Orest skrzywił się z niechęcią, poprawiając bandaż na lewej dłoni. – Na haku od żyrandola. Podobno z nieszczęśliwej miłości. Panna okazała się mężatką i w dodatku postanowiła wrócić do męża.

– Ze słabości raczej – fuknął jego ojciec, przeglądając zawartość szafy z lekami. – Pogubiło się chłopisko.

Orest zamilkł. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w Lilkę, a dokładniej, w miejsce, na którym siedziała. Miała wrażenie, że jej nie widzi, że patrzy na przestrzał. Ale po raz pierwszy zobaczyła w jego oczach coś, co ją zaskoczyło.

– A jeśli to właśnie normalność? Może to my się pogubiliśmy... – odezwał się cicho.

– I kto to mówi? – spytał z przekąsem Danyło. – Jak widzisz, nie każdy chce robić wiekopomne rzeczy, synu. Niektórym wystarcza, że dobrze uprawiają swój ogródek. Są odpowiedzialni głównie za siebie, a ty jeszcze nie wiesz, że to najtrudniejszy rodzaj odpowiedzialności.

– Tak? – W głosie Oresta zadźwięczały zaczepne nuty, choć wciąż zachowywał spokój. Jedyne mocniej zacisnął szczękę.

– Nie ma na kogo zwalić. Wszystko w życiu sprowadza się do wyborów. I do odpowiedzialności za nie. Proste i brutalne.

Lilka nie była pewna, o czym mówią, ale się domyślała. Intuicja podpowiadała jej, że w powietrzu wisi napięcie zadawnionych konfliktów. Iskry strzelające na linii oczy–oczy wiele mówiły. Ojciec i syn starali się zachować spokój, jakby to jedno było gwarancją przewagi i słuszności głoszonych poglądów. Ten, który pierwszy okaże zniecierpliwienie, odkryje się i przestanie być wiarygodny. Pomyślała, że męski świat jest przedziwny: pełen ról do odegrania, póź przyjmowanych na potrzeby chwili, a jednocześnie wielkiej niepewności, czy jest się wystarczająco silnym i męskim.

Nigdy nie widziała takiego Oresta. Otwartego i słabego jednocześnie. Niepewnego. Bez pozy, bez pancerza. Zwykle wydawał się cyniczny i niedostępny, niezdolny do wyrażania prostych emocji. Przeszywał rozmówcę wzrokiem, jakby chciał mu zajrzeć w duszę, sam pozostając w ukryciu. Mówił półsłówkami albo używał metafor. Poruszał się w dziwnych rejestrach, które ją przerażały i których nie rozumiała. Jego świat jawił się jej zagadkowym, skomplikowanym miejscem, gdzie nic nie jest takie, na jakie wygląda. Wszystko, co robił i mówił, każdy gest, każda uwaga miały ukryty wymiar, podtekst, drugie dno, którego lepiej było nie dociekać. Nigdy nie wiedziała, co tak naprawdę siedzi mu w głowie. Jakby wszystko było jakąś diabelską grą, w której idzie o duszę. Spojrzała na jego zabandażowane dłonie, na ciemne smugi pod oczami. Ślady niebieskiego zarostu na wychudłych policzkach dodawały mu lat. Koszula wisiała na ramionach, odsłaniając sterczące obojczyki. Siedział przed nią nie żaden demon o nadprzyrodzonej mocy, tylko normalny, młody mężczyzna. Zmęczony i zrezygnowany. Nawet oczy nie płonęły mu tak jak dawniej.

– Zostawię was na chwilę – rzekł Danyło. – Znalazłem jeszcze jedno opakowanie szyszek chmielu. Zaparzę jej. Bólu nie ukoi, ale może otępi. Duchota straszna... – Oparł się o stół i rozluźnił kołnierzyk.

– Tato, wszystko w porządku? – W głosie Oresta zabrzmiał niepokój.

– Zajmij się Lilką, jest zmęczona. Nie siedźcie długo.

Kiedy wyszedł, Orest zapytał.

– To chłopiec czy dziewczynka?

Podniosła wzrok.

– Dziewczynka. Ma twoje oczy. A włoski jasne, jak jej mama.

– A... Jadzia?

– Zabrali ją do szpitala... Poród był trudny, ale mała urodziła się zdrowa. Nic więcej nie wiem. Potem było tamto pod kościołem i do domu już nie wróciłam...

Opowiedziała mu o zdarzeniach, które pamiętała jak przez mgłę.

Orest słuchał w roztargnieniu, najwidoczniej tylko jedno chodziło mu po głowie.

– Córka... – Zamyślił się. – Wiesz, to dziwne uczucie, przyczynić się do powstania nowego życia. Jakby chodziło o jakąś równowagę...

Wstał z krzesła i pomagając sobie łokciem, otworzył drzwiczki pod kuchenką. Ożywiony nagłym powiewem ogień buchnął gwałtownie, oświetlając półmrok pomieszczenia. Orest wrzucił w płomienie kilka szczap.

– Mówią, że zima ma być wyjątkowo ostra. Prawdziwe mrozy dopiero nadejdą.

– Ludzie po wsiach gadali, że wiosną coś się ruszy. – Lilka przypomniała sobie wieści sprzed kilku tygodni. – Że rozpocznie się ofensywa aliantów na zachodzie...

– ...a Polska znów będzie w starych granicach – dokończył Orest. – Bzdury! Nie ma powrotu. Niektórych spraw nie da się cofnąć ani wymazać.

– Chcę wrócić do Lwowa. Zrobiłam, o co prosił Jakub, a teraz chcę do domu. Oni się martwią, mama, Michaś...

Przypomniała sobie Wandę.

– Jurka Lerskiego aresztowali. Tak jak Wiktora. Pomożesz?

– Ja? – Zdziwienie Oresta było autentyczne. – Sam się ukrywam. Od tygodni NKWD depta nam po piętach. Bolszewicy nas nie kochają. A o Wiktora się nie martw – dodał z sarkazmem, robiąc dziwną minę. – Jest kuty na cztery nogi.

Podał jej gazetę.

– Masz, czytaj. Raczej nie potrzebuje pomocy. Dobrze się ustawił. Może to jego powinnaś spytać o Jakuba... Zdaje się, że siedzi u źródła.

Lilka przebiegła oczami wskazany tekst. Kilka zwrotek układało się w poemat sławiący Stalina. „Jemu dzisiaj śpiewa flaga, jemu pieśń jak wicher się wzmaga, jemu Moskwa, czeska Praga. I Warszawa”. Podpisano: W.K.

– Nie rozumiem...

– Rozumiesz. Ciekawe, czy inicjały to przejaw tchórzostwa czy też zdrowego rozsądku. W każdym razie chłopak nie zamierza się jeszcze wychylać. Wygląda na to, że wciąż bada teren i sytuację. Może ma nadzieję na interwencję aliantów. Zawsze lepiej zostawić sobie furtkę.

Lilka była wstrząśnięta. Przymknęła oczy, przetrawiając informację. To nie może być prawda! Wiktor został uwięziony w Brygidkach albo na Zamarstynowie. W najgorszym razie wywieźli go w głąb Rosji, bo takie ostatnio chodziły słuchy o losach aresztowanych Polaków.

– Chcę wrócić do Lwowa – powtórzyła. – Pomożesz mi?

Nie patrzył na nią.

– Jeszcze nie teraz. Za jakiś czas. Musisz dojść do siebie. Poza tym ja teraz nie mogę się tam pokazać...

– Wzruszył ramionami. – Jak chcesz, postaram się, żeby Wanda... Przywiozę ją, jeśli to będzie możliwe.

– Gdzie ona jest?

– Niedaleko, we wsi. Oberwała bardziej niż ty... Jest pod opieką Paraski, ukraińskiej znachorki. Ludzie mówią na nią szeptucha. Z całego Podola przyjeżdżają. Podobno nawet umarłych potrafi wskrzesić. Nie, nie bój się – dodał szybko, bo Lilka zrobiła przerażoną minę. – Już z nią lepiej, na tamten świat się nie wybiera. Podobno pamięć jej trochę szwankuje. W każdym razie będzie żyła.

Lilka zastanawiała się nad czymś. Wiadomość o Wiktorze wytrąciła ją z równowagi, o Wandę bardzo się martwiła, postanowiła więc skupić się na czym innym.

– Kto to byli, ci ludzie? Wtedy, tam w lesie. Ci, którzy, no wiesz... Wydawało mi się, że ich rozpoznałam. Zresztą sama już nie wiem... Nie wiem, co mi się wydawało, a co było prawdą. – Dotknęła dłonią czoła. – Chwilami myślę, że zwariowałam. Pamiętam jakieś obrazy, migawki. Czarne niebo, potem jakieś twarze. Jakbym była w Winnickach... – Nagle coś sobie przypomniała. – Co z Huraganem? O Boże! Jakub mnie zabije! – Gwałtownym ruchem zakryła usta dłonią.

Orest się uśmiechnął. Znów wydała mu się tamtą licealistką, nieco impulsywną i krnąbrną, choć w jej oczach nie było już tych buńczucznych iskierok, które tak go zawsze rozczulały.

– Cały i zdrowy, nie martw się. A twarze, które rozpoznałaś, to bracia Hryciukowie. Nie bój się, nie zwariowałaś.

Lilka nie umiała ukryć zaskoczenia.

– Ale oni... Jak to? Przecież kiedyś się przyjaźniliśmy! Całe dzieciństwo spędziliśmy w sadzie ich ojca! Pamiętam, jak Anton spadł kiedyś z drzewa i zrobiliśmy mu takie nosze, żeby... Myślałam, że mnie... No, że mnie lubią – wydukała skonsternowana.

– Nie będę nikogo usprawiedliwiał, ale oskarżać też nie mam zamiaru. – W głosie Oresta zabrzmiała twarda nuta. Wyprostował się, jakby chciał stworzyć między nimi dwojgiem większy dystans. Naraz zniknął gdzieś ten delikatny chłopak, który tak ją zaskoczył. – Jest wojna. Pamiętaj o tym, zanim zaczniesz oceniać.

– Nie oceniam, tylko nie mogę pojąć. Myślałam, że ludzie są ludźmi, bez względu na okoliczności.

– To dość naiwne podejście – odparł z przekąsem. – Powiem ci jedno: właśnie dzięki nim żyjecie. I skończmy już ten temat. Dość tych rozmów – zakończył, wstając z krzesła. – Późno już, musisz się położyć. Sen jest najlepszym lekarzem.

Lilka zamierzała zaprotestować. Miała jeszcze wiele pytań i wątpliwości, ale nieoczekiwanie poczuła się potwornie zmęczona. W skroniach zapulsował ból, noga pod gipsem strasznie rwała, a co gorsza, dołączyło się uporczywe swędzenie, jakby stado mrówek urządziło sobie po niej przechadzki tam i z powrotem. Orest pomógł jej wstać i zaprowadziwszy ją do pokoju, położył do łóżka. Przyniósł kilka poduszek i ostrożnie ulokował na nich chorą nogę. Lilka poczuła ulgę. Niemal słyszała, jak krew odpływa ze stopy ku sercu, zabierając ze sobą obrzęk i ból.

– Wszystko będzie dobrze, nie martw się – rzucił szorstko, patrząc na zabite dyktą okno. – Jutro przygotuję ci posłanie w innym pokoju.

– Dziękuję, nie trzeba – wymamrotała w ostatnim momencie przytomności. Po chwili już spała.

Orest pochylił się i odgarnął z czoła dziewczyny popielaty kosmyk. Zauważył, że od czasu, kiedy widzieli się po raz ostatni, jej włosy jeszcze bardziej pojaśniały. Wydała mu się taka mała i krucha. Poczuł, jak żal ściska mu serce. Odwrócił się na pięcie i szybko wyszedł. Nie mógł sobie pozwolić na słabość.

Obudziły ją hałasy. Wyrwana ze snu otworzyła oczy, usiłując przebić mrok, ale w pokoju panowała ciemność. Nie paliła się nawet lampka przy łóżku, choć Lilka pamiętała, że zostawiła sobie światło. Bała się obcej, bezkształtnej ciemności cudzego domu, tak innej od tej w miejscach, gdzie zna się na pamięć każdy kąt, każdy cień rzucany przez znajome sprzęty. Gdzie wzrok nie jest jedynym zmysłem służącym do orientacji w przestrzeni pokoju.

Wstrzymując oddech, spojrzała w miejsce, gdzie powinny znajdować się drzwi. Przez szpary we framudze nie wpadała najmniejsza smuga światła. Nocami w korytarzu zwykle było jasno, przez co wejście do pokoju wyglądało jak nieszczelna brama do blasku.

Ciężki tupot na schodach i pokrzykiwania sprawiły, że się skuliła. Gdzieś niedaleko coś miarowo waliło w ścianę, jakby ktoś chciał ją przebić na wylot. W pewnym momencie dał się słyszeć hurgot walącego się drewna. Co chwila trzaskały drzwi. Rozległ się wystrzał. Odgłosy były raz gwałtowne, raz stłumione, a słów nie dawało się odróżnić. Agresywne krzyki mieszały się z zawodzącym lamentem. Lilka zorientowała się, że prawdopodobnie dolatują z podwórza albo z klatki schodowej. W tej samej chwili ktoś wszedł do pokoju. Wyczuła czyjąś obecność, jeszcze zanim usłyszała skrzypienie drzwi.

– Pospiesz się – wyszeptał Orest, podając jej buty i otulając kołdrą. – Musimy uciekać. Nie ma prądu, nie zauważą nas. To jedyna szansa... – Poczowała, że bierze ją na ręce. Syknęła z bólu, zawadziwszy chorą nogą o wezgłowie.

– Gdzie Danyło? – zapytała go prosto w ucho, gdy sadzał ją na krześle w kuchni. Domyśliła się po ciepłe bijącym od płyty.

– Wyszedł zobaczyć, co się stało. Nie zdążyłem go zatrzymać. Za bardzo wierzy w swój autorytet – parsknął. – Wpadli z bronią do kamienicy, zaczęli walić do drzwi, akurat wtedy zgasło światło w całym mieście. Wszędzie egipskie ciemności. NKWD robi obławę – rzucił, szukając czegoś nerwowo. – Na drugim piętrze mieszka emerytowany nadleśniczy, a naprzeciwko ojca rodzina urzędnika z nadleśnictwa. Widać teraz ich kolej.

W mroku widziała tylko zarys jego postaci, gdy niespokojnie kręcił się po kuchni. Mignął na tle jaśniejszego kwadratu okna i wtedy zobaczyła, że chowa broń za pazuchę.

– Poczekaj chwilę – rzucił, znikając w korytarzu. Poruszał się jak ryś, cicho i bezszelestnie. Wrócił już po sekundzie, niosąc w objęciach wielki, ciężki kozuch. – Nie ma czasu na nic innego – oświadczył. – Musimy uciekać. W tym nie zmarzniesz.

Ze zdumieniem patrzyła, jak przesunął kredens i otworzył niskie drzwi ukryte w ścianie.

– Nie dam rady cię tu wnieść, musisz sama. Oprzyj się o mnie. Ostrożnie!

Pochyliła głowę i znalazła się w małym pomieszczeniu, służącym za spiżarnię. Kiedy zawadziła ramieniem o krawędź półki, poleciały puste słoiki. Potoczyły się po czymś miękkim, co zamortyzowało upadek. Wyczuła pod cienką podeszwą buta sprężystą bulwę. Z trudem zachowała równowagę. Orest schylił się i odgarnął stos ziemniaków. Złapał za klapę w podłodze i podał Lilce rękę.

– Uważaj, tu są schody, dosyć szerokie, dasz radę – powiedział, wrzucając w otwór kozuch. – Pójdę przodem i będę cię asekurował. Oprzyj się na moich plecach i postaraj się nie podpierać tą nogą. To bezpośrednie zejście do piwnicy. Można tędy wyjść na tyły budynku. Kiedyś była tu ubojnia połączona podziemnym korytarzem bezpośrednio z jatką w budynku po drugiej stronie ulicy. Ponoć zaczynają się tu podziemia, ciągnące się aż do Tyśmienicy. Po jesiennej powodzi tam już pewnie wszystko zalane. Spróbujemy dostać się tak daleko, jak się da. Dasz radę?

– Dlaczego uciekamy? – wysapała Lilka starając się nie zwracać uwagi na ból.

Mimo chłodu strużka potu zebrała się jej na karku. Za każdym razem, gdy ciężka jak kłoda noga dotykała stopnia, paraliżujący ból przeszywał ciało. Na szczęście korytarz był na tyle szeroki, że Orest mógł wziąć ją na ręce. Odrzucił kołdrę, owinął dziewczynę w kozuch i sapiąc, mozolnie parł naprzód.

– Szukają polskich oficerów. Kilka dni temu w Tustanowicach aresztowali kilkunastu. Ukrywali się po wrześniu u polskich rodzin. Niektórym się udało, dostali cywilne ubrania i jakoś się stąd wydostali. Reszta...

– Co z resztą?

– A jak myślisz? Sowieci mają za dużo problemów z ukraińską partyzantką, żeby zawracać sobie jeszcze głowę polską. Lepiej uciąć przy korzeniu. Kilka dni temu słyszałem, jak kolejjarze mówili, że na bocznicę podstawiają wagony-tiepluszki. Jakoś przecież muszą je zapełnić... Do miasta znowu zjechały sowieckie rodziny, gdzieś muszą mieszkać. Pamiętaj, że nie masz żadnych dokumentów, a to

wystarczający powód, aby cię uznać za szpiega – dodał po chwili wahania. – Nie zamierzam ryzykować, że coś ci się stanie. Czuję się za ciebie odpowiedzialny...

– Niepotrzebnie – zachnęła się Lilka.

– Jesteś tu dlatego, że Jakub kazał ci mnie odszukać. W innej sytuacji nie ruszyłabyś się ze Lwowa.

– Jestem tu, bo twoi ludzie nas napadli. Gdyby nie to, oddałabym ci plecak i odjechała z powrotem.

– Nie bądź naiwna.

– A co z twoim ojcem? Zostawisz go?

Orest nie odpowiedział. Poczła na policzku, jak zacisnął szczęki. W tym samym momencie nad ich głowami rozległo się echo kroków. Następnie padły strzały.

## VII

Pierwsza wojenna wiosna nie przyniosła żadnych istotnych zmian, poza tym, że przebieg kampanii na Zachodzie przyniósł tragiczne rozczarowania. Nadchodzące z pól bitewnych Holandii, Belgii i Francji komunikaty wieściły kolejne niepowodzenia wojsk alianckich. Długo nikt nie chciał dawać temu wiary. Mieszkańcy Lwowa z oślim uporem wyczekiwali i odnotowywali każdą informację zdającą się potwierdzać, że karta wojny się odwraca. Sami kształtowali swoją własną, lwowską rzeczywistość, jak długo się dało, i niechętnie godzili się na dokładanie do niej niepasujących klocków. Bacznie obserwowano okupanta. Kiedy w maju zaczęły mnożyć się oznaki, że Sowieci przygotowują się do wojny, o czym świadczyła budowa rowów przeciwlotniczych na Cytadeli, zwiększona częstotliwość przemarszu wojsk i przejazdu kolumn czołgów – lwowianie z konspiracyjnie uradowanymi minami ściskali sobie ręce w bramach i tręcali się kieliszkami w zaciszu domowym. Ogromne reduty, które tamci wzniesli wokół miasta, dawały nadzieję, że przyjaźń Stalina z Hitlerem nie będzie trwała wiecznie i okupanci Polski w końcu wezmą się za łby.

Jednak kiedy w połowie czerwca dotarły do Lwowa wieści o upadku Paryża, a następnie o podpisaniu przez Francję zawieszenia broni – niewiele już pozostało z dawnej optymistycznej lwowskiej natury. Jakby jej niezłomny opiekuńczy duch przestał być taki niezłomny i opuścił ją na dobre.

– Co to teraz będzie, pani Chudecka? Żabojady się Hitlera wystraszyły, marna nasza dola... Ludziska na mieście gadają, że to nie dziwota, że my wojnę przegrali, jak nawet taka wielka Francja nie dała se rady z tym burmyłą z wąsikiem. Tera już wszędzie Niemce będą! – Pelasia w roztargnieniu zmieniała pieluchę małej Jadzi. – No już, już, kruszynko nasza – zaświergoliła. – Nie damy ci krzywdy zrobić. Choćby cały świat się zapalił, będziesz bezpieczna. Już my się o to postaramy.

– My jak my – mruknęła kucharka, podgrzewając mleko. Zestawiła garnuszek z fajerki, wsypała do niego łyżkę mąki, trochę cukru i ukręciła na papkę. – Gdyby nie Antoni, z głodu byśmy dawno pomarli. Szczęście, że ruskim majątek potrzebny i nie roznieśli Winniczek w kibinimater. Ta cud boski, że nas nie ruszyli.

– No – zgodziła się z ochotą Pelasia, drapiąc małą pod bródką. Dziewczynka roześmiała się radośnie. W odpowiedzi Pelasia zacmokała uradowana. – Cud, nie cud... – Łypnęła po chwili spod grzywki na panią Chudecką. – Nergui się nazywa. Czy jakoś tak będzie... – Szelmowski uśmiech rozjaśnił rumianą twarz dziewczyny. – Kto by tam spamiętał pogańskie imiona!

– A poszła, ty głupia, ze swoimi domysłami! – zdenerwowała się kucharka, machając ścierką. – Za jaką robotę lepiej się weź! Plecie, co jej ślina na język przyniesie, bajtoła jedna. Nakarm małą i leć drzewa narąbać. Noc ma być zimna, jeszcze nam tu jakie zapalenie płuc potrzebne. Co za wiosna, jak pragnę zdrowia. Dobrze, że opału jeszcze trochę zostało. Nie wiem, co my by zrobili, gdyby nie pani Marianna. I drzwi do piwnicy zawrzyj na kłódkę! Lato idzie, a drzewo zaiwianiają na potęgę. Co ta wojna z ludziskami powyprawiała...

Pani Chudecka otrzepała ręce z mąki i ciężko klapnąwszy na stołek, z jękiem wyciągnęła przed siebie nogi. Od kiedy w styczniu odmroziła sobie stopy, stojąc pół nocy w kolejce po chleb, miała z nimi wieczne kłopoty. Nie wytrzymała długo na stojąco. Odmrożenia puchły i ropiały; rany odnawiały się

co parę tygodni, przysparzając bólu i zmartwienia. Stała się drażliwa i z byle powodu wydmuchiwała swój potężny nos w chusteczkę, którą ciągle nosiła w kieszeni. Wydawało się, że nawet wojna nie dokonała takiego spustoszenia w jej psychice jak niesprawne nogi. Zniknęła gdzieś hardość i butna zadziorność kucharki. Marianna pocieszała biedaczkę, jak mogła, ale na niewiele się to zdało. Pani Chudecka najbardziej obawiała się, że pewnego dnia stanie się ciężarem dla swojej chlebowdawczyni, która i tak nie miała łatwego życia.

– Pani obieca – naprzykrzała się jej płaczliwie. – Pani obieca, że mnie odeśle, jak już całkiem chodzić nie będę mogła. Za bezdurno ja chleba jeść nie będę, ta mowy nie ma!

– Pani Chudecka kochana, co też pani opowiada – denerwowała się Marianna. – Niechże pani przestanie! Mało mamy zmartwień i bez tego? Ile razy mam powtarzać, że jedziemy na jednym wózku. Wszyscy jesteśmy sobie tak samo potrzebni. Nie poradzimy sobie bez pani. Z nogami czy bez.

W takich chwilach nastawiała wodę i kazała Pelasi parzyć zioła.

Nie pomagały okłady ze skrzypu polnego ani z babki. Potrzebna była maść gojąca rany, lecz o tym tylko mogły pomarzyć. Jakimś cudem Marianna zdobyła w aptece rivanol, ale i on na niewiele się zdał. Stopy były tak spuchnięte i obolałe, że mieściły się jedynie w butach po Gustawie, który nosił numer jak podolski złodziej. Wieczorami kucharka moczyła je w wodzie z octem, co zmniejszało nieco opuchliznę, jednak ranom nie służyło.

– A bo to może nieprawdę gadam? – Pelasia nie przejęła się krzykami kucharki. Zdążyła się przyzwyczaić do tej nowej, drażliwej pani Chudeckiej. – Mongoł wpatrzony w naszą panią jak w obrazek. Wywózki dookoła, ludzie w pośpiechu manele pakują i jadą w niepewne, a u nas spokój. – Wzruszyła ramionami z miną kogoś, kto swoje wie. Zapięła małej śpioszki, przytuliła ją, mruczając coś pod nosem, i odłożyła do kołyski, dla wygody ustawionej w kuchni. Dziewczynka uśmiechnęła się radośnie i wpakowała piąstkę do bezzębnej buzi, gaworząc wesoło. Zatrząśł się lok nad jasnym czółkiem, starannie wyczesany przez Pelasię i przyozdobiony czerwoną kokardą. – Nie trza być filozofem, żeby się domyślić, że dzięki niemu kłopotów nijakich nie mamy. Czy ja nie wiem, że nawet Marczenkowie ledwie się od wywózki wywinęli? Cała kamienica aż huczała. Zabrali Albinowiczów, a i nasz pan był na liście przecie. I pani Marianna, żona obszarnika i krwiopijcy. Mongoł gadał, sama słyszałam.

– Ta co z tego, że był? – Kucharka wzruszyła ramionami. – Ile razy można aresztować tego samego człowieka?

– Ano nic. Ale pani mówiła, że aresztowali Janka Kaczkowskiego, męża jej kuzynki, sędziego w Brodach. A nas nie ruszyli. – Pelasia nie dawała za wygraną. – Nie powie mi pani Chudecka, że to nie Mongoł pomógł.

– A coś ty, sędzina, że aresztować cię mieli? Nic ci nie powiem! – zezłościła się kucharka, tracąc cierpliwość. – Dziecko nakarmiłaś? No to wynocha po drzewo!

Kilka dni temu, późnym wieczorem, przed kamienicę przy Tatarskiej zajęchała wojskowa ciężarówka. Część mieszkańców od dawna wiedziała o planowanych wywózkach; jeden z lokatorów miał znajomego kolejarza na Persenkówce i wiedział, że zbliża się następna fala, bo na bocznicach znowu pojawiły się wagony. Takie wieści od czasu do czasu obiegały miasto, wyganiając ludzi z domów; kto mógł, nocował wtedy u bardziej bezpiecznych znajomych.

W pierwszej kolejności załomotano do sutereny, dawnego mieszkania Marczenków. Szczęśliwym trafem tego dnia przyszedł Nergui. Marianna dopiero późnym wieczorem mogła odbyć z nim codzienną lekcję czytania i pisania. Michaś i mała Jadzia już dawno spali.

– Czekaj, ja otworzę.

Nergui odłożył ołówek i podniósł się z krzesła, obciągając mundur. Sięgnął po czapkę i wyszedł z pokoju. Marianna również się podniosła. Przetarła oczy i zgasila lampkę na stole. Z utęsknieniem



rzuciła okiem na sofę. Nie podobało jej się to natarczywe pukanie, ale była tak zmęczona, że marzyła tylko o jednym: położyć się, zamknąć oczy i przestać istnieć. Bolał ją kręgosłup; ramiona i barki miała sztywne i zdrętwiałe, jakby stanowiły jedynie stelaż na obolałe ciało. Od kilku tygodni pracowała w biurze składu drewna przy Gródeckiej. Traktowała to jak błogosławieństwo. Wcześniej przez dwa tygodnie była zatrudniona przy budowie szosy Lwów – Równe, lecz dzięki pomocy dawnego przyjaciela Gustawa udało jej się zmienić pracę.

Po obowiązkowym przestawieniu czasu na moskiewski rozpoczynała pracę bladym świtem i ciągle chodziła niewyspana. Popołudniami chodziła na Krakidały i sprzedawała ciastka wypiekane przez panią Chudecką. Wspólnie opracowały recepturę, osiągając mistrzostwo w zminimalizowaniu składników. Wystarczyła mąka, trochę wody i syrop buraczany, który przynosił niezawodny Nergui. Za uzyskane pieniądze czasem udawało się kupić kurę albo warzywa, w tajemnicy szmuglowane z podlwowskich wsi.

W sklepach można było dostać od czasu do czasu jedynie wobły z Wołgi – suszone ryby w pęczkach, twarde i słone, które wypalały dziury w żołądku i nie nadawały się do jedzenia nawet po kilkugodzinnym obgotowywaniu. Ceny żywności na targu były horrendalne, lecz nie narzekano. Kogo było stać, ten nie umierał z głodu i bez szemrania płacił dziewięćdziesiąt rubli za słoninę, osiem za kilo marchewki i cztery za bochenek chleba, choć urzędowa cena wynosiła jedynie sześćdziesiąt pięć kopiejek, z tym że sklepowe półki od dawna świeciły pustkami.

Na pomysł ciastek wpadły z kucharką, kiedy skończyły się w domu zapasy lśniących kolorowych guzików różnych kształtów, a także koronek, resztek wstążek, tasiemek, sztucznych kwiatków, wysłużonych balowych rękawiczek, błyszczących zapinek i grzebyków do włosów, cieszących się u Rosjanek wielkim powodzeniem. Marianna wyprzedała wszystkie swoje cienkie pończochy ze szwami i co bardziej wytworne nocne koszule. Niewiarygodnie wielkie pieniądze otrzymała od pewnej żony wysokiego rangą rosyjskiego urzędnika za starą blond perukę w stylu Marii Antoniny, kupioną kiedyś Lilce z okazji balu karnawałowego. Za tę jedną perukę udało się zaopatrzyć rodzinę na zimę w ziemniaki i jeszcze zostało na pół kilograma cukru.

Wracała późnym wieczorem, wykończona, zrezygnowana, oblepiona cudzymi zapachami i przytłoczona ludzkim nieszczęściem, którym na wskroś przesiąknięty był Lwów. Aresztowania, egzekucje, głód i okrucieństwo okupanta, usiłującego terrorem nagiąć mieszkańców miasta do nowej rzeczywistości i uformować z nich prawdziwie radzieckich ludzi – wszystko to wpędzało ją w stany depresyjne, z których kiedyś, zaciskając zęby, z trudem się wygrzebywała. Teraz czuła, jak z dnia na dzień staje się coraz bardziej twarda, jakby zaimpregnowana na ból, który nie był jej bólem. Wiedziała, że to jedyna metoda na przetrwanie.

Kilka razy w tygodniu, wieczorami, czekała ją jeszcze lekcja z Nerguim i obowiązkowe zajęcia z Michasiem. Chłopiec powinien już pójść do pierwszej klasy, ale Marianna zdecydowała, że sama będzie go uczyła. Nie podobał jej się obecny system edukacji: te wszystkie agitki, propaganda, donosicielstwo, obowiązkowa przynależność do organizacji pionierskiej. Nie chciała, żeby Michaś od małego przesiąkał atmosferą wiernopoddańczego stalinizmu i wszechobecnej brzydoty. Był mały i podatny na wpływy. Kiedy pewnego razu szła z nim przez miasto, zaczął klaskać w ręce na widok poustawianych na balkonach figurek, mających przedstawiać Lenina. „Mamo, mamo, też taką zróbmy!”. Marianna ze zgrozą przyglądała się realistycznym, ohydny kukulom, które wyglądały jak trupki.

W pierwszy dzień Nowego Roku na Wałach Hetmańskich ustawiono ogromną jałynkę, ozdobioną białymi festonami, czerwonymi gwiazdami, balonikami i figurkami radzieckich przywódców. Ulicę przyobleczono w sznury lampionów w kształcie ryb, żab i dziwacznych ptaków. Drut z lampionami podtrzymywały dwie monstrualne postacie dwumetrowej wielkości, w których co bardziej pomysłowy przechodzień dopatrywał się pingwinów. Inni widzieli w nich strusie. Wszyscy byli porażeni ogromem

szpetoty i tandety owych dekoracji – oprócz jednego Michasia, który zażyczył sobie w przyszłym roku pod choinką, zamiast żłóbka z Jezuskiem, małego zoo z żyrafami i lwami. Równie ochoczo pogodził się z zamianą Świętego Mikołaja na Dziadka Mroza.

Marianna bała się, że atmosfera szkoły tylko mu zaszkodzi. Woląca uczyć synka sama, licząc, że jakoś uda się go ochronić przed systemem, o którym woląca myśleć, że jest przejściowy, bo inaczej chyba by zwariowała.

Mała Jadzia właśnie zaczynała ząbkować, więc noce także nie należały do spokojnych. W ciasnym mieszkanku każdy krzyk małej stawiał wszystkich na nogi. Marianna stale chodziła ledwo przytomna, nie narzekała jednak; dzięki pracy było trochę grosza i, co ważniejsze, należał jej się deputat w postaci opału. Już samo to stanowiło powód, dla którego nie wahała się ani chwili, choć nigdy nie pracowała zarobkowo i trochę się bała, że sobie nie poradzi.

Jednak obawy okazały się płonne; była jedną z najsumienniejszych i najlepiej opłacanych pracownic. Tylko dlatego w miarę bezboleśnie udało im się przetrwać mroźną zimę. Wystarczyło nawet, żeby podzielić się z Ostrowskimi, którzy bez jej pomocy zamrzliby w swoim mieszkaniu. Ani profesor, ani Lusia nie należeli do zbyt obrotnych i chyba tylko cud sprawił, że jeszcze ich nie eksmitowano ani nikogo im nie przydzielono. Czasy sprzyjały sprytnym spekulantom, lecz były zabójcze dla niezaradnych życiowo inteligentów.

Z korytarza dochodziły obce głosy. Początkowo ciche, potem coraz bardziej nerwowe i ostre. Wiedziała, że powinna tam pójść, sprawdzić, czuła się za wszystkich odpowiedzialna, ale nie miała siły. Poddała się, opadła na sofę i przymknęła oczy. Ostatnim przebłyskiem świadomości pomyślała o dzieciach śpiących w pokoju za kuchnią.

Sen nie przyniósł ulgi zapomnienia. Nigdy nie przynosił. Odpoczywało jedynie ciało, bezwzględny rozum natomiast wykorzystywał sytuację, kiedy myśli nie podlegały kontroli, i wyrzucał z siebie wszystko, co Marianna w ciągu dnia od jakiegoś czasu starannie upychała w szufladzie z napisem: „nie otwierać”. Po tych wszystkich tygodniach spędzonych na szukaniu Lilki, nadziei na jakiegokolwiek wieści o córce, na niestrudżonym wydeptywaniu szlaków i odwiedzaniu każdej instytucji i każdego człowieka mogącego coś wiedzieć, na przepłakanych nocach i dniach szarpanych strachem, który podpływał zdradziecko i łapał za gardło, odbierając dech, poczuła, że dłużej nie da rady. Przestała w ogóle sypiać, przestała jeść, była jak otępiała i nie docierały do niej odgłosy świata. Przestraszyła się, gdy pewnego razu zobaczyła łapankę. Dwie rosyjskie ciężarówki zatrzymały się u wylotu ulicy. Wskoczyli z nich żołnierze z karabinami i tłukąc kolbami, gdzie popadło, zagarniali ludzi na pakę.

Marianna weszła w najbliższą bramę i wtedy, znenacka, pojawiła się ta straszna myśl. Zobaczyła siebie, jak podbiega prosto do najbliższego żołnierza i wrywa mu broń. Następnie otwiera ogień i strzela tak długo, dopóki sama nie padnie podziurawiona kulami jak sito. Nęcąca perspektywa, obiecująca spokój... Cisza, bezruch i ciemność.

Poczuła na policzku szorstki dotyk koca. Z wysiłkiem uniosła powieki, jednocześnie usiłując się poruszyć. Zdrętwiałe ciało zbuntowało się, miliony kłujących igiełek utkwili w ramieniu, pozbawiając je uczucia. Kark był sztywny, głowa ciężka, jakby ważyła tonę. Tak muszą się czuć manekiny. Marianna spojrzała w okno. Czerń nocy powoli ustępowała mlecznej poświacie. Musiało jeszcze być bardzo wcześnie, zmęczone i sponiewierane miasto wciąż spało, śniąc o lepszych czasach. Nie było słyhać żadnych ptasich odgłosów. Od początku wiosny grupa wróbli wymościła sobie gniazda w wykuszach okiennych i codziennie o świcie urządzała awantury i świergotała bez pamięci, zwiastując nadejście dnia i nic sobie nie robiąc z ludzkich zmartwień. Czasem, kiedy rankami Marianna leżała jeszcze w ciepłym łóżku, w chwilowym złudnym poczuciu bezpieczeństwa, przychodziły jej do głowy myśli, że chciałaby być wróblem. Stać się niewidzialną dla ludzi, wtopić się w krajobraz, by nikt jej nie odróżnił od drzewa,

od chmury. A najbardziej pragnęła zasnąć i obudzić się po tym całym szaleństwie. Bo przecież kiedyś musi się to skończyć.

– Nie chciałem cię budzić.

Nergui, z rękami założonymi na piersiach i wyciągniętymi nogami, siedział na krześle. Wyglądał na zmęczonego. Miał wymiętą twarz z niebieskim cieniem zarostu i podkrążone oczy. Na stole paliła się lampka. Książki i zeszyty były otwarte.

– Która godzina?

– Przed czwartą, możesz jeszcze pospać.

– Czemu...? – zaczęła.

– Dlaczego nie poszedłem? – domyślił się. – Uznałem, że będzie bezpieczniej, jak dziś zostanę. Zasnął tak szybko... Powinnaś bardziej o siebie dbać. – Umilkł na chwilę. – Zabrali twoich sąsiadów.

Marianna drgnęła, przypominając sobie nocne hałasy.

– Marczenków?

– Ich też, ale po kilku godzinach wrócili. Rozmawiałem z nimi, jednak nie są zbyt wylewni. Widocznie nastąpiła jakaś pomyłka albo mają znajomości, gdzie trzeba. Byli na liście, sam widziałem. Zabrali sąsiadów z pierwszego piętra, tego właściciela sklepów bławatnych z wnuczką...

– Z Haneczką? – Marianna była wstrząśnięta. Jeszcze kilka dni temu widziała na schodach trzyletnią dziewczynkę o złotych loczkach i perkatym nosku.

Nergui rozłożył ręce.

– Nic nie mogłem zrobić, zwykły lejtnant ze mnie. Za to pani Chudecka raban podniosła – dodał z przekąsem. – To dynamit, nie kobieta. Tylko instynktu samozachowawczego nie ma. Mogła narazić i siebie, i was wszystkich.

Marianna wyprostowała się i poprawiła przekrzywioną spódnicę. Bluzka wysunęła się spod paska, ukazując kawałek halki. Marianna pochwyciła szybkie spojrzenie mężczyzny, ale już po chwili Nergui obojętnie wpatrywał się w okno.

– Jeśli to cię pocieszy, pozwolili im zabrać więcej rzeczy niż zwykle. Pomogli załadować się do ciężarówki. Nie robili im krzywdy, nie popychali, nie straszili. Widzisz, nie każdy Rosjanin to sobaka.

Marianna jakby nie zwróciła uwagi na jego słowa.

– A my?

– Co? – Nie rozumiał.

– Dlaczego nas nie zabrali? Nie było nas na liście? Przecież jesteśmy rodziną burżuazji.

Przez chwilę milczał. W końcu wstał i wyszedł na korytarz. Kiedy wrócił, trzymał w ręku kopertę. Przeciągnął dłonią po ciemnych włosach i uważnie popatrzył Mariannie w oczy. W jego spojrzeniu było coś, co ją zastanowiło.

– Byliście.

– Więc dlaczego?

Chwila milczenia.

– Bo powiedziałem, że jesteście moją rodziną.

– Ale...

– To nie ma znaczenia, ważne, że jesteście bezpieczni. Poza tym, moja droga – po raz pierwszy się uśmiechnął – nie myślisz chyba, że mógłbym teraz przerwać lekcje? Za mało jeszcze umiem, a nabrałem ochoty na te bukwy i wszystkie książki, które stoją u ciebie na półce. – Mrugnął porozumiewawczo. Zauważyła, że jakiś cień przemknął mu po twarzy. – Proszę – powiedział, kładąc kopertę na stole. – Chciałem ci to dać wczoraj, ale byłaś zmęczona. Pójdę już.

Cisza i martwota, które zaległy po jego wyjściu, stały się niemal namacalne. Znikły wszystkie sprzęty,

cały świat rozplynął się w niebycie. Została tylko biała koperta z granatowym szlaczkiem, wymięta i sfatygowana. Marianna siedziała bez ruchu, bojąc się podejść do stolika. W głowie miała pustkę, która gdzieś w głębi zaczynała się przeradzać w panikę. Doznała irracjonalnego uczucia, że dopóki nie dotknie tej przeklętej koperty, nic się nie zmieni. Wypracowywany miesiącami mechanizm będzie nadal działał. Nauczyła się tak żyć, oswoiła niepewność i każdego dnia pielęgnowała w sobie nadzieję, że nikomu z rodziny nic się nie może stać. Że wszyscy, choć dalecy, są bezpieczni. Lilka, Jakub, Gustaw... Tylko to dawało jej siłę, żeby każdego dnia wstawać z łóżka i od nowa zmagać się z życiem.

A teraz ta koperta... Nieuchronna, przytłaczająca samym tylko faktem, że jest, że tu leży. Zawisła jak miecz Damoklesa i po jej otwarciu nic już nie będzie takie samo. Marianna doznała uczucia, o którym mówi się: „jakby ktoś przeszedł po moim grobie”. Tłumiąc lęk, szybkim ruchem rozerwała kopertę. Jeśli tam są złe wieści, chce już mieć to za sobą.

*Żyję, i niech to wystarczy za wszystko. Najpierw staliśmy na bocznicę dwie doby, próbowałem przesłać Ci wiadomość, ale się nie udało. Nie pozwolono nam otwierać drzwi. Ludzie przez małe okienka rzucali nam chleb i koce, narażając życie, bo byliśmy bez przerwy pilnowani. Czasem słyszeliśmy strzały, jednak nie wiem, czy kogoś zabili. Jechaliśmy w strasznych warunkach, podczas snu włosy i ubrania przymarzały do ścian wagonów. Trzęsło tak, że ludzie, stłoczeni jeden na drugim, wpadali na palące się piecyki. Nie było wody, a pociąg przez kilka dni nigdzie się nie zatrzymywał. Co śmielsi łapali przez okienka śnieg, a strażnicy bili ich kolbami po rękach. Jeśli się zatrzymywaliśmy, to tylko po to, żeby oczyścić wagony z trupów. Wtedy rozdawano kapiatok, ale nie każdy miał tyle szczęścia. Najczęściej umierali starcy i dzieci. Ciała wyrzucano wprost na tory i pociąg jechał dalej. Raz się zdarzyło, że któraś z matek nie chciała zostawić ciała swojej córki, więc strażnicy zostawili tę kobietę w szczerym polu, w nocy, na mrozie. Na pewną śmierć.*

*Kochana moja, jedyna. Tylko wspomnienie o Was nie pozwala mi zwariować ani stracić tej resztki ludzkiej godności, bo czasem się boję, że już coraz mniej we mnie człowieka... Wywieźli nas do Obwodu Archangielskiego, ale ja co noc jestem z Tobą, moja miła. Wam z pewnością też jest ciężko i nie możesz wiedzieć, jak mi źle, że nie mogę Was chronić. Diabłu bym duszę oddał, żeby tylko ulżyć Wam w niedoli!*

*Zima tu ciężka, nocami temperatura spada do minus pięćdziesięciu stopni. Ciężko oddychać, bo oddech zamarza, a z gardła robi się szklana struna. Mieszkamy w nieogrzewanych barakach uszczelnianych mchem, zdani tylko na siebie, razem z Uzbekami, Tatarami, Kirgizami i Żydami, którzy tak jak my są na zsyłce. Pilnują nas całą dobę. Nie ma co jeść, racje żywnościowe są tak małe, że nie starczyłoby nawet na śniadanie dla dziecka. Najczęściej zupa na rybich łbach i garść chleba na cały dzień. A praca ciężka. Gdyby nie garstka miejscowych, przychylnie do nas nastawionych, już dawno byśmy z głodu poumierali. Jesteśmy przecież przestępcami, lojalnych obywateli nikt na Sybir nie zsyła.*

*Pracuję, Kochana moja, przy wyrębie lasu i chyba tylko Pan Bóg sprawił, że jeszcze nie zabrakło mi sił. Życie ludzkie nie ma tu żadnej wartości. Wczoraj nie dowieziono ani okruszka chleba, bo pod ciężarówką przepływającą się przez rzekę załamał się lód i utonęła. Nikt nie żałował kierowcy. Wszyscy żalowali chleba.*

*Co u Was? Jak dajecie sobie radę? Nic nie wiem, co we Lwowie, powiedzieli, że listy będą dochodzić, ale jeszcze nikt nie dostał. My wciąż piszemy, jak kto wykombinuje kawałek kartki i ołówka – dzieli się z innymi. Ja nie mam z tym problemu, dzięki Oksanie, miejscowej nauczycielce, która nam tu pomaga, jak może, sama narażając się na więzienie.*

*Dbajcie o siebie, pilnuj, żeby Michaś nie biegał po mrozie z gołą głową. Mam nadzieję, że Jakub cały i zdrowy, a i Lilka już więcej głupstw nie robi. Musicie trzymać się razem, tak jest bezpieczniej.*

*Jeśli możesz, proszę, przyślij mi na adres Oksany (ten na odwrocie koperty) trochę jedzenia, papierosów, ciepłą odzież (najważniejsza czapka z nausznikami), może buty, koce... i jakiś tłuszcz. Zresztą cokolwiek przyślesz, będzie wspaniale. Tu wszystkiego brakuje.*

*Całuję Was bardzo, da Bóg, przeżyjemy to piekło. Nie martw się o mnie, wszystko będzie dobrze.*

*Gustaw*

*3 lutego 1940*

Marianna sięgnęła po kopertę: Oksana Gawriłowa, Małoszujka 164894, CCCP.

Kiedy za oknami zaczęło świtać, do pokoju weszła zamyślona pani Chudecka.

– Jezu Chryste! Myślałam, że duch, jak Boga Kocham! – przestraszyła się na widok nieruchomej postaci na sofie.

Po ulicy, terkocząc osiami na nierównym bruku, przejechała pierwsza tego dnia ciężarówka. Po niej rozległ się stukot końskich kopyt. Z podwórka dobiegały niepewne i jakby przytłumione nawoływania handelesa, zagłuszone przez wrzask rozbudzonych wróbli. W korytarzu snuł się zapach gotowanej kapusty. Przez chwilę można było ulec wrażeniu, że wstaje wesoły, ciepły, lwowski dzień.

– Ależ mi pani strachu napędziła! Ta co to się stało, że pani taka markotna? Noc była ciężka, na schodach harmider, Sowiety latali po piętach, jakby im kto pieprzu na ogon nasypał, ale Bogu dziękować, nikogo od nas nie zabrali. No, oprócz tego bidaka Albinowicza. Ta powiedz pani, co im po takim mikrusie kociurbatym? – Kucharka z dezaprobatą potrząsnęła głową. – Zachwieje się potęga wielkiej Rosji, jak mała Haneczka w kraciastej sukienusi we Lwowie zostanie? – zapytała z goryczą. – Ta ja już nic z tej wojny nie rozumiem. Tylko żal mi tego dziecka bidnego. Chudzinka taka, pewnie nawet podróży nie przetrzyma. Zamarznie gdzie w tym bydłonym wagonie albo na kazachskim stepie. Powiadają, że w strasznych warunkach ludzi wiozą, jak bydło, na zmarnowanie. Chciałam ją do nas zabrać, ale mi nie dali, kocmołuchy jedne. A ten skośnooki diabeł zamknął mnie w kuchni! – rzuciła ze złością. Jakoś nie mogła się przekonać do Nerguiego.

Przerwała paplaninę i spojrzała uważniej na milczącą Mariannę.

– Stało się co? Pani płakała.

– Przyszedł list. Od pana Gustawa. – Marianna uśmiechnęła się przez łzy. Zdążyła przeczytać list sześć razy, ale wciąż nie mogła uwierzyć.

Kucharka uniosła ręce jak do modlitwy. Koszula podjechała jej do góry.

– Jezu Chryste Nazareński, Maryjo Przenajświętsza! Ja wiedziała! Wiedziała, że panu nic nie jest! Całe noce modliłam się do Przenajświętszej Pani i wysłuchiwała.

– Jest na Syberii. Pisze, że chociaż mu ciężko, ale cały i zdrowy. A przynajmniej był, list ma datę z lutego. Już sama nie wiem, czy się cieszyć, czy martwić... Najpierw poczułam ulgę, jakby mi kto wór kamieni z pleców zdjął. Przecież to pierwsza dobra wiadomość. Ale teraz sama nie wiem... Tam są nieludzkie warunki, nawet sobie pani nie wyobraża. – Wzdrygnęła się na samo wspomnienie.

– Nasz pan kwiczołami karmiony! – zaśmiała się pani Chudecka.

Zakasała spódnicę i usiadła obok Marianny. Marianna poczuła ciepło jej ciała i zrobiło jej się nieco różniej.

– Na długo mu tego hartu starczy, pani się nie turbuje. – Kucharka poklepała ją po ręce. – Wróci i będzie jak dawniej. Ta pierońska wojna kiedyś się przecież musi skończyć.

Marianna wytarła ostatnią łzę, podniosła się i podeszła do okna. Zza firanki wpadły pierwsze promienie słońca i oświetliły ścianę, na której wisiał *Dziwny ogród* Mehoffera. Złota złowroga ważka rozbłysła niepokojąco. Marianna mimowolnie spojrzała w tę stronę.

– Jakie życie jest kruche, pani Chudecka... – westchnęła. – Człowiek codziennie buduje swój świat,

stara się, żyje w przekonaniu, że wszystko zależy od jego woli, jego determinacji. Czuje się bezpieczny w tych swoich mrówczych staraniach. Wychowuje dzieci, snuje plany... Zapomina, że jest tylko pionkiem. Że nad jego głową już trzepocze skrzydłami wielka ważka, która za chwilę rozniesie wszystko w pył: plany, marzenia, pewność...

Kucharka się skrzywiła.

– Człowiek planuje, Pan Bóg się śmieje. Nigdy nie lubiłam tego bohomazu. Mówiłam, że lepiej go gębą do ściany odwrócić, coby ludzi nie straszył. Albo trza było sprzedać temu eligantowi, co się nim tak interesował.

– Komu? – Marianna nie rozumiała.

– No, temu, co wtedy z Żydkiem przyszedł, jak państwa nie było. Wleźli jak do obory – przypomniła jej kucharka. – Luftować musiałam z dobrą godzinę, tak cebulą waniali.

Marianna zupełnie zapomniała o Lenthenie. Choć jeszcze rok temu nie mogła przez niego spać po nocach, wraz z wybuchem wojny przyszyły inne zmartwienia. Nie miała pojęcia, co się z nim dzieje i prawdę mówiąc, nie bardzo ją to interesowało. Miała nadzieję, że już nigdy go nie zobaczy.

Dzień przeleciał nie wiadomo kiedy. W biurze było mnóstwo roboty. Zbliżał się koniec miesiąca i ludzie zaczęli się zgłaszać po wypłatę. Był to dla Marianny trudny czas. Dwoiła się i troiła, ale różnice w płacach między robotnikami wykonującymi tę samą pracę, na tych samych stanowiskach, były tak wielkie, że nikt ich nie rozumiał, a wszystko skrupiało się na niej. Ukraińcy, Żydzi i Polacy od rana tłoczyli się pod drzwiami jej pokoju i głośno krzyczeli, dając wyraz niezadowoleniu. Najbardziej uprzywilejowani byli ci, którzy przystąpili do ruchu współzawodnictwa pracy. Stachanowcy, propagandowy wymysł nowego systemu, zarabiali najlepiej. Podczas gdy zwykły robotnik otrzymywał siedemdziesiąt rubli miesięcznie, stachanowiec, pracujący na akord i wyrabiający normy, dostawał trzysta i dumny odchodził od biurka, chowając zwitek banknotów, ścigany pogardliwym i jednocześnie pełnym zawiści wzrokiem kolegów. Nikogo nie obchodziła efektywność i solidność wykonywanej roboty, liczyło się przekroczenie normy.

Marianna wróciła do domu tak zmordowana, że nie miała już sił iść na Krakidały. Czuła się tak, jakby na jej skroniach zaciskały się metalowe obcęgi. Przez cały dzień odpierała ataki niezadowolonych z wynagrodzenia mężczyzn i sama się dziwiła, skąd taka u niej znajomość języka ulicy. Kiedy trzeba było, potrafiła zdrowo huknąć i ustawić do pionu najgorszych batiarów. Zresztą pani Chudecka i tak nie upiekła dziś ciastek; mała Jadzia przez cały dzień marudziła i Pelasia nie dawała sobie z nią rady. Nie przynosiły ulgi moczone w zimnej wodzie pieluszki skręcone w bałwanki ani zimne łyżeczki przyciskane do swędzących, opuchniętych dziąseł. Pelasia wciąż na nowo zanurzała w lodowatej wodzie pokaźny korzeń marchewki, ale i to na niewiele się zdało. Jadzia łapczywie wbijała w niego dziąsła, lecz już po chwili znów popłakiwała, absorbując wszystkich i nie pozwalając na wykonywanie codziennych robót. Zabawiały ją na zmianę z panią Chudecką i to cud, że kucharka dała radę choć kapuśniak ugotować.

– Jak dobrze, że pani jeszcze jesienią nakisić kazała, kiedy nikt nie miał głowy – wzdychała pani Chudecka. – Toż to same witaminy – cieszyła się, głęboko przekonana, że rodzina przetrwała mroźną zimę wyłącznie dzięki kiszzonej kapuście.

Poniekąd miała rację; gdy zdarzały się dni, że nie było co włożyć do garnka, ratunek zawsze był w wielkiej beczce stojącej w rogu korytarza i zajmującej cały kąt. Przez zimę w mieszkaniu unosił się zapach kminku. Kiedy nie było czym palić pod kuchnią, jadano kapustę na surowo.

Michaś skrzywił się na dźwięk słowa: „kapusta”. Nie znosił jej kwaskowatego smaku i od kilku tygodni nie mógł już na nią patrzeć. Tolerował ją jedynie w pierogach, ale z braku mąki nie robiono ich zbyt często, a nawet jeśli się zdarzały, to bez okraszy z boczku i cebuli, tak jak lubił, były suche i kwaśne. Jadł je, wyobrażając sobie, że ciepły tłuszcz spływa mu po brodzie jak dawniej. Najbardziej miałby ochotę na

murzynka z cukierni sióstr Zaleskich, ale wiedział, że nic z tego. Cukierni już nie było, kiedyś przechodził tamtędy z mamą i widział wytłuczoną witrynę. Pelasia powiedziała, że siostry Zaleskie wyjechały i pewnie już nigdy nie wrócą. W ogóle nic już nie wróci. Nigdy już nie będzie jak dawniej. Michaś był dziś w wyjątkowo podłym nastroju. Siedział przy stole w kuchni i mozolnie skrobał rzędy literek, które zadała mu mama. Był zły i rozdrażniony. Od kiedy mama odkryła tajemnicę jego wypraw do miasta, zarówno pani Chudecka, jak i Pelasia zamieniły się w psy stróżujące. Pilnowały, żeby nie wychodził dalej niż na podwórko. A i to w określonych godzinach. Całe przedpołudnie miał spędzać nad książkami.

– Szrajbuj, szrajbuj, nie jójcz. – Kucharka była niewzruszona, kiedy ze łzami w oczach próbował wytargować trochę wolnego czasu. – Kształcone ludzie lżej mają w życiu.

– I po co mi tyle tego „a” – mamrotał pod nosem. – Każdy głupi wie, jak wygląda „a”. Czy ona musi z nami mieszkać? – rozzłościł się w końcu i cisnął w kąt ołówkę, gdy żalosne krzyki Jadzi przybrały na sile. – Ja chcę znowu mieć swój pokój! Nie mogę tu pracować! – wykrzyczał dramatycznym tonem i szurnął krzesłem.

Marianna wzięła Jadzię na ręce. Mała momentalnie się uspokoiła.

– Przecież ona nawet nie jest moją siostrą. – Michaś buntował się wytrwale. – Niech idzie do swojej mamy!

– Synku, nie marudź. – Marianna była zbyt zmęczona na kłótnie. – Przecież wiesz, że mama Jadzi umarła. Jadzia ma tylko nas.

– Nieprawda, ma jeszcze tatę. Niech przyjedzie i ją zabierze. U nas nie ma dla niej miejsca. Jest za ciasno! A ona nic, tylko się wydziera i wydziera.

Marianna nie zamierzała wdawać się w dyskusję z siedmiolatkiem, ale w tym jednym musiała mu przyznać rację: naprawdę było ciasno. Suterena składała się z małego korytarza, kuchni, dużego pokoju i małej służbówki bez okna, do której wchodziło się z kuchni. Całość miała niewiele ponad trzydzieści metrów kwadratowych i choć wystarczało miejsca dla wszystkich pięciu osób, to o wygodzie trudno było mówić. Myli się w kuchni, za potrzebą chodzili do sławojki na podwórku. Michaś z Jadzią i Pelasią spali w służbówce, pani Chudecka miała w kuchni rozkładane łóżko, a Marianna, ze względu na to, że czasem zabierała papiery do domu i pracowała po nocach – zaanektowała główny pokój.

– W nocy też nie mogę przez nią spać! – Michaś niełatwo dawał za wygraną. – Jak mam potem te głupie litery pisać, jak oczy mi się same zamykają?

– Dobrze, dziś możesz spać ze mną. Ale mam trochę pracy i pewnie będę długo paliła lampkę. Dasz radę?

– Wolę już to niż te jej wrzaski – oświadczył naburmuszony, jednak trochę się uspokoił.

Od dawna był zazdrosny o Jadzię. Jemu mama nie poświęcała tyle uwagi. Uświadomił sobie ze zdziwieniem, że jeszcze pół roku temu byłby z tego powodu najszczęśliwszym chłopcem na świecie; nie znosił, kiedy dorośli trzęśli się nad nim i za bardzo interesowali jego sprawami. Dziś było inaczej. Smutna i niepewna atmosfera w domu, strach o tatkę, Jakuba i Lilusią złagodziły nieco jego krnąbrną naturę. Gdyby się nie wstydził, najchętniej wdrapałby się na kolana mamy i poprosił, żeby objęła go mocno i odgoniła potwory, które go okrażały. Trzymał się dzielnie, tylko czasem, nocami, pozwalał sobie popłakać w poduszkę. Gdy pewnego razu niechcący obudził Pelasię, zawstydzony oświadczył, że ma katar i nie może swobodnie oddychać. Pelasia, zerkając podejrzliwie, podetkała mu pod nos kamforę i było po sprawie.

Patrzył na mamę, czule przemawiającą do Jadzi, i ogarniała go coraz większa złość. Już miał ją wykrzyczeć, gdy nagle rozległo się pukanie do drzwi. Zwyczajne, raczej nieśmiałe, tak różne od tego, które wyrwało ich ze snu ostatniej nocy. Marianna oddała dziecko Pelasi i poszła otworzyć. Za drzwiami stał profesor Ostrowski z Lunią.

– Możemy wejść?

Lunia miała zapuchnięte powieki i czerwony nos. Jej oczy patrzyły pusto w przestrzeń. Marianna ze zdziwieniem dostrzegła, że profesorowa jest szczelnie otulona długim futrem. Czerwiec nie należał do upalnych, ale futro wydawało się przesadą. Nie zapytała jednak o nic, tego nauczyła ją wojna. Profesor wyglądał na zmęczonego. Przez te kilka tygodni, odkąd widzieli się ostatni raz, postarzał się i schudł tak bardzo, że przypominał szkielet. Ubranie wisiało na nim jak na kołku, twarz mu żółkła, a bystre zazwyczaj oczy zasnuły się jakąś dziwną mgłą. Niewiele pozostało z eleganckiego, dziarskiego mężczyzny, który dawniej przychodził na brydża, rozsiadał się wygodnie w ulubionym fotelu i poprawiając wiecznie zsuwające się binokle, zaśmiewał się serdecznie z dowcipów Gustawa. Oboje sprawiali wrażenie, jakby zapomnieli, co to sen.

– Co za pytanie! Wchodźcie! Zupa jeszcze ciepła! Cieszę się, że was widzę, nie uwierzycie, dostałam dziś wieści od Gustawa! Jest na Syberii, ale żyje i zdrowy.

Starając się nie okazywać zdziwienia na widok walizek, które Ostrowscy ze sobą przytaszczyli, Marianna zaprowadziła ich do kuchni.

– Pani Chudecka, mamy gości! – obwieściła nienaturalnie wesołym tonem. – Niech pani da talerze. Władziu, zdejmij płaszcz. Co za wiosna, sami powiedzcie! Zimno jak w październiku. Chcieliśmy drewno oszczędzać, bo kto wie, jaka będzie zima, ale przecież nie mogę pozwolić, żeby mi się dzieci pochorowały. Przepalamy od czasu do czasu, choć to przecież czerwiec, na miłość boską! Jadzia i tak osłabiona przez to ząbkowanie. A Michaś gdzieś katar złapał. Jeszcze nam tu choroby potrzeba. Po tym krupie małej dmuchamy na zimne.

Marianna nie mogła powstrzymać słowotoku. Patrzyła, jak goście pochylają się nad zupą, i szóstym zmysłem wyczuwała kłopoty. Nie rozumiała, z jakiego powodu pewnego dnia ich kontakty się urwały. Profesor przestał zachodzić na Tatarską, a i Lunia jakby jej unikała. Marianna kilka razy wybrała się do nich na Halicką, gnana troską, zazwyczaj jednak zastawała drzwi zamknięte. Pewnego razu wydało jej się, że słyszy za nimi jakieś odgłosy, ale na ponowne pukanie nikt nie zareagował. Drzwi pozostały zamknięte. Kiedy wychodziła, dozorca, stary Żyd, Józef, którego pamiętała jeszcze sprzed wojny, mruknął, że profesor Ostrowski jest niezdrów i prawie nie wychodzi z domu.

Innym znów razem, gdy dla odmiany próbowała handlować ciastkami w Pasażu Mikolascha, zobaczyła tam Lunię, ale odniosła nieodparte wrażenie, że na jej widok profesorowa odwróciła się na pięcie i jakby zmieniając zamiar, przecisnęła się przez ciżbę ludzi i odpłynęła z tłumem w kierunku wyjścia. Przez kilka dni nie dawało to Mariannie spokoju, w końcu jednak pokonały ją ważniejsze sprawy i o Ostrowskich trochę zapomniała.

Teraz na ich widok poczuła wyrzuty sumienia, że może zbyt łatwo dała za wygraną. W jakiś niepojęty sposób czuła się odpowiedzialna za tych dwoje; wiedziała, że są ostatnimi ludźmi, którzy potrafiliby poradzić sobie w czasach, gdy w cenie jest cwaniactwo i umiejętność kombinowania.

– Luniu, kochanie, nie za ciepło ci w tym futerku? – odważyła się w końcu zapytać.

Pelasia od dłuższej chwili bez skrępowania gapiała się na profesorową z rozdziawionymi ustami i wytrzeszczonymi oczami. Zielone liście za oknem i ciepłe futro zapięte aż po samą szyję stanowiły w jej pojęciu sprzeczność nie do ogarnięcia. Kucharka rzuciła na nią bystrym okiem i huknęła:

– Ta co się gapisz jak wół na malowane wrota! Miałaś lecieć pokrzyw nabierać!

Dziewczyna, nieoczekiwanie wyrwana ze zdumienia, załomotała chodakami, aż echo poszło, i wypadła na korytarz.

Lunia bez słowa odsunęła talerz i wstała od stołu. Nadal milcząc, wyszła z kuchni. Marianna podążyła za nią; profesor nawet nie podniósł głowy.

– Zamknij, proszę – poprosiła Lunia, gdy znalazły się w pokoju.



Kiedy Marianna wykonała polecenie, tamta powoli zaczęła odpinać guziki. W końcu futro opadło na ziemię. Piękne, srebrne lisy wyglądały karykaturalnie na krzywej, pomalowanej burą olejnicą podłodze. Marianna krzyknęła i zakryła usta dłonią.

Profesorowa miała na sobie tylko cienką, czerwoną halkę. Dopiero po sekundzie Marianna zrozumiała, że czerwień nie jest kolorem bielizny. Całe ciało Luni, od ramion, poprzez piersi, aż po uda, poznaczone było niewielkimi nacięciami. Jakby dziecko rysowało kreski deszczu spadające z nieba. Ranki były krótkie i dość powierzchowne, na tyle jednak głębokie, że kapiąca z nich krew zlała się w jedną plamę na pociętej halce. Część skaleczeń przyschła i poczerniała, inne krwawiły nadal. Widać było, że każdy najmniejszy ruch sprawia Luni ból.

– Boże! – Marianna nie potrafiła znaleźć słów. – Kto ci to zrobił?

Lunia się skrzywiła. Po jej twarzy przemknął cień.

– Nie chcę teraz o tym mówić. Piecze mnie to jak diabli...

Marianna długo się nie zastanawiała.

– Chodź!

Podniosła futro, delikatnie otuliła nim Lunię i wyprowadziła ją na korytarz. Zdążyła tylko krzyknąć pani Chudeckiej, że zaraz wracają. Po kilku chwilach już pukała do swojego dawnego mieszkania.

– Pani Marczenkowa, niech pani napuści wody do wanny. Natychmiast! – zakomenderowała, nie wdając się w wyjaśnienia. Odsunęła dozorczynię i popychając przed sobą Lunię, wmaszerowała do holu. Spłoszona Ukrainka, potykając się o dywan, bez słowa ruszyła do łazienki. Po chwili dał się stamtąd słyszeć plusk wody.

W ciepłej kąpieli zakrzepła krew powoli zaczęła odmakać i halka odkleiła się od ciała. Woda zabarwiła się na różowo. Po krótkim ożywieniu Lunia znów zapadła się w siebie. Siedziała skulona w wannie, pozwalając, by Marianna delikatnie obmyła ją gąbką. Po bliższych oględzinach Marianna z przerażeniem odkryła na ramionach i piersiach kobiety małe, okrągłe, rozognione ślady.

– Przypalali mnie papierosami... – Głuchy głos Luni odbił się echem od białych ścian wyłożonych glazurą. Zapadła cisza. Mariannie aż pobielały kostki, tak mocno ścisnęła gąbkę.

– Kto?

Lunia podniosła oczy. Malowała się w nich przerażająca obojętność.

– Nie wiem... Zapukali w południe, myślałam, że to Władziu wrócił ze spaceru. Pukali tak jakoś... kulturalnie, cicho. Lekarz kazał mu dużo chodzić po świeżym powietrzu, jest bardzo osłabiony po tym zapaleniu płuc. Ach, no tak... Ty nic nie wiesz... – Popatrzyła na Mariannę z urazą, już nieco przytomniej. W jej wzroku było coś dziwnego, jakby pewna nieufność. – W marcu zachorował i myślałam, że go stracę. – Zamilkła na chwilę. – Na szczęście jakoś z tego wyszedł. Wpadło ich pięciu, mieli cywilne ubrania i czerwone opaski na rękach. Dwóch z nich mówiło po ukraińsku, jeden był na pewno Polakiem, a jeden nie wiem. Dziwnie wyglądał i prawie się nie odzywał. Jeden był w sowieckim mundurze.

Podciągnęła nogi pod brodę i zakryła piersi rękami. Syknęła z bólu, gdy rozpuszczone włosy dotknęły rozognionej ranki na ramieniu. Marianna sięgnęła po leżącą na półce pod lustrem zapinkę i zebrawszy włosy Luni, upięła je wysoko nad karkiem. Mimochodem zwróciła uwagę, że zapinka jest tym samym metalowym cacuszkiem, które dostała kiedyś od Michasia na imieniny. Widocznie Marczenkowie nie mieli dość śmiałości, by panoszyć się w cudzym mieszkaniu.

– Nigdy go nie zapomnę... Miał taką czerwoną, szeroką bliznę na czole. Z bliska wyglądała jak rów... Zaczęli ściągać obrazy ze ścian, przewrócili do góry nogami wszystkie szafki. Szukali pieniędzy i kosztowności. Wiesz przecież, że nie mieliśmy za wiele ani jednego, ani drugiego... Wszystko poszło na jedzenie, przecież ledwie zimę przetrzymaliśmy. Potem...

Marianna milczała. Wolała, żeby Lunia powiedziała tylko to, co chce powiedzieć. Nie zależało jej na prawdzie. Wiedziała, że ta bywa czasem nie do zniesienia. Że nie oczyszcza, sprawia jedynie, że potem trudniej patrzeć ludziom w oczy. To Lunia ustalała reguły.

– Kiedy cięli mnie żyłką, jeszcze dało się to znieść... Wiesz, to zadziwiające – dodała w pewnej chwili – kobieta do końca życia pozostaje próżna. – Uśmiechnęła się blado. – Przecież wiedziałam, że prawdopodobnie umrę, a mimo to modliłam się, żeby nie poharatali mi twarzy. Wyobrażasz sobie? Jakby to miało jakieś znaczenie... Zaczęłam wyc, dopiero jak przyłożyli mi do piersi zapalone papierosy. I wtedy zrobiło mi się wszystko jedno. Miałam w głowie tylko tę myśl: żeby Władziu nie wrócił zbyt wcześnie ze spaceru. Boże, proszę cię, modliłam się w duchu, żeby nie wrócił, nie teraz. Jeszcze nie teraz. Wiedziałam, że bez chwili wahania rzuci się na nich, a oni natychmiast go zabiją. Potem mnie gwałcili. Wszyscy po kolei.

Lunia zamilkła. Zapadła taka cisza, że słychać było szum krwi w żyłach. Nawet podsłuchująca pod drzwiami łazienki Marczenkowa zamarła z przerażenia.

– Zabrali prawie wszystko, co miało jakąś wartość. Futro zostało, bo zimą pożyczyłam je dozorczy, jak mu się wnuczka urodziła gdzieś w polu, pod miastem. Nie miał nic ciepłego, żeby ją z matką do domu przywieźć. Potem o nim zapomniałam. Zresztą Józefa też pobili. Próbował protestować, kiedy zastawiali bramę ciężarówką. Pozbierał się jakoś i kiedy już odjechali, przyszedł do mnie. – Nagle złapała Mariannę za rękę. – Władziu nie wie! Nie chcę, żeby się dowiedział. Wystarczająco się przejął tymi ranami. On jest starej daty, nie zniósłby, gdyby się dowiedział... Nie przeżyłby tego.

Wieczorem, gdy Jadzia i Michaś spali już w służbówce, Marianna z Ostrowskimi siedziała w pokoju. Lunia z opatrzonymi ranami i milionem plastrów, które znalazły się u przejętej dozorczyńni, siedziała na sofie owinięta kocem. Obiema rękami trzymała kubek z naparem mięty i niewidzącym spojrzeniem wpatrywała się w czerwieniejące okno. Nagle zamarzyła o prawdziwej, czarnej herbacie, ale tej nikt we Lwowie nie widział od kilku miesięcy. To dziwne, pomyślała. Jedynie czarna herbata może uchronić świat od szaleństwa... Kiedy ludzie parzą czarną herbatę, nie myślą o zbrodniach, gwałtach. Nie myślą o wojnie. Myślą o śniadaniu albo kolacji, o spotkaniach z przyjaciółmi i wieczorach przy książce. To wszystko dzieje się dlatego, że nie ma czarnej herbaty.

Wieczór był chłodny, w piecu paliły się resztki drewna, trawione płomieniem szybciej, niż zdążyły oddać zielonym kafłom trochę ciepła. Słońce od kilku dni zachodziło krwawo, zapowiadając zmianę pogody na lepszą, wszyscy się o to modlili. Tak samo jak o deszcz. Wiosenne chłody pozbawiły ludzi resztek opału, a susza sprawiła, że warzywa, potajemnie, pod karą więzienia, hodowane na każdym wolnym skrawku ziemi, nie chciały rosnąć.

Marianna ubrała Lunię w jedną ze swoich sukienek, gdyż okazało się, że w walizkach, które przytargali, znajdują się jedynie książki. Oderwanie od życia tej dwójki wzbudziło w Mariannie przerażenie. Zastanawiała się, w jaki sposób udało im się w ogóle przeżyć.

– Nie mogliśmy ich zostawić, rozumiesz, moja droga – tłumaczył jej nieco speszony profesor, pochylając się nad kolejnym talerzem kapuśniaku. – W tym okropnym świecie tylko one się jeszcze liczą. Musimy je ocalić, żeby nasze dzieci nie wyrosły na nowych, radzieckich ludzi. Bezmiar barbarzyństwa jest niepojęty. Myślałem, że mnie, starego, nic już na tym świecie nie zadziwi. O, jakże się myliłem! – Pokręcił chudą szyją, aż zatrzęsała się wyschnięta, ptasia głowa. – Słabi ulegają i stają się moralnymi wykolejeńcami, a silniejsi muszą tłumić bunt i szukać ratunku w konspiracji. Wiesz, większość moich kolegów z uniwersytetu została zwolniona. Pozostali tylko ci, co uwierzyli bzdurnej agitce. Niestety, inteligencja nie zawsze idzie w parze ze zdrowym rozsądkiem! – westchnął, pochylając się nad talerzem.

Zupa była marna, bez grama mięsa czy warzyw, ale pani Chudecka okazała się mistrzynią kuchni. Potrafiła z niczego wyczarować smaczny posiłek. Kiedy na przednówku już naprawdę nie było co do

garnka włożyć, upiekła placuszki z fusów po kawie zbożowej. Coś ubiła, czegoś dosypała, zamieszała i nawet Michaś zjadł je bez większego kręcenia nosem.

– No nic, nie będziemy was więcej kłopotać. Bardzo się cieszę, że Gustaw cały i zdrowy. Ech, młodość, ślepa i pełna wiary... Nie chciał mnie słuchać, kiedy go ostrzegałem – powiedział z żalem profesor. – Dziękuję, że pomogłaś mojej duszce... – zająknął się, wstając od stołu. – Ostatniej nocy gościny użyczył nam kochany Jóźku Bednarz, ale teraz już chyba będziemy...

– Nie możemy tam wrócić. – Twardy ton Luni był dysonansem w intymnej ciszy wieczoru. – Nie ma czarnej herbaty i szykuje się kolejna fala wywózek. Profesor Askenazy ostrzegł, że jesteś na liście. Aresztują cię, jak tylko się pokażemy na Halickiej.

Marianna uniosła brwi w niemym zdziwieniu.

– Ależ moja duszko, kto by sobie zaprzętał głowę takim starym piernikiem? Zresztą, mnie wszystko jedno... To miasto już się nie nadaje do życia.

– Ale mnie nie! – Lunia nie zamierzała ustąpić. – Nie zamierzam dać się wywieźć na Syberię. Dobrze wiesz, Władku, jak tam jest. Pamiętasz Agatę Drychowiczównę? Jej ojca zabrali – zwróciła się do Marianny, która nagle pobladła. – Ludzie tam padają jak muchy, bo nie mają co jeść, a pracują po dwanaście godzin na mrozie. Mieszkają w lichych barakach, nie mają lekarstw ani odzieży, a za byle przewinienie są rozstrzeliwani... Nikt nie jest w stanie pracować w tak nieludzkich warunkach, kiedy mrozy dochodzą do sześćdziesięciu stopni... Przepraszam, Marianno, że to mówię, ale ty przecież musisz sobie z tego zdawać sprawę – zreflektowała się w końcu.

Profesor podrapał się po głowie i bezradnie rozłożył ręce.

– Wobec tego może ty zostać, a ja wrócę. Marianno kochana, wiem, że wam tu ciężko, ale może znajdzie się jaki dodatkowy kąt?

– Zostajecie oboje. – Marianna nie zamierzała wdawać się w dyskusje. – Będzie ciasno, ale jakoś się pomieścimy. Wezmę do siebie dzieci i Pelasię, a wy będziecie spać w służbówce. Nie ma okna, ale łóżka w miarę wygodne.

– Nie możemy się na to zgodzić – zaprotestował nieśmiało profesor.

– Owszem, możemy – skwitowała Lunia, patrząc wymownie na Mariannę. – Akurat tu jesteśmy bezpieczni.

Kolejne dni upływały w codziennej monotonnej udręce. Zrobiło się jeszcze ciaśniej, wszyscy wchodzili sobie na głowę i nieustannie zderzali się w drzwiach. Mimo że Marianna teraz chętniej niż zwykle wychodziła z domu do pracy, dostrzegała korzyści płynące z obecności Ostrowskich. Lunia z całym oddaniem zajęła się małą Jadzią i robiła to o niebo lepiej niż Pelasia. Miała dla małej tak wiele czułości i cierpliwości, że Marianna zaczęła podejrzewać, iż tamta bezwiednie realizuje swoje marzenia o macierzyństwie, choć zawsze twierdziła, że dzieci to temat zamknięty. Uspokoili się i wypogodzili; przestała nerwowo drgać, gdy za drzwiami rozlegał się jakiś hałas. Cały dzień nosiła dziewczynkę na rękach, karmiła ją i wychodziła z nią na spacer. Nie pozwalała się zbliżać do Jadzi ani Pelasi, ani pani Chudeckiej, choć po prawdzie żadna z nich nie rozpaczała z tego powodu. Pelasia była trzpiotką, której ciążyła opieka nad dzieckiem, a kucharka wciąż odczuwała dolegliwości związane ze stopami i z chęcią pozbyła się dodatkowego obowiązku.

Profesor Ostrowski spędzał przedpołudnia na lekcjach z Michasiem. Uczył go czytać i pisać, czytał mu książki, najchętniej niemieckich klasyków, i niezbyt się przejmował, gdy chłopiec już po dziesięciu minutach zaczynał ziewać. Jednak kiedy doszli do braci Grimm, sytuacja diametralnie się zmieniła. Michaś z wypiekami na twarzy słuchał mrocznych historii o *Żabim Królu* czy *Jednym takim, co wyruszył w świat, żeby strach poznać*.

– Mój drogi chłopcze, to byli geniusze! Prawdziwi geniusze! – cieszył się profesor, gdy Michaś

niecierpliwie domagał się kolejnych opowieści. – Pomyśl tylko, z jakim poświęceniem pracowali nad słownikiem niemieckim! Nie dojadali, nie spali po nocach, byle skończyć! Dziś się w grobie przewracają, że ich ojczysta, szlachetna mowa, język poetów i filozofów, staje się językiem zwyrodniałych barbarzyńców – zakończył smutno.

– Wujku, poproszę jeszcze bajkę o diable z trzema włosami! – Michaś pozostawał niewzruszony na cierpienia geniuszy Grimm.

– Lepiej niech ci wujek opowie, jak uciekł przed enkawudzystami – wtrąciła z bladym uśmiechem Lunia, przysłuchująca się rozmowie męża z Michasiem. Ukołysana w jej ramionach Jadzia smacznie zasnęła z noskiem wtulonym w szyję nowej opiekunki. – To lepsze niż bajka.

– Władziu? Uciekł enkawudzistom? – Marianna zastygła nad ręcznikami, które właśnie zamierzała włożyć do szafy.

Profesor machnął ręką.

– E, takie tam bajanie...

– To ja opowiem – ożywiła się Lunia, poprawiając dziecku kaftanik, który podjechał do góry. – Jeszcze bodajże w marcu przyszła zadrukowana kartka urzędowa zawiadamiająca o mityngu w Teatrze Skarbkowskim. Władziu obdzwonił wszystkich znajomych, którzy też zostali „zaproszeni”, i przez pół dnia deliberowali: iść czy nie. W końcu poszli. Razem z Szymonem Askenazym i radcą Gąsiorem. No i okazało się, że to było spotkanie z Chruszczowem. Rozesłano wtedy tysiące zaproszeń, ale nikt nie zaprzętał sobie głowy robieniem list obecności. Przed teatrem tłum, panowie ledwo się dopchali do sali, skąd słyhać było przemówienie. I wiecie – uśmiechnęła się, gładząc z czułością rzadkie włoski Jadzi – Władziu, jak to Władziu: zapomniał okularów. W tym tłumie zgubił gdzieś swoich towarzyszy i stał biedak, skonsternowany, sam jak palec, nie wiedząc, w którą stronę iść.

– Oj, duszko, już doprawdy! Nie rób ze mnie takiego safandudy.

– W każdym razie musiał wpaść w oko jakiemuś policjantowi w cywilu, jak tak stał i stał, bo tamten wziął go pod rękę i poprowadził do wyjścia – kontynuowała niewzruszona Lunia. – Kazano mu wejść do samochodu osobowego, u którego drzwi tkwił żołnierz w niebieskiej czapce NKWD. Prawda, Władziu? I co zrobił mój mąż? Nie uwierzycie! Przesunął się na siedzeniu i zwyczajnie wysiadł drugimi drzwiami. No doprawdy! Jedynie on mógł być zdolny do czegoś takiego!

– Bo myślałem, że to jakaś pomyłka – wyjaśnił zakłopotany profesor Ostrowski. – I przyznam się wam, że ja bez tych okularów to nawet dobrze nie widziałem, kto mnie prowadzi i gdzie wsiadam... Z początku to nawet myślałem, że to radca Gąsior sobie pacałychę jaką robi... A tam też tłum taki, że szpilki nie wciśniesz, no to zapewne im z oczu zniknąłem. Ale zupełnie niechcący...

Profesor Ostrowski w zażenowaniu przetaił okulary. Marianna i Lunia wybuchnęły śmiechem. Jadzia poruszyła się niespokojnie, ale się nie obudziła. Była to jedna z niewielu chwil, kiedy wszyscy poczuli się odprężeni. Wróciła pamięć dawnych, beztrudnych spotkań, bez smutku i owego nieuchwytnego napięcia, które od jakiegoś czasu wyrosło między Lunią a Marianną.

Którejś niedzieli, gdy pani Chudecka z Pelasią poszły na wieczorną mszę do Świętej Elżbiety, zabierając ze sobą Michasia, a profesor spacerował z wózkiem nieopodal Wysokiego Zamku, Marianna postanowiła rozmówić się z Lunią. Od kiedy Ostrowscy wprowadzili się na Tatarską, tamta zachowywała dziwny dystans. Widać było, że jest wdzięczna za gościnę i jak tylko mogła, starała się być pomocna, ale Marianna wyczuwała, że coś położyło się cieniem na ich relacjach. W zachowaniu Luni dawało się wyczuć jakąś dziwną niechęć, choć robiła wszystko, co mogła, żeby ją ukryć. Nigdy nie były wielkimi przyjaciółkami; Marianna zawsze uważała, że profesorka należy do tego typu wysublimowanych kobiet, które z nieświadomą pogardą traktują prozę tego świata. Zakupy, dzieci, katar... Jakby żyła na innej, bardziej uduchowionej planecie i prozaiczne sprawy zwykłych ludzi były

jej obce.

Miała swoje książki, swój świat przemyśleń i znaczących idei i prawdopodobnie nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, że chleb wypiekany jest z mąki, która wcześniej rośnie na polach w postaci zboża. Takimi drobiazgami nie zaprzętała sobie głowy. To było dla nieskomplikowanych śmiertelników, goniących za kolejną niedzielą. Marianna czuła, że być może osądza ją niesprawiedliwie, ale zawsze traktowała Ostrowską z pewną pobłażliwą wyrozumiałością, jak kogoś nieprzystosowanego do życia. I w gruncie rzeczy lubiła ją, zwłaszcza za jej ciepły stosunek do Władzia, dlatego ta sytuacja zaczynała jej ciążyć.

– Powiesz mi wreszcie, o co chodzi, czy już zawsze będziesz tak na mnie patrzeć wilkiem?

Sploszona Lunia podniosła głowę znad robótki. Pani Chudecka niedawno spruła swój stary sweter, częściowo zjedzony przez mole, i Lunia od kilku dni zajęta była niebywale skomplikowanym przedsięwzięciem. Przygryzając wargi i próbując wyłuskać z siebie choć trochę talentu, robiła sweterek dla Jadzi. Mała rosła jak na drożdżach, a o zdobyciu dziecięcych ubranek nie można było marzyć.

– Nie wiem, co masz na myśli...

– Wiesz doskonale... Heleno, kochanie – westchnęła Marianna, przysiadając obok i biorąc ją za rękę. Mimo trudnych wojennych warunków Lunia miała świeży, elegancki manikiur. – Zawsze ceniłam w tobie prawdomówność. Być może nie wynikała ona z zasad moralnych, nie wiem. Może była raczej przejawem niechęci do zaprzękania sobie głowy kłamstwem. Musisz przyznać, że kłamstwo bywa uciążliwe. Człowiek nigdy nie jest do końca pewien, co komu powiedział. W każdym razie nigdy nie miałaś trudności z waleniem prawdy w oczy. – Marianna uśmiechnęła się, próbując nieco rozładować sytuację. Od niedawna, gdy zostawały same, w powietrzu gromadziło się dziwne napięcie.

Lunia powoli odłożyła robótkę.

– Więc dobrze – zaczęła, mrużąc oczy. – Jestem ci niewymownie wdzięczna za wszystko, wiesz o tym dobrze. Mniejsza zresztą o mnie, przecież widzę, że Władziu odzyskał chęci do życia. I nawet się trochę poprawił. – Uśmiechnęła się ciepło i twarz jej pojaśniała. – Ta twoja pani Chudecka to arcymistrzyni kulinarna. Przecież ja też gotowałam kapuśniak z tej kapusty, co od ciebie dostałam, jak Andzia nas opuściła. Władziu pokręcił nosem, zupełnie jak dziecko, i wstał od stołu, oświadczając, że nie jest głodny. No, możliwe, że akurat tego talentu nie posiadam – westchnęła obłudnie. Predyspozycje kulinarne były cenione jedynie w przypadku służby.

– I o to chodzi? – Marianna uniosła brwi. – O to, że pani Chudecka umie gotować, a ty nie?

– Jak ci się udało załatwić pracę? – Na pozór niewinne pytanie Luni zawisło w powietrzu. Ostatnie promienie słońca wpadające przez okno, zamiast grzać, przyniosły chłód. – Ludzie umierają z głodu, a u was cukier, opał... Widziałam niedawno, jak Michaś jadł cukierka... Kiedy Władziu chorował, leczyłam go okładami z gorącej wody, bo nic innego nie miałam. A Jadzia dostała lekarstwa, jak na krup zapadła, sama przecież mówiłaś... Masz pracę, na Sybir was nie zesłali, choć rodziny wywiezionych jechały za aresztowanymi w pierwszej kolejności. Nawet nikogo wam nie dokwaterowano...

– Na litość Boga! Gdzie? Tu? Do tej klatki?

– Nie do takich klatek dokwaterowywano ruskich, wiesz dobrze. Akurat oni do ciasnoty przywykli.

– Przecież wy też sami mieszkaliście.

– To co innego – zaprotestowała Lunia. – U nas zameldowane jest pół kamienicy. I większość to Ukraińcy.

Marianna czuła, że dłużej tego nie zniesie. Rozmowa zaczynała przypominać zabawę w kotka i myszkę.

– Heleno, wykrztuś wreszcie, o co ci tak naprawdę chodzi! Już mi zaczyna brakować i pomysłów, i cierpliwości. A jeśli chcesz wiedzieć, Michaś jadł cukierka, bo go dostał od twojego męża.

– Na mieście mówią, że masz protektora. Że sypiasz z nim, a on w zamian cię chroni – wyrzuciła

z siebie Lunia i zamilkła.

Najpierw zapiekło. Ból był fizyczny, jakby dostała w twarz. W głowie Marianny kłębiły się myśli. Nie pozostało ani odrobiny miejsca na logiczną refleksję.

Zapytała lodowatym tonem:

– A oświecisz mnie, kim on jest?

– Podobno jakiś Rosjanin... – Lunia uciekła wzrokiem w bok.

Marianna wreszcie pojęła. Z trudem opanowała drżenie rąk. Z głębi nadciągał wielki huragan. Wściekłość, żal i potworne rozgoryczenie sprawiły, że przestała nad sobą panować. Nagle poczuła, że jeśli teraz nie wyjdzie, stanie się coś nieodwracalnego, coś, czego może żałować do końca życia. Szurnęła szklanką, która wylądowała na podłodze po drugiej stronie stołu. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Zmrużyła oczy i wycedziła:

– Nie sypiam z Nerguim, bo zapewne jego masz na myśli. Dużo mu zawdzięczam, to prawda. Ale wiesz co? – Pogardliwie wygięła usta. – Ty również. I twój mąż też. Gdyby nie Nergui, nie miałybyś dziś gdzie się podziać. Więc z łaski swojej zamknij jadaczkę i zajmij się Jadzią, bo zdaje się, że właśnie wracają ze spaceru. Albo się wyprowadź, jeśli uwłacza ci przebywanie pod jednym dachem z...

Nie kończąc zdania, sięgnęła po sweter i zaciskając zęby, wyszła z mieszkania. Na schodach natknęła się na Władzia. Odstawił wózek i załadował sobie Jadzię na barana. Mariannie na chwilę stanęło serce, jednak profesor doskonale sobie poradził. Dziewczynka aż piszcziała z uciechy i z tej radości cała się opluła.

– Wychodzisz, kochanie? A my sobie właśnie ze spaceru wracamy. Jadzia głodna, całą drogę usiłowała zjeść własną rękę.

– Ząbkuje – machinalnie odpowiedziała Marianna.

Profesor przyjrzał jej się uważnie.

– Jesteś zdenerwowana, Marianno, co się stało? Coś z Gustawem?

– Nie, wszystko w porządku. Muszę iść. Zajmijcie się, proszę, Jadzią, dopóki Pelasia nie wróci.

– Oczywiście, że się nią zajmiemy, ale...

Usłyszał odgłos zatraskiwanych drzwi. Westchnął ciężko, uznając, że każdy ma prawo do gorszych dni. Zwłaszcza w takich czasach.

## VIII

*Dziękuję, Kochanie moje, za paczkę. Chinina i te dodatkowe lekarstwa uratowały mi życie. No i cebula, którą jakimś cudem zdobyła Oksana. Gdy nastawiała mi syrop, poczułem się jak Michaś. Pamiętasz, jak się dziwiliśmy, że lubi syrop z cebuli?*

*Myślałem, że na takim mrozie wszystkie bakterie i wirusy wymierają, ale najwidoczniej najśłabszym ogniwem w tym łańcuchu jest człowiek. Przez tydzień miałem wysoką gorączkę i tylko dzięki temu, że kilka tygodni wcześniej udało mi się wyleczyć konia jednego ważnego enkawudzisty, mogłem w spokoju chorować. Warunki tu jednak takie, że gdyby Oksana nie wyblagała u niego, żebym na czas choroby mógł się przenieść do niej – nie przeżyłbym, jestem pewien.*

*Na szczęście już ze mną lepiej, zdrowie powróciło, a ja wróciłem do pracy w lesie. Karczujemy te lasy i zastanawiamy się, na co idzie to drewno. Tu nawet desek na trumny dostać nie można. Chowamy ludzi bezpośrednio w ziemi, nawet w płótno ich nie owijamy, bo płótna szkoda dla umarłych, skoro żywym się przydać może. Tu teraz wiosna, czas trochę bardziej znośny dla organizmu, choć komary i muchy nie dają nam żyć. Rany po ukąszeniach swędzą jak diabli i ropieją tygodniami. Ktoś wpadł na pomysł, żeby je papierosami przypalać, trochę pomaga, ale o papierosy też ciężko. Roztopy umożliwiły spławianie drewna w dół rzek. W ogóle muszę przyznać, że wiosna tu piękna. Nawet przy największym zmęczeniu i trwodze nie sposób się oprzeć urokowi tego lasu, pełnego żywicznych zapachów. Nie wiadomo, co bardziej podziwiać: puchate mchy czy wielkie paprocie, jakich nigdy nie widziałaś, czy proste jak świece świerki, czy też sosny o złotawych pniach. Białe brzozy z daleka wyglądają jak pułki zimowych żołnierzy.*

*W barakach dokuczają nam pluskwy, wielkie jak stonki. Tępiemy je różnymi możliwymi metodami, jednak musimy to robić w tajemnicy. Każda chęć poprawy warunków życia traktowana jest przez NKWD jak burżuazyjne zachowanie. Co bardziej przedsiębiorczy przenoszeni są do innego miejsca, gdzie muszą zaczynać na nowo.*

*Chciałbym już być z Wami. Chciałbym przytulić się do Twoich dobrych rąk i złożyć głowę na Twoich kolanach. Marzę o tym co noc, ale marzenia to niebezpieczna rzecz, tak łatwo stracić przez nie poczucie rzeczywistości. Muszę być silny, żeby do Was wrócić. Obiecuję, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, by tak się stało. Pisz, Kochana, pisz o wszystkim. I nie martw się: Jakub jest dorosłym mężczyzną, nic mu nie będzie, a i Lilka już nie dziecko.*

*Kocham Was wszystkich najbardziej w świecie.*

*Gustaw*

*2 kwietnia 1940*

Pierwszy raz od początku wojny Marianna pozwoliła Michasiowi wyciągnąć się do kina. Wiedziała, że kina od dawna są czynne i część ludności nie odmawia sobie tej rozrywki, ale jej samej wydawało się to nie na miejscu. Dała się raz namówić znajomym na premierę *Moralności pani Dulskiej* w Teatrze Dramatycznym i długo miała z tego powodu wyrzuty sumienia. Zdawała sobie przecież sprawę, że okupantowi chodzi o stworzenie pozorów normalnego życia i akceptacji polskości; im większą liczbę

mieszkańców Lwowa uda się wciągnąć w tę zabawę, tym większy sukces propagandowy wróg będzie mógł otrąbić. Sytuacja w mieście nabierała cech schizofrenii: w chwili, gdy odbywały się przedstawienia w polskich teatrach, a polscy aktorzy i artyści odgrywali skecze i śpiewali piosenki, trwały aresztowania i wywożono na Syberię tysiące ludzi.

Marianna uległa Michasiowi jedynie z tego powodu, że *Wielki walc* był pierwszym amerykańskim filmem, jaki trafił do kin od wybuchu wojny, i w dodatku pierwszym w kolorze. Poza tym musiała się na chwilę oderwać od atmosfery w domu, która stała się nie do zniesienia.

Od czasu, kiedy Lunia rzuciła jej w twarz oskarżenie, że sprzedała się Sowietowi, Marianna coraz częściej traciła cierpliwość. W duchu gardziła Ostrowską za to, że po czymś takim nie uniosła się honorem i nie wyprowadziła, ale w gruncie rzeczy wiedziała, że obie są sobie potrzebne. Jadzia przywiązała się do opiekunki i już nikt inny nie był w stanie uspokoić małej, kiedy płakała. Natomiast profesor przejął funkcję nauczyciela Michasia i rezultaty szybko zaczęły być widoczne: chłopiec z dnia na dzień coraz lepiej pisał i czytał. Poza tym, o ile Helenę wyrzuciłaby bez żadnych skrupułów, nie mogła zrobić tego Władziowi. Poszedłby za żoną na koniec świata.

Kilka dni po owej pamiętnej rozmowie Lunia zderzyła się z Marianną w drzwiach. Unikały się, jak tylko mogły, ale w małym mieszkaniu było to prawie niemożliwe.

– Chciałam cię przeprosić...

Lunia stała z imbrykiem w rękach. W końcu udało jej się zdobyć gdzieś czarną herbatę. Przysunęła dwie szklanki i nalała do nich wrzątku. W kuchni było pusto. Pani Chudecka i Pelasia robiły pranie w pralni, a Michaś odbywał swoje codzienne lekcje.

– Nie powinnam była...

W uszach Marianny zabrzmiało to jak zgrzyt noża po szkle. Zesztywniała.

– Nie powinnaś mi o tym mówić? Czy nie powinnaś wierzyć w to, co gadają ludzie? To chyba zasadnicza różnica... – Prawie nie poznawała swojego głosu.

– Ten Mongoł... – zaczęła niepewnie Lunia. – Przystojny jest.

– Czyś ty oszalała? – Marianna nie wierzyła własnym uszom.

– Widziałam, jak na ciebie patrzy.

– I to ma dowodzić mojej winy?

– Nie, ale... Marianno – Lunia nerwowo gmerała łyżeczką w szklance, nie podnosząc wzroku – wiem, zachowałam się podle, ty mi pomogłaś, a ja... Ale wtedy nie byłam sobą. Nie wiedziałam, co mówię. Przecież wiesz, w jakim byłam wtedy stanie...

– Wtedy? – zdziwiła się obłudnie Marianna. Wiedziała, że może załagodzić sytuację, jednak nie znosiła hipokryzji. – Ty mnie osądziłaś już dawno temu – rzekła twardo. – Zerwałaś kontakty, unikałaś mnie, mam ci przypomnieć? Uwierzyłaś w to wszystko, co ludzie gadali. I wiesz, co mnie najbardziej boli? Że nawet mnie nie zapytałaś... Że przez jedną sekundę nie miałaś wątpliwości. Wydałaś na mnie wyrok na podstawie tego, co usłyszałaś na mieście.

Lunia znieruchomiała. Zagryzła wargi. Wyglądała jak ktoś, kto się bije z myślami. Przez długą chwilę milczała. Słysząc było tylko jej urywany oddech.

– Bo uznałam, że w dzisiejszych czasach liczy się tylko przetrwanie... – szepnęła w końcu. W oczach miała łzy. – Bo ja bym dla Władka zrobiła wszystko... Nawet gdybym musiała... Marianno... – Podniosła głowę. – Ja cię nie potępiałam. Ja ci zazdrościłam.

Michaś był bardzo podekscytowany, nie mógł się wprost doczekać i choć Marianna nie miała stuprocentowego przekonania, czy filmowa biografia Johanna Straussa jest najbardziej odpowiednim filmem dla ośmioletniego chłopca – wobec entuzjazmu syna w końcu dała się przekonać.



– Ale zdajesz sobie sprawę, kochanie, to nagroda, że ostatnio tak ładnie czytałeś i przykładałeś się do pisania. Wujek Władek wprost nie mógł się ciebie nachwalić – próbowała upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu.

– E tam, nudy na pudy te literki. Znaczy, chciałbym już umieć tak dobrze czytać, żebym nie musiał prosić wujcia – zreflektował się chłopiec.

Od kiedy mama obiecała mu kino, bardzo się pilnował, żeby nie podpaść.

Amerykański film przyciągnął całe tłumy. Przed kinem „Palace” kłębili się ludzie, spragnieni imperialistycznych wrażeń zza oceanu. Do tej pory istniała możliwość oglądania jedynie produkcji radzieckich i większości widzów uszami już wychodziła *Młodość Maksyma, Czapajew czy Zaporozec za Dunajem*. Jeszcze gorzej sprawa miała się z pełnometrażowymi dokumentami, charakterystycznymi dla kinematografii radzieckiej. Nie było takiej siły, która dobrowolnie zaciągnęłaby kogokolwiek na *Referat towarzysza J. Stalina o projekcie Konstytucji na VIII Nadzwyczajnym Wszechzwiązkowym Zjeździe Rad*. Honor nowych władców Lwowa ratowały jedynie szkoły i obowiązkowe projekcje dla zakładów pracy w ramach zebrań szkoleniowych.

Przed wejściem panował ścisk. Zaskoczona Marianna spostrzegła, że w kolejce, karnie przebierając nogami i przesuwając się wraz z ludzką falą ku przodowi, stoi kilku rosyjskich oficerów w mundurach razem ze swoimi żonami czy kochankami. Kobiety, wystrojone jak kolorowe papugi, z góry patrzyły na szary tłum. Marianna też spojrzała.

Zwykle nie miała na to czasu: biegła do pracy, potem były Krakidały, zakupy, jeśli jej się poszczęściło i akurat coś przywieźli do sklepu, i ten wieczny, huczący w głowie młyn: Gustaw, Lilka, Jakub... Co na obiad, skąd pieniądze, skąd opał... Obrzucała ludzi i ulice niewidzącym spojrzeniem, niewiele dostrzegając. Zmiany pór roku poznawała głównie po ilości węgla w piwnicy. Zamknęła się w swoich myślach i czuła się najbezpieczniej w tym wewnętrznym świecie.

Teraz, stojąc w długiej kolejce i nie mając nic do roboty, zaczęła przyglądać się ludziom. Co się stało z eleganckimi, pięknymi kobietami, z których zawsze słychać było Lwów? Barwnymi jak kolibry, choć ów szyk nie miał nic wspólnego z zasobnością portfela; był raczej przejawem stosunku do życia. Nawet ubogie mieszkanki Lwowa zawsze potrafiły wyczarować coś niepowtarzalnego i oryginalnego z resztek kolorowych materiałów; przerabiały zasłony i kotary, dziergały na szydełku modne czapki i umiały znaleźć w lesie kolorowe piórko do kapelusza. Teraz wszystkie zniknęły, rozplynęły się jak kamfora. Otaczały ją smutne postacie o udręczonych oczach. W burych sukienkach, zgaszone, milczące, z włosami pochowanymi nie pod kolorowymi kapeluszami, ale pod prostymi chustkami, w niczym nie przypominały dawnych mieszkank miasta.

– Mamo! – Michaś wyrwał się nagle i zniknął jej z oczu. Przerazona Marianna starała się odszukać go wzrokiem, jednocześnie nie tracąc miejsca w kolejce. Gdzieś z przodu mignęła jego niebieska koszulka. Po chwili stanął obok niej, trzymając kogoś za rękę.

– Wiktor! – Marianna aż się zachłysnęła. Przez chwilę myślała, że ma przed sobą zjawę. – Ty żyjesz! Boże! Ty naprawdę żyjesz! Gdzie Lilka? Co się z nią dzieje?!

Zanim się zorientowała, już szarpała go za klapy marynarki. Jednak Michaś nie pozwolił umniejszyć swojej roli.

– Ja go pierwszy zobaczyłem – pochwalił się dumny, potrząsając ręką chłopaka. – Od razu wiedziałem, że to on!

Wiktor stał skonsternowany, jeszcze bardziej zaskoczony niż Marianna. Popatrywał niespokojnie na wszystkie strony i przestępował z nogi na nogę. Milczał. Po chwili z kolejki wyszła jakaś dziewczyna i położyła mu rękę na ramieniu.

– Wiktor, gdzie ty znikasz, zaraz wchodzimy!

– Marysia? – Marianna myślała, że już nic nie jest w stanie jej zdziwić.

– A, dzień dobry pani. – Marysia Szczurko uśmiechnęła się, poprawiając elegancki kapelusz.

Na nogach miała liliowe pantofle na słupku. Wzrok Marianny mimowolnie powędrował ku jej własnym, zniszczonym butom z nieustająco podklejaną podeszwą.

– A Michaś nie za mały na ten film? – Dziewczyna poczochnęła mu włosy. W jej zachowaniu można było wyczuć jakąś nienaturalną sztywność. – Słyszałam, że tam się całują. No jak, kawalerze? Będziesz zamykał oczy?

Marianna jakby nie słyszała. Rozgorączkowana złapała chłopaka za rękaw.

– Wiktor, masz jakieś wieści o Lilce? Wiesz, co się z nią dzieje? Przecież poszliście wtedy razem.

– Jak to...? – Otworzył oczy ze zdumienia, jakby dopiero teraz do niego dotarło, co mówiła od kilku minut. – Myślałem...

– Musimy iść – przerwała mu stanowczo Marysia, biorąc go z drugiej strony pod rękę. – Za chwilę się nie dopchamy. Spotkamy się po filmie i wtedy sobie porozmawiacie.

Zanim Marianna zdążyła zaprotestować, dziwna para zniknęła za ciemną kotarą u drzwi wejściowych prowadzących na salę.

Na próżno ich potem wypatrywała. Gdyby ktoś ją zapytał, o czym był film, nie potrafiłaby odpowiedzieć. Jej myśli przez cały czas krążyły wokół Marysi i Wiktora. Na próżno usiłowała przebić wzrokiem ciemność sali, w nadziei, że ich dostrzeże. Im dłużej o tym myślała, tym dziwniejsze jej się to wszystko wydawało. Uświadomiła sobie, że Wiktor był dobrze ubrany i wyglądał jak ktoś, komu całkiem nieźle się powodzi. Zdziwiła ją również jakaś specyficzna zażyłość, łącząca tych dwoje: Marianna nie potrafiłaby powiedzieć, czy są parą, ale Marysia odnosiła się do chłopaka w sposób, który świadczył, że jest między nimi coś więcej niż zwykłe koleżeństwo. Natrętne pytanie, co z Lilką, powracało jak bumerang.

W głowie jej szumiało. Specjalnie wyszła z kina przed zakończeniem seansu, nie zważając na protesty Michasia. Rozglądała się nerwowo, zagryzając wargi. Czuła, że Wiktor coś wie. Nie wiedziała jedynie, dlaczego tak dziwnie się zachowywał. Zrozpaczona obserwowała, jak ostatni widzowie opuszczają salę, ale Wiktora ani Marysi wśród nich nie było.

W domu zapytała profesora Ostrowskiego:

– Władziu, czy u was nie wyklada przypadkiem profesor Dejnisi?

– Aleksandr? Nie żyje... Wracił z wakacji, jak dworzec zbombardowali. Córka i żona też zginęły...

Stała jej przed oczami niewysoka, drobna Nina Dejnisi o skośnych oczach, która czasem przychodziła do Lilki. Nagły żal ścisnął Mariannę za serce. Szybko odgoniła od siebie smutne myśli. Nie miała więcej pomysłów, w jaki sposób dotrzeć do Marysi Szczurko.

Nagle przypomniała sobie Leokadię Niementowską, rodzoną siostrę Albina Strońskiego, męża swojej starszej siostry Elizy. Strońscy uciekli do Francji, kilka tygodni temu przysłała od nich kolejna wiadomość. Jeśli ktoś mógł znać adres Marysi we Lwowie, to z pewnością Olga Niementowska! Chodziły przecież do jednej klasy. Jak mogła zapomnieć! Marianna powierzyła Michasia profesorowi Ostrowskiemu i nie tłumacząc się, wybiegła z domu.

Niementowscy mieszkali przy ulicy Szeptyckich, niedaleko Placu Świętego Jura. Lindnerowie nie utrzymywali z nimi bliższych kontaktów, jeśli nie liczyć corocznych wizyt w Sosnowce podczas karnawału, głównie z tego powodu, że Marianna nie znosiła przemądrzałej i wiecznie wtykającej nos w nie swoje sprawy Leokadii, która zawsze wszystko wiedziała lepiej i nie zdarzyło się, by nie poinformowała o tym fakcie otoczenia. Od wybuchu wojny nie widziały się ani razu, ale trzeba było mieć nadzieję, że Niementowscy żyją, mają się dobrze i mieszkają nadal pod tym samym adresem.

Drzwi otworzyła Leokadia. Na jej widok Marianna z trudem powstrzymała okrzyk zdumienia. Ważąc

niegdyś co najmniej ze sto kilogramów Leokadia była cieniem samej siebie. Wychudła sylwetka, poszarzała cera i głęboko zapadnięte ciemne oczy sprawiły, że przed Marianną stała stara kobieta. W dodatku jakby nieco spłoszona i przelękła. Trzymała przy ustach dłoń, zwiniętą w pięść, i zanosila się kaszlem.

– Boże jedyny! Marianna! Co ty tu robisz?! – wykrzyknęła, ale zaraz ściszyła głos, rzucając za siebie szybkie spojrzenie. – Wchodź, prędko, zanim się zorientuje.

Na palcach poprowadziła Mariannę przez duży hol, otworzyła drzwi i wepchnęła ją do pokoju. Przekreśliła klucz w zamku. Zza ściany dobiegały odgłosy awantury.

– Znowu smyknał i burdy robi. – Niementowska się skrzywiła. Kolejne wyjaśnienia przerwał atak kaszlu. Leokadia poczerwieniała na twarzy. – Jezusie Nazareński, rycham tak już od zeszłego tygodnia i końca nie widać. Mówię ci, już bym wolała piach gryźć...

Marianna rozejrzała się po pokoju. Na kilku metrach kwadratowych stały obok siebie trzy łóżka. Oprócz nich nie zmieściło się nic więcej. Nie było krzeseł, żadnego stolika ani komody. Na jednym z łóżek leżały książki, sterta ubrań i jakieś drobiazgi. Dwa pozostałe były porządnie zaścielone. Na podłodze stała taca z naczyniami, a na parapecie Marianna dostrzegła palnik spirytusowy i jakieś garnuszki. Jakby pokój służył jednocześnie za sypialnię, łazienkę i kuchnię. Suterena Marczenków nagle wydała jej się luksusowym apartamentem.

– Rada jestem, że w ogóle pozwolił nam zostać. – Leokadia wzruszyła ramionami na widok zaskoczenia malującego się na twarzy gościa. – Jak zabrali Karola, myślałam, że tylko patrzeć, jak za nim pójdziemy. Mnie tam nie szkoda, stara jestem. Ale moja Olga?

Opowiedziała Mariannie, jak przyszli nacjonalizować kamienicę, własność Niementowskich.

– Nie wyrzucili nas, ależ skąd – rzekła z przekąsem. – Powiedzieli, że skoro jesteśmy takie wielkie państwo i nas stać, to możemy zostać. Ale dołożyli nam taki podatek, że choćbyśmy wszystko sprzedali, i tak nie starczyłoby na zapłacenie. Zaczęli grozić represjami, a na koniec aresztowali Karola. Potem wprowadził się ten... – Machnęła głową w kierunku drzwi. – Ruski oficer z rodziną. Na początku byłam nawet zadowolona, bo taki bardziej kulturalny się wydawał. Powiedział: „Możecie tu zostać, ale ty masz nam gotować, a twoja córka dzieci będzie pilnowała”. Ma tego przychówku z pięć sztuk, nigdy dokładnie nie policzyłam. – Znowu zanosila się kaszlem. – Masza umie szyć, to przyzwoita kobieta, choć ruska. Parę lat starsza od mojej Olgi. Pomaga nam, jak może. Całe szczęście, że Olga tak dobrze sobie radzi z dziećmi. Dali nam ten pokój i możemy z łazienki korzystać. I jak widzisz, zostałam kucharką we własnym domu – westchnęła teatralnie. – Wszędzie ludzie biedują, nie narzekałabym, gdyby tyle nie pił. Co dzień przyłazi nawalony i burdy urządza. Aż mi żal tej jego Maszy... Kilka razy chowała się tu u nas z dziećmi, bo jak popije, ma ciężką rękę. Ale mówże, kochana, mów, co u was? Jak Gustaw? A dzieci? Boże, jak ta wojna nam życie do góry nogami poprzewracała... Mam nadzieję, że wam lżej. Bez mężczyzny ciężko, nikt się za nami nie ujmie. A sama powiedz, co mogą dwie samotne kobiety? Ale ty wyglądasz niczego sobie... – W jej spojrzeniu Marianna dostrzegła dawną Leokadię. – I włosy masz lśniące, i sukienka nie najgorsza... Ech, tobie zawsze było z górki. Odpowiedni mężczyzna to jednak najważniejsza rzecz w życiu kobiety. Gdyby Karol był mądrzejszy, nie siedziałabym tu teraz jak ten pies, zdany na łaskę nawalonego Sowietu...

– Gustaw jest na Syberii, zabrali go jeszcze w zeszłym roku. Musieliśmy się wynieść do sutereny. Nie mam żadnych wieści ani o Jakubie, ani o Lilce. Oboje przepadli prawie na samym początku wojny. I właśnie dlatego do ciebie przychodzę...

Leokadia poruszyła się niespokojnie.

– Ale co ja mogę? Sama widzisz, jak nam ciężko. Rozlicza nas z każdego szkwarka... A tu przecież nawet szpilki nie wciśniesz!

– Chciałabym porozmawiać z Olgą.

Leokadia nieco się uspokoiła. Na rozmowę mogła się zgodzić. Od rozmowy jeszcze nikomu niczego nie ubyło.

– Olga od rana do nocy zajęta bachorami, najstarsze ma dopiero osiem lat. Wiesz, jaka to udręka ogarnąć wszystkie? A niedobre to, a rozpuszczone jak dziadowskie bicze!

– Nie bój się, chcę z nią tylko porozmawiać. Potrzebuję adresu Marysi Szczurko, ich koleżanki z klasy.

Trzasnęły drzwi wejściowe i jednocześnie rozległ się płacz dziecka. Leokadia wyjrzała na korytarz.

– O, właśnie wróciła! Poczekaj chwilę – powiedziała, wychodząc z pokoju.

Marianna przysiadła na łóżku. Bezwiednie sięgnęła ręką po najbliższą książkę. Wyglądała znajomo. *Materiały do literatury polskiej od początków piśmiennictwa do końca rządów Stanisława Augusta* – przeczytała i nagle uświadomiła sobie, skąd ją zna. Przed samą maturą Lilka nie rozstawała się z tym podręcznikiem! Nawet jak siadała do obiadu, miała go pod ręką. Poczuła, że pieką ją oczy, z trudem opanowała łzy. Ostatnimi czasy stała się drażliwa, jakby wszystkie ukrywane do tej pory emocje nagle przypuściły zmasowany atak.

W drzwiach stanęła Olga. W przeciwieństwie do matki zbytnio się nie zmieniła. Nieco schudła, ale wyglądała kwitnąco. Miała na sobie niebieską sukienkę w drobne różyczki. Rzuciła się Mariannie na szyję.

– Ciociu! Tak się cieszę! Chciałam nawet do was zajrzeć, ale wie ciocia, jak to jest...

– Mama ci powiedziała?

– O Lilce? Tak. Ale ja naprawdę nie widziałam się z nią od wybuchu wojny. Marysia Baczyńska mówiła, że pracowały razem w szpitalu. Nic więcej nie wiem.

– Kochanie, a wiesz może, gdzie mieszka Marysia Szczurko?

Olga usiadła obok Marianny. Przez chwilę milczała, jakby nie wiedząc, co powiedzieć. Zagryzła wargi.

– Wiem, gdzie mieszkała przedtem – odrzekła niechętnie.

Marianna ujęła dziewczynę pod brodę i popatrzyła jej głęboko w oczy.

– Błagam cię, nie ukrywaj przede mną niczego. Cokolwiek by to miało być. Wiesz, jakie to piekło nie mieć pojęcia, co się dzieje z własnym dzieckiem? Czy jest bezpieczne, czy w ogóle żyje?

Olga wzięła głęboki oddech.

– Widziałam kiedyś na ulicy Marysię z Wiktorem – zaczęła. – Trzymała go pod rękę. Właściwie nawet nie trzymała, tylko tak jakoś prowadziła, jakby wymagał oparcia. Zdziwiłam się, bo gdzieś słyszałam, że go aresztowali. Podobno była jakaś łapanka pod kościołem Świętej Marii Magdaleny... Jankę Szymonowiczównę wtedy zastrzelili, a mnóstwo młodzieży aresztowali. Lwów jest mały... Podobno Lilka też tam była... Naprawdę nic więcej nie wiem. Chciałam z nimi pogadać, ucieszyłam się nawet, ale Szczurek była jakaś dziwna. Pytałam ją nawet o Lilkę, ale mnie zbyła. A Wiktor sprawiał wrażenie, czy ja wiem – zastanawiała się chwilę – jakby trochę nieprzytomnego. Nie wiem, jak to inaczej powiedzieć... A! – przypomniała sobie – Szczurek się chwaliła, że przyjęli ją do redakcji „Czerwonego Sztandaru”...

Kilka dni później, przy wejściu do gmachu, gdzie miała swoją siedzibę gazeta, wyrósł przed Marianną stróż. Wyglądał jak każdy normalny cywil, lecz pod marynarką rysowała się niebudząca wątpliwości wypukłość.

– Przepustka! – Zastąpił jej drogę.

– Chciałam...

– Bez przepustki nie wpuszczę – przerwał, nie pozwalając jej zrobić ani kroku dalej i wymownie kładąc rękę na broni.

Gdy tak stała skonsternowana, ktoś z tyłu położył dłoń na jej ramieniu.

– Chodźmy stąd. – Wiktor wyprowadził Mariannę na ulicę. – Musimy porozmawiać.

Idąc obok niego, nagle poczuła, że wcale nie chce usłyszeć, co miał jej do powiedzenia. Że najchętniej zostawiłaby go tu i uciekła. Cisza, która zawisła nagle między nimi, stała się nie do zniesienia, ale żadne się nie kwapiło, by ją przerwać.

– Przepraszam, że wtedy nie poczekałem. Po tym kinie...

– Mów! – Marianna przystanęła, zagradzając mu drogę. – Nie zniosę tego dłużej!

Wiktor opuścił głowę. Słowa były niepotrzebne.

## IX

Nad chatą unosiły się smużki dymu. Leniwie rozlewały się na wszystkie strony, znacząc bielą delikatne powiewy i przydając wiatrowi koloru. Gdy ziół w piecu było więcej albo gdy zdarzało się, że drzwiczki zbyt szybko zamykano, wiatr nad dachem bywał szary albo czarny, a gdy płonęły mokre dębowe polana, stawał się prawie niebieski. Niebo, modre jak okiennice chaty, ledwie prześwitywało spomiędzy gęstej korony drzew. Nawet w słoneczny dzień w tym zakątku lasu panował półmrok. Niekiedy rozświetlały go nieoczekiwane rozbłyski bombardujące poszycie, gdy promień, rzucony zniecka, odnajdował drogę między liśćmi. Cienie szeptały migotliwie, a pośród gałęzi nad głową wędrowca rozlegały się zniecka jakieś trzepoty, jeśli komuś zdarzyło się zabłąkać w to zapomniane ustronie.

W okolicznych wsiach powiadano z trwogą, że właśnie tu, pod korzeniami wiekowych drzew, mają swoje królestwo leśne latawice. Nocą wychodzą na świat pod postacią pięknych dziewcząt i bujając się na długich gałęziach brzoź, czyhają na lekkomyślnych młodzieńców. Kogo omamią, zwiodą, sprawią, że duszę odda za jedno muśnięcie zimnej jak lód ręki, ten najdalej za dwie niedziele ze światem się rozstanie.

Ludzie ze wsi rzadko zapuszczali się na bagna rozciągające się za chatą i przechodzące w zarośnięty tatarakiem i trzcina leśny staw. Krążyły pogłoski, że w czarnym lustrze wody odbijają się twarze potopełnyków – utopców, nieszczęśników, którzy dusze zgubili na dnie, a ich ciała rozkładały się wśród czarnego błota. Utopce ukazywały się nago lub w białym odzieniu, porzuciwszy swą mokrą mogiłę, i błąkały się na brzegach w księżycowe noce. Zwabiały człowieka nad wodę, mamiły i wciągały w toń. Spokój mogły odzyskać tylko wówczas, gdy ktoś inny utopił się w tym samym miejscu.

Chata rozkokosiła się na niewielkiej polanie, moszcząc sobie wygodne gniazdo wśród wysokiej trawy. Miała się tam zacisznie, otoczona starymi dębami i potężnymi bukami o srebrzystych pniach. Przyzwyczała się i do latawic, spadających na dach nocami w postaci gwiazd, i do utopców, którym zdarzało się zabłąkać aż tutaj, i nawet do Lisne, demona-kobiety, bez skóry na plecach, zrodzonego z duszy nieochrzczonego dziecka pogrzebanego w lesie. Chata ze spokojem znosiła mglistą obecność miauczących jak koty niawek, luzon o rybich ogonach, a także mamun, przemykających między drzewami z porwanym we wsi noworodkiem. Patrzyła, jak urządzają swe tany, kołyszając piersiami, zawsze w kole niedokończonym, poruszając się to w prawo, to w lewo, z oczami utkwionymi w rdzawe źdźbła trawy. I tylko niekiedy bała się o Paraskę, by ta nieopatrznie nie przekroczyła ihrowyszczą, kręgu wydeptanego podczas tych płasów szalonych. Niejeden już zmysły postradał z tego powodu.

Zbudowano ją z jasnych belek, które czas pomalował na czarno, jak gdyby niewinna biel nie licowała ze starością. Do starości pasowały ciemne barwy. Ta smutna prawda dojrzewała w człowieku, niepostrzeżenie dorastała wraz z nim i pewnego dnia na świecie już nie było innych kolorów. Paraska o tym wiedziała i nie zamierzała kłócić się z naturą. Młode liście są jaśniutkie, seledynowe, myślała. I tak jest dobrze. Młode drzewo nie jest gotowe na mocną, nasyconą barwę, tę udźwignąć może tylko stary dąb. I stara kobieta. Dlatego w jej szafie nie było ani jednej jasnej chusty, ani jednej spódnicy czy kaftana w kolorze innym niż barwa starości.

Kiedy noc nękała ją bezsennością, lubiła wychodzić przed chatę. Siadywała na ławce pod ścianą

i w skupieniu wypatrywała upyra. Czasem słyszała, jak za jej plecami wzdycha świat, nękany wojną i ludzkimi namiętnościami. Nie rozumiała, dlaczego ludzie boją się lasu i jego borostworów, a nie lękają żadnych bogactw i władzy demonów, które drzemią w nich samych. Ona wołała upyra. Niech już sobie ma te dwie dusze i dwa serca. Ludzie czasem nie posiadali ani jednego.

Zdarzało się, że przychodził vovkun. Podpełzał do studni na podwórzu, przeciągał się, unosił pysk w stronę księżycy i mógł tak trwać godzinami, dopóki pierwszy kogut nie otworzył oka. Paraska zamierała wówczas na swojej ławce. Nigdy nie widziała vovkuna z bliska. Pamiętała za to opowieści babki Iry. Vovkun miał niewielką jamkę pod pachą, gdzie zbiegały się dwie skóry: wilcza i ludzka. Przez tę jamkę wywracała mu się skóra, gdy przyszła chęć czy konieczność przemiany w wilkołaka.

Paraska żyła tak, od kiedy pamiętała i była niemal pewna, że tam, dokąd nie sięgała pamięcią, jej życie wyglądało tak samo. Wszystkiego nauczyła się od babki Iry, huculskiej znachorki, o której gadali, że córkę miała z Chmurnikiem, a sama była wiedźmą. Szanowano ją jednak, bo umiała obłaskawiać demony, odczyniać uroki i przepędzać z ludzi najgorsze choroby. Wiedziała, jak uśmierzyć ból i co zrobić, żeby kury nie przestawały się nieść. Jak sprawić, żeby mamuna nie zabrała dopiero co urodzonemu dziecku cienia i jak zabezpieczyć bydło przed vovkunem. Miała jedną namiętność: w czasach, kiedy mało kto umiał czytać, ona uwielbiała książki i tą miłością zaraziła wnuczkę. Nikt nie wiedział, od kogo babka Ira nauczyła się składać słowa, ale Paraskę wyszkoliła w tej dziedzinie, zanim jeszcze dziewczynka od ziemi odrosła.

Mała Paraska z książką pod pachą wędrowała z babką po połoninach. Pomagała zbierać zioła, lecznicze rośliny, rozsypywać popiół z pierwszej watry, chroniący stada przed czarami, i słuchała opowieści o nedejach – najwyższych pasmach górskich, gdzie nocami gromadziły się demony i głowami strącały gwiazdy. Babka mawiała, że to od nich wszystko zależy, a człowiek tylko sobie roi, że ma na coś wpływ. Śmiała się, że ludzie w mieście chodzą do wróżek, szukając odpowiedzi w szklanej kuli, kiedy wystarczy po prostu dobrze się rozejrzeć, żeby odczytać znaki.

Gdy Paraska zobaczyła zakrwawioną Wandę, kazała ją położyć w izbie, a sama poszła do lasu poszukać korzenia przestępa. Na szczęście dla dziewczyny okazał się prosty. Gdyby był złożony na krzyż, nic by jej nie pomogło i wtedy Paraska tylko mogłaby już podać nieszczęsnej ugotowany korzeń pohanego zila, żeby jej męki skrócić.

Wiedziała, że w okolicy pojawili się partyzanci, ale w jej codzienności niczego to nie zmieniło. Może poza tym, że czasem trafiał tu któryś z ropiejącą nogą albo kulą tkwiącą zbyt blisko serca, ciągnąc za sobą smród wojny. Dla niej samej ta wojna była tylko kolejnym dowodem ludzkiej pychy, zdolnej podpalić świat. Słyszała, jak cieszyli się ludzie we wsi, że teraz będzie tu Samostijna Ukraina. Tego Paraska też nie rozumiała. Ona swoją Ukrainę miała w sercu i choćby kto kazał jej zamieszkać na dnie morza, wciąż modliłaby się w języku babki.

Od jakiegoś czasu szczególnym sentymentem darzyła młodego Ukraińca o chmurnym spojrzeniu, tego samego, który najpierw przywiózł Wandę, a potem tę drugą, ze złamaną nogą. Polubiła go, nawiązała się między nimi jakaś osobliwa więź, choć żadne z nich do końca tego nie rozumiało. Gdy w lesie robiło się niespokojnie, zostawał na noc i wtedy prowadzili te dziwne rozmowy.

– Mówisz mi, synku, tyle o tym patriotyzmie. A drzewa? Ptaki? A potopełnyki ze stawu za chałupą? To jest ojczyzna, która nie potrzebuje granic i za nic ma awantury na górze. Ta ojczyzna nie wymaga ofiar ani krwi. Ptakom też wszystko jedno, do kogo należy ten kawałek nieba. Do nich należy.

– Mówię o państwie i o tym, że mam prawo nazywać siebie Ukraińcem.

– A kto ci zabrania? – dziwiła się Paraska, poprawiając fartuch. – Giną ludzie, dzieci tracą rodziców, żony mężów. Świat się pali. W człowieku ożywa najgorszy niewydarzeniec z czarną duszą, a wszystko przez ten dziwny wymysł. Patriotyzm, powiadasz... Nie można być tak zaślepionym, by nie widzieć

rzeczywistości. Zło jest złem, obojętne, kto je wyrządza czy wypowiada, i w imię jakiej idei. Czemu są winne te dwie dziewczyny?

Skinęła głową w stronę drzwi, za którymi spały Lilka z Wandą.

– Czemu winni są ludzie, co by chcieli jak rzeka płynąć przez świat? Świat, synku, nie jest podzielony na małe kawałki, każdy otoczony żelaznym płotem w przekonaniu, że jest lepszy od innych, bo ja się tu urodziłem. To ludzie go takim urządzili. Zawłaszczyli. W swojej pysze i głupocie uznali, że mają prawo sprzeciwiać się naturze. Świat jest całością, czy się to komu podoba, czy nie. I uwierz mi, nie warto hodować w sobie zła, bo nie usprawiedliwiają go nawet najsprawniej uzasadnione idee.

Orest krzywił się wtedy niechętnie, kolejny raz dochodząc do wniosku, że ich rozmowa nie ma sensu. Wolałyby uważać tę starą kobietę za dziwaczkę, lewitującą na granicy rzeczywistości i niemającą pojęcia, jak naprawdę wygląda świat, ale coś mu na to nie pozwalało. Słuchał Paraski, patrzył w jej przenikliwe oczy i nie mógł wyjść ze zdumienia. Osłupiał, gdy pierwszy raz zobaczył wnętrze chaty i okazała biblioteczkę zajmującą pół izby. Z jej półek wypełnionych książkami zwieszały się warkocze czosnku, suche pęki ziół i jakieś inne dziwaczne utensylia w postaci powiązanych ze sobą kurzych łapek, kolorowych wstążek i laleczek z owczego runa. Pasowała tu jak kwiatek do kozucha, ale budziła respekt.

Był wdzięczny Parasce. I za Wandę, i za Lilkę. Obie były tu bezpieczne. Lilka prawie zupełnie doszła do siebie. Była jeszcze bardzo słaba; noga, uwięziona w gipsie przez tyle tygodni, wymagała ćwiczeń, ale dziewczyna coraz sprawniej poruszała się o kulach.

Orest sam je wystrugał z twardego kawałka drewna, a końcówki zabezpieczył gumą, żeby dawały stabilniejsze oparcie. Z troską obserwował zmagania dziewczyny. Podziwiał ją za upór i konsekwencję. Zaciskała zęby i parła do przodu. Paraska dawała jej do picia jakieś zioła na wzmocnienie, ale Orest miał wrażenie, że największą siłę Lilka czerpie z samej siebie. Cieszyło go to, zawsze wiedział, że jest silna, tylko jeszcze tego nie odkryła, raczej intuicyjnie wyczuwała. Z oddaniem opiekowała się Wandą, która na szczęście również miała się coraz lepiej.

– Wyglądam jak pół dupy z za krzaka – burczała Wanda z tym swoim charakterystycznym wisielczym humorem. – Ale wierz mi, miesiąc temu wyglądałam jak cała dupa. Ogoliła mi tylko pół głowy, tam gdzie kość była wgnieciona. Wyobrażasz sobie, jaki to był widok! – skrzywiła się. – Jakby w ciemnym zaułku napadł na mnie pijany fryzjer. – Z zawstydzeniem pogładziła ciemny puszek. – Jak już przestałam na jedzenie mówić papu, poprosiłam, żeby ogoliła mi... wszy... wszystko. – Jeszcze się nieco zacinała, ale Paraska mówiła, że to kwestia czasu.

Siedziały przed chatą, wygrzewając się w ostatnich tego dnia promieniach słońca. Od lasu ciągnęła już wilgoć i wieczorny chłód. Wanda narzuciła chustkę na głowę.

– I w dodatku ciągle mi zimno w łepetynę – poskarżyła się niechętnie.

Lilka przysunęła się i objęła przyjaciółkę.

– E, nie martw się – rzuciła z udawaną wesołością. – Powiemy wszystkim, że to taka moda. Najnowsza, z Paryża. Poza tym włosy szybko ci odrosną. Jeszcze będziesz miała bajryse, że ho, ho!

Gdzieś pomiędzy drzew dobiegło rzenie koni. Wanda poderwała się jak rażona piorunem. Zachwiała się jednak i z powrotem opadła na ławkę. Organizm, wciąż słaby i nieprzyzwyczajony do gwałtownych ruchów, zaprotestował stanowczo. Lilka rozejrzała się nerwowo, usiłując dosięgnąć kul. Dźwignęła się z ławki, wbijając czujny wzrok między drzewa. O tej porze nikt tu nie zachodził. Czasy były niespokojne, ludzie woleli nie ryzykować nocnych wędrówek. Potrzebujący pomocy zjawiali się za dnia, pilnując, by wizyta nie przeciągnęła się niebezpiecznie i nie musieli wracać nocą.

– Gdzie Paraska? – zapytała, nie patrząc na Wandę.

– Mówiła, że idzie malin nazbierać.

– Po ciemku? – zdziwiła się.



Przyjaciółka pokiwała głową.

– Ona widzi w ciemnościach jak sowa.

Do rżenia koni dołączyły się pokrzykiwania i przeraźliwy płacz dziecka.

– Pomogę ci wstać, pospiesz się! Musimy się schować! Nie wiadomo, kogo diabli niosą. Lepiej nie włązić nikomu w oczy.

Tego nauczyły je ostatnie doświadczenia. Orest z wielkim naciskiem przestrzegał dziewczęta przed „czerwoną milicją”. Chodziły słuchy, że jej oddziały, złożone z Żydów i Ukraińców, zapuszczają się coraz dalej od miasta, że napadają również na ukraińskie gospodarstwa w poszukiwaniu Polaków.

Zanim zdążyły się pozbierać, na polanę wjechał wóz. Powoził starszy, wysuszony mężczyzna z białą brodą. Z tyłu siedziała młoda kobieta, trzymająca w objęciach zawiniątko, z którego dobiegał płacz. Na widok dziewcząt mężczyzna machnął ręką i zatrzymał konia.

– Szczęść Boże! Spod Horucka jedziemy! Trudno do was trafić – powiedział z uśmiechem.

Z oddali dobiegł krzyk żurawia.

– Kto ma potrzebę, trafi. Innych nam tu nie trzeba. – Paraska jak duch wyszła zza chaty. W ręku trzymała kosz pełen malin. – Nie boicie się? Noc zaraz.

– Zatrzymaliśmy się tu niedaleko, we wsi. Zwora nam poszła. – Mężczyzna skinął głową w kierunku wozu. – Dobre ludzie pomogli, ale trochu czasu zeszło. – Jestem Jewhen – przedstawił się. – Przywiozłem żonę. Z dzieckiem sobie rady dać nie może.

Pomógł kobiecie zejść z wozu. Była ładna i bardzo młoda; zachowała jeszcze pyzată buzię, charakterystyczną dla dziewcząt. Jej mąż musiał być starszy o co najmniej pół wieku. Wyglądał jak Święty Mikołaj, tylko zamiast reniferów miał chudą szkapę. Lilka i Wanda popatrzyły po sobie zaskoczone. Jedna Paraska zachowała kamienną twarz. Nie takie rzeczy już w życiu widywała. Rozmowa odbywała się przy nieustannym akompaniamencie płaczu niemowlęcia.

– Płacze i płacze!

Młoda matka była zrozpaczona. Desperacko bujała tobołek na boki, w górę i w dół, ale nic nie pomagało. Niemowlę łkało monotannie i jednostajnie z jakąś dramatyczną rezygnacją, nie zmieniając natężenia. Jakby zacięła się płyta w gramofonie.

– Tak już od dwóch tygodni. Nie je, nie śpi, wciąż tylko płacze. Dzień, noc, dzień, noc... W oczach mi marnieje, a te uczone doktory powiadają, że zdrów jak ryba. Przedtem frygał, żem piersi wyciągać nie nadążała. Babko, w was jedyna nadzieja! – W oczach miała rozpacz. – Jeszcze tydzień i nic z niego nie zostanie. Ludzie w okolicy gadać zaczynają, że to podmieniec. – Rozpłakała się w końcu. – Że mojego Semenka Złe zabrało, a to budne dziecko. Serce matki poznałoby...

– Chrzczony?

– A jakże! Ledwie z łóżka wstała, zaraz do księdza my poszli.

– To dobrze. – Paraska uśmiechnęła się i podała Wandzie kosz z malinami. – Bądź tak dobra, zanieś do chałupy i przynieś mi ten kolorowy pęk wstążek.

Wanda zniknęła w drzwiach.

– A jakby nie był chrzczony, to co? – odważyła się zapytać Lilka.

– Ano nic, roboty byłoby więcej. Nieochrzczone niemowlęta to najłatwiejszy łup. Najszybciej padają ofiarą złych mocy. No, zobaczymy – oświadczyła, biorąc od matki tobołek z dzieckiem.

Jego nieustający płacz odbijał się echem od ciemnej ściany lasu. W pobliżu mamuna zastrzygła uszami. Paraska uśmiechnęła się pod nosem.

Lilce nieoczekiwanie stanął przed oczami Michaś i smutek ścisnął ją za serce. Musiała się jednak wziąć w garść, bo Paraska wskazała Jewhenowi ławkę.

– Usiądźcie tu i nie odzywajcie się przez chwilę.

Następnie wzięła od Wandy pęk kolorowych wstążek, wyjęła różową, wręczyła ją matce, a czerwoną obwiązała dziecku nadgarstek. Schyliła się i położyła chłopca przed drzwiami chaty, by główką dotykał progu. Zrobiła nad nim znak krzyża, wyszeptala pod nosem jakieś zaklęcia, a potem zaczęła szybko machać nad nim spódnicą, jakby wymiatała spod siebie powietrze. Zafurkotało, a z pobliskich leszczyn poderwały się spłoszone wróble. Zachodzące słońce rzuciło ostatni promień na drzwi.

– Na pewno nie chcecie zostać na noc? Miejsce się znajdzie – zaproponowała, kiedy po skończonym rytuale małżonkowie szykowali się do odjazdu. – W lesie nocą niebezpiecznie. W niespokojnych czasach las przyciąga nie tylko dobrych ludzi. Łatwo się natknąć i na zbirów.

– Dziś wszędzie niebezpiecznie. – Jewhen smutno pokręcił głową. – U nas we wsi chałupę z Polakami spalili. Żywcem małe dzieci... Mykoła Horeckij chciał ratować, to go na bagnety wzięli. Na oczach żony zakłuli, a ciało powiesili na drzewie jako przestrożę dla Ukraińców, którym by przyszło do głowy Polakom pomagać. Jezusie Przenajświętszy, tyle lat my żyli zgodnie obok siebie...

– Patriotyzm! – mruknęła pod nosem Paraska. – Uważajcie na siebie – dodała głośno.

– Do wsi dojedziemy, zdążymy przed nocą. Stryjenka żony nas przenocuje. Babko, jesteście... – Mężczyźnie brakło słów. Po raz setny z nabożeństwem ucałował dłonie Paraski. Tłumoczek od dłuższej chwili był cicho. Uszczęśliwiona matka obsypywała synka pocałunkami.

– Czarownicą? – Paraska się uśmiechnęła. – A pamiętaj, kochana – zwróciła się do kobiety – żebyś w cerkwi podczas czytania Ewangelii dotknęła Pisma Świętego różową wstążką, a potem zawiązała ją na kołysce. I nie zapomnij o tej modlitwie, co ci ją na kartce dałam.

Późnym wieczorem, gdy Paraska odprawiała swoje obrzędy przy studni, Lilka i Wanda już leżały w łózkach. Przez małe okienka izby widać było wielki księżyc w pełni, ledwie mieszczący się w szybie.

– Dziś jest niebieski księżyc. – Wanda zrobiła z palców kółko, usiłując pomieścić w nim srebrną tarczę. – Paraska mówiła.

– A cóż to takiego? – Lilka powoli odpływała w sen.

Kiedy zamykała oczy, widziała mamę, Michasia, Jakuba... Od kilku dni dręczyła ją obsesyjna myśl, że stało się coś złego. Nie umiała jej sprecyzować. Czuliła się tak, jakby komuś z jej bliskich wyrwano serce.

– To druga pełnia w ciągu miesiąca. Wtedy człowiek jest skłonny do gwałtownych emocji. Robi i mówi dziwne rzeczy. Poza tym niebieski księżyc spełnia marzenia. Myślisz, że Jurek żyje? – zapytała cicho Wanda.

– Żyje. – W tonie Lilki zadźwięczała stanowcza nuta. – Oni wszyscy żyją. Jurek, twój ojciec, Jakub, moi rodzice... Nie ma innej możliwości, rozumiesz?

Wanda jakby nie słuchała.

– Prosiłam Oresta kilka razy... Mówił, że się stara, ale do tej pory niczego nie udało mu się ustalić.

– Chyba przeceniłyśmy jego możliwości. – Lilka uśmiechnęła się smutno.

W drgającym blasku świecy jej twarz wydała się Wandzie bardzo dorosła. Dziewczęce rysy stwardniały, w oczach pojawiły się cienie przeżytych dramatów. Niełatwo było pozostać dzieckiem, gdy świat ukazał swoje najbardziej okrutne oblicze. Naiwność przestała być wartością.

– Ech, kochana, to się nakaparzyło – westchnęła Wanda. – Pół roku uciekło mi z życia. Jakby ktoś zgasił światło...

– Teraz już będzie dobrze, zobaczysz. – Lilka była niezłomna w swoim przekonaniu. Wygramoliła się z łóżka i podciągając koszulę płaczącą się między nogami, pokuśtykała do przyjaciółki. Poczekała, aż tamta odsunie pierzynę. Po chwili leżały przytulone, ciesząc się dodającą wiary bliskością. – Za jakiś czas obie dojdziemy do siebie i wtedy Orest pomoże nam się dostać do Lwowa.

– Nie mamy żadnych dokumentów. Wpadniemy przy pierwszej kontroli.

– Orest coś wymyśli.

Wanda uśmiechnęła się pod nosem.

– Nie przeceniłyśmy go. Chyba raczej nie doceniłyśmy. Ufasz mu?

Lilka przez chwilę milczała.

– Nie wiem już, komu ufać. Nigdy nie myślałam, że zaufanie to taka trudna sprawa.

Pomyślała o Wiktorze. Choć tyle czasu spędziły razem, nie powiedziała Wandzie, czym chłopak się obecnie zajmuje. Sama nie umiała sobie z tym poradzić. W uszach wciąż jej dźwięczało: „Jemu dzisiaj śpiewa flaga, jemu pieśń jak wicher się wzmaga...”. W jednej chwili go usprawiedliwiała, a zaraz potem obiecywała sobie w duchu, że przy najbliższej okazji napluje mu w twarz. Tylko z serca nie umiała go wyrzucić.

– Wydaje ci się, że kogoś znasz – zaczęła Wanda, myśląc o Oreście. – A potem się okazuje, że guzik z pętelką. Nie mogę go rozgryźć. – Pokręciła głową. – Pomaga nam, dla ciebie narażał życie, słyszę, jak czasem rozmawia z Paraską. Ale przecież wiem, co robi w tym lesie, przekonałam się na własnej skórze. – Skrzywiła się, dotykając skroni. – No wiem, to nie on sam – dodała niechętnie. – Ale też wiem, do czego jest zdolny. Jestem przekonana, że ma na rękach krew...

– Jest wojna. – Lilka wzruszyła ramionami. Myśli miała zajęte czym innym.

– Już i ty nie zaczynaj! – zdenerwowała się Wanda. – W kółko to słyszę. Mam wrażenie, że ludzie znaleźli sobie wygodne usprawiedliwienie. Kradnę, bo jest wojna, zabijam, bo wojna. Tfu!

– Nie zdążyłaś przywyknąć. – Lilka uśmiechnęła się pod nosem. – Dla ciebie ta wojna zaczęła się dwa miesiące temu. Jeszcze nie zobojętniałaś.

– I mam nadzieję, że tak zostanie – fuknęła tamta.

Przez chwilę obie wpatrywały się w księżyc. Wanda zmrużyła oczy. W ten sposób lepiej mogła dostrzec ciemne cienie na błyszczącej tarczy. Przez okno wpadały odgłosy nocy. Jakieś nawoływania, szelesty, pogwizdywania. Wiatr przeleciał w pobliżu, przynosząc pohukiwania sowy. W niedalekiej wsi zaczęły wyć psy. Las nigdy nie milczał, obie zdążyły się już do tego przyzwyczaić. Zasypiały, kołysane jego pomrukami.

Lilka pamiętała swoje pierwsze bezsenne noce w chacie Paraski, gdy po ciężkiej przeprawie w końcu udało im się tu dotrzeć. Od kiedy w tamtym podziemnym tunelu usłyszeli strzały, Orest wciąż miał zaciśniętą szczękę. Lilka usiłowała go pocieszać, ale pokonała ją własna niemoc. Ciało protestowało jak szalone, zsyłając ból w najdziwniejszych miejscach. Miała wrażenie, że przy każdym następnym ruchu rozpadnie się na kawałeczki. Orest zostawił ją opatuloną w kożuch w jakichś krzakach nad rzeką i zniknął. Przez chwilę myślała, że to koniec, ale wtedy było jej wszystko jedno. Byle przestało boleć.

Wrócił po godzinie. Samochód prowadził jakiś milczący mężczyzna. Przez całą drogę nie zamienili ani słowa. Kilka pierwszych dni spędziła w domu na skraju wsi, wśród Ukraińców. Dobrze się z nią obchodzili. Orest nie odwiedził jej ani razu. Kiedy przyjechał po tygodniu, nie czuła w nim już tego napięcia. Twarz mu się wygładziła, oczy przestały być puste. Powiedział, że ojciec miał atak serca, ale niebezpieczeństwo minęło. A potem przywiózł ją do Paraski.

– Wiktor mi się śnił – zaczęła Lilka cicho. – Nie mogłam go znaleźć. To było dziwne. Wiedziałam, że się zmienił, że wygląda jak ktoś inny, a ja muszę go rozpoznać, ale nie wiedziałam jak. Biegałam w tłumie i zaglądałam mężczyznom w oczy, w nadziei, że może mi się uda. Może w oczach któregoś z nich zobaczę mojego Wiktora...

– I co, udało ci się?

– Nie. Wiedziałam, że jest którymś z tych mężczyzn, ale nie wiedziałam którym...

Wanda wzięła ją za rękę.

– Wiktor się nie zmienił. Jeśli żyje... na pewno żyje – poprawiła się – nadal cię kocha. I wiesz co? Durnowaty pomidor z ciebie. Nie trzeba było ganiać za obcymi chłopami i zaglądać im w oczy, tylko

zajrzeć w swoje serce. Wtedy byś wiedziała, który to. Że też inteligencja nie działa we śnie – zacmokała, udając powagę. – Na drugi raz, ty kałakunio, obudź się na chwilę i mnie zapytaj, co masz zrobić! – Parsknęła śmiechem.

– Śpijmy. – Lilka zdmuchnęła świecę. Chciała zostać sama ze swoimi myślami. W izbie wcale nie zrobiło się ciemniej. Srebrne światło księżycy padało na łóżko, rażąc w oczy. Niebieski księżyc spełnia marzenia... Pomyślała o Jakubie i po chwili już spała.

– Dziewczynki, dziewczynki – zaszepotała Paraska, potrząsając ją za ramię. – Musicie zejść do piwnicy. Słyszałam warkot motoru.

Zaspana Lilka otworzyła oczy. Księżyc przesunął się w prawo i teraz oświetlał złotą ikonę wiszącą na ścianie. Błysnęła aureola nad głową dzieciątka. Paraska, w białej koszuli i kraciastej chuście narzuconej na ramiona, pochylała się nad łóżkiem.

– Chodźcie, prędzej!

Lilka zbudziła Wandę. Obie już się przyzwyczyły. Do chaty zaglądali różni ludzie, nie byłoby rozsądne pokazywać się wszystkim. Paraska jakimś szóstym zmysłem potrafiła wyczuć, kiedy powinny się ukryć. Wiele godzin, najczęściej nocnych, spędziły w piwnicy. Urządziła im tam całkiem wygodne miejsca do spania.

Na podwórko zajechał jakiś samochód. Donośne rozmowy, docierające nawet tu, na dół, sugerowały, że na zewnątrz kręcą się ludzie. Wanda wzruszyła ramionami i wygodnie wyciągnęła się na łóżku, podkładając ręce pod głowę. Nie przeszkadzało jej, że dookoła panują egipskie ciemności.

– Idę spać – mruknęła. – Tu mi przynajmniej księżyc w gębę nie świeci. To pewnie trochę potrwa, a co mi w końcu za różnica, gdzie przyłożę głowę. Równie dobrze mogę tu zostać do rana. Nie budź mnie, dobra?

Lilka zamierzała coś powiedzieć, ale w tym momencie nad ich głowami rozległy się kroki. Ktoś uchylił kłapę i do piwnicy wpadło światło.

– Możecie wyjść! – W głosie Paraski słychać było ulgę. Lilka wyczuła coś jeszcze. W ciągu tych kilku miesięcy zdążyła poznać staruszkę i wiedziała, że znachorka jest podekscytowana. Nieczęsto jej się to zdarzało.

Przed chatą oslepiły je światła reflektorów. Lilka zmrużyła oczy, opierając się na Parasce; w pośpiechu zapomniała o kulach. Duża ciężarówka, niewidoczna w ciemności podwórza, stała naprzeciwko drzwi, rzucając snopy światła na chatę. Wokół niej kręciły się czarne postacie. Nagle jedna z nich oderwała się od pozostałych.

– Mam dla ciebie niespodziankę. – Orest wyciągnął rękę.

– Co się dzieje? – Lilka zaniepokoiła się, robiąc krok w tył. Nadepnęła Wandzie na stopę. – Zabierasz nas stąd?

– Nie, jeszcze nie... – Podszedł i chwycił ją pod ramiona. Nie opierała się, pozwalając, by ją poprowadził w głąb podwórza. Kiedy wyszli z zasięgu reflektorów, odzyskała wzrok.

Jakiś człowiek stał koło studni, opierając się o cembrowinę. Na jej widok zrobił kilka kroków. Wtedy go poznała.

– Jakub!

Z zarośli zerwał się nocny ptak i przepadł w ciemnościach.

# Spis treści

## Część pierwsza. PORA WESTCHNIENÍ

I

II

III

## Część druga. PORA BURZ

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX